

ARCHIBALD JOSEPH CRONIN

Trzy miłości

Przełożyła Maria Kreczkowska-Feldmanowa.

Część pierwsza

Gdy tylko Łucja skończyła się przebierać, podeszła do okna swej sypialni, ale Franka nie było jeszcze widać. Stała za długą koronkową firanką, pogrążona w myślach, wpatrzona w białą smugę drogi, biegnącej brzegiem zatoki ku miastu odległemu niemal o milę.

Na drodze nie było nikogo oprócz starego Bowie i jego kundla. Jeden wygrzewał stare zreumatyzowane kości, siedząc na niskim murze przed swym małym warsztatem szkutniczym, drugi, wsunawszy głowę między łapy, wyciągnął się i spał na bruku nagrzanym przez słońce. Słońce było wspaniałe w owo sierpniowe popołudnie: migotało na zatoce niby tańczące cekiny, połyskliwym żarem muskało Ardfillan, wyłączało dachy i wysokie kominy Port Doran na przeciwległym brzegu, tak że miasto miało wygląd dziwny i tajemniczy. Nawet ta zwyczajna droga przed oczyma Łucji ozłocona była blaskiem słońca, a schludne domki osady zatracaly swą codzienność we wspaniałym potoku złotego światła.

Dobrze znała ten widok: lśniąca tafla wody objęta ramionami brzegu, lasy półwyspu Ardmore, chłodne i błękitne we mgle oddalenia, od zachodu poszarpany łańcuch gór, majestatycznie spiętrzonych na tle bladej kurtyny nieba. Dziś zwłaszcza ten przeobrażony krajobraz posiadał pewien złudny wdzięk, który dziwnie zachwycał Łucję. Ponadto ta pora roku kryła w sobie mimo upału pierwszą zapowiedź jesieni - pierwszy uschnięty liść na ścieżce, bardziej słony zapach morszczyn na plaży, dalekie krakanie kawek - jak ona kocha to wszystko! Jesień...

Oczy jej osłonięte dłonią przed jaskrawym blaskiem, wędrując w poprzek drogi ku warsztatowi starego Bowie, odkryły postać synka, bawiącego się na pokładzie "Orla". Pomagał czy też przeszkadzał Dawidowi, który pracował na małej łodzi zakotwiczonej na szarym kamiennym nabrzeżu. Raczej mu przeszkadza - pomyślała, surowo tłumiąc tkliwość macierzyńską.

Uśmiechnięta podeszła do dębowej szafy i z wrodzoną, instynktowną powagą kobiety stojącej przed lustrem, przyglądała się swemu odbiciu.

Nie była wysoka - "takie sobie maleństwo", nazywał ją pobłaźliwie brat Ryszard - lecz pod muślinową sukienką zgrabna figurka rysowała się z młodzieńczym wdziękiem. Łucja wyglądała młodo i świeżo, robiąc raczej wrażenie szesnastolatki niż kobiety dwudziestosześcioletniej - jak to kiedyś stwierdził Frank w nieoczekiwanym momencie uznania, wyzbywszy się swej zwykłej powściągliwości. Drobną, otwartą i wrażliwą twarz o świeżej cerze, zabarwiona teraz ciepłym tchnieniem słonecznego lata, miała delikatny koloryt. Oczy osadzone daleko od siebie były błękitne, ciemnobłękitne, o jeszcze ciemniejszych niteczkach, które splatając się w siatkę tworzyły migotliwe punkciki świetlne; oczy te były dziwnie łagodne i szczerze. Kąciki ust lekko podniesione, smukła linia szyi i podbródka miała miękką falistość, a wyraz twarzy świadczył o otwartości, opanowaniu i pogodzie.

Podniosła rękę do ciemnobrązowych włosów, przeglądając się w lustrze krótką chwilę, następnie złożyła skromną perkalową sukienkę, którą miała na sobie przez cały dzień, i umieściła ją w dolnej szufladzie szafy, ostatnim badawczym spojrzeniem objęła pokój, by stwierdzić, czy wszystko w porządku, przyjrzała się błyszczącemu linoleum, doskonale przylegającemu pokrowcowi na wyplatany fotel, kapie spływającej miękko z łóżka, wdzięcznym ruchem głowy wyraziła swoje zadowolenie, odwróciła się i zeszła na dół.

Dziś uporała się ze wszystkim później niż zwykle - piątek był dniem pieczenia - ale unoszący się wokół zapach czystego, schludnego mieszkania, wosku, mydła i terpentyny, będący najpiękniejszą wonią dla gospodyni dumnej ze swego domu, usprawiedliwiał późniejsze nieco zabranie się do toalety.

Czuła uzasadnioną, skromną dumę z doskonałości swego domu: tego małego, odosobnionego domku - górnołotnie nazywanego willą - stojącego na krańcach Ardfillan. Łucja kochała swoje gospodarstwo i lubiła widzieć je lśniącym czystym! A teraz, stojąc w kuchni, odwróciła się ku otwartym drzwiom zmywalni i spytała:

- Netto, jesteś gotowa?

- Jeszcze chwileczkę, pani Moore - brzmiała odpowiedź trochę przytłumiona, gdyż służąca Netta, kończąc czesanie się przed kwadratowym lustrem umieszczonym nad miedzianym kotłem, trzymała między wargami szpilkę do włosów.

- Pan Moore nadejdzie lada chwila - ciągnęła Łucja w zamyśleniu. - Słyszałam nadjeżdżający pociąg. Ja na twoim miejscu rozbiłabym już jajka. Cztery.

- Dobrze, pani Moore - odrzekła dziewczyna tonem raczej pobłażliwym.

- I uważaj, proszę, przy rozbijaniu. Daj do wody trochę octu, żeby się ścięły. Nie zapomnij.

- Nie, nie zapomnę, pani Moore.

Netta, wyjąwszy już szpilkę z ust, zaprotestowała przeciwko możliwości podobnego zaniedbania, i jakby podkreślając swe oświadczenie weszła zamasyżuje do kuchni.

Była to dzielna siedemnastoletnia dziewczyna - chętna, opanowana i sympatyczna, która przy całej uprzejmości miała wrodzoną dumę i mimo całej gotowości do pracy nigdy nie przyznałaby się, że jest służącą. Żadna siła nie mogłaby wydobyć z jej ust tytułu "wielmożny pan" lub "wielmożna pani"; przeciwnie, swych chlebodawców traktowała jak równych sobie, mówiąc do nich grzecznie, lecz bez uniżoności: panie Moore i pani Moore. W niektórych okolicznościach w jej zachowaniu można było wyczuć nawet odcień wyższości, jak gdyby żywiła do Moore'ów pewną pogardę z powodu odrębności ich wyznania, szczycąc się własną wiarą i prawomyślnością.

Teraz jednak uśmiechnęła się i rzekła znacząco:

- Ubieram się teraz dłużej, odkąd zaczęłam upinać włosy.

Dłużej się ubierasz - pomyślała Łucja - odkąd Dawid Bowie zaczął się do ciebie zalecać.

Głośno jednak powiedziała:

- Ładnie ci tak. A Dawidowi podoba się to uczesanie?

W odpowiedzi Netta potrząsnęła głową ze spiętrzoną fryzurą - ileż dziewczęcej kokieterii i czulej tęsknoty wyrażało się w tym prostym geście! - i szybko rozbiła jajko o brzeg garnka.

- Jemu! - powiedziała i to było wszystko, nic więcej. Ale gwałtownie się zarumieniła odwracając twarz ku flaszcze z octem.

Łucja przystanąła na chwilę i kryjąc uśmiech przyglądała się ruchom dziewczyny. Uświadomiła sobie nagle swoje własne szczęście. Czuła dziwne zadowolenie, wynikające z miłego poczucia spełnionego obowiązku, orzeźwienia po przebraniu się oraz świadomości, że zasłużyła na ten krótki odpoczynek. Zawsze lubiła moment powrotu Franka z miasta, a przyzwyczajenie nie osłabiło tej radości. Ładnie ubrana, wypełniwszy codzienne obowiązki w czyściutkim mieszkaniu, gotowa była na jego przyjście, a za każdym razem przenikała ją ciepła fala szczęścia. Odwróciła się, wyszła do ciasnego przedpokoju, otworzyła frontowe drzwi i wolnym krokiem ruszyła wysypaną żwirem ścieżką. Na małym czworokątnym trawniku grzęda lewkonii, lobelii i geranium - zestawienie, będące w tym roku brylantowego jubileuszu królowej Wiktorii ostatnim krzykiem sztuki ogrodniczej - rozkwitła wspaniale ciesząc jej pełne zachwyty oczy. Delikatnie wyrwała i odrzuciła bezwstydną chwast, przeszkadzający najpiękniejszej lewkonii. Następnie podeszła do furtki ogrodowej i szeroko ją otworzyła.

W tej chwili dobiegły ją z drogi jakieś odgłosy, szybki, coraz głośniejszy tupot. Podniósłszy oczy Łucja ujrzała swego synka biegnącego ku niej.

- Mamó! - krzyknął, z miną zapowiadającą ważną nowinę. - Pracowałem z Dawidem na "Orle".

- Co ty powiesz! - zawołała udając niedowierzenie.

- Pracowałem - zapewnił z całym zapalem ośmiolatka przejętego czymś ważnym. - Pozwolił mi nawet związać końce liny.

- O Boże! I co jeszcze? - zawołała przyglądając się z czułością piegom na jego nosie. Był to zwykły zadarty nosek, a piegi na nim stanowiły jedynie drobne punkciki. Istniały też, co otwarcie przyznała, inne piegowate nosy, ale dla niej ten właśnie miał nieprzeparty urok!

Chłopak doskonale rozwinięty jak na swój wiek - myślała często. - Wydelikacony - to było może właściwe określenie - o ciemnych włosach i piwnych oczach ojca. Inni chłopcy? Niewątpliwie też mieli swe zalety, ale nie takie jak Piotruś.

- Czy mogę pójść grać w kuleczki? - spytał żywo.

- W kuleczki? - powtórzyła z prawdziwym niedowierzaniem. - Skąd je masz?

Zaśmiał się ukazując szczyrby po mlecznych zębach, a ten jego łobuzerski śmiech wprawiał ją zawsze w zachwyt. Następnie Piotruś spuścił powieki. Rzęsy jego wydawały się jej cudownie ciemne na tle cery świeżej jak owoc.

- No widzisz - rzekł w zamyśleniu, uderzając czubkiem bucika o ścianę - dziś dopiero zaczęli grać, więc pożyczyłem sobie kuleczki od jednego chłopca. A potem grałem z nim i wygrałem, a potem mu zwróciłem. Teraz już wiesz, jak to było?

- O tak, teraz wiem - powiedziała powstrzymując się od śmiechu. Malec założył ręce na plecach, wypiął brzuch i lekko rozkraczył nogi, by móc ją lepiej widzieć.

- To przecież całkiem uczciwe, prawda? - spytał zezując. - Tak się robi, ja przynajmniej tak zrobiłem. Dostałem piętnaście kuleczek do mojego dzbanka. - Wyzebrał u niej w ostatnich czasach dzbanek z metalowym wieczkiem i z chciwością sknery przechowywał w nim wszystkie drobne skarby. - A jeśli mi pozwolisz grać, to wygram może jeszcze więcej.

- Kto wie - powiedziała z nutą pobłażania, która pozbawiała jej odmowę zbytnej surowości. - Sądzę jednak, że najpierw napijemy się herbaty. Tatuś nadejdzie lada chwila.

- Aha! - zawołał ze zrozumieniem, jak gdyby wtajemniczyła go w coś niezwykłego, po czym dodał rozbijająco: - Ciekaw jestem, czy mi coś przyniesie. Na pewno przyniesie.

- W każdym razie biegnij do domu i umyj ręce. - A na dowód, że dla jego dobra potrafi być surowa, dodała: - Wyglądają okropnie.

- No tak, gdy się pracuje na łodzi - wyjaśnił przyglądając się ciemnym kostkom swych palców i smugom brudnego potu na dłoniach. - A dopiero splatanie liny, ho! ho! - Urwał, zaczął nagle gwizdać, odwrócił się i pobiegł do domu.

Gdy zniknął jej z oczu, Łucja spojrzała ponownie na drogę wiodącą do miasta, oczekując pojawienia się męża. W chwilę później znalazł się istotnie w zasięgu jej wzroku i powolnym krokiem zdązał ku niej. Ten leniwy chód był dla niego charakterystyczny, tak że bezwiednie wydała cichy okrzyk, wyrażając tym na pół przywiązanie, na pół zniecierpliwienie. Nagle w błyskawicznym skojarzeniu myśli uświadomiła sobie, jak doskonale dobrane było ich małżeństwo.

- Tak, tak - myślała stwierdzając w duchu, jak bardzo sobie odpowiadają. - Dobrze się stało, że wzięłam Franka w swe ręce. - I stale myśląc o swym szczęściu, o tak rzadko spotykanym zadowoleniu z pożycia, równocześnie cofnęła się wspomnieniem o parę lat, do wyznaczonej przez los chwili ich pierwszego spotkania. Jakże się to miejsce nazywało? Ach tak: "Pensjonat Kyle", należący do panien Roy. Nigdy nie zapomni tego nazwiska ani panny Sary Roy, która nie zajmowała się kuchnią, lecz z promieniejącą twarzą i wszechwiedzącym spojrzeniem przydygotała przy "obfitym stole" - określenia tego użyła panna Sara, ogłaszając w "Katolickim Trębaczu" swój pensjonat, "pozostający pod pieczęią duchowieństwa i najwyższych sfer świeckich", jak brzmiało zakończenie reklamy.

Tak, panny Roy były zawsze nienagannie poprawne, w przeciwnym razie Ryszard i Ewa nigdy by u nich nie zamieszkali. Ryszard był zawsze drobiazgowym pedantem, nawet w pierwszych latach swego małżeństwa, zanim wybił się jako prawnik; poza tym pragnął największego szczęścia dla Ewy. O Łucję, swoją siostrę, oczywiście wcale się nie troszczył; wziął ją po prostu do swego domu - nadzwyczajny dowód braterskiej łaskawości. Czy zrobił to może po to, by zajęła się małym Karolkiem? Bo Ewa po urodzenia dziecka czuła się osłabiona.

Ryszard i Łucja nigdy się ze sobą nie zgadzali - wskutek dziwnej odmienności czy może podobieństwa temperamentów - pomimo, że jako sieroty powinni byli żyć ze sobą. A kiedy młody Moore zaczął się nią zajmować...!

Na to wspomnienie omal się nie uśmiechnęła: podczas swego dwutygodniowego urlopu Frank czuł się źle w tym towarzystwie, nie znając czy też nie troszcząc się o ściśle formy obowiązujące przy stole: "Człowiek od masła i jaj - określił go Ryszard - starający się o nią!"

Jakie to śmieszne poznać swego przyszłego męża w pensjonacie, a w dodatku właśnie w Ardbeg! I nie jest to wcale w dobrym tonie, przeciwnie - raczej banalne. Mimo to Frank i ona czuli wielki pociąg do siebie właśnie dzięki przeciwieństwu natur - pociąg tak nieprzeparty, że nie było przed nim ucieczki. Oboje byli bardzo wzruszeni w owo piękne, senne popołudnie - takie samo jak dziś, kiedy suche igliwie modrzewi w lesie Craigmore rozgrzewało się w jej spoconych dłoniach, a sosny, wydzielając żywicę, przesycaly powietrze ciężką, oszałamiającą wonią. U stóp ich rozciągała się zatoka, wokół słychać było brzęczenie

owadów w zaroślach, a duszę jej przepelniało szczęście, gwałtowne, płomienne, słodkie. Młody Moore nie był wtedy taki niezręczny jak przy stole.

Ryszard był jednak surowy, wrogi, starał się ośmieszyć jej związek z sezonowym agentem handlowym. Tak, mimo że Moore z pewną co prawda obojętnością wyznawał tę samą religię, Ryszard nie lubił go. - Takie zero - mówił. - Produkt irlandzkich rodziców, wygnanych przez głód z ojczyzny. Brat Łucji przypuszczał, że Frank pochodził z chłopów, których wypędził dwukrotny nieurodzaj kartofli, którym w czasie głodu siłą opróżniano wozy z buraków, a ładowano trupy leżące wzdłuż drogi. Irlandczycy ci przybyli do Szkocji, by wydawać na świat płodne potomstwo, rasę mieszańców zasilających przeważnie szeregi robotników rolnych - którzy, gdy im szczęście sprzyjało, byli bukmacherami lub szynkarzami - plemię niepożądane i nieokrzese.

Była to niemiła perspektywa dla Ryszarda, dumnego ze swego szkockiego pochodzenia i dobrej krwi Murrayów, który później, posłuszny kaprysowi Ewy, wyprowadził swój rodowód od bocznej linii Stuartów.

Skutek był prosty, zakończenie szybkie: Ryszard i Łucja poróżnili się ze sobą, jak to najczęściej bywa. Ani się jej śniło ulegać komukolwiek, gdy chodziło o jej wybór. Więc po prostu odeszła z Frankiem owego dnia przed dziewięciu laty.

Tak więc doszło do tego, że czeka oto przy furtce, świadoma swego szczęścia, mocno i bez żadnego wstydu świadoma swej miłości.

Nadchodził. Skinęła ręką - zrobiła to bardzo dyskretnie, ale mimo to gest ten nie mieścił się w granicach powściągliwego zachowania, które nakazywały owe czasy. Tego roku, kiedy nowoczesne poglądy nie były jeszcze popularne, szanujące się żony nie pozdrowiały swych mężów w taki nieskromny sposób. Kiwać ręką - nie, nie wypadało! Lecz on również odpowiedział podniesieniem ręki, potwierdzając niewłaściwość tego postępu.

- Halo, jak się masz - zawołała uśmiechając się, zanim podszedł do niej.

- Halo - odpowiedział.

Był wysokim, silnie zbudowanym, lekko przygarbionym trzydziestoletnim mężczyzną, ubranym nieelegancko, o niedbałej postawie. Włosy miał jasnobrązowe, cerę

czerwonawą, oczy o dziwnie przejrzystym orzechowym odcieniu, zęby olśniewająco białe. Było w nim coś - pewna opieszałość, leniwy chód, obojętny wyraz oczu i dziwna powściągliwość - co sprawiało, że robił wrażenie ciekawej indywidualności, człowieka, który niedbale spogląda na świat i sądzi, że zasługuje on jedynie na nieufną ironię.

- Późno wracasz - rzekła krótko, stwierdzając z zadowoleniem, bardziej ze względu na niego niż na siebie, że na twarzy jego nie ma dziś wyrazu przygnębienia. - Myślałam, że spóźniłeś się na pociąg o pół do piątej.

- Moore nie spóźnia się nigdy - odrzekł uprzejmie - chyba na modlitwę. Możesz polegać na F. J. Moorze.

- Zapomniałeś kupić mi serwetki? - spytała znacząco, idąc obok niego ścieżką.

Spojrzał na nią z ukosa, już mniej pewny siebie, i z wolna potarł dłonią policzek.

- Franku, to szkaradnie z twojej strony - powiedziała z wymówką. Jakże charakterystyczne było dla niego to ciągle zapominanie. A wyraźnie jej przecież powiedział, że będzie dziś przechodził koło sklepu Gowa. Sklep ten uchodził w rodzinie Moore'ów za wzór wielkiego magazynu w Glasgow: cokolwiek pochodziło stamtąd, było dobre. Wszystko w ich willi, od pianina do sitka kuchennego, zostało kupione za gotówkę u wszechpotężnego Gowa.

- Mogę ci przynieść w najbliższy piątek pudełko sardynek - odrzekł powoli - by naprawić to moje gapiostwo. - Usta jej drgnęły; tak, te serwetki były jej potrzebne, a on zapominał o nich przez cały tydzień. Ale to było do niego podobne; potrafił zapomnieć o wszystkim: o urodzinach jej, Piotrusia, a nawet o swoich własnych, tak, nieraz się przyznawał, że nie pamięta tej ważnej daty.

- Są zupełnie postne - zapewnił ją poważnie. - Dostarczają je wszystkim zakonom. Mój drogi brat Edward poleca je. Można je spożywać bez grzechu.

Potrząsnęła głową, lecz zaśmiała się mimo woli.

- To w takim jesteś dziś nastroju? - spytała.

Weszli do małej jadalni mieszczącej się na parterze w amfiladzie, między salonikiem a kuchnią - architektura "willi" nie była skomplikowana. Piotruś na polecenie matki pociągnął za sznurek dzwonka, po czym wszyscy troje zasiedli do herbaty.

- I cóż się dzisiaj wydarzyło? - spytał Moore, gdy Netta wbiegłszy hałaśliwie niby podmuch wiatru, jeszcze szybciej wybiegła zaaferowana. - Ile morderstw w ciągu dnia?

- Wszystko po staremu - odrzekła spokojnie, podając mu grzanki - poza jedną nowością, że twój syn zdaje się teraz gromadzić kuleczki do gry.

Oczy Franka spoczęły przez chwilę na chłopcu szczerzącym zęby w uśmiechu.

- Skończony Shylock z niego - mruknął schylając się znów nad jajkiem.

- A przed południem spotkałam w mieście pannę Hocking - dodała Łucja.

Rzucił jej spojrzenie sponad swej filiżanki - przy stole siedział zwykle pochylony - i lekko drwiącym tonem powiedział:

- Pinkie, kochane stworzenie! I cóż ci powiedziała o sobie?

Widząc, w jakim jest humorze, potrząsnęła głową uprzejmie, lecz z przekorą, nie racząc odpowiedzieć.

- Śmieszna figura - obstawał - nie potrafiłbym absolutnie określić wielkości jej bucików. Ma myszki w głowie, ta Pinkie. - I wzruszonym głosem zaintonował: - "Alleluja, Pinkie buja". Stanowczo uważam ją za wariatkę. - Wypił resztę herbaty i z wymownym naciskiem dodał: - Im mniej stykamy się z tutejszymi ludźmi, tym lepiej. Lubię jedynie tę miejscowość...

- Franku, znów stajesz się śmieszny, jak zwykle - rzekła spokojnie.

W tej chwili usłyszeli pukanie u drzwi wejściowych, a Piotruś zawołał:

- Poczta! - Na skinienie matki ześliznął się z krzesła i pobiegł do hallu. Wrócił z listem i z poważną miną zwycięzcy wykrzyknął: - Dla ciebie, mamusi!

Łucja wzięła list do ręki, z lekko pochyloną głową krytycznym spojrzeniem objęła kwadratową kopertę, charakter pisma na adresie, pieczęć pocztową, wyciśniętą nad znaczkiem, po czym ostrożnie otworzyła kopertę szczyrykiem.

- Spodziewałam się - zauważyła spokojnie.

Na twarzy Moore'a pojawił się wyraz lekkiego rozdrażnienia. Wyjął wykałaczkę z kieszeni kamizelki i rozparty na krześle przyglądał się żonie, powoli czytającej list.

- Pewno od Edwarda - rzekł szyderczo, zanim skończyła czytać, myśląc o ich regularnej korespondencji. - O cóż chodzi dziś Jego Wielbności? O stan naszych dusz czy o stan jego wątroby?

Nie odpowiedziała mu jednak, bezgłośnie poruszając wargami i wyteżając wzrok, nie słyszała jego słów. Czytanie pochłaniało całkowicie jej uwagę.

- A więc? - nalegał. - Czy panna O'Regan dostała świnki, a może czegoś innego?

Pod wpływem skojarzenia myśli Piotruś zaśmiał się krótko - znał bowiem gospodynię wuja Edwarda, a ze smutnego doświadczenia znał także i świnkę. List nie był jednak od Edwarda.

- To pisze Anna - rzekła wreszcie, odkładając list i podnosząc oczy z wyrazem radości. - Przyjedzie tu. Joe przywiezie ją z Levenfordu w przyszły czwartek.

- Anna! - wykrzyknął Moore opryskliwym, zupełnie zmienionym głosem; odrzucił list, szybko przebiegłszy go oczyma. - Anna przyjedzie tu! Dlaczego... po co, na miłość Boga, zaprosiłaś ją?

Zmarszczyła brwi. Jak on się zachowuje - i w dodatku w obecności Piotrusia.

- Zapominasz, że jest twoją kuzynką - powiedziała. - Zwykła przyzwoitość... gościnność nakazuje zaprosić ją na tydzień.

- Gościnność! Niepotrzebne zawracanie głowy, chciałaś powiedzieć!

- Mój drogi - dowodziła z nieodpartą logiką - czy było to również zawracanie głowy, kiedy Anna i jej ojciec zaofiarowali ci gościnność, gdy musiałeś pojechać do Belfastu? I to na przeszło trzy miesiące.

- Miałem interesy, więc musiałem tam zamieszkać - mówił niespokojnie. - Powiadam ci, że nie chcę żadnych kłopotów z powodu Anny.

- Więc ja wezmę na siebie cały kłopot - powiedziała zachowując spokój nawet wobec tak niemądrego postępowania z jego strony. - Pomyśl, że nigdy jeszcze nie widziałam Anny. Pragnę ją poznać.

- Do licha z poznaniem! - krzyknął gniewnie. - Nie chcę jej mieć w swym domu, a jeśli już o tym mówimy, to nie chcę widzieć nikogo z całej tej bandy - dodał charakteryzując w ten sposób swoich krewnych.

Zmarszczyła czoło. Tak, była to jedna z jego cech - tak skrajnie kontrastowa w porównaniu z jej towarzyskim instynktem - to pragnienie unikania ludzi, odosobnienia się, trzymywania się z dala od własnych krewnych zawsze ją gniewało. Ulegając wbrew woli wybuchowi swego żywego temperamentu powiedziała oburzona:

- O Boże! Co nam zaszkodzi obecność Anny? Ty zawsze poniżasz swych znajomych, nawet własnych braci. Drwisz z Edwarda, ponieważ jest księdzem, a Joe nie podoba ci się, ponieważ jest szynkarzem. Teraz kolej na Annę!

- Ksiądz i szynkarz - powtórzył niechętnie. - Śliczna para. Co oni zrobili dla mnie czy dla kogokolwiek? Raz jeszcze ci powtarzam, że nie chcę mieć tu Anny.

- Dlaczego nie chcesz, by tu przyjechała?

- Po prostu nie chcę jej tu oglądać.

- Czy sam jesteś doskonały, że masz takie zdanie o innych?

- Powinnaś wiedzieć, jaki jestem. Wszak wyszłaś za mnie, prawda? - odparł posepnie.

Zagryzła dolną wargę drżąc z oburzenia, czuła chmurę, która zbierała się nad ich słonecznym pokoikiem tylko dlatego, że listonosz zapukał do drzwi, przynosząc list od

kuzynki Franka. Bo w gruncie rzeczy cóż ona zrobiła? Zaprosiła krewną, Annę Galton, by spędziła u nich kilka dni. Czy to taka niewybaczalna zbrodnia? Anna, urodzona i wychowana w Levenford, wyjechała przed dziesięciu laty do Irlandii ze swoim ojcem, który jako wspólnik firmy "Lennox i Galton" - gdzie pracował właśnie Frank - osiedlił się później w Belfaście i objął w tym interesie dział eksportowy. Teraz, po śmierci starego Galtona, Anna powróciwszy tu, by z Lennoxem uregulować sprawy spadkowe, powzięła, zupełnie słusznie, zamiar odwiedzenia swych krewnych. Chyba to zrozumiałe po tak długiej nieobecności! U Joego w Levenford spędziła już dwa tygodnie, prawdopodobnie odwiedzi też Edwarda w Port Doran. Czy nie jest więc rzeczą naturalną, by przyjechała też do Ardfillan? Był to akt towarzyskiej grzeczności. Nawet więcej. Przed pięciu laty, kiedy Frank musiał udać się do Belfastu i prowadzić agencję w zastępstwie starego Galtona, który wtedy zachorował - był to pierwszy atak "angina pectoris", która ostatecznie spowodowała jego śmierć - kuzynka Anna przez przeszło trzy miesiące otaczała go wszelkimi wygodami. Dla Łucji wielką ulgę stanowiła świadomość, że Frank jest pod dobrą opieką, gdyż znając go i wiedząc, jak jest niezaradny, bała się dla niego wilgotnej pościeli, złego wikt, zaniedbanych hoteli - wszelkiego zła, które mogło wynikać z ich rozłąki. A mimo to Frank protestuje teraz przeciw gościnności, jaką ona w zamian ofiarowała Annie. Sama ta myśl wywołała oburzenie. Łucja opanowała się jednak i zacisnąwszy usta, powstrzymała gniewne słowa.

Przez chwilę panowało milczenie, następnie Frank wstał powoli z miną nieco zawstydzoną, wyjął z kieszeni nieodłączne zielone tekturowe pudełko i zapalił papierosa. Stał na farbowanej kozłej skórze i oparłszy ramię na marmurowym gzymsie kominka wciągnął dym papierosa, obserwując żonę kątem oka.

- Mieliśmy dziś dużo zamieszania - rzekł wreszcie trochę niezręcznie.

W rzeczywistości było to z jego strony usprawiedliwieniem. Uśmiechnęła się serdecznie, co od razu przywróciło zwykły nastrój między nimi, i unikając przedmiotu sporu, oświadczyła:

- Muszę w najbliższych dniach pomówić o tym z Lennoxem. I to rychło!

- Co masz na myśli? - spytał zdziwiony.

- Zobaczysz! - I lekko skinęła głową z właściwą sobie stanowczością. - W przyszłym tygodniu zaproszę go na kolację.

Nie odpowiadając przyglądał się jej, gdy wstała i zaczęła sprzątać ze stołu, po czym spojrzał przez okno. Była to pora odpływu, a na suchym, twardym piasku bawiło się kilkoro dzieci. Grały w piłkę. Piotruś wymknął się do nich, a w chłodzie wieczoru szybkie jego kroki i cienki, przenikliwy głos zlewały się z tym tłem. Frank przyglądał się obojętnie: jakie to dziwne, że ma już syna. Będąc brzdącem sam grywał w piłkę, a teraz! Zabawne, jak wszystko idzie swoim torem. Anna ma tu przyjechać - niemiła myśl. Nie chce jej mieć w swym domu. Mimo to wieczór jest piękny. Może wyjść skosić trawę. Ale zaraz pomyślał, że tego nie zrobi. Może jutro. Jutro - to wielkie słowo u Franka. Leniwie usiadł na miękkiej sofie przy oknie; znów ukazało się zielone pudełko, zapalił papierosa i nosem wypuszczał dym. Patrząc na rozżarzony koniec papierosa, zauważył:

- Lennox nosi się z tą myślą.

Przestała sprzątać ze stołu, zastanawiając się nad wiadomością, którą знаła już dokładnie. Chodziło o to, że firma - ta sama, co przed ośmiu laty, z tą tylko różnicą, że Lennox był teraz jedynym jej właścicielem - zajmująca się importem produktów irlandzkich, postanowiła rozszerzyć zakres swej działalności i sprowadzić z Holandii nowy artykuł: margarynę. Obrzydliwe słowo! A jeszcze obrzydliwszy sam towar! Mimo to analizowanie wątpliwych wartości tej nowej namiastki masła nie potrafiło zbić Łucji z tropu. Wystarczał jej fakt, że Lennox, idąc z ogólnym postępem, zamierza rozszerzyć swój zakres działania. Odnosiła się do tego życzliwie, żywiąc w związku z tym ambitne zamiary dotyczące Franka. Czas, by on także zaawansował, ona już do tego doprowadzi.

Rzadko zastanawiała się nad obecnym stanowiskiem męża - może dlatego, że nie chciała go bliżej określać; wystarczało że Frank pracuje w firmie "Lennox i Galton", że cieszy się tam zaufaniem, ma poczucie niezbędności swojej pracy, a także wcale przyzwoitą pensję. A jednak, mimo wszelkich lojalnych eufemizmów wynajdywanych przez Łucję, Frank był, mówiąc obiektywnie, jedynie skromnym agentem handlowym. To niesłuszne. Niesprawiedliwe! Pragnęła dla niego czegoś lepszego, ważniejszego. Gorąco pragnęła, by się wybił, nawet ułożyła pewien plan. Mówiła już o tym z Frankiem, lecz wiedziała, że on unika tego tematu pod pozorem dokładnego rozważenia całej sprawy. "Oczywiście, że o tym pomyślę. Zostaw mi tylko trochę czasu" - odpowiadał jej stale albo też udając wielką szczerą przyrzekał: "Pomówię jutro z Lennoxem". Nie pomyślał jednak, a była też pewna, że nigdy nie napomknął o tym Lennoxowi, choć często zapewniał, że "ma starego w

kieszoni". Było to podobne do Franka: ileż razy irytowała się z powodu jego braku stanowczości. Teraz jednak, patrząc na niego w zamyśleniu, rzekła:

- Franku, może to właśnie pozwoli nam się wybić. Chociaż zbytnio nie zaprzętałam tym sobie głowy - rzekła, lekką ironią pokrywając swój zapał. - Nic nie może równać się z masłem. Nie używałabym też tego w swoim domu.

- A jednak to mądry pomysł... i takie tanie. - Nie mógł przedstawić innych argumentów zapewniających powodzenie tego towaru. - A Lennox ma szerokie koła odbiorców. Myślę, że mógłbym to sprzedawać. - Ziewnął. - Chciałbym umrzeć jako człowiek bogaty, jeśli mnie najpierw nie powieszą. Dałoby się pogodzić jedno z drugim. Ostatnia przemowa milionera z ławy oskarżonych: "Serdecznie umiłowani bracia, jestem niewinny. Nigdy nic nie robiłem poza rozdieraniem swych szat".

Znów zapadło milczenie. Frank patrzył przez okno na wybrzeże, gdzie Netta przekonywała Piotrusia, że czas spać. Był to ostatni akt cowieczornej komedii, chłopczyk goniony przez służącą pędził ku furtce.

Usłyszawszy odgłos kroków na ścieżce wysypanej żwirem, Łucja wyszła z pokoju niosąc pełną tacę. Frank siedział bez ruchu; powiedział synkowi dobranoc, następnie czekał. Łatwo przychodziło mu czekanie, a było to typowe dla jego charakteru. Stale zdawał się czegoś oczekiwać - trochę nerwowo, trochę melancholijnie, jak gdyby przeczuwał nieszczęście mające go kiedyś dosięgnąć. Właśnie z powodu tej skłonności, Łucja nieraz wątpiaco potrzasała głową, w swej bezgranicznej energii absolutnie nie mogąc zrozumieć takiej wyczekującej postawy. Często pragnęła widzieć go bardziej ożywionym, mniej obojętnym wobec drobnych spraw życiowych. Zarówno lenistwo i posępne usposobienie Franka, jak sceptycyzm i słabość nie podlegały żadnej dyskusji - był prawdziwym dziwakiem, nie pozbawionym jednak pewnych zdolności. Potrafił na przykład obrać jabłko w ten sposób, że łupina stanowiła jeden pasek cienki jak opłatek; umiał doskonale strugać piszczałki z wierzbiny, umiał na wybrzeżu Ardmore zbierać muszle i piec je tak znakomicie, że mogłyby skusić nawet anachoretę. W używaniu wykałaczkii - trzymał ją w zamyśleniu przy ustach - był niezrównany. Chwilami opanowywał go dziwny nastrój wesołości. Gdy ktoś zrobił uwagę - a zdarzało się to często - o jego istotnie nadzwyczajnych zębach, opowiadał poważnie: "To dzięki temu, że w młodości czyściłem je burakami". Albo idąc w towarzystwie żony ubranej w najlepszy odświętny strój, przystawał w odległości rzutu kamieniem od własnego domu i z

całą powagą prosił starego Bowie, by mu wskazał drogę: "Przepraszam, panie Bowie, czy może mi pan powiedzieć, gdzie mieszka pan Moore?" A kiedy osłupiały siedemdziesięcioletni starzec, skłonny do apopleksji, podagrycznym palcem wskazywał mu jego dom, Frank przyjmował informację z taką samą pedantyczną powagą: "Dziękuję, panie Bowie. Czy przyjmie to pan ode mnie?" I wyciągnąwszy z kieszeni pudełko zapalek obdarzał zgrzybiałego starca jedną zapalką. A potem z zadartą głową szedł dalej gwizdząc wesoło. Łucja była wściekła. A jednak taki był Frank!

Lecz rzadko bywał taki wesoły, kiedy indziej miał straszne ataki melancholii. Wtedy siedział skulony przy ogniu, bez ruchu, z wysuniętą dolną wargą, pogrążony w smutku, ciemnymi oczami zapatrzony w skaczące płomienie.

Poza tym nie umiał zawierać przyjaźni, a licznych przyjaciół wyszukiwał sobie w najmniej oczekiwanych miejscach. Do przyjaciół swych zaliczał łowcę królików w Gielston Woods, kamieniarza, tłukącego stos kamieni w pobliżu Point, wspomnianego już Bowie, którego nazywał starym marynarzem, grożąc mu często, że nauczy go robić pończochy. Nie miał pojęcia o robieniu pończoch - ale w tym powiedzeniu przejawiała się również osobowość F.J. Moore'a, próżniaka, marzyciela, twórcy wierzbowych fujarek, nad którym zdawało się ciążyć stale owo nieokreślone, melancholijne przecucie nieszczęścia, tak że często mawiał: "Źle skończę. Jeśli nie zrobią mnie lordem, to mnie powieszają. Z całą pewnością".

W tej chwili jednak, kiedy tak siedział odpoczywając, wróciła Łucja. Wzięła swoją robótkę - haftowała kwiaty i arabeski na czarnej jedwabnej poduszce - i usiadła obok niego na sofie.

- I co? - spytała pogodnie - co tam w gazecie? Mógłbyś przynajmniej opowiedzieć swej biednej żonie coś nowego.

Niezbyt chętnie sięgnął po gazetę wieczorną i przebiegł oczami kronikę; gazeta szeleściła, gdy odwracał kartkę po kartce, szukając czegoś bardziej zajmującego. Tu i ówdzie odczytał jakąś wiadomość, robiąc uwagi, przepojone niezmiennie sceptycyzmem. "Możesz wierzyć, jeśli chcesz" - wyrażała jego mina, albo: "Wiesz przecież, co wypisują w gazetach"; chętnie natomiast słuchał jej zdania, a nawet zachęcał ją do wypowiedzenia opinii. Poza tym przeczytał na jej prośbę felieton o ostatniej modzie kobiecej - Łucja bowiem interesowała się

strojami, może nawet zanadto, jak nieraz twierdził. Słuchała uważnie, przerywając nawet haftowanie, raz czy dwa razy potakująco skinęła głową na znak uznania.

Gdy wyczerpały się ciekawsze informacje, wypuścił gazetę z bezwładnej ręki.

- Weź jakąś książkę - poddała myśl, odgryzając koniec jedwabnej nitki i nawlekając igłę.

Nie czuł jednak specjalnego pociągu do książek, od czasu do czasu przeglądał tylko jakiś tygodnik. Czytywał "Photo-bits", nie dlatego, żeby go interesowało, ale dlatego, że mógł tam znaleźć dobry dowcip dla swoich klientów! Ale Łucja stanowczo położyła kres tej lekturze, gdyż pewnego dnia Piotruś przybiegł do niej z tym pismem pytając o "panie z wypchanymi łydkami".

Frank, wsunąwszy ręce pod głowę, oparł się na miękkiej poduszce z włosia.

- Łatwiej nic nie robić - odrzekł. - Z całym spokojem oddam się na chwilę temu zajęciu.

Siedział i przyglądał się jej. Zmierzch stopniowo ogarniał pokój, a wraz z nim na twarzy Franka pojawił się z wolna wyraz czułości. Wreszcie Łucja wydała cichy okrzyk.

- Nic już nie widzę - powiedziała uśmiechając się do męża, a uśmiech jej był czarujący w tym na pół ciemnym pokoju. - Zapal lampę.

- Na co nam lampa? - spytał znacząco.

- Abym mogła haftować, oczywiście.

- Ach, dosyć już dzisiaj szyłaś.

Wysunął rękę, by ją powstrzymać, objął ją i przyciągnął do siebie. Bogato haftowana poduszka niepostrzeżenie osunęła się z jej kolan; Łucja bierna i zadowolona przytuliła się do niego. Tak, była zadowolona. Nie zapierała się swego szczęścia i miała też niejaki nadzieje co do ich przyszłości. I tak bardzo kochała Franka. Przez parę chwil leżeli tak, gdy ostatni słaby blask zmierzchu cicho wymykał się z pokoju. Następnie poczuła, że ręka jego wsuwa się z wolna pod jej gorsecik, porusza się miękko, pieszczotliwie. Był to znak - ich znak

porozumiewawczy. Zaczęła szybko oddychać, przytuliła się do niego, niewidoczny w mroku uśmiech rozjaśnił jej twarz; знаła przecież usposobienie męża! Frank zwykle niespodziewanie i gwałtownie zbliżał się do niej. Muskając mu twarz oddechem szepnęła wyzywająco:

- Będziesz musiał zachowywać się inaczej, gdy przyjedzie Anna!

Zdawało się, że Frank chce coś odpowiedzieć, ale nie zrobił tego. A potem nie mógł już mówić, gdyż Łucja przycisnęła nagle swe ciepłe usta do jego policzka.

- Kocham cię, Franku - szepnęła. Wiesz, że cię kocham.

W następnym czwartek o pół do szóstej przed dom ich zajechał z fasonem wózek z Levenford. Przyjechał nim Joe, jego siostra Polly i Anna z bagażem. Ten wspaniały wjazd był konieczny i usprawiedliwiony, gdyż na koźle siedział gruby Joe. Wydostawszy się z wózka pocieszył zmęczoną szkapę pełnym uznania cmoknięciem i życzliwym klapssem w dymiący bok. Jego stosunek do konia świadczył o wielkim doświadczeniu zawodowym. Joe posiadał istotnie zawodowe doświadczenie we wszystkim; nie było rzeczy, na której nie znałby się wielki Joe! Cudowna wszechwiedza u człowieka, który nic nie czytał, podpisywał się z wielkim trudem, a angielszczyznę królowej zniekształcał z dobrodusznym lekceważeniem. Używając jego własnego wyrażenia, wszystko przychodziło mu z łatwością; nic dziwnego - był przecież, jak sam to określał, "równym facetem". Był szynkarzem, to prawda; sprzedawał trunki, a po cichu grywał nawet w totalizatora. Ale cóż z tego? Wiedziano, że w sposób bardzo przyzwoity broni swych gości przed wstrętnym nałogiem przezornie rozcieńczając napoje uczciwą szkocką wodą. Jego stosunek do koni nie był pozbawiony pewnej szlachetności, w tej chwili zwłaszcza stało się jasne, jak bardzo Joe lubił te szybko nogie zwierzęta. Teraz jednak, wsunawszy wielki palec za kamizelkę, odrzucił głowę w tył i wesoło krzyknął do siedzących na wozie:

- Hej tam! Schodzić z wozu! Kufer zostawcie. Frank wniesie go do domu. Święta Brygido! Jak mi się chce pić po tym kurzu.

Następnie z niegroźną chępliwością ruszył ścieżką ku domowi. Jego zachowanie zdawało się mówić: "Niech wszyscy ci, co odmawiają Irlandczykowi prawa wtargnięcia i zdobycia Szkocji, spojrzą na postać Joego Moore i niech ich lichy porwie". Był rostry - nie tyle wysoki, ile tęgi, i miał szacowny, duży brzuch szynkarza. Cechowała go serdeczność w sposobie bycia, charakterystyczna dla ludzi grubych. Dobroduszość świeciła w jego małych oczach osadzonych głęboko niby rodzynki w tłuszczu gładkiej bladej twarzy. Z szerokich nozdrzy wyzierały małe kępki włosów. Podnosząc sino nakrapianą górną wargę ukazywał mocne i regularne zęby koloru kości słoniowej. Na krągłej, ostro ostrzyżonej głowie siedział sztywny filcowy kapelusz, krótki brązowy płaszcz falisto opadał z ramion, a buty dostosowane do granatowego ubrania miały piękny odcień ochry. Wszystko razem składało

się na wspaniałą postać mężczyzny, oczywiście już niemłodego - pięćdziesiątkę miał na pewno - ale obdarzonego wiecznie młodym duchem. Przejawiało się to w naiwnej serdeczności Joego; zdarzały się jednak historycznie stwierdzone fakty, które wykazywały istotne cechy jego charakteru. Na przykład to zdarzenie, kiedy pijanemu ślusarzowi zaklinającemu się na wszystko, że musi skosztować szampana, z całym spokojem sprzedał flaszkę piwa; albo innym razem, kiedy kupił papugę, co do której zapewniano go, że śpiewa, bezzwłocznie kazał ją uśmiercić i wypchać, przekonawszy się, że nie umie śpiewać; albo wówczas gdy zaproszony na bankiet duchowieństwa, głodził się przez dwa długie dni - zdumiewające samozaparcie - by tym większą sprawiedliwość oddać obfitej uczcie.

Taki był Joe, niezrównany Joe, zmierzający teraz ścieżką ku domowi. Za nim szła jego o dwa lata młodsza siostra, Polly, kolebiąc się trochę na boki, co usprawiedliwiała jej tusza i niezliczona ilość spódnic. Nie była tak wysoka jak Joe, ale bardziej tęga, tak tęga, że wydawała się znacznie niższa i robiła wrażenie ociężałej. Z krągłym podbródkiem, zwisającym pod czerwoną pełną twarzą, ciężkimi piersiami, wydatnym brzuchem i tłustymi łydkami wystającymi z butów, wyglądała tak, jak gdyby siła ciężkości, ukryta w jej zwałach tłuszczu, stale przyciągała ją ku ziemi. Nawet kosmyki włosów opadały jej trochę na plecy. Ubrana była bogato, a choć strój jej męczył oczy, to w każdym razie "tkwiła w nim moc pieniędzy". Jeśli chodzi o kolory, to miały tę zaletę, że podobały się przynajmniej Polly. Na to wszystko włożyła jeszcze luźną futrzaną zarzutkę, zupełnie nieodpowiednią o tej porze roku - "wiesz, na podróż" - w której ciężko teraz dyszała.

Doszedłszy do progu domu, Polly zaczerpnęła powietrza, podczas gdy Joe hałaśliwymi uderzeniami kołatki oznajmiał ich przybycie. Widok tej pary mógł napełnić serce radością, tak wyglądali uspokajająco, tak pełni byli wspaniałego życiowego zapału. Gdy Netta szeroko otworzyła drzwi, Joe ujął Polly pod ramię i krzyknął szarmancko:

- Pakujże się do domu. Co tak stoisz jak świnia wpatrzona w rzeźnika?

- Czy mam ciebie przeskoczyć? - odrzekła Polly niby jakiś uległy podrzędny komediant podejmując jego dowcip. Widoczne było, że kocha Joego, łącząc podziw dla niego z siostrzanym przywiązaniem. Od pięciu lat prowadziła mu gospodarstwo i w ciągu tych lat z bujnej jej piersi wypłynęła niezliczona ilość pochlebstw i zachwyty dla niego.

Odplacił jej żartobliwym szturchańcem, następnie odwrócił się wesoło i krzyknął:

- Anno! Chodźże, dziewczyno! Przylepiłaś się, czy co? - I dalej tak jowialnie żartując wszedł do hallu, poklepał Łucję po ramieniu - zawsze robił wiele szumu przy rzadkich okazjach widywania jej - z Piotrusiem - chwilę boksował się żartobliwie i głośno zaczął wołać na brata. - Frank! Pokaż nam się w końcu, chłopcze!

Wspaniały chłop, ten wielki Joe Moore, albo jak sam mawiał: "równy facet"!

- Frank przyjdzie za chwilę - szybko powiedziała Łucja. Z trudem zdołała go skłonić by poszedł na piętro, ogolił się i przebrał: sama dopiero co zmieniła podomkę na suknię i była trochę zgrzana po zajęciach w kuchni. - Bardzo się cieszę, że was widzę - rzekła szczerze. - Ale... gdzie Anna?

- Anno! - ponownie zawołał Joe i zdjawszy kapelusz, umieścił go z powrotem na czubku głowy.

Anna szła ku nim, jakkolwiek z pewnością nie na jego rozkaz, z miną obojętną, spokojną i zrównoważoną. Miała niecałe trzydzieści lat, była smagła i rosła, dobrze zbudowana, dyskretna w ubiorze, z twarzą bladą, powściągliwą i wielkimi ciemnymi oczami prawie bez wyrazu. Wysunięta warga była niezwykle pełna, wyraz twarzy na pół uśmiechnięty, na pół wzgardliwy, dziwnie dwuznaczny, równocześnie zaczepny i odpychający.

- Więc jesteś, Anno - powiedziała Łucja uśmiechając się i podając jej rękę. - Cieszę się, bardzo się cieszę, że przyjechałaś.

- Dziękuję! - rzekła Anna uprzejmie. Głos miała spokojny, zdumiewająco czysty. W ogóle wygląd Anny, zważywszy jej pochodzenie i warunki, w jakich żyła, sprawił Łucji nagłą, nieoczekiwaną przyjemność. Polubię ją - pomyślała impulsywnie - cieszę się, że ją zaprosiłam.

- A ja się nie martwię, że się jej pozbędę - wtrąciła Polly, żartobliwie potrząsając strusimi piórami o purpurowym odcieniu, zdobiącymi jej kapelusz. - Daję słowo, wcale się nie martwię: przez ostatnie dwa tygodnie odciągała od pracy Joego. A jest przecież przyzwoitym człowiekiem i musi utrzymywać siostrę umierającą z głodu.

Piotruś, wystrojony w szkocką spódniczkę jak zwykle podczas przyjęć, zaśmiał się żywo i poczerwieniał gwałtownie. Zawsze mu bowiem wpajano zasadę, że w czasie wizyt wolno mu się pokazywać, ale nie powinien ani pisnąć.

- Dobra! Dobra! - krzyknął Joe uderzając się po udach. - Wsiadamy na statek do Mullingar. - Ujął chłopca za rękę i przeszli do jadalni, gdzie elegancko nakryto do uroczystego podwieczorku. Widok imponujący. Na stole było wszystko, co Łucja posiadała najlepszego: najpiękniejsza bielizna stołowa, najbardziej błyszczące nakrycia, srebrny koszyczek do ciasta, spuścizna po matce - Ryszard miał na niego ochotę, ale go nie dostał! - nawet ręcznie malowana chińska porcelana, podarek ślubny, cudownym trafem zachowany w całości przez te wszystkie lata. A potrawy były wyborowe: zimne mięso, pączki, ciasta, ponętnie wyglądająca szynka, a drugie nakrycie na szydełkowej serwecie zapowiadało jeszcze jakąś ciepłą potrawę. Przygotowania do tej ucztu oczywiście kosztowały Łucję dużo trudu. Poza tym nie ulegało wątpliwości, że ton tych rodzinnych zebrań nieraz raził jej dobre maniery. Jednak w swój stanowczy sposób szybko przezwyciężyła niechęć. Była to rodzina Franka, odnosiła się więc do niej z życzliwością kierując się poczuciem obowiązku.

Joe tymczasem wymownym spojrzeniem objął zastawiony stół.

- Do kaduka! Dałbym radę potężnej porcji - rzekł pogodnie, zdejmując kamizelkę i ze współczującym zrozumieniem klepiąc się po brzuchu. - Wcześniej wyjechaliśmy z domu - ja, Polly i Anna.

Polly, która z przyjemnością lecz dokładnie oglądała fotografie i dotykała stojących na półce drobiazgów i porcelany, rzekła patrząc przed siebie:

- Wytrząsałeś ze mnie głód tą szaloną jazdą. I jest mi niedobrze. Duszności sercowe - tłumaczyła Łucji z miną, jak gdyby posiadała monopol na to cierpienie, a przynajmniej prawo do rozmaitych dolegliwości. - Czuję ciężar twardy jak kamień! A potem: fffiu! ustępuje raptownie. To mnie zabije któregoś dnia.

- Co się dzieje z moim bratem? - zawołał Joe węsząc niecierpliwie. - Gdzie on jest? Traktuje mnie, widzę, jak psa!

W tej chwili wszedł Frank - świadom swej winy - z tym niespokojnym wyrazem twarzy, który miał zawsze w momencie, kiedy usiłował być naturalny i swobodny.

- Jakże się miewasz, chłopcze? - od razu zagrzemiał Joe.

Frank skinął głową bez zapału, następnie przystanął przed Anną zakłopotany i niepewny. W swym najlepszym ubraniu wyglądał dziwnie niezręcznie.

- Więc przyjechałaś, Anno - powiedział.

- To chyba całkiem naturalne - odrzekła ze swym zagadkowym uśmiechem. - Ktoś gotów pomyśleć, że mnie nie poznajesz.

- Byłbym cię jednak poznał - odpowiedział zdławionym głosem. - Wcale się nie zmieniłaś od czasu mojego pobytu u was.

- To dobrze - rzekła obojętnie. Czuło się w niej spokój, charakterystyczną jej cechą była zdolność milczenia.

- Może pan Lennox przyjdzie tu później - wtrąciła Łucja w czasie krótkiej przerwy w rozmowie. Ale nie będziemy czekać. Powiedział, że przyjdzie po herbacie.

Zasiedli do stołu w najlepszej zgodzie. Netta weszła energicznie z czajnikiem wrzącej herbaty. Łucja, lekko zarumieniona, uprzejmie obsługiwała gościom.

- Mam nadzieję, że będzie ci u nas przyjemnie - zauważyła, serdecznie przysuwając się do Anny. - Piotruś obmyślił dla ciebie piknik. I zaproszono nas na któryś dzień do Edwarda, do Port Doran. Ale może zostaniesz tam dłużej?

- Nie - rzekła Anna w zamyśleniu - nie mam zamiaru tam zostać.

- Nigdy nie przepadałaś za Nedom, prawda? - wysapała Polly jedząc grzanekę.

- Ned - odrzekła Anna, spokojnie zastanawiając się nad Jego Wielbnością Edwardem Moore - jest równie miłym kapłanem jak każdy inny.

- Anno, daj spokój, daj spokój - krzyknął Joe żując wesoło, dopatrzawszy się może w jej słowach odcienia ironii. - Szanuj duchowne szaty! I rodzinę.

- A ta sympatyczna gospodyni, którą miał wtedy - ta panna O'Regan - mówiła dalej, nie zważając na niego. - Czuwała nad nim jak Anioł Stróż. Dobra kobieta!

W jej powiedzeniu nie było nic wywołującego śmiech. Mimo to Joe zaśmiał się szyderczo, Polly zachichotała, nawet Frank uśmiechnął się.

Łucja nie zrozumiała. Zarumieniła się mocniej i spojrzała na Annę, pochwyciwszy w pewnym momencie jakąś nową cechę jej charakteru. Ale moment ten minął. Anna łagodnym spojrzeniem odpowiedziała na spojrzenie Łucji i rzekła:

- Ja również nie widzę w tym nic śmiesznego.

- Matko Bosko! - wtrącił Joe irlandzkim akcentem, jakim mówił w chwilach wzruszenia. - Te jaja są tak smaczne jak indycze. Łucjo, chciałbym dostać jeszcze parę, a także zimnego mięsa.

Polly nachyliła się i usłużnie podsunęła talerz bratu.

- Cieszę się, Joe, że masz taki apetyt - rzekła. Zwróciła się do Łucji z uśmiechem, bacząc, by nie wysunęły się jej sztuczne zęby - piękna szczeka, którą Joe kupił jej niedawno - i dodała:

- Mężczyznom należy dawać jeść, oto moje motto. Każdy z nich ma serce w żołądku. A nie ma nic pożywniejszego niż na pół surowe mięso. To najlepszy sposób przywiązania mężczyzny do żony. Wpływa na ożywienie uczuć. - Umilkła na chwilę i ze skupieniem skrzyżowała ręce na brzuchu. - Tak jest, klnę się na Boga. - Polly istotnie głęboko wierzyła w Boga. Jak na kobietę chorowitą i słabą, przekonania miała bardzo silne, opierając swą wiarę na Opatrzności.

- A jakże tam z tą dostawą masła, chłopcze? - zagadnął Joe zlizując ze swego noża.

- Och, dobrze - krótko odparł Frank - ale twoje pytanie nie wpłynie na poprawę.

Joe uprzejmie przytaknął głową o krótko ostrzyżonych włosach.

- Czy wiecie - znów spytała Polly, której myśli skierowały się jak zwykle ku sprawom patologicznym. - Czy wiecie, co teraz robią z masłem? Opowiadano mi niedawno o pewnej kobiecie, która próbowała się leczyć w jednym z tych modnych ostatnio sanatoriów, gdzie karmiono ją samym masłem. Musiała je tam zjadać funtami. Karmiono ją dopóty, aż cała zamieniła się w tłuszcz. Ostatecznie miała tego dość i pewnego dnia wyrzuciła całą porcję

przez okno i klnę się na Boga, trafiła w głowę ordynatora. Umarła w kilka miesięcy później, świeć Panie nad jej duszą. Myślę, że uśmiercił ją przez zemstę. Zaczynam przypuszczać, że moje płuca też są zajęte.

- Ach! pocałuj mnie w nos! - łaskawie uzupełnił Joe. - I palec u nogi króla Ćwieczka też możesz pocałować. Twój rozum jest zajęty, nie płuca. - Z brzękiem odłożył nóż i widelec i dobrodusznie pokręcił okrągłą głową.

- Jedzenie było znakomite, Frank, czy słyszysz? Masz nadzwyczajną żonę!

- Dziękuję za informację - brzmiała sztywna odpowiedź. - Nie prosiłem o nią.

Ale Joe wcale się nie obraził.

- Już dobrze, chłopcze, dobrze. Jako biedny stary wdowiec zazdroścuję ci, gdyż nie troszczę się zbytnio o dziesięcioro przykazań. Moja biedna Katie, pokój jej duszy, nie przyrządziłaby nigdy takiego jedzenia, chociażby to miało uratować ją od mąk czyścica.

Łucja poruszyła się niespokojnie. Te zebrania rodzinne, których poufały ton tolerowała, przybierały zwykle formę dość swobodną, w momencie gdy została przełamana powściągliwość Franka. Tym razem jednak nie zanosilo się na to. Łucja czuła jego skrepowanie, pomimo że starała się je rozproszyc. Nie była przyzwyczajona do daremnych wysiłków. Lekko marszcząc brwi w charakterystyczny dla siebie energiczny i trochę władczy sposób, zwróciła się do niego przechylona nad wazą złotych chryzantem:

- No, Franku, rusz się. Wcale się nie troszczysz o swoją kuzynkę. Podaj jej chleb.

- Zachowuje się całkiem dobrze - z uśmiechem rzekła Anna. - Tylko że nie zdołał jeszcze przezwyciężyć wstrząsu wywołanego spotkaniem ze mną!

- Daj spokój, co za wstrząs - powiedziała Łucja, z wyrzutem patrząc na Franka, który z posepną miną podawał Annie talerz z chlebem. Po czym z rozmyślną serdecznością, mającą złagodzić nieuprzejmość Franka, spytała:

- Cieszyłaś się mogąc wrócić do Levenford?

- I tak, i nie - obojętnie odparła Anna.

- To dlatego - krótko wtrąciła Polly - że ona nie cierpi tego miasta.

- Rozumiem - odpowiedziała Łucja uśmiechając się do Anny. - Zostawiła swe serce w Irlandii.

Nastąpiła wyraźna pauza w ogólnym zuciu, krótka niepokojąca przerwa, w ciągu której Joe, Polly, a nawet Frank rzucili szybkie spojrzenie na Annę.

- Może tak - krótko rzekła Anna. - A może nie!

Zapadło milczenie. Łucja zmieszała się, było to przykre uczucie. Miała właśnie coś powiedzieć, gdy Frank, tak rzadko robiący jakąś uwagę, nagle odsunął krzesło i oświadczył:

- Skończyliśmy. Przejdziemy do salonu.

Wszyscy wstali z miejsc. Polly ocierała serwetką spoconą czerwoną twarz.

- Zawsze się pocę przy jedzeniu - zauważyła dość głośnym szeptem. - Muszę jeść powoli, inaczej odbija mi się. - I w tej chwili odbiło się jej. Czknęła z wdziękiem, nie troszcząc się o strofującą minę Łucji i wlepiony w siebie wzrok Anny.

Przeszli do salonu. Joe rozpiął kamizelkę, wydobyl cygaro i zapalił je hałaśliwie, troskliwie chroniąc swój czerwony krawat. Polly, wachlując się leniwie, znalazła wygodny kącik przy oknie, Anna usiadła na sofie. Frank zajął swe ulubione miejsce. Wsparty o gzyms kominka, zapatrzony w dal, melancholijnie dłubał w zębach wykałaczką.

Łucja przystanęła w drzwiach, ramieniem obejmując Piotrusia.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała - ale muszę chłopca ułożyć do snu.

- Nie, mamó - prosił wysuwając się z jej objęć - jeszcze za wcześnie!

- Pozwól mu zostać jeszcze chwileczkę - podsunęła Anna.

- Żałuję - niechętnie odrzekła Łucja - ale muszę trzymać się przyjętej reguły. Siódma godzina!

Chłopiec wydał usta.

- Niech będzie - mruknął - ale stryj Joe przyrzekł mi dać pensa, a nie dał.

- Boże, zlituj się nade mną! - wykrzyknął Joe. - Zapomniałem. - Dumnym gestem odłożył cygaro i po długich poszukiwaniach wydobyl ciepły, miedziany pieniążek.

- Podziękuj - rzekła Łucja dość ostro. Postępek synka odczuła jako rodzaj lichwy; żądać pieniędzy od gościa! Odwróciła się szorstko, trochę zmieszana, lekko marszcząc czoło. Była wytracona z równowagi, nie wiedząc z jakiego powodu. Przystanęła na podeście i rzekła:

- Nie powinienes był tego robić, synku!

- Wybacz, mamó - powiedział odsłaniając zęby w uśmiechu. Mimo to pieczołowicie wsunął pensa do swego dzbanka.

Na piętrze przyszło jej na myśl, że trzeba było poprosić Annę, żeby jej pomogła wykapać chłopca. Tak, byłoby to ładnie z jej strony: przy wannie mogłyby porozmawiać swobodnie. Widocznie nieśmiałość sprawiła, że Anna nie zaproponowała tego sama. Łucja postanowiła, że musi przezwyciężyć chłodną powściągliwość tamtej. Anna powinna czuć się jak u siebie w domu.

Rozmyślając nad tym, Łucja kończyła już swoją robotę, gdy miarowe kołatanie do drzwi wejściowych zapowiedziało przyjście Lennox. Instynktownie ruchy jej stały się szybsze. Mimo że biuro Lennox było w Glasgow, on sam mieszkał również w Ardfillan, nieco dalej na wzgórzu. To, że od czasu do czasu "wpadał do nich" - jak sam w suchy sposób określił te wizyty - świadczyło o specjalnych względach z jego strony. Tak, mimo jego oschłości, Łucja lubiła Lennox i miała powody do podtrzymywania tej znajomości. Nienatarchywy, sprytny, wyrozumiały, znany był jako człowiek o szerokich horyzontach - inaczej jakżeby mógł przed tylu laty zawrzeć tę spółkę z Galtonem. Szkot i Irlandczyk wspólnie prowadzący interes! Jeszcze gorzej niż poganin i Żyd! A jednak to zrobił: Galton miał stosunki, a on kapitał. A teraz po śmierci Galtona rozważa dalsze plany, o czym Łucja dobrze wiedziała. Zamierza rozszerzyć interes, importując z Holandii ów nowy produkt roślinny. Łucja postanowiła skorzystać z okazji. Nie myślała o wykonaniu swego strategicznego planu dziś wieczorem, chciała jednak poczynić pewne przygotowania.

Wiedząc, że dotąd okazywała wobec Lennox'a wielką uprzejmość - w myśli widziała już na swej twarzy jasny uśmiech. Otuliwszy Piotrusia pocałowała go na dobranoc i pośpieszyła do gości.

Gdy weszła, Joe oczywiście był już w transie. Z wyciągniętą ręką deklamował w wielkim uniesieniu:

- Niech nas nazywają skapcianałymi Irlandczykami! Niewiele jesteście warci, powtarzają nam bez przerwy. Czyż im zaprzeczam? Ani jednym słowem! Niech się tylko mają na baczności. Dźwigamy się mimo ich gadaniny. Spytajcie kogokolwiek w Levenford o Wielkiego Joego Moore'a! Znają mnie tam, i jak mnie znają! Nie miałem takich możliwości jak inni członkowie mojej rodziny, a mimo to potrafiłem się wybić, i przy okazji zebrać też trochę forsy. Jako mały chłopiec sprzedawałem gazety, a dziś jestem prezesem Zielonego Klubu piłkarzy i przewodniczącym miejscowego stowarzyszenia Irlandczyków. Być może, że to nic nadzwyczajnego, ale wystarczy do zrobienia dalszej kariery.

- Pozostawcie to Joemu - przytaknęła Polly ze zmrużonymi na pół oczami.

Lennox przyglądał się stojącemu przed nim kieliszkowi whisky. Był powolnym i zrównoważonym pięćdziesięcioletnim mężczyzną, średniego wzrostu, z siwą brodą. Nosił popielate ubranie z szorstkiego tweedu w dobrym gatunku, lecz źle skrojone. Oczy jego patrzyły bystro spod ciężkich powiek, usta miał małe, pełne, rękę trzymał w kieszeniach spodni, a zwyczajna robiona na drutach kamizelka wyglądała bardzo wojowniczo dzięki okazałej baterii ostro zatemperowanych ołówków. Było to znamienne dla Lennox'a, że nosił ołówki poza godzinami biurowymi. Milczący z zamiłowania, ostrożny z natury, rozwijał w sobie przebiegłość, jak ktoś inny rozwijałby dowcip, i zdawał się żyć jedynie dla swego małego interesu. Daleko idąca przezorność charakteryzowała jego poglądy: chwilami na jego twarzy malował się wyraz głębokiego zamyślenia. Lennox nie był błyskotliwy ani sztuczny, miał jednak sporą dozę wrodzonego sprytu, był powolny, wytrwały, przebiegły i skryty.

- O tak, rzekł swym oschłym głosem - jest pan człowiekiem niezwykłym. Nie ulega wątpliwości. - Z jego tonu niepodobna było wywnioskować, czy miał to być komplement czy nie.

- Tak! Spisałem się nieźle - energicznie przyświadczył Joe. - W szynku "Koniczyna" możesz pan pokosztować takiego trunku, jakiego nie znajdziesz wzdłuż całej rzeki Clyde. A

choć zrobiłem taką karierę, nie zapominam o biednych. Dalibóg, nie zapominam. Na Boże Narodzenie umiem sięgnąć do kieszeni dla Bractwa św. Wincentego a Paulo. Nie zapominam też o duchowieństwie. Ile razy mały ojciec Cassidy potrząśnie puszką, zawsze dostanie suwerena na szczęście; nie, żeby tego potrzebował, wcale nie; zmuszam go do przyjęcia datku. Po prostu śmieszna dobroć z mojej strony.

- Trąb głośniej, Joe - rzekł Frank patrząc w sufit i lekko krzywiąc usta.

- Czemu nie, mój chłopcze? - hałaśliwie zaśmiał się Joe. - Jestem przekonany, że wygrywam piękną melodię.

- Joe Moore jest człowiekiem dobrodusznym - rzekła Polly, bez zażenowania rozluźniając gorset.

Nastąpiła chwila milczenia, po czym Lennox rzucił Łucji z ukosa porozumiewawcze spojrzenie.

- A jak się miewa szkocki żywiol? - zagadnął; tak nazywał ją niekiedy, zaznaczając tym istniejące między nimi przymierze.

- Dziękuję, jak zwykle - rzekła z uśmiechem. - Piotruś był lekko przeziębiony. Nic niebezpiecznego.

- Plaster słoniny - sennym głosem wtrąciła Polly. - Położyć na piersi, to osłania płuca. - Nikt nie zwrócił uwagi na to, co mówiła, więc znów popadła w letargiczne odrętwienie.

- A co z tym nowym pomysłem, panie Lennox - spytała Łucja, szybko korzystając ze sposobności. - Będzie coś z tego?

- Myślę o tym całkiem poważnie. Wczoraj byłem w Leith i zawarłem umowę w porcie.

- Zdaje się, że będzie to interes zbyt wielki, by sobie pan sam dał radę - rzekła Łucja pochylając się ku niemu podniecona.

Lennox gładził swą spiczastą brodę - w tej chwili najbardziej rzucający się w oczy szczegół jego skupionej twarzy.

- Możliwe - odrzekł ostrożnie. - Tak, bardzo możliwe.

Miała już na języku pytanie, ale zanim zdążyła przemówić, wmieszał się Joe:

- Anno, a co ty zamierzasz począć ze swoimi groszami? Twój stary musiał ci chyba zostawić coś niecoś.

Spojrzała na niego pogodnie zamyślona.

- Widzisz, Joe - rzekła łagodnie - sam przecież zauważyłeś, że zawsze jeszcze istnieje filantropia. A także duchowieństwo. W ostatecznym wypadku mogłabym założyć szpital - no wiesz, dla Polly. - Wstała nagle i spojrzała na Łucję.

- Łucjo, jestem zmęczona. Nie masz nic przeciwko temu, bym poszła na górę? Ale ty sobie nie przeszkadzaj.

- Co znowu, odprowadzę cię - serdecznie powiedziała Łucja wstając z krzesła. Ogromnie ją ucieszyło, że Anna nazwała ją po imieniu. - Wszystko tam masz przygotowane.

Razem wyszły z salonu.

- Ach, Boże! - rzekła Polly siadając w dramatyczny sposób, cała dygocąc ze wzburzenia. - Czy słyszałeś, co powiedziała o szpitalu?

Joe przesunął dłonią po karku, fałd tłuszczu wystawał mu poza kołnierz.

- Ach, teraz jest znośniejsza niż dawniej - rzekł pojednawczo. - W ciągu ostatnich dwóch tygodni żyliśmy całkiem zgodnie.

- Nazbyt zgodnie! - rzuciła Polly, wciąż jeszcze rozdygotana. - Dziwna z niej postać, Joe Moore, wiesz o tym doskonale.

Nastąpiła pauza, po czym Joe powoli podniósł głowę i utkwiał w bracie spojrzeniem bardziej stanowcze niż zwykle.

- Czy Łucja wie to... o tej damie? - spytał znacząco, ruchem głowy wskazując drzwi, którymi wyszła Anna.

Frank zaczerwienił się w zakłopotaniu i wsunął ręce do kieszeni.

- Nie, nie wie - odrzekł niechętnie. - I nie ma powodu opowiadać jej teraz, po tak długim czasie.

- Zupełnie słusznie, chłopcze. Zupełnie słusznie - łagodnie powiedział Joe. - Nie ma powodu do ponownego odgrzebywania tych spraw. Żadnego powodu, żadnego.

- Muszę powiedzieć... - wtrącił Lennox przezornie, patrząc na swoją fajkę - muszę powiedzieć, że przy ostatecznym regulowaniu interesów okazała się bardzo rozsądna. Tak, muszę jej to przyznać.

- Ach, lampart nie zmienia nigdy swych plam na skórze - z poetycką fantazją oświadczyła Polly. - I z całą pewnością nie skłonicie Anny, by zmieniła swoje.

- Dobrze już, dobrze - rzekł Joe - jesteśmy tylko ludźmi. Nie, do kaduka! Nie kanonizują nikogo przed śmiercią.

Mówił jeszcze, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie i weszła Łucja. Miała wrażenie, że na jej widok tamci zamienili porozumiewawcze spojrzenia, dziwne spojrzenia, które ją drażniły.

- Co się stało? - spytała z uśmiechem, kolejno patrząc na nich. - Wyglądacie wszyscy, jak gdybyście śnili. No, przysuńcie krzesła i usiądźmy.

- Nie, Łucjo - rzekł Joe tonem ubolewania. - Ściemnia się. Musimy wracać.

- Ależ nie! - zaprotestowała energicznie. - Jeszcze bardzo wcześnie. Może trochę muzyki? - Tak, Lennox zwykł ją często prosić o piosenkę. A Polly również nalegała nieraz, że ona - Polly - musi im zaśpiewać; miała w swym repertuarze wzruszającą balladę, zrećźnie jednoczącą uczucia pobożne z patriotyzmem, i zaczynającą się od słów:

Irlandzki dragon-katolik,

w liście do matki się zwierza,

pisząc przy świetle księżyca

o ciężkiej doli żołnierza.

Dziś jednak Joe potrząsnął głową.

- Muszę wrócić, by przeliczyć utarg dzienny - rzekł prostując swą ogromną postać. - Polly, no rusz się.

Lennox wypił resztę whisky i spojrzął na zegarek.

- Ja też pójdę - rzekł. - Dla starszego człowieka czas do łóżka.

Protestowała, zdając sobie sprawę, że goście rozchodzą się zbyt wcześnie, lecz nie mogła jakoś zapobiec temu ogólnemu odejściu.

- W takim razie, panie Lennox, przyjdzie pan do nas na kolację w przyszłym tygodniu? - nalegała. - Na pewno, prawda?

- Zastanowię się - odparł Lennox z właściwym mu oschłym humorem. U niego było to równoznaczne z gorącym przyjęciem zaproszenia: mimo to miała nieokreślone uczucie porażki. Z ociąganiem odprowadziła wszystkich do furtki; ujawszy Franka pod ramię stała, aż Joe wywindował Polly na wóz, zapalił latarnie i szarpnął lejcami dygocącą z zimna szkapę. Gdy rażno wyruszyli w nocny mrok, Lennox pożegnał się mniej dramatycznie. Obiecał, że przyjdzie na kolację w najbliższą niedzielę. Musiało to Łucji wystarczyć. Czując jednak, że wieczór nie wypadł zbyt świetnie, rzekła po chwili:

- Franku, udało się, prawda?

- Mogło być gorzej.

- Ale Anna... - zamyśliła się. - Zdaje mi się, że sporo czasu upłynie, zanim ją poznam. Jest może zbyt powściągliwa, prawda?

- Moja droga, nie ja ją zaprosiłem! - odrzekł z niezwykłym naciskiem.

Nie odpowiedziała, lecz spojrziała na niego spokojnie, trochę zdziwiona, następnie uśmiechnęła się, a on odwzajemnił jej uśmiech.

Stali oboje przy furtce, chłonąc spokojną szarość, która spływała na ziemię wraz z zapadającym mrokiem.

- Przyjemnie, że jesteśmy tu razem - rzekła nagle. Poprzez ciszę dobiegały nikłe dźwięki piszczałki z warsztatu Bowiego, gdzie zebrała się gromadka chłopców; niekiedy zakłócił melodię cichy śmiech, gdy jakaś dziewczyna przeszła wzdłuż wybrzeża, ścigana ich przyjacielsko żartobliwymi spojrzeniami; kilka razy Frank i Łucja usłyszeli spokojne, przyciszone pozdrowienia ludzi statecznych - niewyraźnych postaci, przesuwających się w zmierzchu. A jakby ponad tym wszystkim w ciemności woda w zatoce szumiała lekko.

Kwadratowe plamy żółtego światła rozbłyskiwały wzdłuż drogi, przyspieszając kroki nadchodzącej nocy. Drzwi, otwarte dla wypuszczenia wieczornego chłodu, zamykały się teraz. Nagle, z szerokiej przestrzeni cieśniny, promień latarni morskiej w Linton przedarł się w pole ich widzenia niby płomienny meteor, wiążąc ich na chwilę z rzeczywistością, po czym mrok stał się jeszcze większy, a cisza jeszcze głębsza niż przedtem.

Nie mówili nic: tajemniczy zew chwili skłaniał do powszechnego milczenia. Nie było księżycy ani mrowia gwiazd, dzięki czemu mrok był pełniejszy, milczenie głębsze. Skrzydło nietoperza bezszelestnie przecięło powietrze ciężkie od unoszącego się zapachu zroszonej trawy. Z dalekich pól dolatywała woń siana, chłodna i wilgotna. Łucja zdawała się być przeniknięta słodyczą wieczoru. W porywie czułości przytuliła się do Franka. Pewnie, że od czasu do czasu sprzeczali się trochę. Mimo to - tak, nie wypierała się swej miłości. Przytuliła się do niego. Zaborczo objęła go ramieniem.

- Franku, już późno - rzekła cicho. - Chodź do domu.

Nazajutrz rano, kiedy Łucja z mężem i synem siedziała przy śniadaniu - Annie posłała posiłek do jej pokoju, jako troskliwa gospodyni licząc się z tym, że tamta jest zmęczona, o czym wspomniała wieczorem - nadeszła depesza od Ryszarda.

Depesza była w tym domu wydarzeniem niesłychanie doniosłym. Rozrywając więc nerwowo cienką kopertę adresowaną do niej, Łucja była już przygotowana na jakieś nieszczęście. Nie było to jednak nieszczęście, tylko przykrość, a w westchnieniu Łucji mieściły się równocześnie rozdrażnienie i ulga.

- Taka przykrość! - wykrzyknęła i oczy rozbłyły jej gniewnie. - Też pomysł! - Jej szczupła młodzieńcza postać, gładkie czoło, przecięte zmarszczką, wyrażały dziewczęce niemal nadąsanie.

- Franku, spójrz tylko - powtórzyła - czy to nie przykrość?

Moore odczytał głośno podsuniętą mu depeszę: "Kochana Łucjo przyjedź proszę parę dni Ewa niezdrowa Ryszard". Nastąpiła pauza, w ciągu której patrzył na żonę ze ściągniętymi brwiami. - Podobna bezczelność! - oświadczył. - "Kochana Łucjo" - to już najwspanialsze.

- W najwyższym stopniu irytujące - przyznała rozdrażnionym tonem. - Zwłaszcza że powinnam przecież dotrzymać towarzystwa Annie. Co ona sobie pomyśli...

- Ależ - chyba ci się nie śni pojechać?

Ponownie wzięła do ręki depeszę. Odczytała ją po raz drugi, westchnęła i rzekła w zamyśleniu:

- Parę dni. Może do wtorku. Sądzę, że będę jednak musiała pojechać.

- Dobrze sobie! - wykrzyknął. - Wiesz dobrze, że cię tylko wykorzystują. Tylko w takich wypadkach brat zwraca się do ciebie. Przed paru laty było to samo, pamiętasz? A gdy im już byłaś niepotrzebna, pozbyli się ciebie. A na Boże Narodzenie przysłali ci pocztówkę z życzeniami wesołych świąt, to wszystko, prawda?

Zaczerwieniła się z powodu jego tonu.

- Ale ja mam poczucie obowiązku - odrzekła stanowczo. - Mnie nie obchodzi postępowanie Ryszarda, lecz moje. Ewa jest chora. Poza tym on jest moim bratem.

- Mów sobie, co chcesz - krzyknął szorstko. - Jesteś mi tu potrzebna. Nie powinnaś wyjechać i koniec.

Ona jednak pominęła całkiem spokojnie zarówno jego szorstkość, jak sprzeciw. Była człowiekiem obowiązkowym. Jej brat, Ryszard, zwraca się do niej w potrzebie. Mimo że spełnienie tego obowiązku było jej, oczywiście, niewygodne, postanowiła go spełnić.

- Pod pewnym względem to nawet dobrze, że Anna jest u nas - rozważała. - Będzie się mogła tobą zaopiekować.

- Zaopiekować się mną! Mnie nie potrzeba opieki. - W głosie jego brzmiał gorący protest. Ale to, jak zawsze, podnieciło ją tylko i utwierdziło w powziętym postanowieniu.

- Pociąg o dziesiątej jest całkiem dobry - powiedziała spokojnie, rozstrzygająco, co miało znaczyć: "Postanowiłam, Franku. A wiesz przecie, że jeśli coś postanowię..."

Nie padło już ani jedno słowo, ale Frank wstał zaraz i włożywszy gwałtownie ręce do kieszeni, oświadczył:

- Zawsze musisz postawić na swoim. Zawsze na swoim. Tylko na swoim. Któregoś dnia znajdziesz się przez to w ciężkich opałach.

- Franku, przecież jadę tak niechętnie - starała się go przekonać. - I zostanę zaledwie do wtorku.

Patrzył na nią przez chwilę i jego zasepiona twarz rozjaśniała się powoli. Wreszcie potrząsnął głową:

- Szczęście, że cię kocham, inaczej nigdy nie pozwoliłbym ci tak mocno pochwycić cugli.

- Już dobrze - odrzekła wygładzając mu kołnierz. Ucałowała go czule, następnie podeszła do okna i odprowadziła spojrzeniem jego postać, coraz bardziej malejącą na drodze. Następnie udała się do pokoju Anny, zapukała i weszła z zatroskanym wyrazem twarzy.

- Strasznie mi przykro, Anno - zawołała i usiadłszy na brzegu łóżka, na pół nachmurzona, na pół z uśmiechem, wyjaśniła jej swoją przykrą sytuację. - Wiem, że postępuję szkaradnie, ale nie widzę innego wyjścia. Czuję, że brat potrzebuje mojej pomocy.

- Mnie to nie robi żadnej różnicy - rzekła Anna wysłuchawszy jej. Przyglądając się swym palcom zaczęła splatać luźny kosmyk włosów, zwisający na jej żółtą matinkę. - Żadnej.

- Nie gniewasz się?

- O co? - Przestała splatać włosy, lecz nie odrzuciła grubego, szorstkiego kosmyka, całkiem bez kokieterii pozwalając mu opaść.

- A zatem... - mówiła Łucja lekko czerwieniejąc z powodu tak obojętnego przyjęcia jej wiadomości - muszę niestety wyjechać o dziesiątej.

- Nie krępuj się - uprzejmie odpowiedziała Anna, spokojnie podnosząc wielkie ciemne oczy, głęboko osadzone w gładkiej twarzy o barwie kości słoniowej.

Milczenie zaległo między obiema kobietami: jedna była szczerą, żywą, pełną żarliwej serdeczności, druga ospałą, bezbarwną, powolną.

- Musisz zaopiekować się Frankiem! - powiedziała w końcu Łucja wstając. - Nie pozwól mu popaść w melancholię.

- Już sobie jakoś poradzimy - niedbale odparła Anna. - Frank zna mnie, a ja jego.

Schodząc ze schodów Łucja pomyślała, dlaczego Anna nie powiedziała jej samorzutnie: "Przykro mi, że odjeżdżasz. Musisz to jednak zrobić. Twoja bratowa jest chora. Ale jakoś sobie poradzę w czasie twojej nieobecności". Tymczasem nic! Anna nie powiedziała tego, a nie robiąc jej tej przyjemności, określiła niejako swój charakter. Przez chwilę Łucja z pewną przykrością usiłowała rozwiązać to zawile równanie. Tak lubiła jasne sytuacje; irytowało ją, że musi tę zagadkę pozostawić nierozwiązaną. Być może jednak, rozważała, Anna czuje się dotknięta niewłaściwym postępkem swej gospodyni - pomimo, że

było to nieuniknione - i wytłumaczywszy sobie w ten sposób jej odpowiedź, zapomniała ostatecznie o tym.

Pozbyła się głupich myśli i zastanowiła się nad koniecznością zawiadomienia syna o swym wyjeździe.

- Piotrusiu! - zawołała szybko.

Wyszedł z sypialni, kończąc się właśnie ubierać - w powszednie dni jadał śniadanie po wyjściu ojca; tak było wygodniej jemu i matce. Łucja popatrzyła na niego, ukrywając czułość tego spojrzenia.

- Netta poda ci dziś śniadanie - rzekła dyplomatycznie. - A Anna będzie tu z tobą przez krótki czas. Ja... ja wyjeżdżam.

Wlepił w nią oczy.

- Mamo, po co, no powiedz!

- Wesoło będzie, prawda? - odrzekła wymijająco, poprawiając mu krawat, i tonem zachęty dodała: - Czy przyrzekasz mi zająć się trochę Anną?

Bawił się widocznie tą myślą, widząc w niej coś ważnego, wyjątkowego; mimo to z wyrachowaną naiwnością, która wydała się jej czarująca i której się niemal spodziewała, rzekł:

- A jeśli to zrobię, czy dasz mi... - zawahał się - wiesz... sz... - przeciągnął ostatnie słowo. - Jeśli to zrobię... Wiesz, do mojego dzbanka?

- Rozumie się, że dostaniesz pensa! - To przecież drobnostka, a on nie należał do chłopców wydających pieniądze na tanie i marne słodycze. Nie, on składał pensy z godnym pochwałą rozsądkiem, mogącym tylko uspokoić jej macierzyńskie serce.

Dała mu pensa - jakże mogła mu odmówić? - i ciepły, długi uścisk. Netta otrzymała również szczegółowe wskazówki i w końcu Łucja odeszła.

Był rześwy ranek, w powietrzu czuć było owo lekkie tchnienie jesieni, które tak bardzo lubiła, a szybki spacer do miasta sprawił jej przyjemność. Ardfillan zawsze jej się

podobało. Ulice szerokie i czyste, obsadzone lipami, jesionami i kasztanami robiły wrażenie alei. Zasobne sklepy, ozdobione szyldami, chełpiły się dostojną klientelą. Tak, było to miłe miasto, podobne trochę do jakiegoś angielskiego uzdrowiska, zamieszkałego jednak stale, nie tylko w sezonie, pyszniącego się - snobizm całkiem usprawiedliwiony - swą kulturą i ekskluzywnością, tolerującego zaledwie garstkę letników; miasto, do którego okoliczni potentaci chronili się ze swymi pieniędzmi i z należytą godnością oddawali się dobrze zasłużonej rozkoszy wypoczynku. Panowała tu atmosfery ładu i dobrego smaku. Doskonała miejscowość - zauważyła Łucja w myśli, kiedy po raz pierwszy przybyła do Ardfillan i postanowiła: tu zamieszkamy z Frankiem. Nie możemy sobie na razie pozwolić na najlepszą dzielnicę, ale któregoś dnia będzie to możliwe.

Prawda, że - z powodu może nieco gorszego położenia ich domu - mieli niewielu przyjaciół w Ardfillan. Było to zrozumiałe. W swej rodzinnej miejscowości, Perth, gdzie ojciec jej przez długi czas piastował poważny urząd jako pisarz sądowy hrabstwa, Łucja miała ustaloną pozycję towarzyską. Była tam znana i uznana, należała do urzędniczej sfery miasta. Jednakże wszedłszy przez małżeństwo w tę rodzinę irlandzką, miała pozycję mniej pewną, a jej stosunki towarzyskie nie były już takie jak dawniej. Uznawała to za rzecz nieuniknioną, ale nic z tego sobie nie robiła. Wiedziała, że żona powinna podnieść męża do swojego poziomu. Dokonała tego i była przekonana, że któregoś dnia dokona czegoś znacznie większego, że utrwali ich pozycję, zabezpieczy ich przyszłość.

Teraz, siedząc w wygodnym przedziale pociągu, niepostrzeżenie wróciła myślą do lat przeżytych w tym mieście. Musiała przyznać - mimo opinii swego brata, który już od samego początku przepowiadał nieszczęście - że jej małżeństwo ukształtowało się niezwykle szczęśliwie. Rodzina Franka była wprawdzie trochę wulgarna, ale Frank nie był wulgarny. Frank był - no, był właśnie Frankiem. A w jej naturze leżało pomyślne załatwienie wszystkiego. Porażka? Nie uznawała tego słowa. Może to szkockie pochodzenie dało jej siłę do regulowania i planowania, do tak pomyślnego uformowania usposobienia i charakteru męża. Gdyby nie ona, nie byłoby tam w ogóle żadnego kierunku - po prostu łatwe uleganie okolicznościom. Zaopiekowała się Frankiem, ukształtowała jego los, kierując go ku racjonalnym, jasnym horyzontom. A z jaką łatwością to zrobiła! Z łatwością, ponieważ go kochała. Tak, niewątpliwie, miłość do Franka była motorem jej postępowania. Frank sam uznawał ten fakt, czasem z subtelną ironią - jak brzmiało to jego głupie powiedzenie? Aha,

"marchew przed osłem" - określił ironicznie. W kącie przedziału uśmiechnęła się lekko na myśl o tej śmiesznej insynuacji. Wcałe tak nie myślał. Było to jednak w jego stylu.

Kochała Franka. Niepodzielnie do niej należał; był jej tworem, tak świadomie ukształtowanym przez jej miłość, że odnosiła się do niego władczo, niemal zachłannie, jak artysta wobec stworzonego dzieła. Stał się tak wyraźnie częścią jej samej, że budził się w niej duch obrony, ilekroć wytykano słabość lub kwestionowano błędy męża.

To było w pewnym sensie powodem, dlaczego tak lubiła zastanawiać się nad swym szczęściem i bezwiednie się nim popisywać. Zawsze była rada mogąc Ryszardowi dać jawny dowód swego szczęścia, dobrobytu i powodzenia. Ryszard demonstrował chętnie swe własne powodzenie zarówno w życiu rodzinnym, jak w sprawach zawodowych. W rzadkich listach bezustannie mówił o Ewie, "swej kochanej żonie", o Werze i Karolku, "swoich słodkich dzieciach", stale wyróżniających się w szkole i w życiu towarzyskim, a także o "swych sprawach", zawsze niesłuchanie ważnych, które wbrew opinii publicznej wygrywał w sądzie. Całkiem więc słusznie odpłacała mu równą monetą. Zarozumiały Ryszard na pewno jednak był najbardziej oddanym mężem, do najwyższego stopnia zakochanym w Ewie. Jego przywiązanie braterskie nie było nigdy tak jawne. Z poczuciem wyższości, nie całkiem usprawiedliwionej u starszego i jedyne go brata, traktował ją pobłaźliwie - ta pobłaźliwość była lekką osłoną jego szyderstwa - określając jednym słowem: idealistka. Dobrze, przyjęła to określenie jako rzucone jej wyzwanie. I dotrzymała placu. Co było celem życia i w czym mieściło się jego piękno, jeśli nie w oparciu o zasadę uczciwości i cnoty, albo, jak ona to sformułowała, "satisfakcję słusznego postępowania"? Trwałość miłości, wdzięk małych dzieci i ich śmiech, słodycz ofiary, poddanie się Bogu i Opatrzności - po odrzuceniu tych faktów człowiek znajdzie się w mroku. Ona wolała jednak blask słońca, z którego jak dotąd czerpała ciepło i otuchę.

Gwizd lokomotywy wyrwał ją z rozmarzenia. Dzięki Bogu! Już jest w Ralston. Wstała zwawo i wysiadła z pociągu.

Ralston, bliskie przedmieście Glasgow, zamieszkałe przez zamożniejszych obywateli, było miłym miejscem pobytu - jakkolwiek Łucja nie przyznawała mu wyższości nad Ardfillan - i bardzo odpowiednim dla adwokackiego zespołu Ryszarda. Dom Ryszarda, z czerwonego piaskowca, otoczony dobrze utrzymanym ogrodem, z małą, lecz dekoracyjną oranżerią, świadczył również o dobrobycie właściciela i odpowiedniej pozycji towarzyskiej w tym

jawnie pretensjonalnym sąsiedztwie. Dom ten był, tak samo jak Ryszard, wybitnie solidny, wybitnie szkocki. Ale nazwa jego nie była szkocka. Pragnąc podtrzymać swą opinię światowej damy, a może też w celu podkreślenia instynktu domatorskiego Ryszarda - Ewa nazwała go kokieteryjnie "Le Nid" (Gniazdko). Wzruszająca idylla!

"Le Nid" było bardzo wytworne: mimo to jednak drzwi otworzyła jej nie pokojówka, lecz Ryszard we własnej osobie.

- Łucja! - wykrzyknął zaraz. Ach, Łucja! - W jego przywitaniu, niezwykle serdecznym, brzmiała prawie ulga. - Wiedziałem, że możemy na tobie polegać.

Od razu wprowadził ją do swego gabinetu, i tu, pod herbem rodziny Murray umieszczonym nad biurkiem, spojrzał jej w twarz - a wzrok jego był mniej surowy, mniej krytyczny, mniej wyniosły niż zwykle. Ryszard wyglądał dostojnie, włosy i wąsy były ciemne jak zawsze, wargi wciąż jeszcze odcinały się niezwykle żywą czerwienią od bladej cery. I miał należytą postawę - lewa ręka na plecach, wysunięta broda, posępne czoło, nieco wyniosłe, często zmarszczone - wszystko to określało jego charakter.

- Ładnie z twojej strony, że przyjechałaś - zaczął szybko. - Oceniam to. Jestem zupełnie wytracony z równowagi, nie mogę pójść do biura - zamilkł rozdrażniony, wymownie marszcząc czoło. - Ewa... Ewa była chora. A pielęgniarzka - ta nikczemna, wstrętna kobieta, która przyszła w sobotę - wdała się wczoraj w pijacką sprzeczkę z kucharką. Coś oburzającego! Moja biedna żona! Rozumie się, że wyrzuciłem obydwie. I oto zostałem sam z Ewą, która leży, muszę zajmować się dziećmi, a w domu nie ma nikogo prócz młodej służącej. To... to przecież straszne!

Zawsze dystyngowany, chłodny, pełen wyższości, nieco po prawniczemu sarkastyczny, teraz przybrał postawę skrzywdzonego obywatela, zaniepokojonego ojca, troskliwego męża.

- Bardzo mi przykro, Ryszardzie - wybąkała Łucja. - Co... co jest Ewie?

Zaczerwienił się nieco, z głową podniesioną do góry.

- Lekka niedyspozycja - wycedził z tajemniczą miną, co miało podkreślić niezwykle subtelny charakter choroby Ewy. - To minie rychło. A we wtorek będziemy już mieć dawną pielęgniarkę - zawsze była przy Ewie i zna jej organizm. - Spojrzał błagalnie na siostrę.

- Oczywiście, że wam pomogę - oświadczyła szczerze. - Po to przecież przyjechałam.

- Czuję ulgę, głęboką ulgę. - Zrobił pauzę, następnie ze zwykłą pewnością siebie dodał: - A teraz zaprowadzę cię do Ewy.

Gdy dostojnie kroczył przed nią po schodach, wybitych pięknym dywanem, Łucja przygotowywała się do spotkania z Ewą. Bo prawdę mówiąc, nigdy nie czuła się dobrze w jej towarzystwie, określając żonę brata bardzo wymownym słowem: lalka. Odcienie tego słowa były różnorakie, ale Ewa miała w sobie coś z lalki: cienka w pasie, wiotka, o ruchach szybkich i przesadnych, cerze bladej, niezmiernie delikatnej, którą staranie pielęgnowała. Włosy mocno pachnące szamponem, ondulowane podług ostatniej mody, lśniły głęboką czernią; nos cienki, orli, oczy szare, zęby ładne, ale ku jej zmartwieniu trochę nierówno ścięte u góry. Lubowała się w elegancji, wrodzoną ograniczoność ukrywała przez spuszczenie powiek, ubierała się dobrze i zgodnie z modą: w rzeczywistości była nieodrodną córą owego wytwornego świata, ku któremu garnęła się z takim zapalem. Przy mówieniu sepleniała lekko, śmiała się perliście, chód miała afektowany i była ubóstwiana przez Ryszarda.

Taką Ewę znała Łucja. Ale teraz, niestety, Ewa ani nie śmiała się perliście, ani nie poruszała się efektownie. Błada, w najwyższym stopniu interesująco błada, leżała na poduszkach, omdlewająca, ze wszystkimi delikatnymi oznakami cierpienia.

- Kochanie, Łucja przyjechała - rzekł Ryszard głosem odpowiednio przyciszonym.

Tylko lekkim drgnieniem powiek Ewa okazała, że jest w niej jeszcze trochę życia.

- I będzie cię pielęgnowała przez dwa najbliższe dni - dodał uspokajająco.

Omdlewająca postać Ewy wyglądała niezwykle kusząco. Wreszcie chora otworzyła oczy i z niemym wyrzutem spojrzała na Ryszarda. Następnie westchnęła i bez słowa podała Łucji bezsilną rękę.

- Wszystko będzie dobrze, Ewo - rzekła Łucja. - Tylko się nie martw.

Ewa uśmiechnęła się słabo - wzruszająca słodycz tego uśmiechu! Marmur zmiękłby!

- A zatem - taktownie rzekł Ryszard wyciągając zegarek - może... tak, czuję, że mogę teraz pójść do biura. Łucjo, pozostawiam wszystko w twoich rękach. Ewę, moją biedną Ewę. Wiem, że się nią zajmiesz. - Skierował się ku drzwiom.

- Pocałuj mnie, Ryszardzie - szepnęła Ewa wyciągając do niego białe ramiona w nagłym porywie czułości. - Pocałuj mnie przed odejściem.

Łucja odwróciła się. Ewa stale ją drażniła; w głębi duszy nieustannie czaiło się podejrzenie co do szczerości bratowej. Nie znaczy to, że Ewa stale bezsilnie spoczywała na batystowych poduszkach z koronkami. Nie! Ewa potrafiła być żywa, rozbawiona, szykowna; doskonale prowadziła dom, a Ryszarda żywiła obficie i smacznie. Ale z jej metodami Łucja nie mogła się zgodzić. Nie uznawała tych kocich przymileń, dzięki którym Ewa chciała zawładnąć mężem. Nie, nie! Łucja dochodziła do celu w sposób mniej naiwny - metodą uczciwą i prostsza. Stała więc odwrócona, aż do chwili kiedy małżeńskie pieszczoty skończyły się wreszcie. Następnie zeszła na dół z Ryszardem i odprowadziła go do drzwi.

Po jego odejściu bezzwłocznie zabrała się żywo do roboty. W kuchni odkryła Karolka i Werę pozostających pod pieczę nieletniej służącej, chętnej do pomocy i przejawiającej siłę tornada. Karolek, dziewięcioletni chłopczyk, posępny i uporczywie milczący, nagle uśmiechnął się ujmująco, a Wera, która w wieku lat pięciu miała już długie za kolana włosy, również się ośmieliła, chociaż przez to, że z wolna powstrzymywała łzy.

Dzień ten nie był jednak lekki dla Łucji. W domu panował nieład. Dziewczyna mimo usłużności była niezręczna, dzieci w miarę spoufalenia stawały się prawdziwą udręką, a Ewa - Ewa była co najmniej krnąbrną pacjentką. Mimo to sprawiało Łucji pewną przyjemność, że wywiązywała się z zadania. Nie znaczy to, by podziwiała się w roli służebnego anioła - jeśli w domu tym istniały skrzydła, to rozpościerały się jedynie nad alabastrową postacią Ewy - ale z pewnego rodzaju wrodzonym uporem Łucja miała uczucie dokonania czegoś, przeświadczenie, że dotrzymała przymierza wierności.

Wróciwszy wieczorem z pakiecikami i zatroskaną miną, Ryszard zastał swoje ognisko uporządkowane, cały dom tchnący kojącym spokojem. Pobiegł - tak ociążały człowiek okazał w tym wypadku niezwykłą zwinność - do sypialni z białymi liliami, symbolem czystości i kiścią bujnych, apetycznych winogron, pełen oddania pozostając chwilę u chorej. Następnie

zszedł z piętra wolniej, z czołem rozchmurzonym i usiadł w jadalni do wieczornego posiłku, przez snobizm zwanego "diner", gdyż określenie tak trywialne jak "herbata", nie mogło się ostać w "Le Nid".

- Ewa wydaje się zadowolona - zawołał głosem bardziej teraz przypominającym jego zwykły, wyniosły ton. - A ja... no, rozumie się, też jestem zadowolony!

- Miała dobry apetyt - zauważyła Łucja podsuwając mu kotlety z groszkiem - zjadła trochę galaretki owocowej, którą dobrze przyrządzam, rosół z kurczęcia i całe mnóstwo biszkopcików.

- Ona ledwie dziobie - rzekł Ryszard, energicznie atakując kęsy mięsa. - Jak ptaszek, nie więcej! Spodziewam się, że nie dopuściłaś do niej dzieci. - Przestał jeść na chwileczkę i spojrzał jakby zaskoczony. - Ten groszek... tak, muszę przyznać, jest zupełnie smaczny.

Uśmiechnęła się, postanowiła pokazać Ryszardowi, co potrafi. Inne potrawy uznał widocznie za równie smaczne, gdyż rzekł w końcu, starannie wycierając serwetką usta i wąsy:

- Istotnie, Łucjo, jestem ci zobowiązany. Było całkiem smaczne - niemal tak samo, jak gdyby przyrządziła Ewa!

Nic nie odrzekła, ale pomyślała, że jeśli Ewa potrafiłaby ugotować lepiej, to Ryszard ma wikt doskonały.

- Wiesz - ciągnął dalej, przyglądając się jej z nowym niejako zainteresowaniem - gdybyś nie uciekła tak spiesźnie z domu, mogłabyś trafić znacznie lepiej.

Uwaga była całkiem nieokreślona, ale nasuwający się wniosek nie był nieokreślony i Łucja poczerwieniała nagle. Porównywać Franka z jego Ewą! Coś podobnego!

- Jeśli ty jesteś tak szczęśliwy jak ja, to możesz być zadowolony - oświadczyła oburzona.

Ściągnął brwi, dla obecnego jego nastroju było to jednak charakterystyczne, że nie podjął wyzwania - dawniej toczyli z sobą zawzięte walki. Wstał od stołu.

- Tak - rzekł spokojnie. Teraz pójde na piętro i pozostanę przy Ewie. Bardzo lubi być ze mną.

Patrzyła na jego znikające plecy z dziwnym ściągnięciem warg, następnie szybko zaczęła sprzątać ze stołu. Niemal gwałtownie pomogła służącej myć naczynie, po czym od razu poszła spać.

Nagle uświadomiła sobie, o ileż przyjemniej byłoby jej zajmować się własnym gospodarstwem. Tego wieczora czuła to bardzo wyraźnie. A w ciągu następnych dwu dni uczucie to spotęgowało się. Obserwując Ryszarda po dość długiej przerwie, miała wrażenie, że stał się jeszcze większym sobkiem, jeszcze bardziej oddanym mężem niż kiedykolwiek. Ewa, szybko wracając do zdrowia, odzyskiwała też swój afektowany uśmiech i kokieteryjne zachowanie. W całej pełni wyzyskiwała przywilej chorej, której wolno kapryścić: kaprysiła też co do swej diety, swego wyglądu, swych kwiatów. Jedynie pamięć tego, że po śmierci ojca Ryszard dał jej przytułek i utrzymanie - ojciec zostawił tak mało, że nie miała innego wyjścia - powstrzymywała Łucję od żalowania impulsu siostrzanej uczynności. A przecież nawet wówczas odpłacała bratu jego gościnność usługami tego rodzaju. Czyż możliwe, by Ryszard wyzyskiwał ją po prostu, jak twierdził Frank? Na samo to przypuszczenie ściągnęła impulsywnie brwi.

Ponadto chwilami niepokoiła się stanem swego gospodarstwa. Czy Piotruś ma wszystko, czego mu potrzeba? Czy Netta zapamiętała jej wszystkie zlecenia? A Anna? Czy zajęto się nią należycie? A Frank - tak - przede wszystkim Frank! Jak się czuł? Czy przezwycięzył swój zły humor, by zająć się należycie kuzynką będącą ich gościem? W nagłym przypływie uczucia Łucja uświadomiła sobie z całą jasnością, że jej własny dom jest przybytkiem radości. I dziwne, że w przeciwieństwie do spokoju, z jakim wyjechała, ogarnęła ją teraz nagła niecierpliwość, pragnienie najszybszego powrotu.

Przywitała wtorek westchnieniem ulgi. Poprzedniego wieczoru przybyła nowa kucharka - przedmiot posępnych rozważań ze strony Ryszarda - a teraz, wprawdzie za późno, zjawiła się pielęgniarka w pełnym rynsztunku. Po południu Łucja, ubrana do podróży, weszła po raz ostatni do sypialni Ewy - w ciągu paru dni, spędzonych w "Le Nid", niejedną raz wbiegała tu po schodach, z tacą.

- A zatem - powiedziała skromnie - jeśli się na coś przydałam...

Siedząca na łóżku Ewa uśmiechnęła się słodko. Wyglądała ładnie, lecz - przynajmniej zdaniem Ryszarda - wciąż jeszcze była trochę osłabiona.

- Dzieci, ucałujcie ciocię Łucję - wyseplenila. - I prześlijcie pozdrowienia Piotrusiowi.

Karolek i Wera, stojąc przy jej łóżku nieruchomo jak do fotografii, zbliżyli się posłusznie.

- Damy znać o sobie na Boże Narodzenie - rzekł znacząco Ryszard, który dziś wcześniej wrócił z biura. Teraz ujął serdecznie jej rękę w męski uścisk, wyrażający wdzięczność, i odprowadził ją aż do furtki ogrodu.

Szła drogą z mieszanym uczuciem: Ryszard mógł przynajmniej odprowadzić ją do pociągu, a Ewa też przy pożegnaniu okazać więcej wdzięczności. W miarę jednak jak pociąg oddalał się od Ralston, niezadowolenie Łucji ustępowało stopniowo ciepłemu wzruszeniu oczekiwania. Jak dobrze wracać do domu!

Wykorzystując zręcznie bilet kolejowy - Ryszard nie pomyślał nawet o zwrocie kosztów - wstąpiła w powrotnej drodze do Glasgow. Kupiła wreszcie koronkowe serwetki - Gow miał właśnie te, na których jej zależało, i w żywym porywie hojności, wywołanej prawem kontrastu - ona przynajmniej da dowód, że sknerstwo nie jest cechą rodziny Murrayów - kupiła dla Piotrusia bąka, dla Franka tytoń, a dla Anny śliczny flakonik wody kwiatowej.

Nie spieszyła się z kupowaniem, przedłużając oczekiwanie i potęgując miłą perspektywę powrotu. Wypiła herbatę u Paltocka - rzadka przyjemność; nadal, jak za czasów dzieciństwa, a przepadała za słodyczami, ciastka z kremem u Paltocka były wyśmienite, rozpływały się w ustach. A co do pieczywa, to prywatnie wiedziała od Franka, mając pod tym względem niemal fachowe zainteresowanie, że u Paltocka używano do tych wyrobów jedynie najczystszej masła.

Siedząc na piętze przy marmurowym stolyczku i zachwycając się wyraźną perspektywą biegnącej poniżej ulicy, z twarzą żywo zarumienioną, jak zwykle po gorącej herbacie, z koronkową chusteczką wdzięcznie rozłożoną na kolanie, doznawała uczucia dosytu, żywego szczęścia.

Postąpiła właściwie, zachowała się lojalnie wobec rodziny, a teraz wraca do domu - do Franka. Dobrze wiedziała, jakie to śmieszne, że zamężna od tylu lat, tak gorąco pragnie tego spotkania po rozłące. Śmieszne czy nie śmieszne, tak jednak jest. Taka jest właśnie. Raptownie przypomniała sobie o innym spotkaniu z mężem, sprzed dwóch czy czterech lat - mniejsza o datę, gdy sam fakt tak żywo zachował się w jej pamięci. Wróciła wtedy z nad morza, po parodniowym pobycie z Piotrusiem, a Frank oczekiwał jej - Frank, który z zadziwiającą, nieoczekiwaną troskliwością ustawił w jej sypialni kwiaty, a na stole butelkę szampana. Szampan i róże. Zdumiewająca, niewiarygodna czułość ze strony Franka. A jednak to zrobił, a ona była zachwycona. Zamyślona, patrząc przed siebie błyszczącymi oczyma, widziała swój bliski powrót, czuła ciszę wieczorną spływającą na mroczniejsze morze, gdy ona sama zmierza nadbrzeżną drogą ku domowi, widziała witające ją światło, nagle rozbłyskujące we frontowym pokoju.

Zerwała się nagle i zapłacała; musi się spieszyć, by zdążyć na pociąg. Zdążyła jednak i żywo, trochę zdyszana od szybkiego marszu, usadowiła się w kącie przedziału.

Kiedy pociąg Łucji, z wymaganą wówczas szaloną szybkością, pędził hucząc poprzez mrok wzdłuż prawego brzegu rozszerzającej się rzeki, Anna i Frank siedzieli po obu stronach kominka w jadalni. Byli już po herbacie, naczynia stały jeszcze na stole, a oni oboje zdawali się wpatrywać w zadumie w czerwone języki ognia. Śmieszny pomysł - w sierpniu ogień na kominku. Jednakże pod tą szerokością geograficzną wieczory bywają chłodne, a nocny wiatr ostry. Z punktu widzenia meteorologii nic nie jest tu więc niemożliwe. Zapalona lampa rzucała żółte blaski na przyjemnie ocieniony firankami pokój i na postacie tych dwojga, zdając się nadawać ich twarzom, może na mocy jakiejś właściwości łagodnego światła, dziwne podobieństwo rysów czy wyrazu.

Byli co prawda kuzynostwem: matka Franka i ojciec Anny byli rodzeństwem i to tłumaczyło zapewne ich nieznaczne podobieństwo. Właściwie jednak tkwiło ono głębiej, było wrodzone, uwarunkowane wspólnym pochodzeniem chłopskim, uszlachetnionym wprawdzie przez dobrobyt warunków życiowych, niemniej zachowującym swe cechy, choć w formie zmienionej, słabszej. Mimo różnicy temperamentów - Frank, ospały, posepny, nie przejmujący się niczym, płynął po powierzchni życia jak woda, Anna szorstka, w nieuchwytny sposób odpychająca, a mimo to czarująca - w głębi swej istoty byli do siebie podobni: mieli nie tylko wspólne pochodzenie, lecz także wspólne cechy.

Siedzieli tak w milczeniu, a dobiegający z kuchni niewyraźny hałas i głośnie wybuchy śmiechu wskazywały wyraźnie na to, że Piotruś "bzikuje" z Nettą, gdy podług praw rządzących światem dawno już powinien być rozebrany przed pójściem do łóżka. W tej chwili, w przerwie, która nastąpiła po długotrwałym krzyku, Frank, kołysząc się lekko na bujaku i wdychając dym papierosa, rzekł cicho:

- Najwyższy czas, by chłopak poszedł spać!

Anna oderwała wzrok od ognia i lekko się uśmiechnęła.

- Niech się bawi, póki może - rzekła. - Na to zawsze można pozwolić, Franku. Był zresztą grzeczny. A Netta... niech się też trochę pośmieje. Dobra z niej służąca.

- Na Boga - mruknął Frank rzucając okiem na drzwi. - Nie nazywaj jej służącą. Gdyby usłyszała, odeszłaby natychmiast. Jej rodzina jest bardzo poważana. Szanowana! Lucja powiedziała mi, że są oni spokrewnieni z jakimś pastorem.

Nastąpiło krótkie milczenie, po czym Frank - może wskutek wzmianki o żonie - spojrzał na stojącą na kominku świątyńkę z czarnego marmuru - na imponującej fasadzie widniała tarcza zegara - i zauważył w zadumie:

- Wróci za godzinę - mam na myśli Lucję.

- Kogo masz na myśli - odrzekła, wciąż z dziwnym uśmiechem - nie potrzebujesz mi wyjaśniać. W ciągu ostatnich dziesięciu minut spojrzałeś na zegar co najmniej sześć razy.

Spuścił głowę, a robiąc prawą dłonią gest usprawiedliwienia, stracił na podłogę popiół.

- Dobry z ciebie numer, Franku - mówiła lekko. - Tak, nie próbuj zaprzeczać. Wzorowy, stateczny małżonek. Przez te trzy wieczory siedziałeś zadumany, wycierając spodnie tym ciągłym siedzeniem i rozmyślałeś, kiedy ona wróci.

- Och... - mruknął zakłopotany.

- Masz to napisane na czole.

- Na czole? - powtórzył pytająco.

- Przypuszczam, że dlatego właśnie nie chciałeś wprost ze mną rozmawiać, gdy tu przyjechałam - ciągnęła dalej tonem drażniącej ironii. - Nie chciałeś mieć w swym miłym, czystym domku takiej marnej kreatury jak Anna Galton.

To jej określenie samej siebie, dotykając pewnej ukrytej struny, zdawało się go wyrwać z letargu.

- Daj spokój, Anno - wykrzyknął nagle, prostując się na krześle. - W ciągu tych ostatnich dni żyliśmy przecież zgodnie. Jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi. Wiesz o tym.

- A jednak przyznaj się, Franku, nie chciałeś, bym tu przyjechała, prawda?

- Wcale nie - powiedział niepewnie. - Nikt nie żałował cię bardziej niż ja, kiedy spotkała cię... ta przygoda.

- Przygoda - powtórzyła z błyskiem szyderstwa w swych wielkich, głębokich oczach. - Jakie to znów podobne do ciebie, Franku! Nie umiesz spojrzeć faktom prosto w oczy. Czemu nie potrafisz być szczerzy i powiedzieć: "Kiedy miałaś dziecko"?

Drgnął na dźwięk tych słów wypowiedzianych tak spokojnie w obrębie jego domowego ogniska. Chociaż nie było w nich goryczy - zostały wypowiedziane z obojętną zadumą - niemniej wyrażały dokładnie jego nieokreślone zastrzeżenia co do jej odwiedzin, przypominając mu żywo jej tragedię - mimo że ona nie chciała uważać za tragedię tej pospolitej przygody, która przed pięciu laty wytrąciła z równowagi całą rodzinę w Belfaście. Tak, początek nieszczęścia, odkrycie jej stanu - przypuszczał, że to właśnie zabiło starego Galtona - przypadł jakoś na czas jego pobytu w ich domu. Nie była to wtedy przyjemna sprawa, a nie jest nią i teraz. Stało się jednak. Dla niej była to sytuacja okropna: z nieprawym dzieckiem w łonie, opuszczona - był tego pewny - przez ojca dziecka, którego nazwiska uporczywie wzbraniała się ujawnić. To było dla Anny charakterystyczne. Zdawało się, że niepodobna jej zgłębić: pod jej pozornym spokojem kryło się gwałtowne uczucie. W tych dniach, podobnie jak za dawnych czasów w Levenford, Frank nie zastanawiał się nad nią zbyt. Mimo to - chociaż Anna wcale nie pragnęła współczucia - miał dla niej pewną nieokreśloną sympatię. Stawiła czoło swemu losowi, wściekłości ojca, ogólnemu oburzeniu - znosiła wszystko w upartym milczeniu, które zmusiło go do podziwu. Teraz spojrzął na nią w zakłopotaniu.

- Jakkolwiek to nazwiesz, Anno - zauważył spokojnie - było mi cię bardzo żal. I tak samo cię żałowałem dowiedziawszy się, że mały umarł. - Zrobił pauzę. - Dlaczego nie zdecydowałaś się wtedy na najlepsze wyjście z sytuacji i nie wyszłaś za mąż?

- Do tego potrzeba dwojga - szczerze odrzekła Anna. - Poza tym nie czułam się godna świętych węzłów małżeństwa. Wystarczy mi tylko spojrzeć na twoje błogie szczęście, by wiedzieć, że mnie pociąga coś mniej spokojnego. Ostatecznie, miałam w ciągu ostatnich lat niezwykle powodzenie. - Lekki jej ton był szczerzy, jej niezależność całkiem nie udawana, a nagłe wyznanie filozofii życiowej nie było sztuczną pozą. - Franku, wiesz, co ci powiem? - ciągnęła, wciąż jeszcze łagodnie uśmiechnięta. - Miałam ochotę rozruszać cię trochę. Spędziłeś tu ze mną trzy wieczory i obchodziłam cię nie więcej, niż gdybym była worem

mąki. A jestem znacznie bardziej interesująca od talerza owsianki! Czemu się nie zbudzisz? Człowieku, ty przecież śpisz, idziesz przez życie śniąc!

- Nie we śnie wprowadziłem rodzinę do tej ślicznej willi - rzekł powoli. Odbiegało to całkowicie od jego zwykłego sposobu bycia, lecz czuł się zmuszony do postawy obronnej. Dodał też: - I nie we śnie zdobyłem to moje przyjemne mieszkanko i dobrą posadę.

- Och, nie mówię o interesach - wtrąciła. - Na jedną chwilę bierz licho interesy! Franku, zawsze cię lubiłam i nie podoba mi się, że idziesz takim utartym torem. Miałeś zawsze duże aspiracje. I zdaje mi się, że tylko z tego powodu nie umizgałeś się do mnie w owych dawnych dniach w Levenford.

- Nie - odrzekł bezmyślnie - nie sędzę, że dlatego.

Zaśmiała się. - Franku, szczerze mówiąc, chciałabym cię rozruszać. Zdaje mi się, że to Łucja zrobiła cię takim. Znadto do niej należysz. Odjeżdżając, prosiła mnie, bym się tobą zaopiekowała, jak gdybyś był należącym do niej ładnym przedmiotem z porcelany, który trzeba chronić przed potłuczeniem. Och, zauważyłam to od razu po przyjeździe i muszę powiedzieć, że mnie to zirytowało.

- Sam wiem, czego mi potrzeba, bym czuł się dobrze - odpowiedział broniąc się.

- A jednak ja mam rację, Franku. Taki przystojny chłopiec jak ty powinien wydobyć z życia więcej przyjemności. Zestarzejesz się przedwcześnie, jeśli nie będziesz się mieć na baczości.

Zapatrzony w ogień, obojętny na jej słowa, rozmyślał nad swoją skomplikowaną indywidualnością: jest może istotnie dziwnym człowiekiem - wie o tym. Domyślał się, co znaczy jej powiedzenie, że chce go rozruszać, ale go to nie obchodziło. W przeszłości przeżywał oczywiście pewne porywy - kto ich nie miał? - ale były one krótkotrwałe i nie dawały zadowolenia.

- Czuję się doskonale właśnie w tych warunkach - rzekł wreszcie.

- Gdybyś tak więcej przestawał z ludźmi - mówiła wesoło z lekkim odcieniem szyderstwa. - Postaraj się o kilku przyjaciół. Gdybyś sobie przynajmniej sprawił rower i jeździł trochę. Albo bodaj psa - porządnego, warczącego psa!

Obrzucił ją bystrym spojrzeniem: czy drwi z niego? Twarz jej była jednak szczerą, pogodną. Nagle potrząsnął głową i odrzucił papierosa.

- To nie w moim stylu, Anno. Nie zniósłbym po prostu żadnych kłopotów.

Znów się zaśmiała - tym swoim dziwnym śmiechem, a on szybko podniósłszy oczy uśmiechnął się miło w odpowiedzi.

- No dobrze, jeśli nie chcesz jeździć na rowerze, to może zechcesz być uprzejmy dla swej kuzynki, dopóki tu jest. Czy też pozwolisz, by się nudziła i była nieszczęśliwa? Przecież nawet w Lavenford Joe uprzyjemniał mi pobyt. Mimo swej gruboskórności i innych cech znalazł jakoś trochę czasu dla mnie. Ty natomiast zabawiasz damę w ten sposób, że siedzisz tu i myślisz o swojej żonie.

Poczerwieniał lekko, trochę w poczuciu winy, trochę z irytacji. Nie rozważał jakoś tej sprawy z tego punktu widzenia, teraz rzekł nie bez skruchy:

- Może byłem w tych dniach istotnie nazbyt sztuczny. - Zawahał się, po czym pod wpływem nagłego zapału dodał: - Postaram się jednak w miarę możliwości uprzyjemnić ci trochę ten pobyt.

- To mi się już lepiej podoba - oświadczyła, jak gdyby zawierali przymierze. - Liczę więc na ciebie.

- Zgoda - rzekł uprzejmie i założywszy nogę na nogę ponownie skrył się w kłębach dymu świeżo zapalonego papierosa. Minęło parę chwil wypełnionych jedynie cichym tykaniem zegara.

Gdy tak siedziała, obserwując go we właściwy sobie nie rzucający się w oczy sposób, odbłask ognia, padając na jej bujne czarne włosy, krągłe policzki i oczy o ciężkich powiekach, nadawał jej wygląd tajemniczy. Nie była jednak tajemnicza, mimo że całe jej zachowanie cechowała duża skrytość. Myśli Anny były całkiem zwyczajne, przesiąknięte sceptycyzmem i wrodzonym zmysłem satyrycznym. Rzadko jednak wypowiadała je. Miała zwyczaj odpychającego milczenia, nie spowodowanego przez złośliwość czy upór, lecz wpływającego po części z jej przeszłości. W chwili słabości zdradzona przez swą żądną miłości irlandzką naturę, utraciła swą dziewiczość na wilgotnym od rosy polu, wracając z

zabawy tanecznej urządzonej przez kongregację. Paradoksalnych konsekwencji tych tańców nigdy nie miała zapomnieć. Kochanek, nie chcąc ponosić odpowiedzialności, uznawszy nagle Amerykę za bardziej pociągającą, opuścił Annę. Nie skarżyła się, lecz zachowała milczenie, postanowiwszy sama dźwigać brzemień swego cierpienia, zdecydowana nie odmawiać sobie w przyszłości rozkoszy życia, lecz przyjmować je bez balastu sentymentalizmu. Pod pewnym względem wyprzedzała swoją epokę: ponadto pod zewnętrzną ogładą zachowała resztki chłopskiej szorstkości, była jednak pociągająca, silna i bardzo kobieca.

W tej chwili, siedząc naprzeciw Franka, powzięła myśl - nie złośliwą, raczej zuchwałą i psotną - wyrwania go powoli z małżeńskiej inercji. Zawsze lubiła Franka - w ogóle lubiła mężczyzn - z drugiej strony Łucja musiała nieuchronnie wzbudzić w niej antypatię, gdyż jej idealizm i poczucie własności przepelniały Annę goryczą. Byłoby rzeczą zabawną, niezmiernie zabawną, zahamować potajemnie to koło toczące się tak gładko.

Nagle wykonała ruch żywszy niż zwykle.

- Wspaniale! - rzekła niespodziewanie z lekkim sarkazmem. - Czekają nas teraz cudne chwile.

- Co? Jak? - Spojrzał zaskoczony jej słowami i nagłą wesołością.

- Jesteś całkiem wyczerpany tym zabawianiem mnie - oświadczyła. - Zasłużyłeś na szklankę piwa za ten wysiłek. - Wstała i podeszła do kredensu. - Dostaniesz ją. A ja się chyba też napiję. Mój śledzik był przesolony, a, jak mówi Joe, zabawa wywołuje pragnienie.

- Niezbyt lubię piwo - rzekł przyglądając się jej, kiedy wyjmowała z kredensu butelkę. - Zwykle go nie piję. - Właściwie miał na myśli, że Łucja nie lubi, by pił o tej porze.

W odpowiedzi pochyliła się, spojrzała nań przez ramię, wyciągnęła korek, napełniła dwie szklanki i podała mu jedną.

- Proszę, Franku! Wyjdzie ci na zdrowie. Wypijemy za nasze lepsze porozumienie.

Szybko połknął jeden haust i odstawił szklankę na kominek. W tejże chwili drzwi się otworzyły i wbiegł Piotruś.

- Tatusiu, słyszałeś? - spytał bez tchu. - Mocowałem się z Netką. I zwyciężyłem. - Wcale nie zwyciężył; w chwili najwyższego "rozzuchwalenia" został haniebnie wypędzony z kuchni chochłą, cel jego wymagał jednak stworzenia atmosfery zwycięstwa. Stojąc przeto na jednej nodze, spytał z zabawną naiwnością: - I czy mogę nie kłaść się jeszcze do łóżka, tatusiu?

- Mój chłopcze, minęła już siódma - rzekł Frank i zamilkł. Rola surowego ojca wcale mu się nie powiodła, sama myśl o niej wywoływała u niego przykre uczucie.

- Pozwól mi czekać do powrotu mamusi - błagał Piotruś. - Jestem pewny, że mi coś przywiezie. Naprawdę.

- Pozwól mu zostać, Franku - rzekła Anna. - Wcale mu to nie zaszkodzi.

- Doskonale! - wykrzyknął Piotruś uważając sprawę za załatwioną. Chwycił tom bajek Andersena, rzucił go na dywanik i wśród głośnych oznak zadowolenia położył się obok książki. Zachowywał się istotnie hałaśliwiej niż zwykle, a od wyjazdu Łucji jego kolana i uszy straciły swą niepokalaną czystość. - Myślę, że teraz przeczytam sobie "Dziewczynkę z zapalkami" - oświadczył głośno, a znalazłszy odpowiedni ustęp, szeroko rozstawił łokcie, wsparł podbródek na dłoni i zabrał się do czytania.

Ponowna cisza zaległa pokój, ale nagle w ciszę wdarł się wesoły dźwięk - odgłos lekkich i żywych kroków na ścieżce ogrodowej. W drzwiach wejściowych obrócił się klucz, kroki w hallu stały się szybsze, jeszcze szybsze, następnie drzwi jadalni otworzyły się śpiesznie i do pokoju wpadła Łucja.

Na progu przystanąła. W rękach trzymała paczki. Jej błyszczące oczy, zarumieniona twarz i cała smukła postać wyrażały niemal dziewczęce podniecenie. Biła od niej świeżość, zapach, żarliwa wesołość wywołana powrotem do domu.

- Wróciłam! - zawołała. - Słyszycie, wróciłam.

Frank obrócił się na krześle. - Łucja! Jak to dobrze! - powiedział z radością. Chociaż oczekiwał jej powrotu, w obecności Anny okazywał pewne charakterystyczne zakłopotanie, gdy prostując się, z niemądrą miną odstawiał szklanekę piwa, którą trzymał w ręce.

Łucja wciąż jeszcze stała nieruchomo w drzwiach, bacznie obserwując tę scenę - obraz domowego szczęścia, który powinien był ją zachwycić. Frank i Anna siedzący po obu stronach kominka, a między nimi Piotruś na dywanie. Mimo to uśmiech jej zgasł. Dlaczego nie okazują radości tak jak ona? A ta szklanka? Łucja nie była przesadnie skromna - ale piwo zaraz po herbacie? Zauważyła, że przed Anną stała na kominku taka sama szklanka. Anna pije piwo z jej mężem? Poza tym spostrzegła natychmiast tuzin szczegółów, których niczyje oczy nie byłyby zauważyły - na wpół zwiędły kwiat wazonie, plamę na obrusie, kolana Piotrusia, smugę kurzu na nowiutkim abażurze. Mimo woli jej rozradowanie przygasło i ogarnęło ją nieokreślone zgnębienie.

- Nie cieszycie się zbyt - rzekła, z trudem zachowując uśmiech. - Myślałam, że wyjdziecie może po mnie na stację.

- Nie przyszło mi na myśl - wyjąkał Frank, zdając sobie sprawę ze swej niezręczności.

- Co mi przywiozłaś, mamó? - wykrzyknął Piotruś, zrywając się hałaśliwie. - Pokaż! Prędko! Och, prędko!

Stała nieruchomo, w oczach jej malowała się teraz lekka przykrość. Pozwoliła synowi wziąć paczki - czyżby i on myślał tylko o materialnej korzyści, jaką mogła mu ofiarować?

- Doskonale - rzekła. - Rozedrzyj papier. Zrób możliwie najwięcej nieporządku. - Niemal z trudem ruszyła się z miejsca, zaczęła zdejmować kapelusz i rękawiczki. Nie może się ośmieszać. Nic wielkiego - trochę piwa wieczorem! I jakże Frank mógł wstać i uściskać ją, gdy Anna jest w pokoju?

- W każdym razie cieszę się - zawołała ze sztuczną swobodą - że znowu się zaprzyjaźniliście.

- Nigdy nie byliśmy poważnieni - spokojnie wyjaśniła Anna. I wcale nie zakłopotana nagłym spojrzeniem Łucji, łyknęła ze szklanki, po czym skrzyżowała nogi przed migotliwym płomieniem.

- Rozumiem - powoli powiedziała Łucja. I bez właściwego powodu uczuła dziwne przyćmienie swej wesołości, uświadamiając sobie, że jej przybycie nie wywołało należytego wrażenia.

- Dobrze, że znów jesteś w domu - zauważył Frank w poczuciu winy, drapiąc się w podbródek. - Odczuwaliśmy twoją nieobecność.

- Tak, zdaje się, że jesteście zadowoleni - odrzekła sztucznie, z krótkim uśmiechem. - Piotrusiu, chodź. Powinieneś już dawno być w łóżku.

Było to całkiem głupie, niemniej oczy jej zwilgotniały nagle na wspomnienie poprzedniego powrotu do Franka. Uczuwszy w sercu głęboką, przejmującą tęsknotę, Łucja szybko odwróciła się i wybiegła z pokoju.

5

Ale nazajutrz rano, w dniu wyznaczonym na wizytę u Edwarda, odzyskała dobry humor. Takie wycieczki sprawiały jej przyjemność, nie była to żadna wizyta obowiązkowa, lecz sposobność ubrania się gustownie i popisania urodą, inteligencją i nienagannym zachowaniem synka. Mając towarzyskie usposobienie skwapliwie korzystała z możliwości odwiedzenia rodziny męża, tym bardziej że Frank był w tych sprawach obojętny, a właściwie lekcewał je całkiem otwarcie.

Był przyjemny ranek, słońce lśniło nad jeziorem, powietrze zachowało jeszcze łagodność lata - spokój w całej naturze sam w sobie był szczęśliwą zapowiedzią tej krótkiej przejażdżki przez zatokę.

Ubierając Piotrusia w klanową spódniczkę - ku uczczeniu jej nazwiska była to spódniczka rodziny Murrayów - z naciskiem tłumaczyła mu konieczność uprzejmego zachowania się.

- Nie zapomnij mówić za każdym razem "proszę" i "dziękuję" - nalegała, przypinając mu ozdobną szkocką torbę. - Boję się, czy Anna nie rozpuściła cię zanadto. I żadnych osobistych uwag, inaczej rozgniewam się okropnie.

Podczas poprzedniej wizyty przed dwoma laty straszliwie ją skompromitował naiwną uwagą odnoszącą się do koloru nosa panny O'Regan. Teraz przyrzekł, że będzie grzeczny, że

będzie się zachowywał najuprzejmiej, zgodnie z zasadami najlepszego wychowania, a podniecony czekającą go jazdą, skakał bezustannie, wobec czego z największym trudem zdołała zapiąć kwadratowe świecące guziki jego ciemnozielonej kurtki.

- Ciekaw jestem, czy Eileen ma jeszcze tego żółtego kota. I czy przewiezie nas Dawid, czy Angus? - wykrzykiwał raz po raz, bezustannie przenosząc ciężar swego ciała z jednej nóżki na drugą. - Spodziewam się, że będzie też wicher. Lubię, gdy łódź się kołysze.

- Och, co też ty mówisz - rzekła Łucja kiwając głową. Sam widok wzburzonego morza przyprawiał ją o mdłości. - I wcale się nie troszczysz o swoją biedną mamusię? Stójże spokojnie, chłopcze!

- Mamuś, weź sobie cytrynę do wysysania - posunął niewinnie.

Spojrzała na niego z ukosa i pomyślała, że jest nieodrodnym synem swojego ojca: podczas ostatniej wycieczki morskiej namówiono ją na ten owoc jako środek zapobiegawczy, a Frank przez cały szereg następnych tygodni wypominał jej fatalne skutki tego lekarstwa.

- Tak! - rzekła w końcu zadowolona, odsuwając go nieco od siebie; następnie poddawszy ostatniemu badaniu jego paznokcie i uszy, zabrała się do własnej toalety. Najlepszy - wobec tego, że nie idzie przecież kwestować dziś na ubogich - najodpowiedniejszy będzie wełniany kostium pąsowy w białe gwiazdki, wyglądające jak płatki śniegu. Cybelina - tak dostojnie brzmiała nazwa tej wełny. A kostium był też wspaniale uszyty: spódniczka w fałdy, żakiet krótki, zakończony baskiną z wiśniowego aksamitu. Kapelusz, toczek z czarnego aksamitu, ozdobiło czarne kogucie pióro, zwisające kokieteryjnie. Rękawiczki z czarnej skóry miały białe wyszycie. Skórzana torebka, "ostatni krzyk mody", kołysała się elegancko na metalowym łańcuszku.

Ostatnim pociągnięciem było skropienie chusteczki paru kroplami wody kolońskiej; po czym Łucja westchnęła, gotowa do wyjścia - elegancka, promieniejąca i zadowolona. Zapukawszy lekko do przeciwległych drzwi, weszła do pokoju Anny.

- Prędko będziesz gotowa? - spytała.

Anna siedziała na brzegu łóżka.

- Wiesz co - powiedziała - nie mam zbytnej ochoty na tę wizytę. Nie bardzo mi zależy na Edwardzie - taki zarozumialec. Pojedź sama z Piotrusiem. Ja zostanę i przypilnuję, by Frank dostał w porę herbatę.

Łucja nieświadomie utraciła żywość spojrzenia.

- Netta doskonale potrafi podać Frankowi herbatę - odrzekła powoli. Po chwili dodała:
- A ty zostałeś przecież specjalnie zaproszona.

- Nie bardzo mi na tym zależy - powtórzyła Anna.

- Ale dlaczego? Taki śliczny dzień - nalegała Łucja. Nie mogła zupełnie zrozumieć takiego nastawienia. - I taka miła wycieczka.

- Lubisz postawić na swoim, prawda? - spytała Anna uśmiechając się.

- No... - Łucja poczerwieniała. - Zapewne...

- Więc zgoda - szybko rzekła Anna - pojedę.

Nastąpiła chwila milczenia, następnie Łucja odwróciła się i zamyślona zeszła ze schodów.

- Netto, czy dobrze wyglądam? - zapytała jakby w roztargnieniu, powoli obracając się na środku kuchni. Łucja i służąca były ze sobą dość spoufalone.

- A któż by mógł wyglądać lepiej? - odrzekła Netta z uznaniem, opierając rękę na biodrze. Komplement był wprawdzie niezręczny, ale w ustach Netty brzmiał wprost niezwykle.

- Mamuś, wyglądasz prześlicznie - samorzutnie oświadczył Piotruś.

Nastąpiła pauza, czekali na Annę.

- Czy wszystko było w porządku podczas mojej nieobecności? - spytała Łucja, mechanicznie wsuwając zegarek do kieszonki. Sama nie wiedziała, dlaczego zwróciła się z tym pytaniem - i w dodatku do Netty, "prawdziwej perły" pośród dziewcząt. Słowa te jakoś się jej wymknęły z ust.

- Tak, w porządku - stanowczo rzekła Netta.

W tej chwili drzwi się otworzyły i powoli weszła Anna, nie usprawiedliwiając swego opóźnienia, ubrana w ciemną suknię tak niedbale, że impulsywna Łucja od razu uznała swój kostium z cybeliny za zbyt jaskrawy.

- Jaka szkoda, że nie ma tu Franka - powiedziała Anna - pojechalibyśmy wszyscy razem.

- Trudno - sucho odparła Łucja wchodząc do hallu. - Wiesz przecież, że jest zajęty.

W rzeczywistości Frank kazał wyrazić Edwardowi swe drwiące ubolewanie z powodu niemożności przybycia, a Łucja przyrzekła sobie solennie nie powtórzyć tego zlecenia.

Ruszyli drogą ku kamienistej przystani, znajdującej się przed warsztatem Bowiego, kobiety szły obok siebie, a Piotruś, bezpiecznie uczepony ręki matki, kroczył koło niej.

- Ta droga jest bliższa i ładniejsza - wyjaśniała Łucja biorąc na siebie rolę przewodnika, gdy po czystych sosnowych wiórach szli wzdłuż obniżającego się nabrzeża.

Istotnie, wygodniej było wynająć parową łódź Bowiego zamiast iść całą milę ku moło, by tam złapać rzadko kursujący statek. Bracia Bowie byli poza tym bardzo uprzejmi: dwaj mili chłopcy, bliźniacy Dawid i Angus, wykonywali w dalszym ciągu zawód swego starego ojca; sporządzali czółna, wynajmowali łodzie, kierowali "Orłem", łodzią na pół ciężarową, na pół wycieczkową - zawsze serdecznie i uprzedzająco grzeczni. Tak, Dawid czy Angus - a byli tak podobni, że nie czyniło to różnicy - gotowi byli każdej chwili przewieźć na przeciwległy brzeg człowieka, owcę albo beczkę kartofli, bez żadnych formalności urzędowych.

Dzisiaj Dawid, z twarzą uśmiechniętą pod rogatą czapką, kierował potężną łodzią. Dawid był krzepkim chłopcem, z niedbałym wdziękiem prezentującym się w swym nieprzemakalnym marynarskim ubraniu. W tej chwili uśmiech znikł z jego twarzy, która poczerwieniała - z jakiegoś tajemniczego powodu, pozostającego w związku z domem Moore'ów.

- Dawidzie, jakże się miewa ojciec? - żywo spytała Łucja.

- Dobrze, dobrze - odrzekł, znów uśmiechnięty. - Byłby całkiem zdrow - powiada - gdyby miał nogi. - Tym krótkim zwrotem stary marynarz określał swój zanik sił.

Po chwili chłopak zapytał: - Czy panie gotowe? - I rycersko pomógł im dostać się przez niską żelazną barierę na pokład, gdzie dla uczczenia ich położono na tylnej ławie podłużną pluszową poduszkę. W chwilę później łódź odpłynęła, pchana szybkimi obrotami śruby i zygzakowato odbiła od brzegu pozostawiając za sobą biały wachlarz piany, który przez chwilę obryzgiwał ścigające ich mewy, a potem zawróciła ku lądowi unosząc się na grzbietach skłębionych fal.

Spokojna tafla morza, osłonięta przezroczystą mgiełką, była jednak prześwietlona przez rozproszone, lecz pełne blasku promienie słońca. Wiała lekka bryza, czysta woda miała prześliczne lśnienie. Dla Łucji, ukojonej powszechnym spokojem, płynąć w tym perłowym świetle było czymś cudownym. Powolne cofanie się lądu, rozszerzający się łuk zatoki, stopniowe wyłanianie się błękitnych wzgórz w głębi horyzontu - wszystko to przyciągało jej wzrok. Fascynowało ją zmniejszanie się drzew, domów czy sterty siana w żółty punkt, przeistaczanie się mknącego pociągu w cienką nitkę, wijącą się pod białym pióropuszem.

- Jak pięknie - rzekła powoli, uśmiechając się serdecznie do Anny. Anna, z rękami stale spoczywającymi na kolanach, prawie nieruchoma, z oczyma zapatrzonymi w dal, skinęła głową potakująco. Słowa, pozostawione bez odpowiedzi, wydały się głupie, a Łucja zarumieniła się, mając uczucie, że zaofiarowana przez nią serdeczność została odrzucona. Lekko marszcząc czoło - nie była przyzwyczajona, by uwagi jej zbywano milczeniem - patrzyła na profil Anny, trochę podrażniona tą jej apatią: następnie szybko odwróciwszy głowę zaczęła mówić do Piotrusia.

Gdy zbliżali się do Port Doran, chłopiec zerwał się nagle i wskazał w podnieceniu.

- Spójrz! - zawołał. - To "Rathlin".

- Tak, masz rację, Piotrusiu - niespodzianie rzekła Anna. - Nim właśnie przyjechałam.

- Rusza się wcale dobrze - zachichotał Dawid. - Takie stare pudło.

Razem przyglądali się irlandzkiemu statkowi pocztowemu, który wydostawszy się poza ujście zatoki, płynął majestatycznie, ciągnąc za sobą smugę ciemnego dymu. Wreszcie dotarli do wybrzeża i wyszli na ląd.

Port Doran posiadał własną destylarnię oraz rafinerię cukru, był gwarnym miastem, położonym u stóp wzgórza, wylaniającego się stopniowo nad samą wodą. Na połowie wysokości tego wzgórza wznosił się klasztor Świętego Józefa: szary dom o dwóch szczytach, zbudowany na kawałku ziemi, gdzie stała też szkoła i kościół. Całości dyskretnie strzegła żelazna krata o ornamentyce i rysunku w stylu kościelnym.

Troje przybyłych weszło na ten zamknięty teren. Kamiennymi schodami podeszli ku domowi. Lucja zadzwoniła. Czekali chwilę, po czym uśmiechnięta służąca ze spuszczoneymi oczyma o długich ciemnych rzęsach otworzyła drzwi i wprowadziła ich do małej, nagiej izby, w której stał stół, dwa krzesła, na ścianie wisiał portret papieża Leona XIII, a podłogę okrywał skrawek zniszczonego linoleum.

- Dlaczego Eileen nie odezwała się do mnie? - szepnął Piotruś, spod oka patrząc na Annę, która z nieprzeniknionym wyrazem twarzy wpatrywała się w siedzącą na tronie postać papieża.

- Pst - rzekła Lucja. Siedziała wyprostowana z miną obowiązującą w towarzystwie. - Eileen wie, co wypada. Zobaczysz ją później.

Zaledwie to wypowiedziała, gdy do pokoju weszła starsza kobieta i drobnym krokiem zbliżyła się do nich. Była to panna O'Regan, gospodyni, wysoka, chuda, blada kobieta, z twarzą pełną pryszczycy, z rudawymi włosami, wodnistoniebieskimi oczami i zapadłą klatką piersiową. Czarna suknia okrywała jej wyniszczoną postać od stóp do głowy, tak szczelnie, że nie było widać nawet obuwia. Ręce panny O'Regan były złożone, głos ściszony do szeptu. Oczy podnosiła tylko wtedy, gdy miała nimi świdrować innych. Różaniec i pęk kluczy - symbole pobożności i urzędu - zwisały u jej pasa. Na zewnątrz skrupulatnie dbała o porządek, lecz wskutek wrodzonej skromności unikając dokładniejszych ablucji roztaczała wokół siebie kwaśną woń potu, którą uważała, być może, za symbol świętości. Nie posunęła się w latach poza czterdziestkę, jej ciało stale podlegało cierpieniom, a ilekroć mówiła o swym marnym stanie zdrowia, od dłuższego już czasu przyjmowano w milczeniu jako pewnik, że ze świętym męczeństwem znosi w nieskończoność przykre następstwa klimakterium. Powszechnie

uważana za śmiertelnie chorą, żyła jednak. Ale żyła tylko po to, by służyć Bogu i jego wielbności Edwardowi Moore. Gdyby usunięto Boga, możliwe, że żyłaby w dalszym ciągu. Ale Edward - och, bez Edwarda zginęłaby niechybnie.

- Pani i Piotruś... czyż nie robi się całkiem podobny do Moore'ów - wymamrotała. - Tak, ta sama linia ust, co u ojca.

Zwróciła się do Anny, i niepostrzeżenie - tak przynajmniej wydawało się Łucji - ton jej zmienił się, przybierając odcień przygany.

- Znów pani tutaj, pani Anno. Utyła pani, tak, utyła.

- Nie mogę tego powiedzieć o pani - łagodnie odrzekła Anna.

Drżenie, wywołane może irytacją, przebiegło chude ciało panny O'Regan, ale zacisnęła usta i znów zwróciła się do Łucji:

- Tak, jego wielbność oczekuje państwa. Zaprowadzę do niego.

Szli za nią długim korytarzem i po schodach ku drzwiom, u których przystanąła, pochyliła głowę i z czią zapukała.

- Proszę - ozwał się głęboki głos. Posłusznie wprowadziła ich do obszernego, wygodnie urządzonego pokoju z pałowymi pluszowymi fotelami, żółtym biurkiem i kwadratowym stołem. Był to miły pokój, bardzo jasny dzięki szerokiemu łukowemu oknu, z którego widać było rozległą zatokę.

Panna O'Regan wykonawszy uniżony ruch - na pół dyg, na pół ukłęknięcie przed postacią rozpartą w fotelu przy otwartym oknie - rzekła z żarliwą pokorą:

- Wasza wielbność pozwoli.

Ksiądz Moore spojrział i od razu wstał. Był roslym mężczyzną powyżej trzydziestki, o szerokich barkach i włosach czarnych jak jego sutanna. Głowę miał owalną jak jajo, twarz oliwkową z nosem wydatnym, prostym, długim, ruchliwą górną wargą i jasnoniebieskimi oczyma, których białka miały lekkie plamki koloru ochry. Ned Moore, nieśmiały, gburowaty chłopak, wcale nie dostojnego rodu, który wstąpił do seminarium w Stairs, najzupełniej się

przeobraził zostawszy duchownym, a po odbyciu dalszych studiów w Valladolid i zwiedzeniu Rzymu - Kościół, jak gdyby tytułem nagrody za jego coraz wyżej rozwijającą się cnotę, wyposażył go w tę układną dworskość.

Podniósł swą dużą białą rękę.

- Ach, Anna! - wykrzyknął. - Cieszę się, że cię znowu widzę. Po tylu latach jest to przyjemne spotkanie. Często myślałem o tobie i zapytywałem się, jak ci się też powodzi.

- To ładnie z twojej strony, Edwardzie - powiedziała ujmując jego rękę.

- Wielką przykrość sprawiła nam wiadomość o śmierci twojego biednego ojca - powiedział. - Myślę, że z wolna uspokajasz się po tej okropnej stracie. - Następnie zwrócił się do drugiego gościa: - I Łucja! Doskonale wyglądasz. A Piotruś znowu urósł - no, tego można się było spodziewać. Pokaż no się, pokaż - tak, co najmniej o dwa cale.

Pieszczotliwie pogłaskał chłopca po głowie, z łaską prałata uśmiechając się do gości, a panna O'Regan, stojąc na uboczu z anielsko splecionymi rękami, przyglądała się tej ceremonii z zachwytem. Po wymianie powitań ksiądz Moore zwrócił się do gospodyni, pytając, czy obiad jest gotowy.

- Tak, wasza wielbność - odrzekła panna O'Regan. - Przygotowałam doskonały obiad. Pyszna ryba, słodka jak orzech. Para ptaszków z mózdzkiem i truflami. I omlecek taki świetny, że mógłby go jeść sam biskup.

Słuchał uważnie z na pół spuszczoneymi powiekami. Po czym cmoknął z uznaniem.

- Ach - zawołał. - Dobrze, skoro obiad gotowy, to i my jesteśmy gotowi zabrać się do niego.

- W tej chwili, wasza wielbność - szepnęła panna O'Regan, zachwycona aforyzmem.
- Zaraz każę podać.

Uśmiechnęła się do nich uniżenie i niby pobożny cień wysunęła się z pokoju.

- Niezrównana - mruknął po jej wyjściu, niejako wyjaśniająco. - Prawdziwa święta, niewątpliwie - ale nie jest silna.

- Wątló wygląda - potwierdziła Łucja - lecz z pewnością jest doskonałą kucharką.

Trochę ją oszołomił tak wysoki poziom jadłospisu panny O'Regan. Ksiądz skinął głową potwierdzająco, a po chwili dodał w zamyśleniu:

- Słaby kręgosłup. Już dwa razy była w Lourdes. - Zrobił uroczystą pauzę. - Nie dostała łaski cudu, ale sądzę, że jej trochę pomogło.

- Powinieneś ją posłać jeszcze raz, Edwardzie - rzekła Anna patrząc przez okno. - Może poszczęści się za trzecim razem.

- Nie sądzę, by to było kwestią szczęścia - odparł Edward. - Uleczenie jej oznaczałoby cud.

- Właśnie tak to rozumiem - swobodnie zauważyła Anna.

Brwi Edwarda ściągnęły się, ale w tejże chwili ozwał się gong, w który niewątpliwie uderzyła Eileen, gdyż panna O'Regan była o wiele za słaba, by zrobić to z taką energią.

- Tak - powiedział ksiądz, odkładając chwilowo swoją odpowiedź - chodźmy więc.

Z wdziękiem ujął ramię Łucji i poprowadził ich do jadalni, gdzie stół z czyściutkim obrusem nakryty był dla czterech osób. Ksiądz odmówił krótki pacierz. Zajęli miejsca, a wkrótce podano obiad.

- Kieliszek sherry? - spytał Edward odkorkowując flaszkę.

Anna niedbałym ruchem podsunęła kieliszek czekając, aż napelni go po brzegi.

- Tylko pół kieliszka, Edwardzie - protestowała Łucja czując się w jego obecności zawsze bardzo młodo i niepewnie; poza tym miała też nieokreślone uczucie, że panna O'Regan nie pochwalałaby jej nieumiarkowania. Ale on nalegał gościnnie.

Ciemne sherry koloru ambry piekło ją w język, gdy sączyła je powolutku. Ryba była również prawdziwą delcją - było to określenie Edwarda, wypowiedziane z namaszczeniem. Podano do niej pikantny różowy sos.

- Sardynkowy - wyjaśnił z pełnymi ustami. - Ale nie z butelki.

- Bardzo dobry - pochwaliła Łucja.

Stwierdziła z zadowoleniem, że Piotruś zachowuje się grzecznie. Dostał żółtej lemoniady, trochę musującej, a sztywna serweta otaczała jego szyję niby komża.

Doprawdy - myślała - Edward jest uosobieniem dobroci.

W roli gospodarza istotnie był czarujący, uprzejmy, rozmowny. Jako smakosz zręcznie przesuwał półmiski, kapłańskimi gestami usługując gościom, a rozumie się, że i sobie; rozkoszując się winem, które przetrzymywał na języku, wytwornie racząc się potrawami i wyrażając o nich swoje zdanie.

A jednak mimo to wszystko Łucja widziała, że od czasu do czasu niepewnie spoglądał na Annę.

- Anno - rzekł na koniec z delikatną, lecz wyraźną pretensją - myślę o tej małej uwadze, którą zrobiłaś przed chwilą. Spodziewam się, że nie było w niej sceptycyzmu. W młodości byliśmy może wszyscy trochę krnąbrni, ale jestem przekonany, że nie chciałaś przez to wyrazić żadnego bluźnierstwa. - Zachowanie jego było nienagane, życzliwe, lekko żartobliwe.

- Chodzi ci, Edwardzie, o kręgosłup panny O'Regan? - spytała niemal naiwnie.

- Nie, Anno. Chodzi mi o kwestię ogólniejszą, odnoszącą się do zagadnienia cudu. Wiem bardzo dobrze, że w dzisiejszych czasach, kiedy uczeni próbują badać wszechświat metodami naukowymi, trudno bywa nieraz wierzyć w niektóre zasady naszej wiary, lecz na Lourdes możemy się oprzeć. Te święte wody są czyste i uzdrawiające.

- Wiem, że Polly jeździła tam raz na te swoje wzdęcia - uprzejmie odparła Anna - ale nie wyleczyła się. Opowiadała, że woda jest strasznie zimna i brudna. Nic dziwnego, skoro ci wszyscy cudzoziemcy zanurzają się w niej.

- Cud - trochę sztywno rzekł Edward - to coś więcej niż wyleczenie wzdęć.

- A jednak, Edwardzie, gdyby Polly się wyleczyła, byłoby to niewątpliwie cudem. Chcę powiedzieć, że nigdy nie słyhać tam o wielkich cudach. Gdyby ktoś bez nogi wszedł do grotty i wyszedł nagle z nową nogą, nazwałabym to czymś niezwykłym.

Powiedziała to usprawiedliwiając się niejako. Słowa jej nie mogły w sobie mieścić ani cienia szyderstwa, mimo to Edward zaczerwienił się i nagle przybrał minę wyniosłą. Nastąpiła jednak pożądana przerwa na skutek pojawienia się "ptaszków", którymi okazały się dwa cietrzewie, pieczone na grzankach.

- Najsmaczniejsze są na początku września - oświadczył Edward skwapliwie zmieniając przedmiot rozmowy.

Podano do nich Pommard, we właściwej temperaturze pokojowej. Łucja czując, że policzki jej płoną, stanowczo poprosiła tylko o pół kieliszka, ale Anna nie sprzeciwiała się napełnieniu swego. Powoli sącząc napój, Edward zaniechał chwilowo teologii, wyjaśniając prawdziwą sztukę podawania win i fatalny błąd polegający na nagłym zmienianiu ich temperatury. W Valladolid - jakże miło wspominał owe hiszpańskie dni - poznał różne gatunki win, a także sposoby ich wytwarzania. Opowiadał, jak w ogrodzie uniwersytetu lubił odpoczywać pod winoroślą, z której zwisały kiście winogron, tak że wystarczyło podnieść tylko rękę, by je zerwać i rozkoszować się ich ciepłym sokiem. Drobne, słodkie grona, podobnie do kiści białych koryntek. Delicje!

Łucja przysłuchiwała się uważnie, ale jednocześnie obserwowała ową dziwną wyniosłość Edwarda w stosunku do jego kuzynki. Co kryło się za tym? Drażniło ją to i psuło humor.

Po omlecie, obficie nadzianym wiśniami i oblanym pieniącą się bitą śmietaną, weszła panna O'Regan, by usłyszeć sąd o swoich wytworach. Przystanęła u drzwi ze zwykłą pokorą, a Edward rozparty w fotelu, odzyskawszy całą pewność siebie, obracał w palcach nóżkę kieliszka. Słaby uśmiech igrał na ustach księdza, a światło wpadające przez okno lekko opromieniało jego postać - ucieleśnienie dobroci.

- Wszystko było doskonałe - rzekł - doskonałe.

Gospodyni uśmiechnęła się blado, lecz spoważniała w okamgnieniu, gdy Edward dodał:

- Mam zastrzeżenie tylko co do ptaków. Myślę, że trzeba było jeszcze poczekać. Wolę cietrzewie bardziej jędrne.

Poczerwieniała lekko i spuściła oczy.

- Tak, wasza wielbność - szepnęła - muszę się rozmówić z tym handlarzem drobiu.

W tonie jej nie było lęku, lecz tylko głęboka rezygnacja i żal. Zdawało się, że jak gdyby chcąc naprawić czyjąś nieudolność, która wymykała się spod jej wpływów, panna O'Regan gotowa była wyruszyć na trzęsawiska i upolować dla niego parę cietrzewi w bardziej odpowiednim czasie. Tak: "wszystko dla Edwarda" - to był przewodni motyw jej życia, kochała bowiem Edwarda. Nie była to żadna miłość fizyczna, ale duchowa - duchowo czuła się jego oblubienicą.

- Ale poza tym wszystko było doskonale - rzekł Edward łagodząco.

- O tak, naprawdę - ciepło dodała Łucja.

- Doskonale - powtórzyła Anna. Ksiądz skinieniem głowy pozwolił odejść gospodyni, której zasługi oceniono w sposób należyty.

Edward podziękował Bogu za doskonały obiad, po czym przeszli do salonu na piętrze, gdzie podano kawę. Tu, ulokowawszy się wygodnie, po odejściu Piotrusia, który wyszedł spytać o złotego kota, powinni byli czuć się bardzo dobrze. Jednakże w pierwszej chwili rozmowa jakoś się nie kleiła.

- A Frank? - spytał na koniec Edward. - Jakże mu się powodzi, temu dziwakowi? Czy... czy spełnia teraz regularnie swoje obowiązki religijne? - Umilkł na chwilę, następnie spojrzał na Łucję i podsunął: - W tej dziedzinie, moja droga, powinien się zaznaczyć twój wpływ.

- Frank nie... nie jest zbyt pobożny - odparła powoli, kierując spojrzenie na płamkę szarego popiołu, który opadł na guzik sutanny szwagra. Świadoma swoich własnych braków - była przywiązana do religii, lecz teraz czując, że jej wiara nie równoważy wielości popełnianych błędów, dodała: - Wiem jednak, że w głębi duszy jest wierzący.

- Oczywiście, oczywiście - przytaknął, a spojrzenie jego przez chwilę spoczęło wymownie na Annie. - Może udawać szydercę jak inni, ma jednak wiarę. Trochę apatii, trochę obojętności, cień chłodu, ale w głębi duszy jest nieskażony. A ty Łucjo - szepnęła,

łącząc perłowe koniuszki palców, i delikatnie zmierzając do swego celu - zanadto kochasz Franka, by pozwolić mu na opieszałość w tych sprawach.

Uśmiechnęła się z przebiegłości Edwarda. Doskonale śniadanie, sherry i burgund, przyjemnie mieszając się, wprawiły ją w rozmarzenie.

- Doskonale zgadzamy się z Frankiem - powiedziała, wciąż jeszcze lekko uśmiechnięta.

- Bo też umiesz nim kierować - uprzejmie zauważyła Anna. - To nie ulega wątpliwości.

- Sądzę - szybko rzekł Edward - że Frankowi nie zaszkodzi, gdy się nim trochę pokieruje. - Uspokoiwszy swe sumienie, powrócił do spraw doczesnych. - A jak jego sprawy zawodowe? - spytał.

- Świetnie - oświadczyła. - Ma też dobre perspektywy; nie mogę na razie nic więcej powiedzieć... ale mam nadzieję, że czeka Franka coś dobrego.

Skinął głową, uradowany tym.

- Bo widzisz - ciągnęła, podniecona jego zainteresowaniem - pragniemy wybić się w życiu, pragniemy się dźwignąć. Trzeba myśleć o przyszłości. A także o wychowaniu Piotrusia. Jest już dużym chłopcem, a nie jestem zbyt zadowolona ze szkoły, do której chodzi. - Żarliwość malująca się na jej twarzy świadczyła, że ma nadzieję i dość energii, by zdobyć powodzenie. Już ona się postara zapewnić mu sukces i utorować Piotrusiowi drogę do kariery.

W odpowiedzi na pytanie Edwarda przyznała, że nie zauważyła u syna skłonności do stanu duchownego. Pragnęłaby, żeby został lekarzem.

- I ich działalność jest pożyteczna - grzecznie wtrącił Edward. - Są lekarzami ciała, podczas gdy my jesteśmy lekarzami duszy.

W tej chwili Anna, słuchając dotąd w milczeniu, poruszyła się trochę niespokojnie. Ale na pytające spojrzenie Edwarda uśmiechnęła się.

- Jestem śpiąca - rzekła - nic więcej.

Ostatni raz zaciągnął się dymem swego tureckiego papierosa, ze smakoszcstwem rozdmывая lekko nozdrza, po czym powiedział:

- Może przejdziemy się po ogrodzie? To cię orzeźwi.

- Idźcie sami - odparła Anna rozpierając się wygodnie i przymykając oczy. - Jestem senna. Zostanę tu i zdrzemnę się chwilę.

- Dobrze! - zgodził się Edward marszcząc czoło. Z wyniosłą miną podniósł się z krzesła, pomógł wstać Łucji, następnie wziął z kominka swój biret, a z haka za drzwiami krótki płaszcz z cienkiego ciemnego materiału. Był to stary płaszcz, który przywiózł sobie z Hiszpanii; gdy go jednak zarzucił na ramiona wspaniałym pontyfikalnym gestem, miało się wrażenie, że nikt nigdy jeszcze w żadnej szacie nie wyglądał tak romantycznie. Teraz Łucja mogła w pewnej mierze zrozumieć zbożną cześć panny O'Regan.

Na dole wyszli szklanymi drzwiami jadalni i zaczęli powoli krążyć po ogrodzie, okoloną ścieżką.

Wciąż jeszcze odczuwając irytację, milczał przez chwilę, po czym nagle spytał:

- Co myślisz o niej - o Annie?

- Sama nie wiem - rzekła z uśmiechem. - Dość ją nawet lubię, ale wydaje mi się... taka jakaś tajemnicza.

- Tajemnicza! - wybuchnął. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz zamknął je raptownie; a chociaż Łucja czekała, że zrobi jakąś uwagę, to jednak nic nie powiedział. Nastąpiło nieco kłopotliwe milczenie, w ciągu którego Edward odzyskał równowagę, a przeszedłszy dokładnie dwadzieścia razy obok kolorowego posązku, przystanął.

- To moja przechadzka poobiednia - rzekł. - Dwadzieścia razy w koło wystarczy do pobudzenia wątroby. - Następnie zaproponował jej jak zwykle obejrzenie kościoła. Był dumny ze swojego kościoła, dzieła znanego architekta Pugina. Kiedy weszli, cicho zwrócił jej uwagę na cudną linię gotyckich łuków, piękno ścianek ołtarza i postacie drewnianych aniołów na ambonie. Pugin stworzył ten kościół, zanim Bóg stworzył Edwarda, niemniej patrząc na niego, trudno było obronić się przed myślą, że to on, Edward, nakreślił plan kościoła, wznosił go własnymi rękami, a oto teraz jest jego jedynym posiadaczem.

- Tak, jest niezwykle piękny - powiedział w końcu, wydymając usta i zatrzymując spojrzenie na jej poważnej twarzy. W tej chwili uważał ją za skromną i szlachetną istotę, nie posiadającą może wielkiej inteligencji, lecz prawą i z szacunkiem odnoszącą się do jego kapłańskiej godności, ponadto ładnie ubraną - a lubił dyskretną elegancję dobrze ubranej kobiety.

Uklękli i odmówili cichą modlitwę. Trochę skrepowana obecnością duchownego, Łucja nie mówiła dużo, jedynie zbożnym przejęciem, które widniało na jej twarzy, okazując cichą wdzięczność za swój szczęśliwy los, kiedy stała tak w obliczu tego tajemniczego ołtarza. Następnie wstali, wyszli z kościoła i zabrawszy Piotrusia z jadalni, gdzie serdecznie rozmawiał z Eileen, poszli do szkoły zgodnie z ustalonym rytuałem tych wizyt. Edward był dumny także ze swojej szkoły. Gdy przechodzili przez sale szkolne, w każdej na powitanie ich zrywały się dzieci i skandowały jak dobrze wyuczoną lekcję: "Dzień dobry księdszu". Edward pokazywał swego bratanka:

- Ale z ciebie wielki mężczyzna - mówił z dumną chełpliwością, gładząc głowę Piotrusia, którego szkocka spódniczka odbijała niewątpliwie korzystnie od ubogich fartuszków i popękanych trzewików, a rozmaici nauczyciele nie szczędzili też pochwał "bratankowi jego wielebności".

Gdy wyszli ze szkoły, Łucja, choć pozornie opanowana, była ogromnie przejęta. To subtelne podkreślanie wyższości jej syna stanowiło dla niej najprzyjemniejszą część wizyty. Jednakże odłączywszy się od Edwarda i Piotrusia, by jak zwykle złożyć gospodyni kurtuazyjną wizytę, mimo całego zadowolenia doznała nieokreślonego uczucia niepokoju. Coś - sama nie wiedziała co - zmieniło jej przyjemny nastrój. Tak, nie mogła pozbyć się wrażenia, że Anna niepokoi ją, co dla jej prostolinijnego postępowania było czymś niezrozumiałym. Dziś Anna trzymała się tak uprzejmie na uboczu, w nieuchwytny sposób wyłamując się ze zgodnej harmonii tej wizyty. Anna miała pieniądze, była przystojna i niezależna, uprawniało ją to do zrozumiałej pewności siebie. Ale kryło się w tym jeszcze coś więcej. Niedbały sposób bycia Anny okrywał ją chwilami niby skorupą, pod którą kipiały siły dziwne i nieoczekiwane. Co poza tym znaczyła ta wyniosłość w zachowaniu Edwarda, a także ów dziwny błysk w oczach panny O'Regan? Miała ochotę zapytać wprost Edwarda, ale na ten temat miał widocznie usta zapieczętowane. Teraz jednak, siedząc w dusznej izdebce panny O'Regan - bo Teresa O'Regan nie otwierała okien, o ile nie wietrzyła wełnianej garderoby Edwarda - Łucja spjrzała zamyślona na gospodynię.

- Jego wielbność powiedział mi - rzekła panna O'Regan - że Piotruś przyjedzie do nas na kilka dni po wyjeździe Anny.

- Tak - potwierdziła Łucja. A po chwilowej pauzie, nagle, niemal bezwiednie, zawołała:

- Panno O'Regan! Czy zechce mi pani coś powiedzieć? Dlaczego pani nie lubi Anny?

- Anny? - jak echo powtórzyła panna O'Regan w najwyższym stopniu zakłopotana tym niespodziewanym pytaniem.

- Tak! Dlaczego jej pani tak nie cierpi?

Nastało milczenie, a panna O'Regan poczerwieniała gwałtownie.

- Nie mogę powiedzieć, że jej nie cierpię - powiedziała niechętnie. - Ja ją tylko ganię.

- Ale dlaczego? - nalegała Łucja.

- Pani nie wie? - mruknęła panna O'Regan. - Czy mąż... nie powiedział pani?

Łucja potrząsnęła głową, zaciekawiona i zmieszana, czując się trochę nieswojo z powodu zachowania gospodyni. Panna O'Regan końcami palców zasłoniła swoje blade usta, widocznie pragnąc mówić, a jednocześnie bojąc się tego.

- Wolę nie mówić - rzekła drżącym głosem.

- O co chodzi? - Łucja czekała zniecierpliwiona.

- Nie wiem... - wybąkała gospodyni. Następnie splotła swe chude ręce i wybuchnęła potokiem słów.

Łucja zerwała się, do głębi wzburzona. Mimo śmiesznego zakłopotania panny O'Regan, nie było nic śmiesznego w nieszczęśliwym fakcie, który jej właśnie wyjawiała. Bez osłonek i wszystkich tych pobożnych wzdychań fakt ten był druzgocący: Anna była matką nieślubnego dziecka!

Oburzona i trochę zmieszana, Łucja patrzyła w milczeniu na gospodynię. Nigdy nie byłaby podejrzewała czegoś podobnego. Nie zadałaby też tego pytania, gdyby chociaż przez moment przypuszczała, że otrzyma tę okropną odpowiedź.

- Było to przed pięciu laty - gorączkowo ciągnęła panna O'Regan z wyrazem bólu na twarzy. - I umarło... to biedne małeństwo... gdy miało trzy lata.

Oczy Łucji zasępiły się. Znalazła się w krępującej sytuacji, nieprzyjemnej, oburzającej, tak nieprawdopodobnej, jakby wyjętej z powieści. Nie zmieniło to jednak samego faktu. W jednej chwili rozproszył się miły nastrój tego popołudnia.

- Ale dlaczego...? - rzekła w końcu. - Kto był...?

W oczach panny O'Regan zamigotał niepokój, ale natychmiast je spuściła, była wyraźnie zakłopotana.

- Nie wiem - odrzekła spieszenie. - Nikt nie wie, kto był ojcem. Obcęgami by nie wydarto z niej jego nazwiska. Po prostu zamknęła usta i nie powiedziała ani słowa. Jego wielebność był strasznie oburzony. Och, ładne ziółko z tej Anny!

- Ale przecież... - nalegała Łucja. - Przecież...

Nie dokończyła, gdyż w tej chwili wpadł do pokoju Piotruś, a za nim Edward i Anna.

- Mamo, spóźnimy się! - zawołał chłopiec. - Zamówiłaś Dawida na czwartą.

- Tak - odparła automatycznie. - Istotnie.

- Więc prędko! Prędko! Przez to spanie Anny i twoje rozmowy spóźnimy się na łódź.

Po chwili wszyscy skierowali się do hallu.

- Odprowadziłbym was - tłumaczył się Edward przystając w drzwiach. - Muszę jednak odwiedzić... kochaną starą przyjaciółkę... pannę Mac Tara!

- Nie przeszkadzaj sobie ze względu na nas - z uśmiechem rzekła Anna.

Pożegnał ich serdecznie, wspominając ponownie, że Piotruś musi przyjechać na parę dni pod koniec wakacji. Także panna O'Regan podała im na pożegnanie zwiotczając rękę. A Eileen, przyciskając pyszczek żółtego kota do bocznego okna kuchni, wyglądała tak wesoło, że Piotruś zaczął się śmiać. Łucja nie śmiała się jednak. Była oszołomiona, nieswoja - ogarnięta bezpodstawnym niepokojem, jak gdyby niemiła wiadomość, udzielona przez gospodynię, sprawiła jej wielką przykrość. Nie był to żaden określony ból ani spóźnione współczucie dla Anny - niepodobna martwić się Anną, kiedy wcale nie żądała współczucia. Znow spozrzała na nią. Ale tamta była widocznie zajęta własnymi myślami. Łucja poczuła przykre rozdrażnienie, niewytłumaczone, lecz męczące - niejasne przecucie, którego nie potrafiła się pozbyć. Dlaczego - rozmyślała z niepokojem - dlaczego na Boga Frank nigdy nie opowiedział mi historii Anny? Ta myśl zabolala ją, zmartwiła, uczyniła dziwnie milczącą. Znow przypomniały jej się słowa panny O'Regan, przejmując ją strachem: "Czy mąż... nie powiedział pani?" Pytanie to zdawało się płonąć w jej umyśle: dlaczego Frank nigdy jej tego nie powiedział?

W następną sobotę mieli urządzać piknik, który Piotruś obmyślił przed przybyciem Anny. Teraz z nieubłaganym zapałem młodości nalegał na urzeczywistnienie swego projektu. Łucja odnosiła się do tego z rezerwą: nie potrafiłaby wyjaśnić dlaczego, ale nie chciała brać udziału w wycieczce. Frank jednak przejął się ogromnie pomysłem syna i omawiał rozmaite kuszące szczegóły - począwszy od wynajęcia niewielkiej łodzi, którą mieli przepłynąć zatokę, aż do jazdy powozem przez wzgórza Winton. Łucja powiedziała krótko, że jeśli już muszą odbyć tę wycieczkę, to po prostu pojedą czółnem ku lasom na przylądku Ardmore. To niedaleko, oświadczyła, i będzie miała przynajmniej korzyść z wycieczki, zbierając maliny na marmoladę.

Była niezwykle podniecona, gdy z podwiniętymi rękawami robiła w kuchni przygotowania do pikniku. Zdawała sobie sprawę, że nastrój jej jest idiotyczny, w najwyższym stopniu idiotyczny, a jednak w ciągu ostatnich dwóch dni była pod jego wpływem. Nie wspomniała Frankowi o swym niedawnym odkryciu, w głębi serca przekonana jednak, że Frank powinien był dawno powiedzieć jej o tym. Dlaczego tego nie zrobił? Ona nie przed nim nie tała, całkowicie należała do męża i tego samego oczekiwała od niego. Poza tym od ostatniej wizyty w Port Doran dała mu wiele sposobności do naprawienia błędu: to podsuwała mu jakąś myśl, to robiła aluzje, niemalże resztkami cierpliwości czekając, by okazał spóźnione zaufanie. A on nie powiedział nic. Do rozpacz doprowadzało ją to widocznie rozmyślne ukrywanie.

Niecierpliwie podniosła głowę i przez okno szybkim spojrzeniem objęła Annę, Franka i Piotrusia, którzy pochyleni ku sobie, z wielkim zainteresowaniem badali rozkopaną ziemię. Usłyszała cienki dźwięczny śmiech syna, grzebiącego skrupulatnie pod drzewem w poszukiwaniu robaków. Przy obiedzie opowiedział, w jaki sposób zamierza pokonać przebiegłego pstrąga, o którym opowiadano, że przebywa w górnej części rzeki Ardmore i ma być rybą o legendarnej wielkości i bajecznym wieku.

Powinna się była uśmiechnąć z tych przechwałek, lecz nie zrobiła tego. Była rozdrażniona i uszczypliwa, myśląc o Annie - o tej powściągliwej kobiecie, której nie potrafiła zrozumieć - o Annie, której oblicze ukazało się teraz w nowym świetle, nie

budzącym zaufania. Gdyby wiedziała o tym epizodzie z jej przeszłości, czy byłaby tak chętnie powierzyła jej opiece swój dom i Piotrusia i - myślała o tym z wewnętrznym bólem - Franka? Anna i Frank byli krewnymi, to prawda. Ale pozostawić och w stosunkach oczywistej wzajemnej obojętności, a zastać potem w chwili powrotu, oblewających swą przyjaźń piwem - przeobrażenie niewiarygodne, wstrętne! Zupełnie się jej to nie podobało. Pod uprzejmie opanowaną powierzchownością Anny niewątpliwie kryje się jakaś wulgarność. Muszę - myślała Łucja, a brwi jej ściągnęły się w udrczeniu - muszę wyświecić tę sprawę.

Przede wszystkim po tym, czego się tak nagle i nieoczekiwanie dowiedziała, musi uważać Annę za kobietę o charakterze co najmniej nieokreślonym. Niczego nie podejrzewając, z całą szczerością zostawiła tę kobietę ze swym mężem, podczas gdy on jednym słowem mógł wyjaśnić sytuację. Ale tego słowa nie powiedział. A przecie niepodobna, by nie była mu znana historia Anny. Edward wiedział o tym i z pewnością wiedzieli też Joe, Polly, a nawet Lennox. Frank na pewno także. Ponadto, właśnie wtedy, kiedy Annie zdarzyła się ta fatalna przygoda przed pięciu laty - mniej więcej w tym samym czasie Frank bawił w Belfaście. Musiał więc przeżyć z nimi to nieszczęście, musiał je zapamiętać. A mimo to nic żonie nie powiedział.

Nerwowym ruchem opanowała się i nagle spuściła oczy. Musi skończyć przygotowania do wycieczki. Zbyt długo rozmyśla nad tą przykrą sprawą. Wzięła więc do rąk bochenek chleba i pokroiła na długie kromki, które szybko posmarowała masłem. Na kilka nałożyła poza tym zrobioną w domu marmoladę z jabłek, a na inne dżem z rabarbaru, z pozostałych zrobiła kanapki z szynką, pozostawiając niektóre bez musztardy ze względu na wrażliwe podniebienie Piotrusia. Następnie posmarowała masłem cały stos krakersów, upieczonych dopiero wczoraj, połowę zimnego puddingu pokrajała w duże, soczyste kawałki, zabrała smaczny placek owocowy i paczkę kruchych herbatników z puszki, w której je stale przechowywała. Jej małe dłonie poruszały się wprawnie. Mimo pośpiechu nie zapomniała niczego - zabrała nawet paczuszkę soli do jaj ugotowanych na twardo. Nareszcie kosz był zapakowany i przykryty białą serwetą. Spuściła rękawy i wybiegła - choć nie było powodu do pośpiechu - tylnymi drzwiami, wołając:

- Wszystko gotowe! Gotowe!

Tamci odwrócili się; Piotruś kiwając ręką z przesadnymi oznakami uznania, przybiegł do niej z miną bardzo ważną i pokazał jej puszkę wijących się robaków oczekując, że matka

odwróci wzrok ze wstrętem. Lecz ona patrzyła na męża. Gdy nadszedł, objęła go ramieniem i powiedziała:

- Franku, jestem gotowa.

- Dobrze - rzekł, trochę zdziwiony tym nagłym przejawem serdeczności.

W ciągu paru minut zebrali swoje rzeczy. Łucja zrobiła jeszcze kilka ostatnich uwag służącej, przypominając, że pod jej wyłączną opieką pozostawia teraz dom.

Piotruś z wędką na ramieniu i z kociołkiem w ręku prowadził w kierunku przystani Bowiego; obok niego szedł Frank z koszykiem prowiantów. Łucja z mniejszym pustym koszykiem, do którego miała zbierać maliny rosnące w lesie w ogromnej ilości, podążała z Anną w pewnej odległości za nimi. Na skraju zatoki nagle przystanąła.

- Coś takiego - zawołała uradowana - przecież to panna Hocking!

Istotnie zbliżała się do nich kobieta z tłustym foksterierem, który dyszał z nadmiaru tuszy, wysunawszy różowy język. Dama - gdyż niewątpliwie była to dama - miała okazałą, wyniosłą postać, masywną, lecz elegancką, o zaokrąglonych kształtach Junony, i gładką posągową twarz, która pasowała do jej wieku i klasycznej powierzchowności. Głowa jej była mała, rysy regularne, nos kształtny i prosty, czoło bez zmarszczek niby biała opaska, oczy błękitne jak morze, duże i przejrzyste pod ciężkimi powiekami. Miała na sobie dobrze skrojony kostium z popielatego materiału, przylegający ściśle do jej bujnych kształtów. Biała bluzka z ciężkiego jedwabiu z guziczkami z perłowej masy i wysokim kołnierzem, eleganckie zapinane buciki, szare skórkowe rękawiczki, długi, szczelnie zwinięty parasol z cienką rączką ze słoniowej kości, dopełniały jej stroju. Postać imponująca! - tak, nawet nieco ekscentryczna. Podeszła do Łucji z uśmiechem, patrząc na nią swymi dużymi, jasnymi oczyma; twarz jej bez jednej zmarszczki, gładka i okryta lekkim puszkim, jaśniała pod spiętrzoną fryzurą lśniących złotych włosów.

- Mam nadzieję - zawołała od razu ze śmiechem - że nie będzie deszczu. - Miała głos dystyngowany, o głębokim brzmieniu, a mimo częstego śmiechu zachowanie jej robiło dobre wrażenie właśnie dzięki cechującej ją swobodzie. - Kochany synek! - ciągnęła przyglądając się nadchodzącemu Piotrusiowi. - Ale gdzie jego spódniczka? Mały góralczyk. Wrzosowiska i paprocie - takie piękne w jesieni: "Moja stopa na ziemi rodzinnej, moje nazwisko Mac

Gregor!" Kiedy mnie pani znów odwiedzi? - Mówiła zwykle seriami zdań, które przystawały do siebie niby boki kwadratów, i tylko ostatnie z nich zawierało może ziarnko zdrowego rozsądku.

- Mam nadzieję, że niedługo - uprzejmie odparła Łucja i odwróciwszy się przedstawiła jej Annę.

- Ubóstwiam dzieci - rzekła panna Hocking do Anny - zwłaszcza chłopczyków! - Tajemniczo, niemal kokieteryjnie zdawała się zaznaczać swoje zainteresowanie dla dzieci płci męskiej - nie tęskne pragnienie kobiety samotnej i niekochanej, lecz uczucie bardziej intymne i romantyczne.

- Wybieramy się na piknik - zauważyła Łucja trochę zakłopotana. Wiedziała, że panna Hocking potrafi być jak najbardziej rozumna, jeśli zechce.

- Pomyślne omeny - odrzekła panna Hocking w rozmarzeniu. - Błękitne niebo, błękitne morze. Pani nie była na Capri. Tam jest cudnie. W grotcie zanurzają się piękni chłopcy, "Condottieri". - Umilkła, podniosła głowę i zdawała się zastanawiać. - Nie chcę państwa zatrzymywać. W drogę! W drogę! Bawcie się dobrze. Niezwykła pogoda o tej porze roku. Ale muszę już odejść. Czeka mnie pewna robota. Bardzo ważna.

Wspomnienie tej nagłej sprawy zakończyło spotkanie. Jak człowiek działający pod nagłym przymusem, panna Hocking skinęła głową, spojrzała na Łucję z uśmiechem, przy czym ani jedna zmarszczka nie pobruździła jej gładkiej, wesołej twarzy. Następnie odwróciwszy się, z wdziękiem ruszyła przed siebie.

- Wielki Boże! - od razu odezwała się Anna. - Co to za jedna?

Ton, jakim wypowiedziała te słowa, wywołał nagle ciemny rumieniec na twarzy Łucji, zwłaszcza że czuła, iż jest on poniekąd usprawiedliwiony.

- To moja przyjaciółka - odpowiedziała chłodno. - Bardzo dobra przyjaciółka. I jest czarująca!

Słowo to brzmiało niezwykle w jej ustach, a jednak wydawało się jej bardzo odpowiednie.

- Wygląda na dziwaczkę - rzekła Anna, gdy zbliżali się do łodzi, którą Frank wybrał przy pomocy Dawida. Nie podobają mi się jej "omeny" - ani jej "dzieci płci męskiej!"
Nadawałaby się na żonę Heroda.

- Jest dziwaczką - potwierdził Frank, który szykując wiosła usłyszał słowa Anny. - Na pół zwariowana! A ten potworny pies wygląda, jak gdyby go nadmuchała pompką do roweru.

- Strasznie wielka - dorzucił Piotruś. - Taka wielka - rozejrzał się szukając porównania - jak łódź.

Łucja zacisnęła wargi i zmarszczyła czoło. Miała niewielu przyjaciół w Ardfillan, gdzie panował wyrafinowany snobizm, i lubiła pannę Hocking, którą poznała całkiem przypadkowo. Spotkanie na promenadzie, gdzie pierwszy przelotny uśmiech skierowany do Piotrusia wywołał skinienie głowy Łucji, a potem mimochodem rzucone słowo i uprzejma wymiana zdań na temat pogody zakończyły się ostatecznie nawiązaniem przyjaźni. Teraz obie kobiety znały rozmaite szczegóły ze swego życia, a Łucja dowiedziała się, że kiedyś panna Hocking zjawiwszy się tu nagle po pobycie w Anglii, "nauczała" muzyki w wytwornym żeńskim seminarium w Redlands. Ale teraz panna Hocking już nie uczyła. Przed paru laty, z powodów nie ujawnionych, skończyła swoją działalność nauczycielską. Nie wróciła jednak do Anglii. Pozostała w Ardfillan, żyjąc samotnie, oddana widocznie muzyce, swemu psu i miłemu komfortowi życia, jak przystało damie o dobrym smaku i materialnie niezależnej.

A oto przeciw jej przyjaźni z tą czarującą, choć ekscentryczną kobietą, Frank połączył się z Anną. To wyprowadziło Łucję z równowagi i z goryczą uczuła nagły przypływ poprzedniego rozdrażnienia. Siedzieli teraz w łodzi, a brwi jej ściągnęły się lekko na widok męża wiosłującego z niezwykłym rozmachem. Popisywał się, czuła to - popisywał się przed Anną. I ogolił się bardzo starannie, i włożył najnowsze ubranie! Czy to także dla Anny? Nienawidziła ich sposobu prowadzenia rozmowy. Skończywszy z panną Hocking, zaczęli ponownie omawiać wizytę w Port Doran, współzawodnicząc ze sobą w wyszydzeniu Edwarda. Tak, teraz widzi już charakter Anny w pełniejszym świetle, pod jej zewnętrznym spokojem niewątpliwie kryje się szyderstwo.

- Sardynkowy - powtarza Anna z łagodną drwiną - i nie z butelki.

- U Neda wszystko sprowadza się do żołądka - zawtórował Frank ze znacznie mniejszą subtelnością. - Dajcie mu dobre jedzenie i butelkę wina, a będzie się czuł znakomicie.

- Kręgosłup panny O'Regan - westchnęła Anna przesuwając w wodzie palce. - Niemal cud. Wspaniały!

- Kwartalna zbiórka wypada w przyszłą niedzielę.

- W każdym razie przyjemne zajęcie, Franku - w dalszym ciągu mówiła Anna z twarzą uprzejmą, pozbawioną wszelkiego wyrazu. - Małe tajemnice przy konfesjonale. Ładne, skruszone grzesznice. "Jak często, moje dziecko, dopuściłaś się..."

- Miłe perfumy w ciemności - zaśmiał się szyderczo.

- "Jockey Club" dla ojca Moore - powiedziała miękko. - Sympatyczny człowiek. Miły, delikatny, łagodny. Przyjaciel panny Mac Tara! - I przechyliwszy głowę, ze zmrużonymi oczami zaczęła nucić: "Harfa, co brzmiała w komnatach Tara".

Wsparty na wiosle, Frank wybuchnął gwałtownym śmiechem, tak że cała łódź zachwiała się.

Łucja natomiast czuła bicie serca, dusiło ją w gardle. Nie była zelotką, jej stosunek do religii był raczej uczuciowy, ale coś takiego... - taka frywolność... i to w obecności Piotrusia! A Edward, niechże sobie będzie pompatyczny, ale czy Anna nie jadła jego chleba?

- Dostyc! - krzyknęła ostro. - Nie chcę tego słuchać dłużej. Zapamiętajcie to raz na zawsze!

Anna powoli podniosła oczy i uśmiechnęła się.

- Wolno przecież trochę pożartować - rzekła spokojnie.

- Nie lubię tego rodzaju żartów - odpowiedziała Łucja z silnymi wypiekami na twarzy.

Frank urażony wzruszył ramionami. Nastąpiła przykra pauza, po czym znów zabrał się do wiosłowania. Łucja również milczała. Bolał ją wyraz twarzy Franka; uświadamiała sobie, jak bardzo go kocha. Była rada, gdy nareszcie dotarli do przylądka i kiedy hałaśliwie wciągali

łódź na kamieniste wybrzeże, z ulgą poczuła, że napięcie mija. Następnie weszli do lasu i ścieżką ruszyli ku rzece Ardmore. Po palącym słońcu na otwartym morzu tu było chłodno i cienisto. Liście dębu przybrały kolor ochry, oliwkowy sykomor zabarwiony był szkarłatem, ale drzewa miały całe bogactwo swego listowia, a dalej rosły wciąż zielone paprocie, tak wysokie, że muskały głowę Piotrusia, gdy sobie torował drogę. Dla niego wycieczka nie posiadała żadnych powikłań, była jedynie zapowiedzią pięknej przygody. Oczy mu błyszczały, wędka sporządzona według zasad najdalej idącej oszczędności, a sprzedawana z zyskiem przez Gowa po jedenaście pensów i trzy farthingi, nastawiona jak oszczep, nadawała malcowi wygląd jaskiniowca.

Przedzierali się wzdłuż rzeki. Po deszczu wody z dolnego trzęsawiska płynęły zazwyczaj z gwałtownym szumem, brudne od torfu, ale dziś mknęły kryształowo czyste w swym wyżłobionym łożysku z niebieskiego kamienia. Wilgotne mchy czepiały się stromych brzegów, długie blade wstęgi paproci, podobne do jelenich języków, wysuwały się spragnione ku śpiewającej wodzie. Mokry zapach wilgotnej trawy mieszał się ze słodkawą wonią gliny wygrzanej na słońcu.

Nareszcie dotarli do jeziora. I już z daleka przytłumiony szept Piotrusia wypłoszył wszystkie pstrągi. Piotruś przygotował swoją indiańską wędkę, założył sznurek, który nie miał motowidła, wprawnie wsunął na błyszczący haczyk długiego, opierającego się robaka, wydobytego z rojącego się wnętrza puszki, następnie przycupnąwszy zarzucił wędkę na wodę.

Obserwując zapał synka, Łucja poczuła, że nastrój jej ulega zmianie - napięcie nagle ustąpiło. Była spokojna, opanowana, pocieszona. To jej niedorzeczne, bezpodstawne rozdrażnienie nic nie znaczyło - było głupim kaprysem? Rozmyślnie zwróciła się do Anny i spytała z uśmiechem:

- Będziesz łowić ryby czy zbierać jagody?

- Będę czekać - odrzekła Anna - i patrzeć, co się stanie.

- Tak - powiedział Frank - złowimy dla ciebie wieloryba.

Mamo, zostań tu, aż złowimy chociaż jedną rybkę - powiedział Piotruś.

- Sądę - odparła Łucja - że będzie wam przyjemnie zrobić mi niespodziankę, gdy wrócę. Do tego czasu złowicie już dwie lub trzy. - Skinęła głową zachęcająco, wzięła swój koszyk i dodała: - Postaram się znaleźć dla was parę "bursztynów"! - Tak nazywali słodkie żółte jagody, tu i ówdzie rosnące między krzakami malin.

- No, dobrze - rzekł Piotruś, który bardzo lubił "bursztyny" - niech będzie.

Ruszyła przed siebie, obejrzała się, skinęła ręką i poszła dalej ku wzgórzom porośniętym lasem. Obok niskiego kamiennego wału natrafiła na krzewy malin. Zaczęła je zrywać. Wisząc na lekko pochylonych cienkich łodyżkach, przepojone promieniami słońca, błyszczały jak pęki rubinów, tworząc na tle zieleni wzór ze szkarłatnych punkcików.

Ręce jej wsuwając się między gałązki odchylały srebrzyste liście. Aksamitne kuleczki przeważnie odrywały się lekko z szypulek, a czasem przejrzała jagoda rozpływała się w palcach, plamiąc je sokiem.

Koszyk, który niosła na zgiętym ramieniu, stawał się coraz cięższy. Wokół niej panowała kościelna cisza. To milczenie, tajemnicze dzięki słabym dźwiękom - szmeru liści, szelestu gałązki pod jej stopą, gruchania dzikich gołębi na wysokich bukach - milczenie to przeniknęło ją. Stopniowo uświadamiała sobie swoją samotność - wielka ręka samotności unosiła się nad nią. Łucja, rzucając wokół krótkie spojrzenia, coraz szybciej zrywała maliny. Nagle zapragnęła wrócić do wesołego towarzystwa tamtych i ze zmarszczonym czołem, uśmiechając się z własnej głupoty, odwróciła się i niemal wybiegła z zarośli.

W pobliżu jeziora zwolniła kroku, wesołym wołaniem ogłaszając swoje przybycie.

Nie otrzymała jednak odpowiedzi. Wyłoniwszy się nagle z zarośli ujrzała, że tylko Piotruś był na brzegu. Przystanęła raptownie, a uśmiech zamarł na jej twarzy.

- Gdzie tamci? - zawołała, a szorstkość jej głosu zdradzała ogromny niepokój. Przejęty swoim zajęciem, chłopczyk potrząsnął głową nie odwracając oczu od wędki, odcinającej się na tle drżącego cienia, który rzucał pochyły brzeg.

- Chyba gdzieś w pobliżu - odrzekł niejasno. Przez chwilę stała nieruchoma, następnie poruszyła się z wysiłkiem i postawiła kosz na ziemi. Z twarzą pozbawioną wyrazu, powoli nazbierała trochę suchych patyków, rozpałała ognisko i nastawiła kociołek z wodą.

Na skraju jeziora, wciąż zamyślona, zaczęła obmywać ręce używając zamiast mydła miękkiego, wilgotnego piasku. Piasek był czysty i lekko skrzypiał, gdyż wygładził go bystry prąd wody. Wartka zimna fala pieniała się jak mleko koło przegubów jej rąk. Nagle wyrwał ją z zadumy krótki krzyk. To Frank i Anna wracali ze śmiechem. Wybiegli z gąszczu krzewów, nie troszcząc się o nią, jak gdyby nie towarzyszyła im w silniku, ba, nie troszcząc się o nią do tego stopnia, jak gdyby wcale nie istniała. Obudził się w niej instynkt obrony swej własności. Choć nie dawała tego poznać po sobie, ogarnęło ją gwałtowne rozgoryczenie. Było to uczucie tak nagłe i niejasne, że zupełnie nie potrafiła go określić, nie była to ani zazdrość, ani podejrzenie - jedno i drugie było równie niedorzeczne. Nie podejrzewała Franka - byłoby to zbyt śmieszne - niemniej w jakiś dziwny sposób czuła, że między tymi dwójkiem istnieje porozumienie, co równocześnie obrażało ją i sprawiało przykrość.

I oto po raz pierwszy zaczęła udawać. Wyprostowana, zmuszając się do śmiechu, zapytała ze sztucznym spokojem:

- Gdzie byliście, na Boga?

- Chciałem pokazać Annie krajobraz po drugiej stronie - odparł swobodnie.

Łucja wpatrywała się w nich. Krajobraz - brzmiało to jak tradycyjny wykręt.

- Moglibyśmy przecież zobaczyć go później - oświadczyła gwałtownie.

Podniósł brwi.

- Ależ Łucjo, chyba... - zaczął.

Przerwała mu, drobna jej postać drgnęła, a w oczach zjawiał się wyraz napięcia.

- Mnie pozostawić zbieranie gałęzi i rozpalanie ognia, gdy już poprzednio zrywałam maliny. Niezbyt to uprzejmie z waszej strony. - Umilkła, tłumiąc gniew. Frank patrzył na nią z głupią miną.

- W każdym razie wszystko już gotowe - dokończyła, ponownie zmuszając się do śmiechu. - Chodźcie.

Usiedli.

Kanapki były soczyste, żółtko kruszyło się ponętnie, gorąca herbata miała przyjemny smak źródlanej wody. Niebieskobiałe smużki unosiły się nad zwęglonym drzewem, wijący się obłoczek dymu drażnił ich nozdrza ostrą wonią. Ale Łucja nie czuła smaku jedzenia, nie sprawiała jej przyjemności, przez cały czas umacniała się w decyzji, że dzisiejszego wieczoru musi rozmówić się z Frankiem - ot, spokojnie porozmawiać. Na razie pod wpływem nagłej zmiany humoru nalegała na niego, by jadł, podsuwając mu najlepsze kąski.

- Nic przecież nie jesz - powiedziała nagle, patrząc na niego z pewnym lękiem. - Co się stało z twoim apetytem?

Zrobił niecierpliwy ruch.

- Wszystko w porządku - odparł. - Podaj Annie ten placek. Ja mam dość.

- Zwykle jadasz więcej na wycieczkach - zaprotestowała.

W odpowiedzi wypił resztę herbaty, wstał i ruszył w kierunku wędki. Nic nie złowili, a wyciągnąwszy teraz żyłkę, przyglądał się martwemu robakowi na haczyku.

- Nie żyje! I nigdy nie znał mamy! - mruknął posepnie.

Anna, która również wstała, zaśmiała się krótko z tego ponurego dowcipu - tym swoim charakterystycznym śmiechem, który tak denerwował Łucję.

- Żałuję, że zadałam sobie tyle trudu przygotowując ten kosz - oświadczyła rozdrażniona. - Nikt zdaje się nie chce korzystać z tego, co przyniosłam.

- Ty sama jadłaś najmniej - sucho odparł Frank nie odwracając głowy.

- To prawda, mamo - zaśmiał się Piotruś z najgłębszym przekonaniem, ocierając palce o trawę. - Najwięcej jadłem ja, potem tatuś, potem Anna, a najmniej ty.

- Wytrzymaj usta chusteczką, chłopcze - rzekła patrząc nań surowo. - I zachowuj się, jak należy.

To dziwnie szybko zakończyło posiłek; talerze, obmyte przez Łucję w bieżącej wodzie i otarte przez zmieszanego Franka, zapakowano do kosza, po czym idąc wzdłuż strumienia, ruszyli ku morzu.

Popołudnie wypełniła teraz łagodna senność; zapach zerwanych malin, zgniecionych w koszu własnym ciężarem, unosił się niby zapach eteru. Lucja, idąc przed siebie wśród brzęczenia owadów, czuła ową dawną tęsknotę, owe niemal bolesne pragnienie tak często ją ogarniające, gwałtowne pragnienie czegoś, co mogłaby uchwycić i zatrzymać za wszelką cenę przy sobie.

Przechodząc po płaskich kamieniach na drugi brzeg strumienia, odwróciła się i ujęła ramię Franka. Niech sobie Anna drwi z tego popisywania się prawem posiadania - wcale jej to nie obchodzi. Ma swoją miłość i nie myśli jej ukrywać. Szli tak w poprzek wąskiego pola, gdzie pyłek mleczu zabarwił ich obuwie na brązowo, przenikliwa woń morszczyn wypełniła łagodne dotąd powietrze, strumyk stał się szerszy, płytszy, tu i ówdzie poprzerywany ławicami piasku. Z jego kamiennego łóżyska podnosiły się pędy żółtawych wodorostów, skręcając się i falując leniwie, bezsilnie. Na urwistych brzegach szorstka trawa i słone sitowie rosły sztywno pośród kulistych główek barwnych goździków. Na koniec przy zakręcie doszli do wybrzeża.

Lucja wciągnęła głęboko słone powietrze i wybiegła spojrzeniem na błękitne wody zatoki, gdzie w blasku słonecznym, niby mewa unosząca się w powietrzu, widniał biały żagiel łódki. Poczuli się teraz swobodniejsza, a jednak było jej nieswojo z tym ukrytym dziwnym uczuciem, które uspiła tylko, a którego nie pozbyła się całkowicie.

W powrotnej drodze, kołysana leniwym ruchem łodzi, przymknęła oczy, jak gdyby śpiąc; ogarnęło ją istotnie dziwne znużenie, osłabienie, wypływające z jakiegoś wewnętrznego wyczerpania duchowego. Tamci troje śpiewali, a ponad cichą wodą dźwięki płynęły stłumione i łagodne, zlewając się ze spokojnym rytmem wiosła. Lucja nie miała jednak ochoty przyłączyć się do nich. Poza tym były to piosenki sentymentalne, wprawiające ją w dziwne wzruszenie. Na natarczywe prośby Piotrusia zaśpiewali na ostatek dziecinną niedorzeczną kołysankę, którą mu nieraz nuciła:

Moja pieszczotka jest za oceanem,

gdzie fale piętrzą się sine -

moja pieszczotka jest za oceanem,

przywieźcie me dziecko jedyne.

Przywiedźcie mi...

Przywiedźcie...

Ta prześladowająca ją tęsknota, wywołana pięknem cichego, ciepłego popołudnia, budziła w niej żarliwe pragnienie ucieczki od siebie, sprawiała jej dojmujący ból. Jedyne silne zaciśnięcie powiek zapobiegło wypłynięciu gorącej, śmiesznej łzy.

Gdy doszli do przystani, a Dawid wybiegł z szopy, by pomóc im przy lądowaniu, doznała niemal uczucia ulgi.

- Miała pani wspaniały dzień - rzekł Dawid uśmiechając się do niej i mocno trzymając ją za rękę, gdy wskakiwała na kładkę.

- Tak, wspaniały - przyznała, lekko odwzajemniając jego uśmiech, gdyż lubiła go.

Jednak z niewiadomej przyczyny dzień ten nie był dla niej wcale wspaniały. Dobrze było znaleźć się znów w domu, dobrze nawet zobaczyć uśmiechniętą twarz Dawida, tak uspokajającą i realną. Łucja miała wrażenie, że cały wiek upłynął od chwili zejścia z tej kładki do łodzi. Cieszyła się, że niebawem znajdzie się w swym czystym, chłodnym mieszkaniu.

Wykąpała Piotrusia i ułożyła w łóżku, następnie przebrała się i zeszła na parter. Zajęta haftowaniem, wydawała się spokojna, ale wykonując ścięgi, wyczekiwała niecierpliwie, by Anna odeszła do swego pokoju. Ale właśnie dziś Anna zwlekała z odejściem. Wybiła dziesiąta, zanim zerknęła na zegar. Nareszcie jednak wstała i powiedziała dobranoc.

Łucja została z mężem sama.

Oto oczekiwana sposobność. Szybko zdecydowawszy się, odłożyła robotę, podeszła i usiadła obok niego na sofie, gdzie czytał wieczorną gazetę.

- Franku - rzekła stanowczym głosem. - Muszę z tobą pomówić o Annie.

- Mów, moja droga - mruknął nie odwracając głowy. - Słucham cię.

Głęboko zaczerpnęła powietrza. Zanim podejmie rozmowę, dotyczącą przeszłości Anny, da mu jeszcze ostatnią sposobność, by sam to zrobił. Powiedziała powoli:

- Wszak dobrze znałeś Annę, zanim poznaliśmy się z sobą, prawda?

- Co za pytanie - odrzekł lekkim tonem. - Przez długie lata mieszkaliśmy w Levenford, w tym samym mieście. Jako dzieci bawiliśmy się razem w ciuciubabkę.

Bezwiednie ściągnęła usta.

- I często ją zapewne widywałeś podczas swego pobytu w Belfaście?

- Tak - potwierdził od razu.

- Dlaczego więc - rzekła jeszcze wolniej - dlaczego nie opowiedziałeś mi o niej?

Nie podniósł oczu, lecz zauważyła, że nagle utkwił spojrzenie w gazetce i przestał bębnić palcami po kolanie.

- Co masz na myśli? - spytał po dłuższej chwili.

- To, co mówię!

Powoli podniósł głowę i obrócił się do Łucji - nic jednak nie powiedział. A ona, dopatrując się w jego milczeniu chęci unikania tego tematu, zawołała nagle drżącym głosem?

- Dlaczego nie powiedziałeś mi, że miała dziecko?

Brzmiało to jak oskarżenie. Otworzył usta w śmieszny sposób, wpatrując się w nią przez długą chwilę.

- Co? - bąknął. - Skąd dowiedziałeś się o tym?

- W każdym razie nie od ciebie! - krzyknęła histerycznie, w gwałtownym wybuchu tracąc opanowanie, które zdobyła podczas ostatnich dwóch dni, wyładowując napięcie, w jakim była w ciągu dzisiejszego popołudnia.

- Powinieneś był powiedzieć mi o tym. Wiesz, że powinieneś był to zrobić. Pozwolić mi zaprosić Annę i nie pisać ani słowa, choć wiedziałeś o wszystkim. Więcej. Pozwolić, bym powierzyła jej pieczę nad domem, wyjeżdżając do Ralston. Tak być nie powinno. Nie

rozumiem tego. Bardzo to przykre dla mnie, Franku, na litość boską, czemu nic nie powiedziałeś?

- Pozwól mi dojść do słowa - zaprotestował czerwieniąc się. - Nie zalewaj mnie takim potokiem słów.

Był zgnębiony wiadomością, że Łucja zna losy Anny, chociażby z tego prostego powodu, że sam zamierzał jej to powiedzieć. Tak, postanowił to zrobić, lecz - przez wrodzoną bierność - nie zadał sobie jakoś tego trudu. Nie chciał ukryć całej historii z żadnego szlachetnego czy wzniosłego powodu - żadna głupia egzaltacja nie nakazywała mu przypieczętować milczeniem hańby Anny. Całkiem po prostu pozostawił tę sprawę w spokoju. Raz czy dwa razy próbował się nad nią zastanowić, namyślał się i nie powiedział nic. A teraz uświadomiwszy sobie nagle swoje postępowanie, poczerwieniał jeszcze mocniej i z nutą przekory zawołał:

- Nie powiedziałem ci z tego prostego powodu, że to nie twoja rzecz. Oto powód - jeśli chcesz wiedzieć. Nie dotyczy to ciebie. A teraz cię również nie powinno obchodzić.

- Istotnie! - oświadczyła, a oddech jej stał się szybszy. - Nie powinno mnie obchodzić, jaka kobieta przebywa w moim domu. Ponieważ ty chcesz milczeć, ponieważ uważasz, że powinieneś ukrywać coś przed żoną, dlatego musimy mieć w swym domu osobę, której reputacja jest, łagodnie mówiąc, w najwyższym stopniu wątpliwa.

- Opamiętaj się! - krzyknął głośniej. - Anna jest moją kuzynką. Nie można jej niczego zarzucić. Wiesz o tym.

- Teraz dochodzimy do sedna - odparła z powstrzymaną gwałtownością, a oczy jej rozbliły gniewnie. - Dochodzimy do punktu, co do którego gotowiśmy się nie pogodzić. Więc pozwól, że powiem ci całkiem otwarcie. Nie lubię Anny. Teraz poznawszy ją i jej przeszłość - nie lubię jej. Rozumiesz. Dziś w Łodzi - by zacytować tylko jeden jedyny przykład - to jej naigrzanie się z Edwarda było po prostu ohydne. Jest moim gościem, może tu pozostać, ale nie pozwolę na żadne idiotyzmy. Nie, absolutnie.

- Idiotyzmy? - powtórzył tonem niedowierzania, czerwieniąc się jeszcze mocniej. - O czym ty mówisz, u licha?

Spojrzała mu prosto w oczy. Jej drobna twarz również poczerwieniała, a usta miały wyraz stanowczości.

- Mówisz tak, jak gdybym nie rozumiała waszego zachowania się w Ardmore - rzekła z gorzką pogardą. - Pokazać jej krajobraz, istotnie! Krajobraz!.. - Zaśmiała się krótko, twardo.

- Poszliśmy rzucić okiem na okolicę - krzyczał niemal - to wszystko! Na Boga, w jakim innym celu, przypuszczasz?

- Nie krzycz na mnie - rzekła cichym, załamującym się głosem. - Niech Anna nie słyszy, jak obchodzisz się ze swoją żoną. - Urwała drżąca, a ponieważ go kochała, więc szukała w myśli słów, którymi mogłaby go dotknąć najboleśniej. - Cały dzień goniłaś za nią, a teraz, wieczorem, klócisz się ze mną... robisz mi taką scenę... Wstydzilibyś się.

- Powiedziałem ci, że nie goniłem za nią. Co w tym złego, że staram się zabawić swoją kuzynkę? Czy nie przyrzekłem, że będę to robił?

- Ja cię znam, Franku - mówiła powoli przez zaciśnięte zęby - i wiem, że nie jesteś bawidamkiem. Nie sądz, że bodaj na chwilę potrafisz mnie oszukać. A co więcej - Kocham cię. Przez te dziewięć lat trwałaś przy tobie w doli i niedoli. Nie miałam przed tobą tajemnic. Wszystko ci oddałam. Byłam ci wierna, a obecnie nie pozwolę ci się ośmieszyć. Proszę cię więc, by w przyszłości Anna sama potrafiła się zabawiać.

- Ach, tak - zadrwił wyzywająco. - Wydajesz mi rozkazy. Otóż powtarzam jeszcze raz: Anna nie goniła za mną - jak to określiłaś - ani ja nie goniłem za Anną. Wiesz, że nie pragnąłem jej przyjazdu. Ty ją zaprosiłaś. Tak, ty! ty chciałaś, by przyjechała! A teraz, gdy tu jest, nagle odwracasz wszystko do góry nogami i chcesz, bym się wobec niej zachowywał po chamsku. Chyba oszalałaś! Skoro jednak poruszyłaś tę sprawę, to pozwól sobie powiedzieć, że ani mi się śni tańczyć, jak ty mi zagrasz. Będę dla Anny tak uprzejmy, jak zechcę. A nawet bardziej uprzejmy niż dotąd, skoro w ten sposób postępujesz ze mną. Anna jest może lepsza, niż przypuszczasz. - Porywczym ruchem wyprostował gazetę i trzymał ją jak parawan między Łucją a sobą.

Przez chwilę wpatrywała się w sztywny papier, wiedząc, że Frank nie czyta. Twarz miała kredowoblada, a wyraz oczu przerażony i gniewny. Tak się skończył jej zamiar spokojnego pomówienia z nim - przekora, nierozsądny opór w odpowiedzi na jej dobrą wolę,

radę i przezorność. Wiedziała, że postąpiła słusznie, że miała całkowitą rację, a on to przyjął potokiem wymówek. Nie wytłumaczył swego postępowania, nie wyjaśnił powodu ukrywania przed nią! Ta ostatnia myśl ukłuła ją boleśnie. Zerwała się nagle i stanęła przed nim z surowym wyrazem twarzy.

- Ostrzegam cię, Franku - rzekła tonem stanowczym, opanowanym. - Z jakiegoś powodu ukrywałeś to przede mną. Nie wiesz, jaki mi sprawiłeś ból. Ale nazbyt cię kocham i nie pozwolę, byś krzywdził samego siebie. Pamiętaj o tym! Niech to tłumaczy moje postępowanie. - I ze sztywno podniesioną głową, z oczyma wilgotnymi od gwałtownie ciskających się łez, odwróciła się i szybko wyszła z pokoju.

Tej nocy spała źle, snem przerywanym, niespokojnym, który nie przyniósł pokrzepienia. Gdy zbudziła się, umysł jej wciąż jeszcze był pogrążony w rojeniach, które prześladowały ją niby upiorne wizje. Od razu przypomniała sobie sprzeczkę z Frankiem. Minęła wprawdzie, ale pozostał dziwny ucisk w sercu, smutna świadomość, że istnieje między nimi bariera, którą jedynie gorące pojednanie potrafiłoby usunąć. Rozgrzana jeszcze snem, w cienkiej nocnej koszuli, rozchylonej na piersiach, z grubym ciemnym warkoczem spuszczonego na plecy, przyglądała się mężowi ukradkiem, przejęta nagłym pragnieniem pogodzenia się. Tak, kochała go bardzo! A oto, świadoma jego bliskości, poczuła ogromną ochotę przytulić się do niego i powiedzieć mu to. Tak bardzo lubi kształt jego głowy, prostą linię nosa, tę dziwną subtelność, która - choć Edward posiadał ją także, mimo że w słabszym stopniu - zdawała się odróżniać go od reszty jego rodziny. I nie tylko od jego rodziny, pomyślała, lecz w ogóle od wszystkich. Właśnie ta subtelność uczuć była czymś wyjątkowym. Jakie to szczęście, że Frank należy do niej, a ona do niego. Gdy się teraz odwrócił i spojrzał na nią, uśmiechnęła się z zakłopotaniem, wyczekując żarliwie odwzajemnienia tego uśmiechu.

- Znów piękny poranek - powiedziała zachęcająco.

- Tak, dosyć ładny - odrzekł.

Wyraz jej twarzy zmienił się, nie z powodu jego słów, lecz tonu, który wskazywał na obojętność wobec pogody i niej samej, wskazywał wyraźnie, że Frank uporczywie trwa w zawziętości. Łucja nie dała jednak poznać, że czuje się dotknięta. Wczoraj wieczorem było jej nieprzyjemnie, że tak stanowczo musiała określić swoje stanowisko. Ale postępowanie takie było usprawiedliwione. Teraz jednak nie chce zaczynać tej sprawy na nowo. Wystarczy, że powiedziała. Niech ich wzajemny stosunek będzie chwilowo oficjalny, oficjalność ta ustąpi szybko, tym szybciej, że zamierza zrobić mu dziś niespodziankę.

Czekała parę chwil, zadając sobie pytanie, czy też zechce przynieść jej filiżankę herbaty, co zdarzało się czasem w niedzielę - bowiem surowe wychowanie Netty nie pozwalało jej wchodzić do sypialni małżonków - ale Frank nie zdradzał jednak najmniejszej

chęci w tym kierunku. Widząc to, nagłym ruchem wysunęła nogi za krawędź łóżka. W tej chwili przemówił do niej.

- Nie potrzebujesz jeszcze wstawać - zaprotestował z dąsem. - Jeszcze wcześniej.

- Już czas, Franku - odparła energicznie. - Mam mnóstwo roboty. Nie zapominaj, że dziś wieczorem przyjdzie Lennox.

Ziewnął, patrząc ponuro, jak się ubiera, następnie zauważył:

- Gdy odłożę sobie okrągłą sumkę, nigdy nie wstanę przed dziesiątą!

- Ale na razie jeszcze nie odłożyłeś - powiedziała, zwrócona do niego plecami, szybko zwijając włosy: nie bardzo lubiła tę jego skłonność do lenistwa.

- Ale na pewno odłożę. W najbliższych dniach, o ile mnie wcześniej nie dobijesz.

- Franku, nie mów w ten sposób - jego skłonność do żartów sprawiała jej tego ranka dziwny ból, ale szybko się opanowała i rzekła spokojnie: - Poczekaj tylko, a dowiesz się, co wieczorem powiem Lennoxowi. Tymczasem... - urwała, wychodząc z pokoju, a jej spojrzenie zdawało się mówić: Wstań i chodź na mszę ze mną i z Piotrusiem.

Znów się naburmuszył: widoczne było, że nie z przekonania chodził regularnie do kościoła, lecz pod jej wpływem, który zapewne uznał na nowo. Czy ja już nigdy nie zaznam spokoju - myślał leniwie. I chyba na to się zanosilo, gdyż zaledwie znowu się położył, drzwi otworzyły się i wszedł Piotruś. Chwilę badawczo przyglądał się ojcu sondując jego humor, a potem skorzystał z przywileju niedzielnego poranka i wwindował się na szerokie łóżko.

- Tatusiu, zabawa! - zakomenderował natychmiast. - Chcę się bawić!

Frank spojrział na syna żałośnie.

- Bajkę? - spytał, gdyż była to forma zabawy najmniej wyczerpująca.

- Nie, ja chcę się bawić! W króla zamku!

Moore jęknął, kochał swego syna, nawet go bardzo kochał, tak, był pewien, że go bardzo kocha. Ale być ojcem, który musi zabawiać swe dziecko! On? Zwłaszcza dziś, po tej

nieprzyjemnej historii z Łucją poprzedniego wieczoru, po tej głupiej scenie bez najmniejszego powodu. A cóż znaczą znowu te przygotowania do wizyty Lennox'a?

Łucja była dobrą kobietą, uznawał jej wartość, kochał ją nieskończenie więcej niż syna. Czasem bywała jednak uparta i chciała nad nim przewodzić, doprowadzało go to do pasji. Robić z niego takiego głupca.

Nie, na to on nie pozwoli, tym razem nie. Położy temu kres raz na zawsze: zajmie stanowisko należne głowie rodziny.

- No, tatusiu, prędko - nalegał Piotruś. - Król zamku.

- Dobrze już, dobrze - niecierpliwie powiedział Frank, dotknięty podświadomą aluzją ukrytą w tych słowach. - Jeszcze ty mnie będziesz irytować.

Zaczęła się tradycyjna zabawa: podniesienie ojcowskich kolan, przy akompaniamencie liturgicznych śpiewów i nagłych, przerażających osunieć, wybuchy śmiechu, fruwanie krótkiej nocnej koszulki w niebieskie i czerwone prążki i żartobliwe wymierzanie chłosty. Ta ostatnia scena była dla Piotrusia tak zabawna, że śmiał się do łez. Frank natomiast jak zwykle nie potrafił przejąć się wesołym nastrojem tej chwili, szybko się zmęczył i, używając jego własnych słów, "zarządził przerwę". Tymczasem poczuli silny zapach smażonego boczku. Wkrótce, pod energicznymi uderzeniami Netty, zabrzmiał wysoki dźwięk gongu.

- Zeskocz, chłopcze - rzekł Frank - i ubierz się. - Następnie, po ostatnim ziewnięciu, sam wstał, włożył ubranie - niedługo to trwało - i po paru minutach schodził na dół.

Piotruś i Łucja siedzieli już przy śniadaniu, gdy przyłączył się do nich, Anna nie przysłała: korzystając z przywileju gościa, zwykła jeść śniadanie w łóżku i słuchać późniejszej mszy, jeśli jej w ogóle słuchała. Jedli więc śniadanie we troje. Łagodny blask poranku rozjaśniał szczerą twarz Łucji, odsłaniał w jej oczach jakąś siłę, moc, widoczną także w spokojnych ruchach rąk, moc, którą widomie usiłowała złączyć ich troje i utrzymać w rodzinnej jedności. To poczucie wspólnej więzi zawsze sprawiało jej radość, utwierdzało w poczuciu ufego spokoju, z jakim odnosiła się do świata. Później w drodze do kościoła, gdy szli trzymając za ręce Piotrusia - symbol ich jedności - znów poczuła się wzburzona. Świadomość, że musi bronić swych praw, dławiała ją w gardle. Czy nie lepiej - myślała - wstać

w porę, ubrać się przyzwoicie i iść jak Pan Bóg przykazał do kościoła, jako zgodna rodzina, zamiast leniwie wylegiwać się w łóżku i drwić sobie z religii? Może to odpowiadać upodobaniom Anny, ale nie jej. A póki będzie żyła, nie pozwoli też, by Frank stał się taki.

Po mszy, gdy doszli do wybrzeża, przystanęła i zwróciła się do niego:

- Przejdź się teraz z Piotrusiem przed obiadem. Ja mam dużo roboty - muszę przygotować wszystko na wieczór.

- Niezbyt mi zależy na przechadzce - mruknął. - Wrócę z tobą.

- Nie, Franku - nalegała - chcę, byście obaj byli trochę na powietrzu. To wam dobrze zrobi.

- Tatusiu, chodźmy - zawołał Piotruś ciągnąc go gwałtownie - będziemy w lesie zbierać kasztany.

Frank nie odpowiedział, a Łucja poprawiwszy Piotrusiowi krawat stała przez chwilę z bladym uśmiechem i patrzyła, jak szli główną aleją. Był to oczywiście uśmiech posiadaczki, ale teraz, nie wiadomo dlaczego, miał odcień melancholijny, wyrażał zrozumienie, czym dla niej byli ci dwaj - Frank i jego syn. Odwróciła się i powoli ruszyła do domu. Jej powiedzenie, że ma dużo roboty, było prawdą, gdyż musiała przygotować kolację. Obiad dzisiejszy będzie, jak sama określiła, zrobiony naprędce, ale braki tego posiłku zostaną aż nadto wyrównane przez kolację. Jej sztuka kulinarna nigdy nie hołdowała nadmiernemu obżarstwu i pijatyce. Nie biorąc pod uwagę krępującej obecności Anny, powzięła stanowczy zamiar wykonania tego, co już planowała od dawna. Dlatego zaprosiła Lennox'a i dlatego postanowiła ugościć go wystawną kolacją. Następnie, w odpowiedniej chwili zbliży się do niego, a on nie myśląc o zwykłej przezorności, pobłażliwy i wesoło ożywiony, niewątpliwie okaże się bardziej przystępny niż zwykle. Z pewnością! Krzątając się w kuchni, czuła, że plan jej musi się powieść. Od dawna zdawała sobie sprawę, że Lennox jej sprzyja: zawsze przyjmował jej zaproszenia. Poza tym nie był młodym człowiekiem, niedawno stracił współnika, a teraz nosi się z myślą rozszerzenia swego interesu przez import i sprzedaż tej nowej namiastki masła. Niewątpliwie korzystny zbieg okoliczności. Nawet więcej: wspaniała okazja! Z drugiej strony zdawała sobie też sprawę, że Frankowi od dawna już należy się awans. Dość długo pracował za wynagrodzeniem, przyzwoitym co prawda, ale bądź co bądź tylko wynagrodzeniem - czas więc, najwyższy czas, by posunął się o krok naprzód. Jej ambicja co do przyszłości męża

wymagała tego kroku, a jej stanowczość - czuła to - doprowadzi do pomyślnego rezultatu. Zamierzała mianowicie poprosić Lennox, by dopuścił Franka do udziału w interesie. Czemużby nie? Nic bardziej naturalnego. Przez dziesięć lat Frank pracował dla firmy jako agent. Jasne, że musiałby kupić swój udział. Obecny ich kapitał jest wprawdzie ograniczony - poczerwieniła na myśl, jak bardzo był skromny - ale wkład można przecież spłacić w ratach. A może pomógłby im Ryszard - cóż by właściwie ryzykował dając im zaliczkę? Najważniejszą rzeczą było pozyskanie Lennox, a miała przeczucie, że rzucając na szalę cały swój takt zdoła może przeprowadzić to dzisiejszego wieczoru.

"Lennox, Galton i Moore" - może tylko po prostu "Lennox i Moore". Jak ładnie to brzmi! Ryszard będzie oszołomiony, gdy mu powie, Anna otworzy oczy, a Frank - on jeszcze wyraźniej uświadomi sobie jej miłość, oddanie i zalety. Uśmiechnęła się z własnej zarozumiałości, ale nawet ten uśmiech miał pewien cel. Czuła, że nastrój jej zmienił się, humor poprawił się wraz z przyspieszonym biegiem myśli. Podczas obiadu, który dzięki jej niewątpliwym zdolnościom kulinarnym nie wypadł znowuż tak bardzo "naprędce", jak to zapowiedziała, była w nastroju dziwnym. lecz szczęśliwym: inna niż zwykle, pełna entuzjazmu, starała się być miła. Mówiła dowcipy, żartowała. Do Anny odnosiła się uprzejmie, zupełnie uprzejmie, a ilekroć poprzez stół spojrzała na swego gościa, błyszczące jej oczy zdawały się mówić: "Spróbuj być tak zajmująca jak ja!" Ignorując na chwilę swój zakaz wyszydzenia bliźnich, nakreśliła w kilku zdaniach obraz Ewy spoczywającej na poduszkach, co wywołało nawet uśmiech Franka.

- Co wpłynęło nagle na zmianę twego humoru? - spytał z wymownym spojrzeniem.

- Poczekaj trochę - odpowiedziała - a zobaczysz.

Był to jej ulubiony zwrot, mający świadczyć o zdolnościach organizowania, zarządzania, wprawiania w zdumienie. Nie będąc skrytą, tym razem postanowiła za żadne skarby nie ujawnić swojego wymarzonego planu, który niewątpliwie zaczęliby analizować i omawiać.

- Mamo, jeśli chcesz, to potrafisz być bardzo wesola - rzekł Piotruś pokazując zęby w uśmiechu.

- Pewnie dostała skądś dużo pieniędzy - zauważyła Anna do Franka. - Albo szykuje coś ważnego.

- Zdziwiłabys się, gdybyś wiedziała - powiedziała Łucja niemal wyzywająco.

Po obiedzie wstała i oświadczyła, że ma zamiar wypocząć trochę - było to odstępstwo od jej zwykłego trybu życia. Postanowiła jednak ukazać się dzisiejszego wieczoru ze swej najlepszej strony, poszła więc na piętro do sypialni. Chwilę przyglądała się z okna synkowi, biegnącemu ku przystani, gdzie Dawid krzątał się koło "Orla", by w razie potrzeby łódź była gotowa do jakiejś niedzielnej wycieczki na drugi brzeg zatoki. Czoło Łucji ściągnęło się bezwiednie. Nieobecność Piotrusia znaczyła, że Frank i Anna pozostali sami na parterze. Mniejsza o to! Umysł jej, podniecony i zajęty ważnym planem, odsuwał na razie wszystko, co mogłoby plan ten pokrzyżować. Zdjęła suknię, położyła się na łóżku i przymknęła oczy.

Zmęczona niespokojną nocą, zbudziła się dopiero późno po południu: zachodzące słońce padało skośnymi promieniami na bukieciki niezapominajek na tapecie sypialni. Ale spojrzenie na zegar uspokoiło ją, że ma jeszcze dość czasu. Przez chwilę leżała bez ruchu, z dziwnym uczuciem nierealności: obudzić się w tym świetle, o tej godzinie i być samą! Szybko jednak otrząsnęła się z tych myśli i wstała. Ubierała się starannie, powoli, uczesała się możliwie najlepiej. Odświeżona, wzmocniona, gotowa uczynić dla Franka, co tylko będzie w jej mocy, zeszła na dół i wraz z Nettą dokonała ostatecznej inspekcji stołu - "nakrytego do ostatniej łyżki", jak z zadowoleniem oświadczyła Netta.

Łucja czekała niecierpliwie, uspokajając lekkie zdenerwowanie ostatecznym stwierdzeniem, że w jadalni wszystko jest w idealnym porządku. O szóstej ozwał się dzwonek u drzwi wejściowych. Dla uczczenia gościa sama pobiegła do drzwi.

- Proszę wejść! - zawołała serdecznie. - Wiedziałam, że to pan. Pomogę panu zdjąć płaszcz. Jak się pan miewa?

Twarz jego rozjaśnił miły uśmiech, ukazujący żółtawe sztuczne zęby.

- Ach, nie jest jeszcze tak źle - zapewnił ostrożnie, co miało znaczyć, że czuje się doskonale. - A teraz czuję się jeszcze lepiej widząc panią.

Odwzajemniła jego uśmiech. Wspaniały początek.

- Zawsze zgadzaliśmy się ze sobą - rzekła ze skromną poufałością: przyjemna, domowa atmosfera zapanowała w wąskim hallu, który stał się jeszcze węższy, gdy powiesiła gruby płaszcz gościa.

- Tak, zgadzaliśmy się, to prawda - potwierdził, wesoło zacierając ręce. Tak było istotnie. Na swój sposób lubił Łucję Moore. Świeża jak stokrotka - myślał nieraz - i naprawdę dzielna z niej kobieta. Wziął ją pod ramię, prowadząc do saloniku, gdzie zebrała się reszta towarzystwa.

- Piotrusiu! - zawołała szybko. - Wstań, chłopcze, i przysuń krzesło dla pana.

- Dziękuję, dziękuję, nie lubię siedzieć blisko kominka. Tu będzie mi bardzo dobrze.

Umieściła go wygodnie, następnie dyplomatycznie skierowała rozmowę na utarte i znane tematy - nie miała zwyczaju działać na ślepo. Nie, nie, to nie było zgodne z jej naturą. O pół do siódmej, gdy wszystko układało się pomyślnie: Piotruś zachowywał się grzecznie, Anna siedziała milcząca, a Frank rozmawiał uprzejmie - Łucja wstała.

- Teraz - oświadczyła nie bez pewnej satysfakcji - sama przyrządzę kawę. Wiem, jaką pan lubi, panie Lennox. - Pochlebstwo było bezwstydne, wiedziała o tym, ale chodziło o dobrą sprawę.

W kuchni zadała sobie wiele trudu, by zaparzyć dobrze kawę, trwało to całe dziesięć minut, wreszcie, z twarzą lekko zarumienioną od ognia, weszła do hallu i uderzyła w gong, po czym stanęła w jadalni, oczekując gości.

Kolacja - to przyjęcie, w którym pokładała tak wielką nadzieję - rozpoczęła się dobrze, w serdecznym tonie. Wyborna kolacja! Ozór, doskonały zimny ozór i pyszne kurczaki, na gorąco i zimno. Była też znakomita sałata, kruchy placek z owymi malinami z Ardmore, następnie ser znanej firmy. Na ten przyjemny widok oczy Lennox stały się jeszcze łagodniejsze, rozsiadł się wygodnie i przyczepił serwetkę nad drugim guzikiem kamizelki.

- Anno, pozwolisz kawałek? - spytał Frank kładąc kurczaka i podając kuzynce gruby, biały kawał piersi. - Nóż tępy jak zawsze - dodał półgłosem. Nigdy nie umiał poradzić sobie z krajaniem.

- Franku, podaj też kawałek panu Lennoxowi - powiedziała Łucja. - Drugą połowę piersi.

- Mnie bardzo smakuje ozór - rzekł Lennox, starannie rozsmarowując musztardę - proszę także skosztować, pani Łucjo.

- Dziękuję, mam wszystko - odparła spieszenie. Dziś całą uwagę skupiła na jego talerzu. - Proszę tylko pamiętać o sobie.

- Nic dziwnego, że tak chętnie wpadam tu przy lada okazji - rzekł znacząco, ze smakiem sącząc kawę, następnie ocierając brodę zwrócił się do Ann: - Czy pani już ustaliła datę swego powrotu?

Anna uśmiechnęła się. Czy podjęła owo subtelne wyzwanie Łucji rzucone podczas obiadu? Czy odgadnąwszy, "co się święci", postanowiła na swój powściągliwy, ironiczny sposób zabawić się kosztem dzisiejszego wieczoru? To pewne, że była dla Lennox'a niezwykle miła, zachowując się jeszcze bardziej nonszalancko niż przedtem.

- Bardzo lubię zmianę otoczenia - odpowiedziała podnosząc oczy.

- Nie ma powodu się spieszyć - wtrącił Frank. - Może pozostać, jak długo zechce.

Łucja odstawiła filiżankę i poprzez stół spojrzała znacząco na męża.

- Franku, nie powinniśmy krzyżować zamiarów Anny - zauważyła spokojnie. - Może ma inne plany.

- Och, nie mam w ogóle żadnych planów - rzekła Anna uprzejmie, pochyliwszy głowę, a w jej czarnych lśniących włosach zamigotało światło. - I nigdy nie układam planów. Robię zawsze to, co mi najbardziej odpowiada.

- Jest pani bardzo nowoczesną kobietą - z galanterią powiedział Lennox.

- Czy to komplement? - spytała wyzywająco.

- Nie chciałbym zaprzeczyć - odparł z ukosa rzucając jej podejrzliwe spojrzenie. - Ale pani uważa widocznie, że życie należy brać lekko.

- Pod tym względem różnimy się z Anną - rzekła Łucja ze sztuczną swobodą, trochę podrażniona tą zażyłością między Lennoxem i Anną. - Ja zawsze muszę mieć przed oczyma jakiś cel. Lubię pracować, iść naprzód. Obawiam się, że nie potrafiłbym oczekiwać bezczynnie, co mi los przyniesie.

- A jednak to przyjemnie - powiedziała Anna ze zwykłym nieodgadnionym uśmiechem i z właściwą sobie obojętnością - brać to, co jest. Gdy ktoś głową chce przebić mur, musi wcześniej czy później się zranić. Co ty na to, Franku? Czy lubisz walczyć o cokolwiek? - I spojrzała na Franka, który wpatrywał się w swój talerz.

- Nie wiem - odparł zakłopotany. - Myślę, że jestem taki jak większość ludzi. Nie widzę w pracy więcej przyjemności niż inni. Człowiek pracuje, bo musi, ale nie dlatego, by to mu sprawiało przyjemność.

Łucja, siedząc na pierwszym miejscu, zdrętwiała. Czy oszalał, by w ten sposób mówić w obecności Lennox'a i w dodatku właśnie dziś!

- Franku, co za głupstwa wygadujesz! - zawołała podkreślając swe rozdrażnienie sztuczną wesołością. - Przecież praca twoja ogromnie cię zajmuje. Nikt nie wie tego lepiej ode mnie. Niedawno dopiero mówiłeś mi, jak bardzo lubisz swoje zajęcie. Jakie wspaniałe może ci dać szanse.

- Łucjo, powinnaś sama spróbować pracy - łagodnie wtrąciła Anna - skoro masz o niej takie wysokie wyobrażenie.

Lennox zaśmiał się nagle, podając swą próżną filiżankę.

- Pani Anna ma rację - zwrócił się nagle do Łucji. - Pani jest do tego uzdolniona. Tak, jestem szczerze przekonany, że pani nadawałaby się lepiej do tego zajęcia niż mąż. - I zakończył tę uwagę dodając żartobliwie: - Gdyby pani potrzebowała kiedyś posady - proszę tylko mnie zawiadomić.

Poczerwieniała gwałtownie, uświadamiając sobie, że wskutek złośliwej wypowiedzi Anny sytuacja zaczęła się obracać na jej niekorzyść.

W chwili, gdy tak gorąco pragnęła przekonać Lennox'a o niewątpliwych zaletach swego męża, on zaczął obniżać wartość Franka i w głupi sposób twierdzić, że to ona posiada

zdolności. Fatalne. Uczuła nagle, że sprawa wymyka się jej z rąk, że teraz trzeba wykorzystać tę sposobność, że nie wolno jej wyrzec się tej rozmowy i liczyć, że później powiedzie się lepiej! Nie! Musi spróbować teraz, kiedy okazja sama nadarzyła się w rozmowie, zanim wszystko będzie stracone.

Odetchnęła głęboko, energicznie zebrała całą odwagę, nieświadoma lekkiego błysku szyderstwa w bystrych oczach Anny.

- Chciałabym z panem pomówić - zwróciła się do Lennox'a trochę natarczywie. - Właśnie w sprawie dotyczącej pracy Franka.

- Jego pracy - powtórzył patrząc na nią badawczo. - O cóż chodzi?

- Wiem, że pan rozwija swoją firmę. - Zawahała się, lecz zaraz podjęła rezolutnie. - Wiem, że pan zamierza ją powiększyć. I myślę, że prawdopodobnie będzie panu potrzebny człowiek, mogący wziąć na siebie tę dodatkową część pracy.

Nastąpiła chwila długiego milczenia. Łucja czuła na sobie ich spojrzenia. Nagle Anna wmieszała się wyciągając rękę.

- Panie Lennox, nie ma pan kawy. Proszę podać filiżankę, to naleję.

- Tak, tak - niepewnie powiedział Lennox. - Bardzo dziękuję.

Łucja wzięła filiżankę z miną niewzruszoną.

- Czy panu samemu nie przyszło to na myśl? - obstawała stanowczo. - Czy myślał pan o następstwach, jakie wynikną z powiększenia firmy?

- No tak - rzekł Lennox, ostrożnie dłubiąc plasterki szynki. - Nie mam jeszcze pewności co do tej dodatkowej pracy. Wie pani, mam zamiar pozostawić na razie w spokoju tę irlandzką transakcję. - Zamilkł i odłożył widelec. - Nie jestem już zresztą taki młody.

Pochylona ku niemu, utkwiała w nim poważne, błagalne spojrzenie szybciej oddychając z przejęcia.

- Dlatego właśnie sądziłam, że może pan zechce... - głos jej załamał się, lecz mężnie mówiła dalej - przyznać Frankowi awans... dać mu jakiś drobny procent od obrotów.

Powiedziała. A on wpatrywał się w nią ze skupioną uwagą.

- Tak... tak - wybąkał nareszcie. - Nie jest pani pozbawiona sprytu.

Siedzący u końca stołu Frank poruszył się niespokojnie; twarz mu poczerwieniała, a jego postawa wyrażała najwyższe zakłopotanie.

- Nie mamy potrzeby kłopotać się o to właśnie teraz - powiedział nagle. - Jedźmy raczej kolację.

- Panie Lennox, czy da mu pan tę szansę? - błagała Łucja nie zbita z tropu, a wargi jej stały się nagle suche. - Wiem, że nigdy pan tego nie pożałuje. Przyrzekam panu. Tak, przyrzekam.

Odwrócił oczy pod wpływem jej spojrzenia, błękit oczu Łucji był tak głęboki, zniewalający. Wzrokiem zatrzymał się na Annie, która uśmiechała się dziwnie.

- I co pani na to? - spytał trochę niezręcznie. - Zadawać człowiekowi takie pytania podczas kolacji.

Anna podniosła na niego swe duże, szeroko otwarte oczy. W tej chwili nie była sztywna - raczej współczująca z powodu jego chwilowego zakłopotania.

- Jestem przekonana, że nie ma pan ochoty mówić teraz o interesach - powiedziała uprzejmie - podczas kolacji i do tego w niedzielę.

Łucja zerwała się z krzesła w odruchowym impulsie gniewu, lecz szybko się opanowała. Spojrzawszy na tamtą, opamiętała się i ignorując jej uwagę stanowczym tonem rzekła do Lennox:

- Byłoby korzystniej dla pana, gdyby pan miał współnika. A jestem przekonana, że mój brat udzieliłby potrzebnej sumy.

- Ależ Franku - mówiła Anna, szeroko otwierając oczy i patrząc nań z udanym zdumieniem. - Przecież powiedziałeś. To znaczy, że chyba nie chcesz... z pewnością nie chcesz, by?...

Frank wzdrygnął się, wciąż jeszcze zaczerwieniony. Któryż mężczyzna zgodziłby się na to, by żona torowała mu drogę w życiu. I to w dodatku w obecności Anny! Przecież samemu sobie musiałby wydawać się leniwy, niezdolny, głupi. A właśnie dziś rano postanowił zająć w domu należną mu pozycję. Rzucając Łucji gniewne spojrzenie, powiedział znużonym tonem:

- Ta cała sprawa jest dla mnie czymś nowym. Nie odpowiadam za to, że została poruszona.

- Więc pozostawmy ją na razie w spokoju - rzekł Lennox, śmiejąc się krótko, wyrozumiale. - Tak, tak, dajmy spokój, a może się jeszcze nad tym zastanowimy?

Łucja pobladła, a pierś jej falowała niespokojnie. Czowała instynktownie, że Anna świadomie krzyżuje ich plany, a myśl ta kazała kontynuować to, co zostało zaczęte.

- Dlaczego nie załatwić tego od razu? - nalegała zdławionym głosem. - Fakt, że jest to pora kolacji i niedziela, nie przeszkadza panu przecież powiedzieć: "tak" lub "nie".

- Ach, tak - powiedział rzucając jej szybkie spojrzenie. - Zapewne dlatego zaprosiła mnie pani na dzisiejszy wieczór.

Drgnęła, słysząc ten śmiały zarzut i wiedząc, że w gruncie rzeczy był słuszny, wiedząc jednak również, że bez ingerencji Anny te słowa nigdy nie zostałyby wypowiedziane. Mimo to zignorowała jego uwagę.

- Panie Lennox, zna nas pan od dawna - rzekła spokojnym tonem, wciąż jeszcze siląc się na uśmiech - a Frank pracuje u pana od dziesięciu lat. Sprawa zasługuje z pewnością na uwagę. Proszę, niech się pan zastanowi.

Znów odłożył widelec i szarpał swą kędzierzawą brodę, najwidoczniej rozdrażniony.

- Tu nie chodzi o "tak" lub "nie" - zauważył zakłopotany. - Chodzi o coś więcej. A ja nie lubię szybkich, nierozważnych decyzji.

I znów Anna wmieszała się swym opanowanym głosem.

- A gdyby się pan już zdecydował na zmianę - wtrącała spokojnie - czy nie byłoby dobrze powierzyć Frankowi agencję w Belfaście? Dobrze wywiązywał się wtedy ze swego zadania. A ten wasz obecny agent niewiele jest wart.

Łucja drgnęła: tego już za wiele! Anna wtrącając się wypacza całkowicie tę tak doniosłą rozmowę, doradzając, by Lennox przyznał Frankowi jakiś marny awans - agencję w Belfaście, co przyniosłoby niewiele więcej ponad jego dotychczasową pensję. Można oszaleć. Znowu poczuła gwałtowną chęć rzucenia jakichś obelżywych słów, zrobienia czegoś niestosownego, obraźliwego. Co uprawniało Annę do tak niewybaczalnego, idiotycznego wtrącania się? Nie mogła się już dłużej pohamować. Odwróciła głowę od Lennoxa, wlepiła wzrok w tamtą kobietę i drżącym głosem oświadczyła:

- Anno, zdaje mi się, że to nie twoja sprawa! Nie mam specjalnej ochoty wyjechać do Irlandii.

- Nie jest tam znowu tak źle, mogę cię zapewnić - uprzejmie powiedziała Anna. - Co prawda często pada, ale to utrzymuje piękną zielenią. Słowo daję, powinnaś zobaczyć nasze łąny koniczyny. - Jej spokój był wprost szatański.

- Nas to nie interesuje - odparła Łucja oddychając szybko, pragnąc odpowiedzieć bardziej ostro. - Choć może odpowiada tobie. Prawdopodobnie było ci tam bardzo wesoło? I zapewne masz powody czuć się dobrze w Belfaście.

- Możliwe, że mam - rzekła Anna w zamyśleniu.

- Pewnie czysto osobiste?

- To trudno powiedzieć - odpowiedziała Anna nie drgnąwszy nawet powieką.

Nastąpiła chwila napięcia, w ciągu której Lennox miał oczy uporczywie utkwione w sufit, a Frank posepnie wpatrywał się w płomień kominka. Harmonia wieczoru została nagle zakłócona.

- Wiecie państwo - ozwał się Lennox przerywając milczenie - miał dość czasu na sformułowanie swego oporu - ja mam swoje własne metody pracy. Popierać wszystkich, to znaczy nie popierać nikogo. W przeciwnym razie powstaje ogólne zamieszanie.

Nastąpiło długie milczenie, w czasie którego Łucja czuła bolesne bicie swego serca. Ogólne zamieszanie? A niewiele przecież brakowało, by się zgodził. Wiedziała o tym. Ale wskutek nieznośnego zachowania Anny zajął nagle stanowisko wrogie i, być może, przez całe miesiące pozostanie nieprzystępny wobec wszelkich sugestii. Była wściekła. Cały jej pomysł zniweczony, zdruzgotany, rozbity. I to przez Annę.

- Nalej mi jeszcze kawy - posepnie powiedział Frank. - Całkiem mi zaschło w gardle.

Łucja zawahała się, następnie sztywno wzięła jego filiżankę. W słowach męża wyczuła szorstkość, tajony gniew. Jak gdyby to ona była tą, która zasługiwała na naganę. Zapanowało przykre milczenie, a twarz Łucji była surowa, Oblana rumieńcem obrażonej miłości własnej.

- Dawid zabrał mnie po południu na "Orla" - ośmielił się powiedzieć Piotruś, niejasno zdając sobie sprawę z panującego napięcia, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

- Czemu Netta tak przesłodziła placek? - nagle wybuchnął Frank. - Po prostu drapie w gardle.

- Dla mnie jest w sam raz - szybko zapewnił Lennox. - Wprost doskonały.

Frank poruszył się niespokojnie, powiedział to bez zastanowienia, gdyż Netta zawsze robiła dobre ciasto. Anna nie powiedziała nic, lecz gryzła biszkopt z miną, jak gdyby ją coś niezwykle bawiło. Nastąpiła długa chwila milczenia.

Lennox odchrząknął głośno.

- W każdym razie proszę o jeszcze jedną porcję - rzekł łagodząco, podając swój talerz. - Doskonały tort.

- To pięknie, że pan ma dobry apetyt - grzecznie powiedziała Anna, przypominało to sposób mówienia Polly.

Dostał drugą porcję i ostatni skończył jeść - z miną człowieka, który bez względu na okoliczności spożył kolację z przyjemnością. A Łucja patrząc na niego i znając jego słabość do siebie, myślała z goryczą, co mogłaby osiągnąć, gdyby nie ingerencja Anny. Myśl ta bolała

ją. Palce kruszyły w rozdrażnieniu kawałek chleba, który nietknięty leżał na talerzu. Przez długą chwilę siedzieli w milczeniu, wreszcie Lennox zaczął się zbierać do odejścia.

- Czas do domu - powiedział wygladzając kamizelkę. - Przyszedłem wcześniej, wiedząc, że muszę odejść wcześniej.

Nie zaprotestowała, gdy wszyscy wstali od stołu, choć wiedziała, że to tylko wymówka.

- Odprowadzę pana - oświadczył Frank.

- Ja również nie mam nic przeciwko spacerowi - powiedziała Anna w zamyśleniu. - Taki ładny wieczór.

Łucja zaczerwieniła się gwałtownie, czując, że ogarnia ją nieprzytomny gniew. Wiedziała, że Lennox patrzy na nią uważnie, opanowała się z trudem. Nie mogła iść z nimi, gdyż Netta miała dziś wolny wieczór, więc Łucja musiała ułożyć Piotrusia do snu. Mając przed oczami czerwoną mgłę, odprowadziła ich do hallu.

- Dobranoc i dziękuję - pożegnał ją zwykłym, ciepłym uściskiem dłoni.

Stała w drzwiach domu, a świeże powietrze owiewało jej rozgorączkowaną twarz, gdy patrzyła za nimi, jak odchodzili ścieżką ogrodową. Następnie z bezwiednym westchnieniem wróciła do mieszkania.

Więc taki był szczyt jej osiągnięć? Nic! A Frank - skuliła się w sobie, gorzko odczuwając niesprawiedliwość jego zachowania. Jak mógł w ten sposób mówić do niej, do niej, która w myśli uważała już ten awans za zdobyty. A Anna - wszędzie Anna - to jej mieszanie się w sposób dwuznaczny, bezczelny. W tych jej wystąpieniach krył się zamiar tak wyraźny, że Łucja od razu powzięła podejrzenie. Anna, coś podłego! Znużona, znalazłszy się w pustym pokoju, oparła czoło o chłodny marmur kominka, przypominając sobie obraz tamtej kobiety. Jak ona jej nienawidzi! Jej obojętności, opanowania, jej zagadkowego spojrzenia, wciąż biegnącego za Frankiem. Cichy sposób mówienia, nawet ruchy, które początkowo wydawały się spokojne i naturalne, teraz były nienawistne i nieszczerze. Już sam widok Anny, sama myśl o niej, wywoływały w niej natychmiast odruch wstrętu.

Starając się panować nad sobą, zaprowadziła Piotrusia na piętro, sprzątnęła ze stołu i wróciła do jadalni. Wiedziała, że nie wolno jej myśleć o tym i właśnie dlatego musiała myśleć. Gniewna i wzburzona wracała z uporem do doznanego upokorzenia, bo było to niewątpliwie upokorzenie. To gwałtowne zniweczenie jej marzeń, nagle pokrzyżowanie wspaniałego planu wywołało w niej uczucie ogromnej goryczy, uczucie, że została z czegoś ograbiona. Ze zdwojoną siłą wróciły wszystkie poprzednie mgliste obawy. Dlaczego Anna ośmieliła się wtrącać do sprawy Franka w sposób tak natrętny, nieznośny? Anna nie ma prawa kształtować jego przyszłości! Niewątpliwie kryje się za tym wszystkim coś, co sama musi odkryć i zrozumieć. Namiętnie pragnęła dojść do jakiegoś konkretnego rozwiązania tej wymykającej się, dręczącej zagadki.

I cofając się myślą, zaczęła roztrząsać wszystko, co mogłoby posłużyć za dowód - za wyjaśnienie postępowania Anny. Tu spojrzenie, tam słówko - myślą ogarnęła to wszystko razem, na próżno starając się skryształizować właściwą istotę swych obaw. Widząc, że jej własna postawa jest nienaganna, musiała postępowanie Anny uważać za niesłuszne. Czując, że sama jest bez zarzutu, musiała oczywiście dopatrywać się w motywach Anny czegoś wręcz przeciwnego. Poza tym - czyż to fatalne echo przeszłości nie rozbrzmiewało ustawicznie w jej uszach? Bezwiednie zaczęła myśleć o owym nieszczęsnym epizodzie, odtwarzać towarzyszące mu szczegóły, wyobrażać nawet to dziecko - bezimienne i nieżyjące, którego matką była Anna. Czowała teraz niejasno, że tajemnica tego dziecka w jakiś dziwny, nieokreślony sposób wiąże się z jej własnymi przeżyciami. A przynajmniej ona sama, przez bezwiedne skojarzenie myśli, przez jakiś tajemny splot okoliczności, podświadomie złączyła te dwa momenty, choć istoty tego połączenia jeszcze nie rozumiała. Gdyby wiedziała coś więcej o owym epizodzie w życiu Anny, czy nie posiadałaby klucza do postępowania Anny, do jej natury? A zrozumiałaby Anę, czy nie zrozumiałaby też jej stosunku do Franka? Anna i Frank - raz po raz myśl ta wracała natrętnie: te dwa imiona złączone ze sobą drażniły ją niemożliwością znalezienia jakiegoś konkretnego dowodu. Nagle drgnęła, usłyszawszy otwieranie drzwi i głosy w hallu. Twarz jej z wejściem Franka przybrała wyraz poważny, zdecydowany. Był sam.

- Nie ma co - powiedział od razu z pasją - ładnie mnie dziś wystrychnęłaś na dudka. I to bez żadnego powodu!

Zacisnęła usta. Fakt, że on, który wraz z Anną spowodował własną klęskę, teraz obwinia ją, fakt ten był zbyt bolesny i absurdalny, by w ogóle miała bronić swojego postępowania.

- Ty sam wystrychnąłeś się na dudka! - krzyknęła. - Wiem, że Lennox byłby się zgodził. Osiągnęłabym to z pewnością. - Opuściła ramiona bezsilnie. - A jak by nam to pomogło.

- I ty właśnie masz o tym decydować? Nie wyobrażaj sobie, że będziesz mi rozkazywać przez całe życie!

- To nieprawda, Franku - zawołała gwałtownie. - Wiesz, że to nieprawda. Pragnę dla ciebie szczęścia, twojego dobra.

- Mojego dobra - rzekł szyderczo. - Wszyscy widzą, że wodzisz mnie na pasku. Nawet Anna.

- Anna - powiedziała to słowo z nieopisaną pogardą.

- Tak, Anna. A skoro już mówimy o tym, to muszę cię prosić, byś była bardziej uprzejma. Byłaś wobec niej ostatnio ordynarna. Pamiętaj, że jest moją kuzynką!

- Twoją kuzynką - powtórzyła drżącym głosem. - To mi się podoba. A może więcej zależy ci na niej niż na własnej żonie?

Wydobył papierosa, zapalił go i spojrzał na nią przeciągle. Po chwili wrzucając niedopałek do ognia, powiedział porywczo:

- Zdaje mi się, że prosiłem tylko, byś zachowała się wobec niej uprzejmie.

Nie zważając na jego powiedzenie, spojrzała nań płonącymi oczami.

- Zadam ci proste pytanie: z jakiego powodu tak gorąco zajmujesz się Anną?

Przekornie poruszył głową.

- Co, u diabła, stało się z tobą w ostatnich dniach? Jestem twoją własnością, czy co, że poddajesz mnie podobnemu śledztwu?

- Ja ciebie poddaję śledztwu? - krzyknęła zdumiona. - Wiesz dobrze, że tak nie jest. Zadałam ci szczere, otwarte pytanie.

- Do diabła z takim szczerym, otwartym pytaniem - rzucił gniewnie. - Zachowaj dla siebie te szczere, otwarte pytania i nie czepiaj się mnie, nie krępuj mnie. Robiłaś to przez te wszystkie lata. Chyba wystarczy.

Na tę dziecinną niedorzeczność jego słów oczy jej zapłonęły oburzeniem. Coś ją pchnęło do powiedzenia cichym, zdławionym głosem:

- Sądzę, Franku, że zawsze postępowałam wobec ciebie, jak należało. Sądzę, że sam wiesz najlepiej, czy byłeś szczęśliwy.

- To prawda - w głosie jego brzmiała gorycz. - Jesteś doskonałością. Gdy chodzisz, słyszę szum skrzydeł.

Nie odpowiedziała, lecz z twarzą wciąż jeszcze mocno zaczerwienioną, patrzyła na niego oczyma pełnymi wyrzutu. Stała przez chwilę, następnie podeszła nagle ku sofie, niby szukając roboty, wzięła ją, usiadła i drżącymi palcami zaczęła szyć, on również pograżył się w posepnym milczeniu. Siedzieli tak bez słowa, aż nareszcie Frank wstał. Bezwiednie chciała wstać, oczy jej przesłoniły nagle łzy.

- Czy mam... - opanowało ją gorące pragnienie pojednania - czy mam ci podać...

- Idę spać, spać!

Spojrzała nań przestraszona.

- Ależ Franku, nie ma jeszcze dziewiątej. - Wyciągnęła rękę. - Dajże spokój. Ostatecznie jednak się kochamy.

- Zostaw mnie - rzekł - dość już dla mnie zrobiłaś dzisiaj wieczoru. - I wyszedł, zanim zdołała powiedzieć słowo.

Długo siedziała cicho, słyszała na piętrze jego powolne kroki, które ustały wreszcie, gdy się położył. Oczy jej pozostały nieruchome, wybiegające poza obręb pokoju, gniew minął, ogarnął ją wielki żal, a zarazem lęk.

W końcu poruszyła niecierpliwie głowę, wstała i nakręciła zegar na kominku. Wiele obowiązków, według prawa i zwyczaju należących do pana domu, stale spełniała ona. Następnie weszła na piętro.

Rozebrała się w ciemności i położyła obok niego. Nie spał, ale udawał, że śpi. Jego głęboki oddech nie oszukał jej. W przekonaniu, że udaje, utwierdziła ją niemal niedostrzegalna sztywność jego ciała, leżącego tuż obok niej. Pragnęła, by przemówił, lecz czuła, że on tego nie zrobi, a ona również nie chciała narazić swojej dumy na drugą odmowę. Leżała więc obok niego bez ruchu, nie dając znaku życia, z przymkniętymi oczami, by nie widzieć światła księżycowego, bladą strugą wpływającego do pokoju, i myślała - myślała z lekko ściągniętymi brwiami, usiłując zrozumieć coś, czego jeszcze nie była w stanie pojąć.

Stanowczo postanowiła rozmówić się z Anną - na rozmowę wybrała popołudnie, kiedy Piotruś wyjdzie się bawić. Będzie spokojna, nie zapomni, że Anna jest ich gościem, ale ostatecznie zażąda od niej wyjaśnień co do jej postępowania. Lecz nazajutrz rano Anna niespodziewanie wyjechała do Glasgow w celu poczynienia zakupów - choć nic nie wskazywało, że musi to zrobić. Po śniadaniu powiedziała nagle:

- Jadę kupić sobie trochę ubrania - i bez oznak specjalnego entuzjazmu odjechała pociągiem o dziesiątej. Bez przygotowań, bez pośpiechu, ani jednym słówkiem nie proponując Łucji, by jej towarzyszyła.

Zresztą Łucja nie miała takiego zamiaru. Bo przecież, mimo zniweczenia swego planu, odjazd tamtej przyjęła z uczuciem niewiarygodnej ulgi. Rano wstała z bolącą głową, pełną zamętu, z umysłem zmęczonym od dziwnych myśli i wątpliwości. Może nawet dobrze się stało, że Anna wyjechała. Łucja pragnęła być sama, by móc myśleć, dojść ze sobą do ładu. Raz po raz ogarniała ją świadomość, że coś w niej domagało się wyzwolenia, coś, co stanowi część jej własnej istoty i musi zrodzić się wśród bólów, zanim będzie mogła zaznać ukojenia.

Chodząc po domu, prawie mechanicznie przygotowując rzeczy Piotrusia, mającego z końcem tygodnia pojechać w odwiedziny do Port Doran, myślami była daleko od swego otoczenia. Krzątając się bezustannie, z dręczącą gwałtownością usiłowała zdefiniować swe podejrzenia, nadać zdecydowany kształt wątpliwościom, które opętały ją w sposób nieznośny.

Od samego początku próbowała zaprzyjaźnić się z Anną - to nie ulegało wątpliwości. Przyjęła ją serdecznie, zadała sobie wiele trudu, by ją polubić. Patrząc jednak wstecz, widziała teraz, że od chwili gdy Joe przywiózł Annę do jej domu, od razu uświadomiła sobie nieuchwytny antagonizm między tamtą kobietą a sobą. Pierwotne przekonanie, że lubi Annę, było złudzeniem, mrzonką, pozorem, zrodzonym z nakazów gościnności. Nigdy nie lubiła Anny - stały na przeciwnych krańcach: nie dowierzała jej. A pierwszą wątpliwość, pierwsze niemiłe wrażenie odniosła w chwili powrotu z Ralston, kiedy zastała Annę i Franka tak rozbawionych. Od tamtego momentu stopniowo, kamień za kamieniem, wznosił się ten nieprawdopodobny gmach - może jeszcze nie wykończony - wątpliwości, podejrzeń i

niedowierzań - wszystko to jednak pochodziło i wypływało z charakteru Anny Galton i jej wpływu na Franka. Wskutek tego odwiedziny Anny, oczekiwane tak radośnie i życzliwie, zamiast przyjemności stały się groźbą, czymś bolesnym, złowróżbnym. Rozmyślając nad tym, jasno zdawała sobie sprawę, że nie ona odpowiada za ten stan rzeczy. Bo skądże miałyby za to odpowiadać? Frank był jej mężem, żyli ze sobą zadowoleni i zupełnie szczęśliwi. Przyjechała Anna i zadowolenie to zniknęło. Nie mogła tego przebaczyć. Winę niewątpliwie ponosi Anna. Ale jak to możliwe? Zagryzła wargi i ze zmarszczonym czołem podjęła znów swe niewesołe myśli. Czyż nie odkryła dziwnych niedopowiedzeń w uwagach Joego, nie wyczuła dwuznacznego zachowania Edwarda? Ponadto ta niezwykła atmosfera na plebani, to dręczące zakłopotanie panny O'Regan - czyżby to wszystko wypływało jedynie z obrażonej przyzwoitości? A następnie zachowanie Anny wobec Franka. I uporczywe jego milczenie. Gdyby był zmuszony do milczenia, gdyby musiał coś ukrywać, zrozumiałaby od razu. Ale nie miał nic do ukrywania. A przecież ukrywał. On, który właśnie tego roku przebywał w Irlandii, nie powiedział jednego słowa o tej sprawie. Och, ta bolesna, uporczywa myśl!

Marszcząc czoło Łucja głęboko wciągnęła powietrze. Wzniosła w swoim umyśle dziwny gmach podejrzeń i brak jej było tylko ostatniej cegły do ukończenia go.

Może cegła ta wcale nie istniała. Może działała tu jedynie zazdrość. Choć drgnęła na tę myśl, wzięła ją jednak pod rozwagę. I odsunęła z całym spokojem. Nie, nie. Zazdrością kieruje się skrajny egoizm. A jej miłość nie jest egoistyczna. Cała jej istota dążyła do jednego celu, którym było dobro Franka. Znała go tak dobrze, rozumiała tak doskonale, kochała z takim oddaniem, że nie zakłóciłaby jego szczęścia i nie pozwoliła zamącić spokojnego trybu jego życia. To nie jest zazdrość. To uczciwość, oddanie, zdrowy rozum - tak, to stanowi istotę jej miłości, Tak sądziła. Ba, wiedziała, że tak jest. Anna jest oczywiście inna. Nie ma ideałów ani ambicji, żadnego celu, żadnych zasad. Ten nieszczęsny epizod z dzieckiem zdawał się charakteryzować dokładnie jej postawę życiową. Dlaczego nie poślubiła ojca tego dziecka i nie rozpoczęła nowego, uregulowanego życia? Ale to nie odpowiadało upodobaniom Anny. Nie ulega wątpliwości, że swoje nieszczęście zniosła z pewnego rodzaju szyderstwem i wyszła z niego jeszcze bardziej twarda i obojętna. Ten mężczyzna musiał niewątpliwie być człowiekiem słabym - chwiejnym, pozbawionym rozsądku, nierozważnym - który z całym uporem pragnął uniknąć odpowiedzialności. A Anna ułatwiła mu to jeszcze. Nawet teraz zdawało się jej, że słyszy Annę mówiącą z obojętnością: "Więc idź do diabła. Nie troszczę się o to, co zrobisz". Tak, na pewno tak było. Wszystko to jednak takie zagmatwane,

tak różne od jej własnego prostolinijnego postępowania. Załóżmy na przykład, że ona wyznawałaby równie bez troskie poglądy w stosunku do Franka, który, jak dobrze wiedziała, potrafił być chwiejny, pozbawiony rozsądku, a nawet nierozważny: w jaki sposób ukształtowałyby się jego i jej przyszłość? Wynikłoby z tego jedynie nieszczęście.

Westchnęła, i nogą zasunęła szufladę, w której układała rzeczy Piotrusia. Następnie wyprostowała się nagle i przeszła do sypialni Anny, by tam posprzątać. W drzwiach przystanęła jednak i ze ściągniętymi brwiami przez parę sekund przyglądała się pokojowi. Nie, doprawdy, jaki tu nieporządek, jaki odrażający nieporządek, łóżko nie zasłane - gdyby ona była gościem, to by przynajmniej posłała łóżko - na toalecie w nieładzie mnóstwo rzeczy, brudna pończocha zwisa z na pół przymkniętej szuflady, koszula rzucona na podłogę.

Tego już za wiele. A bielizna Anny, rozłożona jak na wystawie - w śliczny deseń, z materiału tak różnego od białego płótna jej własnej bielizny - nawet ta bielizna wywołała w Łucji gorące pragnienie: "Niech wyjeżdża jak najprędzej". No, chyba już niedługo skończy się ten jej pobyt. Musi odjechać. Łucja nie zmartwi się z tego powodu. Ostatecznie musiała się przyznać do wielkiej antypatii, jaką czuła do Anny.

Wciąż jeszcze ze zmarszczonym czołem zabrała się do sprząwania. Netta była zajęta w kuchni, ale niezależnie od obowiązków Netty, Łucja czuła dziwną chęć posprząwania tego pokoju własnoręcznie. Bezwiednie nadawała temu zajęciu symboliczne znaczenie. Niech Anna marnuje swoje życie, ona pożytecznie wykorzysta swoje, wykorzysta w sposób przyzwoity.

Zrobiła w pokoju porządek, następnie zebrała parę drobiazgów, broszkę i pierścionek z opalem, zostawione bez trosko - pozostałą biżuterię Anna założyła wyjeżdżając do miasta - by schować je do szkatułki, stojącej przy lustrze. I otworzyła tę zieloną szkatułkę. Nagle - ręce jej znieruchomiały - przystanęła zdrewniała. Z napięciem, bez ruchu wpatrywała się w coś na dnie szkatułki. A jej pobladła twarz zastygła w dziwnym grymasie.

Następnie Łucja powoli wyciągnęła rękę i wyjęła jakąś rzecz. Było to zdjęcie, nie w medalioniku - Anna nie mogła mieć czegoś tak sentymentalnego - lecz małe naderwane zdjęcie, które właśnie z powodu swego zniszczenia mogło od lat spoczywać w szkatułce niezauważone. Była to fotografia dziecka, marna, wyblakła fotografia, mimo to wyrazista i dziwnie pociągająca. Tak pociągająca, że Łucja nie mogła oderwać od niej oczu. Wiedziała od

razu, że to zdjęcie dziecka Anny, ukrytego, nieżyjącego od dawna, które spojrzało na nią z wyblakłej fotografii. I tak samo nagle, wywołany widokiem tego dziecka, nasunął się jej inny obraz - twarz jej własnego syna. Twarz Piotrusia sprzed paru lat pojawiła się obok tej drugiej, wstrząsająco podobna - nos, oczy, nawet linia ust - zlały się przed jej zamglonym wzrokiem w jedną i tę samą twarz. I nagle zrodziło się straszne, potworne podejrzenie.

Czy śni, czy została opętana przez jakieś nieprawdopodobne urojenie, czy dała się unieść nastrojowi melodramatyczności, tak obcej jej trzeźwej i normalnej naturze. Ale nie, to nie urojenie. To podobieństwo, dostrzegane jasno przez rozgorączkowany umysł, było dla niej nie tylko wstrząsem, lecz objawieniem. Dla faktu, że syn Anny tak bardzo przypominał jej własnego syna, istniało tylko jedno wyjaśnienie - jedno jedyne przerażające rozwiązanie, będące też rozwiązaniem wszystkich jej wątpliwości.

Drżała. A w duszy jej drżało również jakieś nieokreślone uczucie. To, czego dotychczas nie mogła pojąć, nie sprecyzowane przecucie z ostatnich dni, cały ten podświadomy nurt jej myśli - wszystko to przybrało teraz konkretne kształty przytłaczając ją swoim realizmem. O Boże - myślała oszołomiona - teraz rozumiem wszystko. Gmach wzniesiony przez jej wyobraźnię był ukończony. Przed pięciu laty Frank kilka miesięcy mieszkał w domu Anny. Później urodziło się dziecko Anny - dziecko obojga. Więc to jednak prawda. Frank był ojcem tego dziecka. Teraz już wie. Ogromnie wzburzona gwałtownym ruchem wrzuciła fotografię do szkatułki, zatrzęsnęła wieczko i osunęła się na krawędź łóżka. Ogłuszona, z szeroko rozwartymi i od strachu pociemniałymi oczami, siedziała złamana. Serce jej ledwie biło. Życie nie miało dla niej teraz żadnej wartości. W uszach jej rozbrzmiewały echa tysiąca głosów, ciche, natarczywe szepty, a wszystkie dotyczyły Franka, jej męża, którego kochała, a który był jej niewierny.

Z cichym jękiem gwałtownie wyprostowała się. Nie mogła uwierzyć. Westchnęła głęboko, pragnąc uwolnić się od tych myśli. Nie uwierzy w to. Nie, to niemożliwe. To oszałamiające podobieństwo dziecka Anny i Piotrusia jest przypadkowe, wynika z podobieństwa rodzinnego. Nie, to niczego nie dowodziło. Były to jedynie podejrzenia. Wszystko jest niczym w porównaniu z jej miłością do Franka. Posiada przecież swoją miłość, swoją wierność. Jestem szalona - myślała ze skrucą - podejrzewając Franka. Nagle wydało się jej czymś potwornym, że na podstawie jakiegoś słowa, spojrzenia, przypadkowego podobieństwa, mogła posądzać go o czyn prowadzący do zniszczenia ich szczęścia. Przecież nie jest kobietą zdolną do niskiej zazdrości lub podejrzeń, jest wyższa ponad takie odruchy.

To tylko jej żarliwa miłość wywołała przykrą sytuację, tak że serce jej przeszła strzała, zanim został napięty łuk. I nie było też żadnej strzały. Frank nie ma nic wspólnego z tą nieszczęsną sprawą. Nie uwierzy nigdy w to potworne podejrzenie, przecież Frank, który przez te wszystkie lata był jej mężem, pieścił ją i kochał, nigdy ani słówkiem nie wspominał o fakcie, dręczącym ją teraz niby straszna zmora. Ale dlaczego - myślała znowu, a oczy jej ściemniały - tak, dlaczego nigdy nie wspominał o tej sprawie? Byłoby to takie łatwe, takie proste, gdyby przed przybyciem Anny powiedział coś na ten temat. I dlaczego sprzeciwiał się jej przyjazdowi, gdy teraz każdy jego gest świadczy o tym, że odnosi się do niej serdecznie. Z rozpaczą opuściła dłoń na poręcz łóżka i oparła na niej czoło. Nie ma dowodu. Myli się. Ośmiesza się. Prosty zbieg okoliczności, że pobyt Franka i przyjście na świat tego dziecka przypadły w tym samym roku.

Ale jaki... jaki złośliwy zbieg okoliczności! I czy tylko zbieg okoliczności? Na samą myśl o tym zadrżała. Przy tym to ukrywanie przed nią - to sprawiło jej największy ból. Zalała ją fala gorzkich wspomnień: spojrzenia, które niewątpliwie zamieniali ze sobą - Frank i Anna - rzucane ukradkiem słowa. Zerwała się gwałtownie. Czy może się także tajemnie porozumiewają? Zagryzła wargi i mocno zacisnęła ręce, starając się opanować. Krew szumiała jej w uszach, a w gardle czuła bolesne dławienie.

Nagle podniosła głowę, wysunęła stanowczo podbródek, wyprostowała się. Jej instynkt posiadania obudził się ponownie. Frank należy do niej. Cokolwiek działo się w przeszłości, ją obchodziła teraźniejszość i przyszłość. Z mocnym postanowieniem szybko zerwała się na nogi i zagryzając mocno wargi zeszła ze schodów. Przyjąwszy ów fakt jako pewnik, siłą zmuszała się do spojrzenia mu w oczy. I spojrz.

Nie mogła jednak zabrać się do roboty. Przeszła do saloniku i usiadła na sofie. Siedziała bez ruchu, a postać jej straciła stopniowo swą sztywność, usta złagodniały, a spojrzenie wybiegło w dal. Ramiona opadły bezsilnie. Zaczęła się zastanawiać. Z twarzą wyrażającą rozterkę uczuć, na tle jasnego okna, wyglądała dziwnie młodo i wzruszająco. Otaczał ją jakby jakiś tragizm. Czy był to jednak tragizm jej odkrycia? Czy też tkwił głębiej - tego nie umiała powiedzieć.

Siedziała jeszcze, gdy weszła Netta z wiadomością, że obiad na stole. Wciąż zatopiona w myślach, Łucja wstała i przeszła do jadalni. Piotruś siedział już przy stole, z serwetką dokoła szyi. Na jego widok gorące łzy wzruszenia napłynęły jej do oczu. On przynajmniej

należy do mnie, pomyślała, i zawsze będzie do mnie należeć. Nagłym ruchem otoczyła go ramieniem i pocałowała szybko.

- Mamo, gdzie jest Anna? - zawołał, spieszenie zabierając się do zupy.

- W Glasgow - odrzekła cicho.

- Brakowało mi jej dziś rano - mówił wesoło. - Lubię Annę. Dobrze się z nią bawić.

Nie odpowiedziała. To, że jej syn mógł przywiązać się do Anny, wydało jej się czymś nieprawdopodobnym - co za przykra myśl.

- Mówiła mi coś o jachcie - ciągnął - wiesz, o takim z prawdziwymi żaglami.

Nagle zacięła usta, by nie zdradzić swego wzburzenia. W chwili rozpaczliwego niepokoju widziała nawet w zachowaniu Anny wobec Piotrusia coś nienaturalnego, przesadnego, podejrzanego; była dobra dla chłopca, ponieważ był synem Franka, ponieważ przypominał jej własnego syna, którego ojcem był również Frank.

Nagle wstała od stołu, pełna udreki, przyciskając rękę do czoła.

- Mamo - zawołał Piotruś - gdzie idziesz?

- Skończyłam jeść - powiedziała z trudem. - A mam coś do szycia. - I szybko wybiegła z pokoju.

Popołudnie wlokło się, ospałe w bladym jesiennym słońcu, znaczone powolnym mijaniem sekund, wywołując smutek, drażniąc ją bolesnymi wspomnieniami innych popołudni, spokojnych, sennych, miłych, kiedy Frank i ona byli pewni swojej miłości.

Nie miała nic do szycia. Nie miała w ogóle żadnej roboty, do której mogłaby się zabrać. Musi czekać - gorączkowo czekać jego powrotu. A gdy nareszcie zbliżyła się chwila przybycia pociągu, niecierpliwość pchnęła ją do działania. Wyjdzie naprzeciw niego. Wstała, włożyła kapelusz i płaszcz, i ruszyła ku stacji. Szła główną aleją - tędy zwykł wracać - chcąc spotkać się z nim sama, odrzuciła myśl, żeby zabrać Piotrusia. Jedynie Franka pragnęła teraz zobaczyć. Och, jak gorąco tęskniła do chwili, kiedy zostanie z nim sama, by w końcu zbadać

tę nieszczęsną sprawę, przekonać się, powiedzieć mu, jak go kocha, usłyszeć przekonywające zapewnienie jego miłości.

W miarę jak zbliżała się do miasta, oczy jej szukały między idącymi aleją, gotowe rozbliysnąć radością na widok znanej postaci. Ale nie było go widać. Chyba nie poszedł inną drogą, przecież stale chodził tędy? Stopniowo zwalniała kroku, w połowie alei stanęła niezdecydowana, twarz miała bladą i zmieszaną, oczy trwożne, niespokojne.

Nagle drgnęła na dźwięk głosu i odwróciła się w gorączkowym oczekiwaniu. Ale natychmiast radość jej znikła, z trudem zamaskowała swe rozczarowanie: to nie Frank stał przed nią, lecz panna Hocking, poważnie prowadząc swego psa i uśmiechając się do niej ze wspaniałomyślną łaskawością.

- Zawrócę z panią - zaproponowała panna Hocking rozsądnie.

Łucja nie była wcale usposobiona do tego spotkania, było jej nie na rękę, pragnęła zobaczyć Franka - całym sercem wrywała się do niego.

- Wyszłam naprzeciw męża - powiedziała chłodno.

- Więc pozwoli pani przynajmniej, że pójdziemy razem - powiedziała panna Hocking logiczniej niż poprzednio.

- No, to chodźmy - rzekła Łucja zrezygnowana. - Muszę już wracać do domu.

- A może pani zajdzie do mnie na herbatę - łagodnie zaproponowała panna Hocking - mam herbatniki i pyszne ciastka z kremem.

Łucja podniosła na nią nieprzytomne oczy, następnie uśmiechnęła się, by nie zdradzić dręczącego ją niepokoju. Ale był to uśmiech blady, wymuszony.

- Dziś nie mogę!

- A potem... potem zagrałabym pani na wiolonczeli. Może coś z klasyków, ale nic męczącego. Bardzo cicho i delikatnie.

Łucja potrząsnęła głową.

- Nie mogę - powtórzyła.

- Myślałam, że... - szepnęła panna Hocking, nie okazując żalu. - Pomyślałam tylko...
Nie stało się nic złego.

Przez chwilę szły obok siebie w milczeniu.

- Czy - z trudem i wbrew swej woli spytała Łucja - czy pani nie spotkała Franka...
mojego męża? Chciałam mu wyjść naprzeciw.

Na twarzy panny Hocking pojawił się wyraz głębokiej zadumy; w końcu odparła:

- Nie!

I znów chwila milczenia, następnie ze spokojną szczerością, do jakiej tylko ona była
zdolna, panna Hocking oświadczyła:

- Pani wyczekuje jego, a właściwie to on powinien wyczekiwać pani! Łucja
poczerwieniała gwałtownie: słowa szczerze przyjazne nie mieściły w sobie żadnej aluzji,
niemniej dotknęły ją boleśnie.

- Kobieta - ciągnęła dalej panna Hocking, wyrażając nieoczekiwaną, oryginalną myśl
filozoficzną - powinna być pożądana. Ja nie biegam za nikim, lecz wiem instynktownie, że
jestem pożądana.

Usłyszawszy te dziwaczne słowa, Łucja zagryzła wargi; był to skończony nonsens, a
jednak w tym nonsensie krył się promyczek prawdy. Ręce jej wykonały nerwowy ruch, a głos
załamał się, gdy powiedziała:

- Mówię o swoim mężu, to zupełnie coś innego.

- Ach - łagodnie szepnęła panna Hocking.

Nie powiedziała już ani słowa. Rozstały się po drugiej stronie przystani, gdzie drogi
ich się rozchodziły - panna Hocking ruszyła w kierunku swego mieszkania w eleganckiej
dzielnicy na wzgórzu, a Łucja poszła dalej aleją wiodącą do jej domu.

Bez właściwego powodu czuła się zrozpaczona, wzburzona tym nowym zajęciem, śmieszną, lecz niemniej drażniącą uwagą panny Hocking, że goni za swoim mężem. A któż ma większe prawo szukać go niż ona? Przecież po prostu wyszła tylko naprzeciw. Wcale nie chce, by on gonił za nią, by - używając śmiesznego określenia panny Hocking - pożądał jej. Czy jednak powiedzenie to było zupełnie śmieszne? Zmarszczyła czoło, umysł jej, znów pchnięty na tory podejrzeń, opadły dręczące, nienawistne myśli. Czując mgłę jesienną, zapowiadającą bliski zmierzch, Łucja nagle zaczęła ziębnąć.

Jakże straszna, przeszywająca myśl, że Frank pożądał kiedyś Anny, że kochał ją, spał z nią i spłodził z nią dziecko, że on i to wszystko, co Łucja uważała za swoje, należało też do Anny. A stało się to bez jej wiedzy. Tak, myśl ta znów wróciła i zaczęła ją męczyć.

Dzięki zdumiewającemu skojarzeniu przypomniała sobie stanowczy opór brata przeciw jej małżeństwu, jego stałe uwagi na temat rodziny Moore'ów, a nawet ostrzeżenie przed katastrofą. Tego z pewnością nie można sobie wytłumaczyć jedynie tym, że przez ten związek obniżała swoją pozycję towarzyską. Czy Frank i Anna - czy to możliwe, by kochali się już wtedy, w tamtych dawnych czasach w Levenford? Czy Ryszard wiedział o czymś, co dla niej było tajemnicą? Przed tym przypuszczeniem duma jej cofała się gwałtownie, choć w głębi serca czuła, że to może być prawdą.

Później jednak zaczęła myśleć spokojnie. Jeśli Frank i Anna kochali się - przypuszczenie swe rozwijała do nieubłaganego końca - dlaczego nie pobrali się od razu? Słabość Franka, przewrotna niechęć Anny do uregulowanego życia - żaden z tych powodów nie wyjaśniał ostatecznie poniesienia tego kroku tak logicznego i rozumnego. Drgnęła i przez chwilę czuła się beztroska, swobodna, niemal szczęśliwa. Już choćby z tego względu podejrzenie jej jest bezpodstawne. Nie miała racji.

Wtem na samym dniu jej myśli zjawiała się nowa wątpliwość, niwecząc szczęście i tę nowo odkrytą nadzieję. Frank i Anna byli kuzynami, a Kościół nie pozwalał tak bliskim krewnym na związek małżeński. Znów poczuła przenikające ją zimno, przenikliwą wilgoć, która nadciągając od zatoki zdawała się mrozić ją do szpiku kości.

Ściemniło się już prawie zupełnie i drobne punkciki światła rozbłysły wokół zatoki. Była dłużej poza domem, niż zamierzała, Frank może już powrócił, mimo to wcale nie przyspieszyła kroku. Jakie to dziwne, że ona, taka szcera i kochająca, taka dumna -

świadomie dumna - ze swojego domu, ociągała się widomie z powrotem, a właściwie prawdę mówiąc, to bała się nawet wejść za próg. Nawet teraz, już u furtki, zawahała się, jak gdyby ukryta w mroku na zewnątrz czuła się bezpieczniej, jak gdyby ona była tą, która mając jakąś tajemnicę, musi ją ukrywać.

Następnie poczuła znowu gwałtowny przyływ miłości. Musi zobaczyć Franka, swego Franka - musi zobaczyć go natychmiast. Ogarnęła ją za nim tęsknota tak wielka, jak wielkie było jej cierpienie. Niech tylko znajdą się sami, niech on tylko wszystko wyjaśni, a znów będzie dobrze. Nie jest despotką, wysłucha go i zrozumie. Zdecydowanym ruchem otworzyła drzwi i z błyszczącymi oczami weszła do domu.

Pragnęła zobaczyć Franka. A Frank był tu, w saloniku, w wygodnym fotelu przed migotliwym płomieniem kominka razem z Piotrusiem. Ale po drugiej stronie siedziała Anna. Anna! Zbladła, cofnęła się na ten widok jak pod ciosem. Skuliła się i zeszywniała w półcieniu przy drzwiach. Frank i Anna wrócili razem.

Było to oliwą na ogień jej udręki, zółcią wsączoną do otwartej rany zazdrości - nagłym potwierdzeniem okrutnych obaw. Serdeczna czułość zniknęła w okamgnieniu, uległość przeobraziła się w gorycz. Łucja przybrała surowy wyraz twarzy, zacisnęła wargi, że tworzyły cienką linię. Mrużąc oczy przed światłem płonącej lampy, miała wrażenie, że jest jakimś natrętem, wdzierającym się nieoczekiwanie do zamkniętego grona rodzinnego. Ona, pani domu, doznająca takiego uczucia! Przez chwilę stała tak, patrząc na nich, następnie powiedziała tonem brzmiącym szorstko nawet dla niej samej:

- Więc jednak natrafiliście na siebie?

Piotruś zaśmiał się wesoło.

- Natrafiliście - powtórzył. - Jakie to śmieszne słowo, mamó! Przyjechali tym samym pociągiem.

- Tak, rozumiem - rzekła zdławionym głosem.

- I patrz, mamó - wykrzyknął Piotruś tonem, w którym czuło się zachwyty. - Patrz, co mi przywiozła Anna. - Z zachwytem wysunął ku niej model jachtu, piękny, smukły statek o białych żaglach, podarek zachwycający i kosztowny.

- Wspaniała łódź - entuzjastycznie rzekł Frank. - Anna musiała wydać na nią mnóstwo pieniędzy. Sam ją będę puszczał w niedzielę.

Łucja wpatrywała się w niego nieruchoma.

- Powiedz coś, mam, powiedz - zawołał Piotruś ciągnąc ją za suknię. - Powiedz, że wspaniała.

- To wam wydaje się tak wspaniała - powiedziała z bolesną goryczą, a jej wysmaganą wiatrem twarz oblał ciemny rumieniec.

Zapadło krępujące, nieoczekiwane milczenie, po czym Anna, która ją obserwowała, wysuwając dolną wargę, co sprawiało, że robiła wrażenie uśmiechniętej, choć się wcale nie uśmiechała, zawołała:

- Myśleliśmy, żeś się zgubiła!

- Nie - rzekła Łucja chłodno. - Nie tak łatwo się gubię.

- Moja łódź - rozżalony Piotruś gładził lśniący kadłub statku. - Moja śliczna łódź. Mogłaś przecież powiedzieć, że ci się podoba.

- Cicho bądź - ostro ofuknęła go Łucja. - Muszę myśleć o czymś ważniejszym niż twoje zabawki.

Nie mogła się opanować: przeżywa straszliwą trwogę w obliczu życiowej klęski, a tu drażnią ją taką błahostką - prezentem Anny dla jej syna.

Odezwał się gong wzywający na kolację.

- Tak - powiedział wreszcie Frank wstając - jeśli nie możemy się weselić, to w każdym razie musimy jeść.

Łucja poczerwieniała jeszcze bardziej, lecz bez słowa odwróciła się i przeszła do jadalni.

- Gdzie się zawieruszyłaś? - spytał Frank, gdy usiedli. Był w dobrym humorze, starał się przypodobać Łucji, a nawet ją udobruchać. - Nieczęsto wychodzisz o tej porze.

- Miałam do załatwienia swoje własne sprawy - powiedziała sucho; widziała jego dobre chęci, ale przyjęła to podejrzliwie. - Chyba wiesz o tym.

- Tak - przytaknęła łagodnie. - Masz rację, moja droga.

Nastąpiła cisza, krepująca, nienaturalna cisza. Pierwsza odezwała się Anna.

- Najzabawniejsze było to, Łucjo - mówiła z niezwykłą uprzejmością - że jechaliśmy z Frankiem tym samym pociągiem, nie wiedząc o tym aż do chwili przyjazdu do Ardfillan.

- Istotnie - przytaknęła Łucja krzywiąc usta - wprost niewiarygodne.

Ale wysiłek nadania głosowi tonu pogardy łamał jej serce. Wiedziała oczywiście, że Anna ją oszukuje - jakże inaczej tłumaczyć należy tę niezwykłą uprzejmość. Biedna Łucja. Gdyby Anna była ponura, Łucja w obecnym nastroju wysunęłaby z pewnością ten sam podejrzliwy wniosek.

Kolacja była dla niej czymś nieznośnym. Nie mogła wprost przełykać, dławilo ją w gardle. Pod wpływem nagłego odruchu pragnęła wybiec na świeże powietrze, uciec od nieznośnego ciężaru myśli. Ale nie mogła się poruszyć, nie mogła biec. Musiała siedzieć, przysłuchiwać się i obserwować bez przerwy - tak, czuła coraz silniejszy wewnętrzny nakaz obserwowania mimo bólu, czy ci dwoje nie zamienią z sobą spojrzeń lub słów, które by potwierdziły jej dręczące i doprowadzające do szału obawy.

Nareszcie kolacja skończyła się. Anna wróciła do salonu, Piotruś pobiegł na piętro, pieszczotliwie tuląc zlekceważony przez Łucję jacht, Netta sprzątnęła ze stołu i wycofała się do kuchni. Zostali sami - chwila, której widocznie wyczekiwał Frank, gdyż od razu spytał otwarcie:

- Łucjo, co ci się stało? Myślałem, że zapomnieliśmy już o tej sprzeczce.

Wstała, zamknęła drzwi, które Netta pozostawiła otwarte, następnie usiadła z zaciśniętymi ustami i spojrzała mu w oczy. Jej czuły nastrój znikł bez śladu, teraz była zdecydowana, rozpaczliwie zdecydowana, bez wahania powiedziała stanowczo:

- Franku, muszę pomówić z tobą.

- Pięknie - mówił spokojnie z uśmiechem - ale z tego powodu nie musisz przecież robić takiej pogrzebowej miny.

- Nie zwracaj uwagi na moją minę, skoro ci nie odpowiada.

- Łucjo, nie tłumacz sobie moich słów na opak - rzekł szybko, łagodnie. - Wiesz przecież, że powiedziałem to tylko dla żartu.

- Nie jestem usposobiona do żartów - powiedziała z przekąsem. - Nigdy w życiu nie byłam tak poważna jak w tej chwili.

- Ale Łucjo - zawołał niemal błagalnie - co ci się stało?

- Mówię bardzo poważnie, Franku - oświadczyła powoli, z naciskiem, a ton nie pozostawiał wątpliwości co do znaczenia jej słów. - Podejrzewam cię o coś. O coś strasznego. Ale to nie zmienia faktu. Co więcej: istnieje tylko jedno wyjście. Musisz mi powiedzieć prawdę. Powiedz - głos jej podniósł się nagle i zadrżał pod wpływem oskarżenia - powiedz mi, czy byłeś kochankiem Anny?

- Co? - oniemiał, z trudem chwytając oddech.

- Nie tylko to - mówiła podniecona. - Powiedz, to ty byłeś ojcem jej dziecka?

Wpatrywał się w nią osłupiały, a ciemny rumieniec oblał mu twarz po samo czoło. Więc o to chodziło - zrozumiał już wszystko: doszła do tego potwornego wniosku. I pomyliła się - strasznie się pomyliła.

- Więc tak myślisz - wyszeptał w końcu. - Takie masz zdanie o mnie.

- Odpowiedz mi! - krzyknęła znów podniesionym głosem. - Czyż nie widzisz, że czekam?

- Ale Łucjo! - zawołał upokorzony i tak zakłopotany, że to mogło budzić podejrzenia. - Nie bądź śmieszna. To... to idiotyzm.

- Nie jest to takie śmieszne - wybuchnęła, a serce jej ścisnęło się kurczowo na widok jego męki - nie jest takie śmieszne, skoro cię tak wzrusza.

W najwyższym napięciu obserwowała jego twarz, badała odcień słów, ton głosu. A on, uświadomiwszy sobie nagle to śledztwo, uniósł się gniewem:

- Co mi się tak przyglądasz? Nie cierpię tego.

- Więc masz powód obawiać się czegoś? - Twarz Łucji była blada, głos zdławiony, gdy rozdrażniona jego zaczepnym tonem dodała gorzko: - Tak, wina patrzy ci z oczu. Nie potrafisz mnie oszukać, Franku. Znam cię. Och, czemuż nie potrafisz być mężczyzną i przyznać się uczciwie? - mówiła szybko, bezładnie. Pod wpływem jej zdenerwowania i oburzenia poruszył się niespokojnie, coraz silniej się rumieniąc, gdyż wiedział, że jest słaby, i czuł, czuł, że sam utwierdza ją w podejrzaniach.

- To szaleństwo - krzyknął. - Nie miałem nic wspólnego z tą sprawą. Nic! Chyba wiesz, że kocham tylko ciebie. Nigdy w życiu nie miałem do czynienia z Anną. Jeśli mnie nie wierzysz, to spytaj ją.

- Annę! Sądzisz, że poniżę się do tego stopnia, by pytać Annę? Ja, twoja żona, miałabym upokorzyć się przed nią. Zresztą - dodała szyderczo - czegoż mogłabym się spodziewać po Annie? Prawdy - w żadnym wypadku. Nie wątpię, że istnieje między wami jakieś okropne, tajemne porozumienie.

- Wielki Boże! - krzyknął, a gniew jego podsyciała świadomość, że nie potrafi opanować sytuacji. - Do czego zmierzasz? Mówię ci, że mylisz się najzupełniej. Fatalnie się mylisz.

- Mylę się - odparła gwałtownie - ale ty doprowadziłeś mnie do tego.

- Więc obstawaj przy swoim - krzyknął. - Jeśli ci się podoba posądzać mnie o coś, czego nie zrobiłem, to posądzaj, i daj mi święty spokój.

Patrzyli sobie w oczy, zdenerwowani do najwyższego stopnia. Nagle surowy wyraz znikł z jej twarzy. Pod wpływem nieopanowanego porywu czułości oczy jej złagodniały, błyszczą teraz błagalną prośbą.

- Franku - zawołała - czy nie rozumiesz, jak mnie to męczy? Wyjaśnimy tę sprawę, a potem zaczniemy życie od nowa.

Ale teraz on wpadł w ostateczną wściekłość i z uporem obrażonej słabości nie chciał dalej słuchać. Zerwał się na równe nogi.

- Dość tego. Więcej już nie wytrzymam.

Ona również zerwała się szybko i chwyciła go za ramię.

- Franku - błagała namiętnie - wiesz, że cię kocham. Wiesz o tym dobrze. Powinieneś wiedzieć, że dla ciebie zrobiłabym wszystko. Wszystko na świecie. Czy nie możesz poprosić mnie przynajmniej o przebaczenie?

Skierował się ku drzwiom, nie spojrzawszy na nią.

- Na co mi twoje idiotyczne przebaczenie? - zawołał. - Zachowaj je dla siebie, aż cię o nie poproszę.

- Franku, nie odchodź - prosiła rozpaczliwie. - To mnie tylko upewnia, że jesteś winny.

Z gniewnym okrzykiem odtrącił jej ramię.

- Na miłość boską, zostaw mnie w spokoju! - Odwrócił się i wyszedł.

Odszedł. A ona siedziała zdrgnięta, z oczami pełnymi łez, wpatrując się w zamknięte drzwi. Zaprzeczył jej. Musiał oczywiście zaprzeczyć. Ale forma tego zaprzeczenia utwierdziła ją tylko w strasznym przekonaniu. Gdybyż postąpił uczciwie! Och, jak chętnie byłaby mu wybaczyła, gdyby tylko się przyznał. Zamiast tego uciekł z pokoju krzycząc. To nie był Frank, człowiek, którego kochała, to była łupina, maska, osłaniająca to, co jest pod nią. Znała jego słabość, posepność, dziwactwo, dlatego właśnie pragnęła dać mu swą siłę. Kochała go nie dla jakichś zalet, które może posiadał, lecz dla czegoś nieokreślonego, co było nim. A kochając go, pragnęła mu pomóc. Przez osiem lat byli szczęśliwi, niepodobna, by nie zdawał sobie sprawy z jej całkowitego oddania: a oto znalazła się w obliczu tej niewiarygodnej, strasznej zmiany. Wnosząc z jego postępowania, można było przypuszczać, że nawet teraz zaszło coś między nim a Anną.

Znów wstrząsnął nią dreszcz, a oczy wciąż jeszcze utkwione były w drzwiach, które nagle wydały się jej symbolem - oto zamknęło się coś przed nią, coś, czego już może nigdy nie odzyska. Nagle z salonu, do którego wszedł, dobiegła ją melodia z jakiejś opery,

brzdąkana na fortepianie przez Annę. Zerwała się. Głowa jej pękała, czuła się potwornie zgnębiona. Była sama w pokoju, więc chwila i miejsce sprzyjały gorzkiemu wyładowaniu bólu. Nie płakała jednak. Usta jej zacisnęły się mocno, drobną, energiczną twarz ożywiło nowe postanowienie. To nic, że jej podejrzenie zostało potwierdzone. Ona go kocha i pragnie ratować przed Anną, przed nim samym. Gniew jej znikł, nie urządzi żadnej sceny, ale będzie czuwać, będzie czekać, gotowa działać, gdy zajdzie potrzeba. Wolno wstała i przeszła spokojnie do salonu.

9

Budząc się, czuła teraz stale nieznośne brzemie, ciężar ugniatający serce. Przez kilka sekund po przebudzeniu była szczęśliwa, bezwiednie cieszyła się nowym dniem, po czym nagle pojawiała się świadomość, natychmiast niweczając dobry nastrój. Nie do zniesienia było to przygnębienie, ten brak radości życia. Z rozpaczą w oczach, mocno zacisnąwszy usta, leżała spokojnie, wpatrzona w przeciwległą ścianę sypialni. Tam - bezlitosna ironia - wisiał miły obrazek, który zawsze lubiła: "Pojednanie" - przedstawiający marmurowe schody obok fontanny i dwoje romantycznych kochanków przytulonych do siebie, na pierwszym planie widać było rasowego charta, a w głębi stary sługa niósł na tacy wino. Miły obrazek. Ale Łucja nie dostrzegала jego wdzięku. Ze zmarszczonym czołem myślała rozpaczliwie: Nie mogę wytrzymać. Ten niepokój zabija mnie.

Musi jednak wytrzymać. I wytrzyma. Ona miałaby się poddać, skapitulować, przyznać się do klęski? Nie, nie do pomyślenia. I szybko znajdowała odpowiedź: Muszę wytrwać do końca, tak, do końca. Uspokojona nieco tym postanowieniem wstawała, ubierała się w milczeniu i schodziła na dół, by zająć się śniadaniem. Nie ustawała bowiem w swych staraniach. O nie, nawet zwiększała je niedostrzegalnie, trzymając się jednak na uboczu, równocześnie dając dowody swej niezbędności. Nigdy śniadania Franka nie były smaczniej przyrządzane ani lepiej podawane. Z pozornym spokojem nagrzewała jego bieliznę i rękawiczki przy ogniu kominka, podchodziła nawet do drzwi, by w milczeniu pomóc mu włożyć płaszcz. Ale pod tym spokojem kryło się jakież wzburzenie.

Znów nadeszła sobota, a ona wciąż jeszcze nie była mądrzejsza i trwała wciąż w napięciu. Minęły już cztery dni - jak zdołała je przeżyć? - a każdy ranek witał ją blaskiem, którym się nie radowała. Jasne i słoneczne, lecz chłodne jesienne dni mijały nie zauważone przez nią. Nie mogła znaleźć spokoju - oto określenie, w jej mniemaniu dokładnie wyrażające jej sytuację, a określenie to dręczyło ją, doprowadzając do obłędu. Gdyby Frank wziął ją w objęcia i poważnie zaprzeczył po prostu temu jednemu faktowi, którego się bała, natychmiast poczułaby się szczęśliwa i uspokojona. Ale od owej sceny, kiedy po raz pierwszy stawiała mu czoło, nie zrobił tego. Nie bronił się. Bywał na przemian ironiczny, żartobliwy, rozgadany i wbrew sobie okazywał Annie nowe i jawne względy, żeby zwiększyć niepokój Łucji. Ci dwoje sprawiali wrażenie, że łączy ich dziwne podobieństwo usposobień, czuli się niejako zmuszeni do zawarcia przymierza. Zdradziwszy ją raz z Anną, dlaczego nie miałby zrobić tego ponownie? Znała Franka - znała go doskonale. Dawniej bywały między nimi nieporozumienia - gdzie ich nie ma? - ale on zawsze potrafił ją przebłagać. Tym razem długo z tym zwlekał. Czy sądzi istotnie, że pogodziła się z istniejącym stanem rzeczy i uznała się za pokonaną? Wzruszyła ramionami na myśl o tym niemądrym przypuszczeniu.

Stojąc teraz w małej sypialni Piotrusia, przyglądała się jego zajęciu, które poważnie nazwał "pakowaniem", z przejmującym poczuciem doznanej krzywdy. Nawet patrząc na swego synka miała uczucie, że została skrzywdzona. Tak, nawet w tym wypadku została pochwycona w pułapkę, podstępnie odsunięta na fałszywą pozycję. Piotruś wyjeżdżał na kilka dni do Port Doran, a chociaż ona sama podsunęła ten projekt, to jednak wcale nie pragnęła urzeczywistnienia go.

W ciągu ostatnich dni chłopak był jej jedyną radością. Dużo z nim rozmawiała, zajmowała się nim, znajdując w nim źródło pociechy. A przede wszystkim popisywała się przed Anną swym synem i swoim przywiązaniem do niego, robiąc to z pewnego rodzaju przekorną wylewnością. Powstrzymując się przez dumę od bezpośrednich uwag, była zdecydowana, bezwzględnie zdecydowana użyć wszelkich środków, jakimi rozporządzała, by Annę zranić i skłonić do opuszczenia ich domu. Stale miała przed oczyma ten cel, a w czwartek, tuląc do siebie syna i patrząc na tamtą kobietę, powiedziała:

- Piotrusiu, w sobotę pojedziesz do Port Doran. Stryj Edward chce, byś do niego przyjechał po wyjeździe Anny.

Anna udała, że nie rozumie wyraźnej aluzji. Wciąż nie miała zamiaru odjechać. A Piotruś, uradowany czekającą go zmianą, opuszcza ją - chwila ta jest coraz bliższa. Nawet to błahe wydarzenie odczuwała Łucja jako klęskę, mogło się niemal wydawać, że własnymi rękami przygotowała sobie przegraną.

- Chyba już wszystko zapakowane - oświadczył poważnie, oderwawszy nagle wzrok od otwartej walizeczki. Smutnymi oczyma, z pewną melancholijną dumą przyglądając się jego klęczącej postaci, uważała go za zdumiewające dziecko, widziała jego zamiłowanie do porządku, czystości, zasługujące na podziw. Dokładnie wiedział, co ma i skąd otrzymał. Pieczę nad ubraniem pozostawiał oczywiście Łucji, ale w stosunku do reszty swoich rzeczy i zabawek, krawatów, przejawiał troskliwość posiadacza, niewiarygodną u takiego malca - a odziedziczoną zapewne po matce.

- Synku, czy nie jest ci przykro odjeżdżać ode mnie? - spytała, łaknąc odrobiny pociechy i patrząc nań wilgotnymi oczyma.

Zamknął walizkę i zerwał się wesoło.

- Przecież wkrótce wrócę, mamusiu - oświadczył z optymizmem. - Przykro mi tylko ze względu na Annę, bo może jej już nie zastanę po powrocie. - Ale szybko rozpogodził twarz i dodał wesoło: - A może jednak. Nigdy nie można wiedzieć.

Mówił jeszcze, gdy usłyszeli mocne pukanie do tylnych drzwi.

- To Dawid - wykrzyknął zachwycony, biegnąc ku schodom. - Czas w drogę. - Nagle urwał, zajęty nową myślą. - Przecież muszę pożegnać się z Anną.

- Więc idź - rzekła chłodno. - Mogę cię zapewnić, że jej już nie zobaczysz.

Gdy skierował się do pokoju Anny - było wcześniej, właśnie wybiła dziesiąta, a Anna jeszcze leżała - Łucja powoli zeszła do kuchni.

- Młody Bowie przyszedł po Piotrusia - powiedziała Netta, zajęta czyszczeniem butów. Przyszedł Angus, nie Dawid, a Netta wyładowała swoje rozczarowanie energicznie glansując skórę obuwia.

- Angusie, przewieziesz go bezpiecznie? - spytała Łucja stając w otwartych drzwiach. Ogarnęło ją znów przykre uczucie, wywołane rozstaniem z synem.

- Oczywiście - oświadczył poważnie. Podobny do Dawida nie posiadał jednak jego humoru, był powściągliwy, ostrożny, bardziej pewny siebie, teraz powtarzając jej słowa dodał: - Przewiozę go bezpiecznie.

- Dziękuję - rzekła spokojnie i odwróciła się do Piotrusia, który wbiegł do kuchni, trzymając w jednej ręce walizkę, w drugiej nowego szylinga.

- Oto jestem! - zawołał głośno. - Anna dała mi całego szylinga. Wspaniale, prawda? Angusie, ruszamy. Jestem gotów.

- Nie wydawaj tych pieniędzy na tanie słodycze - rzekła surowo, czując, że ją znów wyprzedzono, gdyż sama zamierzała dać mu szylinga na ozdobną szkocką torbę. - Nie chcę, byś sobie zepsuł żołądek.

- Nie, nie mam - zapewnił ją natychmiast. - Nie kupię żadnych farbowanych cukierków.

Z nieopisanym wzruszeniem patrzyła na jego roześmianą, ożywioną twarzyczkę. To kilkudniowe rozstanie było błahostką, czymś zwyczajnym, lecz w obecnej depresji odczuła to jako okropny cios. Miała dziwne uczucie, że coś jej zagraża, coś nieodwołalnego, wynikającego z tego smutnego rozstania, ponadto ogarnęło ją nieokreślone, nieuchwytnie przecucie - przecucie dotyczące jego powrotu. Nagle poruszyła się.

- Bądź zdrow, kochanie - rzekła tuląc go w ramionach. Było to coś niezwykłego, nigdy nie mówiła do niego pieszczotliwie, ale zmusiły ją do tego okoliczności.

Odprowadziła go oczyma, gdy szedł ścieżką z Angusem, wciąż jeszcze z dziwnym wzruszeniem czując na ustach jego ciepłe wargi. Głupie, piekące łzy napływały jej do oczu. Odwróciła się szybko: nie może przecież ośmieszać się w oczach Netty.

Przeszła do jadalni i stanąwszy przy oknie wpatrywała się zadumana w widok rozpościerający się przed nią. Doznała uczucia pustki, ponadto zdawała sobie sprawę, że odjazd syna doprowadzi kryzys do kulminacyjnego punktu. Rozumiała, że Piotruś był pewnego rodzaju buforem, powstrzymującym gwałtowny wybuch między Anną a nią.

A teraz ponownie zadała sobie pytanie, dlaczego od razu nie położyła kresu tej sytuacji, prosząc Annę, by opuściła jej dom. Choć może czuła, że powstrzymuje ją od tego gościnność, to jednak nie był to powód jedyny. Nie, przyczyna była głębsza, bardziej skomplikowana. Załatwienie sprawy w ten sposób oznaczałoby poddanie, milczące przyznanie się do słabości, lęku. Anna sama musi zdecydować się na wyjazd. Poza tym, chociaż tego nie wiedziała, jej podejrzliwość była niby złośliwy wrzód, wymagający stale nadzoru. Była pewna swego, to znów miała wątpliwości. Za wszelką cenę pragnęła dojść prawdy, posiąść ją ostatecznie raz na zawsze. Jakże często z bolesnym oporem rozważała fakty, badała dowody, porównywała je, chcąc dotrzeć do samego sedna sprawy. Była przekonana, że Frank jest ojcem dziecka Anny, była przekonana, że ponownie zdradził ją z Anną. A jednak - nie wiedziała jeszcze na pewno.

Nie wiedziała - i w tym właśnie tkwiła najgorsza męka. Intuicyjnie uważała sprawę za dowiedzioną, a przecież brak było dowodu ostatecznego. Taki był stan rzeczy, a sam brak pewności sprawiał, że czuła się rozpaczliwie bezsilna.

Pytać jednak nie mogła. Pytała Franka, ale on uchylił się od odpowiedzi. A teraz choćby cały świat rozbrzmiewał tą zakrytą wobec niej tajemnicą, nie poniżyłaby się do ponownego pytania. Poza tym świat nic nie wiedział o żadnej tajemnicy. Ten sekret był ukryty przed okiem ludzi, zapieczętowany i tylko ona jedna usiłowała go odkryć, a jedna jedyna osoba wiedziała to, czego ona pragnęła się dowiedzieć. Jedna osoba. Anna! Gdybyż przez jedną sekundę mogła znać myśli Anny.

Niespokojnie chodziła po pokoju. Znów ogarnęła ją nieodparta chęć dowiedzenia się - dowiedzenia się ostatecznie, pochwylenia tej uludnej bańki niepewności i doprowadzenia nareszcie do jej pęknięcia. Czuła, że bliska jest obłądu.

I znów nieoczekiwanie ujrzała realistyczny obraz - twór własnej fantazji, przeżywany już nieskończoną ilość razy: Frank i Anna razem w chwili spełniania aktu miłosnego. Gwałtownie zagryzła usta. Jak może powiedzieć sobie spokojnie: to należy do przeszłości, do dalekiej przeszłości, gdy kobieta ta przebywa nadal w jej domu, je, śpi, razem z nią mieszka pod jednym dachem, stawia jej czoło z tym ciągłym, zagadkowym antagonizmem. To dręczące, niesprawiedliwe cierpienie, zbyt okrutne, by miała je przyjąć z uległością, spadło na nią tak nagle, nie wiadomo skąd. Ona, której miłość dla Franka była celem życia - sama myśli o tych wszystkich szczęśliwych latach ich małżeńskiego pożycia wywołała łzy w jej oczach -

nie, ona nie może przyjąć tego spokojnie. nie zniesie tego. Trwało to już dość długo - za długo, być może - jej poczucie taktu, względy gościnności brały górę nad rozsądkiem. Tak, była pewna, że nie zniesie dłużej samego tylko czekania i patrzenia. Fakt, że odesłała swego syna z powodu owej daremnej aluzji na temat wyjazdu Anny, drażnił ją, gdyż dowodził jej nieudolności. Ona - i nieudolność! Skoro Anna była zbyt gruboskórna, by zrozumieć to napomknienie, trzeba wobec niej zastosować dosadniejsze argumenty. Ogarnęła ją gorączkowa potrzeba działania. Stawienie czoła Annie nie oznaczało poddania się, i nie czuła przed nią lęku. Skrzywiła usta na tę myśl i ogarnęło ją dziwne uczucie. Nie była to zwykła sytuacja, nie można jej przeto opanować zwykłymi metodami. Mocno zacisnęła pięści. Dolatujący do niej śpiew Netty jeszcze bardziej umocnił ją w postanowieniu: gdyby nie Anna, ona również mogłaby być szczęśliwa i śpiewać przy pracy. Pomyślała namiętnie: Nie zniosę tego dłużej! Nie zniosę! Pójdę do niej, teraz. Tak zrobię, i to natychmiast! Odwróciła się, przeszła do hallu i zaczęła powoli iść po schodach. Wzburzona, mimo wątłej postaci, wyglądała przerażająco. Z zaciśniętym gardłem, przyspieszonym biciem serca, weszła do pokoju Anny.

Anna leżała jeszcze w łóżku - nigdy nie wstawała teraz przed śniadaniem - jej ciemne włosy rozsypały się na poduszce, ślady snu nie zatarły się jeszcze w oczach, nocna koszula, obszyta koło szyi koronką, była rozpięta, okrągłe piersi rysowały się wyraźnie, wargi były pełne i czerwone. Nie okazała zdumienia z powodu tej niezwyklej i nieoczekiwanej wizyty. Łucja w milczeniu usiadła na krześle: tak blisko, że mogła widzieć żółte cętki w brązowych oczach Anny. Milcząc przyglądały się sobie uważnie.

- Jeszcze nie wstałaś? - spytała na koniec Łucja, zmuszając się, by głos jej nie zadrżał, a słowa brzmiały rozważnie, chłodno.

- Jak widzisz - swobodnie odrzekła Anna.

- Bierzesz wszystko bardzo lekko - powiedziała te słowa szybciej i głośniejszym głosem, niż zamierzała.

- Czy to nie najlepsza metoda?

Łucja zebrała się w sobie i zwilżyła wargi, czując, że stały się suche i twarde.

- Nie rozumiem cię, Anno - mówiła z hamowaną gwałtownością.

- Cóż tu jest do rozumienia?

- Nie masz pracy ani żadnego celu, ani wiary. Istniejesz jedynie dla własnej przyjemności.

- A po cóż jest życie? - beztrąsko spytała Anna. - By z niego wydobyć, co się da, gonić za tym, czego się pragnie. I bierz lichy tego, kto pozostaje w tyle.

- Więc takie masz przekonania - chłodno powiedziała Łucja. - To tłumaczy twoje postępowanie.

W odpowiedzi Anna uśmiechnęła się - czy w ogóle był uśmiechem ten błysk w oczach, zawierający w sobie obojętność, rozbawienie, pogardę. Pod tym spojrzeniem, tak nieprzyjemnym przez swoją obojętność, Łucja zbladła.

- Więc takie są twoje poglądy życiowe - nalegała twardym głosem. - Nie masz żadnych ideałów.

- A ty je masz?

- Ja mam męża - wyjąkała Łucja oblewając się nagle rumieńcem - syna i wiarę.

- Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen - w głosie Anny brzmiało świadome szyderstwo.

Nastąpiła przykra pauza, w ciągu której Łucja uczuła, że wraca fala wzburzenia, które dręczyło ją cały ubiegły tydzień.

- To straszne! - krzyknęła. - Po prostu straszne! Jak możesz mówić w ten sposób? To nikczemne, bluźniercze. Wyśmiewasz wszystko, co w życiu jest dobre i szlachetne. - W uniesieniu użyła tego ostatniego słowa zupełnie bezwiednie.

Anna uniosła się na łokciu, mina jej stała się wzgardliwa, głos bardziej szorstki.

- Daj mi święty spokój - zawołała z nieoczekiwaną gwałtownością - z tą całą sentymentalną gadaniną. Jesteś taka sama jak wszyscy inni, zajmujesz fałszywe stanowisko. Świętość małżeńska! Piękno macierzyństwa! Czymże to jest w gruncie rzeczy? Wychodzisz za mąż, gdyż boisz się zaznać pewnych przeżyć w inny sposób. Później, w następstwie tych

przeżyć, masz dziecko. Taka jest prawda. "Głos, którego tchnienie unosiło się nad rajem" - zamilkła, a wzrok jej wyrażał niewysłowione szyderstwo. - Jakie to piękne! A jeśli chodzi o macierzyństwo, to możesz zamęczać się na śmierć dla swojego ślicznego synka, a na ostatku jednak odwróci się od ciebie i splunie ci w twarz. A teraz ten twój ostatni argument. Nieśmiertelność duszy! Czekaj, aż umrzesz - wtedy się przekonasz, że chwyciłaś bańki mydlane.

- Jak śmiesz mówić w ten sposób - wołała Łucja trzęsąc się z gniewu. - Jak śmiesz? Nie zniosę tego!

- Nie zniesiesz? To właśnie twoje nieszczęście. Dotkniesz któregoś dnia tej bańki mydlanej i pęknie ci, a wtedy zobaczysz, że twoje wszystkie piękne rojenia ulatują w powietrze niby dym.

- Wolę, by mi uleciały, niżbym miała uwierzyć tobie - rzuciła Łucja głosem zdławionym przez gorycz. - Wołałabym umrzeć niż mieć twój pogląd na życie... twoje... twoje zasady. - Urwała nagle, ulegając przemożnemu impulsowi. - Skoro już jednak mówimy o tym, czy możesz wyjaśnić mi to? - i szybko wyciągnawszy rękę otworzyła szkatułkę stojącą na toaletce.

Dramatyczny gest został jednak całkowicie zmarnowany - szkatułka była pusta. Anna od razu wybuchnęła śmiechem, tym swoim szorstkim, pogardliwym śmiechem, zachowanie jej uległo zmianie, straciła zwykły spokój, wielkie oczy płonęły, wydawała się gotowa zarówno do wymierzania, jak do przyjmowania ciosów.

- To było istotnie zabawne - rzekła. - Nie, rzuciłam tę fotografię w ogień tego samego dnia, kiedy ją wyszpiegowałam.

Ciemny rumieniec oblał policzki Łucji, a w oczach zapłonął gniew.

- Cieszę się, że cię to bawi - zawołała. - Może zechcesz opowiedzieć mi ten żart?

- Jest już zwietrzały. Nie warto opowiadać.

- O ile wiem, to nigdy o nim nie mówiłaś zbyt wiele.

- Na pewno nie.

- Nie potrzebujesz również mówić teraz - wzburzenie Łucji doszło do ostatnich granic.
- Wiem o tobie wszystko - także o tym, że miałaś dziecko.

- Tak, ostatecznie miałam je i ja - szyderczo odparła Anna. - Ale to nie twoja sprawa.

Nastąpiła pauza, w ciągu której Łucja, tłumiąc oburzenie, zacisnęła pięści, nie odrywając od tamtej spojrzenia.

- Czy odpowiesz mi na pytanie, które chcę ci zadać? - spytała z desperacją.

- Co takiego?

- Czemu w ogóle przyjechałaś tutaj?

- Zaprosiłaś mnie czy nie?

- Wtedy cię jeszcze nie znałam.

- A teraz mnie znasz? - Te wyzywające słowa, wypowiedziane z gryzącą ironią, wywołały znowu przyływ strasznego gniewu Łucji. Krzyknęła dziko:

- Czym jest dla ciebie Frank?

- Och, zawsze go lubiłam - powiedziała Anna z chłodną drwiną. - Gdy tu przyjechałam, prawie już zapomniałam o tym. Ale ty, właśnie ty mi to jakoś przypomniałaś. Gdyby nie twoje zachowanie, myślę, że w ogóle nie zwróciłabym na niego uwagi. Nie, na pewno nie.

- Jest moim mężem, rozumiesz? - mówiła Łucja cichym, drżącym głosem.

- Czy to znaczy, że do ciebie należy ciałem i duszą? Nie pozwalasz mu czasem pobrykać?

- To znaczy, że go kocham. Możesz drwić, ile ci się podoba. Nie dbam o to. - Czuło się wyzwanie w jej głosie. - Nie dbam o to, co ty myślisz. Nie wstydzę się. Jeśli nawet zadawał się z tobą w przeszłości, nic mnie to nie obchodzi.

- Więc czym się martwisz?

Oczy Łucji błysnęły niebezpiecznie. Usta jej drżały, zdawało się, że lada chwila rzuci się na Annę.

- Ach tak! - krzyknęła. - To jest twoja wdzięczność za gościnność, którą ci zaofiarowałem. Przyjechałaś tu, roznieciłaś to, co minęło i było zapomniane, odebrałaś mi męża, tak, zrobiłaś wszystko, by zabrać mi Franka.

Przez chwilę Anna spokojnie patrzyła na Łucję, po czym twarz jej powoli przybrała dawny wyraz.

- Mylisz się najzupełniej - rzekła spokojnie. - Ja nie zrobiłam nic. Wszystko zrobiłaś ty sama. - Umilkła, odwróciła głowę i wyjrzała przez okno. - Przyznaję, że próbowałam Franka trochę rozruszać. Wyglądał tak bardzo na twoją własność, więc sądziłam, że mu się to przyda. Ale nic więcej nie zrobiłam.

- Nie wierzę ci - z trudem powiedziała Łucja. - Kłamiesz. Między wami coś zaszło. Po raz ostatni żądam, byś mi powiedziała.

- Na co by się to zdało? - obojętnie odpowiedziała Anna. - Przecież dopiero co powiedziałaś, że kłamie. Nie uwierzyłabyś mi, tak czy owak.

- Jeśli nie powiesz - zdławionym głosem odparła Łucja - musisz... musisz dziś jeszcze opuścić mój dom.

- Dobrze - w zamyśleniu mówiła Anna. - Wiedziałam, że na tym się skończy. To się da zrobić z łatwością.

Łucja patrzyła na nią bez słowa, usiłując opanować nagły poryw nieopanowanego gniewu. Była to ostatnia szansa. Dom ten był za ciasny dla niej i dla tej kobiety. Zerwała się raptownie.

- Odjedziesz - powiedziała cicho - i to natychmiast. To będzie najlepsze wyjście. Pociąg odchodzi o dwunastej.

- Przyjechałam tu z zamiarem pozostania nie dłużej niż tydzień - powoli rzekła Anna. - Zastanów się nad tym.

Łucja odwróciła się bez słowa, drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem. Twarz miała bladą, wykrzywioną, gdy schodziła ze schodów. Zrobiła to: Anna wyjeżdża, ale dziwne, nie doznawała uczucia zwycięstwa. Zamiast tego ogarnął ją dziwny nastrój rozpacz. Anna jest niemożliwa, pozbawiona ludzkich uczuć - myślała z goryczą - zupełnie niemożliwa. Jak mogła obwiniać ją, Łucję, że to ona właśnie stworzyła tę straszną sytuację, ona, która kochała Franka i usiłowała jedynie bronić szczęścia swego domu. Suchy szloch dławił ją w gardle. Zanim weszła do kuchni, musiała przystanąć w hallu z ręką przyciśniętą do serca.

- Netto - rzekła szybko z odwróconą głową - skocz do Frewa i powiedz, by przysłali dorożkę.

Netta podniosła powoli czerwone ręce do szelek fartuszka.

- Czy... czy ona odjeżdża? - A ton jej wyrażał zdumienie.

- Idź i sprowadź dorożkę - powiedziała Łucja stłumionym głosem.

Netta wyszła i wróciła, po chwili zajechała dorożka i długo stała przed domem. Dorożkarz na koźle siedział skulony, z twarzą osłoniętą kapeluszem, koń wysuwał szyję ku wymaginanemu workowi z paszą, niecierpliwie stukając podkową o bruk ulicy.

W końcu Anna zeszła, spokojna, obojętna, niechętna, uśmiechając się - czy był to uśmiech, ta zagadkowa mieszanina rozbawienia i pogardy? Podobnie jak w chwili przybycia wywierała to samo zaskakujące wrażenie spokoju.

- Oto jestem, jak widzisz - oświadczyła swobodnie. - Spełniam, co chcesz. Postawiłaś na swoim.

W półcieniu hallu twarz Łucji wyglądała drobno i blado. W oczach widniało napięcie, wywołane silnym wzruszeniem. Instynktownie brzydziła się tego, co zrobiła, wiedziała jednak, że jest to jedyny skuteczny sposób.

- Żegnaj - powiedziała czując gwałtowne bicie serca. I wyciągnęła rękę. Ale Anna nie uściśnęła podanej dłoni.

Dorożkarz, nareszcie zajęty, wyszedł z domu chwiejnym krokiem, z kufrem na plecach.

- Więc żegnaj - rzekła Anna. Na chwilę przystanęła na stopniu schodów i odwróciwszy głowę, dodała przez ramię: - Wyda ci się to dziwne. Ale nie mogę się powstrzymać od współczucia dla ciebie. Nie zapomnij, co powiedziałam ci o mydlanych bańkach. - Koła zgrzytnęły po żwirze i dorożka odjechała.

Łucja odwróciła się z bolesnym ściskaniem w gardle i zamknęła drzwi. Słaby zapach perfum, jedyna pozostałość po Annie, podrażnił jej nozdrza ckliwą słodyczą. Poruszyła się i biegnąc niemal, bezwiednie weszła do frontowego pokoju. Ogarnęła ją bezsilność, a dziwne drzenie przebiegło jej ciało. Uwolniona jednak od przytłaczającej obecności Anny, poczuła się spokojniejsza, swobodniejsza na duszy. Tak, była swobodna, niezmiernie spokojna. Usta jej wciąż jeszcze drżały, gdy wpatrywała się w płonący na kominku ogień. Płomienie wiły się w górę - zdawały się żyć i piąć ku jakiemuś upragnionemu celowi. Na chwilę porwała ją dawna, nieuchwytna tęsknota, wywołana jej wzburzeniem - owo niezrozumiałe bolesne pragnienie, które ją nawiedzało często, a związane było z czymś dawno, dawno minionym. Czym była ta tęsknota? Pochylona ku przodowi, z odbłaskami ognia tańczącymi ciepło w jej ciemnych oczach, opętana marzeniami, była postacią istniejącą poza czasem i przestrzenią. Czym była ta tęsknota? Była jej miłością dla Franka, jej pragnieniem, by żył szczęśliwy, wolny od niebezpieczeństwa, które mu zagrażało.

A ona, Łucja, uwolniła go. Myśli te przeobraziły się w końcu w przekonanie. Tak, postąpiła dobrze. Wiedziała o tym. I pomimo wzburzenia poczuła się nagle uspokojona.

Tego wieczoru zadała sobie specjalny trud, by starannie przygotować się na przyjście Franka z pracy. Po południu, powodowana jakimś dziwnym przymusem wewnętrznym, posprzątała całe mieszkanie, aż lśniło od czystości; zwłaszcza zrobiła dokładne porządki w pokoju Anny, świeżo oblekła pościel, szeroko otworzyła okno, by rześki morski wiatr wydymający firanki przewiał pokój, usuwając w ten sposób ślady zniechęconej i wstrętnej obecności.

Było coś symbolicznego w tej czynności, oczyszczenie świątyni jej domu. Następnie z tą samą gorliwością przyrządziła ulubioną potrawę Franka, umieściła jego pantofle w pobliżu kominka, ażeby były ciepłe, ubrała się w swą popielatą suknię i niezwykle starannie uczesała. Za wszelką cenę pragnęła wyglądać jak najlepiej - niebываła troska u niej, gdyż zazwyczaj ubierała się skromnie i szybko - a mimo to na koniec była niezadowolona z siebie. Czuła, że wygląda niekorzystnie, że Frank może zauważyć jej białe blade usta, zmęczoną twarz i to właśnie w chwili przełomowej, kiedy najbardziej chciała mu się podobać. Odwróciwszy się od lustra z cichym westchnieniem, zeszła na dół do frontowego pokoju i nerwowo, bez potrzeby zaczęła porządkować chińską porcelanę w narożnej serwantce.

Jak przykre do zniesienia były te ostatnie dni, jak trudna pozycja, na której musiała wytrwać. Ale wytrzymała, zmierzyła się z najgorszym i jakoś to przeżyła. Opanowała sytuację. Anna odjechała. A Frank pozostał, należał do niej, gotów zapomnieć wraz z nią o przeszłości i podjąć od nowa walkę o ich szczęście. Znów będą w domu razem i sami, a przejmujące ją na tę myśl uczucie było jednocześnie tak silne i piękne, że ledwie mogła oddychać z wrażenia.

W chwilowym odprężeniu nerwowym zatarły się bezpośrednie przyczyny wyjazdu Anny. A wkrótce nastrój spokoju ustąpił miejsca żarliwej czułości, chęci przebaczenia, darzenia miłością i otrzymywania jej. Może była w ostatnim tygodniu surowa: trochę zbyt surowa dla Franka, a także porywcza, zwłaszcza wobec Anny - pod wpływem szarpiącej męki podejrzewania, które było chyba całkiem naturalne. Poznawszy jednak sytuację, dowiodła swojej siły i oto postępowaniem swym osiągnęła - jeśli już nie zwycięstwo, to przynajmniej ocalenie - ocalenie szczęścia swego, Franka i ich domu. Czy nie było w historii - a może to była

legenda - kobiet, które walczyły w obronie swego domu, które obcinały sobie piersi, by napiąć łuk. Tak było w dalekiej przeszłości. Potrafiła to jednak zrozumieć, gdyż była taka jak one. Obroniła własne szczęście, a teraz cieszyła się zwycięstwem, słodkim poddaniem się nie okolicznościom, lecz miłości.

Zniecierpliwiona do ostatnich granic czekała - Frank spóźniał się. Najczęściej miewał w sobotę wolne popołudnie, lecz dziś Lennox zażądał, by wyjechał do doków w Leith, celem załatwienia dostawy towarów z Holandii. Często spoglądała na zegar, dochodziła już piąta, kiedy, nasłuchując z napięciem, posłyszała wreszcie znany zgrzyt furtki. Od razu zerwała się na równe nogi, a twarz jej zabarwił lekki rumieniec, który szybko znikł. Nie wyszła wprawdzie do hallu - byłoby to zbyt wyraźnym okazaniem zmiany usposobienia - lecz z błyszczącymi oczyma i rozchyłonymi ustami stała oczekując jego wejścia.

Jak zwykle wszedł cicho: z głową zwieszoną i pochylonymi ramionami, mina zaś wyrażała tak charakterystyczną dla niego szyderską łagodność.

- Jest herbata? - spytał zacierając ręce. - Oziębilo się na dworze. A od morza nadciąga mgła, że można się udusić.

- Tak, oziębilo się - przytaknęła szybko, żarliwie, chociaż z wielkim trudem zdołała opanować drzenie głosu. - Ale przygotowałam dla ciebie doskonały gorący pieróg.

Spojrzał na nią bystro, zdumiony, lecz szybko odwrócił oczy, podszedł do ognia i zaczął się grzać w milczeniu.

- Miałeś ciężki dzień? - spytała serdecznie.

- Niezbyt ciężki - odparł obojętnie. - Ale dość długą jazdę. Tylko Lennox mógł wpaść na pomysł, żeby w sobotę załatwiać taką sprawę. - Zamilkł stwierdzając coraz wyraźniej korzystną zmianę jej usposobienia.

- Wyszukowałaś chłopca, jak należy?

- Tak - powiedziała pociągając za sznur dzwonka. - Wszystko w porządku.

Netta podała herbatę, grzanki i pieróg - gorący, kruchy, pachnący korzeniami. Następnie wyszła w milczeniu.

- Siadaj - rzekła Łucja, zajmwszy pierwsze miejsce przy stole.

Nagle podniósł głowę, jakby teraz dopiero zaczynał rozumieć zmianę jej nastroju.

- Co z Anną? - powiedział. - Nie zechcesz chyba zaczynać bez niej.

- Ona nie przyjdzie na herbatę - powiedziała nie patrząc na niego, a ręka jej, trzymająca szczyptę do cukru, zadrżała lekko. - Wyszła niedawno.

- Wyszła?

- Tak. - Z trudem zdołała zachować spokojny wyraz twarzy. Ujawni swój postępek w odpowiedniej chwili, ale ani o sekundę wcześniej. A on, widocznie zaskoczony, usiadł przy stole, i w zamyśleniu mieszał herbatę.

- Czy zaszło coś niemiłego? - spytał wreszcie.

- Nie, Franku - odparła czerwieniejąc. - Przeciwnie. Mam nadzieję, że teraz wszystko wróci szybko do normalnego stanu.

Powoli ujął nóż i widelec.

- I ja tak sędzę - rzekł znacząco.

Posiłek trwał, a rumieńce na twarzy Łucji stawały się coraz ciemniejsze. Podając mu drugą porcję pieroga zauważyła nagle:

- Przyjemnie, że znów jesteśmy sami, prawda?

Zerkając na gazetę leżącą obok jego nakrycia, przytaknął, jak gdyby na pół tylko słyszał pytanie żony.

- Po raz pierwszy od szeregu dni - szybko ciągnęła dalej - siedzimy sami przy stole. I jesteśmy znów niemal tacy sami jak dawniej.

- Chcesz powiedzieć, że ty jesteś niemal taka sama - powiedziała nachmurzony.

Drgnęła i zaczerwieniła się, niespokojnie patrząc na jego pochyloną głowę, lecz nie odpowiedziała.

Nareszcie skończył, wziął gazetę i usiadł na sofie.

- Gdzie może być Anna? - zapytał patrząc w gazetę. - Gdzie mogła pójść?

Nie odpowiedziała, następnie czując, że nie może dłużej zwlekać, zerwała się szybkim ruchem, podeszła do sofy i usiadła obok niego. Chwila ta przypomniła jej moment, kiedy po raz pierwszy wystąpiła wobec niego ze swoim podejrzeniem. Ale od tamtej chwili jej pasja skierowała się ku innemu celowi. Teraz, choć jeszcze boleśnie wzburzona, nie skupiała już swoich sił do ataku. Sprawa ta została zakończona. Obecnie pragnęła tylko, by razem pogrzebali przeszłość i spojrzeli w oczy przyszłości. Siłąc się na swobodny ton, mówiła:

- Franku! Teraz jest u nas jak za dawnych czasów, kiedy mieliśmy dom tylko dla siebie. Pamiętasz?

Gazeta zaszeleściła, gdy odwracał kartkę.

- Oczywiście, że pamiętam - odrzekł. - Chyba nie przypuszczasz, że zapomniałem.

- Ale czy dobrze pamiętasz, Franku? - Spytała nerwowo, ująwszy jego rękę i ściskając ją w swych ciepłych palcach. - Całe popołudnie rozmyślałam o sprawach mających dla nas tak wielkie znaczenie. O owym dniu w lesie Craigmorie... zdaje się, że niewiele pamiętaliśmy o tym... w ostatnich czasach. - Znow ogarnęło ją tęskne pragnienie, rozbudzone własnymi słowami i poruszyła się niespokojnie, w marzeniu widziała ponownie jasne słońce na igliwiu sosen, zatokę u ich stóp, czuła ciepłą woń paproci, nad którymi brzęczały owady i siebie samą, spragnioną, bezsilną w jego ramionach, z sercem gwałtownie bijącym w piersi.

- Co ci się stało? - spytał, powoli odwracając się ku niej, a spostrzegłszy na jej twarzy rumieniec zawstydzienia, dodał:

- Co znow zrobiłaś?

Przysunęła się do niego, podniosła jego rękę i przyłożyła do swego płonącego policzka.

- Franku, nie robiłam nigdy nic innego poza tym, że cię kochałam.

Spojrzał na nią zakłopotany, pociągała go, lecz zdawał sobie sprawę z jej dziwnego nastroju.

- W ciągu ostatnich dwóch tygodni okazywałaś mi to w sposób dość szczególny - rzekł powoli.

- Pragnę, byśmy zaczęli od nowa - mówiła z przejęciem. - Kochany, zapomnijmy o tym, co było. Jeśli się tylko kochamy, wszystko inne jest bez znaczenia.

- Ależ Łucjo - powiedział zakłopotany, i nagle, pod wpływem okropnej myśli, zerwał się i wlepił w nią wzrok. - Chyba... nie, to niemożliwe... gdzie jest Anna?

Z odwróconymi oczyma, szarpiąc nerwowo nitkę na jego mankiecie, rzekła z udumą:

- Naprawdę, Franku, nie chciałam tego zrobić i nie przyszło mi to łatwo.

- Na Boga! - wybuchnął i urwał raptownie. Zapadło przykre milczenie. - Chyba nie chcesz powiedzieć - zaczął powoli, niemal z osłupieniem - chyba nie chcesz powiedzieć, że kazałaś jej wyjechać?

- A czemu nie? - Łagodnym tonem chciała zamaskować wielkie wzburzenie.

- Kazałaś jej wyjechać? - wyjąkał. - Kazałaś jej odejść? - Nie mógł widocznie w to uwierzyć.

- Tak. - Choć wypowiedziała to słowo stanowczo, w głosie jej zabrzmiał skrywany niepokój.

Gwałtownie wyrwał rękę z jej uścisku.

- Wypędziłaś ją z mojego domu! - krzyknął. - To... nie do wiary. Annę - moją kuzynkę!

- Dość już miałam tego pokrewieństwa - odparła zdławionym głosem. - Poprosiłam ją, by wyjechała dla twojego dobra.

- Dla mojego dobra! - zawołał. - A jak się z nią obchodziłaś w ostatnim tygodniu! A teraz - teraz uwięczyłaś to wszystko!

Pierś jej falowała, oczy płonęły gniewem.

- Nie chciałeś, by tu przyjechała - powiedziała, na próżno usiłując zachować spokój. -
Czemu teraz żałujesz, że wyjechała?

- Zamierzała wyjechać w przyszłym tygodniu - w gniewie głos jego spotęgował się
niemal do krzyku. - Jeśli jej nawet nie lubiłaś, czemu nie mogłaś wytrzymać jeszcze te parę
dni?

- Ponieważ cię kocham, Franku. - Był to kulminacyjny punkt jej argumentacji,
wyjaśniający jej postępowanie, sedno wszystkiego.

Stali naprzeciw siebie, oboje zdenerwowani do ostatecznych granic. Błada, z
płonącymi, suchymi oczami, oddychała szybko, czując przyspieszone bicie serca,
przepełniona bolesnym pragnieniem znalezienia się w jego objęciach.

Ale on wstał nagle.

- Czy sądzisz, że jestem twoją własnością? - spytał z goryczą. - Sądzisz, że jesteś moją
dozorczynią? Ty byś z miłości i Pana Boga wzięła na łańcuch!

- Franku - zawołała błagalnie. - Czy myślałeś, że przymknę oczy, pozostawię
wszystko własnemu biegowi?

- Własnemu biegowi! Co tu mogło mieć własny bieg? Zdaje ci się, że wiesz wszystko.
A nie wiesz, nic nie wiesz. Anna nie była dla mnie niczym więcej niż ktokolwiek inny. Ale tyś
mi nią bezustannie dokuczała od pierwszej chwili jej przybycia. Postępuj tak w dalszym
ciągu, a zniszczysz wszystko - nawet siebie samą!

Na usta jej cisnęły się gorzkie słowa protestu, lecz powstrzymała je. Więc tyle miał do
powiedzenia: w ten sposób zareagował na ten ponowny dowód oddania mu się całą istotą; tak
określił jej uczciwość, szczerłość, głębię miłości dla niego, i to po wszystkim, co ich łączyło,
po tych wszystkich chwilach najbardziej intymnych, tak żywo wyrytych w pamięci, że nigdy
nie potrafi ich zapomnieć! Odwróciła się nagle, z gniewem w sercu i z uczuciem upokorzenia,
gwałtownie zespalającym się z jej tęsknotą. Wiedziała, że postąpiła słusznie i postanowiła
trwać na tym stanowisku. Wiedziała, że musi go sobie całkowicie podporządkować, gdyż

pozostawiony bez jej kierownictwa od razu popadnie w nieszczęście. Jego zachowanie utwierdzało ją tylko w przekonaniu, że jego dobro wymagało właśnie takiego postępowania.

- Pozostawię cię teraz samego - rzekła głosem drżącym mimo opanowania. - Wiem, że się uspokoisz, gdy nad tym pomyślisz. - Wstała szybko i skierowała się ku drzwiom. Wychodząc z pokoju, uprzytomniła sobie z całą wyrazistością, że dawniej byłby jej podziękował za to, co uczyniła dla niego, przyznając, że cierpiała na równi z nim.

Przeszła do saloniku, usiadła przy oknie, ze łzami w oczach i smutnym wyrazem twarzy, wyobrażając sobie chwilę, kiedy postępek jej zostanie należycie zrozumiany. Myśli jej biegły coraz szybciej, dalej, i w jakiś dziecinny sposób przeskakując z obrazu na obraz, ujrzała siebie spełniającą jakąś poniżającą pracę: na kolanach szoruje podłogę, poświęca się dla niego, składa jakąś niezwykłą ofiarę dla jego dobra, a on, który ją ignorował, będzie błagał o wybaczenie, gdy może już być za późno.

Przez długą chwilę siedziała przy oknie, wpatrzona w zapadający na dworze zmrok. Nagle w ten dziwny nastrój marzeń wtargnął trzask zamykanych drzwi. Wyszedł z domu! Ten nieoczekiwany fakt przeraził ją, uderzył jak cios. Nigdy nie wychodził wieczorem, gdyż lubił siedzieć beczynnym przy kominku, a teraz to odstępianie od utartych przyzwyczajęń przejęło ją gwałtownym przerażeniem.

Teraz miała bezwzględna pewność, przekonanie, że podejrzenie jej było usprawiedliwione: sposób, w jaki przyjął wiadomość o wyjeździe Anny, był ostatnim ogniwem w łańcuchu dowodów. Ciężkie westchnienie wyrwało się z jej piersi. Cios był druzgocący. Ale ona zniesie wszystko, ponieważ kocha Franka.

Ależ jakie to szczęście z łaski Opatrzności, że zorientowała się w sytuacji, z jakim wnikliwym przewidywaniem zabrała się do dzieła. Czyż jest kobietą, która, beczynnym siedząc w domu, pozwoli, by odżyło wstrętne zaślepienie? Czyż jest kobietą, która będzie czekać biernie, aż opęta go znów szaleńczy obłęd, a wtedy dopiero powie: "Wracaj, Franku. Wszystko jest, jak było". Nie! Po tysiąc razy nie. To nie jest małżeństwo. Broniała swoich praw i cieszy się z tego. Posiadanie! To nie posiadanie, lecz miłość, jej miłość - fala czułości dla Franka znowu jej napłynęła do serca, gdy tak siedziała, czekając jego powrotu.

Trzasnąwszy drzwiami - który to nieoczekiwany dźwięk przejął Łucję łękiem - Frank wyszedł z domu i chmurny skierował się na drogę. Był jeszcze wzburzony, usta wykrzywił gorzki grymas. Nasunąwszy kapelusz na czoło, szybko kroczył drogą, całkowicie pustą o tej porze, i z rękami w kieszeniach, przygarbiony, skierował się w stronę promenady. Mgła zrzędała i kłębiła się niby żyjące runo, noc wydawała się cieplejsza, parna, niemal duszna. Dokąd idzie? Rozdrażniony, prawie nieprzytomny, sam nie wiedział, nie troszcząc się o to. Wiedział natomiast, że wcale nie pragnie tu być, o tej nocnej godzinie, gdy mógłby spokojnie siedzieć przy kominku. To ona go wypędziła z domu, właśnie przez swoje pragnienie zatrzymania go. Ten szalony paradoks przejął go w tej chwili dziwnym uczuciem żalu. Trudno mu było uwierzyć, że kazała dziś Annie opuścić jego dom - nie do pomyslenia! I to właśnie Annie, jego kuzynce, która przed pięciu laty przeżywała taką tragedię, która nie powinna już więcej być o to obwiniana. Nie wiedział o tym nic bliższego: jak do tego doszło, ani też kim był ów człowiek. Nie obchodziło go to. Nikogo nie powinno obchodzić. Wtedy wcale nie interesował się Anną, ale teraz czuł dla niej coraz większą sympatię, rozbudzoną postępowaniem Łucji - pewnego rodzaju koleżeńskie współczucie. Anna nie potrzebowała wprawdzie jego współczucia: była przecież kobietą pozbawioną wszelkich skrupułów, a on odnosił się do jej odwagi z całym podziwem człowieka słabego. Ale w Annie tkwiło jeszcze coś więcej niż odwaga. Była - tak, była w niej jakaś nieokiełznana dzikość, która kazała jej czerpać z życia wszystkie przyjemności, jakie i gdzie się nadarzyły. Ale dziwne: choć z tego właśnie powodu sprzeciwiał się początkowo jej przybyciu, teraz nie miał jej jakoś nic do zarzucenia. Nie rozumiał, jak Łucja mogła powziąć to idiotyczne przypuszczenie, że on i Anna pozostawali kiedyś w bliskich stosunkach: że on, właśnie on, był ojcem nieślubnego dziecka Anny. Mogłoby to być komiczne, gdyby nie było takie niedorzeczne, stwierdził pośpiesznie, a komizm sytuacji był raczej zwietrzały. Próbował to wyśmiać, wyszydzić, a nawet zagłuszyć krzykiem - wszystko na próżno. Czy to jego wina? Jakże to charakterystyczne dla niego, że nie potrafił jej przekonać. Dlaczego nie zdołał sprostować sytuacji chłodem i pewnością siebie? Rozwiązać te śmieszne insynuacje, potraktować z pogardą. Ale nie, nie był taki - nigdy nie był. Bez kręgosłupa, myślał zgnębiony. "Niestalyś jest jak woda i nigdy się nie wybijesz." Czy to było w Biblii, a może w Szekspirze?

Nagle opanował go dawny kompleks niższości - poczucie, że jest nic niewart - zalewając falą pogardy dla siebie samego. Dziwny z niego człowiek, dziwny, nieszczęśliwy człowiek, nie mógł pozbyć się tej myśli. W najbliższych dniach przytrafi mu się coś złego. Z całą pewnością.

Ze zmarszczonym czołem patrzył w mgłę. Nigdy specjalnie nie dbał o kobiety: nawet w najlepszych kawalerskich czasach niewiele sobie z nich robił, a teraz, oczywiście, jeszcze mniej. Zdarzały się może chwilowe zachcianki: te fotografie, pokazane mu raz przez jednego z klientów, artystyczne, paryskie fotografie - "przy zgłoszeniach podawać wiek" - stale jednak wznosiła się bariera między nim a swobodą. Tą barierą był on sam, śmiech i radość łatwego obcowania były dlań niedostępne z powodu jego temperamentu. A poza tym miał przecież żonę. Z bolesną goryczą uświadomił sobie gorące przywiązanie do Łucji. Kochał ją, ale jak ona potrafiła być uparta, gdy zechciała, jak... - szukał odpowiedniego określenia - jak nedorzecznie upierała się przy swoim. Nie była wprawdzie zazdrosna w zwyczajnym tego słowa znaczeniu: wystarczy przypomnieć te kilka dni, kiedy zostawiła go sam na sam z Anną - na to wspomnienie ogarnął go śmieszny żal za zmarnowaną sposobnością - przecież uważa go stale za swą wyłączną własność

Zadowolony, że może iść przez życie z wygodną biernością, nigdy nie troszczył się o tę uzurpację prawa własności, ale teraz myśl ta męczyła go z całą goryczą nagle odkrytej hańby.

W tej chwili znalazł się u wylotu głównej ulicy miasta, pod wpływem nagłego impulsu przeszedł przez jezdnię i nacisnął ramieniem lekkie obrotowe drzwi baru Shandon.

Zamówił portera, którego gorycz odpowiadała jego nastrojowi.

- Jeszcze jeden, panienko!

Zadumany siedział przy tym drugim kuflu, który, jak to bywa, nie smakował mu tak jak pierwszy. Trzeciego już nie chciał. Właściwie wcale mu to nie smakowało, nigdy nie będzie pijakiem, w ogóle nie będzie niczym.

Ocierając brązową pianę, osiadł na ustach, rozejrzał się i instynktownie wyjął zegarek. Czas wracać do domu. Łucja się niepokoi, dokąd poszedł. Łucja! Dobra żona, wartościowy szlachetny człowiek. W czym zatem właściwy powód jego niezadowolenia?

Gdy wyszedł z szynku, poczuł na nowo rozdrażnienie. Po co rozmyśla o tym wszystkim? Po co w ogóle dręczy się tymi myślami? Przez chwilę stał niezdecydowany, zapatrzonej w płonące lampy uliczne, następnie, w chwili gdy skierował się w stronę domu, usłyszał dobrze znany głos.

- Halo, Franku. A skąd ty tutaj?

Odwrócił się szybko, wyęzając wzrok i od razu twarz jego rozjaśnił wyraz przyjemnego zdumienia.

- Anna! Myślałem, żeś wyjechała!

Stała przed nim, otulona w ciepły płaszcz z futrem, dziwną promienność jej cery podkreślał jeszcze blask lampy, usta miała wilgotne od mglistego powietrza, oczy błyszczące i zagadkowe, wyglądała czarująco.

- Myślałem - wybąkał - myślałem, żeś wyjechała.

- Rozmyśliłam się na stacji. Miałam wyjechać, następnie zmieniłam zamiar. Coś mi strzeliło do głowy. Przenocuję w hotelu Craiga. A jutro pojedę do Port Doran i wsiądę na parowiec.

- Nie chciałem... - jąkał się. - Nic nie wiedziałem o...

- Daj spokój, Franku - przerwała. - U Craiga jest mi tak samo dobrze jak gdzie indziej. A czas mi już wracać do domu. Jutro wieczór odpływa statek do Belfastu.

- Ależ Anno...

- Chodź, przejdziemy się trochę i przestań się usprawiedliwiać.

Spojrzał na nią. Po raz pierwszy poczuł się winny, jak gdyby chodziło o niedozwoloną schadzke. Gdyby ją spotkał w zwykły sposób, byłby się po prostu uśmiechnął, teraz jednak to spotkanie, tak nieoczekiwane, tak przeciwne życzeniu Łucji, omal że zakazane, zdawało się budzić w nim dziwną reakcję. Wciąż mu robiono zarzuty z powodu Anny. A oto Anna jest tu, obok niego!

Ale była to reakcja chwilowa, przelotne uczucie, które szybko minęło pozostawiając go zupełnie trzeźwym.

- Czy chcesz przejść się do centrum miasta? - spytał nerwowo - czy może promenadą?

- Promenada jest tak samo dobra jak każda inna droga - rzekła obojętnie. - Będziemy mogli tam porozmawiać.

Zawrócili więc i ruszyli pustą nadmorską aleją. Ilekroć przechadzał się tu wieczorem z Łucją, ręka jej ciepło, serdecznie, w szczególny sposób wsuwała się do jego ręki, był to ich "sposób spacerowania", jak mawiała Łucja. Teraz natomiast idąc w milczeniu wzdłuż ciemnego wybrzeża, on pierwszy niezręcznie ujął ramię Anny. Sam nie wiedział, dlaczego - może pod wpływem niejasnej chęci dodania sobie odwagi.

- Rozpogodziło się trochę - powiedział ze sztuczną swobodą.

- Po co wciągać do rozmowy pogodę? - spytała żartobliwie. - Sam wiesz najlepiej, że wcale o tym nie myślę.

Nie odpowiedział, a ona dodała zaraz tonem współczucia:

- Biedny Franku! Musisz więc cierpieć za coś, czego nigdy nie zrobiłeś.

Zaskoczony, nie mógł znaleźć odpowiedzi, lecz ona cicho śmiejąc się rzekła:

- To zabawne, miałeś z tego powodu wszystkie przykrości, a żadnej przyjemności.

- Ale przynajmniej ciebie to bawi - mruknął zakłopotany, czując się głupio w tej sytuacji.

- Tak, o to chodzi - odparła niefrasobliwie. - Jeśli nie można mieć z czegoś przyjemności, to trzeba się przynajmniej śmiać.

Szli obok siebie, otoczeni ciemnością, a kroki ich brzmiały głucho w powietrzu gęstym od mgły. Co on tu właściwie robi o tej godzinie w towarzystwie Anny? Jak się to stało?

- Ale szczerze mówiąc, Franku - powiedziała nagle poważniejszym tonem - jest mi strasznie przykro, jeśli narobiłam ci tyle kłopotu. Łucja jest najlepszą żoną, ale cię tak ujarzmiła, że mnie to drażniło. Ani mi na myśl nie przyszło, że będziesz miał przykrości. Zbyt cię zawsze lubiłam, by zrobić coś takiego.

- To nie ma nic wspólnego z tobą - odparł niechętnie.

- Chodzi o to - podjęła z udaną powagą - że jesteś znany i musisz oczywiście liczyć się z tym faktem.

- Daj spokój - był ciągle zakłopotany. - Nie rozgrzebuj tego ponownie. - Jeśli nawet miał swoje zmartwienia, to nie chciał wcale mówić o nich z Anną.

- Nigdy nie mogłam sobie wyobrazić ciebie jako głowy rodziny - rozmyślała głośno. - Aż tu nagle wyjechałeś i stało się. Teraz musisz dorastać do swoich obowiązków. Musisz nosić obrożę do końca życia.

- Pięknie, ale ostatecznie to jest moja obroża - powiedział gniewnie. Mimo ciemności czuł, że się dziwnie uśmiecha. I istotnie tak było, a nawet roześmiała się głośno.

- Dobrze, Franku, dobrze - oświadczyła zmienionym głosem. - Gdy odpowiadasz w ten sposób, zaczynam odzyskiwać wiarę w ciebie. Myślałam, że zechcesz się wywnętrzać i płakać. Bałam się, że zgasła już w tobie cała werwa. Dlatego w pierwszej chwili zamierzałam cię trochę rozruszać. Ale chwała bogu jest inaczej! Nie myślałam, że Łucja tak rozdmucha tę idiotyczną historię. To mnie rozzłościło. Nie z mojego powodu. Ja nie potrzebuję się martwić. Odkąd dostałam forszę po starym, bawię się, jak mogę, i gwizdzę na wszystko!

- Umiesz korzystać z życia - odrzekł - i znasz je.

- Ale powiedz mi, Franku - spytała nagle wracając do poprzedniego ironicznego tonu - czy nigdy nie czułeś w stosunku do mnie żadnych lekkomyślnych porywów? Czy naprawdę jestem już takim zwykłym starym babsztylem?

Spojrzał na nią szybko, usiłując przeniknąć nie tyle znaczenie jej słów, ile raczej wyraz twarzy, w tej chwili niewidocznej. Niepewny, onieśmielony, uświadamiając sobie nagle, że tuli się do niego w ciemności, zakłopotany przełykał ślinę.

- Nie - powiedział ostrożnie. - Muszę przyznać, że nie.

Znów się zaśmiała - była w usposobieniu niezwykle wesołym - i uszczypnęła go z wyrzutem w ramię.

- Zdaje mi się, że jesteś zrobiony z trocin - powiedziała żartobliwie.

Doszli teraz do końca promenady, przed nimi roztaczała się biała zatoka wypełniona szarymi oparami mgły i słabym pluskiem odpływu.

- Jest jeszcze wcześniej - powiedziała odwracając się do niego. - Ale musisz wracać.

Wiedział, że ma rację i właściwie pragnął już być w domu, ale coś w jej zachowaniu drażniło go.

- Będzie czas, gdy sam to uznam - oświadczył stanowczo.

- W takim razie przejdźmy się wzdłuż wybrzeża - rzekła. - Bardzo tam ładnie.

- Dobrze - zgodził się.

Zawrócili bez słowa i ruszyli brzegiem zatoki, ale nie uszli daleko, gdy Anna przystanąła.

- Ten piasek - powiedziała podnosząc jedną nogę i opierając się na jego ramieniu. - Nie mogę chodzić po tym paskudztwie. Wciska mi się do bucików.

Spojrzał na nią niezdecydowany, zadając sobie pytanie, czy ma zaproponować, by wrócili. Ale ona zaraz odezwała się:

- Usiądźmy na chwilę. Jest zupełnie ciepło. Zapal sobie papierosa, usiądziemy na moim płaszczu. - I rozpięła płaszcz, a jedną połą rozpostarła na piasku. Frank usiadł. Piasek był miękki, jej ciepłe ciało blisko, noc pełna przyciszonych dźwięków, nierealnego spokoju. Niezręcznie zapalił papierosa, gdyż jej bliskość krępowała mu ruchy. Przez chwilę panowało milczenie, następnie szepnęła mu poufale do ucha:

- Pozwól mi raz się zaciągnąć.

Drgnął usłyszawszy tak nieoczekiwane żądanie.

- Mówisz serio? - spytał. Powiedział to raczej dla okazania spokoju, gdyż zajmując miejsce na jej płaszczu, musiał siedzieć przytulony do niej.

- Oczywiście, wszystkiego chcę spróbować.

Wahał się ułamek sekundy, następnie zwrócił się do niej i przytknął papierosa do jej ust, ledwie widocznych w tajemniczym, białym owalu twarzy. Był niezręczny, ruchy miał niepewne, a gdy przychyliła się ku niemu, uczuł na swych palcach wilgotny dotyk jej warg. Zakrztusiła się trochę, wypuszczając dym.

- Wcale nie takie dobre, jakby się zdawało - powiedziała wstrząsana kaszlem i zbliżyła się do niego, a on bezwiednie otoczył ją ramieniem.

- Teraz już lepiej - rzekła uspokajając się i bezwiednie położyła rękę na jego kolanie.

Przemknęło mu przez głowę: jakie to dziwne, że oto jest tu z Anną obejmując ją ramieniem - tak dziwne, że wydaje mu się to przelotnym mglistym snem.

- Pociągniesz jeszcze raz? - spytał nagle.

Potrząsnęła głową, następnie oparła się o jego ramię i spojrzała nań wielkimi, błyszczącymi oczami, z wyrazem oczekiwania. Wbrew woli pochylił się nad nią i pocałował.

- Nie powinieneś był tego robić, Franku - szepnęła, łagodnie ściskając mu rękę. Wciąż jeszcze miał to samo uczucie czegoś nierealnego. Czy to on siedzi tu z Anną, czuje miękkość jej ust, ciepło jej ciała, przenikające poprzez ubranie? Znów ją pocałował, a ona odwzajemniła pocałunek.

- Wiesz Franku - szepnęła jakby z rozmarzeniem - my właściwie nie odpowiadamy za to. Tak długo nas posądzano, że zostaliśmy wprost pchnięci ku sobie. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Pod wpływem nagłego nieprzpartego impulsu wywołanego nieodpartą logiką jej słów, spojrzał na nią uważnie. Było właśnie tak, jak powiedziała. Nie popełnił żadnej winy,

absolutnie żadnej: mimo to od chwili, gdy weszła do jego domu, gwałtem popychano ich ku sobie z fatalnym wręcz uporem. A było to dziełem Łucji - całkowicie jej dziełem.

- Wydaje mi się jednak - odezwał się - że niezbyt się tym przejmujesz.

Wciąż jeszcze oszołomiony, oczarowany, ciepłem nocy nie wiedział prawie, co mówi.

- Jeszcze nie wiesz - szepnęła, powoli odwracając się ku niemu - jeszcze nic nie wiesz, głuptasie. - Wilgotne jej wargi były tuż przy jego ustach, w jej oczach o ciemnych źrenicach płonęły iskierki dziwnego niepokoju.

Są rzeczy, których niepodobna uniknąć. A on nie pragnął unikać tego. Gwałtowny dreszcz przebiegł jego ciało. Nagłym ruchem Frank pochylał się ku niej, nad nią. Anna bezwładnie przechyliła głowę i obejmując go rękami, osunęła się na miękki piasek.

- Czemu nie przyszło ci to na myśl wcześniej? - spytała głęboko wciągając powietrze, po czym bezwolna, zamknęła powieki, znajdujące się teraz tak blisko jego oczu.

Woda pluskała spokojnie, nie widziana przez nich i nie słyszana, noc stała się chłodniejsza, a mgła bardziej wilgotna i przenikliwa. Wreszcie uwolniła się w milczeniu z jego objęć, drząc lekko, on usiadł również, melancholijnie zapatrzony w morze. Więc jednak stało się - wprost nie rozumiał, jakim sposobem - a teraz czuł się tak głupio i nieswojo. Przez parę chwil nie powiedzieli słowa.

- Tak - szepnął w końcu - trzeba chyba wracać. - Ścisnęła jego ramię, gdy wstawali, i dodała:

- Wcale nie jesteś takim niedołągą, Franku.

Nie odpowiedział. Potykając się na piasku, ruszyli ku alei. Tym razem ona ujęła go pod ramię.

- Nie będziesz się chyba martwić z tego powodu - w głosie jej brzmiała zwykła współczująca ironia. - Nikt się o tym nie dowie. A co do mnie... nie, ja nie należę do tych, co wieszają się komuś na szyi. Jutro wyjeżdżam.

Słowa Anny przejęły go pewnego rodzaju wdzięcznością, poczuł ulgę.

- Kiedy... jak wyjedziesz! - wyjąkał cichym głosem.

- Przeprowadzę się na drugi brzeg "Orlem", "Rathlin", odpływa o czwartej.

Nagle poczuł się zawstydzony i upokorzony, bardziej bezsilny niż kiedykolwiek, zniechęcony do siebie aż do obrzydzenia.

- Nie, tak nie można - mówił zakłopotany. - Odprowadzę cię na drugi brzeg, jeśli chcesz.

- Zgoda, to ładnie z twojej strony, Franku - powiedziała uradowanym głosem. - Odprowadź mnie na drugi brzeg, bo prawdopodobnie nigdy mnie już nie zobaczysz.

W połowie drogi przystanęła nagle.

- Nie chodź już dalej. - Jak doskonale odgadła jego nastrój. - Ale wstąp po mnie jutro do hotelu. - Szybkim ruchem musnęła wargami jego zimny policzek, odwrócił się i już jej nie było.

Chwilę stał bez ruchu, samotna postać wśród mgły, a potem również odwrócił się i poszedł. Znow opadły go dręczące myśli, jak się to mogło stać. Ani nie zamierzał zdrady, ani jej nie pragnął. Gdyby Łucja nie podejrzewała go, nie postąpiła z nim w taki sposób, gdyby nie rozkazała Annie opuścić ich domu, zmuszając go do wyjścia o tej porze, nie byłoby absolutnie doszło do tego spotkania, nie mogłoby dojść do niego.

Wlokąc się dalej, wciąż jeszcze czując obrzydzenie do samego siebie, zadawał sobie pytanie, jak o tej porze stanie przed żoną. Miał oczywiście tylko jedno wyjście. Musiał w dalszym ciągu udawać zły humor, trwać w uporczywym gniewie, którego już prawie nie czuł i od razu wejść do osobnego pokoju, gdzie czasem sypiał. Jutro odprowadzi Annę na drugi brzeg, do parowca. A potem cała ta przekłeta sprawa zatrze się w jego umyśle i będzie mógł wrócić do dawnego życia, zacząć je na nowo. Tak właśnie zrobi. Ale twarz jego przybrała wyraz szyderczo-żałosny, gdy nagle przypomniał sobie swe własne, tak niedawne słowa: "Nie chcę mieć Anny w swoim domu". A teraz coś takiego. Niewiarygodne, jak się to wszystko stało.

Gdy zoczył z promenady w pustą ulicę, gdzie kroki jego rozbrzmiewały głucho, nagle w szarej mgle, wiszącej nad wodą, rozległ się głuchy, lecz przenikliwy, żalony głos syreny przepływającego statku.

Łucja obudziła się nazajutrz później niż zwykle. Znow spała źle: tym przerywanym snem, w którym karykaturalne widma nieszczęścia przeciągały powolnym, dręczącym korowodem, przenikając ją drżeniem niby owa cienka mgła, otaczająca nieruchome drzewa na dworze. Nad ranem, pod uciskiem ciężkiej niewidzialnej siły, znow zapadła w męczący sen, z którego zbudziwszy się teraz z dzwonieniem w uszach, przypomniała sobie z bólem nocny powrót Franka. Wpadł do gościnnego pokoju, bez jednego słowa, nie spojrzawszy na nią, następnie usłyszała zgrzyt klucza w gniewnie zatrzaśniętych drzwiach. Drgnęła na samo wspomnienie. Jak mógł tak wrócić do domu, gdy ona czekała na niego z utęsknieniem, całą duszą gotowa go przyjąć! Odczuła to jako cios, najboleśniejszy ze wszystkich.

Ale zamiar jej pozostał niewzruszony. Kochała go - jak bardzo go kochała, o tym tylko ona jedna mogła wiedzieć - i jak zawsze, postanowiła go bronić, bronić przed nim samym. Czyż nie znała jego przekornej, kapryśnej natury, czyż nie wiedziała, że był słaby i że tylko ona potrafiła mu pomóc. Biedny Frank - myślała jak nieraz przedtem, a łzy przesłoniły jej oczy - jest swoim najgorszym wrogiem. Tak, setki razy przywoływała całą swoją miłość, energię i siłę, by go obronić przed tym lekkomyślnym uporem, będącym równocześnie zgubą i czarem jego natury. A nigdy nie było to bardziej usprawiedliwione niż w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Nawet ta wlokąca się w nieskończoność udręka owych ostatnich dni nie zachwiała jej postępowaniem.

Jak poważnego nieszczęścia uniknął dzięki jej stanowczości i energii. To nieważne, że początkowo miała wiele wątpliwości, czy podejrzenia jej są słuszne - teraz jednak wierzyła swemu instynktowi i wrodzonej rozwadze, które wskazały jej właściwą drogę.

A miłość do niego - tak, ona była prawdziwym kamieniem probierczym wszystkich jej poczynań, siłą a zarazem źródłem niewypowiedzianej męki. A przede wszystkim - myślała - czy nie pragnęłam jego dobra, naszego wspólnego dobra i szczęścia w zaciszu domu? Wcale nie pragnęła nim rządzić i nie uważała, że jej idealizm jest czymś nierozsądnym. Musi prowadzić Franka. Kochając go ze wszystkimi jego wadami, widząc w jego naturze uzupełnienie swojej, nie mogła pozwolić na zniszczenie ich szczęścia. Byłoby szaleństwem stać spokojnie i przyglądać się, jak ich wspólne życie rozpada się w gruzy.

Z bezwiednym westchnieniem przyznała w duchu, że postąpiła słusznie. Załatwiła sprawę raz na zawsze. Frank był oburzony - jak dobrze знаła to wysunięcie wargi, ten nagły poryw gniewu, gwałtowność natury, mogącej z równą łatwością poddawać się rozdrażnieniu, łatwości, sceptycyzmowi i egzaltacji. Ale jego oburzenie nie potrwa długo, a ona jest gotowa - każdej chwili gotowa przebaczyć mu, skoro tylko zechce do niej wrócić. Teraz, czekając, wyobrażała sobie to ponowne pogodzenie się - nie usprawiedliwienie przy pierwszej okazji - ale prawdziwą skruchę, kiedy z żalem przyzna jej rację. Oto słodka chwila, do której tęskni.

Rzuciwszy okiem na zegarek stojący na kominku, westchnęła ponownie i odrzuciwszy koldrę, wstała. Ubierała się powoli, pełna zadumy, następnie wyszła z pokoju i po krótkim wahaniu zapukała do jego drzwi.

- Franku - powiedziała łagodnie. - Czy wyjdiesz ze mną o dziesiątej?

Nie było odpowiedzi.

Łucja czekała dłuższą chwilę, nasłuchując trwoźnie, pewna, że Frank jest za tymi drzwiami, lecz nie powtórzyła pytania. Nie chciała ponownej sprzeczki, postanowiła, że pozwoli mu się wydać, aż zły nastrój minie sam. Wystarczy, że ona tu jest, by w odpowiedniej chwili nadać właściwy bieg sprawie! Wtedy - ach, wtedy czeka ją rekompensata.

Podniosła więc głowę i zeszła na parter, gdzie zjadła śniadanie z dziwnym uczuciem osamotnienia. Nie będzie jej towarzyszyć dzisiejszego ranka - to pewne, kazała więc służącej przygotować śniadanie na tacy, którą zaniósła i postawiła przed drzwiami jego pokoju. Następnie wyszła samotnie.

Dzień był szary, drzewa ociekały wilgocią, mgła unosiła się jeszcze nad ziemią, a przeciwległy brzeg zatoki wyglądał na tle kłębiących się oparów niby niewyraźna plama. Rozmokłe liście pod nogami Łucji nie szeleściły już, wdeptane w ziemię, z której powstały i która oto wchłaniała je z powrotem. Panowało przygnębiające wilgotne zimno i dziwny smutek, jakby żal za czymś, co się skończyło. Od czasu do czasu przedzierało się kapryśne blade słońce, skądś poprzez słone opary mgły dochodziły leniwe głosy syren niewidocznych statków, kierowanych w stronę lądu dźwięcznymi sygnałami boi z przystani Ardmore, powtarzającymi się nieprzerwanie, monotannie i beznadziejnie.

To wilgotne zimno przejęło ją mimo woli przykrym uczuciem. Drżąc, spiesznym krokiem zdążyła ku kościołowi. Nie była dziś w pobożnym nastroju, wszystko wydawało się jej nużące, kazanie dłuższe, nudniejsze niż kiedykolwiek. Ze skupioną twarzą i spojrzeniem skierowanym na książeczkę do nabożeństwa - był to "Klucz do nieba" - bezustannie myślała o Franku, gorąco pragnąc wrócić do niego. Nareszcie msza się skończyła, Łucja wyszła z poczuciem spełnionego obowiązku i opanowując chęć przyspieszenia kroku ruszyła do domu.

Zostawiła w hallu płaszcz i kapelusz. Mimo pozornego spokoju pierwszym jej odruchem było skierować się do jego pokoju. Z trudem zapanowała jednak nad sobą i weszła do kuchni, gdzie od razu spostrzegła jego tacę. Przystanęła. Zjadł więc śniadanie i to porządne śniadanie. Ze sztucznym spokojem zwróciła się do Netty:

- Czy pan Moore jest już na dole?

Nie odwracając głowy od zlewu, nad którym obierała kartofle, Netta odrzekła bez namysłu.

- Wyszedł. Coś powiedział, że idzie do pana Lennox.

- Ach, prawda - powoli mówiła Łucja. - Przypominam sobie. - Starając się zachować spokój, powtórzyła: - Tak, teraz sobie przypominam.

Nic sobie oczywiście nie przypominała: wypadało jednak uzasadnić jego postępowanie. Wcale nie poszedł do Lennox, lecz - była o tym przekonana - na jeden z tych samotnych spacerów, które oznaczały zawsze kulminacyjny punkt jego złego humoru. Kąciki jej ust opadły lekko: chwila pojednania znów została odłożona. W każdym razie wróci z tego spaceru. I to wróci do niej.

Poszła do frontowego pokoju, usiadła przy oknie i sięgnęła po książkę. Nie mogła jednak czytać: od czasu do czasu przyłapywała się na tym, że w roztargnieniu nieruchomo patrzyła przez okno. Nagle usłyszała kroki na dworze, więc opanowawszy się szybko, z bijącym sercem przygotowywała się, by go przywitać. Ale to nie był on. A widok własnej twarzy, odbitej w lustrze nad kominkiem, przejął ją nagłym uczuciem przykrości. Czy poszedł do Lennox? Czy wałęsa się gdzieś w tej szarej mgle?

Minęła pierwsza, a Frank nie wrócił. Zaczęła odczuwać całkiem wyraźny niepokój, połączony z dziwną irytacją - doprawdy, za dużo sobie pozwala, a kiedy o pół do drugiej weszła Netta, pragnąc co prędzej podać obiad, by móc skorzystać z wolnego popołudnia, Łucja z tym samym sztucznym spokojem oświadczyła:

- Dobrze! Podaj mi obiad. Pan Moore został widocznie zatrzymany.

A może... może został istotnie zatrzymany? Nie było to prawdopodobne, ale nie było też niemożliwe. Ostatecznie mógł pójść jednak do Lennox'a i zostać zatrzymany na obiedzie. Słaby błysk rozjaśnił jej zachmurzone oczy, gdy pod wpływem nagłej myśli zaczęła rozważać możliwość jego pójścia do Lennox'a, w celu podjęcia osobiście sprawy spółki. Byłby to istotnie wspaniały gest skruchy! Ale czy to prawdopodobne? Czy jej znów susepniały. Czy coś takiego w ogóle jest możliwe? Dręczona myślami, jadła bardzo mało, właściwie udawała tylko, że je, by uspokoić badawcze spojrzenie Netty i własny niepokój.

- Netto, na wszelki wypadek wstaw coś do piecyka - rzekła wstając wreszcie od stołu. Była to jeszcze jedna oznaka, że panuje nad sobą, że się nie poddaje.

Znów wróciła do saloniku, usiadła nie przy kominku, lecz przy oknie - czekając. Na nic się nie zda udawanie, że czyta, czeka tylko. A w miarę upływu czasu niepokój jej wzrastał. W jakim stanie wróci Frank? Mokry, przemoknięty od siąpiącego deszczu. Wszedłszy cicho nie będzie miał pewnie ochoty spotkać się z nią. Przez długą chwilę pozostanie w hallu, wieszając kapelusz i płaszcz, kręcąc się właściwie bez potrzeby. Potem nagle wejdzie do pokoju. Udając, że nie patrzy na nią, świadom swego coraz bardziej zmieszanego wyrazu twarzy, powoli podejdzie do kominka, osunie się na krzesło. I zapanuje milczenie. Wtedy ona wstanie szybko, gorąco pragnąc pojednania, padnie na kolana przy jego krześle i obejmie go ramionami. Ach, ta chwila! Drgnęła na samą myśl, powstrzymała oddech. Jeszcze nie wrócił.

Wpół do trzeciej - Netta wyszła, jest w domu sama, a on nie wrócił. Zupełnie niezrozumiałe. Wbrew woli nie mogła opanować nagłego strachu. Chyba jednak poszedł do Lennox'a? To przecież jedyne możliwe rozwiązanie - musiał pójść do Lennox'a; nie można przechadzać się bez końca przy takiej pogodzie. Nie, to niemożliwe.

Wstała nagle, zaniepokojona, charakterystycznym ruchem przyciskając rękę do policzka. Następnie z właściwą sobie stanowczością skierowała się ku drzwiom. Pójdzie sama i przekona się. To jest wszystko, co może zrobić, chyba że go spotka po drodze.

Na dworze mżył drobny, niedostrzegalny deszcz, niesiony wiatrem od szarej zatoki, wraz z chmurami, które odrywały się od powierzchni wody jak od mętnego zwierciadła. I znów wstrząsnęła się, gdy szła na wzgórze, ku mieszkaniu Lennox. Zauważyła, że biegnie - biegnie nie wiedząc dlaczego. Po drodze usiłowała przezwyciężyć swą śmieszoną trwozę, opanować się, wymyślić jakieś usprawiedliwienie dla swojej niezwyklej wizyty.

Ale konieczność usprawiedliwiania się została jej zaoszczędzona. W wyżej położonej dzielnicy miasta, na rogu Garsden Street, zderzyła się z Lennoxem wracającym, jak natychmiast zauważyła, ze swej zwykłej popołudniowej przechadzki niedzielnej. Przystanąła przerażona, gdyż zrozumiała od razu, że nie widział się z Frankiem.

- Patrzcie, patrzcie - rzekł Lennox przystając i dobroduszenie biorąc ją pod swój ociekający parasol. - Zbyt się pani spieszy, to przecież nie wypada w niedzielę.

- Tak - wyjąkała zgnębiona. - Tak, spieszę się.

- Idzie pani jednak w złym kierunku, jeśli chce ich pani spotkać - ciągnął, uśmiechając się do niej.

Oddychała szybko od wspinania się pod górę. Jej smukła postać była tuż przy nim, włosy i policzki lśniły od deszczu. Nie całkiem rozumiejąc jego słowa, powtórzyła szybko:

- Spotkać ich?

- Rozminąłem się z nimi na promenadzie - lekkim ruchem głowy wskazał kierunek. - Z pani mężem i Anną, szli w przeciwną stronę.

Przybita tą wiadomością zbladła, a oczy rozszerzyły się w nagłym lęku. Jak gdyby otchłań rozwarła się u jej stóp. Chciała coś powiedzieć, lecz nie mogła.

- Będę już teraz w domu - mówił dalej, nie zauważywszy jej rozpacz. - Proszę wejść do mnie i wypić filiżankę herbaty.

Język miała sztywny jak z drewna, dusiła się. Więc Anna nie wyjechała! Czekala, czekała z niepojętą przebiegłością, a Frank spotkał się z nią. I co... ach, co wyniknie z tego spotkania?

- Niechże pani wejdzie na chwilę - powtórzył Lennox.

Usiłowała wydobyć głos.

- Nie - wyszeptała wreszcie - muszę... muszę wracać.

- Filiżanka herbaty oczyści pani gardło z tej mgły.

- Nie, nie - rzekła ochryple. - Dziękuję, nie mogę czekać. - I zanim odpowiedział, odwróciła się, nieprzytomna ze wzburzenia, i szybkim, chwiejnym krokiem odeszła.

Więc miała słuszność. Łzy gniewu i rozpacz popłynęły jej z oczu, łącząc się z kroplami deszczu. Miała wątpliwości, ale teraz zdobyła całkowitą pewność. Odnowili dawny stosunek, utrzymywali go mimo jej całej przezorności. Zrobiwszy wszystko, by nie dopuścić do tego, wskutek jakiegoś niezrozumiałego zrządzenia losu nie zdołała ich rozłączyć. Ta myśl doprowadzała ją do obłędu.

Gwałtownie zagryzła wargi, zacisnęła pięści w kieszeniach płaszcza. Gdy tak szła mokrą, opustoszałą drogą, grubo zaścieloną liśćmi, opanował ją bolesny gniew. Uspokoiwszy się nieco po pierwszym ogłuszającym ciosie, wpadła we wściekłość na myśl o zdradzie męża. Nie wątpiła w jego miłość. Wiedziała, że ją kocha, wiedziała również, że ona go kocha. Został zmuszony do takiego postępowania.

Dlaczego się to stało? Zdyszana od szybkiego marszu, usiłowała znaleźć odpowiedź, dotrzeć do sedna sprawy. Och, dlaczego się to stało? Zadała sobie tyle trudu, nie do zniesienia była myśl, że mogła ponieść klęskę. Rozpaczliwie starała się uspokoić. Nie, nie poniosła klęski. Nie stało się nic, czego nie można było odrobić. Miała niezłomne przekonanie, które utwierdziła jeszcze następna myśl. Natychmiast opanuje sytuację, unicestwi groźbę zawisłą nad jej domem, wpłynie na Franka, by zmienił postępowanie, odzyska go. Nie jest ani słaba, ani głupia. Chociaż ją obrażono, miłość jej jest większa niż doznana krzywda. Nie była fałszywie skromna, znała swój ogromny wpływ na Franka i wpływu tego użyje! Wróci do domu, zaczeka na jego powrót i ocali go, ocali przed nim samym.

Z trudem zmusiła się do zwolnienia kroku, mimo całej swej męki czując, że musi być spokojna, zdając sobie sprawę, że nie może zwracać na siebie uwagi na ulicy. Była już blisko domu, gdy dostrzegła Dawida Bowie, nadchodzącego z drugiej strony. Wysiłkiem woli

przybrała spokojną minę, nie może zdradzić się z rozpaczą ani wydać swego upokorzenia na łup spojrzeń ludzkich. Spotkali się przed furką, spokojnie skinęła mu głową, chcąc wejść. Ale on przystanął.

- Pani nie pojechała z nimi? - spytał uprzejmie.

Odwróciła się szybko i wlepiła oczy w jego czerwoną twarz, prawie ukrytą pod błyszczącą ziuwestką. Kropelki wody perlily się na brzeżku żółtej ceraty.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała z wahaniem.

- Martwię się z tego powodu. Taka okropna pogoda - usprawiedliwiał się. - Ale byłem po południu w Linton moją łodzią. Gdybym wiedział, że będzie potrzebna pani mężowi, byłbym bez trudu wrócił wcześniej.

W oczach jej - nieruchomych i osłupiałych - widział wyraz niewypowiedzianego bólu. Ogarnęło ją dręczące uczucie, że Dawid nie jest żywą postacią i że ona to wszystko przeżywa we śnie.

- Co mówisz, Dawidzie? - spytała cichym, zdławionym głosem.

- Pani nie wiedziała o tym? - spytał zmieszany. - Wróciłem w tej chwili. A oni nie chcieli czekać, bardzo się spieszyli - wiem to od ojca. Angus musiał wziąć zapasową łódkę i przewieźć ich na drugą stronę.

- Dokąd? - pytała gorączkowo, wpatrując się z napięciem w jego twarz.

- Na drugą stronę, do parostatku - wyjąkał. - Przewozi tę panią, co tu przyjechała w odwiedziny. I męża pani.

- Parostatek! - zawołał nagle, tracąc panowanie. Zamilkła od razu, ogarnięta strasznym lękiem, ogłuszona niepojętym, najwyższym przerażeniem. Z piersi jej wyrwał się gwałtowny szloch, niby wezbrana woda, która zerwała nagle tamę. Frank uciekł z Anną. To było wyjaśnieniem wszystkiego, potwierdzeniem wszystkich jej przeczuć. Porzucił ją i wrócił do Anny.

Nie zważając na obecność Dawida, wydała cichy okrzyk. Stojąc przy furtce, gdzie tak często oczekiwała go pełna miłości, z przerażającą jasnością uświadomiła sobie, że odjechał. Opuścił ją. Twarz jej, okolona mokrymi włosami, wydawała się zmęczona, a usta były tak blade, jak gdyby uciekła z nich nagle wszystka krew.

Przez chwilę stała nieruchomo, przytłoczona nieszczęściem, opanowana poczuciem klęski. Następnie gwałtownym ruchem podniosła rękę do czoła. Czy on zwariował? Musi chyba być szalony czy zaślepiiony - a może jedno i drugie - by popełnić tak niezrozumiałe, potworne głupstwo. Opuścić ją, rozbić rodzinę, by połączyć się z tą wstrętną kreaturą.

Anna! Zagryzła wargi. Jak on może przypuścić, że będzie z nią szczęśliwy? I wspomnienie Anny, jej lenistwa, prostactwa, bezwstydu wywołało w niej gwałtowny gniew. Nie może pozwolić, by Frank zrobił coś takiego. Taki słaby, tak łatwo ulegający wpływom, został w to zamieszany wbrew swojej woli - tak, został zamieszany mimo wszystkich jej wysiłków, jakie czyniła, by go ocalić.

Jakby w nagłym przyplywie odwagi oczy jej rozbłysły, Łucja zarumieniła się pod wpływem silnego uczucia. Pobita? Nie, nie została pobita! Czy jest kobietą, która by patrzyła apatycznie i wylewała bezsilne łzy, gdy tamta ucieka z Frankiem? Musi go ocalić.

Odwróciła się szybko, chwyciła Dawida za ramię i oświadczyła nerwowo:

- Chcę się przeprowadzić na drugi brzeg... teraz... natychmiast.

- Co się stało? - wybąkał. - Nie rozumiem.

Nie odpowiedziała, lecz trzymając go wciąż za ramię, zaczęła biec z nim szybko ku przystani. Furtka zatrzęsnęła się za nimi głośno.

- Jak dawno odpłynęli? - spytała twardo w czasie biegu.

- Nie wiem - mruknął zmieszany jej dziwnym zachowaniem. - Może będzie kwadrans, a może mniej. W domu nie myśleli, że wrócę tak wcześnie. Ale co... co pani jest?

- Kwadrans - powtórzyła jakby do siebie. - Będziemy tam w samą porę.

Byli teraz przy brzegu i biegli ku kamiennej przystani wysuniętej w morze, a w tej chwili tonącej w białych oparach. Nagle Dawid przystanął i wyprostował się.

- Nie pojedę - powiedział niechętnie. - Jest za późno. I w dodatku nadciąga gęstsza mgła.

Nie dając poznać, że słyszała jego słowa, biegła dalej, weszła na wąskie molo, przyspieszając kroku na mokrych kamieniach. A on, jakby pod przymusem, ruszył w końcu za nią.

- Powiadam, że nie możemy się przeprowić - powtórzył głośniejszym głosem. - Nie podoba mi się ta pogoda. I mgła staje się coraz gęstsza. Nie widać na sto jardów.

Przystanąwszy obok przycumowanej łodzi, spojrzała na niego gorejącymi oczyma.

- Pojedziesz, Dawidzie - rzekła zdławionym głosem. - A ja z tobą.

- Nie mamy pary - rzekł szorstko, zapatrzony w przelewające się kłęby, sunące ponad szklaną powierzchnią morza.

Spojrzała na niego stanowczo.

- Dopiero co przyjechałeś - krzyknęła. - A teraz wyjedziesz znowu.

- Nie mam ochoty - mruknął unikając jej płonącego wzroku. Stali tak przez chwilę naprzeciw siebie, a fala cicho szemrała u ich stóp. Nastąpił moment wahania, w czasie którego zdawała się rozstrzygać przyszłość Franka i jej. Nagle Dawid spuścił głowę i podszedł do liny, okręconej wokół pachołka. No, udało się! Postawiła na swoim. Odwróciła się bez słowa i przez niską żelazną barierę przedostała się na pokład "Orła".

- Mówię pani - zawahał się, lecz zniewolony tą niezwykłą siłą, która zawładnęła nim wbrew jego woli, nachylił się nad słupkiem, odwinął linę i wszedł za Łucją na pokład.

- Wyjeżdżam wbrew woli - mruknął, z ręką na sterze, wprawiając w ruch motor. - Proszę to sobie zapamiętać.

Nie odpowiedziała, gdy ze stłumionym zgrzytem odbili od przystani, natychmiast tracąc z oczu wybrzeże, zagłębiając się w miękkość wewnątrz skłębnego morza.

- Dawidzie, szybko! - powiedziała nagle cicho. - Tak szybko, jak tylko potrafisz.

Przejęta wzburzeniem, trudnym do zniesienia, stała obok niego zdrętwiała, patrząc przed siebie oczyma płonącymi jasno w jej bladej twarzy. A jeśli się nie uda? Wiedziała jednak, że się uda. Miała przekonanie, że musi się udać. Frank nie przeprawił się jeszcze na drugi brzeg, jest jeszcze niedaleko, właśnie szybkość jej decyzji będzie jego zbawieniem. Gdyby tylko mogła coś zobaczyć, przeniknąć te szare opary, otaczające ich wokół niby skłębiona wełna. Ale mgła była gęsta, a dalej, na cichym morzu, zdawała się być jeszcze bardziej nieprzenikniona: blade, gęste opary, nieuchwytnie, a jednak realne, duszące jak woń nieczystego oddechu, niemal ją dławiły. Zacisnęła mocniej kołnierz płaszcza, i przechyliła się do przodu, czując ciężki ucisk w piersi. Nagle mgła stała się jeszcze gęstsza i osunęła się na nich niby całun, kryjąc wszystko poza nimi, przemieniając ich w niewyraźne kształty.

Dawid natychmiast zmniejszył szybkość.

- A co, nie mówiłem pani? - krzyknął. - Musimy zawrócić. - Jego stłumiony głos zdawał się dochodzić z oddali.

Nie poruszyła się.

- Naprzód - nalegała, nieruchomo zapatrzona przed siebie.

- Możemy lada chwila zderzyć się z kimś.

- Naprzód - krzyknęła głośniejszym głosem. - Nie możemy teraz wracać...

Wzruszył ramionami z rezygnacją, następnie pociągnął gwałtownie za sznur syreny, wysyłając cienki, przenikliwy gwizd w nieprzeniknioną biel.

- Więc proszę wyteńczyć wzrok i uważać! - krzyknął. - Na dziobie.

Nie rzekłszy słowa przesunęła się ku przodowi. Skulona, płonąc z niecierpliwości, nie czuła ani wilgoci, ani zimna, była niby żywy posąg na dziobie statku - przyczyna ruchu, siła napędowa łodzi. Jedyne jej wola gnała ich naprzód. Obłoki mgieł przetaczały się mimo niej jak kłęby dymu. Nie mogła nic widzieć, nic prócz tej nieprzeniknionej bieli, która oślepiła ją, dusiła, skraplała się na włosach i jak łzy spływała po policzkach.

Powoli Łucję ogarniała beznadziejność, przenikliwa jak zlodowaciałe powietrze, wilgotne od mokrego tchnienia morza. Jak słabe ostrzeżenie dolatywały do nich cienkie, ponure sygnały z boi w Ardmore, buczących w oddali monotonnie i beznadziejnie. Dreszcz nią wstrząsnął, zacisnęła zęby. Miała uczucie, jak gdyby jakiś upiór dotknął jej czoła swymi zimnymi palcami. Drżąca, osamotniona, nic nie widziała. Ale to nieważne, mimo to zdążyła naprzód. Naprzód, by ocalić Franka.

- Co to? - krzyknął nagle Dawid. - Czy słyszała pani plusk wiosel? - I gwizdnął gwałtownie.

Nasłuchiwała z napięciem, lecz nie pochwyciła żadnego dźwięku, nie słyszała nic prócz echa syreny, chłopotu niewidocznej wody, słabego buczenia boi w Ardmore, monotonnie, smutno i beznadziejnie wydzwaniających swoją pieśń pogrzebową.

- Czy pani słyszała? - zawołał znowu.

Ale ona nie słyszała nic.

Nagle z przodu i z dołu doleciał ich głośny krzyk, coraz silniej przedzierający się przez mgłę i tak bliski, że zdawał się ich przyciągać ku sobie.

- Ahoj! - krzyknął Dawid przekręcając ster.

Siedząc nieruchomo przy dziobie, usłyszała ten dźwięk, powtórzony teraz, głośniejszy, bliższy. Zdziwiła ją natarczywość tego krzyku. I w tejże sekundzie poczuła wstrząs, który obezwładnił ją i oszołomił; nie gwałtowne, lecz miękkie zderzenie, jak gdyby mgła czy jakiś elastyczny przedmiot osłabił siłę ciosu: wstrząs jednak był dość mocny, tak że ze strachu wszystka krew uciekła jej z serca.

W tejże chwili z dołu tuż obok niej rozległ się krzyk, zmieszane dźwięki, miażdżący łoskot, po czym zapadło milczenie. Szare milczenie i grobowa beznadziejność.

- Boże Wszechmogący! - zawołał Dawid przerażony. - Wjechaliśmy na coś. - Szarpnął koło sterowe i skierował łódź do tyłu: z gwałtownym szumem zaczęli się powoli cofać, a łódź aż dygotała szarpana przez dwie przeciwne siły. Łucja drżała również, przejęta straszną myślą. Mimo to stała nieruchomo, jakby trzymana w kleszczach, gdy łódź zwolniwszy biegu

wreszcie stanęła. Mgła skupiła się, gęstsza niż dotąd, coraz ciemniejsza w zapadającym zmierzchu.

- Ahoj! - wrzasnął dziko Dawid złożony rękę w trąbkę.

- Ahoj! - zabrzmiała odpowiedź, niewyraźna, lecz bliska, niby krzyk zagubiony wśród pustyni.

- O Boże! - zawołał. - Przecież to Angus i jego łódź.

Łucja rzuciła się ku niemu, gdy pochylony nad sterem znów wołał w ciemność.

- Franku! - krzyknęła rozpaczliwie. - Franku!

Mgła była niby mur, od którego głos jej odbił się pustym, daremnym echem: echo to szczydziło z niej, wtrącając ją w otchłań rozpaczy. Wtem nagle z boku dobiegła ich odpowiedź:

- Rzućcie linę!

Momentalnie Dawid wykonał polecenie, lina najpierw opadła luźno, następnie wyprężyla się.

- Pochwycili! - załkała. - Pochwycili! - i wyteżając wszystkie siły pomagała Dawidowi, który oburącz wciągał mokrą linę.

Niespodziewanie z mgły wyłoniła się mokra ręka, czepiająca się burty, następnie ciemna głowa błyszcząca jak głowa foki. Był to Angus trzymający w ramionach Annę.

- Bierzcie ją - stęknął - jest jeszcze jeden.

Gdy Dawid wciągnął Annę na pokład, Angus pochwyił linę, ześliznął się do wody i zniknął.

Widząc, że wszystkie nadzieje stracone, Łucja zagryzła wargi.

- Franku! - krzyknęła rozpaczliwie. - Franku!

Z rękami zaciśniętymi na brzegu burty nie zwracała uwagi na Annę, która osunęła się wyczerpana koło maszyny, lecz w najwyższym napięciu zwrócona ku ciemnej,

nieprzeniknionej zasłonie, czekała w śmiertelnej trwodze i niepewności. Powolne sekundy wydłużały się w godziny. Zmartwiała, oblana zimnym potem lęku, z całej siły pragnęła ocalenia Franka. Serce w niej drżało jak migocący płomień. I nagle z ust jej wydarł się okrzyk niewypowiedzianej radości.

- Tu! - dyszała. - Tu! - Wychyliwszy się daleko poza burtę, wciągała linę z rozpaczliwym wysiłkiem. Zdławiony okrzyk wydarł się z jej ust, gdy pomagała Angusowi wdrapywać się na burtę i wnieść Franka.

- Franku - łkała oplatając go ramionami - myślałam... myślałam, że już po tobie!

Nie odpowiedział. Omdlały i bezwładny leżał na pokładzie. Nagle podniósł na nią oczy w smutnym i bolesnym poznaniu.

- Łódź... - wyrzekł z trudem. - Uderzyliście mnie tu. - I powoli, jakby przerażony, bezsilnie opuścił ręką na pierś, która wydawała się dziwnie zapadła i zniekształcona.

Wstrzymała oddech.

- Franku - krzyknęła padając obok niego na kolana. - Chyba nie stało ci się nic złego.

- Dziób... - szepnął Angus drżąc z zimna, woda ociekała z jego ubrania. - Dziób ugodził go w pierś i przewrócił. - Wstrząsnął się. - Straszne uderzenie.

- Franku - łkała ogarnięta na nowo gorączkową trwogą. - Chyba nie... nie jesteś ranny, najdroższy.

- Nie... - odrzekł cichym, bełkotliwym głosem - nie czuję się dobrze. Coś... coś ciepłego napływa mi do ust - rzekł z jeszcze większym wysiłkiem. Zadrzała. W jego głosie brzmiały jakieś nieartykułowane dźwięki, które ją przerażały. Rzuciła się ku niemu, a w tej chwili on zakaszłał: straszny bulgoczący kaszlem. Z tym zduszonym, dławiącym kaszlem bluznęła na jej pierś ciepła struga lepkiego płynu. Zdawało się, że nic nie zdoła zatamować tej tryskającej, niewyczerpanej fali krwi, buchającej z niego gęstym strumieniem. Wywołane tym przerażenie sparaliżowało ją. Rozpaczliwie usiłowała poruszyć się, pomóc mu. Ale on w śmiertelnym strachu uczeplił się jej, nie puszczając.

- Franku! Franku! - jęczała. - Jak ci mam pomóc...

Była nieprzytomna ze strachu, przykuta do Franka w tym bladym mroku, wstrząsana szarpiącymi nim konwulsjami, rozdygotana, jakby w najwyższym podnieceniu jakiegoś śmiertelnego spazmu. Nagle uczuła, że zemdleje. W tejże chwili rozluźnił się ucisk sztywno przytrzymujących ją rąk, które opadły bezsilnie, i z lekkim westchnieniem jego wyczerpane ciało osunęło się z wolna na pokład.

Drżąc cała, podniosła jego głowę i ułożyła na swych kolanach.

- O Boże! - wyszeptał Angus przerażony, szczękając zębami. - Źle z nim... - i dodał: - Dziób uderzył w niego. Prosto, prościuteńko w pierś. - Zapalił latarnię i trzęsącą się rękę poświecił z bliska: żółty płomyk rzucił słabe światło na bladą twarz Łucji okoloną potarganymi włosami i na zwisające z niej przemokłe ubranie.

Światło padło też na postać Franka, nieruchomą, martwą, i na jego bladą twarz - twarz pozbawioną wyrazu, jak gdyby jakaś straszliwa moc wyssała z jego ciała wszystkie siły żywotne.

Widok jego twarzy tak szybko zmienionej przejął ją dreszczem, lepkie z wilgoci ubranie nie stanowiło żadnej ochrony przed zimnem, obciskało nieprzyjemnie jej ciało, kolana drżały lekko, gdy przykucnęła obok niego.

- Franku, spójrz na mnie! - wołała. - Kocham cię. - I trzymała go na swych kolanach jak dziecko, łódź kołysała się lekko na niewidocznej wodzie, a z oddali dochodziły uderzenia dzwonu, śląc podzwonne odchodzącej duszy.

Frank nie poruszył się. Leżał bez ruchu, z zapadłą twarzą, wyglądał upiornie. Jego ręka, którą Łucja ścisnęła, była zimna i wiotka, bezwładna i pozbawiona życia. W pierwszych chwilach jego agonii Łucja była niezdecydowana. Następnie poczuła przyływ rozpaczliwej siły. To niemożliwe. Ona go kocha. Jest tu, by go ocalić. Podniosła nieprzytomne oczy i spotkała się ze spojrzeniem Dawida.

Odszedł do Anny, która na pół ogluszona leżała wsparta o ster, pochylił się nad Łucją i rzekł z przerażeniem:

- Źle z nim. Zdaje się, że bardzo źle.

- Przynieś wody! - krzyknęła w śmiertelnym strachu, zaciskając wolną rękę tak mocno, że kostki zalsniły białą na tle czerwonych smug krwi. - Przynieś prędko!

Podaną wodą obmyła Frankowi twarz, delikatnie, drżącymi palcami zwilżyła jego usta i czoło.

A on - nie do wiary - otworzył nagle oczy, w których pojawił się ostatni, słaby błysk poznania.

- Łucjo - szepnął czyniąc słaby wysiłek, aby przytulić się do niej. - Nie opuszczaj mnie.

Szybkie, stłumione westchnienie wyrwało się z jej zaciśniętych ust.

- Nie, Franku - załkała. - Nie potrafiłabym cię opuścić. Będziemy razem, zawsze.

- Ale dlaczego... - szepnął ponownie i urwał. Następnie wybełkotał: - Nic nie było z Anną... odprowadzałem ją tylko... odprowadzałem ją na statek.

Serce jej przestało niemal bić. Nie zrozumiała w pierwszej chwili. Ale nagle wstrząsnęło nią coś niby błysk gromu - opanowywała ją z wolna paraliżująca trwoga.

- Chcę pić - westchnął i niby tragiczna karykatura jego dawnej ironii, z ust dobył mu się zduszony jęk: - Ale... ale nie mogę połykać.

Nie mogła przemówić pod wpływem szarpiącego ją bólu. Wszechświat z wszystkimi gwiazdozbiorami zatrzymał się. Poczowała nagłą pustkę, zapragnęła śmierci. Co... och, co ona zrobiła!

- Pewnie już ciemno - westchnął słabo. - Tu... czy... czy... tam?

- O Boże! - załkała nagle. Cała jej postać wyrażała błagalne pragnienie, z oczu płynęły strumienie łez. - Boże, ocal go dla mnie! Franku, ukochany, wróć - wróć do mnie! Ja.... cię uzdrowię. Kocham cię!

Ale broda jego opadła bezsilnie, ciężkie powieki osunęły się, zakryły gasnące oczy. Głowa przechyliła się na bok, wargi rozwarły się, lekko skrzywione, jakby szydząc z Łucji.

Część druga

- Szach! - rzekł stryj Edward, delikatnie wycierając nos. - Mat!

Piotruś zmarszczył czoło. Znał ruchy wszystkich figur; jak to przyjemnie przerzucać skoczka tu i tam! A mimo to jakoś zawsze dostawał mata... tak samo jak teraz - i to bez najmniejszego ostrzeżenia.

- Śmieszne - rzekł. - Myślałem...

Na twarzy księdza widniał półuśmiech, jego długie białe palce pieśczośliwie obejmowały szklaneczkę wina, mieniącego się ciepłym kolorem rubinu, obok na politurowanym mahoniowym stole stał talerz włoskich orzechów. Czerwone aksamitne zasłony nie wpuszczały wilgotnego zimnego wiatru wiejącego od zatoki, oddzielały też pokój od zapadającego na dworze zmroku, pogłębiały łagodne gazowe światło, które padało na obu graczy. Stryj Edward podniósł szklaneczkę wina, pokosztował go stulonymi lekko wargami, gdy nagle głośny szum wiatru i krople deszczu, tłukące o szyby, zmusiły go do podniesienia oczu; po chwili zauważył z zadowoleniem:

- Przyjemnie siedzieć dziś w pokoju - czy pan dobrodziej nie sądzi?

Piotruś osunął się na fotelu, a głowa jego spoczęła na oparciu.

- Po mgle często następuje deszcz - powiedział tonem wyroczni, uwagę tę słyszał z ust starego Bowie, a obecnie powtórzył ją z miną odkrywcy.

- A co nastąpi teraz, gdy zabrałem ci królową? - chytrze zapytał stryj Edward.

Zaśmieli się obaj, ale śmiech ich przerwało pukanie do drzwi - nieoczekiwane pukanie, gdyż spodziewali się, że wieczór spędzą sami.

- Proszę! - zawołał Edward i do pokoju wsunęła się panna O'Regan.

- Wasza wielbność - zaczęła z wahaniem, zacięła się i zaczęła ponownie: - Wasza wielbność...

Gwałtownie podniosła głowę, tak że białka jej oczu załśniły niepokojąco, była przerażona, ogromnie przerażona, z jakiegoś powodu twarz jej miała wyraz nieprzytomny, przypominający oblicze świętego męczennika, którego obraz wisiał za nią na ścianie.

- To... to przyniesiono - szeptała bladymi wargami, wysuwając zza pleców rękę z pomarańczową kopertą, którą podała trzęsącą dłonią.

Automatycznie otworzył depeszę, a jego cera koloru kości słoniowej stała się biała. Zaciśnął usta. Następnie z krtani jego dobył się dziwny dźwięk.

- O Boże! - powiedział głosem niepewnym, strwożonym. - O Boże! - Następnie wszystka krew napłynęła mu znów do twarzy, która wydała się teraz pełniejsza, wstał wzburzony, rozsypując leżące na kolanach łupiny włoskich orzechów. - Muszę iść do kościoła - wymamrotał nie patrząc na Piotrusia, lecz zwracając się do małej figurki Matki Boskiej przy drzwiach. - Tak, muszę... muszę iść do kościoła.

Wziął z kominka bilet i skierował się ku wyjściu, wielkimi, zapinanymi na sprzączki butami rozdeptując łupiny orzechów na dywaniku przed kominkiem. Z otwartą depeszą w ręku wyszedł z pokoju, a panna O'Regan za nim jak drżący cień. Wychodząc umaczała palce w małej kropielnicy ze święconą wodą i przeżegnała się z pobożną rezygnacją.

Twarz chłopca zasepiła się pod wpływem nagłej zmiany w tym miłym i ciepłym pokoju. Wyprostował się na krześle. Drobnie ciało naprężyło się z niepokoju. Fale wiatru, uderzając o okna, wydały mu się falami morskimi, które przejmowały go chłodem, gdy w wyobraźni przebywał dziewięć mil po wzburzonej wodzie, dzielących go od jego domu po drugiej stronie zatoki. W przebłysku niezawodnej intuicji swojego wieku ujrzał - chociaż trudno w to uwierzyć - niewyraźną, wysoką postać ojca. Postać ta ubrana była śmiesznie: w długą, białą, nocną koszulę - wyglądała dziwacznie i przerażająco.

Jak przykro, że przyjemny wieczór został w taki sposób przerwany, zwłaszcza że stryj Edward przyrzekł mu trzy pensy, jeśli wygra. Istotnie nagroda ta błyszczała już obok szachownicy. Ze złością sięgnął po orzech, by go roztluc, ale odłożył go. Następnie wziął do ręki trzy pensy. Wygrałby je - z pewnością, tak, teraz był przekonany, że wygrałby - więc z roztargnieniem wsunął pieniądze do kieszeni. Potem zerwał się szybko i zaczął wkładać szachy do pudełka.

Umieściwszy pudełko i szachownicę w odpowiedniej szufladzie biurka, znów znów myślał przez chwilę z pochyloną głową, a następnie wyszedł z pokoju.

Szukając jakiegoś towarzystwa zbiegł ze schodów i siedł przed siebie zimnym korytarzem zasłanym linoleum. Panna O'Regan i Eileen były w kuchni: panna O'Regan płacząc chodziła tam i z powrotem, trzymając w chudych rękach długi, ciężki różaniec i odmawiając modlitwy, a Eileen stała przy kuchni i zatroskanymi oczami wodziła za gospodynią. Gdy wszedł, panna O'Regan przerwała "Zdrować Maryjo" i szybko, półgłosem szepnęła do Eileen:

- Nie powiedzieliśmy mu - po czy. podjęła modlitwę "Módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen". A z jej zaczerwienionych oczu znów popłynęły łzy.

Wiedział, że panna O'Regan nie płacze z powodu wiadomości. zawartej w depeszy, lecz po prostu dlatego, że stryj był zmartwiony. Chcąc jednak coś powiedzieć, zawołał:

- Panno O'Regan, czemu pani płacze?

- Głowa mnie boli - odrzekła gospodyni wśród łkania, przyciskając rękę do czoła.

Wyjaśnienie było wiarygodne: bóle głowy nawiedzały pannę O'Regan równie często jak jej stany zachwycenia. Kuchnia robiła przykre wrażenie, ogień wygasł, a bąbel na palcu, sparzonym niedawno przy pieczeniu kasztanów, znów zaczął pulsować boleśnie.

- Mnie też boli palec - zauważył od niechcienia, oglądając go współczująco. Ale dzisiejszego wieczoru nie potrafił zwrócić na siebie większej uwagi.

Eileen, która zwykle dokuczała mu z powodu chudych łydek, mówiąc ze śmiechem: - Przecież on nie ma odpowiednich nóg do spódniczki - lub też żartowała z jego torby; dlaczego właściwie ta jego szkocka torba była dla Eileen tajemniczym źródłem rozbawienia? rzuciwszy okiem na zegar, stwierdziła tylko:

- Dochodzi dziewiąta, paniczku. Dam paniczowi teraz szklanek mleka i herbatnik. A potem trzeba iść do łóżka.

Panna O'Regan przestała się modlić, gdy on smutnie sączył mleko i gryzł herbatnik, małą, obszytą koronką chusteczką kilka razy dyskretnie wytarła nos. Obydwie z Eileen

patrzyły na niego ukradkiem, a on zaczął się w końcu domyślać jakiegoś nieszczęścia. Ale to przelotne wrażenie szybko pierzchnęło. Gdy mimo przedłużania posiłku skończył go jednak, Eileen spojrzała na gospodynię pytająco i rzekła:

- Proszę pani, czy mam go odprowadzić na piętro, czy nie?

Panna O'Regan przytaknęła powoli skinieniem głowy, a widząc to Piotruś zrozumiał, że wieczór ten ma jakieś wyjątkowe znaczenie. Na początku jego pobytu, gdy Eileen oświadczyła pewnego razu gotowość rozebrania go, panna O'Regan stanowczo odrzuciła tę okropną propozycję, mówiąc w sposób, który u młodej dziewczyny wywołał rumieniec wstydu.

- Eileen - zauważyła starszawa dziewczica - jeśli nie nauczysz się skromności w domu kapłana, to gdzie, na Boga, jej się nauczysz?

Ale dzisiejszy wieczór był widocznie całkiem inny i Eileen ciepło okryła Piotrusia w pokoju na piętrze. Przedtem musiał oczywiście spojrzeć na morską latarnię w Linton, która swym światłem regularnie omiatała czarną powierzchnię zatoki. Trzy migotliwe błyski, następnie długa pauza, znów trzy błyski - zachwycający widok.

Później szybko odmówił pacierz: "Zdrośmarłaskpełn..." Zabawne, jak prędko można się z tym załatwić - i skok do łóżka. Eileen uśmiechnęła się łagodnie - ten brak zęba na przodzie sprawiał, że wyglądała niezwykle, nawet miło - i pocałowała go nagle w przypiływie niepokoju, po czym kosmyk jej włosów wpadł mu do oka. A potem Piotruś został sam.

Słabiutki płomyk gazu migotał za różowym abażurem - okno było bowiem trochę uchylone u góry - i niezwykle cienie przemykały po ścianie, do której chłopczyk teraz się obrócił. Mimo że miał już blisko dziewięć lat, te potworne migające postacie wciąż jeszcze miały moc przeobrażania jego pokoju w okropny przybytek straszyleł. Nieraz oblewał się zimnym potem na myśl, że owe cienie rzucają się przez długie, chwytniwe ręce i minęło parę minut, zanim zdołał zaciąć zęby dość mocno, by obrócić się i spojrzeć w pustkę, która nie była tak groźna jak zjawy, mogące ją zaludnić.

Tej nocy jednak te majaczące postacie nie były jedynie fantastycznym wytworem. Inna postać - groteskowa, w bieli - znów pojawiła się na wrażliwym ekranie jego wyobraźni, onieśmielając go, lecz nie budząc w nim ani uczucia żalu, ani strachu. Ale oprócz tego gdzieś

na dnie duszy krył się promyczek radości. Szukając senną pamięcią, przypomniał sobie natychmiast: trzy pensy! Tak, to sprawiło mu przyjemność. A potem zasnął.

Następny ranek zaczął się ciepłym blaskiem słońca, zataczającego żółte krągi świetlne na wodach zatoki, i wysokim sklepieniem błękitu, kryjącego w sobie zapowiedź pięknego dnia.

A jednak w całym domu wciąż jeszcze unosiła się niby zwietrzała woń atmosfera czegoś niezwykłego. Przy śniadaniu nie widział stryja, głowa panny O'Regan, będąc zawsze barometrem jej uczuć, wciąż jeszcze skłaniała się ku melancholii. Nawet Eileen, która w milczeniu podała mu owsiankę i jajko, wydała mu się istotą zupełnie inną, bardziej skomplikowaną niż łagodna i dobrze znana dziewczyna, która poprzedniego wieczoru uścisnęła go tak serdecznie. Wszystko to sprawiło, że zaczął odczuwać przygnębienie, które opanowało go niby zły sen. Po śniadaniu wyszedł i rozważywszy całą sprawę, kupił sobie trochę słodyczy - dropsy owocowe nowej firmy, które odkrył niedawno w pewnym sklepie. Właścicielka tego sklepu, parafianka stryja Edwarda, zważyła mu ich niewątpliwie bardzo szczerze. Mimo to nie udało mu się rozproszyć przykrego uczucia, jakie nim zawładnęło. Przez chwilę stał i przypatrywał się oddziałom żołnierzy wchodzących na pomost długiego, żółtego statku, następnie odwrócił się i bez zainteresowania obejrzał kilka wystaw sklepowych, wysłuchał pieśni "Piękna Flossie", śpiewanej przez jakiegoś człowieka, a w końcu wrócił na plebanię wcale nie pocieszony. W hallu spotkał czekającą na niego pannę O'Regan.

- Piotrusiu! - zawołała, zaledwie wszedł. - Szukałam cię wszędzie. Dziecko, gdzie ty był?

- Och, wyszedłem sobie - odparł obojętnie.

- Wiem, ale... - urwała.

Obowiązek, jaki miała spełnić, sprawiał jej przykrość, a równocześnie pochlebiał jej. Jego wielebność nakazał rano:

- Panno O'Regan, trzeba to chłopcu powiedzieć. Lżej zniesie, gdy usłyszy to od pani. - Przy tych słowach jej spuszczone powieki zatrzepotały pod wpływem głębokiego, lecz pokornego zadowolenia. Czowała istotnie, że powierzenie jej takiego zadania świadczy o

prawdziwym szacunku dla niej, że to zaufanie wynosi ją ponad stanowisko zwykłej gospodyni. Mimo to jej blade, pobożne usta wzdrygały się przed przekazaniem tej strasznej wiadomości.

- Piotrusiu - zaczęła wreszcie - chodźmy na piętro. - Ujęła jego ciepłą rękę w swoje chude, zimne palce, a kiedy prowadziła go tak po wzorzystym dywanie, dłoń jej przypominała mu cienkie nóżki żaby, której dotknął kiedyś w ogrodzie - zimnej, a jednak żywej - wywołując w nim uczucie bardzo niemiłe.

Weszli do pustego salonu, usiedli na pluszowej sofie koło okna i spojrzeli na siebie. Przez chwilę zawisło nad nimi przykre milczenie, następnie usta gospodyni zadrżały, spojrzała na chłopca raz i drugi.

- Piotrusiu, mój kochany - szepnęła - musisz być dzielny. - Objęła go ramieniem, wciąż jeszcze patrząc nań spod oka. - Tak, musisz być dużym, dzielnym chłopcem - ciągnęła. - Mam dla ciebie smutną wiadomość, Piotrusiu.

Czuł, że go obserwuje, i zaczęło go to niepokoić; pragnął gorąco, by powiedziała mu szybko.

- Wiesz, Piotrusiu - podjęła, lekko pociągając nosem - twój... twój tatuś jest chory... bardzo chory.

Jego niepokój rósł z każdą chwilą. Piotruś widział jednak, że panna O'Regan robi dla niego, co może, więc krótko przytaknął głową, jak gdyby dodając jej otuchy.

- Ale... Piotrusiu - wyszeptała panna O'Regan - twój tatuś - twój tatuś nie jest już chory. Jest w niebie obok świętych aniołów, nie żyje.

Był na to przygotowany i od razu wybuchnął płaczem. Miał dziwne przeczucie od chwili, kiedy weszła do pokoju z depeszą, tak, mimo zręcznego ukrywania wiedział o tym. Jej zachowanie teraz, nagłe powiedzenie tego, o czym wiedział, i oczekiwanie przez nią jakiegoś przejawu rozpaczliwej z jego strony, wszystko to razem sprawiło, że zaczął płakać. Łkał głośno, a ona przytuliła go do siebie, dzieląc jego cierpienia, mieszając swoje łzy z jego łzami. Tuląc się tak do siebie, płakali razem.

Przestał płakać, by sobie wytrzeć nos, odwrócił głowę nie poruszywszy się i żałośnie patrzył przez okno. Poniżej panował zwykły ruch uliczny, wąski szereg żołnierzy - podobni byli raczej do mrówek niż do ludzi - wciąż jeszcze ciągnął się w stronę towarowego parowca, osa brzęcząc głośno ocieźzale lazła do góry po szybie i znów spadała, fiszbin gorsetu panny O'Regan kłuł go boleśnie w bok.

W końcu niechętnie wypuściła go ze swych objęć.

- Gdy wrócisz do domu z jego wielebnością powiedz mamusi, że troskliwie się tobą opiekowałam - zawołała ocierając z końca nosa łzę. - Jego wielebność będzie z tego zadowolony i dumny.

- Dobrze, panno O'Regan - potwierdził z chęcią. - Oczywiście, że jej powiem.

Prawie nie myślał o tym, co mówi, gdyż wspomnienie matki przejęło go niezmierną radością, że ją znów zobaczy. Nagle pod wpływem pewnej myśli spytał nieśmiało:

- Czy zjemy obiad na statku, panno O'Regan? - Powrót ze stryjcem Edwardem zapowiadał podniecającą jazdę parostatkiem "Lucy Lamond". Spojrzała nań oburzona i miała już coś odpowiedzieć, gdy otworzyły się drzwi i wszedł Edward. Zerwała się natychmiast, splotła ręce na piersiach i pochyliła głowę.

- Tak, wasza wielebność - szepnęła w odpowiedzi na jego ciche pytanie - przyjął to spokojnie, właściwie bardzo spokojnie. Zrobiłam, co w mojej mocy. - Zdawała się oczekiwać skromnie na jakieś słowa uznania za swój kobiecy takt.

Odwrócili się oboje i spojrzeli na Piotrusia, a pod ich spojrzeniem chłopiec poczerwieniał i spuścił oczy, jak gdyby zdawał sobie sprawę, że płakał za mało. Następnie panna O'Regan skinęła nań i razem wyszli z pokoju.

Nie pojechał jednak do domu ani tego dnia, ani następnego. Nieprawdopodobne - nie mógł tego zrozumieć - ale upłynęły całe dwa tygodnie, zanim z ogólnej krzątaniny mógł wywnioskować, że nadszedł dzień jego odjazdu. Gdy panna O'Regan umyła mu twarz i ręce i wyszczotkowała włosy, pobiegł w dół na koniec ogrodu, by ostatni raz spojrzeć na żabę, gnieźdzącą się w wilgotnej grocie. Ale, mimo że rozglądał się wszędzie i ponownie zabrudził sobie ręce, odwracając liście bluszczu, bujnie porastającego skalne głązy, nie mógł jej

znaleźć. Splunął lekko na ręce i osuszył je odwrotną stroną swej spódniczki, by panna O'Regan nie gniewała się, następnie poszedł jeszcze obejrzyć swoje inicjały, które możliwie prosto i głęboko wyciął na korze lipy przy tylnej bramie. Widok tych żółtawych liter, myśl o ich długotrwałości - uwiecznienie jego imienia - sprawiły mu zadowolenie, wywołały nawet uśmiech. Niechętnie oderwał się od nich, by wrócić do domu.

Po miłym obiedzie nastąpiło przykre pożegnanie, podczas którego głos uwiązł mu w gardle; zanim mógł z powrotem spokojnie mówić i oddychać, był już ze stryjem na pokładzie statku.

Przeprawa na drugi brzeg odbyła się w dziwnym nastroju - na pół podniecenia, na pół lęku - Piotruś czuł ucisk żołądka, który wzmagał się w miarę zbliżania się do Ardfillan. Początkowo chłopiec chodził po pokładzie, ale szybko, bardzo szybko wrócił do stryja Edwarda i uczeplił się jego ręki. Wysiedli na ląd w milczeniu.

Chwiejnym krokiem szedł nadbrzeżną promenadą, czując ściskanie w gardle, wkrótce jednak doszedł do końca alei i u jej wylotu znalazł się obok długiego, gładkiego koryta z żelaza - tego samego, do którego wpuścił raz kilka rybek; a trochę dalej ujrzał przed sobą dobrze znany, biały murowany dom.

Patrząc na stryja, spokojnie ciągnącego za sznur dzwonka, poczuł gwałtowne pragnienie ucieczki, dokądkolwiek, byle tylko wymknąć się tej nieznanej grozie. Wreszcie drzwi otworzyły się i ujrzał twarz matki, twarz, która wydawała mu się drobna i młoda, o wielkich oczach, dziwnie wyblakłych. W tejże chwili stracił chęć do ucieczki i zaczął drzeć. Twarda kula podeszła z żołądka do gardła i stopniała w łkaniu. Łzy prawdziwego szczęścia i smutku spłynęły mu z oczu. Bezwiednie podniósł ramiona i w tejże chwili załała go fala na pół zapomnianej słodczy pocałunku matki.

W bezmiernej rozpaczycy miała wreszcie przy sobie swego syna, tulącego się do niej. Czowała jego łyzy miłości i tkliwości, wywołujące w niej łyzy żalu.

- Piotrusiu, nie wolno ci płakać - zawołała starając się uśmiechnąć do niego - bo ja musiałabym też płakać.

Ale jej dziwny uśmiech i niezwykła czerń ubrania przeraziły go, wywołując ponowne łkania, wśród których szeptał:

- Już przestanę, mamusiu, przestanę. Och, tak, zaraz przestanę.

Mocno ująwszy jego rękę, zwróciła się do Edwarda.

- Edwardzie, wejdź, proszę - rzekła cicho. - Jesteś bardzo dobry, że go przywiozłeś. Joe jest tu także.

Drzwi zamknęły się za nimi, a minawszy hall, weszli do salonu.

- Ned, wejdźże - zapraszał Joe smutnym, stłumionym głosem, nie podnosząc się z fotela, na którym siedział. - Właśnie myślałem, że jak przyjedziesz z Piotrusiem, trzeba będzie pomówić o sprawach rodzinnych. Tak, tak! Jesteś już dużym chłopcem, Piotrusiu. Nie płacz, chłopcze. Spójrz na tę dzielną kobietę, twoją matkę, i nie płacz już więcej.

Piotruś spojrzał posłusznie na matkę i połykając łyzy, dławiące go w gardle, skinął potakująco.

- Tak, stryjku.

- Dzielny chłopiec, dzielny chłopiec - powiedział Joe z uznaniem, a jego grube, tępe palce bawiły się wisiorcami u ciężkiego złotego łańcuszka, błyszczącego na brzuchu. Oczy jego, błyszczące również smutną życzliwością, przesunęły się kolejno po nich trojgu, wreszcie zatrzymały się na Edwardzie, który właśnie usiadł z namaszczeniem.

Łucja, obejmując syna, przyciągnęła go nagle tuż do swych kolan. Mały salonik wydawał się przepelniony, panowało w nim trwożne milczenie. Ukośny promień słońca wdarł się przez okno i przeciął półmrok niby żółta klinga. Nikt nie wiedział, jak zacząć.

- No tak - rzekł na koniec Joe rozglądając się powoli dokoła siebie. - Powiedziałem to już, a teraz powtórzę. Co za wypadek! - Westchnął. - Ale nie ma rady. Biedak odszedł od nas i niech mu Bóg da wieczny odpoczynek. - Spojrzał spod oka na Edwarda. - Czy usłyszymy coś z ust duchownego?

Edward poruszył się zmieszany. Czy ma odmówić modlitwę? Chyba nie, pomyślał, wobec tego, że byli tu tylko członkowie rodziny, zresztą odprawił przecież nabożeństwo żałobne w dniu pogrzebu.

- I co - powtórzył Joe - co masz do powiedzenia?

- Czy... czy się już poinformowałaś? - Edward wahająco zwrócił się do Łucji. - Na przykład co do kosztów pogrzebu?

Mimo wyraźnej dobroduszości Joego ksiądz był jednak w obecności starszego brata nastrojony na ton mniej uroczysty. Joe zaś podniósł teraz włochatą rękę, wykonując gest protestu.

- Nie! - wykrzyknął dramatycznie. - Nie chciałem, byś zaczął od tych spraw. To moja rzecz, jeśli łaska. - Spojrzał na nich wspaniałomyślnie. - Boże, zlituj się nade mną! - zawołał z oburzeniem. - Za kogo wy mnie macie? Czyż nie powiedziałem, że zapłacę za tę całą imprezę? Czy jestem może wstrętnym sknerą? Jak gdybym nie mógł tego zrobić dla mojego biednego zmarłego brata! - Jego ciężkie nozdrza rozděły się, obwisły brzuch zadrżał, łza zawisła u powieki. Był szczerze wzruszony, gdy mówił dalej z przejęciem: - Tak, sprawilem mu śliczny pogrzeb, prawda? Śliczny! - Słowa te wypowiadał powoli, z rozwagą, jak gdyby się nimi rozkoszował. - Jak mi Bóg miły, zrobiłem to! Miał najlepszą trumnę z mosiężnymi okuciami, jaką tylko można było kupić za pieniądze! I całe mnóstwo kwiatów. Wszystko piękne, jak należy. I sam zapłacę za to, do ostatniego pensa! Pieniądze nie odgrywają u mnie żadnej roli. Poza tym umarł tak nagle. Boże, zlituj się nade mną! Cóż za nicpoń byłby ze mnie, gdybym rodzonemu bratu nie mógł sprawić należytego pogrzebu!

Wierzchem ręki przesunął po oczach i spojrzał na Łucję, oczekując uznania.

Błada i milcząca, wyczerpana męką ostatnich dwóch tygodni, schyliła głowę, obserwując deseń dywanu. Czy Joe nie zaprzestanie już nigdy tych rozlewnych wspomnień o pogrzebie? Uparł się, by Franka pochowano w rodzinnym grobowcu w Levenford - co wymagało długiej jazdy końmi - zaraz na wstępie oświadczył grzmiącym głosem, że pokryje wszystkie koszty. A ona, w stanie ostatecznej rozpacz, nie była zdolna zapobiec temu afiszowaniu się z ich żałobą.

Gdy przyciskała do siebie synka, znów wstrząsnął nią dreszcz na wspomnienie tamtego dnia. Było dżdżysto. Dziwne, że zwykle podczas ostatniej drogi człowieka niebo przybiera swe najposępniejsze i najsmutniejsze barwy. I tak było wtedy. Dzień ów był bardzo szary, a deszcz lał bez przerwy z nieustannym pluskiem, szedząc z przygotowań Joego, padając na wynajętych zawodowych żałobników, sztywnych i posępnych, na kosztowny karawan, czarny, lecz świecący od szkła, na żalosne stosy białych kwiatów, na tę całą wystawność a zarazem znikomość pretensjonalnego pogrzebu, tak nie lubianą przez Franka i nie pożądaną przez nią.

Joe był jednak w swoim żywiole: zawadiacko zsunął cylinder na bakier, wielkie palce zatknął za kamizelkę, patrzył ze smutkiem.

Deszcz, deszcz, deszcz.

Lał bezlitośnie na żałobny kondukt przez cały czas długiej jazdy do Levenford - jazdy, która rozpoczęta powoli i uroczyście w obrębie miasta, przeszła jednak u wylotu Garsden Street w wesołego kłusa. Wozy podskakiwały bryzgając błotem. W swym otępieniu Łucja myślała o ciele zmarłego, wstrząsanym i rzucałym w tej obszernej, kosztownej trumnie! Dlaczego Frank tam był? Dreszcz nią wstrząsnął na tę straszną myśl.

Na zakręcie drogi zobaczyła przycupniętego na karawanie jednego z żałobników, pykającego glinianą fajkę i coś się w niej załamało na widok rozpaczliwej nedorzecznosci tego wszystkiego. Dobrze zrobiła sprzeciwiwszy się przyjazdowi Piotrusia: Joe chciał, by chłopiec przyjechał i "rzucił pierwszą garść ziemi", ona jednak wiedziała, że ta parodia żałoby nie jest odpowiednim widokiem dla jej syna.

Dokoła grobu ziemia przesycona deszczem zamieniła się w kleistą maź, a pogniecione kwiaty i wieńce przedstawiały żalosny obraz. Edward w czarnym ornacie wyglądał blado i trwoźnie, szlochanie Joego - gdyż w ostatniej chwili zaczął głośno szlochać - zmroziło jej

własną rozpacz; stała sztywno wyprostowana, gdy ciągnięto za czarne sznury, spuszczać trumnę do świeżo rozkopanej ziemi.

A potem poszli do mieszkania Joego, nad knajpą "Koniczyna" - odpowiednie zakończenie tragicznego dnia! Samo mieszkanie przejmowało ją wstrętem - brudne, niechlujne, z porzrzuconą odzieżą i jedzeniem, bat Joego, ciśnięty w kąt, futro Polly na kredensie obok surowych wieprzowych kotletów - wszystko razem przesycone charakterystyczną wonią, uporczywą wonią obfitych posiłków, przyrządzanych w tych brudnych ścianach.

W pokoju było pełno dymu, rozmowy dzwoniły jej w uszach:

- Tak, właśnie tego roku przyjechał Branagan.

- Podobno były też pieniądze... - powiedział Joe pykając cygaro.

- Przeszmuglowane, jeśli chcecie wiedzieć.

- Do diabła!

Zebrało się zaufane grono przyjaciół Joego. Nie знаła nikogo.

Na uboczu, z rezerwą, ustawili się tamci, jej bliscy: Ryszard, Lennox, patrzący na nią z dziwnym współczuciem.

Widziała ich, widziała wszystko niewyraźnie poprzez pryzmat swego nieszczęścia, poprzez straszną rozpacz swej duszy.

Ale to minęło! Raptownie podniosła głowę, usiłując wypędzić z pamięci owo wspomnienie, starając się - ze względu na syna - spojrzeć przyszłości w oczy.

Joe wciąż jeszcze mówił.

- Powiadam wam - oświadczył wspaniałomyślnie, z poufałością, która w ostatnich dniach stała się jeszcze bardziej widoczna w jego zachowaniu - już ja się o to postaram, by Łucja i jej syn wyszli cało z tego wszystkiego. Bo co by z nas byli za ludzie, gdybyśmy nie pomagali własnej rodzinie?

- No tak - niezachęcająco mruknął Edward - skoro masz ten zamiar, Joe.

Wiedział, że brat jego żyje w dobrobycie, on oczywiście znajdował się w gorszej sytuacji: obowiązki jego nie dawały mu żadnych dochodów poza skąpą roczną pensją.

- Oczywiście, że mam ten zamiar! Bo, jak sądzisz, po cóż bym w ogóle zaczynał gadać - odrzekł Joe, szeroko otwierając oczy, które dziwnie błyszczały. - Możesz na moich słowach polegać jak na Ewangelii.

Nastąpiła pauza. Następnie zaczął znów mówić Edward, mocno dotknięty tym, że Joe przybrał ton i używał argumentów, które z racji stanowiska kapłana przysługiwały raczej jemu, dlatego powiedział z pewną wyniosłością:

- Łucjo, jakie są właściwie twoje plany?

- Tak - wtrącił Joe, przechylając się na krześle. - Co zamierzasz? Ile zostawił ci Frank?

Edward powstrzymał oddech. Czy Joe nie ma poczucia przyzwoitości, szacunku dla jego duchowej szaty, ośmielając się w tak ordynarny sposób przekreślać jego pytanie?

Łucja drgnęła, zaczerwieniła się z przykrości, jaką jej sprawiły słowa Joego. Wiedziała jednak, że musi odważnie znieść to śledztwo, że Joe wcale nie miał zamiaru jej obrazić.

- Nie wiem - rzekła cicho. - Trzeba zapłacić za rozmaite rzeczy. - Postanowiła w duchu, że da staremu Bowie odszkodowanie za zniszczoną łódź. - Ale po uregulowaniu wszystkiego powinno zostać... ponad sto funtów.

Kąciki ust Joego bezsilnie opadły na te słowa, po czym gwizdnął przeciągle i rozparł się w krzesło, nieruchomo patrząc w sufit. Edward również robił wrażenie nieco przestraszonego.

- Frank zaczął się dopiero wybijać - powiedziała z udręką. Drżała lekko, przenosząc wzrok z jednego na drugiego, a na jej bladej twarzy płonęły silne wypieki.

- Czy nie był ubezpieczony? - zapytał Joe.

Potrząsnęła głową, Frank nigdy nie troszczył się o takie rzeczy!

- No tak, niewiele tego - powoli i z rozważą rzekł Edward. - Tak, bardzo niewiele.

- Phi! - pogardliwie powiedział Joe, dzwoniąc drobną monetą w kieszeni spodni. - Nic, po prostu nic. Mniej niż nic. Na Boga, nie wiem, co sobie myślał Frank, ale to po prostu samobójstwo, zostawić żonie i dziecku sto funtów. Pomógłbym mu przecież zarobić trochę pieniędzy, gdyby mnie zapytał, ale on należał do tego rodzaju ludzi, co prędzej dadzą się posiekać na kawałki, niż kogoś o coś poproszą.

- Mówię ci, że Frankowi zaczęło się powodzić całkiem dobrze - rzekła Łucja ze ściśniętym gardłem.

- Wiem, wiem. Nie mówię przecież nic złego o moim biednym nieżyjącym bracie. Ale to nie zmienia faktu - w żadnym wypadku.

Uderzony nagłą myślą, spytał opryskliwie:

- Czy ten twój brat przyjdzie ci z pomocą?

Oczy Łucji, wciąż jeszcze wilgotne, spochmurniały pod wpływem tego tonu.

- Nie mam zamiaru prosić go o pomoc, ani też nikogo, skoro już o tym mówimy - rzekła powoli. Przypomniała sobie nagle Ryszarda na pogrzebie - jego zimną, odpychającą minę. Jeszcze teraz słyszy powściągliwe słowa kondolencji: "Jest mi przykro, wiesz... z powodu tej całej historii. Ewa... Ewa była głęboko wstrząśnięta". Ryszard rozmawiał z nią życzliwie, ale pytania o jej sytuację materialną były ostrożne. Dał jej jasno do zrozumienia, że to rodzina Franka w przyszłości powinna troszczyć się o sprawy Łucji. Mówiąc o sobie wyraźnie podkreślił, jak duże ma obowiązki. Takie stanowisko ze strony brata nie było dla niej niespodzianką. "Jestem samodzielna do pewnego stopnia, Ryszardzie - odparła wtedy - i myślę, że w dalszym ciągu będę. Nie chcę być zobowiązana wobec nikogo."

Przytaknął głową w milczeniu, zgadzając się z jej stanowiskiem, wyrażał w ten sposób swe uznanie dla tego przejawu dumy Murrayów. A teraz patrząc na Joego dodała spokojnie:

- Mój brat ma własną rodzinę i własne obowiązki. Dość ma trosk, więc nie myślę mu ich przysparzać swoją osobą.

Edward poruszył się niespokojnie. Zastanowił się i uznał, że czas wtrącić się:

- Z pewnością znajdzie się jakieś wyjście. Nie ma powodu do niepokoju. Bóg jest nieskończenie dobry. Już ci się jakoś życie ułoży Łucjo.

Wiedział, że byłoby najwyższym nietaktem napomknąć o ponownym zamażpójściu, ale o tym właściwie myślał skrycie i do tego odnosiła się ta łagodna aluzja.

- Więc powiedz nam, co zamierzasz robić - chytrze spytał Joe, który przyglądał się Łucji cały czas, przesłoniwszy oczy ręką.

- Potrafię chyba pracować - odrzekła.

- Pracować? - powtórzył z niedowierzaniem.

- A czemuż nie? - spytała wojowniczo. - Nie mogę przecież siedzieć z założonymi rękami.

Bracia spojrzeli na siebie jednakowo zdumieni. W owych czasach kobiety nie wyruszały jeszcze w świat, by pracować, z wyjątkiem tych z ubogich sfer. A Łucja poza tym nie miała żadnych kwalifikacji. Jako panna sklepowa? Albo jako pomocnica przy gospodarstwie? To niemożliwe, rozważał Edward i zapytał tonem powątpiewania:

- Czy masz coś określonego na widoku?

- Tak, mam - odparła starając się opanować drzenie głosu. - Mam możliwość kontynuowania pracy Franka. Prosiłam o to pana Lennox. I obiecał, że mi ją powierzy.

Tak było istotnie. Za wszelką cenę musiała odsunąć od siebie te straszne wspomnienia, musiała pomyśleć o przyszłości i zabezpieczyć byt synowi, dlatego zwróciła się do Lennox. A on zgodził się w końcu i przyrzekł wziąć ją na próbę.

- Nigdy tego nie zrobi - niedowierzająco wtrącił Joe. - Nie, do kaduka, nie zrobi tego.

- Ale nie jest to wykluczone - rzekł Edward ściągając usta i łącząc koniuszki palców. - I nie jest to zajęcie nieodpowiednie. Zupełnie nadaje się dla kobiety z towarzystwa, tak, zupełnie.

Joe nic nie powiedział i przez chwilę trwało milczenie.

- Nie zrobisz tego, przenigdy - zaczął znów Joe. Nie wiadomo dlaczego zdawał się być dotknięty jej zamiarami.

Nic mu nie powiedziała, więc zamilkł ponownie.

- Ale co będzie z Piotrusiem? - zawołał nagle Edward. - Będziesz poza domem przez cały dzień, a czasem to nawet do późnego wieczora.

Słowa te przyjął Joe z widoczną ulgą, stuknął w poręcz swego krzesła.

- Tak, musisz oddać chłopca do szkoły - rzekł - a ja ci w tym pomogę. Poślemy go do braci w Laughtown. Był tam mój syn, doskonały zakład, uczy się tam wielu cudzoziemców, zwłaszcza Hiszpanów. Znam osobiście brata Jana Jakuba, w zeszłym roku zetknąłem się z nim na boisku sportowym, chłopisko, że aż ha! Wielki jak dąb! To jasne, że pomogę ci umieścić tam Piotrusia.

Spojrzała na Joego bez wyrazu, żywiła niejasną nadzieję, że zechce zająć się przyszłością Piotrusia, nie była zadowolona ze szkoły, do której uczęszczał, ale teraz przeraziła się - czy ma utracić także i syna?

- Całkiem dobra szkoła - potwierdził Edward poważnie. - Ci bracia nie mają wprawdzie święceń kapłańskich, ale są zupełnie na poziomie.

- Ach! Doskonały zakład, mówię ci - wtrącił Joe. - Dobrze wychowali mojego Berneya. A koszta pozostawcie mnie.

Edward podniósł jedną brew, ale nie zrobił żadnej uwagi. Czuł, że powzięto jakieś postanowienie, że przykra niepewność co do przyszłości została usunięta. Nienawidził trudności, chociaż był sprawiedliwy, chociaż sumienie jego zawsze funkcjonowało bez zarzutu, niemniej nienawidził sytuacji grożących zakłóceniom spokoju jego duszy. Poblążliwie spojrzał na Łucję, chcąc podkreślić swoje poprzednie zapewnienie, że Wszchemgający wskaże jej w przyszłości właściwą ścieżkę.

Tuląc syna do siebie, pieszcząc go czule, Łucja w milczeniu odwzajemniła spojrzenie Edwarda.

- Tak więc - rzekł na koniec Joe - załatwiliśmy coś. Piotruś wyjedzie do Laughton, a ja zapłacę za tę całą imprezę. - Znow na nią spojrzał. - A ty zobaczysz przecie, czy ci się spodoba to zajęcie. Rychło się nim zmęczysz. - Zrobił znaczącą pauzę. - Teraz muszę zerknąć na zegarek - rzekł wyjmując duży złoty zegarek i patrząc na niego przymrużonymi oczyma. - Do licha, na mnie czas, inaczej spóźnię się na pociąg. - Wstał, wziął jej rękę w swoją i poufale poklepał Łucję po ramieniu. Nie wspomniał, że przyjdzie znowu, ale jego zachowanie wskazywało, że wkrótce ją odwiedzi. Po serdecznym pożegnaniu potrząsnął głową i z widoczną na twarzy troską wyszedł z domu na palcach.

Edward nie zabawił długo po wyjściu brata. W rozmowie okazał się mniej pewny siebie niż zwykle, zachował się nieco przesadnie, poza tym po swobodnej paplaninie Joego mentorski ton Edwarda brzmiał dziwnie nieprzekonywająco, tak że sam poczuł się nim skrępowany. Wstał szybko i spojrzał ostrożnie na chłopca.

- A co z Anną? - spytał powściągliwie. - Czy miałaś o niej jakieś wiadomości po jej powrocie do domu?

Potrząsnęła głową i nagle spuściła oczy.

- Nie - odrzekła drżącym głosem - nie słyszałam - nie chcę o niej słyszeć nigdy.

Nie odpowiedział, lecz pożegnał się w sposób spokojny i pełen godności, przyrzekając odwiedzić ją wkrótce, by usłyszeć, jak się miewa i jak się jej powodzi. Drzwi zamknęły się za nim cicho, delikatnie.

Pozostali więc sami: Łucja z synem, panowało między nimi dziwne napięcie właśnie z powodu miłości i niezwyklej sytuacji, w jakiej się znaleźli.

Spojrzała na niego tkliwie. Jego powrót, widok, trwożne zakłopotanie, z jakim przystanął na progu, były dla niej wielką pociechą. Tragiczną śmierć Franka odczuła jako straszny cios, tak jak odcięcie ręki czy nogi. W najwyższej prostracji poddała się gwałtownemu bólowi, który przesłonił jej wszystko poza stratą i nieodwołalnością tej straty. Ale ostatecznie ma jeszcze cel, dla którego warto żyć. Ma syna, który jest natchnieniem i nadzieją. Zamajaczyła przed nią wizja przyszłości, przyszłości ich obojga, i napełniła przekonaniem, że życie jej nie jest jednak skończone; rozpoczęła się nowa jego faza, w której jeszcze ściślej zjednoczy się ze swym synem.

W przyplýwie słałości nie wiedziała, jak potrafi się rozstać z Piotrusiem, by go umieścić w szkole. Pragnęła mieć go zawsze przy sobie. Podając mu herbatę - od czasu do czasu spoglądali na siebie niepewnie poprzez stół - uczyła to z całą gwałtownością. Mówili niewiele, chociaż nieraz podejmowała krótką rozmowę, chcąc by poczuł się swobodniej. Tematu zakazanego nie wspomnieli ani jednym słówkiem, ani nawet spojrzeniem.

Mimo to chwilami ciałem Łucji zdawał się wstrząsać dreszcz, jakby spowodowany bólem, w jej jasnych oczach pojawiał się strach, a na twarzy dziwny wyraz nadśluchiwania.

Byli po herbacie, gdy odezwał się dzwonek - nagłe urywane dźwięki działające jej na nerwy. Nedorzecznie przestraszona poszła otworzyć drzwi. Była to tylko panna Hocking. Stała - nie do wiary - ze słoikiem konfitur, które pieczolowicie obejmowała swymi dużymi dłońmi w rękawiczkach.

- Pani wybaczy - odezwała się panna Hocking. - Wiem, że pani jest głęboko wstrząśnięta, ale myślałam, że może to pani sprawi przyjemność. Wygląda pani tak źle. To pani wyjdzie na zdrowie.

Przez chwilę panowało milczenie, w ciągu którego Łucja patrzyła w oszołomieniu na gładką, skupioną dziwnie twarz: dar starej panny był darem dziecka ofiarowującego zabawkę, czynem odruchowym i nierozważnym, w którym nie było nic poza pewnego rodzaju naiwną dobrocią.

- To bardzo ładnie z pani strony - rzekła Łucja, z wahaniem biorąc słoik.

- Z przyjemnością je smażyłam - odparła panna Hocking tonem usprawiedliwienia. - Najważniejsza rzecz to właściwa proporcja i kolor. - Uśmiech jej zgasł; gdy się nie uśmiechała, twarz jej była pozbawiona wyrazu. Następnie dodała: - Musi mnie pani teraz często odwiedzać.

W zdaniu tym nie było głębszego uzasadnienia, wyrażało po prostu życzliwość.

- Tak.

- Jestem dziś smutna - rzekła znów tamta. - Coś ze smutku pani przeniosło się na mnie, niby ciemny kwiat.

Łucja nie odpowiedziała, lecz cofnęła się poza próg.

- Nie chcę pani zabierać czasu - szybko powiedziała panna Hocking. - Ale zrobię wszystko, co tylko będę mogła. Tak, zrobię to, ponieważ rozumiem. - Odwróciła się szeleszcząc spódnicą i wyszła powoli.

Łucja zamknęła drzwi. Przyzwyczała się już do tych kapryśnych przejawów sympatii ze strony panny Hocking, ale dziś przepełniona była żalem, pragnieniem okazania tkliwości. Zbliżająca się noc przejęła ją swym chłodem, cierpienie wróciło ze zdwojoną siłą.

Weszła do saloniku i usiadła przy Piotrusiu, który opierając się na łokciach leżał na dywanie i bawił się żołnierzami; widziała, jak lekki uśmiech rozświetla czasami jego skupioną i poważną twarz.

Bawili się przez chwilę, następnie poszli wcześniej spać, a leżąc na jednym wąskim łóżku w pokoju gościnnym rozmawiali cicho o rzeczach dających się powiedzieć jedynie w ciemności. Nagle zdali sobie sprawę, jak bardzo są ze sobą złączeni, jak dobrze im razem; oddechem muskał jej policzek, gdy składał olśniewające przyrzeczenie - ile to futer i aut jej kupi, jakich wielkich rzeczy dokona dla niej - przyszłość należała do nich.

W końcu słowa jego zaczęły się urywać, oddech stał się równy i głębszy. Wstała i cicho pochyliwszy się nad nim, przy słabym świetle przyglądała się jego uśpionej twarzy. W pewnej chwili doleciały ją niewyraźne dźwięki muzyki - smutna melodia płynąca z daleka i ginąca w milczeniu nocy. Położyła się, z trudem przełykając łzy przytuliła się do syna. Przymknęła oczy i wyczerpana długim szeregiem bezsennych nocy zaczęła lżej oddychać i zapadła w sen.

Nazajutrz rano wstała opanowana i gotowa do walki o przyszłość. Mimo stanowczości, jaką okazywała wobec Joego i Edwarda, w istocie z wielkim trudem zdołała skłonić Lennox, by pozwolił jej kontynuować pracę męża.

- Mógłbym się tylko zgodzić na próbę - powiedział niezachęcająco - jeśli pani nie da rady, nie będziemy mogli pani zatrzymać.

Wahał się, zachwiany trochę w swej zwykłej stanowczości przez życzliwość dla niej, starał się nawet wmówić w siebie, że pomysł ten może okazać się szczęśliwy. Chociaż odnosił się z pewnym szacunkiem do Moore'a, chociaż lubił Łucję, to jednak decyzja jego nie wpływała wyłącznie ze współczucia czy sympatii. Liczył się z tym, że Łucja była młoda i dobrze się prezentowała, że prawdopodobnie będzie życzliwie przyjęta u jego klientów ze względu na niedawną, sensacyjną śmierć męża; do niczego się jednak nie zobowiązał. Płaca jej będzie obliczana głównie na podstawie prowizji, a robota sama jest prosta, wymagająca jedynie znajomości cen i gatunków towaru, co sobie przyswoił z łatwością. Tak, był ostrożny - bardzo ostrożny. Wy tłumaczył jej, że taki krok będzie czymś zupełnie nowym, absolutnie pozbawionym precedensów, że nowość ta nie może liczyć na powodzenie, ale ostatecznie zgodził się dać jej przynajmniej możliwość spróbowania.

- Biorę na siebie ryzyko, proszę o tym pamiętać; tak, duże ryzyko - oświadczył na zakończenie. - I robię to ja, ja, który zęby zjadłem na swojej pracy. Ale chcę dać pani szansę.

Zdawała więc sobie sprawę, że musi przede wszystkim umieścić gdzieś Piotrusia.

Nie wiedziała, jak potrafi się z nim rozstać - było to jednak nieuniknione. Przez cały dzień, a często przy dalszych wyjazdach do późnego wieczora będzie pracować poza domem, ze względów oszczędnościowych postanowiła odprawić Nette, wobec czego nie byłoby nikogo, kto by się nim zajął. Poza tym nie miałyby chwili spokoju myśląc, że pod jej nieobecność mogłoby mu się wydarzyć coś złego. W dodatku jego obecna szkoła była raczej przeciętna. Uczęszczały do niej przeważnie dzieci z biedniejszych rodzin, ona zaś żywiła co do niego wielkie ambicje, a miał już dziewięć lat. Wreszcie musiała się liczyć ze szlachetną, a

nawet wspaniałomyślną propozycją Joego umieszczenia go w doskonałym internacie. Niepodobna, by jej osobiste względy pokrzyżowały najlepsze plany dotyczące przyszłości syna i by nie miała skorzystać z takiej okazji. Tak, spojrzała w oczy smutnemu lecz nie dającym się uniknąć faktowi: chwilowo musi zgodzić się na rozłąkę z Piotrusiem. Jest to ofiara, wielka ofiara, lecz musi ją ponieść.

Bojąc się, że może zmienić swe postanowienie, usiadła szybko i napisała list do przełożonego zakładu w Laughtown.

Wkrótce przysłała uprzejma odpowiedź. Przełożony dziękował górnolotnie za okazane zainteresowanie; podkreślał niezwykle umiarkowane opłaty, wskazując na załączony, zielono-złoty ilustrowany prospekt, który w wymownych słowach wykazywał przeróżne zalety szkoły. Łucja z bijącym sercem przeczytała małą książeczkę rozpoczynającą się od słów: "Mający za zadanie wychowywać synów katolickiej inteligencji w duchu wybitnie zdrowym i praktycznym, zakład mieści się w czarującym, pięknie położonym miasteczku Laughtown, tak trafnie nazwanym przez poetę Browna "perłą wschodnich nizin". Zbudowany solidnie na gruntach własnej wspaniałej posiadłości ziemskiej, przyjemnie chłodzony powiewami balsamicznego i wzmacniającego wiatru od wschodnich wybrzeży, rozporządza..." Zakończenie brzmiało: "Wikt jest przede wszystkim zdrowy, pożywny i obfity. Chłopców wątłych i opóźnionych w rozwoju otacza się specjalną opieką. Żadnych opłat dodatkowych. Bracia stale przebywają z wychowankami i uczestniczą w ich sportach i zabawach. Opłatę zawsze i bez wyjątku należy uiszczać z góry".

Prospekt napisany stylem wytwornym, choć umiarkowanym zrobił na Łucji duże wrażenie. Westchnęła i ponownie obejrzała fotografie: chór szkolny, orkiestra (niemal to samo zdjęcie), szkolne kółko dramatyczne: chłopcy ubrani w kostiumy z klasycznej sztuki "Nero, czyli chrześcijański niewolnik", grupy z rozmaitych klas - twarz każdego wychowanka uwieczniona w tej książeczce - A Łucja obejrzała wszystkie.

Przeczytała też pochlebne opinie zamieszczone w miejscowej gazecie: "Dostojne zebranie... pod patronatem biskupa z Nofar... pośród gości świeckich zauważono..." Odczytała długą listę nagród do zdobycia. Położyła książeczkę na kolanach i przeniosła wzrok na Piotrusia.

Dziwne, lecz chłopiec cieszył się ogromnie na myśl o wyjeździe. Fakt niepojęty, a jednak nie dający się zaprzeczyć. Ten nieśmiały, wrażliwy, dziecinny chłopczyk, który przed niespełna tygodniem płakał w jej objęciach, teraz pragnął gorąco opuścić ją. Czytał znane historie o życiu szkolnym, przeczytał również ten prospekt, i oto widział siebie jako kapelmistrza szkolnej orkiestry albo jako perkusistę uderzającego w wielki bęben, to znów wprawiał w zachwyt liczne audytorium odgrywając rolę chrześcijańskiego niewolnika. Obecnie niczego w życiu nie pragnął tak gorąco, jak zobaczyć swoją fotografię figurującą dumnie w tej zielono-złotej książeczce. Mimo ulgi, jaką to sprawiało Łucji, fakt, że nie zawahał się ani na chwilę, zasmucił ją. Było to niedorzeczne, a jednak pragnęła, by się zgodził, a równocześnie chciała, by przez miłość do niej zaprzeczył: "Nie chcę jechać. Nie mogę rozstać się z tobą". Ale on wcale nie protestował. Przeciwnie, myśl o wyjeździe sprawiała mu widoczną radość.

Kupno ekwipunku - zgodnie z ustaloną listą - dla niego było wydarzeniem radosnym, lecz tragicznym dla Łucji. Udali się oczywiście do sklepu pana Gow. Sam Gow - przejęty wiadomością o śmierci Franka - był uprzejmy, niemal ojcowski i wspaniałomyślność swą posunął tak daleko, że przyznał trzy szylingi rabatu. Tak, nie było to dla Łucji przyjemne zadanie wyekwipować syna na nową drogę życia. Piotruś był jednak zachwycony swoim męskim ubraniem.

Wrócił do domu uradowany, przymierzył piżamę i sztywny kapelus, który za poradą pana Gow kupiono nieco na wyrost, a który trochę filuternie opadał teraz na uszy Piotrusia. Z najwyższym zadowoleniem chłopiec stanął przed lustrem i z nieukrywaną próżnością prosił, by sprowadzono pannę Hocking, aby go mogła podziwiać. Przyszła i z zachwytem oglądała wszystko, chwalać przede wszystkim kolor nowych szelek mających zastąpić stare, zniszczone. O szkole samej nie powiedziała nic: wspomniała od niechcienia o swoim ojcu, który uczęszczał do szkoły angielskiej, ona zaś kształciła się w Lipsku. Szelki podobały się jej jednak bardzo i śmiała się niepowstrzymanie, gdy Piotruś skakał w piżamce, przy każdym żywszym ruchu bezwstydnie popisując się swoją drobną figurką. Każdy skok wywoływał u Pinkie nowy wybuch śmiechu. To dziwne rozbawienie płonęło radośnie w jej podnieconych niebieskich oczach. Ale Łucja odpowiadała tylko bladym uśmiechem.

Fakt, że rok szkolny rozpocznie się tak prędko, przejął ją nieoczekiwanym bólem, zdawało się jej, że dni mijają z szalonym pośpiechem. Płynęły istotnie wartko, tak że ostatni nieunikniony dzień nadszedł, zanim się spostrzegła. A jednak nadszedł.

Pojechali na stację dorożką; nowy błyszczący czarny kuferek z białymi inicjałami Piotrusia leżał nad nimi troskliwie umieszczony. Panna Hocking, która przysłała odprowadzić chłopca, udzieliła dorożkarzowi chaotycznych wskazówek i zegnała ich powiewając w drzwiach różową szarfą. Dla Łucji był to moment nie tylko bolesny, ale i uroczysty i właśnie dlatego smutek jej nieco złagodniał. Dla niej wyjazd ten posiadał ogromne znaczenie. Widziała w nim pierwszy krok w życiu tego młodego, czarującego chłopca, należącego do niej; początek wspaniałej drogi, po której miał dumnie kroczyć. W pociągu była milcząca, patrząc przez okno na przesuwany się krajobraz, to znów wracając nagle spojrzeniem do podnieconego tą podróżą synka.

Umacniała się w swym postanowieniu. Powodując się bezgraniczną miłością zdecydowała się rozstać z synem - ból ten zniesie dzięki swej odwadze.

Przeszłość jest przeszłością: nie może, nie może się w niej pograżać, bo tam spotka jedynie rozpacz i klęskę. Postanowiła zdobyć powodzenie; a co do Piotrusia, to jego sukces będzie też jej sukcesem; osiągną go razem, a ona się już postara, że będzie wspaniała.

Podróż była długa, a przesiadanie zabrało dużo czasu, ale ostatecznie przyjechali do Laughtown o wczesnej godzinie popołudniowej. Gdy pociąg wjeżdżał na stację, troskliwie wytarła zwilżoną chusteczką brudne smugi na twarzy Piotrusia, następnie wyszli oboje na ruchliwy peron, po którym hulał wiatr. Spodziewała się, że ktoś wyjdzie po nich na dworzec, ale w tłumie ludzi - dzień był targowy i na stacji kręciło się pełno dźwigających pakunki wieśniaków - nie zauważyła żadnej twarzy, która by wyczekująco rozglądała się za nią i jej synem. Piotruś w nowym sztywnym kapeluszu stał obok błyszczącego, z dala widocznego kufra.

Tragarz, do którego się zwróciła, udzielił dość niechętnie informacji o szkole i jej położeniu, kilku ordynarnych chłopców potrafiło ją przechodząc, krowy ryczały wymachując ogonami, owce beczały żałośnie, a świnie z sąsiednich przegród dołączyły do tego swoje niemile chrząkania. Uświadomiła sobie, że przyjazd do "perły wschodnich nizin" nie odpowiada obrazowi, jaki widziała w swej wyobraźni, a kiedy tak stała, trzymając Piotrusia za rękę, brwi jej ściągnęły się pod wpływem zdumienia. Ostatecznie dostali jednak dorożkę i w takt terkotu okutych kół jechali wybrukowaną kocimi łbami ulicą. Klap, klap, dźwięczały ciężkie podkowy wlokącej się szkapy, i całe miasto, nie wiadomo dlaczego, było również jakies ociążałe. Miało wygląd całkiem zwyczajny i wiejski: sklepy pełne narzędzi rolniczych i

beczek kartofli wystawionych nawet na zewnątrz, na placu targowym ludzie stali apatycznie, a niektórzy z nich w swych ciężkich buciskach kierowali się ku najbliższej szynkowni. Tak, miasto rozczarowało ją, otoczone było, ale nie upiększone, brudnoszarą rzeką płynącą leniwie pod mostami o niskich łukach.

Na koniec z nagłym szarpnięciem dorożka zatrzymała się przed szkołą i tu przynajmniej Łucja nie doznała rozczarowania. Budynek szkolny z białego piaskowca wyglądał czysto i porządnie. Aleja wjazdowa wysadzona krzewami wawrzynu była starannie wygracowana. Cały zakład robił wrażenie solidne, tak że Łucja uspokoiła się od razu.

Zadzwoiła. Drzwi otworzył służący w zielonym flanelowym fartuchu, a na widok gości jego ciemna, wygolona twarz rozjaśniła się uprzejmym uśmiechem.

- Pozwoli pani tędy - rzekł i czystym korytarzem zaprowadził ich do małego pokoju. Łucja i Piotr usiedli sztywno na krawędzi krzesel o prostych oparciach, spoglądając na siebie jakby z oddali: ta dziwna sytuacja zabraniała im niejako rozmawiać ze sobą. Rozejrzeli się. Pośrodku stołu, okrytego grubą brązową serwetą, stały w porcelanowym wazonie kwiaty; zegar w kształcie marmurowej świątyni głośno tykał na kominku, a szeregi ciemno oprawionych książek wzdłuż ściany nadawały pokojowi wygląd zakładu naukowego.

Po kilku minutach wszedł powoli jakiś stary człowiek.

- Brat William - przedstawił się, wyciągając drżącą rękę i z naiwną satysfakcją dodał: - Przełożony kolegium...

Na głowie miał czarną czapeczkę, a habit wytarty był od długiego używania i posypany tabaką; krótka czarna peleryna ukośnie opadała na plecy. Szedł pochylony, krok miał nieco człapiący, a czerwono pożyłkowana, czysto wygolona twarz była zwiotczała od starości, brwi obwisłe, kark pofałdowany, a workowate policzki opadały mu jak u starego buldoga.

Ale mimo tych wszystkich oznak sędziwości wyglądał na mądrego i dobrotliwego starca, który przy całej swej wiedzy stał się może trochę naiwny, co nie przeszkadzało mu jednak być łagodnie przebiegłym.

- Tak, jestem brat William - powtórzył z lekkim uśmiechem, siadając. Łucja zobaczywszy ten uśmiech zapomniała o jego wieku, czując do niego sympatię.

- Masz może ochotę przejść się trochę i zobaczyć innych chłopców? - zapytał Piotrusia zamieniwszy z nim przedtem kilka słów. Nacisnął stojący na stole dzwonek i prawie natychmiast wszedł do pokoju młody braciszek, smagły, żywy, o miłej powierzchowności.

- Bracie Alojzy - rzekł przełożony - zabierz tego młodzieńca i oprowadź go trochę po zakładzie. Nie bój się - dodał zwracając się do Piotrusia - mamusia jeszcze nie odjedzie.

Ale Piotruś wcale się nie bał, wciąż jeszcze ogarnięty podnieceniem. Niemal wybiegł z pokoju, mocno trzymając za rękę brata Alojzego.

- Miły chłopiec - zauważył przełożony po odpowiedniej chwili zastanowienia, powoli zwracając się do Łucji. - Nadzwyczaj miły chłopiec.

To samo mówił każdej matce. Do ojców zwracał się ze słowami: "Mały mężczyzna". Och, był bardzo sympatycznym starcem. Tak też myślała Łucja, która nie wiedząc o dziesięciu tysiącach podobnych rozmów, zapisanych w niebie na koncie brata Williama, przyjęła jego komplement rumieniąc się lekko z zadowolenia.

- Może pani pozwoli kawałek piernika i kieliszek wina po podróży? Tak, proszę bardzo - szeptał poruszając szczękami, jak gdyby żuł. Podeszedł do kredensu, gdzie flaszka sherry stała obok pokrajanego ciasta. Wrócił i postawił przed Łucją kieliszek wina i porcję piernika. Następnie usiadł naprzeciw niej, nie biorąc udziału w posiłku i dalej mówił łagodnie: - Będzie mu u nas bardzo dobrze, gdy się tylko przyzwyczai.

Łucja skinęła głową potakująco, odchyliła czarny welon, zdjęła obcisłą skórkową rękawiczkę i udawała, że je. Dręczyło ją zbliżające się rozstanie z synem. Mówienie sprawiało jej coraz większą trudność.

- Jest bardzo młody - oświadczyła sucho, przełknąwszy kawałek ciasta - i obawiam się o jego zdrowie.

- Mamy tu młodszych od niego - uspokoił ją poważnie. - Tak, i z bardzo daleka; przyjeżdżają jednak do nas. Ja im zastępuję matkę. Tak, ja sam!

Nastąpiła krótka pauza, po czym Łucja powiedziała z pewną nieufnością, wahając się:

- Spodziewam się, że będzie miał należytą opiekę. Mam tylko jego jednego, jak bratu wiadomo.

Przysunął się trochę, opiekuńczym gestem poklepał ją po ramieniu i mruknął coś pocieszającego. Następnie spojrzął na jej czarny strój i chcąc zyskać jej zaufanie, rzekł:

- Widzę, że pani poniosła niedawno bolesną stratę?

- Tak - potwierdziła.

- Musiało to głęboko panią wstrząsnąć - podsunął delikatnie. - Widzę to.

Znów przytaknęła ruchem głowy. Szybka, gorąca łza napłynęła jej do oka.

- Biedactwo, biedactwo! - szeptał łagodnie.

Dziwną, prawie nieuchwytną przyjemność sprawiał mu widok tej młodej, zgnębionej istoty, wrażliwej na jego współczucie. Lubił tę delikatną zmysłową podniecie - rzadko zdarzającą się rozkosz. Czasem, w braku czegoś innego, doprowadzał młodych chłopców do takiej łzawej poufałości.

- Czy jakaś długotrwała choroba? - spytał.

Ciepła łza stoczyła się z rzęs Łucji i wpadła do kieliszka z winem. Spokojny, obcy pokój, klasztorna cisza, promień słoneczny, drgający pyłkami i muskający stare księgi, ten sędziwy braciszek, odnoszący się do niej z dobrotliwym współczuciem, a przede wszystkim czekająca ją rozłąka z synem - wszystko to przejęło ją nagłym wzruszeniem, które przejawilo się tylko ową jedyną łzą, ale jej wydało się czymś upokarzającym.

Pożyłkowaną ręką przyciskał jej ramię, szepcząc łagodne słowa współczucia. Nie miał święceń, które by go upoważniały do roli spowiednika. To... to zmysłowe wrażenie, silne, a jednak łagodne - przenikało go przyjemnie niby zapach starego wina lub dawna romantyczna melodia.

Gdy Łucja uspokoiła się i pełna wzgardy dla swej słabości opanowała głos, zaczął jej opowiadać o szkole: że spodziewają się wznieść rychło bardziej nowoczesny budynek i że

pracuje tu od czterdziestu lat. Słuchała uważnie. Nie przyszło jej do głowy obejrzeć sypialnie, co było utartym zwyczajem, a on nie zaproponował jej tego, nie pokazała się też żadna opiekunka, by mogła z nią porozmawiać - obowiązki opiekunki spełniał brat Alojzy; on to w razie potrzeby przyszywał chłopcom guziki do spodni. W budynku tym nie śmiała przebywać żadna kobieta.

- Oplatę za pierwszy kwartał - rzekła Łucja - pragnę uiścić teraz. - Wyjęła z sakiewki potrzebną sumę - jedenaście funtów. Joe jej jeszcze nie odwiedził, ale wołała wywiązać się z tego zobowiązania od razu, wiedząc, że Joe zwróci jej wyłożone pieniądze.

Brat William wykonał ręką gest protestu, niemniej jednak jego protestująca ręka wzięła monetę, a po chwili ostemplowane pokwitowanie spoczęło w jej pugilaresie. Wstała.

- Trzeba przyprowadzić chłopca! - zawołał i znów nacisnął dzwonek. Następnie odwrócił się i taktownie patrzył przez okno. Łucja, ściskając oburącz torebkę, stała pośrodku pokoju, ze spojrzeniem skierowanym ku drzwiom. Otworzyły się i wszedł Piotruś, wciąż jeszcze podniecony nowym przeżyciem. Spotkał się widocznie z innymi chłopcami, z którymi rozstał się niechętnie i co prędzej pragnął do nich wrócić.

Ze względu na siebie powstrzymała się od uściskania go i poprzestała na lekkim pocałunku przez welon.

- Będzie ci tu dobrze, prawda? - spytała.

- O tak, naturalnie - zapewnił gorąco. - Z pewnością, mamusiu.

Pożegnała brata Williama, który odwrócił się w odpowiedniej chwili i położył rękę na ramieniu Piotrusia, zanim Łucja skierowała się ku drzwiom i ze spuszczoną głową wyszła z pokoju.

W powrotnej drodze do domu przesuwał się przed nią szereg następujących po sobie wspomnień: na tle przemykającego, ciemniejszego krajobrazu dziecinna twarzyczka syna jawiła się raz po raz z coraz to innym wyrazem twarzy. Rozstanie bez gorzkich łez i protestów odbyło się tak szybko, że pozostawiło po sobie uczucie pustki, czegoś niedokonanego, braku momentu kulminacyjnego, który powinien jeszcze nastąpić.

Po przyjeździe zastała dom zimny i pusty. Smutna sprawa zwolnienia Netty odbyła się spokojnie, z żalem, lecz bez wzajemnych wyrzutów: Netta przyjęła to jako coś nieuniknionego - a oto po przyjeździe do domu Łucja nie miała ani ognia na kominku, ani pożywienia. Ale nie miała ochoty na jedzenie ani siły do ugotowania sobie czegoś. Zaparzyła tylko trochę herbaty i wypła ją. Znowu herbata, pomyślała niechętnie. W ostatnich dniach wypła jej za dużo. Mimo to gorący napój wprawił ją w lepszy nastrój, a pocieszając się myślą, że synowi jest dobrze, zaczęła się zastanawiać nad ważną sprawą swojej przyszłej pracy. Miała objąć obowiązki w poniedziałek rano. Chwilami myślała, że całkiem sama, bez doświadczenia i zdolności, ma wtargnąć do tego świata interesów, przerażała ją swoim nieprawdopodobieństwem; chwilami wydawała się jej nawet śmieszna. Że też właśnie ona miała porwać się na coś takiego! Myśl ta ustawicznie prześladowała Łucję, ale dzisiejszego wieczoru, mimo że czuła się nieswojo, przenikało ją gwałtowne pragnienie zdobycia powodzenia. Położyła się do łóżka w samotnym domu pełna otuchy, z wiarą w przyszłość.

- Czy pani wie, co ma teraz robić? - spytał Andrews patrząc na nią podejrzliwie.

- Tak, wiem - odparła z możliwie największą pewnością siebie.

Mina jego wyrażała powątpiewanie. Był przysadzisty, w średnim wieku, z sumiastym, lecz melancholijnie obwisłym wąsem. Lewym okiem zezował lekko, co nadawało mu wygląd jeszcze bardziej patetyczny.

- Zaznajomiła się pani z nazwiskami klientów?

- Tak.

- A z listą cen?

- Umiem na pamięć.

- Zapamięta pani wszystko, co powiedziałem?

Skinęła potakująco, próbując dodać sobie odwagi myślą: Jeśli ten przysadzisty osobnik potrafi spełniać swoją pracę, to ja z pewnością dam sobie radę ze swoją. Nie była jednak tak pełna otuchy, jak można by sądzić z jej miny...

Był to ów fatalny ranek poniedziałkowy. Łucja stała w biurze, ubrana w skromny szary kostium - niechętnie odłożyła czarny jako sentymentalny i nieodpowiedni - czekając na przyście Lennox. Przyszła tu wcześniej, bardzo wcześniej, ale on się spóźnił. Tymczasem Andrews tłumaczył, na czym polegają jej proste obowiązki.

Jego zainteresowanie było całkowicie i wyłącznie egoistyczne. Nie miał żadnych względów dla Łucji ani też altruistycznego pragnienia, by się jej powiodło; kierował się własnym interesem i gorącym życzeniem zatrzymania dotychczasowego stanowiska. Swego czasu on również zaznał losów "podróżującego agenta", a Lennox napomknął, że jeśli Łucja nie podała temu zadaniu, to on obejmie pracę Moore'a. Dla Andrews była to perspektywa

niezbyt pożądana, gdyż używając jego własnego określenia, "wyjazdy te wychodziły mu już gardłem".

Tak, z rozmaitych powodów lubił swoje obecne zajęcie, w znacznej mierze także dlatego, że mieszkał przy Gallowgate, w pobliżu biura, i że nade wszystko lubił jadać regularnie w domu. Miał jednak słabą nadzieję, by Łucji się powiodło. Do czego w ogóle nadaje się kobieta poza pracą domową? A jego pogląd najwidoczniej dzielił młody Frame - chłopak na posyłki - który zajęty swoją ranną robotą polegającą na sortowaniu listów z poprzedniego dnia, od czasu do czasu niemal protekcjonalnie spoglądał na Łucję.

Stojąc w kantorze, robiła wrażenie istoty dziwnie nie pasującej do tego otoczenia. W ubraniu jej była pewna elegancja, włosy lśniły, twarz miała spokojną, lecz był to spokój nieco wymuszony, a pod mocno zaciśniętymi palcami wyczuwała szybkie tętno w przegubie ręki. Tak wiele zależało teraz od niej, od niej samej, gdyż nikt inny nie mógł jej pomóc. Była to dziwna myśl, przejmująca ją mimo wszystko poczuciem nie słabości, lecz siły.

- W każdym razie - rzekł Andrews odwracając się z posępną stanowczością - więcej już zrobić nie mogę.

Nie odpowiedziała. Rozejrzała się po kantorze. W pewnej mierze nawet sam ten kantor wyprowadzał ją z równowagi. Zawsze sobie wyobrażała "biuro Franka" jako lokal wytworny, elegancki, dystyngowany, ale ten tu... pozbawiony jest wszelkiej dystynkcji. Wszystkiego było dwa pokoje - biuro i dalszy pokój, zwany "prywatnym", zapchany jednak przeważnie skrzyniami, z których tu i ówdzie sypała się słoma. Pokoje te były zniszczone i brudne. Przyglądała się zamkniętym oknom, popękany karniszom, szarozielonym ścianom, pustemu biurku, które należało zapewne do Franka i przy którym z nagłym bólem wyobraziła sobie w tej chwili jego chudą, pochyloną postać. Samo wejście do kantoru przejęło ją lękiem: wejście od ulicy Saddleriggs, strzeżone przez szyld "Lennox i Galton" na mosiężnej tablicy - nie błyszczącej, niestety, lecz pożółkłej, miejscami pokrytej grynszpanem, czyniącym napis prawie że nieczytelny - to brudne i ciemne wejście na kręte kamienne schody, zamiast poręczy mające sznur, którego Łucja trzymała się kurczowo, wchodząc. A nawet drzwi z pękniętą futryną pasowały do tego wszystkiego, potęgując wrażenie niechlujnego, odwiecznego zaniedbania. Widocznie Lennox niewiele się troszczył o wygląd zewnętrzny swojego biura.

Drgnęła i zebrała siły, zauważywszy wlepiony w siebie wzrok Frame'a. Wiedziała, że nazywa się Dougal Frame, ten niedorostek, mniej więcej czternastoletni, niedbale uczesany, w brudnym kołnierzyku, o podejrzenie ciemnej szyi, z uszami jakby przyczepionymi. Za jednym chwiała się pióro, za drugie wetknięty był niedopałek papierosa. Spoglądał na nią spoza swych grubych wielkich okularów w stalowej oprawie chyba z wrogością. W każdym razie Łucja podejrzewała go o tę wrogość i usiłując opanować rozdrażnienie, zwróciła się do niego.

- Czy nigdy tu nie sprzątają? - spytała łagodnie.

Przez długą chwilę patrzył na nią w zamyśleniu, następnie odpowiedział tajemniczo.

- Czasami. - Po tej lakonicznej informacji zabrał się szybko do dalszego sortowania listów.

- Powinieneś sprzątać częściej - nalegała. - Tyle tu kurzu.

- Nie płacą mi za to - odparł chłodno, prawie niegrzecznie, nie podnosząc oczu.

Przez chwilę panowało milczenie. Następnie dał się słyszeć odgłos kroków na schodach.

- Idzie Lennox - rzekł chłopiec, wciąż jeszcze powściągliwie, lecz mniej szorstko, jak gdyby już żałował swej poprzedniej arogancji.

Serce Łucji zabiło żywiej. Odwróciła się szybko, gdy drzwi się otworzyły i wszedł Lennox. Twarz jego, już od progu niezwykle surowa - z inną miną wchodził do jej domu - na jej widok stała się jeszcze kwaśniejsza: zsunął kapelusz z czoła i od razu zawołał:

- Więc jednak pani przyszła!

Dotknęło ją to szorstkie przywitanie - czemu mówi w ten sposób, gdy przecież wszystko zostało ustalone nie dalej jak tydzień temu, potwierdzone jego słowem. Zmusiła się jednak do uśmiechu - wymuszonego uśmiechu kobiety bardzo strwożonej, gorąco pragnącej się podobać.

- Pan Andrews powiedział mi już wszystko - rzekła z pozornym ożywieniem. - Jestem gotowa zabrać się od razu do roboty.

- Jestem idiotą - stwierdził zirytowanym głosem. - Absolutnie nie da pani sobie rady.

- Panie Lennox, niechże pan tak nie mówi - odparła szybko, wciąż jeszcze z wymuszoną pogodą.

- Proszę sobie zapamiętać: wyleci pani za tydzień, jeśli pani nie osiągnie należytych rezultatów.

Trzeba być sentymentalnym idiotą, by przyjmować taką kobietę, czy jakąkolwiek w ogóle! Pomyśleć tylko, że kiedyś pijąc u niej herbatę, powiedział z niewybaczalną lekkomyślnością: "Jeśli pani będzie potrzebowała posady, proszę zwrócić się do mnie"! Pomyśleć, że oto jest tu teraz w jego kantorze, gotowa objąć tę posadę - ten fatalny zbieg okoliczności ukłuł go jak ostry cierń. Tak, w zimnym świetle poniedziałkowego poranka bezsensowność tego układu denerwowała go bardzo, oświadczył przeto:

- A jeśli przez panią stracę bodaj jednego klienta, to proszę mi się tu więcej nie pokazywać.

- Z pewnością do tego nie dojdzie - zaprotestowała stanowczo, bez chwili namysłu.

- Phi! - mruknął niecierpliwie i odwrócił się do Andrews. - Gdzie zacznie?

- W Linton - odparł Andrews - a wbilem jej wszystko w głowę, jak tylko mogłem.

Szeroko rozkraczywszy nogi Lennox wyglądał oknem w posępnym roztargnieniu. Nagle odwrócił się do Łucji, która przyglądała mu się strwożona.

- I po co tu pani stoi? - krzyknął szorstko. - Za to się nie płaci! Proszę wyjść i zabrać się do roboty.

- Czekałam na pana - odpowiedziała jeszcze bardziej przerażona jego zachowaniem. - Myślałam...

- Proszę nie myśleć, lecz pracować! - Zachichotał ze swego aforyzmu. Wyjąwszy z kieszeni kamizelki ołówek, wetknął go groźnie pod kapelusz, niby lufę armaty.

Łucja spojrzała na niego oburzona, lecz ani jedno słowo nie wyszło jej z ust. Opanowała wzbierający w niej gniew, wzięła z biurka swoją księgę zamówień i papiery. Z płonąca twarzą wyszła powoli na schody.

To upokarzające, że musi znosić podobne poniżenie. Już miała zawrócić i rzucić mu to wszystko w jego chichoczącą gębę, ale się opanowała. Była już w połowie schodów, gdy usłyszała za sobą odgłos kroków, a odwróciwszy się raptownie, zderzyła się z nadbiegającym Dougalem.

- Zapomniała pani zabrać swój ołówek - powiedział zakłopotany, odzyskując równowagę.

Wzięła ołówek i w milczeniu spojrzała na chłopca. Patrzył teraz na nią ze współczuciem.

- Zaostrzyłem go dla pani - oświadczył czerwieniąc się po uszy. Następnie, zanim zdołała przemówić, dodał: - Niech sobie pani nic nie robi z Lennox. On zawsze w takim złym humorze w poniedziałek rano. Doskonale sobie pani da radę! - Odwrócił się szybko i skacząc po trzy schody naraz, zniknął.

Stała przez chwilę, po czym usta jej drgnęły, czoło się rozchmurzyło i z lekkim uśmiechem wyszła na ulicę.

Był piękny, pogodny ranek, a świeżość jego potęgowało jeszcze tchnienie wczesnego w tym roku mrozu. Wiatr harcujący po ulicy popychał Łucję ku stacji. Nagle przejście z dusznego kantoru w jasność dnia poprawiło jej nastrój. Wokół płynął wartki prąd miasta, gwarem rozbrzmiewały roje ulicy: konie ciągnęły naładowane wozy, z ciężkim łoskotem toczyły się różnobarwne tramwaje, szybko turkotały kabriolety, a wszystko tchnęło jakąś żywotną siłą, którą Łucja bezwiednie się rozkoszowała. Porwana przez ten mknący prąd, słyszała stłumioną, nieustanną wrzawę miasta, przerywaną trąbieniem holownika na pobliskiej rzece, gwizdem lokomotywy, pokrzykiwaniem domokrażcy pchającego swój wózek.

Przeszła przez jezdnię i skręciła na Argyle Street. Na chodniku panował tu jeszcze większy tłok, ruch uliczny był jeszcze bardziej utrudniony. Weszła na stację Queen Street,

minęła mętnie oświetlony, górny peron pod szklanym dachem i po schodach, wśród kłębow dymu, przesłaniającego ociekające wilgocią żelazne słupy, dostała się na dolny peron.

Wsiadła do pociągu, odjeżdżającego do Linton, i w czasie jazdy uczuła nagle przyływ energii, powzięła decyzję. Znów pomyślała: muszę zapomnieć o przeszłości. Mam Piotrusia... i przyszłość.

Dojechawszy do celu, odetchnęła głęboko i skierowała się ku miastu - na twarzy jej malowało się skupienie. Linton było miastem ruchliwym. W powietrzu rozbrzmiewał huk tysięcznych młotów, nieustanny stuk wbijanych nitów i łoskot z kuźni, gdzie wyrabiano szyny, na tle nieba rysowały się niewyraźne kontury na pół wykończonych statków rojące się od robotników, podobnych z tej odległości do mrówek, gigantyczne żurawie wyciągały potężne ramiona, z których zwisały ogniwa łańcuchów, grubych jak uda mężczyzny. Po drugiej stronie drogi, u bram przystani sapała ciężka lokomotywa, pozostawiając za sobą postrzępioną chorągiew dymu. Ziemia drżała pod jej ciężarem. Wszystko tu było chropawe i mocne, surowe jak ta rozkopana glina, w której kopano właśnie fundamenty pod nowe domy. Ale Łucję to podniecało. Uderzenia stali o żelazo, syk pary, skrzypienie dźwigów, zgrzyt wind - Łucja chłonęła wzrokiem ten nowy dla niej widok, przejęta bijącą z niego siłą. Czuło się, że wszyscy tu dążą do określonego celu, a ona również miała cel w życiu: nie samo tylko handlowanie wstrętą margaryną - lecz coś wyższego, żywotnego, silnego.

Na rogu High Street i wąskiej uliczki prowadzącej ku przystani, odwiedziła swego pierwszego klienta - piekarnię z upstrzoną przez muchy małą szybą wystawową, za którą umieszczono szereg chlebów i dwa szklane okrągłe talerze. Jeden był pusty, na drugim leżały jakieś wymyślne tłuste ciasta: dziwny kwiat, wyrosły na ściętym pniu, nad oknem widniał napis: "Danl. Harbottle i synowiec". Nigdy nie zapomni tej firmy ani tej chwili. Nazwisko Harbottle górowało nad innymi, a dla niej też miało wielkie znaczenie, gdy stojąc przed wystawą, przez zielonawoniebieskie szyby przyglądała się postaci mężczyzny za ladą. Stał zadumany na jednej nodze, butem drugiej pocierając umęczoną łydkę. Obnażone ręce, powalane zaschniętym ciastem, oparł na ladzie, górną część ciała osłoniętą fartuchem przechylił w tył, a cienką szyję wyciągnął do góry. Stał zamyślony, niemal jak bocian. Czy to synowiec właściciela we własnej osobie? Nie było to ważne. Widziała w nim swoją najbliższą ofiarę, i ze stanowczą miną weszła do sklepu.

- Dzień dobry, panie Harbottle - powiedziała. - Przychodzę od Lennox. - Jej zachowanie było śmiałe, proste, lecz nieustępliwe. - Czy ma pan dla mnie dziś jakie zamówienie? - spytała odważnie.

Cieniu nienatarczywego Andrewsa! Gdzież, ach gdzież podziła się twoja rada, by skromnie wejść do sklepu i skromnie rozpocząć chytrą rozmowę o pogodzie?

- Zamówienie? - powtórzył. Od czwartej rano tkwił w tej ciemnej piekarni, drzemiąc leniwie, gdy tymczasem córka jego jadła na gorze śniadanie. Popatrzył na Łucję oszołomiony, jakby nie dowierzając własnym uszom i oczom.

Otworzyła swój notatnik.

- Odtąd ja będę przychodzić do pana - oświadczyła ze sztuczną pewnością siebie. - Jak pan widzi, objęłam posadę po moim mężu.

Wciąż jeszcze wpatrywał się w nią. Wreszcie błysk zrozumienia rozświetlił jego umąconą twarz.

- Rozumiem! Rozumiem! - zawołał. - Po tym młodym człowieku! Aha, i pani ma teraz tę posadę. Tak, tak! Żyjemy w śmiesznych czasach, skoro kobieta wchodzi do mojego sklepu i dopomina się o zamówienia!

Ujęła ołówek i spojrzała na piekarza.

- No tak, coś tam będę potrzebował - rzekł ostrożnie. - Nie mam przesądów. Tak, przyda mi się coś od Lennox.

Ołówek jej wyczekująco dotknął papieru.

- No tak, może mi pani przysłać beczkę zwykłego.

Szybko zapisała - wiedziała od Andrewsa, co u niego oznacza "zwykłe". Przez chwilę panowało milczenie.

- Może trochę margaryny? - podsunęła. - Moglibyśmy oddać po czterdzieści trzy. - Było to pociągnięcie mistrzowskie, pomyślała później, dowodzącej jej intuicyjnego wyczucia tajników handlu.

- Niech będzie, skoro już o tym mówimy - zgodził się powoli. - Możecie mi też przysłać pół beczki margaryny.

Palce jej drżały lekko przy ostatecznym wypisywaniu zamówienia. Skończywszy, uśmiechnęła się i gorąco mu podziękowała.

Gdy zamykała drzwi, patrzył za nią prawie osłupiały. Coś takiego! - myślał. - Czy kto widział coś podobnego?

Na dworze przystanąła. Tak, zażądała tego zamówienia i otrzymała je. Mimo że starała się zachować spokój, serce jej biło w podnieceniu. Był to początek - oznaczał powodzenie! Wiedziała, że podoła. Triumf nad tym drobnym, nic nie znaczącym piekarzem przejął ją potężną wiarą we własne siły. Była upojona, lecz opanowała się. Świadomie zmuszała się do spokoju, zmierzając do następnego klienta.

Niezmordowanie przemierzyła całe miasto. Nie wszędzie natrafiła na życzliwego klienta, skłonnego w pustym sklepie wysłuchać jej pytań. Musiała czekać, wystać się porządnie, zanim piekarze - czasem niecierpliwi, czasem ciekawi - wyłonili się ze swych podziemnych czeluści. W większych sklepach musiała się stykać ze źle wychowanymi ekspedientkami. Nie zawsze jej tak gładko szło z zamówieniami. Spotykała się też z odmową, ale ów początek był pomyślną wróżbą, dobrym omenem. W razie potrzeby umiała pozyskać zaufanie klienta i lista jej zamówień z wolna się powiększała. Nic dziwnego: nie była głupia, a Lennox miał dobrą, znaną firmę. To ich paskudztwo, jak kiedyś wyraził się Frank, sprzedawało się po prostu samo.

Po ostatniej rozmowie wyszła na ulicę i spojrzała na zegar. O Boże! - pomyślała - już trzecia! Była tak strasznie zajęta, że całkowicie zapomniała o stosunkowo nieważnej sprawie: jedzeniu. Teraz jednak, podniecona zwycięstwem, poczuła głód, niemal żarłoczny głód. Rozejrzawszy się wokoło, odkryła małą jadłodajnię naprzeciwko przystani i weszła do niej. Był to skromny lokal, pusty o tej porze dnia, chociaż sądząc po wilgotnych kręgach i okruszynach na stołach, było tu niedawno pełno. Usiadła i zamówiła chleb z szynką i szklankę mleka. Jak jej to smakowało! Odprężona w tej chwili, z rozkoszą wypila ostatni łyk mleka.

W ciszę lokalu wtargnął spieszny huk walących młotów - dzwoniły i szczękały, a głos ich dudnił i potęgował się. Kilka much bzykało sennie na szarym suficie - cała ta wrzawa

wcale im nie przeszkadzała. Nie przeszkadzała też Łucji Pogodziła się z nią, wsłuchując się niemal z przyjemnością - oto wspaniały symbol jej nowego życia.

Później nastrój jej się zmienił - była spokojna, opanowana, kiedy szła z powrotem przez Saddleriggs i szybko wchodziła na schody wiodące do biura.

Wszyscy zamilkli, gdy z teatralną niemal punktualnością weszła do pokoju. Nic nie powiedziała - zbyt gorzkie spotkało ją upokorzenie tego ranka. Milcząca, przejęta teraz poczuciem swej wartości, czekała na zadośćuczynienie.

- I co? - przemówił wreszcie Lennox obrzucając ją przeciągłym spojrzeniem. - Jak poszło?

W milczeniu podała mu książkę zamówień, którą on odebrał również bez słowa. Był to moment dramatyczny, a Frame i Andrews tworzyli zachwycone audytorium, gdy Lennox szybkim spojrzeniem przebiegł zamówienia. W końcu odłożył notatnik.

- Nieźle - mruknął, a głos jego zmienił się. Zatarł ręce, wysunął brodę i w chytrym uśmiechu odsłonił żółte zęby: - Jak na początek, to nieźle.

Jak na początek! Wiedziała, że sprawiła się dobrze i wiedziała, że i on z tego zdaje sobie sprawę.

Znów wziął notatnik.

- Czy w tych sklepach zamówili pierwszy gatunek? - spytał.

- Tak, pierwszy gatunek, po osiemnaście szylingów beczka - odrzekła z miną rutynowego fachowca.

Znów się uśmiechnął, przyznając jej tym samym większe prawo do swego szacunku. Oczywiście, zawsze o tym wiedział! Niezwykle zręczna kobietka, jego sąd o ludziach był zawsze trafny. Tak; tak!

- No, dobrze się pani spisała - mruknął i odwróciwszy się przeszedł do drugiego pokoju, pogwizdując cicho.

Łucja spojrzała na tamtych, a Dougal uśmiechnął się do niej, wykonując zapraszający gest.

- Może pani wypisać tu faktury - oświadczył, wskazując swoje biurko.

Przyjął ją definitywnie jako członka firmy.

Przyszła do domu po szóstej i z miną bezwiednej dumy z odniesionego sukcesu spojrziała na drzwi własnego mieszkania. Poczowała głęboką ulgę z powodu sukcesu; uświadomiła sobie nagle, jak bardzo ograniczone były jej możliwości, jeżeli chodzi o znalezienie pracy, i z lękiem zadała sobie pytanie, co by poczęła, gdyby nie nadarzyło się to zajęcie. Wchodząc do domu dostrzegła nagle na podłodze hallu list. Od Piotrusia - pomyślała i na jej ustach bezwiednie pojawił się uśmiech, gdy schyliła się, by podnieść kopertę.

Wprawdzie od Piotrusia, ale nie list. Zwykła pocztówka - zmięta, zgnieciona, z zagiętymi rogami, nosząca oznaki pospiesznego pisania i potajemnego wysłania - pocztówka mówiąca z nieprawdopodobną zwięzłością: "Zabierz mnie stąd zaraz". Bez podpisu, bez nagłówka; jedynie plama, brudna smuga, może od lzy, i te cztery okrutne słowa: "Zabierz mnie stąd zaraz!" Struchlała, powtórzyła je głośno. Stała bez ruchu, skamieniała. Następnie przeszła do saloniku i osunęła się na krzesło. Co to ma znaczyć? Tysiące najrozmaitszych myśli przemykało jej przez głowę. Z nieokreśloną trwogą widziała swego syna w jakiejś strasznej, rozpaczliwej sytuacji. Czy cierpiał jedynie z powodu nowego otoczenia, czy może go krzywdzą, źle się z nim obchodzą? Może go biją. Ta pognieciona kartka, którą teraz ścisnęła bezsilnie w ręce, spadła na nią nieoczekiwanie jak grom z jasnego nieba.

A jednak - owa łagodna dobroć w głosie czcigodnego brata Williama, te ciemne współczujące oczy brata Alojzego, skromna reklama zielono-złotego prospektu - po namyśle nie mogła wątpić w uczciwość tych dowodów.

Mimo to spędziła noc niezmiernie przykłą, dręczona niepewnością i obawami. Była rozgoryczona tym nieoczekiwanym zwrotem i to właśnie w chwili, kiedy wyobrażała sobie z triumfem; że zabezpieczyła najbliższą przyszłość, opłaciwszy w szkole pierwszy kwartał. Tak, sprawa wymaga zastanowienia. Instynkt nakazywał Łucji pospieszyć zaraz nazajutrz do Laughtown, ale na to sobie nie pozwoli. Niemożliwość zwolnienia się z pracy w tym początkowym stadium i oczywista słabość, o jakiej świadczyłby podobny krok - te dwa czynniki dyktowały jej zwłokę, a zwłoka nie była dla niej czymś łatwym. Mimo to, po nocy przerywanej niespokojnymi snami wstała wcześniej i napisała do syna krótki list, w którym mu donosiła, że odwiedzi go w najbliższą sobotę, gdyż będzie miała wolne popołudnie.

Przez resztę tygodnia walczyła z przykrym samopoczuciem, przeciwstawiając swoją silną wolę owej natarczywej chęci porzucenia wszystkiego, by co rychlej zobaczyć Piotrusia. W sobotę, zaraz po wyjściu z biura, pobiegła na stację i wsiadła do pociągu odchodzącego o pierwszej piętnaście do Laughtown.

Co za podróż - ten sam nudny krajobraz i to samo jeszcze nudniejsze miasto! Wydało jej się szczytem głupoty, że tam jedzie. A poza tym wydatek, który starała się zmniejszyć odmawiając sobie dorożki, stanowił znaczne obciążenie jej tygodniowego zarobku. Zdawała sobie sprawę, że musi teraz ostrożniej gospodarować pieniędzmi. I co jej tam powiedzą? Co powie brat William, gdy w ciągu jednego krótkiego tygodnia zjawi się ponownie i zechce znów widzieć syna?

Nie spotkała się jednak z bratem Williamem, a i takie postępowanie było może uwieńczeniem jego mądrości. Chociaż ten sam służący wprowadził ją do tego samego pokoju, brat William wcale się nie pokazał i nie poczęstował jej gościnnie winem i ciastem. Natomiast po kilku minutach zjawił się Piotruś, z twarzą tak bladą i żalosną jak dogorywający księżyc, a zaledwie ją ujrzał, łzy pojawiły się w jego oczach. Były to gorzkie łzy, przerywane raz po raz błagalnym jękiem, by zabrała go ze szkoły.

Patrzyła na niego jasnymi oczami, dziwnie niezdolna do pobłażania jego niedoli.

- Co się stało? - spytała szybko.

- Chcę do domu, chcę do domu - powtarzał raz po raz.

Słowa te wyrażały jego najgorętsze pragnienie. Już nazajutrz po jej odjeździe, cały jego ufny, podniecony nastrój załamał się. Piotruś czuł się zgnębiony i przerażony osamotnieniem. Od tego czasu płakał uporczywie.

Ścisnęła go za ramię, spojrzał na nią.

- Czy obchodzą się z tobą należycie? - spytała ostro.

- Tak, och, tak - łkał. - Obchodzą się ze mną całkiem dobrze. Są dobrzy, bardzo dobrzy. Brat Alojzy całuje mnie co wieczór. Och tak, całkiem dobrzy, całkiem dobrzy.

Znów zaczął niemal histerycznie powtarzać swoje słowa. Łucja toczyła z sobą zaciętą walkę. Widziała teraz, jak błaha przyczyna ją tu sprowadziła. Tego przecież za wiele, tak, za wiele z jego strony. Mimo to była głęboko wzruszona, że tak bardzo zależy jeszcze od niej.

Nagle zapragnęła namiętnie porzucić tę swoją udawaną surowość, poczuć na swojej twarzy ciepłą bliskość jego zroszonego łzami policzka, przycisnąć do piersi wstrząsanego płaczem synka, ale nie zrobi tego. Opanowała się i wstała.

- Chodź - rzekła serdecznie, wyciągając rękę osłoniętą rękawiczką. Posłuchał natychmiast, jeśli jednak żywił złudzenie, że natychmiast z nią odjedzie, to zostało ono szybko rozproszone, gdy dobrotliwie dodała: - Przejdziemy się trochę.

Szedł za nią przez korytarz, gdzie, mimo gwaru głosów z rozmaitych klas, nie spotkali nikogo. Chciała zapytać, czy wolno mu z nią wyjść, gdy się jednak nikt nie pokazał, sama otworzyła drzwi i dość szybkim krokiem ruszyli przed siebie drogą. Niepostrzeżenie, pod wpływem ruchu, jego zmartwienie słabło.

Chciała mu pozostawić trochę czasu, by zapomniał o swoim cierpieniu, i gdy przebyli już całą boczną drogę, wijącą się wzdłuż krańców miasta, spojrzała nań ukradkiem. Tak, przestał płakać.

- Taki duży chłopiec - rzekła w końcu, patrząc teraz prosto przed siebie. - Zdziwiłeś mnie. - Świadomie podjęła znów ten temat.

- Byłem taki osamotniony, mamusi - wyjaśnił. - Zacząłem płakać, nie wiedziałem dlaczego i nie mogłem przestać. A chłopcy mi powiedzieli, że mi tęskno do domu. Zabierzesz mnie stąd, prawda?

Widocznie nie zdawał sobie sprawy, że może istnieć jakakolwiek przeszkoda, uniemożliwiająca zabranie go stąd. Nie rozumiał, że to postawiłoby Łucję w trudnej sytuacji, z której wyrwała się niedawno.

- Czy podobają ci się inni chłopcy? - spytała bezpośrednio.

- Tak, są bardzo mili - przyznał. - Jeden ma ataki. Przewraca się na ziemię i z ust leci mu piana. A Hiszpanie tak komicznie pachną, niektórzy chodzą w żółtych trzewikach, zakończonych spiczasto. Grają w piłkę.

- A ty nie grasz z nimi?

- Ja grałem w kuleczki. Nie chciałem, ale brat Jan Jakub mi kazał.

- Brat Jan Jakub! - powtórzyła. - Przyjaciół Joego - a w pamięci jej ożyły słowa prospektu: "Bracia stale przebywają z wychowankami i uczestniczą w ich grach i zabawach".

Spojrzała na niego bystro.

- A inni chłopcy? - nalegała. - Nie zaprzyjaźniłeś się jeszcze z żadnym...

- Owszem. - Zastanawiał się posepnie. - Jest jeden duży chłopak, nazywa się Ramford. Bardzo fajny. Umie naśladować drugich. On wszystko umie. Chce, bym został jego ulubieńcem.

- Jego ulubieńcem? - wykrzyknęła. - Co to znaczy?

- Właściwie nic - wyjaśnił. - Mówi się tylko, że jest się czyimś ulubieńcem i koniec. Wszyscy duzi chłopcy mają swoich ulubieńców. Taki zwyczaj. Jeśli ktoś jest ulubieńcem jakiegoś chłopca, to do herbaty dostaje od niego czasem kawałek ciasta.

- Czy brat William wie o tym?

- Naturalnie, on wie o wszystkim.

Przyglądała mu się w milczeniu.

- I wyobraź sobie - zapewniał w dalszym ciągu - codziennie musimy iść rano do kościoła. Czy to nie okropne? A ile nam zadają do nauki! Strasznie dużo!

Czoło jej rozpogadzało się stopniowo. Zdawała sobie sprawę, jakie to wszystko musi być nowe dla niego.

- No tak! - powiedziała, głęboko zaczerpnąwszy powietrza. - Pomówimy o tym wszystkim obszernie.

- Tak, mamusiu - zgodził się zgnębiony - a potem musisz mnie zabrać.

Rozejrzała się z wyrazem stanowczości. Pragnęła teraz usiąść i całą sprawę omówić dokładnie. Po lewej stronie zauważyła starannie utrzymane ogrodzenie cmentarza miejskiego, a poza nim ławki, więc zawróciła i wprowadziła go za żelazną bramę. Żadne z nich nie zdawało sobie sprawy z paradoksalności tej sytuacji, gdy zatopieni w swych myślach usiedli pod cisem oceniającym duży grobowiec.

- Widzisz Piotrusiu - zaczęła - sprawa jest taka...

Ale trudno mu było wytłumaczyć; jej sytuacja była dla niego czymś zbyt odległym, i już ją przecież uważał za swoją wybawicielkę. Skądże mógł wiedzieć, że po upływie tygodnia jego tęsknota za domem zniknie zupełnie? Tak, trudno było narzucić swoją wolę temu wrażliwemu i podejrzliwemu chłopcu, tak bardzo od niej zależnemu. Zmusiła się jednak do tego, mówiła do niego łagodnie, później stanowczo. Znow z oczu jego popłynęły łzy, a łkania zakłóciły posępną atmosferę tego cmentarza tak doskonale pasującą do tej sytuacji. Grobowce tchnęły współczującym smutkiem, cis nad ich głowami szeleścił cicho. Jej oczy były również wilgotne, ale mimo tej słabości czuła lekkie zniecierpliwienie. To jednak śmieszne, że chłopiec narobił tyle kłopotu, tyle strasznego zamieszania bez żadnego powodu, a w dodatku zgubił swoją chusteczkę.

- Na nic się to nie zda, mój drogi - rzekła stanowczo, podając mu swoją. - Musisz się z tym pogodzić.

Otarł oczy i przez chwilę patrzył przed siebie.

- Tak, skoro tak mówisz, to będę musiał.

- To dobrze - oświadczyła triumfująco. - Jesteś dzielnym chłopcem.

Był coraz spokojniejszy i zdawał się nad czymś rozmyślać.

- Niektórzy chłopcy mają pudełka z różnymi rzeczami do jedzenia - konserwy i inne przysmaki - zauważył w końcu. - A ja nie mam.

- Chciałbyś mieć takie pudełko? - spytała żywo, chętnie korzystając ze zmiany tematu.

Dolna warga zwisała mu jeszcze płacząco, skinął jednak głową potakująco.

- Więc chodźmy - zawołała wesoło. - Pójdziemy do sklepów.

Wstał i wyszedł z nią z cmentarza. Znow mogła przypisać sobie zwycięstwo, i to odniesione bez rozpieszczania go!

Poszli do miasta. Poweselał, gdy Łucja kupiła mu słoik śledzików i flaszkę pomidorowego sosu - jak jej powiedział, chłopcy polewali sobie nim chleb, który dostawali do herbaty - trochę pasty z krewetek, pudełeczko biszkoptów i funt anyżowych kuleczek.

Szli wzdłuż rzeki, trzymając się za ręce, następnie napili się herbaty w małej cukierence, gdzie pozwoliła mu najeść się ciastek. Chwilami przestawał się objadać i wpatrywał się w nią niepewnie.

- No, Piotrusiu - mówiła wtedy ostrzegawczo. - Pamiętaj!

Odprowadziwszy go do bram zakładu, których przez delikatność nie chciała już przekroczyć, stanowczo powtórzyła jeszcze to upomnienie.

- Musisz ciężko pracować i robić dobre postępy - pouczyła go na ostatku - a staniesz się sławnym człowiekiem i będziesz mieć dużo pieniędzy.

Przytaknął pokornie skinieniem głowy i stojąc w bramie - drobna, nieopisanie wzruszająca figurka - kiwał ręką za odchodzącą.

Skończyło się. Ruszyła w stronę stacji. Była wyczerpana, ale zwyciężyła; tak, zwyciężyła.

Pracowała od trzech miesięcy, a wynikiem tego było miłe poczucie, że stworzyła sobie ustaloną egzystencję. Bywały co prawda tygodnie, kiedy jej prowizja była żałośnie mała, ale bywały też takie, kiedy zarabiała nawet do trzech funtów, poza tym dzięki swej pomysłowości zdołała zawsze zaoszczędzić jakąś sumkę z pieniędzy przyznanych jej przez firmę na służbowe wydatki. Uwzględniając bądź co bądź pewną dozę szczęścia, miewała chwile, kiedy uważała swoje powodzenie za zdumiewające. Piotruś robił teraz w szkole postępy i dawno zapomniał o smutnym początkowym okresie; jego oficjalne listy, pisane co tydzień fioletowym atramentem, były wzorem stylu i sprawności pióra. Należał już teraz do lepszych uczniów swojej klasy - czego się po nim istotnie spodziewała - mówiono też o przyjęciu go do orkiestry. Gdy Łucja czytała te naiwne sprawozdania, serce jej biło radośnie.

Fizycznie czuła się dobrze; przenikało ją poczucie energii i zdrowia, spotęgowanego jeszcze ruchliwą krzątaniną przy pracy. Mało miała wolnego czasu na rozmyślania, ale i tak musiała przyznać, że ból z powodu śmierci męża zmniejszał się stopniowo, chociaż chwilami nawiedzało ją straszne uczucie samotności i ogarniała tęsknota za nim. W tragicznym momencie jego śmierci czuła, że życie jej skończyło się, unicestwione przez tę stratę, teraz jednak postać Franka zaczęła odsuwać się do kręgu wspomnień, wyidealizowana przez nią - błędy jego zostały zapomniane, zalety wyolbrzymione - oglądana niewyraźnie poprzez blask, którym Łucja ją opromieniała. Z nieugiętą stanowczością Łucja nie pozwalała sobie rozmyślać o przyczynie jego śmierci. W pierwszym okresie do szaleństwa doprowadzała ją świadomość owego potwornego zbiegu wypadków, które doprowadziły do tragicznego zakończenia. Nie chciała jednak myśleć o tym. Nie chciała też myśleć o Annie. Wyrzuciła ją z pamięci całkowicie, nieodwołalnie. Mimo to siedząc czasem spokojnie, usiłowała przypomnieć sobie dokładnie twarz Franka - przymykała oczy i starała się ją zobaczyć - ale ze smutkiem stwierdzała, że przekracza to jej możliwości. Widziała jego twarz, ale nie żywą i rzeczywistą; była to twarz daleka, promienna, nieuchwytna. Jeden tylko szczegół uwydatniał się z niezmierną dokładnością: jego ręce, zwiotczałe i żółte, woskowo żółte, tak, jak leżały złożone na jego piersiach w trumnie. Często widywała te ręce, aż stały się dla niej niemal ucieleśnieniem wspomnień o mężu. Na ogół nie czuła się nieszczęśliwa, a jej pogoda ducha była nawet zdumiewająca. Poza tym panna Hocking okazywała jej na swój szczególny sposób

coraz więcej względów i Łucja często chodziła na wzgórze, by spędzić tam wieczór. Słuchała jej gry i nawet sama grała trochę na dobrym niemieckim fortepianie, którego głębokie tony tak bardzo przewyższały brzękanie jej pianina.

Jedna tylko myśl psuła jej nastrój zadowolenia. Mimo przyrzeczenia, Joe dotąd się nie pojawił, co wywoływało w niej pewien niepokój. Rachunek za koszty pogrzebu przesłano jej - rzecz oczywista - a opiewał na pokaźną sumę czterdziestu funtów, otrzymała też rachunek z kwaciarni, wprawdzie niewielki, lecz Joe uparł się, że on go zapłaci. Lubiła porządek - pomijając już uczciwość, zawsze zwykła płacić gotówką - irytowała się więc tymi rachunkami, wiszącymi jej nad głową. A w dodatku, zbliżał się szybko nowy kwartał i należało płacić za szkołę Piotrusia. Wszystko było oczywiście w porządku! Chociaż Joe był opieszły, to jednak nie przestała odnosić się do niego z zaufaniem. A jeśli nawet miała w tej mierze jakieś wątpliwości, to odzyskał jej zaufanie przez przysłanie podarku - może dziwnego, niemniej jednak cennego i hojnego.

Pewnego wieczoru o tajemniczej godzinie zmierzchu przyjechały na wozie ciężarowym trzy drewniane skrzynie rozmaitej wielkości. Od razu oświadczyła woźnicy, że nic nie wie o tej przesyłce, lecz on hardo przekrzywiając głowę powiedział, że pochodzą z Levenford, że przywiózł je na zlecenie Joego Moore - Wielkiego Joego z szynku "Koniczyna" i Zielonego Klubu piłkarzy. Wszyscy znają przecież Wielkiego Joego - a on sam często przewoził do szynku towary, które pan Moore sprowadzał od hurtowników z Glasgow.

Po odjeździe woźnicy patrzyła zdumiona na grubo ociosane skrzynki, psujące symetryczny porządek małego hallu. Następnie za pomocą pogrzebacza, zginającego się pod jej silnymi, lecz niezręcznymi uderzeniami, udało się jej otworzyć skrzynki. Słoma i papiery zaśmieciły wyczyszczone linoleum, ale wreszcie zobaczyła, co było wewnątrz. W pierwszej znajdowała się szynka z Belfastu, ogromna i brązowa jak udziec konia, w drugiej mieścił się tuzin ciemnych flaszek z nalepkami: "Królewski portwajn", trzecia wypchana była po sam wierzch bananami - pękami żółtych i aromatycznych bananów, przejrziałych, ociekających sokiem. Co, na Boga, pocznie z takim mnóstwem bananów? Niektóre były już jakby nadgniłe.

Widok takiego mnóstwa jedzenia i picia sprawił ją w osłupienie, zapierał dech, pojęła jednak powoli, że dar ten był wyrazem dobrych intencji i hojności.

Banany co prawda przysporzyły jej wiele kłopotu. Niezwłocznie posłała część zdrowych owoców Piotrusiowi, ale w miarę upływu czasu, wysiłki jej w celu zapobiegnięcia szybkiemu ich gniciu stały się coraz rozpaczliwsze. Był to szalony wyścig: im szybciej je spożywała, tym szybciej się psuły, im więcej ich zjadała, tym więcej jakby bananów wyrastało. Skłonne do oszczędzania serce Łucji było przerażone, ale jej trud okazał się daremny. Ostatecznie nabawiła się ogromnie przykrej niedyspozycji żołądkowej, a szczyt niepowodzenia oznaczała łagodna, lecz stanowcza odmowa panny Hocking nie chcącej przyjąć trzecie wiązki owoców.

Szynka stała się również źródłem prawdziwego rozgoryczenia. Łucja zaczęła ją stale jeść: na śniadania, a także na podwieczorek, ale wreszcie obrzydziło to jej tę tak bardzo lubianą dawniej wędlinę. Nie mogła patrzeć na nią bez wstrętu, jak chory na szkorbut marynarz zmuszony żywić się soloną wieprzowiną. Zapach smażonej szynki ani na chwilę nie opuszczał jej mieszkania: przylgnął do firanek niby trwała skaza, prześladował ją, w nocy musiała wstawać i pić wodę z powodu słonego smaku w ustach. Szynka ta stała się upiorem straszącym w jej spizarni.

Co do portwajnu, to długi szereg flaszek pozostał nietknięty - niepotrzebny, zatrwajający, niemal niesamowity.

Musiała sobie powiedzieć, że podarek ten niezbyt się udał. Mimo to nie można było wątpić o hojnej szczodrobliwości Joego. Czekala więc pełna otuchy, a pod koniec listopada otrzymała pocztówkę - jego zwykły środek porozumienia - którą zawiadamiał, że następnego dnia przyjedzie wieczorem na herbatę. Zadowolona, myślała, co by tu przygotować. Wiedziała o zdrowym apetycie Joego i co miał na myśli mówiąc o posiłku, który określił jako "herbatę". Miała poza tym ważny powód, żeby mu dogodzić. Wróciła więc wcześniej do domu, z przyjemnym pośpiechem przygotowywała wszystko, wyjęła swój najlepszy wykrochmalony obrus, elegancko nakryła stół i ugotowała smaczny posiłek. Wykonując tę od dawna zapomnianą pracę doznawała prawdziwej radości.

Część II (c.d.)

6 (c.d.)

W końcu wszystko było gotowe. Roznieciła ogień w saloniku i usiadła czekając. Płomień palił się jasno, a światło jego padało ciepłym blaskiem na jej twarz. Na dworze panował mrok, a wśród drzew szumiał wiatr.

Nagle w zadumę jej wniknął długi, znany dźwięk dzwonka. Wstała natychmiast, wyszła do hallu i otworzyła drzwi.

- Tak, tak, tak! - krzyknął Joe od progu. - Oto jesteśmy we własnej osobie.

Miał na sobie gruby włochaty płaszcz, kapelusz zsunięty na tył głowy, cała jego postać tchnęła pogodną dobrotliwością.

- Ciekaw byłem, czy dostałaś w porę moją pocztówkę. Nagle przyszło mi do głowy przyjechać... Tak mi jakoś strzeliło do głowy.

Uścisnął jej rękę, a palce Łucji utonęły w jego wielkiej, miękkiej dłoni. Następnie z pewnym wysiłkiem wyłuskał się z płaszcza, hałaśliwie umieścił kapelusz na wieszadle, zatarł ręce i skierował się ku otwartym drzwiom saloniku.

- Wejdzże, Łucjo! - zawołał, jak gdyby on był gospodarzem. - Wejdz!

Weszła za nim.

- Ach! - krzyknął od razu - ładnie tu pachnie. Nawet umarłemu nabiegłaby ślinka do ust, zwłaszcza w taki zimny wieczór jak dziś. - I usiadł przy kominku szczerząc do niej zęby.

- Tak - odrzekła, a usta jej drgnęły lekko. - Pachnie twój podwieczorek. Właśnie go przygotowałam.

- Co ty mówisz! - krzyknął, szeroko otwierając oczy i wężąc z uznaniem. - Dalibóg, gdybym wiedział, co mnie tu czeka, byłbym cię już dawno odwiedził.

Wszystkie fałdki znikły z jego twarzy, która stała się momentalnie zamyślona i poważna. Potrząsnął krótko ostrzyżoną głową i rzekł uroczyście: - Nie, nie, moja droga. Chciałem tylko zostawić ci trochę czasu, byś się nieco uspokoiła i przyszła do siebie. Mnie co prawda też było ciężko oswoić się ze stratą mojego biednego brata.

Potrząsnął głową, wciągnął powietrze w szerokie nozdrza, następnie wierzchem ręki przesunął po nosie. Był to jego charakterystyczny gest, którym często kończył zdanie, jak gdyby w ten sposób chciał odsunąć od siebie wzruszenie, wywołane własnymi słowami.

Znów się uśmiechnął. - Łucjo, przyzwyczajasz się powoli, prawda?

- Tak, chyba.

- To dobrze! Ach, myślisz, że nie wiem, jak to trudno? Czyż sam nie byłem w tych samych opałach? Czyż nie wiem, co to znaczy stracić towarzysza? Gdy śmierć zabrała mi moją Katie, byłem całkiem zdruzgotany. No tak, przecież jesteśmy tylko ludźmi, prawda? Powiedziałaś, że herbata gotowa?

- Tak - odrzekła - i powiedz, na co masz ochotę. Nie znam twego gustu dokładnie, więc przygotowałam jajka z bekonem. Ale może wolisz smażone kotlety? Jak chcesz. Wszystko gotowe w piecyku.

- Bekon z jajami lub kotlety - powtórzył w zamyśleniu, wydał gruby policzek i potarł go dłonią głośno, głowę obrócił w stronę stołu. - Bekon z jajami i kotlety. To miło brzmi i, bierz mnie licho, pachnie też przyjemnie. - Cmoknął wargami, co zabrzmiało jak trzask bata, i dodał powoli: - A gdyby tak jedno i drugie, skoro nie możemy się pogodzić?

- Oczywiście - przytaknęła. Pragnąc mu się przypodobać, udała, że się zachwyca jego dowcipem i od razu wybiegła do kuchni, by przynieść jedzenie.

Gdy wróciła z półmiskiem bekonu, kotletów i jaj, pryskających jeszcze tłuszczem, stała plecami do kominka, z podniesionymi połamami surduta i grzał tylną część ciała.

- Siadaj, proszę! - powiedziała stawiając półmisek na stole. - Siadaj, póki gorące.

- Łucjo, na wszystkich świętych! - mówił podchodząc do stołu. - To mi się podoba. Ten tłuszczyczek błyszczy tak, że mógłby obudzić apetyt w umarłym, przysięgam! Rozumie się, że już siadam. Niech się tylko wezmę do roboty, a wyliżę ten półmisek do czysta.

Osunął się na krzesło, pochyliwszy półmisek nad talerzem nałożył sobie porządną porcję, posmarował kilka kromek chleba i zaczął jeść. Po kilku kęsach poruszył się niespokojnie, podciągnął rękawy, podrapał się pod pachą i spojrzał na nią.

- Wiesz co - powiedział - jestem prostym człowiekiem, tak wściekle przyzwyczajonym do spożywania posiłków bez surduta, że nie czuję się swobodnie w tym ubraniu. Czy nie sprawiłoby ci różnicy, gdybym urządził się wygodniej jak u siebie w domu?

- Oczywiście, że nie - odparła starając się nie zdradzać z wahaniem. - Nie zrobi mi to różnicy. - Ale ta niezwykła prośba prawie ją przeraziła.

Skinął głową z wdzięczności, wstał, zdjął surdut i usiadł znów do stołu, ze wzmożonym apetytem zabierając się ponownie do jedzenia. Łucja, siedząc na drugim końcu stołu, przyglądała mu się w milczeniu. Widok tego tłustego mężczyzny bez surduta, jedzącego przy jej stole, wywołał w niej dziwne uczucie po tylu tygodniach samotności. Nigdy nie widziała podobnej żarłoczności, podobnego zachwyty, podobnej radości z każdego kęsa. Kiedy ściągał z widelca olbrzymi kawał mięsa albo oblizywał z noża odrobinę jajka, albo żuł wykrzywając się przy tym, robił to z tak jawną rozkoszą, iż zdawało się, że proces jedzenia nabiera jakiegoś wzniosłego znaczenia. Jadł z takim apetytem, że twarz promieniała mu głębokim zadowoleniem. Nie mówił dużo, między jednym kęsem a drugim opierał na stole nóż i widelec, patrzył przed siebie, żując dokładnie, by delektować się smakiem potraw.

Wreszcie jednak skończył. Ze szczękiem opuścił na talerz nóż i widelec, wysączył do dna czwartą filiżankę herbaty, miękiszem bułki wytarł z półmiska resztki sosu, powoli włożył do ust, oblizał palce, rozparł się wygodnie, westchnął i rzekł:

- To najlepszy posiłek, jaki jadłem od niepamiętnych czasów, Łucjo. Przed twoim gotowaniem mogłaby się Polly skryć do mysiej dziury. Powinniśmy cię mieć w naszej gospodzie.

Zamglonymi oczyma spojrział na nią prosząco, ale Łucja powiedziała stanowczo:

- Joe, przecież omówiliśmy już to wszystko.

- Oczywiście, oczywiście. Pragniesz niezależności - zgodził się uprzejmie, dłubiąc w zębach paznokciem wielkiego palca. Potem wyjął go z ust, głośno cmoknął językiem, wstał i przeniósł się na fotel przy kominku. - Myślę, że mogłabyś się jeszcze nad tym zastanowić.

Powiedział to z miną doświadczonego światowca, który zezwalając na ten jej kaprys wbrew swemu przeświadczeniu, dowiedzie jednak w końcu, że sąd jego był słuszny.

Rozparłszy się w krzesło, wyciągnął fajkę i dobrotliwie zmienił temat rozmowy:

- Tak, fajka i kieliszek wprowadzają mnie w dobry nastrój.

Łucja sposepniała nagle. Mimo troskliwych przygotowań o czymś jednak zapomniała.

- Nie wiem, czy mam w domu bodaj kroplę whisky - rzekła zakłopotana. Ale zaraz twarz jej się rozpogodziła. - Och, co się dzieje z moją pamięcią? Zapomniałam o twoim portwajnie.

Gdy jednak skierowała się w stronę kredensu, powstrzymał ją spojrzeniem.

- Nie - zaprotestował - to nie dla mnie. To napój dla dam. - Kilkakrotnie potrząsnął głową. - Mojemu żołądkowi służy tylko mocny trunek.

Milczała, wyczuwając z jego zachowania, że nie sprostała wymogom gościnności. W końcu z pewnym zakłopotaniem oświadczyła:

- Mam jeszcze trochę koniaku kupionego kiedyś dla Franka. Czy zechcesz go spróbować?

- Oczywiście - przytaknął zataczając fajką wymowny łuk.

Poszła do apteczki domowej w swej sypialni i zaraz wróciła z długą zieloną flaszką - nalepiona była na niej niebieska etykieta - do połowy napełniona alkoholem. Biorąc ją z jej ręki, Joe współczująco skrzywił usta.

- Biedaczysko! Więc to jego koniak. - Powiedział smutno. - I trzy gwiazdki, u kaduka! Najlepsza marka! - Zamilkł i uderzył się po nosie. - Ano, przecież nie ma sensu marnować tego. Frank już nie wypije, biedak. Masz jaki kieliszek? Możliwie duży.

Uporawszy się z pierwszym kieliszkiem, wskazał Łucji krzesło obok swojego i nie wyjmując fajki z ust zapytał:

- Moja droga, i jakże ci idzie?

- No, w każdym razie zaczęłam coś robić - odparła natychmiast, siadając.

- Zaczęłaś, rzeczywiście! - odrzekł patrząc na nią żartobliwie. - A jak długo potrwa ten początek?

- Sądzę, że jak długo zechcę.

Wybuchnął gromkim śmiechem i uderzył się po udzie.

- Łucjo, będziesz ostatnim gwoździem do mojej trumny. Pomyśleć, że takie małeństwo zabiera się do podobnej roboty! Doprawdy, koń by się uśmieł.

Nie wiedziała, jak ma przyjąć te dobronuzne drwiny, a pragnąc ukryć oburzenie, niewątpliwie widoczne na jej twarzy, pochyliła się nad koszyczkiem i wyjęła popielaty szalik, który właśnie robiła dla Piotrusia. Wyciągając gładkimi palcami włóczkę i zabierając się powoli do roboty, rzekła:

- Ty uważasz to, widać, za żart.

- Ach, powinnaś sobie wybić z głowy ten interes - powiedział pobłaźliwie. - Czyż nie możesz Wielkiemu Joemu pozostawić troskę o siebie?

Gdy mówił, ona przypomniała sobie owe nie zapłacone rachunki spoczywające w osobnej szufladzie biurka i gorąco pragnęła, by jego rozrzutność w słowach przybrała formę bardziej uchwytą.

- Piotruś robi doskonałe postępy - ośmieliła się zauważyć, nadając rozmowie pożądany kierunek.

- To dobrze! - rzekł. - Dobrze dla chłopca.

Była przekonana, że teraz niewątpliwie zacznie mówić o wziętych na siebie zobowiązaniach, ale on, nalawszy sobie drugi kieliszek koniaku, skierował oczy na kłębek i chytrze, właściwie bez związku, spytał:

- Czy dla mnie zrobisz też kiedyś parę skarpetek?

Jego słowa sprawiły jej przykrość, mimo to uśmiechnęła się, pochylona nad drutami.

- Oczywiście. Zrobię ci pół tuzina.

- Naprawdę? To wspaniale. - Był uradowany. - Niewiele wprawdzie chodzę, więc nie drę, ale nadmierne pocenie się nóg wypala całe dziury.

Zaczerwieniła się, słysząc te jego obrzydliwie wulgarne słowa. Zachowanie Joego - tak różne od powściągliwości jej męża lub nieśmiałego Edwarda - wywołało w niej dziwne uczucie przymusu. Starła się jednak usprawiedliwić jego gruboskórność szczerą prostotą.

- Robię szalik dla Piotrusia - powiedziała.

Alkohol przyjemnie rozgrzał Joego, nie zwrócił więc uwagi na jej słowa.

- Łucjo, wiesz przecie, że jestem człowiekiem, który coś osiągnął - oświadczył ze śmiechem. - Jestem prostym człowiekiem, ale urządziłem się doskonale. Nie, nie wypieram się, dorobiłem się majątku i zdobyłem nie lada pozycję. Gdy idę ulicą, ludzie mówią: "Patrzcie, idzie Wielki Joe Moore". Wielki Joe, dalibóg. Tak mnie nazywają!

Skończył pić, wydał pierś i założył ręce na wielkim brzuchu.

- Nie uważasz, że za ciepło jest w pokoju? - spytała zakłopotana, odsuwając swoje krzesło od ognia.

- Ale powiadam ci, jestem samotny - ciągnął. - Tak, jestem człowiekiem samotnym, całkiem samotnym, a choć jestem dumny, to mogę ci powiedzieć, że dla takiego wielkiego chłopca jak ja nie jest to łatwą rzeczą.

Usta wykrzywił w grymasie współczucia dla samego siebie. Potrząsnął wielką głową na boczny karku i pragnąc powiedzieć coś, niespokojnie kopał butami kratę kominka.

- Tak, Łucjo, jesteś ładną kobietką - podjął na nowo, patrząc na nią ukradkiem. - Mój biedny brat miał oczy w głowie, kiedy cię odkrył. Życzyłbym sobie takiego szczęścia, jakie miał Frank, ale moja Katie - Panie, święć nad jej duszą - wychudła jak szczapa, zanim zasnęła w Panu. Ano, nie ma Franka i nie ma mojej Katie, ale my jesteśmy! Ty i ja zostaliśmy sami.

Rzuciła mu spojrzenie pełne udręki. Widok Joego - bez surduta, na krześle, na którym zwykle siadywał jej mąż - znajdującego się tuż obok, wywołał w niej nagłe nieprzyjemne uczucie przerażenia, spływającego dreszczem wzdłuż pleców. Skrępowana spojrzeniem Joego, dziwnie zażenowana spuściła dwa oczka w robocie i niezręcznie usiłowała je podnieść.

Widziała, że obawy stawiają ją w śmiesznej sytuacji wobec człowieka, który przez jej małżeństwo z Frankiem stał się jej bratem. On musiał zauważyć jej zmieszanie, ale z ordynarną pewnością siebie mówił dalej.

- Musisz wiedzieć, że nie jestem inteligentem. Jestem po prostu Joem Moore, szynkarzem. Być może, że mam w gębie niezdatny język, ale nie ma we mnie żadnego fałszu i szczerze cię lubię, Łucjo, tak mi Panie Boże dopomóż. Spodobałaś mi się od pierwszego wejrzenia i w dalszym ciągu będę cię miał na oku.

- Jestem ci bardzo wdzięczna, tak, z pewnością... - zaczęła szybko.

- Ach! Na to jeszcze dość czasu - przerwał jej. - A czy teraz nie czujesz nigdy braku mężczyzny w domu? Mógłbym często przyjeżdżać do ciebie.

Wciąż jeszcze nie orientowała się, do czego zmierza; gorące spojrzenia Joego sprawiały jej gwałtowną przykrość, ale prawdziwe znaczenie słów jego było zbyt niewiarygodne, by od razu mogła je pojąć... Trwała w sztywnym milczeniu, które on - straciwszy zupełnie głowę - tłumaczył sobie na własną korzyść. Chociaż zamierzał postępować ostrożnie, w tej chwili, objedzony i opity, poczuł gwałtowny przypływ żądy. Wiedział, że Łucja jest zależna od niego, widok jej zgrabnej postaci tuż obok, twarzy zarumienionej od blasku ognia i jego natarczywego spojrzenia działał na niego podniecająco. Oddech Łucji stał się nieco szybszy, piersi jej podnosiły się i opadały miarowo. Joemu zaschło w gardle. Przechyliwszy się naprzód, położył rękę na jej kolanie.

- Jesteśmy tylko ludźmi, Łucjo, prawda? - rzekł zdławionym głosem. - Ty i ja moglibyśmy się przecież pokochać.

Ruch jego ręki, więcej jeszcze niż jego słowa, przeraził ją... Skóra na niej ścierpła, poczuła nagle skurcz w gardle. Druty wypadły jej z rąk na podłogę.

- Co to ma znaczyć? - zawołała. Odepchnęła jego dłoń, ale on tymczasem pochwycił ją za przegub ręki. Wyrwawszy się wstała, a usta jej były tak samo blade jak twarz. Z trudem łapała powietrze.

- Czemu uciekasz? - spytał przymilnie, wstając niepewnie.

- Przestań! - krzyknęła ostro.

Oczy jego wpatrywały się w nią spod gęstych obwisłych brwi niby oczy łaszącego się psa. Gdy do niej podchodził, uświadomiła sobie nagle, że są w domu sami i jakby w dręczącym śnie pojęła teraz, czego od niej żądał.

- Nie oburzaj się - rzekł zdławionym głosem, usiłując uśmiechnąć się, ale gdy do niej podchodził, rysy jego zastygły w grymasie pożądania. - Zaopiekowałbym się tobą, moja droga.

Cofała się, aż uderzyła się o stół i ręką, wyciągniętą w obronie, przewróciła pustą szklankę. Chwyliła ją z zimną wściekłością i w milczeniu spojrzała mu w oczy.

- O co ci chodzi? - spytał.

Był teraz tuż obok niej. Widziała drganie jego policzka i drobne krople potu na czole. Czowała, że kolana uginają się pod nią, a pokój zaczyna wirować przed oczami. Nie była przerażona, lecz sparaliżowana gniewem i oburzeniem.

- Co to ma znaczyć? - syknęła przez zęby.

Zatrzymał się. - Och! bądź spokojna - mruknął. - Zawsze cię lubiłem. Moglibyśmy się doskonale porozumieć i nikt by się nie domyślał... - zawahał się.

Spojrzała na niego lodowato, nagle porwała ją nieprzytomna złość. Nie wystarczyło jej, że się zawahał. Z całą siłą zamierzyła się i strzaskała szklankę o jego wyszczerzone zęby. Dziki, radosny dreszcz przebiegł ją po tym ciosie.

Ogłuszony i wytrzęzwiony Joe niezgrabnie podniósł rękę do okaleczonych ust. Jej ręka również zaczęła krwawić, chociaż Łucja nie czuła bólu. Nagle odwróciła się szybko, stanowczym krokiem wyszła z pokoju i otworzyła drzwi wejściowe. Stała na progu oświetlonego hallu, drząc z zimna, a oczy jej błyszczały zacieklą, płomienną złością. Czekwała chwilę, która wydała się jej nieskończenie długa. Płomień gazu migotał nad jej odsłoniętą głową. Wreszcie w hallu rozległy się kroki Joego, usłyszała, że włożył płaszcz, kapelusz i wyszedł powoli. Spojrzał na nią. Chusteczka, którą trzymał przy ustach, niemal zasłaniała mu twarz, ale dziwnie żalosna uraza widniała w jego małych oczkach.

- Po co to zrobiłaś - wymamrotał zduszonym głosem spoza chusteczki. - Mogłaś przecież powiedzieć, co było do powiedzenia, a nie robić tego.

Teraz nie czuła już lęku, lecz gwałtowną nienawiść do tej tępej, ordynarnej gęby.

- Skończyłeś? - spytała oziębłe.

- Nie chciałem przecież nic złego - mruczał.

Milcząc patrzyła na niego. Następnie chłodno i wyraźnie powiedziała:

- Zrobiłam to, żebyś się raz na zawsze odczepił.

Patrzył na nią przez chwilę, po czym oczy jego napełniły się łzami. Nie rzekłszy słowa odwrócił się i ociężale odszedł ścieżką ogrodową.

Po jego odejściu wróciła do hallu, zatrzasnęła drzwi, zaryglowała je i oparła się o nie. Ogarnęło ją niezmiernie wyczerpanie. Nie czuła ulgi, lecz straszliwe obrzydzenie, była wprost chora. Zaskoczenie, wstrząs, obelga, to wszystko razem przejęło ją gniewem i wstrętem. Nie potrafiła nawet płakać. W pokoju było duszno od dymu. Powoli otworzyła okna wystawiając twarz na chłodny powiew wiatru. Jej wielkie ciemne oczy patrzyły w mrok nocy, następnie odwróciła się, a oczy jej były posępne, jeszcze ciemniejsze niż zwykle, spojrzała na stół, na którym wciąż jeszcze stały resztki godnej pożałowania uczyty dla Joego. Widok ten przejął ją wstydem. Zadała sobie tyle żarliwego trudu, by mu dogodzić! Ze wstrętem przypomniła sobie, jak się opychał. Brat Franka! Frank miał słuszność! Życie wydało się jej nagle pozbawione wszelkiej wartości.

Przez długą chwilę patrzyła zamyślona w dogasający ogień, następnie poczuwszy chłód zamknęła okno i położyła się do łóżka. Nie potrafiła jednak zasnąć.

Zdrzemnęła się w końcu, ale niedługo potem oprzytomniała nagle i siadła przerażona. Raptownie uświadomiła sobie daleko idące następstwa tego nieodwołalnego zerwania z Joem.

Nazajutrz uregulowała wszystkie nie zapłacone jeszcze rachunki - owe rachunki, które zobowiązał się zapłacić Joe, i które właściwie przez niego urosły tak znacznie. Nie czuła się moralnie odpowiedzialna za nie, w przeciwnym razie byłaby je już dawno uregulowała, teraz jednak dumnie wzięła na siebie te zobowiązania i z gorzkim humorem uiściła całą należność. W rezultacie kapitał jej wynosił niecałe czterdzieści funtów, ale obecny nastrój nie pozwalał jej się zastanawiać, czy ta kwota jest mała, czy duża. Brudne sprawy pieniężne były niczym w porównaniu z jej obrażoną dumą.

Uregulowanie tych rachunków przyniosło poniekąd ulgę jej zranionej dumie - uczuła się pomszczona - mimo to pozostało w niej straszliwe rozgoryczenie. Chwilami jednak wracały wspomnienia owej odrażającej sceny, w dzień musiała wtedy przerywać pracę, w nocy spędzały sen z jej powiek, przewracała się niespokojnie na łóżku drżąc ze wstrętu. Po jednej takiej nocy postanowiła zawiadomić Edwarda o zachowaniu Joego. Wzburzona, z zaciśniętymi ustami, napisała długi list, przepojony goryczą. Podarła go jednak i strzępki rzuciła w ogień. Nie, nie poniży się do tego stopnia. Milczenie uznała za broń najostrzejszą!

Ale mimo nadrabiania miną przeżywała chwile głębokiego przygnębienia. Przez następny tydzień czas włókł się rozpaczliwie, a w sobotę, wracając do domu pociągiem o pół do pierwszej, czuła się znużona i przybita. Gdy wysiadła w Ardfillan, zobaczyła pannę Hocking, która w sportowym kostiumie stała na peronie jak posąg, najzupełniej nie zwracając uwagi na zamęt i wrzawę. Nagły, nieoczekiwany widok kogoś czekającego na nią wywołał na twarzy Łucji błysk ożywienia, z nietajoną radością zawołała:

- Czy pani wyszła na moje spotkanie?

Panna Hocking poważnie przytaknęła głową i powiedziała z naciskiem:

- Proszę iść! - po czym z miną jeszcze bardziej tajemniczą dodała: - Ze mną.

Łucja roześmiała się po raz pierwszy od szeregu dni.

- Chce pani uciec ze mną? - spytała podsuwając pannie Hocking zamiar uprowadzenia jej gwałtem.

- Może - z powagą odpowiedziała tamta. W sytuacji wesołej potrafiła być bardzo poważna, natomiast często i niespodziewanie wybuchała śmiechem, gdy sytuacja wymagała najgłębszej powagi.

- A zatem? - wesoło dopytywała się Łucja.

Jak to ładnie - myślała - że ta elegancka i miła kobieta wyszła mi na spotkanie.

- Allen! - oświadczyła panna Hocking z lakoniczną zwięzłością.

Poszły więc - a panna Hocking ze świadomą godnością prowadziła ją do restauracji Allena, która jednak nie była zwyczajną restauracją, ale wytwornym, a nawet sławnym lokalem. Całkiem odmienna od skromnych herbaciarni w Ardfillan, gdzie Łucja często jadła śniadania, restauracja Allena reprezentowała szczyt ówczesnej elegancji i sztuki kulinarnej. Były tam palmy, puszyste dywany, kelnerki w czepeczkach ze wstążeczkami, dystyngowana publiczność i ceny wcale nie umiarkowane. Orkiestry nie były wtedy jeszcze modne, inaczej Allen niewątpliwie zaangażowałby samego Mendelssohna!

Panna Hocking umiała poruszać się w takich lokalach, a Łucja, ulegając niejako magnetycznej sile jej majestatycznej postaci, została zaprowadzona do czarującego, dwuosobowego stolika, w pobliżu okna, pod zdumiewającą palmą o liściach w kształcie promieni.

Panna Hocking usiadła i zdjęła rękawiczki rozglądając się jak królowa. Natychmiast ukazała się kelnerka - jej powiewające przy czepku wstążeczki wydały się bacznie obserwującej wszystko Łucji urocze - ale Pinkie, nie patrząc nawet na kelnerkę, zaczęła zamawiać potrawy. Zaokrągliwszy elegancko mały palec, z wdziękiem dawała sobie radę z tajemniczymi terminami francuskiego jadłospisu. Jak to przyjemnie być traktowaną w taki sposób - pomyślała Łucja - w największym stopniu przyjemnie, zwłaszcza gdy się jest biedną kobietą, z którą w ostatnich czasach los obszedł się tak okrutnie. Całkiem niespodzianie ogarnął ją nagły poryw głębokiego współczucia dla samej siebie. Nieczęsto poddawała się obecnie takim nastrojom, ale bądź co bądź była jeszcze zdolna do nich. Traktowana

odpowiednio, była miękka i czarująca, w przeciwnym razie stawała się twarda i nieprzystępna jak zamknięta ostryga.

Teraz, po paru łyżkach kremowej zupy, przypominającej rosół z kurczaka, ale znacznie wytworniejszej w smaku, podniosła oczy i szepnęła:

- To doskonałe. - Uśmiechnęła się z uznaniem, rano zjadła śniadanie bardzo spieszenie.
- Ale nie wiem, czemu mam to przypisać.

- Mała uczta dla nas - odpowiedziała panna Hocking z widocznym zadowoleniem. - Często urządzam sobie taką ucztę. Fairy pozostawiam pod opieką Dick i wychodzę.

Łucja kruszyła bułeczkę. Dick - co za dziwny skrót! - pani Dickens była posługaczką panny Hocking, a Fairy to oczywiście tłusty fosterier.

- W każdym razie bardzo pani dobra, że mnie zaprosiła - rzekła powoli.

- Głupstwo! Po prostu głupstwo, moja droga!

Po zupie podano szparagi. Miękkie, zielonawe pędy, których zapach zlewał się z zapachem topionego masła, rozpływały się na języku, przypominając soczystość wiosny.

- Panienko, ta grzanka nie jest krucha! - wyniośle zawołała panna Hocking. - Całkiem miękka.

Łucja drgnęła. Kropelka masła spłynęła jej na brodę. Tak było przyjemnie! W głębi serca przeraziła się, czy nagła sprzeczka nie zakłóci harmonii chwili. Frank swego czasu lubił sprzeczać się z kelnerkami w lokalach pośledniejszych od tego. Ale ta kelnerka była grzeczna, w najwyższym stopniu grzeczna.

- Zaraz pani przyniosę inną. - I w okamgnieniu podała świeżą grzanekę.

- Należy trzymać je w ryzach - rzekła panna Hockin śmiejąc się, gdy dziewczyna odeszła. - Lubią, by je strofowano. "Poskromienie złościcy." Zabawne było, prawda?

Ja bym nigdy się nie odważyła - pomyślała Łucja, odpowiedziała jednak:

- Szparagi są doskonałe. - Jadła je, jak należy, delikatnie trzymając w palcach.

- Trochę za cienkie - rzekła tamta tonem życzliwie protekcyjnym. - W naszym ogrodzie hodowaliśmy znacznie grubsze. O tak, zapewniam panią! Jarzyny były zawsze u nas dorodne! To nie przechwałka, mówię, jak było. Zręcznie zmieniono talerze i podano ostatnią nowość - "krem bajeczny".

- Proszę wziąć więcej kremu - zachęcała panna Hocking rozmarzona - pani lubi słodczyce. Słodki jak miód. A ja jestem pszczoła.

Tak, Łucja przyznała, że lubi słodczyce, a ten krem przewyższał wszelkie oczekiwania. Był wspaniały, słodki jak panna Hocking w przypływie dobrego nastroju, a rozplywający się w ustach jak świeże, chłodne mleko, jak piana, osłodzona leciuchnym tchnieniem pierwiosnków, w jakiś niewiarygodny sposób zaczarowana w krem. Cudowne! Albo, jakby powiedział Edward: "Delicje!" Ostatnia łyżeczka wyrwała jej z piersi westchnienie nieopisanego zachwyty.

- Wielki Boże! - wykrzyknęła panna Hocking z udanym zdziwieniem, patrząc na swój piękny zegarek, zdobny w arabeski. - Spóźnimy się, jeśli się pani nie pośpieszy. "Oj, rety, rety - jakby powiedział Biały Królik - znowu za późno!"

- Za późno! - powtórzyła Łucja, a oczy jej rozszerzyły się ze zdumienia, gdy odstawiała próżną filiżankę po kawie, ale jej towarzysza już zapłaciła rachunek bardzo wspaniałomyślnie zostawiając szylinga dla kelnerki w czepeczku.

Gdy wyszły na ulicę, z zachmurzonego nieba zaczął siać deszczyk.

- Jaka szkoda! - rzekła Łucja - przeszłybyśmy się trochę.

Powrót do domu wydał się zbyt szarym zakończeniem takiego bankietu, ale po ruchliwej twarzy panny Hocking przemknął cień uśmiechu.

- Dzień jak zamówiony do wysłuchania koncertu - oświadczyła z miną, jak gdyby to ona zamawiała pogodę na całym świecie - a przypadkowo jest dziś koncert w Victoria Hall. Lehmann! - Ostatnie słowo po prostu zawibrowało w powietrzu.

Łucja nic nie powiedziała. Zrozumiała aluzję, ale wyczerpała słowa zachwyty. Wiedziała, że koncert ten - popołudniowy recital Lehmana - był niejako uwieńczeniem sezonu koncertowego w Victoria Hall. Czytała plakaty i miała wielką chęć pójść na ten

koncert. Jednak niedawno poniesiona strata była zbyt świeża, by myśleć o tego rodzaju rozrywkach, a oto panna Hocking, zabierając ją ze sobą, wszystko przygotowała i usankcjonowała! I oto, dzięki dwu sztywnym żółtym biletom w urękawiczonej ręce panny Hocking, zaprowadzono je na najlepsze miejsca w pierwszym rzędzie. Dokoła nich słychać było stłumione głosy dobrze wychowanej i kulturalnej publiczności - dźwięki muskające przyjemne uszy kobiety, która spożyła obiad u Allena i tak lubiła wytworne towarzystwo.

- Podobno jego ostatni występ - oświadczyła panna Hocking głośno chcąc spotęgować radość Łucji. W owym czasie Lehmann rozpoczął już swoje koncerty pożegnalne, które z teatralną emfazą miał dawać przez najbliższych lat trzydzieści.

- Nie wiedziałam o tym - szepnęła Łucja bardzo wzruszona. Następnie przyłączyła się do uprzejmych oklasków, gdy pianista wszedł na estradę i sztywno pochylił głowę, przyciskając do piersi krótką białą rękę. Rosły, silnie zbudowany mężczyzna, o płaskiej, bladej twarzy, okolonej puklami rzadkich ciemnych włosów, ruchy miał szorstkie, nieopanowane. Szybko odrzucił połę fraka i energicznie usiadł na taborecie. Następnie, wśród stłumionych szepców uznania, rozejrzał się powoli, nagle odrzucił głowę w tył, i zaczerpnąwszy natchnienia z wiszącego świecznika, zaczął grać.

Grał Chopina, a gdy jego silne palce z niewiarygodną delikatnością przemykały w polonezie A-moll, Łucja powstrzymywała oddech. Powietrze dźwięczało wokół drzeniem niewidzialnych strun. Przez pierwszą część programu siedziała jak w transie.

- "Tour de force" - spokojnie odezwała się panna Hocking podczas przerwy, wstając i rozglądając się wokoło - tak, zupełnie "tour de force".

Łucja z westchnieniem wróciła do rzeczywistości, przebiegł ją lekki dreszcz, oczy wciąż jeszcze płonęły zachwytem.

- Wprost cudowne. Nie rozumiem muzyki tak jak pani, ale... to było porywające.

- Technika, technika - mruknęła tamta, lornetując postać, kłaniającą się z estrady. - Mówią, że ćwiczy przez sześć godzin dziennie. Co za uderzenie, co za uderzenie! - Klaskała lekko końcami palców, przyłączając się do aplauzu słuchaczy, którzy uwolnieni teraz od pozowania na poważne zrozumienie artystyczne, nie musieli już udawać zapatrzenia w nieskończoność ani w głębokiej kontemplacji kryć głów w dłoniach, i energicznie bili oklaski.

- "Bravo! Bravissimo!" - krzyczeli co odważniejsi wielbiciele.

Lehmann pokazał publiczności, co potrafi, a teraz publiczność odwzajemniała się ukazując swój dobry smak, znawstwo i zrozumienie jego geniuszu. Ardfillan było miastem kulturalnym, niemal kosmopolitycznym w swym zamiłowaniu do sztuki.

Wrażenie Łucji było jednak instynktowne, nie udawane, i szczere. Gdy zaczęła się druga część programu, przymknęła oczy poddając się wzbierającej fali otaczających ją dźwięków. Czuła się oderwana od wszystkiego, samotna. Była w jaskini, w sklepionej pieczarze, rozśpiewanej wieczystą melodią olbrzymiej morskiej muszli, wciąż jeszcze szumiącej echem wyjącego wichru i huczących bałwanów. Poprzez te echa dobiegał dźwięk żywszy, usiłując wtargnąć do jaskini, chwilami się oddalał, następnie wracał głośniejszy, rozbrzmiewając z coraz większą natarczywością. Wtedy ujrzała dokładniej, stała na skale oblanej mętnym światłem i otoczonej wodami o zielonej przejrzystości. Jej własna postać była wieczna, pozaczasowa - coś w niej pragnęło połączyć się z ową siłą z zewnątrz, zbliżającą się do niej na wezbranej fali tonów. Coraz głośniejsze i głośniejsze przedarły się na koniec przez wąską szczelinę i podpłynęły ku niej niby grzywy spienionych bałwanów. Szumiąc, zbliżały się do niej w trzech wyraźnie odgraniczonych falach. Widziała, jak pierwsza z nich otoczyła skałę spienionymi jęzorami, druga, głośniejsza i potężniejsza, rozbiła się wściekle u jej stóp, trzecia, ostatnia, nadleciała z wściekłym hukiem zalewając grotę chaosem żywiołu, a gdy na koniec opadła, na skale nie było już postaci Łucji. Zielone wody uspokoiły się, a w ich opalizującym blasku niby błyskawice przemykały zwinne, fosforyzujące ryby. Z wolna i to znikło zakryte kurtyną wszechmilczenia.

Drgnęła i otworzyła oczy, niemal przerażona. Koncert się skończył.

- Myślałam, że pani śpi - rzekła panna Hocking z krótkim chichotem. - Zdaje mi się, że słyszałam chrapanie pani.

- Och nie! - zaprotestowała Łucja, czując łyzy w oczach. - Ogromnie mi się podobało, ogromnie. Zdawało mi się... nie wiem, jak to powiedzieć... że pragnę coś pochwycić, a nie mogę.

- Jaki to przystojny, okazały mężczyzna - rzekła tamta gdy wychodziły z sali. - A jednak nie mogłabym - znów zachichotała i językiem zwilżyła sobie wargi - nie mogę sobie wyobrazić, bym mogła go pocałować.

Szły ulicą w milczeniu. Wypogodziło się. Kilka wczesnych gwiazd błyszczało już wysoko wśród poszarpanych strzępów nieba.

- Nie wiem, jak pani podziękować - rzekła wreszcie Łucja trochę niezręcznie. - To popołudnie miało dla mnie tak wielkie znaczenie.

- Ach Boże, to przecież nic nadzwyczajnego! - Panna Hocking ujęła ramię Łucji ściskając je żartobliwie. - Mam nadzieję, że będziemy się teraz często widywać. Zresztą - zrobiła teatralną pauzę - oczekiwałam panią dziś umyślnie, ponieważ widzi pani... no, pragnęłam z panią pomówić.

- Naprawdę?

- Widzi pani - podjęła panna Hocking - my dwie jesteśmy niby dwa orzechy, klekoczące w oddzielnych łupinach.

Zmieszana tą malowniczą, lecz dość bezsensowną przerośnią, Łucja spojrzała na swą towarzyszkę zdumiona.

- Och, biedactwo! Proszę nie patrzeć w ten sposób! - natychmiast rzekła Pinkie. - Wygląda, jak gdyby pani myślała o niedorzecznie smutnych rzeczach: dziecko, zbłąkane w lesie... obraz Dorego. Ja także zacznę płakać!

- Zastanawiam się nad tym, co pani miała na myśli - uśmiechnęła się Łucja.

- Moja droga, miałam na myśli... tak, dawno już o tym myślałam. Obydwie jesteśmy same. Dzieli nas tylko kilka desek i trochę wapna, a tak być nie powinno. Jestem do pani bardzo przywiązana. Dlaczego nie przeprowadzi się pani do mnie, byśmy mieszkały razem?

Łucja szybko opuściła oczy, nastała chwila milczenia.

- Och nie wiem - powiedziała powoli. - Nie mogę myśleć o zwinięciu mojego mieszkania.

- Ależ moja droga - odparła panna Hocking z miną protektorki - przecież go pani nie potrzebuje. Przez cały dzień jest pani poza domem, a nasz mały góralczyk przebywa w

szkole. Przyjedzie do nas na wakacje. Tak, będzie mu u nas bardzo przyjemnie. Poza tym, proszę wybaczyć, ale chyba - dodała nadzwyczaj taktownie - zmniejszenie kosztów byłoby...

- Pani jest dobra... bardzo dobra, proponując mi to, ale chyba... nie mogłabym się zdobyć na coś podobnego.

- Głupstwo! Tak bardzo pragnę mieć panią u siebie.

Gdy panna Hocking wbiła sobie do głowy jakieś życzenie, dążyła do jego realizacji wesoło, z namiętą żarliwością dziecka, uganiającego się za motylem.

- No, proszę, proszę powiedzieć, że się pani zgadza! Tak, proszę to powiedzieć!

- Dobrze, zastanowię się - wymijająco rzekła Łucja.

Łucja nie miała zwyczaju odpowiadać wymijająco, lubiła jednak pannę Hocking, a w tej chwili zwłaszcza nie potrafiłaby jej dotknąć odmowną odpowiedzią.

- Przy tym - z afektacją dodała panna Hocking - Fairy też tęskni za panią. - Wysunęła to całkiem poważnie, jako argument. - A on zbliża się jedynie do ludzi prawdziwie sympatycznych, zapewniam panią. Takie kochane stworzenie!

Łucja znów się uśmiechnęła widząc entuzjazm swej towarzyszki. W ostatnich czasach pod wrażeniem niedawnego przeżycia zastanawiała się nad swoją samotnością: nad owymi chwilami w mroku nocy, kiedy dom wydawał się jej tak nieznośnie pusty, a obowiązki ciężące na niej były istotnie brzemieniem nazbyt ciężkim do dźwigania.

Na pół bezwiednie zaczęła zastanawiać się nad wysuniętą propozycją. Należało wziąć pod rozwagę oszczędności - ale nie, nie chce wyrzec się swego mieszkania, to mieszkanie z jej własnymi meblami było niejako opoką, na której się opierała. A jednak istniał motyw jeszcze silniejszy - tęsknota do towarzystwa. Lubiła pannę Hocking, widziała w niej prawdziwą damę, poznała już niejedną przejaw jej niezwyklej dobroci. Przyznawała, że jest ekscentryczna, zdawała sobie sprawę z owej dziwnie rozmarzonej, przesadnej, romantycznej kokieterii, będącej połączeniem godności i pustoty, której wynikiem było postępowanie równocześnie otwarte i skryte. Przedziwna mieszanina! Co za nią się kryło, tego Łucja nie wiedziała. Jedno i drugie było tak nieodłącznie związane z panną Hocking, że Łucja wcale się

nad tym nie zastanawiała. Tak, musiała przyznać, że Pinkie jest ekscentryczna, przyznawała to otwarcie, ale to jej nie odpychało.

- Spędziłybyśmy cudowne chwile - powiedziała panna Hocking. Miały się już rozstać, wchodząc razem na wzgórze. - Jaka szkoda, że musimy się pożegnać. Tylko parę desek i trochę wapna.

- Tak, przyrzekam pani, że się zastanowię - z uśmiechem rzekła Łucja na pożegnanie.
- I jeszcze raz dziękuję za dobroć.

Rozstały się przyjaźnie i każda ruszyła ku własnej "łupinie".

A Łucja istotnie rozmyślała nad tą propozycją, chociaż naturalnie nie od razu powzięła decyzję. Z wrodzoną przezornością roztrząsała tę sprawę w myślach, biorąc pod uwagę wszystko, co przemawiało za i przeciw proponowanej zmianie. Aż tu w dziesięć dni po pierwszej propozycji - powtórzonej następnie kilkakrotnie - zdarzyło się coś, co wywarło na niej silne wrażenie i pchnęło ją do powzięcia ostatecznej decyzji.

Owym decydującym czynnikiem były odwiedziny Polly. Tak, Polly przybyła pewnego wieczora, spocona, lekko zadyszana od wchodzenia na piętro, wystrojona w swoją najpiękniejszą garderobę: w futrzanym płaszczu, w kapeluszu z piórami, w ciężkich koralach z dżetu, w zapiętych do połowy bucikach. Mimo to wszystko wyglądała niechlujnie jak handlarzka ryb i wbrew całej gadatliwej dobroduszości była zdenerwowana. Łucja przyjęła ją oziębło. Polly nie zrobiła jej nic złego, na zlecenie Joego przybywała jednak z obozu nieprzyjaciela, by dowiedzieć się, "co w trawie piszczy", wobec czego jej wysiłki, by się zachować subtelnie, były równie śmieszne, jak jej rozpaczliwy strój.

- Szef chciałby się dowiedzieć, co się z tobą dzieje - rzekła Polly po długiej paplaninie wstępnej. Nieraz, w przyływie niewczesnej wesołości, nazywała Joego "szefem".

- Och! - Łucja nie zamierzała iść na żadne kompromisy.

- Czy widziałas się ostatnio z Neddym? - Tak nazywała wielbnego Edwarda Moore.

- Nie - odrzekła Łucja jeszcze bardziej nieprzystępnie.

Polly spojrzała z wyrazem ulgi. Co podejrzewała, o tym Łucja nie miała się nigdy dowiedzieć, ale to pewne, że coś podejrzewała, a była całkiem wyraźnie posłanką, dążącą do pojednania, do naprawienia nadwerżonej opinii Joego.

Wysłanie jej tutaj było tak dla niego charakterystyczne. Joe nie potrafił być konsekwentny, nawet w tym! Zapewne trochę sobie popłakał, i uspokoił swoje sumienie wysyłając siostrę jako rozjemczynię. Łucja zacisnęła usta. Jak gdyby w ogóle mogła znieść jego widok po tym, co się stało!

- Czemu nie pozwolisz, by szef ci trochę pomógł? - mówiła Polly. - Dobry chłop z niego. Spójrz, co zrobił dla mnie.

Potrząsnęła piórami kapelusza i wymownie pogładziła futro.

- Kosztowało dwadzieścia funtów, ani pensa mniej, a wszystko kupił i zapłacił mój brat.

- Tak?

- Ach! Trzeba tylko umieć żyć z nim w zgodzie, a wszystko da ze sobą zrobić. Nie można go drażnić. Hojnie rozdaje pieniądze, kiedy jest w dobrym humorze. Tak, tak, Łucjo, ty jesteś zanadto sztywna.

- Z pewnością zasługuję na ten zarzut - przytaknęła Łucja z gryzącą ironią.

Polly rzuciła jej podejrzliwe spojrzenie.

- Otóż mam dla ciebie zaproszenie, byś przyjechała do nas, osobiste zaproszenie od samego Joego, a jeśli nie jesteś zbyt wyniosła i dumna, to je przyjmiesz. Co do mnie, jestem przekonana, że Joe chce dla ciebie sięgnąć do kieszeni, więc byłabyś idiotką, gdybyś nie przyjechała.

Łucja wydeła usta.

- Wolę być idiotką - odparła pogardliwie.

Polly znów wlepiała w nią oczy, ściągając poły płaszcza, opadającego w szerokich, niezgrabnych fałdach, co podkreślało jeszcze jej nadmierną otyłość.

- Niewątpliwie jesteś idiotką - rzekła powoli, wstając. - Jesteś taką doskonałością, że nie widzisz własnej korzyści. Gdybyś tylko miała trochę oleju w głowie, mogłabyś przyjechać i zostać z nami.

- Żałuję - wyrzuciła Łucja, ulegając chwilowemu impulsowi. - Mam inne plany. Zostałam zaproszona przez pewną damę, prawdziwą damę, by z nią zamieszkać.

- Co, co? Zostałaś zaproszona? - W słowach jej brzmiało na pół złośliwe zdumienie.

- Możesz zatem powiedzieć swemu bratu, że nie potrzeba mi jego wspaniałomyślniej pomocy. Nie! - Łucja parsknęła krótkim, pogardliwym śmiechem. - Ostatecznie nie będę musiała zamieszkać z wami nad szynkiem.

Polly nie zrozumiała wcale ironii tego powiedzenia, lecz śmiech Łucji wywołał na jej czerwonej twarzy jeszcze bardziej płomienny rumieniec.

- Prawdziwy cud, że w ogóle weszłaś do naszej rodziny - oświadczyła kiwając potarganą głową. - Zdaje ci się, że jesteśmy śmieciem pod twoimi nogami!

- Wysłałam za Franka Moore'a - ostro odcięła Łucja. - A on był dżentelmenem.

- Och! Nie różnił się tak bardzo od Joego! - złośliwie odparowała Polly. - Dość uganiał się za dziewczętami, kiedy był młodszy. Mogłabym opowiedzieć niejedno, gdybyś tylko chciała posłuchać.

Delikatne nozdrza Łucji rozděły się, a w oczach jej zamigotał zimny błysk.

- Precz z mojego domu! - wycedziła lodowato. Rozpłomieniona gniewem, była trochę teatralna, lecz nie zdawała sobie z tego sprawy. Chciała pozbyć się tej wstrętnej, ordynarnej baby, więc bez skrupułów kazała jej się wynosić. I rzeczywiście Polly mruczając coś pod nosem skierowała się ku wyjściu zniewolona twardym spojrzeniem Łucji.

Łucja miała przeto wrażenie, że los tak zrządził, by przyjęła propozycję panny Hocking. Nie było to jednak zrządenie losu, los nawet nie dotknął szali, by skłonić ją do tej decyzji, to ona sama i tylko ona sama w ten sposób ukształtowała dalsze koleje swego życia. Powiedziała Polly, że się przeprowadzi, więc zrobi to, a po dokładniejszym namyśle nie miała ochoty cofnąć swojej decyzji. Nazajutrz po wizycie Polly oświadczyła pannie Hocking, że

zgadza się na jej propozycję, co tamta przyjęła z zachwytem. I to z jak wielkim zachwytem! Cechujący ją zazwyczaj optymizm powiększył się jeszcze. Entuzjazmowała się szczęściem, jakie zmiana ta przyniesie im obydwu, nalegała na Łucję, by wyraziła swoje bodaj najdrobniejsze upodobania, dotyczące urządzenia pokoiów i kuchni, na znak radości kazała służyć psu. Wszystko było niezmiernie wesołe i zabawne!

Początkowo Łucja nosiła się z myślą zatrzymania swego domu i wynajęcia go wraz z urządzeniem: byłoby to pożądanym, dodatkowym źródłem jej dochodów, ale administrator zarządzający willą okazał się nieugięty. Ponury i nieugięty! Nigdy nie zdarzyło się coś podobnego i nigdy na to nie pozwoli w punkcie tak wytwornym jak Ardmore Road. Napomknął jednak, że z łatwością będzie można rozwiązać z nią wcześniej umowę i znaleźć innego lokatora, gdy dom zostanie opróżniony.

Stała więc wobec konieczności sprzedania swych mebli. Oddanie do przechowalni nie wchodziło w rachubę, ze względu na znaczne koszty, a mieszkanie panny Hocking nie mogło pomieścić dwóch urządzeń. Łucja niemal się zawahała. Był to krok decydujący, a ona zdawała sobie sprawę z jego nieodwołalności. Mimo to potrzeby najbliższej przyszłości były bardziej naglące od późniejszych, a Piotruś będzie przecież jeszcze przez pięć lat przebywał w szkole. Poza tym rozważyła już wszystko, postanowiła i nie cofnie się.

Meble zostały przewiezione do miejscowego sklepu i bez licytacji sprzedane z wolnej ręki przy pomocy pośrednika. Gorzki ból sprawiło jej wyzbycie się tych dobrze znanych sprzętów, które czas i używanie uczyniły jej bezwzględna własnością. Kiedy oboje z Frankiem kupowali je tak radośnie - przypomniawszy sobie optymistyczne nadzieje owego dnia, zasadniczą rozmowę z panem Gow, dotyczącą zalet dębu i mahoni, swoją własną powagę, ukradkowe, wesołe spojrzenia rzucające Frankowi - tak, w ciągu tych wszystkich lat, czyszcząc je z radosną dumą właścicielki, czy pomyślała, kiedykolwiek, że w ten sposób przyjdzie się rozstać z nimi? A przy tym dostała tak niewiele - marną sumę, niewiele ponad trzydzieści funtów!

Zatrzymała kilka przedmiotów: szafę, obraz należący kiedyś do jej matki, bujający fotel ze swojej sypialni, na którego zaokrąglonej poręczy jeszcze widniały niewyraźne ślady zębów Piotrusia, który wpił się nimi w drzewo, uczepiwszy się jej sukni.

I tak pewnego wieczoru w końcu stycznia, po raz ostatni szła po pracy promenadą do swego domu. Droga ta była całkiem zbyteczna - dom został tego dnia opróżniony - lecz w przyplýwie sentymentalizmu, któremu czasem ulegała, podjęła tę pielgrzymkę.

Weszła do małego pustego hallu. Dom, ogołocoony ze wszystkiego, wyglądał nago i obco, lecz jej wydawał się zaludniony przez widma przeszłości, pełen minionych najintymniejszych przeżyć, i dlatego posiadał dla niej dziwną godność.

Łzy rzuciły się jej do oczu. Tu kochał ją Frank, tu urodził się Piotruś, stąd, w przystępie uniesienia, szaleństwa wybiegła w ową mgłę, by unicestwić siebie, zdruzgotać swoją miłość - i zabić Franka.

Nagle zaczęła łkać bez opamiętania. Jak się mogło stać to wszystko? Odwróciła się i wyszła do ogrodu: z zamarzniętej ziemi, opancerzonej przed zimą, sterczało tylko parę łodyżek, martwych badyli, a młoda jabłonka - sucha, pokraczna karykatura drzewa - naga, nieruchoma, wyciągała rozpaczliwie do nieba dwie cienkie gałęzie. Kamyczki na ścieżce obmyte deszczem, wygładzone mrozem, lśniły białością - te kamyczki, które oboje z Frankiem zbierali i znosili, by nimi wysypać alejki.

Wreszcie ostatecznym wysiłkiem woli opanowała się, zamknęła dom i smutno szła przed siebie promenadą, z oczyma czerwonymi od płaczu.

Klucz zostawiła w biurze administratora i dziwnie wyczerpana weszła na wzgórze, a potem na schody wiodące do mieszkania panny Hocking przy Victoria Crescent. Przystanęła na chwilę przed drzwiami, po czym powoli weszła.

Mieszkanie panny Hocking było urządzone artystycznie. Zamiast tradycyjnych bukietów róż czy niezabudek z wstążeczkami - zielonawe tapety koloru rezedy, doskonale harmonizujące ze sztychami Burne Jonesa i portretami kobiet Rossettiego, które z podniesionymi podbródkami i zmysłowo zarysowanymi ustami spoglądały blado z twardych dębowych ram. W ogóle wszystkie meble - niewątpliwie odziedziczone po przodkach - były w dobrym guście i nosiły wszelkie znamiona prawdziwych antyków. Łóżko panny Hocking było szerokie, o czterech kolumnach, z historyczną godnością rozpościerające swój baldachim. Ale stały też z boku nowsze rzeczy - etażerka, półeczka na nuty, kilka zabawnych drobiazgów, świadczących o zainteresowaniu nowoczesną sztuką dekoracyjną.

W salonie fortepian, na którym nie stały fotografie, okryty był jedwabnym szalem z frędzlami, a wiolonczela, oparta o półkę z nutami niby hulaka przy bufecie, swym romantycznie niedbałym wyglądem pasowała do tego szala. Mimo to nie było tu nic niechlujnego, nic, co by przypominało cyganerię. Obraz Holmana Hunta wiszący na ścianie surowo tego zakazywał, wprowadzając niemal pobożną surowość.

Były też książki - całe mnóstwo książek nie odziedziczonych i jeszcze nie rozciętych, leżących na stole i zdradzających skłonność właścicielki do tak charakterystycznego dla tej epoki dyletantyzmu.

Poza tym w kącie stały całkiem bezwstydnie sztalugi, a na kominku - czary z wonnościami. Nie było tu małomieszczańskiego fikusa, lecz smukłe pędy kobei, osuwając się z bambusowej półki, wprowadzały delikatny akcent tak modnej wówczas zieleni. Zieleń była dominującą barwą mieszkania, a także panna Hocking - o ile nie była w sportowym kostiumie - lubiła ten kolor i chodziła w zielonych powłóczystych sukniach z szerokimi rękawami, z materiałów jedwabnych, szeleszczących z kuszącą majestatycznością.

Dom, podobnie jak jego właścicielka, miał niewątpliwie zalety, czarujące zalety, które robiły na Łucji wrażenie, lecz w dziwny jakiś sposób wymykały się jej zrozumieniu. Podobało się jej mieszkanie, podobała się nowa towarzyska - nie mogło być inaczej - a jednak nie potrafiła jakoś "umiejscowić" panny Hocking, która ze śmiechem mówiła o sobie,

że jest wygnanką, z jakiegoś nie wyjaśnionego powodu pozostającą w Ardfillan. Miała niewielu przyjaciół - nieliczne, wciąż zmieniające się grono - i żadnych krewnych oprócz brata, którego wspominała rzadko, a który mieszkał dotąd w jej rodzinnym mieście w południowej Anglii. Tak, było w tym wszystkim coś, czego Łucja nie rozumiała, coś utajonego, pozostającego dla niej zagadką.

Takiego właśnie doznawała uczucia, kiedy w pewną niedzielę, parę miesięcy po wprowadzeniu się tutaj, siedziała w salonie przy oknie. Zjadłszy właśnie obiad, doskonały obiad, przygotowany przez panią Dickens - Łucja nie chciała uznać skrótu: Dick, używanego przez pannę Hocking - i wyglądając przez okno zapatrzyła się w ruchomą ścianę liści, przesłaniających, to znów odsłaniających widok sąsiednich ogrodów i powóz odjeżdżający powoli sprzed jakiejś willi u stóp wzgórza. Delikatne, przejmujące dźwięki fortepianu płynęły ku niej w ciszy popołudnia, słońce rzucało na nią ciepłe promienie i rysowało jej cień w głębi pokoju. Miała dziwne wrażenie oderwania się od rzeczywistości, czuła jednak harmonijny spokój tego otoczenia, wywołujący w najtajniejszych zakątkach jej istoty jakiś zmysłowy odzew, ni to szczęście, ni to żal. Nagle weszła do pokoju panna Hocking.

- Czas na naszą zwykłą przechadzkę! - zawołała apodyktycznie. - Ruszaj się, człowieku, a świat będzie ruszać się z tobą, siedź, a zostaniesz sam.

Łucja, która spędziła przedpołudnie w kościele i chciała teraz wypocząć, spojrzała na nią.

- Wolałabym teraz zostać w domu - powiedziała uprzejmie. - Nachodzę się przecież przez cały tydzień, jak pani wiadomo.

- Czas na przechadzkę! - nalegała tamta, ze swym zwykłym dobrym humorem. - Cudny dzień! Fairy umiera po prostu z niecierpliwości, tak chce wyjść na powietrze! Wiatr na wrzosowiskach. Pogoda Walta Whitmana, Fairy nie może wyrzec się swojej przechadzki, a pani również.

Fairy, pogrążony w drzemce poobiedniego trawienia, pragnął tylko ukryć się za sofą, lecz teraz otworzył jedno oko na znak protestu.

- Wie pani - zaczęła Łucja, wcale nie mając zamiaru obrazić tamtej i tłumacząc sobie uporczywe naleganie panny Hocking jej wrodzoną dobroduszością - nie mam jakoś ochoty na przechadzkę.

- Też coś! Chyba nie jest pani już znużona życiem! - rzuciła panna Hocking charakterystycznym dla niej żartobliwym tonem. - Nawet pani nie wie, jak ślicznie dziś wygląda, wprost anielsko! Zawsze powinna pani nosić tę nową suknię, bardzo pani w niej do twarzy.

Łucja uśmiechnęła się. - Dobrze, skoro pani tak na tym zależy, bym wyszła... - wstała, by przynieść sobie kapelusz i rękawiczki.

- Doskonale! - wykrzyknęła panna Hocking. - Fairy! Chodź tu! Fairy! Nie bądź leniwym psem.

Cmoknęła zachęcająco i krzyknęła: - Kota, kota, kota! Łapać kota! - Na co grube psisko wypełzło na brzuchu i nieudolnie usiłując dźwignąć się na nogi, odpowiedziało na koniec słabym warczeniem.

Wyszły - panna Hocking wciąż jeszcze rozgadana. Fairy niechętnie dreptał za nią.

Przechadzka miała być krótka - tak przecież ustalono - ale Pinkie maszerowała zamasyście, niebawem więc pozostawiły za sobą zwykłych wycieczkowiczów niedzielnych i znalazły się wśród zagajników, porastających zbocza wzgórz powyżej cypla Rhu.

- Mogłybyśmy właściwie dojść do Rhu! I wrócić wzdłuż morza! - wesoło zaproponowała panna Hocking. - I lubimy dalekie spacer, a dzień jest uroczy.

- To jednak za daleko.

Nowe buty Łucji były trochę ciasne, prawy ocierał jej piętę.

- Och nie, nie! Chodźmy! Tak tu cudownie. - I już maszerowała dalej, skręciwszy na ścieżkę prowadzącą do pobliskich lasów.

Łucja szła za nią niechętnie, nie lubiła, by ją tak ciągnięto za sobą, ale las był przyjemny, cienisty i spokojny. Młodziutkie liście lip i buków chwiały się wokół niby zielone

girlandy, gałęzie kasztanów zwisały obciążone już pąkami białych świeczników, bujnie krzewiące się leśne kwiaty tkwały na trawie błękitnożółte wzory.

- Wkrótce wypoczniemy - zachęcająco zawołała panna Hocking, wciąż jeszcze krocząca na przedzie niby kwatermistrz wyprawy wojennej. - Musimy wypocząć, znajdziemy w pobliżu jakieś śliczne miejsce!

Szła dalej, rozprawiając przez ramię o pogodzie, drzewach i kwiatkach. Wygłaszała krótkie poetyckie deklamacje, z wesołą miną odpowiadała ptakom gwizdaniem, rozpaczliwie zachęcała Fairy do ścigania niewidocznych królików, okazywała szaloną, wprost upojną radość życia.

Nagle w połowie drogi przez las przystanąła obok kwitnącej dzikiej wiśni.

- Oto nasze miejsce! Tu urządzimy sobie sjęstę. Proszę się położyć! Proszę się położyć całkiem wygodnie!

Rzuciła się triumfalnie na trawę przeciągając się z uczuciem rozkoszy. Łucja usiadła obok niej, zdjęła kapelusz, oparła się o pień drzewa i położyła dłonie na chłodnej pianie spadłych kwiatów.

- Zgrzałam się - powiedziała tonem wyrzutu. - Pani maszeruje jak regiment żołnierzy. - Kilka białych płatków sfrunęło lekko z gałęzi poprzez pajęczynę słonecznych promieni i osiadło na jej włosach. Na pół przymykając oczy dodała: - I jestem śpiąca.

- To niech pani śpi - zaproponowała Pinkie, splatając dla Fairy wieniec ze stokrotek. - Byłoby mi miło, gdyby pani zasnęła. Gdybym tak tu miała moją wiolonczełę, ukołysałabym panią do snu. Spałaby pani u mego boku!

Łucja jednak nie spała, lecz spod na pół przymkniętych powiek z zaciekawieniem patrzyła na tamtą. Dziwnie niepokojącym uczuciem przejmował ją fakt, że oto jest w głębi lasu sam na sam z tą niezwykłą, piękną kobietą, której wciąż jeszcze nie знаła bliżej. Myśl ta nasuwała się jej z całą siłą na widok masywnej, lecz ładnie ukształtowanej postaci wyciągniętej kusząco na trawie. Myśl ta wprawiała ją w pomieszenie, im dłużej ją rozważała.

- Moje nogi? - spytała panna Hocking, nagle podnosząc oczy. - Pani je podziwia!

Łucja poczerwieniała i szybko odwróciła oczy. Myślała w pewnym sensie...

- Sądzę, że są zupełnie zgrabne - ciągnęła dalej panna Hocking, z uznaniem głaszcząc swe łydki. - Grecka linia, jak pani widzi. O tak! Powinna mnie pani zobaczyć rozebraną lub tylko w kombinacji. Coś czarującego!

Łucja rozmyślnie patrzyła w innym kierunku i starannie obciągała rąbek spódnicy dokoła kostek. Nie znosiła tego rodzaju rozmów. Jej skromność była tak samo przesadna jak duma. Łucja nie należała do kobiet, które rozbierając się studiują dokładnie swoje kształty, a co dopiero powaby innej kobiety. Ale panna Hocking z żarliwym uporem, niemal z pożądliwą radością trwała przy tym temacie.

- Mamy wobec swojego ciała obowiązek zachowania jego piękności. Nie należy się go wstydzić! Czy pani nie sądzi, że dobrze jest być taką? Nagość kobiety jest dziełem Boga. Proszę mi powiedzieć - zagadnęła niespodziewanie - czy pani była szczęśliwa w swym pożyciu małżeńskim?

- Tak - krótko ucięła Łucja. Rozmowa ta ją drażniła, nie rozumiała też jej sensu.

- Czy zaznała pani wielkiego szczęścia? - nalegała panna Hocking. - Czy nie mogłaby mi pani odpowiedzieć? - Rozmowa ta, a może sytuacja zdawała się wprawiać ją w niezwykle podniecenie.

Ale Łucja zachowywała milczenie, chłodne milczenie.

- Tak, istotnie, mam pewien powód pytać o to - mówiła tamta z szeroko otwartymi oczami. - Bardzo pragnę, by mi to pani powiedziała.

- Raczej tego nie zrobię - rzekła Łucja stanowczo, z nagłą oziębłością.

- Małżeństwo to rozkoszne oddanie - deklamowała panna Hocking, wkładając gotowy już wianuszek ze stokrotek na gruby kark Fairy. - Oczywiście, nie każdy potrafi, prawda, Fairy, moje kochanie? Ale ja... tak... ja... - panna Hocking urwała i zaśmiała się ze świadomą kokieterią, co zmusiło Łucję do zaciśnięcia zębów. Nigdy jeszcze nie widziała tamtej, zachowującej się tak śmiesznie, a uporczywe krążenie wokół tematów seksualnych drażniło ją. Nagle przypomniała sobie ową chwilę, kiedy panna Hocking z naprzód podaną postacią, z takim zachwytem wpatrywała się w półnagięgo Piotrusia tańczącego w pizamie, tak, takie

samo podniecenie i ciekawość czały się wtedy w jej rozmarzonych oczach. Łucja poczuła się wyraźnie wytrącona z równowagi.

- Chodźmy - rzekła niespokojnie i raptownie zerwała się na nogi.

Panna Hocking, leżąc z rękami pod głową, spojrzała zamglonymi oczyma.

- Rozmawialiśmy tak przyjemnie... tak intymnie! Pragnęłabym tak rozmawiać bez końca. Jak strumień Tennysona!

Zamiast odpowiedzi Łucja zaczęła schodzić ścieżką w dół. Zaczęły ją dręczyć mętne, niemiłe przeczucia.

Ale po małej chwili panna Hocking dogoniła ją. Znow była wesoła, znow rozszczebiotana. Łucja nie była jednak wesoła, lecz zamyślona i milcząca, kiedy wyszły z lasu i drogą wzdłuż wybrzeża ruszyły ku Ardfillan.

- Powiedziałam, że nie mam ochoty na daleką przechadzkę - powiedziała dość ostro. - Zrobiliśmy wiele mil.

Istotnie, droga zdawała się nie mieć końca, na pięcie Łucji zrobiły się pęcherze. Fairy z wieńcem stokrotek, opadającym krzywo na lewe ucho, wyglądał jak obraz nędzy i rozpacz, gdy sapiąc włókł się za nimi przystając co chwila, by z rowów przydrożnych chłęptać podejrzanie wyglądającą wodę. Nawet panna Hocking zaczęła przejawiać pewne zmęczenie, spowodowane przez wiatr i słońce, czego sobie jednak nie brała do serca. Wyjęła z torebki tabliczkę czekolady, a podawszy kawałek Łucji, która odmówiła, zaczęła sama gryźć ją z zadowoleniem.

- Zawsze mam przy sobie całą tabliczkę - rzekła łagodnie. - Tak, tabliczkę. Całą tabliczkę! - i znow ugryzła. Brązowa smuga zarysowała się na jej policzku. Łucja nie odpowiedziała, szła kulejąc.

Około szóstej doszły do Ardfillan, z obolałymi nogami, zmęczone i głodne. Gdy zaczęły się piąć w górę przez Garden Street, właśnie ozwały się dzwonki kościelne. Łucja usiłując opanować zły humor zwróciła się do towarzyszki:

- Zaraz się wykąpiemy po powrocie. I marzę o filizance herbaty.

Były to pierwsze słowa, jakie wyrzekła podczas ostatniej mili. Ale na spoconej twarzy panny Hocking ukazał się powoli uśmiech rozmarzenia.

- Pójdzie pani naprzód, wykąpie się i napije herbaty - powiedziała serdecznie.

- Co? - zawołała Łucja zdziwiona. - Pani nie wróci teraz?

- Nie, moja droga. - Cała szczebiotliwość sprzed godziny minęła bez śladu. Pinkie była teraz poważna, nieśmiała.

- Ja wejdę tu - i wskazała na wznoszący się w połowie drogi kościół, w którego otwarte podwoje wchodziły już tłumy wiernych, spieszących na wieczorne nabożeństwo.

Łucja popatrzyła na nią zdumiona - na jej zabłocone buty, na przekrzywiony kapelusz, na kosmyk włosów, który przylepił się do policzka, zasmarowanego czekoladą, a wreszcie na wniebowzięty wyraz, malujący się w tej chwili na jej twarzy.

- Niepotrzebnie chce się pani teraz trudzić. Była pani przecież w kościele przed południem. Ja w każdym razie nie pójde już dziś na nabożeństwo. Upada pani ze zmęczenia. Proszę wrócić do domu i napić się herbaty.

Panna Hocking potrząsnęła głową.

- Nie - odrzekła skromnie. - Nie, nie!

- Ale przecież pani wygląda tak nieporządnie!

- Muszę iść. Tak, muszę. On dziś wygłasza kazanie. Byłoby mu przykro, gdyby mnie nie zobaczył na zwykłym miejscu.

- Jemu? - Łucja była zdumiona. - Chyba pani nie mówi o...

- Tak, o wielebnym pastora Adamie... Malcolmie. - Zaczerwieniła się z kokieterią. - Byłby śmiertelnie zgnębiony... gdyby mnie tam nie było.

- Śmiertelnie zgnębiony? - powtórzyła Łucja całkiem oszołomiona. - Dlaczego?

Nie знаła wielebnego Malcolma Adama, ale wiedziała, że uchodził za spokojnego, poważnego człowieka, z natury szorstkiego i małomównego. Wlepiała oczy w pannę Hocking. Była przekonana, bezwzględnie przekonana, że tamta fantazjuje.

- Chyba... chyba pani nie mówi serio?

- Zupełnie serio! - odparła panna Hocking z groteskową afektacją. - Musi pani wiedzieć... że między pastorem Adamem a mną istnieje porozumienie, całkowite porozumienie. Mamy się pobrać lada dzień.

Łucja otworzyła usta. Nie dowierzała własnym uszom. Dosłownie zakręciło się jej w głowie na tę wiadomość.

- Mówi pani poważnie? Więc się pani oświadczył? - powiedziała.

Panna Hocking zatrzymała się. Stała właśnie przed kościołem, gdy z emfazą powiedziała:

- Och, nie! Nic mi nie powiedział, ani słowa. Zbyt jest nieśmiały, by mówić. Widzę to tylko z jego spojrzenia, tak, ze sposobu, w jaki na mnie patrzy. Och, jak on patrzy na mnie! - westchnęła. - Stąd wiem o tym. On mnie uwielbia. Wiem, tak, wiem o tym. I wszystko jestem gotowa mu poświęcić! - Uśmiechnęła się i po schodach wbiegła do kościoła.

Łucja stała całkiem spokojnie. Była jakby ogłuszona. Trwała bez ruchu, gdy okazała, majestatyczna postać tamtej znikła pod gotyckim łukiem, następnie odwróciła się powoli i ruszyła ku domowi.

Więc na koniec wyszła na jaw tajemnica tej dziewczęcej filuterności kryjącej się pod pozorami dojrzałej powagi. Tak, tajemnica wyszła na jaw - nieodwołalnie. Wydało się jej teraz, jak gdyby całe popołudnie było stopniowym dążeniem do tego przerażającego, tragikomicznego zakończenia! Ekscentryczność panny Hocking mogła być - no, mogła być tłumaczona w różny sposób! Ale teraz powód był jeden! Łucja była wstrząśnięta, oszołomiona sprzecznymi myślami. Nie mogła jednak nie mieć ani cienia wątpliwości, widziała jasno i tylko się dziwiła, dlaczego nie zorientowała się wcześniej. Złączyła swe losy z życiem kobiety pozbawionej wewnętrznej równowagi, kobiety ulegającej śmiesznej i niewiarygodnej manii prześladowczej. Tak, było to całkiem niewiarygodne. Gdyby ktoś jej

opowiedział o niezrozumiałej gwałtownej namiętności, jaką Pinkie żywiła potajemnie dla duchownego, nie dałaby wiary, powiedziałyby: głupstwo, nieprzekonywający, od niepamiętnych czasów pokutujący przesąd. A jednak na własne oczy ujrzała dowody tej miłości, a co gorsza fakt ten miał wpływ na jej własne życie.

Zamyślona weszła do mieszkania. Zaraz odkręciła kurek wanny i zdjawszy pomięte, zakurzone ubranie, osunęła się w miłe ciepło gorącej wody. Leżała w wannie, z twarzą zaczerwienioną od pary, wciąż jeszcze z lekko zmarszczonym czołem. Myślą ponownie przebiegła całe przeżycie - scenę w lesie i przed kościołem. Wszystko stało się dla niej jasne, najzupełniej jasne. Nie przypisywała sobie żadnej winy. Przywołując na pomoc swą dumę, podtrzymując się myślą, że jednak zdołała przejrzeć tajemnicę panny Hocking, zaczęła stopniowo odzyskiwać równowagę. Wychodząc z kąpieli, była przygotowana na jakieś nagłe, dramatyczne wydarzenie, które od razu spowoduje rozwiązanie sytuacji. Włożywszy szlafrok usiadła i spokojnie oczekiwała powrotu swej towarzyszki.

Nie wydarzyło się jednak nic dramatycznego. Panna Hocking wróciła spokojna - może trochę rozmarzona, ale znów naiwnie pogodna. Zabrała się nawet do przyrządzania na sposób francuski sałaty dla Łucji. Była to doskonała, chłodna, odświeżająca sałata. Panna Hocking była mistrzynią w przyrządzaniu takich potraw i z dziecinnym entuzjazmem zaczęła omawiać różne przepisy.

Więc Łucja zjadła sałatę i nic nie powiedziała.

Przygotowała się na zerwanie i bezzwłoczne opuszczenie wspólnego mieszkania. Nie doszło jednak do zerwania. W dalszym ciągu mieszkała z panną Hocking i w dalszym ciągu pracowała. Z biegiem czasu - a jak szybko on upływał! - w miarę jak tygodnie wydłużały się w miesiące, a miesiące w lata, zaczęła uświadamiać sobie zboczenie Pinkie. Zrozumiała te wszystkie potajemne dowody jej adoracji, te podarki, których odbiorca nigdy nie potwierdzał. Pastor Adam był oczywiście całkowicie nieświadomy tej potajemnej, rzewnej miłości, której padł ofiarą, a jednak właśnie na podstawie tej niewiedzy Pinkie opierała swą pewność co do istnienia między nimi tajemniczego porozumienia. Przypadkowe jego spojrzenie w kościele, bezwiedny ruch głową, gdy pastor przechodził koło jej okna, ton głosu, gdy zwrócił się do niej z jakąś obojętną uwagą, dotyczącą pogody - wszystko to przejmowało ją rozkosznym dreszczem, umacniało w złudzeniu, przeobrażając je w zachwycającą i żarliwą wiarę. Posyłała mu anonimowe dary - rękawiczki, krawaty, szale, a nawet komplety najlepszej wełnianej bielizny. Przez cały rok pracowała nad wielką ozdobną kartą iluminowaną według własnego rysunku i kompozycji, której wymyślne ornamenty miały słać cnoty Adama. W niektóre dni wstawiała bardzo wcześnie i cierpliwie tkwiła przy oknie, by zobaczyć go, jak przechodził ulicą.

Pod każdym innym względem była normalna - trochę frywolna, wesoła, choć może zbyt afektowana, a przy tym potrafiła w wielu okolicznościach ukrywać nazbyt wyraźne przejawy swego zaślepienia.

A przyczyną tego było to, że Pinkie szukała gwałtownie ujścia dla swych tłumionych uczuć. To nic, że obrała drogę śmieszna, w każdym razie w ten sposób zaspokajała swój instynkt. A Łucja również pogodziła się spokojnie z istniejącym stanem rzeczy jako z czymś nieuniknionym i niezmiennym. Uważała, że ten nieokreślony stan będzie trwał w nieskończoność. A gdy znajomi poruszali ten temat, uciniała rozmowę nieubłaganym milczeniem.

Zdarzało się jednak, że panna Hocking stawała się dla niej źródłem niepokoju, a nawet rozdrażnienia. Od owej pierwszej wycieczki, kiedy właśnie owa natrętna dobroć tamtej stała się tak nieznośna, Łucja nieraz cierpiała z powodu nadmiernej zyczliwości, przejawiającej się

całym szeregiem względów dyktowanych niewątpliwie prawdziwą serdecznością, lecz tak przesadnych, że stawały się wręcz uciążliwe! Te przechadzki poobiednie, gwałtem narzucane sam na sam, rozwlekłe rozmowy, krótkie wybuchy śmiechu, okrzyki: "Och, musisz moja droga!" i "Musisz to zrobić, moje złotko" - wszystko to stało się męczące wskutek ciągłego powtarzania i braku istotnej treści. Nieraz wróciwszy późnym wieczorem, zmęczona całodzienną pracą, spragniona spokoju i ukojenia w ciszy wieczoru, zastawała pannę Hocking podnieconą, roześmianą, w owym nastroju męczącej, wybujałej wesołości. Dochodziło wtedy zwykle do sprzeczki - Łucja wycofywała się szybko do swego pokoju, by się położyć. Pinkie natomiast przechodziła do salonu i pocieszała się spokojną, smutną muzyką. Doprawdy był to zabawny widok - Pinkie czule obejmująca swoją wiolonczelę, jak gdyby tuliła wielbnego Malcolma Adama.

Czasem Łucja stawiała sobie pytanie: dlaczego tu mieszkam? Czy tylko dlatego, że mam tyle korzyści? Odsuwała jednak szybko tę myśl, tak nie było. Często musiała powstrzymać pannę Hocking - mającą słabe pojęcie o wartości pieniędzy - od nadmiernej rozrzutności. Nie była też pasożytem. Punktualnie płaciła przypadającą na nią część czynszu. Oczywiście wspólne mieszkanie było dla niej niezwykle pomyślną okolicznością. Żyła oszczędnie, a jednak w otoczeniu wykwinnym, nawet zbyt kownym. I miała możliwość łożyć na wychowanie syna. Tak, ten argument przeważał wszystkie inne i na wszelkie wątpliwości odpowiadała sobie, że robi to dla syna.

Mimo to bywały chwile, kiedy postanawiała opuścić wspólne mieszkanie i żyć sama na skromniejszej stopie. Nieraz była już bliska zrobienia tego kroku, ale w ostatniej chwili zawsze powstrzymywało ją od tego poczucie jakiego specjalnego zobowiązania wobec przyjaciółki. Bo na swój sposób panna Hocking była dla niej przecież dobra, jej intencje, nigdy nie dyktowane złością, płynęły z życzliwości, a chybiała celu jedynie przez swoją własną głupotę. Ponadto była też dobra dla Piotrusia, co było obecnie dla Łucji argumentem ostatecznym i rozstrzygającym. Na przykład owe wakacje w Port William, miły odpoczynek dla nich trojga, zaproponowany i - poza skromnym udziałem Łucji - sfinansowany przez starszą kobietę. Jakże często Łucja wspominała owe dni - śmieszna jednotorową kolejkę, podobną do zabawki, wijącą się wśród błękitnych i purpurowych gór na zachodzie Highlandów, srebrną tafel zatoki, rozpostartą u ich stóp, w obramowaniu poszarpanych sosen, zastygłych w ciszy i spokoju wiecznej zieleni, ciągnące się w nieskończoność wrzosowiska, słoną woń morszczyń i torfu, znów widziała spłoszonego rogacza, który uciekał przed

lokomotywą, samotne stacyjki, zazwyczaj zapomniane wśród wałów przeciw zawiejom śnieżnym, w lecie wesołe i barwne od bajecznie kolorowej nasturcji i płomiennych fuksji. Często ogarniała ją fala nostalgii na myśl o tym wszystkim - był to przecież jej kraj rodzinny, który tak kochała. Chociaż w ciągu tych wakacji panna Hocking w rozwianej szkockiej spódnicy, w szalu zarzuconym na ramiona i spiętym ogromnym jak tarcza topazem, w kapeluszu z piórami, przybierała malownicze pozy przy każdym górskim jeziorku, wsparta pod boki jak Flora MacDonald, twierdząc, że jest do niej podobna - mimo swojego niedorzecznego zachowania była jednak dobra dla Piotrusia. Przed wyjazdem wydobyła z rupieciarni wędkę, która należała do jej ojca - nie bambusową, ale z indyjskiego elastycznego drzewa - i skórzaną torbę z mnóstwem haczyków z piórkami, z których wiele zardzewiało i miało pogięte pióra, ale poważna część zachowywała jeszcze swój żywy blask. Piotruś łowił ryby w Spean, a pewnego popołudnia wrócił błądy ze wzruszenia, w drżącej ręce niosąc pstrąga ważącego co najmniej dwa funty. Wspomnienie triumfalnego, niemal ekstatycznego wyrazu twarzy syna nieraz mocno podważało jej decyzję, dotyczącą opuszczenia mieszkania i pozostawienia panny Hocking jej własnemu losowi.

Piotruś - tak, przyznawała to - był punktem centralnym jej życia.

Przez cały czas pobytu syna w szkole rozdawanie nagród sprawiało jej największą radość, a nie do wiary, jak szybko je zdobywał; niewiarygodna była też zmiana, jaką wywołały w chłopcu. Całkiem żywo i z tym samym porywem dumy, co wówczas, przypomniawszy sobie, jak pełen skromności, a równocześnie z godnością - musiała przyznać, że wyglądał dystyngowanie - po raz pierwszy zbliżył się, by z upierścienionej ręki Jego Eminencji biskupa z Nofar odebrać srebrny zegarek z łańcuszkiem za dobre postępy w nauce religii, oraz stos książek: nagrody pilności za geografię, ortografię i rachunki pamięciowe.

- Ten ma szczęście! - usłyszała wtedy mruknięcie jakiejś otyłej matki mniej zdolnego ucznia, gdy Piotruś, przeciskając się przez labirynt wyciągniętych nóg, torował sobie drogę do niej w dusznej sali.

Ma szczęście, dobre sobie! - myślała Łucja pełna oburzenia, ukradkiem wsuwając rękę pod ramię syna i przyciskając je do siebie. Twarz jej płonęła z podniecenia tak samo jak jego policzki; lekko zmarszczywszy brwi, Łucja spojrzała w kierunku kapelusza, obładowanego piórami, spod którego wydostała się owa uwaga. Nie, to nie było szczęście. Prawda, że każdy uczeń otrzymał nagrodę - mówiono, że brat William miał korzystną umowę z pewnym

londyńskim księgarzem. "Bill ma głowę na karku!" - miał raz wykrzyknąć Ramford. Prawda też, że nazwisko każdego chłopca figurowało na elegancko wydrukowanej liście nagród w prospekcie, chociażby tylko w rubryce: "Czwarta nagroda za grę na fortepianie" lub "Piąta nagroda na dobre zachowanie". Co to ma jednak do rzeczy? A jakkolwiek w złośliwej uwadze Ramforda mogła tkwić prawda, to na pewno nie szczęście zerwało dla Piotrusia te pierwsze owoce z drzewa wiedzy, i nie samo też szczęście zdobyło mu przywilej deklamowania z należytą gestykulacją utworu: "Pogrzeb Sir Johnna Moore" - przed tym samym elegancko ubranym audytorium. W tydzień później "Laughtown Courier" napisał: "Czarujący młodzieniec wykazał niewątpliwy talent mimiczny, a za rzęsiste oklaski podziękował wytwornym ukłonem". A Łucja zachowała ten tak drogi jej sercu wycinek gazety, który z biegiem lat pozółkł.

Grał też w orkiestrze szkolnej "Uwerturę" Webera - a jakkolwiek nie spełniło się jego marzenie co do wielkiego bębna, w który walił tęgi Hiszpan w okularach, to jednak powierzono mu piccolo - zdaniem Łucji instrument znacznie odpowiedniejszy. Pochłaniała oczyma wdzięczną zręczność jego palców, dotykających kolejno kłapek instrumentu i wydawało się jej, że wszystkie wątle dźwięki orkiestry wydobywały się jedynie z jego wydętych policzków.

Po tym popisie brat William życzliwie położył rękę na głowie Piotrusia i w przelocie powiedział: "Jesteśmy dumni z tego chłopca". Także brat Alojzy, stojący w głębi sali, utkwiał w niej swe oczy czarne jak tarki i mruknął:

- Prawdziwa przyjemność uczyć pani syna - tym zaakcentowaniem nadając swym słowom specjalne znaczenie i czyniąc jej triumf bardziej osobistym.

Z wysoko podniesioną głową, poddając twarz chłodnemu powiewowi nocy, z sercem rozspiewanym radością wracała po skończonej ceremonii do Hotelu Lang, natarczywie polecanego jej przez zakonników... "Bardzo zacna niewiasta, ta wdowa Lang!" Zachwyt ten był zrozumiały, gdyż jej czterech synów pobierało nauki w zakładzie klasztornym.

Łucja mało spała owej nocy, a nazajutrz rano, zabierając Piotrusia na wakacje, dumnie spoglądała na niego w wagonie, z rozmarzeniem myśląc o jego przyszłych triumfach, które staną się również jej triumfami.

Tak, taki był początek, wspaniale potwierdzony przez dalsze lata. Piotruś zapowiadał się doskonale i dlatego utrzymanie chłopca w zakładzie stało się celem jej życia. Powściągliwie mówiła o jego postępach, bo będąc czułą matką, nie była jednak głupia. Przekonała się też, że szkoła była doskonałym zakładem, najlepszym, na jaki mogła sobie pozwolić, a opłata roczna wynosząca okrągło czterdzieści funtów, dała się pomieścić w ramach jej szczupłego budżetu. Wiedziała też, że dyscyplina i regularny tryb życia służyły Piotrusiowi, który rozwijał się doskonale zarówno pod względem siły, jak i wzrostu. Obawa o jego zdrowie - zawsze uważała jego płuca za "niezbyt silne" - wciąż czaiła się jak upiór na dnie jej myśli, a chociaż Łucja nie chciała przyznać się do tego lęku, to jednak z nieopisaną radością stwierdzała, że syn jej rozwija się normalnie. Powoli z naiwnego dzieciaka z kuleczkami do gry w kieszeniach stał się wyrosniętym chłopcem, wciąż pełnym wdzięku, który jednak niszczył ubranie, nosił piąty numer butów i ze stanowczą miną śpiewał podczas każdorazowych wakacji tradycyjną piosenkę:

Precz z łaciną, precz z algebrą,

skończyły się nasze trudy,

teraz już za skarby świata,

nie wrócimy do tej budy!

Po tym chłopięcym okresie przeobraził się w szczupłego młodzieńca zawstydzonego mutacją głosu, który zauważył jednak przy sposobności, że byłoby dla niego wskazane nosić długie spodnie. A wszystkie te zmiany dokonały się w jej oczach z powolną precyzją nieuniknionego następstwa rzeczy.

Wiedziała, że to wszystko musi się dokonać, a ponieważ dokonywało się stopniowo i w pożądanym kierunku, więc nie czuła się zaniepokojona. Jej przywiązanie do syna stało się mieszaniną miłości i oddania. Był teraz wysokim, sympatycznym młodzieńcem, powściągliwym w obejściu, który od czasu do czasu lubił przeglądać się w lustrze. Uświadomiła sobie, że jest w nim coś odróżniającego go od przeciętności - nie tylko jego bezsporna dystynkcja i wdzięk, nie tylko brak hałaśliwej gruboskórności, lecz coś nieokreślonego, wyróżniającego Piotrusia jako jej syna pośród milionów innych synów, należących do miliona innych matek. Zaczęła w nim dostrzegać coraz większe podobieństwo do Franka - linię ust, uśmiech, silne zęby, lśniące i zdrowe - odkrywać właściwości,

wywołujące wspomnienia i budzące w niej nagły dreszcz. Uważała go za przystojnego chłopca, wiele o nim myślała i czerpała żywe zadowolenie zarówno z jego entuzjazmu, jak z jego powodzenia.

Przypuszczała, że pewne zmiany muszą się też przejawiać w niej samej, lecz nieczęsto się nad tym zastanawiała. Przeżywała ów okres dojrzałości, przebiegający u każdego człowieka gładko i bez wstrząsów, nie uświadamiając sobie zmiany w sobie samej. Postać jej stała się nieco tęższa, kibić mniej wiotka, uśmiech bardziej powściągliwy, ale nie poświęcała tym zmianom cienia uwagi, i ani przez chwilę nie liczyła się z możliwością przygód miłosnych. Pod tym względem Joe na samym początku wywołał u niej ciężki uraz, idiotyczna namiętność panny Hocking przejmowała ją wstrętem, a przede wszystkim miała przecież syna, wobec czego - chociaż nie zdawała sobie z tego sprawy - jej warunki życia spowodowały u niej dziwne stłumienie innych uczuć, tak że całą swą miłość skierowała na Piotra. Jej klienci, bez względu na ich stanowiska, byli dla niej jedynie umęczonymi marionetkami, ukazującymi się i znikającymi, bez jakiegokolwiek dla niej znaczenia. Lennox ją lubił, wiedziała o tym. Ale on miał swoją firmę, której poświęcił się całkowicie, prawie zapamiętałe. Raz jeden w biurze nieśmiało objął ją ramieniem. Bardzo stanowczo powiedziała mu, żeby dał spokój. A on posłuchał natychmiast, zmieszany, przepraszając, nieskończenie bardziej zakłopotany niż ona. W ogóle tłumiała w sobie energicznie wszelką skłonność do kontemplacyjnych marzeń, które mogłyby przyprowadzić ją o smutek i wywołać, czuła to, chorobliwą litość nad sobą samą. Rzadko też miewała wolne chwile, by założyć ręce i oddawać się rozmyślaniom.

Miała swoją pracę. Przyzwyczała się zjadać szybko śniadanie i biec do rannego pociągu, czekać na peronach w dni wietrzne, słotne i pogodne; w ciągu tygodniowej wędrowni obchodziła swój okrąg i bez niecierpliwości wystawała godzinami w wilgotnych sklepach i suterrenach piekarskich. Świadomie podtrzymywała swój optymistyczny nastrój, a interes nauczył ją sztuki wesołego witania klientów. Gdy opadła pierwsza fala zamówień, wywołana współczuciem dla niej, nastąpił normalny tryb pracy. Dochody jej zmalały, lecz stały się bardziej regularne, więc pod tym względem przynajmniej czuła się zadowolona. Nieraz przystawała i zastanawiała się nad absurdalnością faktu, że właśnie ona musi pełnić tę pracę, spędzać życie na sprzedawaniu marnego artykułu. Marny czy nie, ale margaryna utrzymywała się, a Lennox forsował ją - ba, nawet ze szkodą dla sprzedaży masła. Było to niemal śmieszne, a jednak Łucja sprzedawała ją w dalszym ciągu. Nie była z tego powodu

nieszczęśliwa, a wreszcie nie miała przecież wyboru. Przy obecnym trybie życia dochody jej umożliwiały wygodny byt, mogła się też ubrać przyzwoicie, a na prośby Piotra, ilekroć odwiedzała zakład - nawet elegancko. Mogła korzystać ze skromnych przyjemności, a przede wszystkim płacić za naukę syna. Naturalnie konta w banku nie miała. Kapitałem była jej siła i miłość do Piotra.

Uświadomiła sobie jednak, że - jak się wyraził Edward - powinna być wdzięczna Panu Bogu, niemniej uważała czasem za coś wręcz niepojętego, że krewni tak mało interesują się jej losem. Budziło to w niej trochę goryczy. Edward był niewątpliwie najbardziej obowiązkowy, pisywał do niej regularnie, odwiedzał ją niekiedy, zapraszał Piotrusia na wakacje, w przesadnie pochwalnych słowach mówił o postępach chłopca i w miarę swych ograniczonych środków bywał też hojny.

Nie wspominał o Joem, lecz Łucja miała niemiłe przekonanie, że domyśla się powodu uporczywego milczenia brata i zapewne przez wstydlivość unika wzmianki o nim. Tak niepostrzeżenie jej stosunek do Edwarda uległ zmianie - używając jej własnych słów "nie stawiała go już na piedestale" jak dawniej.

A jej własny brat Ryszard zachowywał swe zwykłe milczenie. Przypuszczał zapewne, że powodzi jej się dobrze, i wysunął z tego dalsze pochlebne wnioski co do rozumu i charakteru rodziny Murrayów. Na gwiazdkę dostała raz wycieraczkę do pióra, uszytą przez Werę, innym razem różową jedwabną serwetkę, robótkę Ewy, z pozdrowieniem od całej rodziny.

Jednak te wątpliwe grzeczności spowodowały, że Łucja jeszcze bardziej unikała ludzi. Z wolna zatracala swe instynkty towarzyskie. Nie stała się przez to bardziej skąpa: z okazji ślubu Netty z Dawidem Bowie - fakt niezwykle ważny, świadczący o triumfie prawdziwej miłości, a także o szybkim biegu czasu - obdarzyła swoją dawną służącą piękną bielizną, prezentem zbyt hojnym biorąc pod uwagę jej skromne dochody. Stopniowo jednak zacieśniał się krąg zainteresowań Łucji. Mało na przykład zajmowały ją losy narodu angielskiego. Odzyskanie Sudanu, usamodzielnienie się Australii wcale jej nie obchodziły. Nie wiedziała, że Marconi wynalazł telegraf bez drutu, ani też, że Langley odbył pierwszy lot na swym małym aeroplanie. Nazwisko Krugera nie było dla niej równoznaczne ze straszną, haniebną obelgą. Śmierć królowej Wiktorii przyjęła do wiadomości bez zmartwienia.

Ale mimo braku zainteresowania dla spraw światowych czuła się szczęśliwa, miała swoje własne sprawy, miała swój cel i była zadowolona.

Dnia 3 września 1904 roku weszła do biura w doskonałym humorze i od razu usiadła przy biurku, by wpisać coś do księgi. W drodze nie wydarzyło się nic niezwykłego, mogącego wpłynąć na jej usposobienie, chyba to, że w powietrzu unosiła się woń jesieni. Zawsze lubiła tę porę roku, a dziś wiatr wiejący od zatoki przyniósł zapach opadłych liści, rozkoszną woń ziemi, która zmusiła ją do przystąpienia na chwilę i zaczerpnięcia powietrza długo, głęboko.

Rzuciwszy Andrewsowi jakąś przelotną uwagę, wzięła księgę z fakturami i zaczęła robić odpisy swych zamówień. Ileż razy już to robiła! Nie zastanawiała się i nie zatrzymywała jak dawniej, by stuknąć ołówkiem w zęby i namyślić się nad jakimś punktem z obawy popełnienia błędu. Nie, z miną świadczącą o zdobytej rutynie, pisała szybko i pewnie.

- A cóż tam dziś? - rzuciła Andrewsowi, nie podnosząc głowy.

Nie odpowiedział na jej przywitanie. A teraz również nie dawał odpowiedzi.

- Niestrawność? - nalegała przyjaźnie, wciąż jeszcze pisząc z pośpiechem. W ostatnich czasach wielbiciel sztuki kulinarnej swojej żony zaczął poważnie cierpieć na żołądek i ustawicznym połykaniem pigułek składał spóźniony okup swojej wątrobie.

Ale Andrews milczał ciągle na krześle z ponurą miną, znużonym ruchem ręki gładził obwisłe wąsy i patrzył na Łucję zezowatymi oczyma, pozbawionymi blasku. Zaśmiała się i z szelestem odwróciła kartkę.

- "Każdy obrazek opowiada historyjkę" - zacytowała. Czy to ta sama kobieta, która kiedyś w tym samym biurze mówiła z drzeniem: "Będę się starała zapamiętać wszystko, co mi pan powiedział, panie Andrews".

- Pani się śmieje - rzekł powoli. - Tak, niech się pani śmieje. Niech się pani naśmiej do syta, skoro już pani zaczęła.

Jego uporczywy pesymizm znów wywołał jej uśmiech.

- Gdzie Dougal? - spytała.

Z biegiem lat Dougal wyzbył się swej szorstkości i nieprzyjemności. Stał się teraz "przyjemnym chłopcem" i wielkim przyjacielem Łucji.

Andrews powoli poruszył swą łysą głową w kierunku drugiego pokoju.

- U szefa. - I urwał melancholijnie. - Ja już byłem, a gdy on wyjdzie, kolej na panią.

Tym razem podniosła oczy i przytknąwszy ołówek do policzka, spojrzała na Andrewsa uważniej. Tak, jego zgnębienie zdawało się mieć głębszy powód niż zwykle.

- Co się stało? - spytała.

- Dowie się pani sama - odrzekł powoli - a wtedy przestanie się pani śmiać, za to rękę.

- Proszę mi powiedzieć - nalegała zaciekawiona. Istotnie, wyglądał na niesłuchanie wzburzonego. - Niechże mi pan powie, co się stało.

- Najgorsze - oświadczył z niezwykłą u niego gwałtownością.

W tejże chwili drzwi drugiego pokoju otworzyły się i wyszedł Dougal, a tuż za nim Lennox.

- Pani wróciła? - zdumiał się na widok Łucji. - Pozwoli pani na chwilę do mnie.

Powoli wstała z krzesła, wyraz twarzy Dougala i to wezwanie, zgodnie z przepowiednią Andrewsa, wywołały w niej dziwny niepokój; wiedziała jednak, że nie zrobiła nic złego, nie popełniła żadnej pomyłki, pracowała z dobrym wynikiem, więc nie ma powodu do obaw.

- Proszę usiąść, pani Moore - powiedział, a z tego zaproszenia, jak również z faktu wymienienia jej nazwiska - nigdy w ten sposób nie zwracał się do niej - wywnioskowała, że istotnie chodzi o coś niezwykłego.

- Właśnie rozmawiałem z tamtymi - oświadczył, nerwowo obracając ołówek w ręku.

- Tak? - rzuciła wyczekująco.

W jego zachowaniu zauważyła teraz niepokój, tłumioną radość, ukrytą pod pozorami smutku. Zapadło milczenie.

- Stoję wobec bardzo smutnego zadania - zaczął nagle, bawiąc się linijką - ale mimo wszystko muszę to zrobić. - Stanowczym ruchem odłożył linijkę. - Niestety jestem zmuszony wypowiedzieć pani.

Zbladła raptownie - tak całkiem niespodzianie spadły na nią te słowa. Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu, następnie szepnęła:

- Ale pracuję przecież dobrze, całkiem dobrze. Wie pan o tym, a ja również.

- Wiem, wiem - oświadczył z widocznym ubolewaniem - i sam jestem tym szczerze zmartwiony.

- Więc dlaczego... - wybąkała i urwała.

- Sprzedałem, tak, sprzedałem wszystko, magazyn, inwentarz, skład, sprzedałem Van Hagelmannowi. - Rozparł się wygodnie w krześle. Mimo ubolewania górę wzięła jednak radość, wysoki głos Lennox'a brzmiał wyraźnym triumfem. - Pani wie, że byłem im solą w oku, mimo że to ogromny koncern, tak, tak, kłulem ich długo i dotkliwie. Usiłowali mnie zgnać, ale im się to nie udało. Na złość im sprzedawałem holenderską margarynę, sprzedawałem ją pod ich nosem, aż im się to sprzykrzyło. Nie chcą konkurencji, chcą mieć monopol. Wiedziałem o tym, och, tak doskonale wiedziałem. I dawno czułem, że dojdzie do tego. Dlatego właśnie forsowałem margarynę, ze szkodą dla innych artykułów. Przewidywałem to. I doszło do tego, akt sprzedaży został podpisany. Ja wychodzę, a oni wchodzą.

Na te słowa twarz Łucji pokryła się ciemnym rumieńcem. Więc to był cel, do którego dążył?

- Ale... nas chyba zostawia? - zawołała trwożnie.

Potrząsnął głową powoli.

- To właśnie najsmutniejsze - powiedział z nagłą zmianą tonu. - Oni mają własny lokal, własnych urzędników, własnych agentów. Myślę, że zatrzymają może Dougala. Taki

młody chłopak może im się przydać. Ale Andrews i pani... hm... - zrobił znaczącą pauzę, następnie dodał: - Jest mi istotnie bardzo przykro.

Pomimo że starał się przybrać wyraz współczucia, nie był właściwie zmartwiony. Był zachwycony, że załatwił sprawę, i triumfował, że mu się szczęśliwie udało sprzedać swoje małe przedsiębiorstwo wielkiej, prosperującej firmie, która nabyła je raczej ze względów taktycznych niż w celu zdobycia monopolu.

Łucja widziała to całkiem jasno i ogarnęło ją nagle gwałtowne poczucie krzywdy.

- A po tylu latach ja mam zostać wyrzucona. To wszystko, co otrzymuję za moją ciężką pracę.

- Płacono pani za nią - zauważył łagodnie.

- To nieuczciwie! To niesprawiedliwie! - wybuchnęła nie panując nad sobą. - Powinien nas pan uprzedzić, że się na to zanosi.

- Ja sam nie wiedziałem na pewno. - Zawahał się i dodał jeszcze łagodniej: - Nie trzeba tak się denerwować.

Możliwe, że nagle wspomnienie owego dalekiego ciepłego popołudnia, kiedy w przystępie słabości objął ją ramieniem, powstrzymywało go teraz od ostrzejszego napomnienia. A może i teraz odczuwał cień dawnej sympatii dla niej.

- Od dawna miałem zamiar wycofać się - mówił dalej. - A pani znajdzie sobie inne zajęcie. Taka dzielna kobietka z pani.

Już miała dać porywczą odpowiedź, ale zacisnęła mocno usta. Zerwała się i spojrzała nań gniewnie błyszczącymi oczyma.

- Kiedy mam odejść? - rzuciła ode drzwi.

- Za miesiąc - powiedział spokojnie.

Wyszła do pierwszego pokoju. Była w najwyższym stopniu oburzona. Przypomniała sobie upokorzenie, jakiego doznała pierwszego dnia, kiedy weszła do tego nędznego biura, tak, wtedy została upokorzona, teraz tym nagłym wypowiedzeniem znów upokorzono ją

dotkliwie. A przez te wszystkie lata ona pracowała nie szczędząc sił, harowała, bez względu na pogodę czy słońce, by temu podłemu Lennoxowi zapewnić tłustą rentę na starość!

- Czy nie mówiłem? - zauważył Andrews. - Wiedziałem, że panią wyrzucą.

- Proszę mnie zostawić w spokoju! - rzuciła gniewnie.

Dougal milczał. Jego nie usunięto - miał przeto zakłopotaną minę człowieka, który zdradził swych towarzyszy.

Z zaciśniętymi ustami sięgnęła po księgę, wpisała resztę pozycji i o piątej skończyła pracę.

Wyszła wąskim sklepionym przejściem na mokrą ulicę i przebyła już połowę drogi, kiedy spostrzegła, że pada deszcz. Włosy jej zwilgotniały od kropeł deszczu, zanim machinalnie otworzyła parasol. Szybko mijała żółte plamy szyb wystawowych, chłopiec roznoszący gazety zachrypłym głosem wykrzykiwał na rogu ulicy nazwisko zwycięzcy w ostatnich wyścigach, ciemne postacie zdążyły wraz z nią ku stacji.

Wsiadła do pociągu. W kącie przedziału jakiś człowiek przechylił się nad swą gazetą ku towarzyszowi i mówił o kryzysie w handlu.

- Wyrzuca się ludzi z doków jak śmiecie - zakończył ponuro.

Spojrzała na niego spokojnie. Przecież to dokładne określenie jej sytuacji, pomyślała. Została wyrzucona. Te lata regularnego, jednostajnego życia skończyły się z niespodzianą, niemal groteskową nagłością. Śmieszny zwrot "być wyrzuconym" - dla niej była to jednak katastrofa niespodziana, a nawet nie przeczuwana. Nie, w swej ufności nigdy, nigdy tego nie przewidywała. Zaciśnęła usta w ponownym przypiływie gniewu. Siedząc w przedziale jeszcze wyraźniej uzmysłowiła sobie znaczenie tego, co się stało.

W Ardfillan deszcz lał ciągle ciężkimi, skośnymi strugami, a gdy wchodziła do mieszkania, mokry rąbek spódnicy przylepił się jej do kostek.

- Brrr! - zawołała panna Hocking wpadając do hallu. - Moje dziecko, jesteś mokra jak śledź!

- Tak, jestem mokra - zmusiła się do odpowiedzi. - Nie wzięłam płaszcza.

- Więc proszę wejść szybko i przebrać się - paplała tamta z ożywieniem. Ubrana była w nieodzowną zieloną jedwabną suknię, a oczy jej płonęły jasnym blaskiem.

Łucja otrząsnęła z włosów krople deszczu.

- Nigdzie nie pójde - rzekła stanowczo. - Jestem zmęczona. - Zostały zaproszone na kolację, ale teraz nie miała ochoty iść na wizytę.

- Musi pani, och, pani musi iść - z przejęciem protestowała Pinkie. - Rozerwie się pani. Będzie muzyka. Trochę śpiewu przed kolacją. To panią uspokoi. No, prędko, prędko.

- Powiedziałam pani, że nie pójde! - szorstko ucięła Łucja. - Nie mam ochoty.

- Więc trzeba się zmusić do ochoty, moja droga. Pomogę się pani ubrać.

- Proszę zostawić mnie w spokoju! - powiedziała Łucja i odsuwając obejmujące ją ramię tamtej, dodała: - Straciłam posadę!

- Posadę? - niby echo zabrzmiało niedowierzające, jakby niechętnie pytanie.

- Tak, moją posadę... moje zajęcie... moje stanowisko. Wyrzucono mnie, jeśli pani rozumie, co to znaczy.

- Coś podobnego! - uprzejmie rzekła panna Hocking, następnie z uspokajającym uśmiechem dodała: - Znajdzie pani coś innego. Jutro. Z całą pewnością! A teraz proszę iść ze mną. Tak, proszę iść.

Łucja nie odpowiedziała, lecz szybko przeszła obok Pinkie do swojej sypialni i zaczęła zdejmować z siebie przemoczoną odzież. To nedorzeczne przywitanie po powrocie do domu potęgowało jeszcze jej rozdrażnienie.

Cóż to za idiotka! - pomyślała rozgoryczona. - I jakże niemądra byłam ja sama, zadając się z nią!

Ciągle wzburzona wytarła szybko nogi, włożyła świeże pończochy i domowe pantofle, następnie wyjęła z szafy popielatą, aksamitną suknię. Bębnienie palcami do drzwi przerwało jej ubieranie. W tejże chwili dobiegł ją głos Pinkie, podśpiewujący filuternie:

- Wyjdiesz teraz, kochanie? Jestem już gotowa.

Łucja z trudem powstrzymała porywczą odpowiedź.

- Niech pani idzie sama! - zawołała. - Ja naprawdę nie mogę.

- Musi pani! Musi! - krzyczała Pinkie wzburzona, szarpiąc kłamkę jak niesforne dziecko, ale Łucja, znając z doświadczenia jej upór, zamknęła drzwi na klucz. Nastąpiło ciężkie, obrażone milczenie, a niebawem usłyszała trzask zamykanych drzwi wejściowych, i poczuła wielkie odprężenie. Skończyła się ubierać, wyszła do kuchni i zrobiła sobie herbatę i parę grzanek, polanych gorącym masłem.

W zamyśleniu usiadła do stołu, rozłożyła przed sobą ostatni list Piotrusia i ponownie odczytała go powoli. Czysto napisane linijki pocieszyły ją, lecz wyraźniej skryształizowały jej pozycję niż całe godziny rozmyślań. Syn był już w ostatniej klasie, a w końcu roku szkolnego ona stanie wobec konieczności zajęcia się jego przyszłością. Znow uprzytomniła sobie ostatnie rozdanie nagród szkolnych. Brat William - bardziej jeszcze pochylony i drżący, ale, jak sam to określił, wciąż "krzepki" - położył rękę, już nie na głowie, lecz na ramionach laureata i powiedział do niej: "Tego chłopca czeka wielka kariera". Jeśli już przedtem pozycja jej była trudna, to o ileż trudniejsza stała się teraz! A jednak, chociaż przyszłość nie rysowała się jasno, ambicje co do syna były na pierwszym planie.

Po tylu latach wysiłków, by zapewnić mu odpowiednie wykształcenie, miałby teraz przyjąć jakieś marne, nic nie znaczące zajęcie? Nie, myśl ta była nie tylko absurdem, lecz także zmarnowaniem wszystkich jej trudów, jawnym przyznaniem się do przegranej. Miałby zostać chłopcem na posyłki? Czy pisarczykiem? Albo pójść do terminu do warsztatu rzemieślniczego? Wszystko to jest w równej mierze nie do pomyslenia.

Nie, jej obecny nastrój rozgoryczenia i urażonej godności umocnił ją tylko w powziętym postanowieniu. Miała swój cel - że droga do niego wiodąca osłonięta była mrokiem, to jej wcale nie przerażało - nie widziała jeszcze jasno, ale wierzyła w siebie. Musi

bezzwłocznie znaleźć inną posadę, przyjmie wszelką robotę, wszelką. Złożyła energicznie list i zaczęła zastanawiać się nad przyszłością.

Położyła się wcześniej, lecz nie mogła zasnąć. Dręcząca myśl, że została wydalona, ciągle powracała. Nie mogąc się uspokoić wypła trochę wody z karafki, stojącej koło jej łóżka, ale zaledwie się położyła, by wypocząć, jej nadmiernie pobudzony umysł znów uczeplił się tej samej myśli: że też coś takiego musiało się jej wydarzyć - zostać wydaloną przez tego marnego człowieka po tylu latach pracy, ciężkiej harówki dla niego!

Nie spała jeszcze, gdy wróciła panna Hocking. Leżąc w ciemności słyszała, jak tamta niezręcznie otwierała drzwi, następnie zatrzasnęła je z łoskotem. Słyszała, jak szła przez korytarz - ale nie był to jej zwykły, pewny chód, lecz dziwnie chwiejny krok, który od razu zwrócił uwagę Łucji. Nasłuchując zapomniała chwilowo o własnej zgryzocie, tymczasem panna Hocking skierowała się do swej sypialni, skąd w dalszym ciągu dochodziły chwiejne, niepewne kroki.

Dziwne - pomyślała - i dźwignęła się na łokciu, patrząc ku drzwiom, przez których wąską szczelinę przenikał jasny promień, świadcząc, że światło w hallu nie zostało zgaszone. Tak, to wszystko wydało się jej niezwykle dziwne. Oczekiwała zwykłego hałaśliwego powrotu, następnie biegania po mieszkaniu, nucenia urywków pieśni, może też próby wejścia do niej i opowiedzenia wśród ekstatycznych wykrzykników o czarującym przyjęciu. Po chwili, wciąż jeszcze wsparta na łokciu, usłyszała inny dźwięk, który z przerażającą wyrazistością dotarł do niej poprzez mrok; nie był to ani płacz, ani śmiech, lecz mieszanina jednego i drugiego - histeryczne łkanie. Zerwała się natychmiast, wsunęła nogi w filcowe pantofle i narzuciła na siebie szlafrok. Otworzyła drzwi i wsunąwszy głowę do oświetlonego hallu, zawołała:

- Co się stało?

Nie otrzymała odpowiedzi, lecz owe straszne, przesadne łkania jeszcze się spotęgowały.

Łucja zmarszczyła czoło i, szczelnie otuliwszy się szlafrokiem, wyszła na korytarz. Zapukała do drzwi panny Hocking, czekała chwilę na odpowiedź, która nie nastąpiła, po czym śmiało nacisnęła klamkę i weszła do pokoju.

Znów stanęła zdumiona i przerażona. Panna Hocking leżała na szezlongu, jak gdyby padła na niego podczas rozbierania się, a jej twarz i postać skąpane były w dziwnym świetle gazowej lampy, przesączonym przez zielony abażur. Pinkie leżała w najwyższym nieładzie: suknia i spódnica rzucone na podłogę, koronki zmięte, ramiona nagie, bujne włosy opadające na plecy - wspinała zrozpaczona kobieta, leżąca na pół nago w zmysłowej pozie. Jedna pierś z różową brodawką wyłaniała się obnażona z gorsetu, powyżej długich czarnych pończoch biała skóra lśniła jak jedwab. Panna Hocking leżała tak, łkając i zawodząc głośno, pogrążona w najgłębszej rozpacz.

- Co się stało? - spytała Łucja, a w tonie jej brzmiała pewna szorstkość.

Dla niej widok tej kobiety w bezwstydnym pozycji był zbyt odrażający, by mógł wywołać współczucie, nie wzruszyły jej też te głośne łkania. Szczelnie otuliła się szlafrokiem.

- Pytam, co się stało? - zawołała głośnie.

- Porzucił mnie... porzucił... porzucił! - wybuchnęła panna Hocking. - Dowiedziałam się na tym przyjęciu. - I z jej dużych oczu znów trysnęły łzy.

- Co pani ma na myśli? - ostro spytała Łucja. Była oburzona zachowaniem tamtej. Wiedziała przecie o tym groteskowym opętaniu, ale sprawa przybrała najwidoczniej jakiś niepomysłny obrót, i dlatego spytała ponownie: - Proszę mi powiedzieć, co pani ma na myśli?

- Porzucił, porzucił, porzucił! Porzucił mnie! Zaręczył się z inną, dziś to ogłoszono - zanosila się tamta od płaczu. - Porzucił mnie po tylu latach, po tym wszystkim, co dla niego zrobiłam, kiedy go tak kochałam, a on tak na mnie patrzył. - W ataku spazmów nieprzytomnie tłukła piętami o dywan.

Niepojęte! Co za dzika historia! A jednak tak było. Nieszczęśliwa kobieta sama biczowała się w obłądnym cierpieniu z powodu straty czegoś, co nigdy nie należało do niej.

- Proszę się uspokoić! - rzekła Łucja zmienionym tonem. - Pomogę pani położyć się.

- Jak mogę się uspokoić? - wrzasnęła tamta. - Ja go kochałam, tak, kochałam go, a on kochał mnie. Wiem o tym. Jestem przekonana. Ufaliśmy sobie wzajemnie. Czekałam na niego. Tak, czekałam, czekałam!

Olbrzymi gmach samoułudy - to śmieszne kłamstwo - rozpadł się w gruzy pod jednym niespodziewanym ciosem. Główna podstawa jej życia zachwiała się i wyglądało na to, że ona sama została wstrząśnięta do głębi.

Znów zaczęła jęczeć, a oczy jej rozbłysły dziko.

- Kochałam go! Kochałam! - krzyczała znowu. - W obliczu Boga byliśmy małżeństwem.

Łucja była przerażona. - Proszę przestać płakać! - powiedziała łagodnie, głaszcząc przyjaciółkę po ramieniu, a równocześnie starając się okryć jej nagość.

- Pani mi wierzy, prawda? - łkała panna Hocking, ściskając wyciągniętą rękę Łucji i głaszcząc nią swój łzami zalany policzek. - Dobra Łucja! Dobra Łucja!

- Tak... tak - szybko potwierdziła Łucja. - A teraz proszę wstać, trzeba się położyć.

Udało się jej wreszcie nakłonić Pinkie do wstania, zaczęła powoli rozbierać ją i rozpinać gorset.

Pod tym dotknięciem Pinkie przestała płakać i stała bierna - tragiczna postać w długich koronkowych majtkach. Nieruchoma, groteskowo ogłupiała twarz, w tej chwili bez łez, pozbawiona wszelkiego wyrazu.

- Co się ze mną stanie? - spytała nagle. - Teraz!

- Cicho, cicho - energicznie uspokajała ją Łucja.

Na koniec dała sobie radę z gorsetem, który na białej skórze wycisnął czerwone pręgi, włożyła Pinkie nocną koszulę i pomogła wspiąć się na olbrzymie łoże z baldachimem.

- Może pani wypije filiżankę herbaty? - spytała. Wierzyła głęboko w kojące działanie tego napoju.

Panna Hocking przytaknęła głową z tym samym nieprzytomnym wyrazem. Łucja wyszła i przyrządziła herbatę, po czym wróciła, niosąc pełną filiżankę - dużą filiżankę, z której panna Hocking stale piła herbatę na śniadanie.

- Przyniosłam - powiedziała bez wstępów. - Proszę pić!

Pinkie posłusznie wyciągnęła dużą, wypielegnowaną rękę i wzięła filiżankę, ale natychmiast apatycznie wypuściła ją i pozwoliła upaść na podłogę. Filiżanka nie rozbiła się, ale herbata parującą kałużą zalala dywan.

- Niech pani spojrzy, co też pani zrobiła! - krzyczała Łucja. Ten nierozumny czyn rozgniewał ją. Schylając się, by podnieść filiżankę i spodek, oświadczyła: - Teraz się pani obejdzie bez herbaty.

- Przepraszam - rzekła panna Hocking ze skrucą - myślałam o czym innym. O mojej miłości do Malcolma. Czy to nie wzniosłe?

Prostując się, mocno zaczerwieniona, Łucja wlepiała oczy w tę politowania godną istotę leżącą na łóżku. Nie miała dla niej litości, a czuła tylko gniewne rozdrażnienie. W gwałtownym rozgoryczeniu pragnęła tylko wlać jej do głowy trochę rozumu - jak to sama określiła. Namiętnie pogardzała sobą, że tak długo znosiła to niedorzeczne szaleństwo. A miała przecież własne kłopoty, w głębi duszy porównywała błahość tej idiotycznej zgryzoty, tego najzupełniej błahego wzburzenia z powagą swojej własnej sytuacji, w jakiej się dziś nagle znalazła.

Mimo to czuła się w obowiązku powiedzieć:

- Może pani zażyje trochę bromu.

- Zażyję trochę bromu - powtórzyła tamta jak dziecko, a gdy Łucja podała jej odmierzoną dawkę, wzięła ją tak samo bezradnie i bez oporu, kładąc swą rękę na dłoni Łucji, która energicznie podsunęła jej do ust łyżeczkę, Pinkie nie była teraz pogrążona w cierpieniu, lecz zadumana.

Łucja wciąż jeszcze patrzyła na nią chmurnie.

- Dobranoc - powiedziała w końcu.

- Dobranoc - łagodnie odparła panna Hocking.

Łucja zgasiła światło i wyszła z pokoju. W pierwszej chwili była głęboko zaniepokojona, ale zdołała się już trochę uspokoić. Gdy korytarzem szła do swego pokoju, przypomniało się jej stereotypowe powiedzenie: "Nieszczęścia zawsze chodzą w parze" - i znów wróciła ta sama uporczywa myśl. Przez szereg lat życie jej płynęło spokojnie. Tolerowała pannę Hocking, miała powód czuć się bezpieczna, a oto w ciągu jednego dnia ta podwójna katastrofa!

Stan towarzyski nie budził w niej jednak nadmiernego niepokoju.

Rano będzie jej lepiej - pomyślała stanowczo, kładąc się do łóżka.

Ale rano Pinkie nie czuła się lepiej. Po śniadaniu, całkiem już ubrana do wyjścia, Łucja weszła do jej sypialni - panna Hocking nigdy nie wstawała przed dziewiątą - by pożegnać się z nią jak codziennie.

- Zdrowa pani? - spytała.

- Zdrowa - powtórzyła panna Hocking znużonym głosem. - Wie pani... ja... rozmyślałam.

Dziwny kontrast stanowiły te dwie kobiety: jedna wyprostowana, schludna i opanowana, ciasno zwiniętym parasolem energicznie stukająca w wyczyszczone starannie buciki, druga w niedbałym negliżu, z włosami bezładnie rozrzuconymi na koronkowej poduszce, z wyrazem tragicznego odrętwienia w pięknych oczach.

- Tak - mówiła dalej, z tym samym tępym wyrazem zadumy: - myślę, że stało się to dlatego, że nie gram na organach. Gdybym umiała grać na organach, wziąłby mnie z powrotem. - Zamilkła. - Muszę od dziś zacząć naukę.

Pod przylegającą do twarzy woalką Łucja niechętnie zmarszczyła brwi. Jakie to było odmienne od zwykłego przesadnego pożegnania: "Do widzenia, kochana Łucjo! Niech pani wraca szybko!"

- Dobrze pani spała?

- Spałam - oświadczyła panna Hocking - a od dziś będę się uczyła grać. Pójdę zaraz do kościoła. - Westchnęła. - Wszystko, wszystko zrobię dla niego. Dla Malcolma! Dla mojego męża w obliczu Boga.

- Niechże pani da spokój - szorstko rzekła Łucja, jak gdyby jej stanowczość potrafiła wlać odrobinę rozumu do tej głupiej głowy. - Wie pani, że nie mogę znieść takiego gadania.

- Wiem, że pani nie może tego znieść - głucho powtórzyła tamta. - Ale pani nie rozumie. Ja muszę to znosić. Muszę myśleć o nim. Nie mogę inaczej.

Łucja zagryzła usta i spojrzała na zegarek. Musi spieścić do pociągu, musi zająć się swoimi sprawami, nie może zmarnować całego dnia na dozorowanie tej niemądrej istoty; odwróciła się, by wyjść.

- Odchodzę - rzekła krótko i wyszła z pokoju, pozostawiając pannę Hocking zapatrzoną przed siebie z wyrazem rozmarzenia.

W hallu przystanąła jednak, chciała udzielić kilka wskazówek posługaczce, ale ta próżniaczka - jej niepunktualność doskonale pasowała do lekkomyślnej natury panny Hocking - jak zwykle nie przyszła na czas, wobec czego Łucja, wciąż jeszcze zaniepokojona, musiała jednak wyjść.

W ciągu dnia energicznie odsuwała od siebie myśl o tej sprawie. Przede wszystkim musi zająć się własnymi kłopotami: ma przed sobą tylko miesiąc na znalezienie innego zajęcia, musi pamiętać o synu, a ten wzgląd i zastanowienie się nad przyszłością Piotrusia ważniejsze są od wszystkiego. Tak, od razu pierwszego dnia przystąpiła do dzieła - a zrobiła to w ten sposób, że mimochodem, z odcieniem sztucznej żartobliwości spytała kilku swych klientów, czy nie mają jakiejś posady, odpowiadającej jej kwalifikacjom. Przeważnie wyrażali ubolewanie, że będzie zmuszona porzucić swą pracę: "Ach Boże, chyba pani nie mówi serio!" - albo: "Moim zdaniem jest to hańba, nie mogę wprost pojąć, że kobieta tak zdolna jak pani..." Ale w tych okrzykach Łucja z pewną goryczą słyszała to samo powierzchowne współczucie, jakie wywołała kiedyś śmierć Franka. W gruncie rzeczy, czy ludzie ci myśleli to, co mówili? Nie wszyscy jednak podeszli do jej pytania poważnie. Niektórzy, również żartobliwie, rozważali abstrakcyjnie ponętne możliwości małżeństwa, inni byli nawet bardziej żartobliwi i mniej abstrakcyjni, wszyscy jednak święcie przyrzekli, że o ile usłyszą o czymś odpowiednim, to "na pewno będą o niej pamiętać". W każdym razie puściła już w ruch koło rozpędowe.

Wróciła do domu z poczuciem, że czegoś dokonała. Była tak pochłonięta swoimi sprawami, że dopiero na zakręcie Victoria Crescent przypomniała sobie o Pinkie.

Z pewnością się już uspokoiła - myślała optymistycznie. - Niemądre stworzenie!

Ale Pinkie nie uspokoiła się, a poza tym czekał Łucję niezwykle widok posługaczki, która w kapeluszu i płaszczu stała w hallu, by się z nią spotkać.

- Musiałam zostać, proszę pani - zaczęła od razu przyciszonym głosem. - Była taka dziwna. Więc pomyślałam: dostanę osobne wynagrodzenie czy nie dostanę, w każdym razie lepiej będzie poczekać, aż pani wróci.

- A co się stało? - szybko spytała Łucja.

- Taka jakaś inna niż zwykle, proszę pani. Przecież pani wie, jaka jest, prawie ciągle śmieje się i śpiewa, i gra na tych swoich wielkich skrzypcach, i wciąż mnie zagaduje: "Dick, czy chcecie to?" albo: "Dick, czy wam się to przyda?" - a dziś... no... - nie dokończyła.

- Rozumiem - krótko ucięła Łucja.

Dała kobiecie szylinga i odprawiła ją. Następnie opanowała się i ze sztucznie ożywionym wyrazem twarzy weszła do salonu.

- Nie będę się uczyć gry na organach - od razu rzekła panna Hocking. Ubrana była niedbale w swój szary kostium i sztywno wyprostowana siedziała na twardym krześle pośrodku pokoju. - Na nic mi się nie zda.

- Co pani chce przez to powiedzieć? - spytała Łucja wbrew własnej woli.

- Wezwałam organistę... miły człowiek, ach tak, dobrze mnie zna... i weszłam z nim na chór, by mi pokazać, jak mam się zabrać do tych organów, ale wszystko na nic... zaraz to spostrzegłam... Taki kawał drewna. Tkwi to między kolanami... jakże był mogła... grać, manipulować, wie pani, w spódnicy? - Urwała i zamilkła, jakby chciała się poważnie namyślić. - Chyba, że... mam przecież tunikę, w której się dawniej gimnastykowałam. Mogłabym ją włożyć pod spódnicę, wie pani. A w kościele mogłabym spódnicę zdjąć. Sądzę... co prawda...

- Och, Pinkie, proszę przestać! - Surowość Łucji ulotniła się, zdjął ją nagły lęk, taki lęk, że słowa te wypowiedziała błagalnie. - Proszę nie mówić w ten sposób.

- Nie, nie sądzą - podjęła panna Hocking tym samym tonem namysłu. - Myślę, że zacznę się uczyć po hebrajsku. Tak, zamówię sobie książkę i od jutra będę się uczyć po hebrajsku. Ja i on będziemy ze sobą rozmawiać podczas przechadzek. Pokocha mnie za to - powiedziała patrząc na Łucję wielkimi zdumionymi oczami.

- Pinkie, proszę nie mówić w ten sposób! - ponownie zawołała Łucja. - Przecież pani wie, że to nie ma sensu. Rozdrażnia pani siebie i mnie też.

- Jutro rano kupię sobie zaraz Stary Testament po hebrajsku - upierała się panna Hocking. - Ręka w rękę będziemy się przechadzać z Malcolmem i ja... tak, będziemy razem czytać po hebrajsku.

Było to śmieszne, a równocześnie wstrząsające do głębi. Łucja nie odczuwała już gniewu, była wzruszona i zaniepokojona ponad wszelką miarę, przez chwilę nie wiedziała po prostu, co począć, czuła zamęt w głowie.

Przez cały wieczór starała się wyrwać pannę Hocking z tego okropnego, dziwnego stanu. Żałowała swojej poprzedniej szorstkości i całe jej zachowanie wyrażało skruchę.

Nazajutrz rano - a była to sobota - czekała na panią Dickens, która kierując się raczej ciekawością niż szlachetnością przyszła niezwykle wcześnie. Łucja umówiła się z nią, że pozostanie do obiadu, bo o tej porze ona będzie już mogła wrócić. Zarządziła też, by panna Hocking pozostała w łóżku, po czym wyruszyła do biura.

I znów, ale już z większym wysiłkiem woli, skierowała myśli na swoją trudną sytuację. Muszę dziś z tym skończyć - postanowiła. Załatwiła śpiesznie swoje zamówienia - niezbyt ją teraz trapiły wyrzuty sumienia, że skraca swe wizyty u klientów, wcześniej już była gotowa i wróciła do Glasgow około jedenastej. Trzymając się z góry obmyślonemu planu, ruszyła bezzwłocznie do nowego biura Hagelmana przy Alston Street i zażądała rozmowy z dyrektorem. Tak, zażądała tego! Ale u Hagelmana było inaczej niż u Lennox, a eleganckie, kaflami wyłożone wejście nie było tak łatwo dostępne jak owe wąskie, brudne tylne schody przy Saddleriggs. Zatrzymano ją w sekretariacie. Zażądano, by podała swoje nazwisko, rodzaj sprawy, i... nie rozmówiła się z dyrektorem. Uprzejmie, lecz stanowczo oświadczono jej, że nie może liczyć na rozmowę, i nie może też mieć żadnych widoków na otrzymanie jakiegoś zajęcia w tej firmie.

Z wysoko podniesioną głową wyszła na ulicę. Ci ludzie nie wiedzą, co tracą, odrzucając ofertę tak doświadczonej agentki, posiadającej stałą klientelę, w dodatku odrzucając nie wyraziwszy nawet słówka ubolewania! Ale pożałują tego! Tak, już ona się postara, by pożałowali. Jakaś firma konkurencyjna na pewno ją zaangażuje. Pod wpływem oburzenia i wobec tego, że dopiero minęła jedenasta - pomyśleć tylko, że całą godzinę

przeznaczyła w myśli na tę rozmowę, ułożywszy sobie szereg argumentów najbardziej przekonywających! - postanowiła natychmiast ruszyć na dalsze poszukiwania.

Znała trzy inne firmy, w których mogła liczyć na powodzenie, firmy zajmujące się importem. Największa z nich była tuż obok, przy Carsvell Street, i Łucja skierowała się tam bezzwłocznie. Tu przynajmniej nie było trudno dostać się do kierownika: niemal się uśmiechnęła do siebie, myśląc o tak krańcowo różnym przyjęciu. Powinna była - rozmyślała - zacząć od tej firmy. Gdy jednak wyjaśniła bez ogródek, w jakiej sprawie przychodzi, wszystko przybrało inny obrót. Dyrektor zapewnił ją, że interesy idą gorzej niż kiedykolwiek, a to z winy zagranicznej konkurencji. Poza tym mają dostateczny zastęp agentów, a w tych ciężkich czasach byłoby krzywdą pozbawić zarobku mężczyznę przez zaangażowanie kobiety. Może by spróbowała u Margotsona, poradził jej. Może tam znajdą dla niej jakieś zajęcie?

Spróbowała u Margotsona, była to druga z kolei firma, o której myślała. A potem zwróciła się do trzeciej firmy. W końcu wróciła do biura, z głową podniesioną i mocnymi wypiekami na twarzy, z uczuciem niepokoju. Cień zwątpienia zakradł się do jej serca.

Czyż nie miała wielkiego szczęścia, doszedłszy w tak łatwy sposób do obecnej swej pozycji? Zrozumiała teraz, że okoliczności, których wówczas nie umiała ocenić, umożliwiły jej zdobycie owej pracy w sposób tak łatwy. Wysiłkiem woli znów się opanowała. Śmieszne, jest przecież kobietą, która dowiodła swej wartości. Kupiła na stacji dwa dzienniki: "News" i "Citizen", siedząc w przedziale wagonu uważnie przeczytała kolumny ogłoszeń, podkreślając piórem wszystkie wolne posady, o które zasadniczo mogłaby się starać. Zasadniczo! Tak, rozciągnęła to określenie, jak się tylko dało, ale posad takich, niestety było bardzo niewiele. Nagle zrozumiała, że nie nadaje się do pracy biurowej. Nie umiała pisać na maszynie, nie znała stenografii. Dlaczego, zapytywała się niemal z gniewem, nie wyuczyła się nigdy jakiegoś fachu? Nie była też młoda w ścisłym znaczeniu tego słowa. "Poszukuje się młodej osoby"... - nie, nie była nią. Zrozumiała nagle, że o ile by się jej poszczęściło, to mogłaby pracować jako sklepowa za siedem i pół szylinga tygodniowo, albo gotować obiady dla jakiejś pośledniejszej rodziny za królewskim wynagrodzeniem, wynoszącym dwadzieścia funtów rocznie - obydwie te możliwości uważała w równej mierze za nie do przyjęcia.

A w dodatku jeszcze panna Hocking. Nie mogła już teraz wykluczyć całkowicie tej myśli. Musiała przyznać, że jest w najwyższym stopniu zaniepokojona, ale ma przecież przed

sobą cały weekend. Z pewnością potrafi coś zrobić, wyrwie Pinkie z tego okropnego stanu, w jaki popadła!

Wysiadła w Ardfillan i zaczęła powoli wchodzić na wzgórze, gdyż czuła zmęczenie. Całkiem niespodzianie zrobiło się ciepło. Był łagodny dzień przepojony nieuchwytnym znużeniem babiego lata, pełen spokojnego szmeru spadających liści, z których każdy protestował łagodnie melancholijnym, dziwnie odległym dźwiękiem, brzmiącym jak wyblakłe wspomnienie.

W połowie Garden Street chłopiec sprzedawał lokalny "Advertiser", a ona kupiła tygodnik, po części dlatego, że sprzedawca trochę jej przypomniał Piotrusia - też niemądry pomysł! ale była dziś zdecydowanie w złym nastroju - a po części dlatego, że stale myślała o znalezieniu posady. Idąc dalej, powoli przerzucała stronicę, nagle przystanąła mimo woli, gdyż spojrzenie jej padło na krótką notatkę - oficjalne ogłoszenie zaręczyn pastora Malcolma Adama. Więc jednak jest prawdą to powszednie, całkiem powszednie wydarzenie, które przekłuło lśniącą bańkę iluzji panny Hocking. Złożyła gazetę i weszła do mieszkania.

- No i co? - zapytała natychmiast panią Dickens.

- Uparła się, że wstanie - powiedziała pani Dickens tonem usprawiedliwienia - mimo polecenia pani. Ale przez cały czas siedziała w salonie ze swymi książkami.

- Tak - rzekła Łucja. Jej lakoniczność podziałała hamująco na gadatliwą posługaczkę, okazującą ochotę do omówienia sprawy szczegółowo.

Odłożywszy płaszcz i kapelusz Łucja weszła do salonu. Panna Hocking spojrzała zniecierpliwiona. Siedziała przy zarzuconym książkami biurku, na podłodze leżało jeszcze więcej książek.

- Czy pani nie widzi, że jestem zajęta? - zawołała, miała twarz zamyśloną, nieprzytomną, a jednak pełną zapału, mówiąc, niecierpliwie potrząsała głową.

Łucja rzuciła okiem na książki - na szczęście nie hebrajskie, jak się obawiała, lecz jakieś dzieła botaniczne, wyjęte z tak rzadko ruszanych półek.

- Czemu mi pani przeszkadza? - znów spytała Pinkie. - Czy pani nie widzi, że staram się zrozumieć siebie samą?

- Zdaje mi się, że pani przyrzekła pozostać w łóżku - łagodnie rzekła Łucja postępując parę kroków naprzód.

- Proszę nie zbliżać się do mnie! - natychmiast krzyknęła Pinkie. - Prawdziwa dama musi zachować pewien dystans. A ja jeszcze nie wiem, kim jestem właściwie. Może istnieje jakiś powód tego wszystkiego, co się dzieje. Właśnie staram się go odkryć.

Łucja zawahała się, nie odrywając oczu od tej gładkiej, gorączkowo nieprzytomnej twarzy.

- Czy pani nie ma ochoty zjeść obiadu? - spytała powoli.

- Nie, nie mam ochoty - oświadczyła tamta z niezwykłą stanowczością. - Muszę myśleć o ważniejszych sprawach. Jeśli z tym nie skończę do jutra, przed pójściem do kościoła, będę zmuszona do kompromisu. Bezwarunkowo! Będę może musiała włożyć szkocką spódniczkę. Tak, jestem zdecydowana. To przynajmniej przeszkodzi tym dwojgu. Rozumie pani?

- Rozumiem - przytaknęła Łucja.

Odwróciła się i powoli wyszła z pokoju zamykając drzwi za sobą. Nareszcie z druzgocącą pewnością zdała sobie sprawę ze stanu rzeczy. Wiedziała teraz, że ma do czynienia z kobietą obłąkaną. Była tym poważnie zaniepokojona. Co ma robić? Jedząc obiad, podczas którego nie czuła zupełnie smaku potraw, zastanawiała się, jakie kroki będzie musiała podjąć. Jakże tragiczna, a jednocześnie niewiarygodna była myśl, że Pinkie, która przez całe lata pieściła to swoje śmieszne złudzenie, niby dziecko zabawkę, teraz utraciła je wraz z rozumem.

Paradoksalne, a jednak miłość do Adama utrzymywała ją na pograniczu równowagi psychicznej; teraz, pozbawiona tego złudzenia, panna Hocking stwarzała sobie coraz to nowe urojenia, które całkowicie usunęły ją poza obręb ludzi normalnych. Niby potężne, zbłąkane zwierzę błądziła omackiem po labiryncie spraw seksualnych.

Skończywszy jeść, Łucja odsunęła krzesło i szybko wstała od stołu. Im dłużej się zastanawiała, tym bardziej dręczyła ją ta myśl. Wyjrzała przez okno. Nastrój jej znów uległ zmianie, pomyślała niemal namiętnie: Pinkie musi, och! musi to przezwyciężyć. To chwilowe

zakłócenie równowagi. Już ja ją wyleczę z tego. I znów uspokoiła się tym postanowieniem. Zresztą uważała, że wezwanie obcej pomocy byłoby ujawnieniem słabości towarzyszk, graniczącym niemal ze zdradą. Pod wpływem nagłej decyzji postanowiła czekać. Tak, zaczeka przynajmniej do wieczora, po południu pozostawi ją samą: samotność i spokój wyjaśnia może zawikłaną sytuację, która była właściwie tak prosta.

Po sprząnięciu ze stołu wzięła swe gazety, wieczne pióro i zabrała się do odpisywania na ogłoszenia, które podkreśliła w wagonie, wracając do domu. Zawsze powolna w pisaniu listów, dziś robiła to jeszcze wolniej, starannie ważąc każde słowo i dobierając zwrotów najodpowiedniejszych do wyrażania swej gotowości do pracy. Każdy list układała w najwyższym skupieniu myśli, ale chwilami przerywała swe zajęcie i z podniesioną głową, nieruchomo trzymając pióro, nasłuchiwała odgłosów z salonu. Raz usłyszała, że drzwi otworzyły się i zamknęły, ale nic więcej.

Po napisaniu listów, zapieczętowaniu kopert i naklejeniu znaczków, wyprostowała się i spojrzała na nie. Porządnie ułożone tworzyły okazały stosik, a widok ten wlał w jej serce nieco otuchy: najpóźniej we wtorek, mówiła sobie, otrzyma odpowiedzi.

- Pani Dickens, nada je pani po drodze? - zwróciła się do posługaczki wchodzącej właśnie do pokoju.

- Tak, proszę pani - odrzekła tamta. Przez całe popołudnie raz po raz wchodziła i wychodziła, kręcąc się koło stołu i ukradkiem rzucając spojrzenia na pochyloną postać Łucji; teraz, korzystając ze sposobności, zapytała wprost:

- Jeśli wolno, to chciałabym zapytać, co pani robi... z panną Hocking?

Łucja spojrzała na nią.

- Zaczekamy jeszcze trochę - odparła ze sztuczną otuchą. - Mam nadzieję, że ten... mały atak minie.

- Nie sądzi pani, że należałoby zawiadomić jej przyjaciół? - nalegała kobieta. - Ma gdzieś brata - przy sprząnięciu nieraz widziałam jego listy, rozrzucone na biurku... - I tonem usprawiedliwienia dodała: - Nie można ich było nie zauważyć.

Łucja przybrała chłodniejszą minę, pani Dickens przekroczyła wtedy widocznie dozwolone granice, podobnie jak przekracza je teraz.

- Decyzję co do tego musi pani mnie pozostawić - rzekła tonem kładącym kres dalszej rozmowie. - Zrobię, co uznam za najlepsze.

- Ale czy pani nie sądzi... - znów zaczęła pani Dickens. Urwała w poczuciu niewłaściwości swego zachowania, a po chwilowej pauzie dodała niepewnie: - Ja bym się bała zostać z nią sama przez całą noc w tym jej stanie. Bałabym się okropnie. Prawdę mówiąc, nie zrobiłabym tego za żadną cenę.

- Ja się nie boję - żywo odparła Łucja. - Zapewniam panią. - Wzięła listy ze stołu i rzekła z naciskiem: - Proszę je nadać po drodze.

- Dobrze, proszę pani - mruknęła pani Dickens i otarłszy fartuchem swą dużą czerwoną rękę, co nie było potrzebne, a stanowiło raczej akt uprzejmości, z szacunkiem wzięła listy. - Ano, to dobranoc pani. - I dodała: - Do herbaty wszystko przygotowane na tacy.

- Dobranoc.

Pani Dickens wyszła, a po chwili drzwi domu zatrzasnęły się za nią. Na ten odgłos Łucja wstała z krzesła. Była uradowana, niemal uspokojona łatwością swego moralnego zwycięstwa nad posługaczką. Właściwie to nigdy nie zachwycała się tą panią Dickens.

Teraz weszła żywo do kuchni i zaparzyła herbatę. Zdawało się jej, że istotnie nie zadała sobie dotychczas dość trudu, by wyrwać pannę Hocking z tego nieszczęsnego stanu i robiła sobie poniekąd wyrzuty za tę obojętność. Wydobędę ją z tego - mówiła sobie nie po raz pierwszy - chociażby mi przyszło użyć przemocy.

W tym usposobieniu weszła do salonu, niosąc tacę z herbatą. Mimo wszystko Pinkie była dla niej taka dobra!

- Czas na herbatę - oświadczyła stanowczo już od progu - i musi się pani napić, czy ma pani ochotę, czy nie.

- Ależ mam ochotę. Kto mówi, że nie mam ochoty na herbatę? - od razu zawołała panna Hocking. - Zapach herbaty płynący na skrzydłach wietrzyka... - Odsunęła książki i

rozparła się w fotelu, w odruchowym rozbawieniu otwierając i zamykając parasolkę, którą przyniosła sobie z hallu.

- Więc proszę usiąść przy stole - rzekła Łucja stawiając tacę i zabierając się do nalewania herbaty. Dopóki mogła, nie zwracała uwagi na te manipulacje z parasolkę, ale wreszcie, podając filiżankę, zmuszona była powiedzieć: - Proszę to odłożyć na chwilę, dobrze?

- To mi sprawia przyjemność - natychmiast odrzekła panna Hocking. - Dlatego zostawiłam książki, Nie mogę jeszcze odkryć, czego chcę. To lepsze. Przynosi mi ulgę.

W dalszym ciągu otwierała i zamykała parasolkę, w końcu jednak zauważywszy filiżankę, którą Łucja wytrwale trzymała przed nią, raptownie odrzuciła rozpiętą parasolkę, tak samo impulsywnie pochwyciła filiżankę i duszkiem wypila wrzącą herbatę.

- Dobrze! - wykrzyknęła po chwili. - Ale ja muszę zdobyć sobie miłość - tak, tego mi właśnie potrzeba.

- Może teraz jakieś ciastko?

- Ciastko! Co do ciastka nie mogę mieć pewności. Może jest zbyt słodkie. Zależy od gatunku.

- To jest naprawdę doskonale - stanowczo zapewniła Łucja. - Przysłano dziś świeże od Allena. - Allen! Nagle nasunęło się jej wspomnienie owego pierwszego lunchu z panną Hocking, tak dalekiego w czasie i tak odmiennego od obecnej karykatury posiłku. Oczy jej rozbłyły i serdecznie, impulsywnie zawołała: - No, proszę spróbować kawałek. - Podsunęła talerz. Ciastko stało się dla niej nagle symbolem - przyjęcie go będzie oznaczać zwycięstwo, odmowa - klęskę. - No, proszę! - namawiała pieszczotliwie, jak gdyby mówiła do dziecka. - Pinkie, proszę wziąć kawałek, żeby mi zrobić przyjemność. Przecież pani wie, jak panią lubię.

Ale panna Hocking wykonała ręką ruch odmowy.

- Czy ja pociągam kobiety tak samo jak mężczyzn? - wykrzyknęła zakładając swe potężne nogi, jedna na drugą. - Oto pytanie!

Łucja oburzona, szorstko odstawiła talerz.

- Niech mi pani da swoją nocną koszulę, bym się w niej przespała - swobodnie zauważyła tamta. - Wtedy się przekonam.

- Po raz ostatni proszę - rzekła Łucja - by pani przestała mówić w ten sposób.

Ale panna Hocking bezmyślnym wzrokiem odpowiedziała na jej błagalne spojrzenie.

- Wiem, że to wątpliwe, ale jeśli Bóg dokona cudu, to będzie ze mną dobrze. Muszę jednak zbadać jedno. Proszę mi więc powiedzieć szczerą prawdę. Gdybym poszła na ulicę, ile by mi też płacono?

Łucja wydała krótki, rozpaczliwy okrzyk, będący na pół łkaniem. Całkowicie beznadziejnie. Musi zawezwać pomocy.

- Proszę się nie śmiać! - zawołała panna Hocking, nagle zmieniając ton. - Proszę się nie śmiać, mówię! - Głos jej był nabrzmiały gniewem, gwałtownie przechyliła się ku przodowi i wymierzyła Łucji lekki policzek.

Przez chwilę obie kobiety patrzyły na siebie, następnie panna Hocking wybuchnęła piskliwym szyderczym śmiechem.

- Ty idiotko! - krzyknęła pogardliwie. - Czy nie wiesz, że przewyższam cię pod każdym względem?

Rumieniec na twarzy Łucji stał się ciemniejszy. Wstała bez słowa i zabrawszy tacę, wyszła z pokoju. Nie czuła żalu, że poniosła klęskę, tylko wielkie oburzenie. Stała w kuchni zeszywniała, nic nie widząc. Ta kobieta - ta bezrozumna istota, dla której robiła, co tylko było w jej mocy - ośmieliła się uderzyć ją! Było to już ostatnią kroplą przepełniającą kielich. Teraz istotnie musi coś zrobić. Stała jeszcze przez chwilę z coraz silniejszym rumieńcem i zastanawiała się; następnie powziąwszy postanowienie, weszła do swojej sypialni i szybko włożyła płaszcz i kapelusz.

- Gdzie pani jest? - krzyknęła panna Hocking z drugiego pokoju. - Co pani robi?

Łucja nie odpowiedziała.

- Proszę tu przyjść - ponownie wrzasnęła tamta. Była widocznie podniecona. Niespokojnie miotła się po pokoju. - Niech pani tu przyjdzie natychmiast!

Łucja w odpowiedzi zacisnęła usta, szybko wyszła do hallu i podeszła do drzwi.

- Jest mi pani potrzebna! - rozległ się znów rozdrażniony głos, a w następnej sekundzie potężna postać panny Hocking wypełniła sobą drzwi jadalni. - Jak pani śmie nie przychodzić, gdy wołam!

- Wychodzę - krótko odrzekła Łucja. - Wrócę niedługo. - I zanim tamta zdołała odpowiedzieć, wyciągnęła klucz z zamku i otworzyła drzwi. Nerwowo zamknęła je za sobą, przez chwilę stała rozmyślając, po czym szybko ruszyła przed siebie.

Na dworze zapadał już mrok, a silny wiatr nadawał fantastyczne kształty drzewom po drugiej stronie ulicy. Pod wiatr, z przechyloną głową, Łucja biegła szybko ulicą, nie zwracając uwagi na jęczące drzewa, gdyż opór wiatru utwierdzał ją tylko w powziętym zamiarze.

Po pięciu minutach stała już u bramy domu doktora Hudsona - najbliższego lekarza w tej dzielnicy. Gdy przebiegłszy żwirowaną ścieżkę pociągnęła za sznur dzwonka, przysła jej do głowy dręcząca myśl, co panna Hocking mogłaby zrobić w czasie jej nieobecności: było to jakby raptowne przeczucie nieszczęścia.

Nagle uczuła zniecierpliwienie. Gniewała ją myśl, że tak długo to odkładała. Służącej, która otworzyła drzwi, powiedziała, że natychmiast musi rozmówić się z doktorem. Był w domu, lecz badał właśnie chorego. Na stanowcze żądanie Łucji, powtórzone mu przez służącą, przerwał jednak badanie i natychmiast wyszedł do poczekalni.

Znała Hudsona - wzywała go raz do Piotrusia. Człowiek wądry, w średnim wieku, powściągliwy w zachowaniu i niezwykle wytworny. Miał też wytworną powierzchowność: mała, spiczasta szpakowata bródka była wypomadowana, zgrabne nogi obute w lakierki, dość długie włosy wiły się w błyszczących puklach, koszula lśniła niepokalaną bielą. Otaczała go nieuchwytna atmosfera subtelności. Lekkim krokiem wszedł do pokoju i zbliżył się do Łucji. Nie zmieszana spojrzała na niego stanowczo i rzekła:

- Chodzi o pannę Hocking - osobę, z którą mieszkam. Proszę przyjść do niej i zbadać ją zaraz. Zachowuje się tak dziwnie.

- Dziwnie! - powtórzył patrząc na nią z pewnym powątpiewaniem. - Znam ją, zawsze była dziwna. Pani powinna o tym wiedzieć. Mieszka pani z nią od kilku lat, prawda?

Jej wiatrem osmagane policzki poczerwieniały nagle. W jego spojrzeniu wyczytała zapytanie, dziwne podejrzenie, rzucone na nią z powodu współżycia z panną Hocking - rzucone bezpośrednio i niesłusznie na te ostatnie pięć lat jej życia.

- Dotąd było to tylko dziwactwo - oświadczyła przyjmując jego wyzwanie. - Ale teraz objawia się to inaczej.

- Jak to inaczej?

Opowiedziała mu najważniejsze wypadki ostatnich dni. Gdy mówiła, oczy jego błędziły po pokoju. Nie całkiem rozumiała powód tego zachowania, ale widziała jasno, że doktor był do niej wrogo nastawiony.

- Nigdy nie można przewidzieć, jak się zachowają tego rodzaju ludzie - rzekł w końcu - a z tego, co mi pani opowiedziała, można by wnosić, że to tak zwane małe dziwactwo przerodziło się w coś bardziej zbliżonego do... - zrobił wymowną pauzę.

- Do czego? - zapytała obserwując go z napięciem.

- Do obłądu - odparł chłodno, jak gdyby wypowiedział skierowany do niej wyrzut - ostrego obłądu.

Chociaż właściwie zdawała sobie sprawę ze stanu panny Hocking, niemniej wstrząsnęły nią jego słowa i chłód, z jakim je wypowiedział. Przez całe lata mieszkała z kobietą stojącą na progu obłądu. I miała wrażenie, że lekarz podejrzewa ją o coś, lecz nie wiedziała, o co.

- Więc pan przyjdzie? - spytała trwożnie.

- Przyjdę - rzekł krótko. - Proszę zaczekać, aż skończę z tym pacjentem, to pójdziemy razem.

- Och, nie, nie! - wykrzyknęła zaciskając ręce. - Boję się o nią. Nie mogę jej dłużej pozostawić samej.

- Radzę pani zaczekać, - powtórzył chłodno. - Trzeba zachować ostrożność.

Ale ona widziała już w wyobraźni jakieś nieszczęście, dokonujące się w czasie jej nieobecności - nieszczęście, za które czułaby się odpowiedzialna. Potrząsnęła więc głową i skierowała się ku drzwiom, niespokojna i zmieszana.

- Odchodzę - powiedziała. - Proszę przyjść jak najprędzej.

Lekarz nie zmienił wyrazu twarzy.

- Jak pani sobie życzy - odrzekł spokojnie.

Szybko wybiegła z domu w zimny, wietrzny mrok i spiesznym krokiem zeszła z pagórka. Jeśli poprzednio miała jeszcze jakieś wątpliwości, to rozmowa z Hudsonem całkowicie je rozwiązała. Jakże by mogła myśleć o czekaniu teraz, gdy w całej pełni zrozumiała powagę sytuacji! Uprzytomniła sobie całe dobro, wyświadczone jej przez tę kobietę. Łucję ogarnęła fala tkliwości - od razu zapomniała o niedawnym policzku - przepelniając jej serce żywym współczuciem.

Pędem wbiegła na schody, zdyszana otworzyła drzwi i weszła do mieszkania. Natychmiast przystanąła, wciąż jeszcze dysząc ciężko. W hallu było teraz całkiem ciemno. Nie mogła nic widzieć, ale poprzez ciemność dobiegał dziwny szelest, który przejął ją zimnym dreszczem.

- Gdzie pani jest? - zawołała głośno, a w uszach jej szumiało.

Nie otrzymała odpowiedzi, lecz ów szelest, jakby ktoś powoli coś szarpał, bez przerwy dolatywał z salonu. W panicznym lęku Łucja wpadła do pokoju. Ujrzała pannę Hocking i przystanąła nagle. Pinkie stała przy stole, kontury jej ogromnej postaci, na pół tonąc w cieniu, rysowały się wyolbrzymione w szybko dogasającym świetle dnia. Pochylała potężne barki i głowę, a ręce jej poruszały się bez przerwy z powolną, mściwą złością, w drobne strzępy rozdierając gazety, które Łucja pozostawiła na stole.

- Pinkie! - krzyknęła Łucja dysząc. - Co pani robi?

Tamta odwróciła się i spojrzała na nią.

- Gdzie pani była? - spytała, a głos jej nie był już spokojny, lecz szorstki i naładowany ponurą wrogością.

- Wyszłam tylko na chwileczkę - odrzekła Łucja, a oddech jej był ciągle przyspieszony.

- Już mi pani to powiedziała - wybuchnęła panna Hocking wykrzywając dolną wargę w złośliwym grymasie - ale ja wiem, gdzie pani była. Zawsze i wszędzie szkodziła mi pani za moimi plecami. - Urwała robiąc pauzę. Wskazując na strzępki papieru, krzyknęła głośno: - Czy to pani gazeta?

- Tak - wykrztusiła Łucja - moja... ale proszę przestać. Pani mnie przeraża. Proszę... proszę pozwolić, bym zapaliła gaz.

Nagle ogarnęło ją przerażenie na widok dzikiego wzroku, którym przeszywała ją Pinkie. W coraz gęstszym mroku ta olbrzymia, nieuchwytna postać majaczyła przed nią nieopisanie groźna.

- Ja nic nie zrobiłam... naprawdę, nic nie zrobiłam, Pinkie - wyjąkała.

- Zrobiła pani! - wrzasnęła panna Hocking. - Dopuściła pani do tego. Widziałam w gazecie pani tę notatkę o nim. Przeczytałam ją, powiadam: przeczytałam. - Tak, odkryła to nieszczęsne ogłoszenie i na podstawie dzikiego skojarzenia obłąkanego rozumu całą winę przypisała Łucji. - Pani jest przeciw mnie - krzyczała znowu nabrzmiałym wściekłością głosem - pani zrobiła to wszystko. Wszystko! Pani mnie nienawidzi, a ja nienawidzę pani.

Nie odwracając od niej ponurego, złego spojrzenia, zaczęła okrążyć stół, powoli zbliżając się do Łucji.

- Pinkie, nie! Proszę tak nie patrzeć! - zawołała Łucja cofając się pod ścianę.

- Właśnie będę! Będę! - krzyczała panna Hocking. W końcu znalazła ujście dla całej swej powstrzymywanej namiętności, przedmiot, na którym mogła wyładować obłądne siły swej żywotności. W przystępie szaleństwa zaczęła zrywać z siebie ubranie, odrzucając je dzikimi ruchami ramion. Twarz jej z wyrazem obłądnej furii, niewyraźna w mroku, ocieniona zmierzwioną gęstwą włosów, była nieopisanie groźna.

- Pinkie, na miłość Boga! - wykrztusiła Łucja. - Ja nic nie zrobiłam! Daj spokój!

Ale tamta nie zwracała uwagi na jej słowa. Zerwała z siebie ostatnią część bielizny, a jej olbrzymie białe ciało niby przerażający upiór zbliżało się do Łucji.

Stała już teraz blisko niej, całkiem naga, nieprzyzwoita, i w przystępie szału ścisnęła swe jędrne piersi.

- Pani to zrobiła! - krzyczała. - Pani zniszczyła mi życie!

- Proszę zostawić mnie w spokoju - zawołała Łucja usiłując przemknąć do drzwi.

- Teraz panią przechwyciłam! - wrzeszczała tamta szaleńczo. - Teraz panią przechwyciłam!

I nagle rzuciła się ku niej. Łucja krzyknęła, ale krzyk ten nie zamarł jeszcze w powietrzu, gdy w ciemności wysunęły się dwie potężne ręce i nagle chwyciły ją za gardło. Ręce te miały wielkie palce, mocne jak stal, które wpiły się w jej miękką szyję i niby kleszcze zacisnęły się dokoła krtani. Broniła się, broniła rozpaczliwie, usiłując się wyrwać. Znów krzyknęła lub może usiłowała krzyknąć. Sama nie wiedziała. Te dwie ręce dławiły w niej życie. Rozpaczliwie rzuciła się nagle na nagie ciało, napierające na nią i tak chętnie przyjmujące jej opór. Zaczęła kopać; pochyliła głowę i ostre zęby wbiła mocno w te szatańskie dławiące ręce. Ale ręce zacisnęły się jeszcze mocniej. Miękkie, ciepłe ciało z jeszcze większą furią rzuciło się na nią. Znów usiłowała krzyknąć, ale na próżno, czuła, że słabnie. Głowa jej pochyliła się i bezsilnie opadła w tył, oczy wyszły z orbit; zniknął mrok, a zamiast niego wyłoniła się czerwona, mętna mgła, w której majaczyły przelotne światła. Ogłuszona, przerażona, pomyślała o Piotrusiu: Umieram - a co on pocznie beze mnie? Sine jej usta rozchyliły się. Słabym wysiłkiem próbowała coś wyszeptać, po czym nagle dotarł do jej uszu ryk - odgłos uderzenia... Opadła bezwładnie i pogrzyżyła się w głębokim mroku.

Nic nie czuła, lecz poprzez ciemność dochodziły ją niewyraźne migotliwe światła, krzyki. Miała niejasne wrażenie, że w pokoju jest dużo szybko poruszających się postaci; potem znów milczenie.

Gdy odzyskała przytomność, leżała na sofie. Silna woń amoniaku unosiła się w powietrzu. Zdawało się jej, że pokój jest pełen światła i ludzi chodzących tam i z powrotem,

że Hudson pochyla się nad nią, i śmieszne - jakiś człowiek w mundurze - policjant. Z sąsiedniego pokoju - czy może z odległości mili - dobiegał piskliwy, nieustający wrzask niby obłądny ryk zranionego zwierzęcia. Był to głos Pinkie.

- Już lepiej - usłyszała słowa Hudsona. - A czy nie mówiłem, żeby pani nie szła tu sama?

Czemu ten policjant patrzy na nią tak niespokojnie? I co on tu robi? Próbowała uśmiechnąć się do niego, skinąć głową, ale owa śmiertelna trwoga ścisnęła jej krtań. Po raz drugi Łucja popadła w omdlenie.

Upłynęły cztery dni, zanim zdołała dźwignąć się z łóżka. Hudson zapowiedział, że potrwa to tydzień, ale Łucja kierowała się zawsze swoją wolą, wobec czego czwartego dnia po południu, odprawivszy pielęgnującą ją panią Dickens, zebrała wszystkie siły i wstała. Ale dotknąwszy nogą podłogi, doznała okropnego wstrząsu i z trudem zdołała powstrzymać jęk. Przy najlżejszym ruchu przenikał ją od karku wzdłuż kręgosłupa potworny ból. Musiała stąpać ostrożnie, trzymać głowę całkiem nieruchomo, a nawet twarz zachować nieruchomą i sztywną, by uniknąć tego przeszywającego bólu. Mimo to nie cofnęła się. Opierając się o sprzęty, przeszła przez pokój i przejrzała się w lustrze. Była blada, a na bezbarwnej szyi widniały dwie czerwone pręgi niby skrzydła olbrzymiego motyla. Przyglądała się im z zaciekawieniem, następnie z lekkim dreszczem odwróciła się od zwierciadła. Tak samo sztywno narzuciła szlafrok i powłócząc nogami przeszła do hallu. Czuła się niezmiernie słaba, lecz za wszelką cenę pragnęła nie chorować dłużej.

Instynktownie - tym razem ból został spowodowany wspomnieniem! - unikała salonu, a wszedłszy do kuchni, ostrożnie usiadła przy oknie. Przed jej oczyma rozciągał się ten sam jaśniejący krajobraz morza i nieba, który tak często oglądała z okna swego własnego domu. Przez trzy dni, od chwili odzyskania połowicznej przytomności, wpatrywała się nieruchomo w tapetę na przeciwległej ścianie - w plamę niezmiennej zieleni - a w stanie obecnego jej osłabienia, ten miły, dobrze znany widok przejmował ją cichym smutkiem. Wokół panowała cisza. W całym mieszkaniu nie słychać było żadnego głosu, nie było też panny Hocking. Zabrali ją do zakładu dla obłąkanych. Jak dziwnie pomyśleć o tym - wywieźli ją w zamkniętej karetkie do Zakładu Blandforda na peryferiach Glasgow. Nieraz patrzyła na ten zakład z okna wagonu - wspaniały gmach z szarego kamienia, z wieżami, niby jakiś zamek wznoszący się na wzgórzu w ślicznym ogrodzie. Nigdy jednak nie mogła przypuszczać, że Pinkie... Rozpatrywała to całe nieszczęście beznamietnie, jak człowiek przyglądający się z teoretycznym zainteresowaniem jakiemuś obrazowi. Wszystko dokonało się tak szybko: straszne krzyki obezwładnionej panny Hocking, które słyszała niewyraźnie, jak przez sen, następnie przebudzenie; później pytania, zadawane jej przez Hudsona; jego telegram wysłany do brata panny Hocking - rosłego, smagłego, niezgrabnego mężczyzny o energicznej i zatroskanej twarzy nad wysokim białym kołnierzykiem. Nie wiadomo dlaczego kołnierzyk

ten - sztywny, bez spiczastych rogów, podobny do tych, jakie noszą duchowni - utkwiał w pamięci Łucji, która leżała w gorączce, gdy brat ów przyjechał. Kołnierzyk charakteryzował go poniekąd, chociaż pan Hocking nie był duchownym. Był adwokatem, i to głośnym, mającym przed sobą wielką przyszłość - jak to określił Hudson - nad którą czuwał zazdrośnie.

"Zawsze obawialiśmy się tego" - słyszała go znów, wypowiadającego te słowa wyrazistym i jasnym głosem. "Bardzo baliśmy się tego." - Bał się ponadto ujemnego wpływu tego faktu na swoją praktykę. "Oby się to nie rozniosło - powtarzał nie raz, lecz jakie dwadzieścia razy, z trwożnym naciskiem. - Dla mego zawodu byłoby to fatalne." Wnioskowanie poniekąd rozsądne - pomyślała, nikt nie darzyłby wielkim zaufaniem adwokata mającego obłąkaną siostrę.

Wystawiono pannie Hocking świadectwo - jak oni to określili? Ostry obłąd! Tak, tak to nazwano, a według diagnozy Hudsona stan ten był niewątpliwie beznadziejny. Przez pięć lat z górą Łucja mieszkała zatem z kobietą niespełna rozumu, u której stwierdzono teraz nieuleczalny obłąd! Myśl ta przeraziła ją, nadając minionemu okresowi jej życia cechę czegoś zdumiewającego, niepowtarzalnego. Dziwne, że nie myślała już teraz o dziwactwach panny Hocking, nie żywiła żalu za ten straszny i niezasłużony atak; pamiętała tylko o doznanej od niej dobroci. Tak, Pinkie była dobra - myślała, a oczy jej zwilgotniały od łez.

A teraz musi opuścić to mieszkanie w ciągu miesiąca. Urządzenie zostanie wtedy usunięte - nie wiedziała, czy oddane na przechowanie, czy sprzedane - wszystko to ułożył ten brat adwokat. Jaki on był dobry, pomimo że patrzył na nią tak samo dziwnie jak Hudson. Ale wiedziała, że sama nie potrafi opłacać czynszu za to mieszkanie.

Raptownie myśli jej zwróciły się do własnego fatalnego położenia, oczy, teraz już nie załzawione, utraciły wyraz rozmarzenia i twardo patrzyły na rzeczywistość. Położenie Łucji było istotnie ciężkie. Posiadała niewiele - szafę, bujak i obraz. Miała kilka dobrych sukien - jakże teraz żałowała tego wydatku, do którego skłoniły ją gorące namowy Pinkie - i dwadzieścia funtów w gotówce. Ale przecież miała syna, swego ukochanego syna, którego twarz wyłoniła się przed nią w owej chwili śmiertelnej męki, w chwili, którą uważała za ostatnią w swym życiu. Jego nie uważała za obciążenie, lecz za główną pozycję na koncie swojego życia. Miała też - tę przelotną myśl usunęła natychmiast - swych krewnych. Nie, po tych wszystkich latach nie przełknie ostatniej gorzkiej kropli upokorzenia, zwracając się do nich. Rola pokornej petentki nie odpowiadała jej. Łucja zmieniła się, utraciła dawną

łagodność. A jednak pod koniec tego miesiąca pozostanie bez zajęcia i dachu nad głową, o ile nie znajdzie wyjścia z sytuacji.

Poruszyła się niespokojnie, co sprawiło jej okropny ból. Rozgoryczona swą słabością, rozmyślnie pochyliła głowę, by wywołać ów ból, znosić go z zaciekłością, aż się sam wyczerpie i przejdzie w odrętwienie. Tak, taka była jej postawa życiowa.

Mimo to irytowała się tą przymusową beczynnością, żałowała straty ostatnich kilku dni, rozumiejąc, że przed poniedziałkiem nie będzie mogła wyjść z domu. Nieobecność w biurze niewiele ją obchodziła - zapłaca jej, a tylko o to jej chodziło; w myśli skończyła ostatecznie z Lennoxem. Ale musi szybko przyjść do siebie - koniecznie.

Postanowiwszy to, wstała. Była czwarta, ale Łucja nie miała ochoty na herbatę - zawsze wiedziała, że jest chora, ilekroć czuła niechęć do herbaty - więc nałala do rondelka trochę mleka i zagrzała na gazowej kuchence. Powoli wypila mleko, następnie, czując się trochę słaba, wróciła do łóżka. Leżąc snuła plany co do przyszłości - rozmyślała nad nimi, aż w końcu mrok objął spokojnie mieszkanie, pogrążając ją we śnie.

Dopiero w poniedziałek mogła wyjść z domu. Czuła jednak jeszcze zawrót głowy, chwiejnym krokiem zawlokła się z trudem do biura. Była niezwykle powściągliwa co do swego wypadku - jak to określali, a ona nie zaprzeczyła. Nie zwracała też zbytniej uwagi na ich słowa współczucia, nawet na uwagę Dougala: "Nie wygląda pani dobrze", odpowiedziała tylko skinieniem, a Dougal był przecież teraz jej ulubieńcem. Pomimo że huczało jej w głowie, ruszyła jak zwykle do swoich klientów. Nie chodziło jej oczywiście o zamówienia dla firmy, lecz o zdobycie innej posady. Musi się teraz do tego poważnie zabrać. Rozpoczęła swą wędrówkę z zaciekłością, ale nawet teraz nie uświadamiała sobie całej trudności swego zadania, a przynajmniej nie dopuszczała do siebie myśli o tym. Dzielnica, którą obchodziła, przeżywała okres stagnacji, pogrążona w kryzysie przemysłowym, który trwał długo po wojnie z Burami. Wszędzie panowała polityka ostrożnego pesymizmu. Większość warsztatów okrętowych pracowała już tylko co drugi dzień, największe huty stali w Winton zamknęły dwa piece, a w związku z tym mnóstwo kopalń zawiesiło pracę lub pracowało tylko na jedną zmianę. Były to wydarzenia na wielką skalę, ale wpływ ich z nieuniknioną koniecznością przejawiał się w drobniejszych sprawach. Skromnym kupcom wydłużyły się twarze, natomiast skróciły się kredyty. Nawet podczas swych ostatnich dni pracy dla Lennox'a Łucja zauważyła zmniejszenie się zamówień; dawało się odczuwać ogólne ponure oczekiwanie

złych czasów. W osiedlach kopalnianych górnicy siedzieli beczynnie, podpierali plecami ściany swych domostw, beznadziejnie patrząc na przechodzącą Łucję. W miastach, leżących w dorzeczu rzeki Clyde, tłumy bezrobotnych wystawały przed szynkami; huk młotów - tętno tamtejszego przemysłu - nie rozlegał się już z dawną siłą i energią, dźwięcząc teraz słabo i nieregularnie. Instynktownie wyczuwała te zapowiedzi nieszczęścia. Ci, co obrotnym językiem przyrzekali dać jej znać, jeśli o czymś usłyszą, teraz gdy odważyła się przypomnieć im tę obietnicę, powoływali się na złe czasy, nie sprzyjające znalezieniu posady. Poza tym kobiety nie były jeszcze w owych czasach dopuszczane do pracy jako równouprawnione, a Łucja nie miała kwalifikacji do tej wciąż jeszcze nierównej walki. Owe listy, wysłane przez nią z taką nadzieją, nie przyniosły ani jednej odpowiedzi. Bywały chwile, kiedy z pewnego rodzaju tępym zdumieniem zastanawiała się nad brakiem odzewu na jej oferty. Czy ludzie ci nie rozumieli, czego się wyrzekają? W tak okrutny sposób lekceważyć ją, Łucję Moore, tak zaradną, dzielną, gorliwą w pracy! Nie mogła tego pojąć.

Mimo to знаła swoją wartość i pozostała niewzruszona. Już ona jakoś zdobędzie wspinała posadę, wbrew wszystkim i wszystkiemu. Codziennie kupowała dwa dzienniki - także ten fatalny! - co rano brała je do ręki z nową otuchą, jedno po drugim przeglądała uważnie ogłoszenia, podkreślając piórem każde dające bodaj najlżejszą szansę.

Pisała owe oferty z jakąś zacieklą uporczywością, zmuszała się do optymistycznego tonu. Zakupiła lepszy papier listowy, wydawała mnóstwo szylingów na znaczki pocztowe. Zaczęła starać się nawet o stanowiska niemożliwe: o kierownictwo zakładu dla sierot, o miejsce sekretarki w Londynie, a nawet o pracę zarządczyni w pralni. W końcu zrozpaczona umieściła ogłoszenie, że przyjmie każdą zaoferowaną pracę, mogącą jej zapewnić skromne wynagrodzenie.

I nie nastąpiło nic poza tym, że dni upływały jeden za drugim. Nie odzyskała jeszcze pełnego zdrowia po owym wstrząsie. Hudson napomknął o urlopie, ale myśl tę wykluczyła od razu jako niemożliwą do urzeczywistnienia. Jednakże jej sztucznie podtrzymywana energia zaczęła się wyczerpywać.

Bywały dni, kiedy przychwytywała się na tym, że zwątpiałymi oczyma wpatruje się w pustkę. Nieraz budziła się w nocy i zapytywała, co się z nią stanie. A Piotruś! On był, oczywiście, jej główną troską. Nie wiedząc jeszcze o zmienionych warunkach jej życia, w dalszym ciągu pisał do niej serdeczne, optymistyczne listy, prosząc w jednym o lepsze

wieczne pióro, napomykając w drugim o widokach zrobienia kariery. Każdy taki list był dla niej wspaniałą zachętą, uszczęśliwiającym bodźcem, utwierdzał ją w dążeniu do celu. Musi zdobyć powodzenie i zdobędzie je ze względu na syna.

A jednak nie zdołała tego dokonać. Z uczuciem gorzkiej beznadziejności przyszła w sobotę do biura - po raz ostatni. Podeszła zgnębiona do swego biurka i zabrała się do wypisywania zamówień, ostatniej roboty w tej szarej brudnej norze. Mimo to niemal bolesnym spojrzeniem obejmowała tę szarość i z żalem rozstawała się z tym brudem. Znała to teraz dobrze. Tu pracował Frank, tu ona zarabiała na utrzymanie - tu zostawiła część własnego życia.

Wreszcie podniosła oczy i zauważyła, że Lennox patrzy na nią. Odchrząknął zażenowany i szybko odwrócił oczy. Ale po chwili podszedł do jej biurka. Byli sami.

- Czy pani znalazła jakieś zajęcie? - spytał zmieszany, a ona dostrzegła dziwny wyraz zainteresowania, który w ciągu tych ostatnich dni pojawiał się na jego twarzy coraz częściej. Przez chwilę panowało milczenie, po czym z wyrazem otuchy spojrzała prosto w oczy.

- Tak - skłamała, dotknięta widniejącym w jego oczach współczuciem. - Dostałam wczoraj korzystną posadę.

Twarz jego nieco się rozpogodziła.

- Więc jednak? To pięknie, tak, rzeczywiście. - Oczy mu rozbłyły i zaśmiał się krótko. - Zacząłem się trapić o panią. Wyglądała pani marnie w ostatnich dniach. Dziwne to, ale istotnie byłem tym mocno zgnębiony.

- Jestem zupełnie zdrowa - odrzekła spokojnie. - Zupełnie silna i zdrowa.

- Wiem - rzekł szybko. - Jest pani dzielna jak mocny konik. Zawsze o tym wiedziałem. Tylko że w ostatnich czasach wyglądała pani marnie. Za nic w świecie nie chciałbym przypuszczać, że może ja jestem za to odpowiedzialny. Urwał, gładząc swą starannie pielęgnowaną brodę z miną tak niemądrą, jak gdyby sam nie rozumiał, dlaczego to powiedział. Przy całym swym dziwactwie żywił dla niej bezwiednie szczególnie szacunek, który przesłonięty namiętym umiłowaniem pracy, przytłoczony przez wrodzoną chytryść, w ciągu ostatnich lat został jakby odsunięty na bok, mimo że zawsze był obecny. Teraz Lennox

dobrowolnie wyrzekł się swego zajęcia. Czuł się trochę samotny, nie stanął jeszcze pewną stopą w tym świecie nowym i nieznanym. Ale w tej chwili, obejmując spojrzeniem jej drobną zgrabną postać, przypomniał sobie niejasno owe ciche popołudnie, kiedy nieśmiało otoczył ją ramieniem. Jak jędrna była w dotyku, jędrna, a równocześnie delikatna! Jego blada, przystojna twarz okryła się nagłym rumieńcem. Był kawalerem z własnej chęci, oczywiście, ale miał dopiero pięćdziesiąt siedem lat i, jak sam mówił, był zdrow jak ryba.

- Byłem tak zajęty kontraktem, że wszystko inne uleciało mi z głowy - rzekł w końcu, trochę niejasno i z niezwykłą nieśmiałością.

- To jasne - powiedziała ze sztuczną pogodą. Nie rozumiała powodów jego zażenowania. Gdy minął pierwszy wstrząs, spowodowany zwolnieniem z posady, ulotnił się też jej gniew. Zaczęła nawet wczuwać się w motywy jego postępowania.

- Cieszę się jednak - powtórzył podnosząc brodę. - Cieszę się naprawdę, że pani znalazła pracę. - Spojrzał na nią z ukosa i dodał: - Jakie to zajęcie?

- Lekcje - rzuciła na chybił trafił. - Doskonała posada.

- Rozumiem - odrzekł, trochę niewyraźnie. - Rozumiem - powtórzył; przez chwilę przyglądał się jej niepewnie, następnie podszedł do okna, obracając w palcach ołówki, rozważając dziwny, nieuchwytny pomysł.

Patrzyła na kwadratowe plecy Lennox'a - jak zawsze nosił szary wełniany garnitur. Czemu go okłamała? To takie niepodobne do niej. Nie wiedziała, natomiast z jasno określoną, bolesną obawą zdawała sobie sprawę, że za wszelką cenę musi uniknąć jego wyrazu współczucia, musi uniknąć powiedzenia: "Jest mi przykro, bardzo przykro, że pani nie znalazła zajęcia." Jej udręczone serce nie potrafiłoby już znieść tego. Wszystko potrafi wytrzymać prócz wystawiania na pokaz swej nędzy.

Siedząc pochylona nad księgą, zauważyła jednak, że odwrócił się od okna, jak gdyby chciał coś powiedzieć. Ale w tejże chwili szybko otwarto drzwi wejściowe i do biura weszli Andrews i Dougal. Momentalnie Lennox przystanął, wsunął ręce do kieszeni i jakby trochę zmieszany zaczął cicho pogwizdywać. Instynktownie uczuła spoczywające na niej spojrzenia Dougala i Andrewsa. Udało im się znaleźć zajęcie: Dougala przyjęto u Hagelmann'a, a Andrews oczekiwał spokojnej, miłej egzystencji w sklepiku z gazetami i papierem, który

nabył "za parę groszy swojej żony". Tak, wszyscy się gdzieś zaczepili, ale nie ona - nie, jej się nic nie udało: była kłamczynią, idiotką! Niech będzie, nie dba o to. Będzie wysoko podnosić głowę i zmuszać się do śmiechu.

Skończyła wypisywanie, zamknęła księgę, odłożyła ołówek i spojrzała na zegar. W tej samej chwili wybiła pierwsza - uderzenie powolne, złowrogie.

- A zatem - zawołała Łucja wesoło, a przynajmniej z pozorną wesołością - koniec firmy Lennox! - Przyjęli tę jej uwagę z odpowiednią powagą. Chwila nadawała się do tego. Wszyscy uściskali sobie ręce. Lennox wręczył im koperty z pensją.

- Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy, pani Moore - rzekł poważnie Dougal. Był teraz wyższy od niej, ubrany dobrze, czysto i miał minę kupca - nawet uszy nie wydawały się teraz tak odstające. Nie do wiary, jak się zmienił w ciągu tych paru lat.

- Tak, zderzymy się z sobą - odrzekła żywo. - Z całą pewnością.

- Mam nadzieję - rzekł poważnie.

- A proszę nie zapominać mnie odwiedzić - wykrzyknął Andrews, w tej chwili całkowicie wolny od melancholii. - Proszę zajrzeć po drodze - a łącząc uprzejmość z interesem, dodał: - Mamy wszystkie gazety.

- Cieszę się, że pani dostała zajęcie - rzekł Lennox głosem przyciszonym, poufnym, wciąż jeszcze trochę niemądrze, z wahaniem, przytrzymując jej rękę nieco dłużej, niż było potrzeba. - Któregoś dnia przyjdę do pani na herbatę.

Na herbatę! Czyż możliwe, by kiedykolwiek miał do niej przyjść na herbatę?

Włożyła kapelusz i płaszcz, raz jeszcze rozejrzała się wokoło, następnie jeszcze ode drzwi skinęła głową krótko, powściągliwie i uśmiechnęła się do wszystkich razem.

- Do widzenia więc - zawołała wesoło - i życzę szczęścia.

Wciąż jeszcze uśmiechnięta, odwróciła się i zeszła ze schodów. Ale na dworze uśmiech ten rychło ustąpił skrzywieniu ust. Wargi jej drżały, gdy szła na stację i wsiadła do wagonu. Znalazłszy się w pustym przedziale, ze zmartwiałą twarzą patrzyła na poduszki

przeciwległej ławki, po czym nagle schowała głowę w dłoniach i z oczu jej popłynął strumień cichych łez.

Jednak łyzy te, jakkolwiek bezwiedne, nie były wyrazem poniesionej klęski. Od razu przyniosły Łucji ulgę, szybko się opanowała i uświadomiła sobie niemal z uśmiechem, że ani utrata pracy, ani przymusowe opuszczenie mieszkania nie są równoznaczne z porażką. Znowu nabrała otuchy.

Znajdzie inne zajęcie. Znajdzie je sama bez zobowiązań wobec kogokolwiek. Musi też wyszukać sobie jakieś chwilowe pomieszczenie, jakiś tani pokój. Od razu postanowiła nie wynajmować go w Ardfyllan. Jakkolwiek nie była zbyt znana w mieście, to jednak nie chciała przyznać się ludziom do nagłej zmiany swej sytuacji materialnej i stanowiska, w ogóle ujawniać nowych warunków życia. Pragnęła usunąć się stąd całkowicie, rozpocząć wszystko od nowa. Ważne było dla niej, by znaleźć się w pobliżu centrum i dlatego gotowa była wykorzystać każdą nadarzającą się sposobność; poza tym wiedziała, że w śródmieściu będzie mogła łatwo dostać niedrogie mieszkanie.

Tak więc z góry powzięła decyzję co do tego najbliższego kroku. Umysł jej pracował znowu sprawnie i jasno, ale nigdy - ani przez jedną chwilę - nie pomyślała o szukaniu pomocy u krewnych. Był to ostatni środek ratunku, najmniej nadający się do przyjęcia. Nie będzie się płaszczyć przed nikim. Joe oczywiście nie wchodził w ogóle w rachubę - raz na zawsze postawił się poza nawiasem jej życia; dawne, gwałtowne zainteresowanie Edwarda drażniło ją tylko; a jeśli chodzi o jej rodzony brata Ryszarda, to sama powiedziała, że wolałaby zginąć niż prosić go bodaj o jednego pensa.

Jej kapitał był śmiesznie mały - zaledwie kilka funtów. Ale mimo wszystko była znowu pełna optymizmu - decyzja została powzięta. Z wielką energią zabrała się do dzieła. Nie kupowała już gazet, lecz korzystała z nich w czytelni publicznej. I znowu z bolesnym niemal napięciem wczytywała się w dział ogłoszeń. W poniedziałek napisała dwadzieścia listów zawierających oferty. We wtorek wyruszyła do Glasgow zgłaszając się w każdej firmie, nawet takiej, która miała bardzo niewiele wspólnego z jej poprzednim zajęciem. W środę odkryła anons, że potrzebny jest agent w jednej z mniejszych przedsiębiorstw w Raisley, a kandydaci mają zgłaszać się osobiście. Natychmiast wyruszyła w drogę. Miasto leżało poza trasą jej biletu miesięcznego, więc chcąc oszczędzić wydatku, pojechała rannym pociągami dla pracujących,

ze wstrętem siedząc pośród gromady robotników w bawełnianych bluzach, którzy ciągle palili i pluli. Ale posada została zajęta na godzinę przed jej przybyciem. "Czy w ogóle nie mam szczęścia? - zadała sobie Łucja pytanie. - Czy nic w moim życiu nie zmieni się na lepsze?" Do domu wróciła w rozpaczliwym nastroju.

Czwartek spędziła w mieszkaniu pisząc listy. Przyszło kilku ludzi, by umówić się co do zabrania w najbliższy poniedziałek mebli panny Hocking. Łucja spakowała więc swoją garderobę.

Wbrew woli musiała przyznać, że sytuacja jej staje się rozpaczliwa. Cztery długie dni wysiłków i żadnych wyników, żadnych.

Niespokojnie chodziła po mieszkaniu, siadała, dotykała klawiszy fortepianu i znów wstawała. Ogarnęło ją dziwne wzburzenie, przypisywała je zbliżającemu się rozstaniu z mieszkaniem. Wzięła do ręki książkę, lecz nasłuchując pukania listonosza nie potrafiła skupić uwagi. Czy nigdy już nie spotka jej nic dobrego? Gdy ze ściśniętym sercem usłyszała, że listonosz minął jej drzwi, obojętnie odłożyła książkę i od razu poszła spać.

W piątek powiedziała sobie bez ogródek: "Jeśli się nic nie stanie w ciągu dzisiejszego dnia, muszę jutro rozejrzeć się za pokojem". I nic się nie stało w ciągu dnia.

Wobec tego nazajutrz wyruszyła do miasta, by znaleźć dach nad głową. Był to krok tak bardzo przykry, że odkładała go do ostatniej chwili - wszelka tymczasowość wywoływała w niej uczucie jakiegoś braku - ale dłużej już zwlekać nie mogła. Uświadomiwszy sobie tę gorzką konieczność, wczesnym pociągiem wyjechała do Galsgow, a gdy wysiadła na Queen Street, dziwnie opanowana i spokojna ruszyła w kierunku United Street.

Nagle zderzyła się z kimś. Odwróciła się gwałtownie, podniosła głowę i zobaczyła uśmiechniętą twarz młodego Frame'a. Spotkanie to żywo przypomniało jej ową chwilę w pierwszym dniu u Lennox, kiedy biegnąc jak zwykle z impetem, wpadł na nią na schodach.

Była tak nieprzygotowana na to obecne spotkanie, że mimo woli zawołała:

- To pan!

- Powiedziała pani, że się zderzymy - rzekł uśmiechając się jeszcze bardziej. - Ale nastąpiło to wcześniej, niż myślałem.

- Tak - powiedziała nieco oziębło - nie spodziewałam się jednak, że mnie omal pan nie przewróci.

- Bardzo mi przykro - wykrzyknął spiesznie, a uśmiech jego przygasł. - Za bardzo się widać, spieszyłem. - Zamilkł zmieszany jej dziwnym brakiem serdeczności, a tymczasem długie szeregi ludzi mijały ich po obu stronach chodnika.

- Właśnie wracam od ciotki - rzekł usprawiedliwiając się z coraz większym zakłopotaniem. - Jest kasjerką u "Hendersona i Shawa" - to administratorzy domów, wie pani.

Uśmiechnęła się lodowato, zadając sobie pytanie, jak by się go pozbyć, a zachowaniem swym dając do poznania, że właśnie w tej chwili nie jest absolutnie usposobiona do słuchania jego naiwnej paplaniny.

- Ciotka jest w prawdziwym kłopotcie - ciągnął; poczerwieniał jednak zauważywszy jej uporczywe milczenie. - Jeden z jej inkasentów odszedł bez wypowiedzenia i ciotka jest zrozpaczona; nie wie, w jaki sposób tak na poczekaniu znajdzie kogoś pewnego. Chciała, bym ja wziął tę posadę, ale o tym nie ma mowy. W poniedziałek zaczynam pracować u Hegelmanna.

Raptownie podniosła głowę i wpatrzyła się w niego - już nie z lodowatym uśmiechem, lecz z żarliwością rozbłyskującą nagle niby światło w jej ciemnoniebieskich oczach.

- Posada! - wykrzyknęła innym tonem. - Powiedział pan, że ofiarowała panu posadę?

- Płacą tylko dwadzieścia pięć szylingów tygodniowo. I trzeba przez cały dzień dreptać i ściągać czynsze. Nie, dziękuję - odrzekł pogardliwie. - Cóż to za robota! Ani bym nie spojrział.

- Czy... - pytała powoli - nie wie pan, czy już kogoś przyjęli?

Potrząsnął głową. - Myślę, że będą musieli dać ogłoszenie w gazetach.

- Dougal - zawołała z nagłą, nie hamowaną gwałtownością - sądzi pan, że... daliby mi to zajęcie?

Spojrział na nią zdumiony z otwartymi ustami.

- Przecież pani znalazła już posadę - wyjąkał. - Tak nam pani powiedziała w biurze. Poza tym praca ta nie byłaby odpowiednia dla pani.

- Odpowiednia?! - wykrztusiła z trudem. Chwila nie nadawała się na efektowne popisywanie się sukcesami. Rzekła prędko: - Panie Dougal, ja muszę dostać jakieś zajęcie. Proszę nie pytać, dlaczego. Po prostu muszę się gdzieś zaczepić. Jeśli pan sądzi, że przyjęto by mnie tam, to chwyciłabym tę posadę oburącz, tak, oburącz, gdybym tylko miała widoki na jej otrzymanie.

Wciąż jeszcze zdumiony, odrzekł powoli:

- Widoki ma pani z pewnością. Moja ciotka jest tam kasjerką od wielu lat. Da pani tę robotę, nie mam najmniejszych wątpliwości co do tego.

Nie zastanawiając się nad głęboką ironią sytuacji - że ten dawny chłopiec na posyłki, na którego patrzyła tak nieufnie, ofiarowuje jej teraz pomoc w zdobyciu nowego zajęcia - spojrzała na niego promiennie. Być może jest jej wybawcą. Tak, ostatecznie jest to jakaś szansa - szansa otrzymania pracy, którą łudziła się od tygodni, szansa natychmiastowej zmiany jej sytuacji życiowej.

- Proszę powiedzieć mi coś bliższego - powiedziała szybko. - Pójdę tam natychmiast.

- Niech się pani zastanowi, to naprawdę niewiele warte. Tylko dwadzieścia pięć szylingów tygodniowo. Nie sądzę, by pani to odpowiadało. A robota także niezbyt przyjemna - zamilkł widząc jej zapał. - Ale może... może to pani weźmie, na razie.

- Będzie mi odpowiadać, jeśli tylko dostanę. - Zaśmiała się zachwycona, trochę zdyszana z wielkiego wzruszenia. I pomyśleć, że przed chwilą obeszła się z nim prawie niegrzecznie. Tonem bardziej serdecznym dodała: - A teraz proszę mi prędko powiedzieć, gdzie mam pójść.

- No, dobrze - rzekł w końcu, uśmiechając się współczująco. - Biuro mieści się na końcu Davis Street. Firma "Henderson i Shaw", administratorzy domów. Niepodobna nie trafić. Proszę zapytać o pannę Tinto i powołać się na mnie. Nie mogę niestety pójść z panią. Nie będzie pani zresztą mieć żadnych trudności. Uważam jednak, że ten rodzaj zajęcia nie będzie dla pani odpowiedni.

- Mniejsza o rodzaj - powiedziała rzucając mu ciepłe spojrzenie - mnie chodzi o pracę.

- Rozumiem - rzekł powątpiewająco, choć było jasne, że wcale nie rozumiał. Na twarzy jego widniał jeszcze pytający uśmiech, gdy ujęła go za rękę i potrząsnęła nią szybko, z wdzięcznością.

- Do widzenia - pożegnała go serdecznie - i tysięczne dzięki.

- Och, proszę - był wyraźnie zakłopotany - nie ma za co dziękować. Już my... już my się znów zderzymy któregoś dnia.

Skinęła głową, rzuciła mu ostatnie, szybkie spojrzenie, odwróciła się i ruszyła chodnikiem przed siebie. Wreszcie ujrzała przed sobą promień szczęścia i za wszelką cenę postanowiła to szczęście wyzyskać. Przypomniawszy sobie nagle ową posadę w Raisley, obsadzoną przed jej przybyciem, skręciła w Davis Street, biegnąc niemal z niecierpliwością. Nie przystanęła, by zaczekać na tramwaj - w obecnym nastroju uważała go za zbyt wolny - i w parę minut przebiegła całą długość ulicy. Następnie zatrzymała się i uważnie przeczytała napis: "Henderson i Shaw - administratorzy domów".

Zauważyła od razu, że jest to wspaniałe biuro, frontowe, z szybą wystawową osłoniętą misternie kutą kratą; drzwi były z mahoniu, metalowe okucia z błyszczącego mosiądzu - cały lokal zupełnie inny niż te podwórzowe pokoiki przy Saddleriggs. Nie była jednak onieśmielona. Energicznie wysunęła podbródek, nacisnęła klamkę i weszła.

Znalazła się w obszernym pokoju z wysokim sufitem, długą i błyszczącą ladą otoczoną mosiężną poręczą. Za ladą stało ogromne, masywne biurko, a przy nim siedziała potężna, otyła kobieta. Inne meble: dwa stoły, kilka krzeseł, duża zielona kasa ogniotrwała wmurowana w ścianę, umieszczone były również za ladą, ale przede wszystkim biurko i kobieta zwracały na siebie uwagę, przykuwały wzrok.

Przez długą chwilę Łucja stała na posadzce ułożonej w mozaikę, w milczeniu patrząc poprzez ladę otoczoną mosiężną poręczą - w ogóle zdawał się tu panować nadmiar mosiądzu - na kobietę, która, nie spojrzawszy na nią, powoli wodziła piórem wpisując coś do grubej księgi handlowej.

Chcąc zwrócić na siebie uwagę kobiety zatopionej w pracy, Łucja zakaszłała, ale nie odniosło to skutku. Po chwili pióro skrzypnęło cicho, kobieta przestała pisać, z wyrzutem spojrzała na stalówkę, ze wstrętem zdjęła niewidzialny włoszek i znów zaczęła pisać.

- Przepraszam panią - rzekła nagle Łucja.

Kobieta odwróciła się powoli, ukazując wielką, błyszczącą czerwoną twarz, której punktem centralnym były okulary w złotej oprawie. Miała na sobie czarną suknię ze sztywnego materiału, zapiętą pod szyję, ozdobioną jedynie złotym łańcuszkiem. W tej chwili wstała z krzesła w milczeniu i energicznie podeszła do lady. Widziana z bliska wydawała się jeszcze potężniejsza, a jej biust był wprost olbrzymi.

Spojrzała badawczo na Łucję sponad masy tego imponującego biustu i głosem nieoczekiwanie łagodnym powiedziała:

- Proszę?

Przytłoczona wspaniałą postacią, Łucja doznała nagle dziwnego uczucia własnej nicości, ale mimo to wysuwając rezolutnie podbródek, spytała:

- Czy panna Tinto?

Tamta skinęła potakująco, lekko stukając piórem o ladę.

- Nazywam się Moore - przedstawiła się Łucja. - Przyszłam w sprawie wolnej posady.
- I zanim panna Tinto zdążyła się odezwać, szybko i dokładnie opowiedziała szczegóły dotyczące jej przyjścia. Była to długa historia, a gdy raptownie zamilkła, poczuła, że drży cała z wielkiego napięcia.

- Tak - rzekła w końcu panna Tinto, dokładnie obejrzawszy Łucję przez okulary w złoconej oprawie; następnie z nieoczekiwaną poufałością dodała: - Bardzo sympatyczny chłopak ten mój siostrzeniec.

- O tak - z zapałem przytaknęła Łucja.

- Sierota, żył w ciężkich warunkach - mówiła panna Tinto snując wspomnienia - a muszę przyznać, że daje sobie radę nadspodziewanie dobrze.

Łucja gorliwie przyłączyła się do tej krótkiej pochwały dotyczącej rozwoju młodego Frame'a.

- Szkoda - rzekła ostrożnie panna Tinto - ale mnie do tej pracy potrzeba mężczyzny. Nie znaczy to, by panna Tinto brała to swoje oświadczenie dosłownie! Już w wieku dwudziestu pięciu lat wiedziała wszystko, co należy wiedzieć, o mężczyznach i ich fałszu. Panna Tinto była spokojną, zdolną, godną szacunku kobietą interesu, pionierką swojej epoki i dziewicą, która potrafiłaby utrzymać w ryzach każdego mężczyznę i całkowicie go sobie podporządkować. Ale mimo swej oschłości panna Tinto umiała być miła, jeśli czuła, że dany człowiek na to zasługuje. A teraz przyjrawszy się ponownie pełnej wyczekiwania postaci Łucji, dodała: - Musimy ściągnąć czynsze w najrozmaitszych dzielnicach.

- To by mnie nie odstraszyło - szybko oświadczyła Łucja. - Przez sześć lat miałam pracę wykonywaną zwykle przez mężczyzn.

- Pani temu nie podoba - rzekła panna Tinto w zamyśleniu. - Nie wygląda pani na zbyt silną.

- Ale jestem wytrwała - prosiła Łucja. - Niech mi pani pozwoli spróbować, a dowiodę tego.

Niewiarygodne, ale na błyszczącej twarzy panny Tinto z wolna rozlał się uśmiech. - Ma pani o sobie dobre wyobrażenie - rzekła z żartobliwym przekąsem. Przesunęła piórem po włosach mysiego koloru, a twarz jej przybrała wyraz poprzedniej obojętności.

- Musiałaby pani przedstawić pierwszorzędne referencje - dodała po chwili. - Nasi inkasenci mają do czynienia z pieniędzmi, pani rozumie.

- Mogę przedstawić takie referencje - zarliwie wtrąciła Łucja i bez wahania wymieniła nazwiska Lennox, Edwarda i Ryszarda. - Ryszard Murray to mój brat - dodała.

Efekt był zdumiewający.

- Ach, to brat pani - powiedziała cicho panna Tinto z miejsca przekonana. Spojrzała na Łucję całkiem innymi oczami. - Więc pani jest siostrą Ryszarda Murraya. - Po chwili dodała: - To człowiek bardzo poważny. Wiem o tym, bo mieszkam w Ralston.

Zapanowała chwila doniosłego milczenia. Następnie panna Tinto podeszła bliżej i podniosła klapę lady.

- Proszę wejść i usiąść - rzekła, a w zachowaniu jej był nawet odcień serdeczności. - Pomówię o pani z panem Rattray.

Łucja zaczerwieniła się lekko i usiadła na jednym z mniejszych krzeseł, panna Tinto zaś weszła po kilku schodach, zapukała do szklanych drzwi i znikła za nimi. Dla Łucji był to moment decydujący, kiedy ważyły się szale jej losu. Tym razem na pewno się powiedzie. nie myli się chyba sądząc, że panna Tinto jej sprzyja. Czyż nie zauważyła w spojrzeniu tamtej błysku współczującego zrozumienia? Łucja siedziała nieruchomo, patrząc niewidzącymi oczyma na olbrzymią kasę ogniotrwałą, drobne ręce spłotła na kolanach, włosy błyszczące teraz w jasnym świetle opadały w delikatnych puklach na biały kark, a twarz jej była skupiona i pełna napięcia.

Była to kiepska posada, a jednak rozstrzygnięcie tej sprawy miało dla niej tak wielkie znaczenie. Jakkolwiek pensja była marna, mimo to wystarczała przynajmniej na osiągnięcie obecnego celu. Niech tylko jej się powiedzie, a natychmiast poniecha myśli o wstrętym sublokatorskim pokoju. Snując dalsze plany widziała siebie, jak wynajmuje małe skromne mieszkanko. Parę sprzętów przywiezie do miasta tanim kosztem. Będzie przynajmniej mieć dach nad głową dla siebie i Piotra, gdy wróci. I to w Glasgow. kiedy powzięła myśl zamieszkania tutaj, kierowały nią bardzo ważne motywy. Pragnęła usilnie zachować swą niezależność, otrzymać tę posadę. Otrzyma ją, musi ją otrzymać, było to dla niej kwestią życia, czymś nieodzownym, koniecznym dla dobra jej i Piotra.

Nagle ze ściśniętym sercem podniosła oczy - panna Tinto schodziła ze schodów. Drżąc cała, podniosła się z krzesła. Twarz tamtej nie zdradzała niczym doniosłej decyzji, którą miała jej za chwilę zakomunikować.

- A zatem - rzekła panna Tinto powoli - mówiłam z panem Rattrayem.

- I co? - cicho spytała Łucja myśląc w duchu: O Boże, jeśli mi się znów nie powiedzie, to co się ze mną stanie? Jeszcze nigdy w czasie swoich poszukiwań nie była tak bliska sukcesu.

- On jest kierownikiem firmy - ciągnęła dalej panna Tinto. Nie spieszyła się wcale, by podać wynik swej rozmowy, dodała: - "Henderson i Shaw" to tylko nazwa firmy. Naprawdę należy ona do pana Rattraya.

- Tak? - szepnęła Łucja. I znów poczuła, że drży.

- Właściwie prowadzenie całego interesu pozostawia mnie - rzekła panna Tinto trochę wyniośle. - Pracuję tu od trzydziestu lat. Ma do mnie pełne zaufanie.

- Tak? - Łucja ponownie wyszeptała to słowo. Czyż nigdy się już nie dowie?

Nastąpiło krótkie milczenie.

- Postanowiłam więc oprzeć się na pani referencjach - powiedziała wreszcie panna Tinto, niemal życzliwie uśmiechając się spoza okularów. - Jeśli będą zadowalające, może pani rozpocząć pracę w przyszłym tygodniu.

Coś dziwnego stało się z Łucją. Chciało się jej płakać, śmiać i łkać głośno. Przyjęli ją. Znów może rozpocząć normalne życie, przyszłość, którą kształtować będzie swymi dzielnymi rękami, należy do niej. Niby zły sen pierzchły wspomnienia niepowodzeń ubiegłego miesiąca. Spojrzała na potężną postać panny Tinto i w dziwnym przypiływie uczucia zapragnęła nagle przytulić się do jej macierzyńskiej piersi. Szybko opanowała się jednak.

- Dziękuję pani - powiedziała prawie szeptem. - Jestem... jestem bardzo wdzięczna... - więcej powiedzieć nie mogła.

W miesiąc później siedziała w swoim nowym mieszkaniu, jedząc śniadanie - kromkę chleba z masłem i herbatę. Gaz syczał głośno w lampie. Dochodziła ósma, nad miastem wisiała gęsta mgła nie pozwalając przedrzeć się blademu światłu nadchodzącego dnia i ponuro nacierając na okna pokoju.

Nie był to pokój miły, o czym wiedziała od pierwszej chwili, ale miał pewne zalety. Na wprost niej pod oknem znajdował się wyszczerbiony zlew pod kurkiem wodociągu, z którego wciąż kapało, ale niemniej był bardzo wygodnym źródłem wody; po prawej stronie starannie wyczyszczona kuchenka, a na niej maszynka gazowa połączona węzłem gumowym z lampą. Po lewej stronie przytwierdzony do ściany stał spaczony drewniany grat - skrzynia na opał, służąca ewentualnie jako ława. Tak przedstawiało się skromne urządzenie pokoju, a sprzęty - kwadratowy stolik, przy którym siedziała, dwa wyplatane krzesła, stary bujak i małe żelazne łóżko w alkwie - wyglądały równie beznadziejnie. Przez otwarte drzwi tej kuchni-sypialni widać było dalszą część mieszkania - ponury przedpokój łączący się z drugą sypialnią, w której nie było żadnych mebli prócz szafy i żelaznego łóżka, oraz małą łazienką, w której znajdowała się popękana brudnozielona wanna w butwiejącej drewnianej skrzyni. Ściany tych pokoi tak samo jak ściany kuchni obite były brązowymi tapetami o zatartym wzorze, a w tym mglistym świetle miały wygląd zdecydowanie melancholijny.

Takie było zatem jej nowe mieszkanie - owo "gniazdko", na które czekała z taką radością. Zrobiła jednak, co mogła. Przez dwa dni szukała "na wszystkie strony", jak się wyraziła w rozmowie z panną Tinto, ale nawet przy fachowej pomocy firmy "Henderson i Shaw" ten pokój z kuchnią i tak zwaną łazienką, na najwyższym piętrze ogromnego domu, który składał się z takich wyłącznie mieszkań, był jedynym pomieszczeniem, choć w przybliżeniu odpowiadającym jej wymaganiom i kieszeni. Czynsz wynosił siedem szylingów tygodniowo, właśnie tyle, na ile mogła sobie jeszcze pozwolić, a dom, właściwie cały blok domów biegnących wzdłuż ulicy, jak na ironię nazwanej Flowers Street (Ulica Kwiatowa) - ział szarym i brudnym ubóstwem.

Dom ze swymi ciasnymi, ponurymi wejściami i ciemnymi, słabo oświetlonymi schodami nie był właściwie ostateczną rudera, a ulica również nie należała do najgorszych,

choć niewiele jej do tego brakowało. Coś nieuchwytnego - może ślad lepszej przeszłości - ratowało ten dom i ulicę, chroniło je przed ostatecznym upadkiem. I właśnie tutaj przy Flowers Street 53 musiała obecnie z konieczności zamieszkać.

Zrazu chciała upiększyć trochę to swoje mieszkanie i urządzić je jako tako wygodnie. Znowu jednak - jakkolwiek niechętnie - zmuszona była podporządkować swe pragnienie nakazowi konieczności. Ze swego skromnego funduszu miała jeszcze opłacić ostatni kwartał nauki w szkole Piotra, mogła więc pozwolić sobie jedynie na najkonieczniejsze rzeczy: dwa łóżka, kilka używanych krzeseł i najtańsze sprzęty kuchenne. Jak gorzko żałowała teraz, że za marną sumę tak łatwo pozbyła się dawnego urządzenia. Ale stało się i nie mogła nic na to poradzić.

Nie, to nowe mieszkanie nie było takie, jak się spodziewała. Nie było jeszcze domem, lecz wierzyła, że niebawem zrobi z niego dom - Albo, o ile poprawi się jej sytuacja i zwiększą dochody, zamieni je na coś bardziej odpowiedniego.

Tymczasem skończyła śniadanie i rzuciwszy okiem na tani nikłowy budzik - kupiony również na nowe mieszkanie - wstała, zgasiła gaz i weszła do przedpokoju. Tu, w jaskiniowej ciemności, zdjęła z niewidocznych haków płaszcz i kapelusz, ubrała się szybko, wyjęła klucz z kieszeni, otworzyła drzwi i wyszła.

Skoro tylko spiesznie minęła wąską bramę domu, postać jej otuliła mgła upiornie zalegająca ulicę. W tej dzielnicy - może z powodu bliskości rzeki - mgły były zazwyczaj gęstsze i bardziej uporczywe, ale w tej chwili zbite opary, przedarte czerwoną tarczą słońca, podniosły się w górę, wyraźniej ukazując nędzę dzielnicy, która ciągnęła się przez Kelvinbank do doków i rozpaczliwą ucieczką zdawała się bronić przed zetknięciem z przyległymi zaułkami.

Nawet teraz, szybko biegnąc przed siebie, Łucja podświadomie czuła panującą tutaj atmosferę ubóstwa. Ulice były wąskie, wybrukowane kocimi łbami, w jakiś tajemniczy sposób stale zaśmiecone podartymi, brudnymi papierami, zarzucone łupinami pomarańcz, próżnymi puszkami od konserw, pełne nieregularnych, lecz trwałych śladów powybijanych przez ciężkie wozy konne zdążające tędy do doków. Sklepy były brzydkie, ich wystawy oraz chodniki przed wejściem, zabazgrane kredą przez bawiące się dzieci, wyglądały niechlujnie. Trochę dalej, u wylotu krętej Flowers Street wznosił się wielki dom z tablicą, na której duże

złożone litery głosiły: "Sale Garnera. Bale w środy i soboty. Panowie 1 szyling, Panie 6 pensów". A poniżej mniejszymi literami: "Pożądane rękawiczki. Balowe buciki obowiązujące".

Ten dom z krzykliwą reklamą był w pojęciu Łucji najbardziej charakterystyczny dla całej dzielnicy. Pospolity, ordynarny, obrażał dobry smak w ogóle, a zwłaszcza jej osobisty zmysł estetyczny. Gdy wsiadła do czerwonego tramwaju, którym jechała do pracy, nie mogła się powstrzymać od rozmyślań nad okrutną zmianą w jej życiu, która tak niespodziewanie rzuciła ją w to nędzne otoczenie.

A jej praca! Jakże bardzo żałowała poprzedniego zajęcia - niemal synekury w porównaniu z obecnym - wygodnej jazdy pociągami i pensji, która teraz wydawała się jej zawrotną sumą.

Firma "Henderson i Shaw" administrowała domami w dzielnicy ubogich. W tym streszczało się wszystko, wyjaśniało całkowicie, dlatego obecne zajęcie Łucji było tak przykre. Rozumiała teraz, że młody Frame miał rację napomknąwszy, że "to niewiele warte"; szczerze przyznawała, że nienawidzi tej pracy. Mimo to zgodziła się z nią tak samo, jak godziła się z mieszkaniem przy Flowers Street 53, mówiąc sobie z ironicznym uśmiechem: "Moja droga, cofnęłaś się o krok". W duchu jednak postanowiła, że niedługo wybije się ponownie.

Na rogu Davis Street wysiadła z tramwaju i spiesznie ruszyła do biura. Weszła szybko, zadowolona, że nie musi przebywać na zimnie.

Obszerny pokój z wysokim sufitem nie robił już na niej wrażenia; swobodnie weszła za ladę, odwzajemniła uprzejmie skinienie głowy panny Tinto i od razu skierowała się do swojego biurka. Naprzeciw niej przy stole siedział mężczyzna w płaszczu i kapeluszu. Na powitanie burknął tylko słowo: "...ńdobry", nie podnosząc oczu.

- Dzień dobry - odrzekła Łucja z lekkim uśmiechem. Nieprzejednana agresywność Dandiego w stosunku do świata nie przestawała jej jeszcze bawić. Adam Dandie - tęgi, niezgrabny, krępy mężczyzna o długich ramionach i ogorzałej, podbrudzonej twarzy - był drugim inkasentem czynszów. Jego zachowanie było równie szorstkie i prostackie jak jego fizjonomia. Nawet ubranie - zniszczony półcylinder mocno wciśnięty na uszy sine od zimna, błyszczący płaszcz od deszczu zbyt opięty na tegiej figurze - zdradzało tę samą

bezkompromisową szorstkość. Twarz, pokryta delikatną siatką naczynek krwionośnych, była koloru ciemnoczerwonego, a małe oczy pod siwiejącymi kępami brwi patrzyły badawczo. Tęgi, o krótkim oddechu i porywczym temperamencie, w chwilach rozdrażnienia okazywał zacieklą wojowniczość i z pasją wyrzucał słowa, które raziły przeciwnika niby kopnięciem muła. Taki był Adam Dandie, a całość sylwetki psuło jedno - nogi. Bo nie da się przemilczeć straszego faktu, że Dandie był krzywonogi, i to bardzo. Gdy stał, dolne jego kończyny tworzyły dokładnie literę O, a pozioma średnica tego O była dość znaczna. To tłumaczyło jego ustawiczną urazę do wszechświata obejmującego pchły, mgłę, kobiety, niedostateczną ilość whisky i spóźniające się tramwaje. Na obronę Dandiego można jednak powiedzieć, że uraza jego nie miała w sobie żadnej złośliwości, a jemu samemu dostarczała wiele przyjemnych momentów.

- Niech to licho porwie - rzekł w tej chwili, patrząc, jak świeżo zaostrzony ołówek znów się ułamał. - Nigdzie nie umięją teraz wyrabiać dobrych ołówków. W ogóle nie umięją wyrabiać nic dobrego.

- Zaostrzę go panu - usłużnie zaproponowała Łucja.

- Hm - mruknął. - Sądzi pani, że zrobi to lepiej ode mnie? Bo ja nie sądzę. Prawdopodobnie zatnie się pani i zaskarży mnie o odszkodowanie.

- Zawsze lepiej niż gdyby zaskarżyła o niedotrzymanie obietnicy małżeństwa - rzuciła panna Tinto z wysokości swojego biurka. Mówiła niewiele, ale jeśli się odezwała, to trafiała w samo sedno.

- I do tego byłaby zdolna - rzekł Dandie ostrząc znowu grafit. - Już ja znam kobiety. - Choć krzywonogi, powiedzeniem tym dawał do zrozumienia, że dobrze znał słabą pleć, która wywoływała jego oburzenie, zresztą całkiem niewinne. Jakby dla upewnienia się dodał: - No, czy nie?

Panna Tinto podniosła powieki i porozumiewawczo spojrzała na Łucję: mimo wyższego stanowiska nabrała do niej sympatii. Niezależnie od swej groźnej postaci i lekkiego zarostu panna Tinto miała szlachetne serce - a wynikiem tego była coraz bardziej zażyła przyjaźń łącząca obie kobiety.

- Dla niektórych mężczyzn - rzekła z zacieklnością - stryczek to jeszcze mało.

Rozmowa się urwała, gdyż w tejże chwili wszedł do biura pan Rattray lub, ściśle mówiąc, przemknął przez biuro do swojego pokoju. Był to nie narzucający się nikomu, wysoki, kanciasty, rzadko widziany człowiek. Przechodząc teraz, skłonił się wszystkim i zniknął.

- Tak - rzekła Łucja wstając. - Mgła czy nie, trzeba mi jednak iść. Mam dziś obejść White Street. Niestety.

- Proszę tylko nie zabłądzić - rzekł Dandie z mrukliwą troskliwością.

Łucja potrząsnęła głową z uśmiechem. Następnie biorąc oznaki swej nowej władzy - księgę oprawną w czarną skórę i błyszczącą skórzaną torbę - wyszła z biura.

Słońce zniknęło na chwilę i mgła przewalała się znowu w żółtawych falistych kłębach. Ostre powietrze podrażniło jej gardło, wywołując kaszel. Pomyślała, że na taką pogodę nosi zbyt lekki płaszcz. Wokół kłębiło się życie miasta, podobnie jak owa mgła, nie wywołując w niej jednak dawnego odruchu sympatii. Przywykła do tego i była już starsza (tak, rozmyślała, starzeję się); nie lubiła swego zajęcia i nie lubiła mgły. Wchodząc na White Street znów zakaszła. Nie, nie lubi mgły, a jeszcze bardziej White Street.

White Street - ciasny wąwóz zamknięty dwoma szeregami wysokich koszarowych domów, ciemnych i ponurych, których nigdy nie nawiedza słońce, nawet w najcieplejsze dnię lata - była teraz szczeliną, rynsztokiem zduszonym przez mgły.

Zbliżało się wpół do jedenastej, gdy wchodziła do pierwszej bramy, by rozpocząć pracę. W sieni panowała lepka ciemność, w porównaniu z którą mrok na dworze był niby śnieg w porównaniu ze smołą, a ponadto ziało tu owym przenikliwym smrodem, który już poznała i nienawidziła.

Stała przed pierwszym mieszkaniem i zapukała mocno w cienkie drzwi, posługując się grubszym końcem ołówka - fortel zawodowy zdobyty drogą gorzkiego doświadczenia, kiedy po upływie pierwszego tygodnia zdarła sobie naskórek z kostek.

Chwilę czekała. Początkowo skłonna była do drwin z dużej ilości czasu wyznaczonego jej na obejście każdego domu - na niektóre dawano jej cały dzień dla ściągnięcia czynszu tygodniowego - ale teraz nie drwiła już. Przeciwnie - wiedziała, że czasu

jest za mało. Ta jedna brama na przykład prowadziła na cztery klatki schodowe, a każdą wchodziło się na inne piętro. Na każdym piętrze mieściło się osiem jednoizbowych mieszkań, razem trzydzieści dwa, wiodła do nich ta jedna wąska brama. Dwadzieścia takich bram w jednym domu prowadziło - niewiarygodne lecz prawdziwe - do sześciuset czterdziestu mieszkań. Sześćset czterdzieści mieszkań zapchanych i rojących się od ludzkiej biedoty, stłoczonej na jednym hektarze brudu. A na krótkiej White Street mieściły się trzy takie koszmarne domy czynszowe. Na tej małej przestrzeni mieszkało - w cywilizowanym dwudziestym wieku - około czterech tysięcy istot ludzkich. Były to tak zwane "mieszkania znaczone", gdyż na każdych drzwiach widniała tablica, na mocy której miejski inspektor, sprawujący nocną służbę, miał prawo wejść i przekonać się, czy nie ma nadmiaru mieszkańców.

Zbawienna troskliwość życzliwej władzy. Jednak mimo tej troskliwości zdarzało się, że w jednej izbie mającej dziesięć stóp szerokości i piętnaście długości - dwadzieścia osób z trzech pokoleń spało wygodnie i w najlepszej zgodzie. Przynajmniej tak należało przypuszczać, gdyż do uszu gospodarza nie dochodziły żadne skargi.

Łucja zapukała niecierpliwie po raz drugi. Drzwi uchyliły się na szerokość cala i jakiś głos spytał:

- Kto tam?

- "Henderson i Shaw" - krótko odrzekła Łucja. Podczas tych swoich wizyt stawała się teraz podwójną osobowością: Henderson był zawsze agresywny. Shaw współczujący. Poza tym określenie to wywierało większy skutek niż samo żądanie czynszu.

- Och - odpowiedział ten sam głos już nie pytająco, lecz z rezygnacją. Nastąpiła pauza wymowniejsza od krzyku, po czym drzwi otworzyły się powoli i w słabo oświetlonym wejściu ukazała się kobieta. czarnowłosa i rozczochrana, z twarzą szarą od brudu, spojrzała na Łucję jednym błyszczącym okiem, oczodół drugiego był pusty i robił niesamowite wrażenie.

Ale sama kobieta nie była niesamowita.

- Proszę wejść - rzekła łagodnie, jakby godząc się z losem.

Łucja weszła. Izba była niemal pusta. Urządzenie składało się jedynie z dwóch drewnianych skrzyń i siennika leżącego na ziemi wzdłuż ściany. Na jednej skrzyni siedział jakiś mężczyzna, na drugiej stało przed nim śniadanie złożone z kiełbasy, chleba i herbaty.

Jedząc hałaśliwie, łykając herbatę ze spodeczka, w dalszym ciągu zajmował się swym obfitym śniadaniem, nie zwracając uwagi na wejście Łucji. Tak samo niemowlę, leżące na wznak na sienniku, nie zdawało się troszczyć o jej obecność, lecz pozbawionymi blasku oczyma goniło zapewne jakąś tęskną wizję z niebytu i spokojnie ssało gumowy smoczek, podczas gdy wszy wędrowały powoli po wynędzniałej twarzyczce. Natomiast dwoje rachitycznych dzieci, przycupnąwszy na krzywych nóżkach na podłodze, wpatrywało się w Łucję; przestały się nawet bawić rozbitym dzbankiem, by przyglądać się jej z zaciekawieniem. Obok dzbanka leżała wyciągnięta suczka wabiąca się Nellie. Łucja wiedziała już, że w tej brudnej dzielnicy na dziesięć suczek, dziewięć nazywało się Nellie.

Kobieta podeszła tymczasem do komina i przesunawszy ręką po jego zakurzonej powierzchni, wzięła stamtąd jakiś przedmiot. Następnie, ukradkiem pochyliwszy głowę, podniosła palce do jamy ocznej. I patrzcie. Nie była już pusta, lecz błyszczało w niej piękne szklane oko, zaćmiewające blaskiem swego sąsiada.

- Pani wybaczy - rzekła - nie spodziewałam się pani tak wcześnie.

Uczyniwszy zadość przyzwoitości, wydobyła swoją książeczkę czynszową i po długim grzebaniu w kieszeniach wysupłała dwa i pół szylinga.

- Proszę - rzekła podając pieniądze i książeczkę, a gdy Łucja wzięła pieniądze i pokwitowała odbiór, kobieta dodała niemal gniewnie: - Jak pani widzi, wszystko w porządku.

- Tak - rzekła Łucja - nie zalega pani. - Rozejrzała się po tym nie dającym się opisać mieszkaniu, a wzruszona może przez pana Shawa dodała myśląc o swojej własnej sytuacji: - Musi pani ciężko walczyć - widzę, że pani nie posiada...

- Tak - przyznała kobieta skinawszy głową w kierunku rośłego, obżerającego się mężczyzny. - Tak, on... on nigdy nie pozwala kupić sprzętów. Bo widzi pani, wcześniej czy później nie będziemy mogli zapłacić czynszu, a wtedy gospodarz zabierze nam wszystko. "Na co się to zda? - powiada. - Jak nie będzie nic do zabrania, to wyniesiemy się i koniec."

- Ale mąż pani wolałby chyba żyć trochę wygodniej? - spytała Lucja.

- To prawda - uprzejmie potwierdziła kobieta. - Mój mąż lubi wygody, ale nie ma go tu już od dwóch lat. Dostał wszystkiego razem pięć lat. Ten pan - skinęła w kierunku jedzącego - mieszka tylko ze mną.

- Rozumiem - rzekła Lucja, a spojrzenie jej przesunęło się z dwojga bladych dzieci na półroczne niemowlę, którego pochodzenie zostało niestety tak brutalnie zakwestionowane. Ale niemowlę nic sobie z tego nie robiło, podobnie jak starsze dzieci, a najmniej ze wszystkich - ów "pan".

- Alfie, zaśpiewaj pani jaką piosenkę - rzekł nagle zwracając się do najstarszego dziecka siedzącego w kucki na podłodze. Otarł usta i spojrzał na Lucję. - Wspaniale śpiewa ten urwis.

Lucja spojrzała na Alfiego. Spieszyła się, czekała na nią praca, ale Shaw okazał się silniejszy.

- No, zaśpiewaj - rzekła nagle. - Zaśpiewaj, to dam ci pensa.

Alfie miał blisko pięć lat, uśmiechnął się i bez zażenowania zwilżywszy wargi językiem powiedział:

- Zaśpiewam pani "Maggie Murphy", bo to lubię najbardziej.

I przedwcześnie dojrzałym głosem zaśpiewał balladę:

A w niedzielę o zmierzchu

żał i smutek mój pierzcha,

radość w sercu rozkwita, czy wiecie?

Bo spotykam chłopaków

i dziewczęta, ach jakie,

i wałęsam się z nimi po mieście.

Tam zaś w karczmie harmonii

słodkie płyną w krąg tony,

a izba jak skrzypce rozbrzmiewa...

Maggie Murphy na progu

chętnie wskaże: tu droga.

Więc przychodźcie co wieczór tu do niej.

Scena dziwnie przejmująca w tej pustej izbie: cienki głosik rachitycznego, beznadziejnie zniekształconego dziecka, gęsta mgła za oknem, wesołe chichotanie "pana", szklane oko płonące dumą macierzyńską, śliniace się na słomie niemowlę, suczka zajęta teraz wygryzaniem pcheł, a obok tego wszystkiego beztroskie wszy, łączące swobodnie i bez przerwy.

- To wszystko - zaszczebiotał Alfie. - Ładnie, prawda? - I wyciągnąwszy rączkę, dostał pieniążek.

Łucja poczuła, że coś ją dławi w krtani. Nie nadawała się do tego zajęcia, nie, żadną miarą: zbyt straszny był widok nieopisanej, potwornej nędzy. Z trudem zdołała się opanować i podeszła do drzwi. Po wymianie grzeczności rzekła:

- Więc za tydzień o tej samej porze. - Skinęła głową i wyszła.

Musi iść dalej. Nie ma rady: z tego przecież żyje.

Energicznie zapukała do sąsiednich drzwi, które otworzyły się ze zdumiewającą szybkością, ukazując izbę całkiem inną niż ta, z której wyszła. Była ciepła, przytulna jak ogień płonący na kominie, wesoła jak odblask żaru odbijającego się na porcelanowych piestkach ustawionych na komodzie. I mimo swego ubóstwa robiła sympatyczne wrażenie, podobnie jak tęga niska kobieta stojąca we drzwiach, podparta pod boki tatuowanymi rękami.

W jej pobrużdżonej, czerwonej twarzy filuterne, harde oczy wyglądały jak korale z dżetu; na głowie tkwił czarny kapelusz, a szyję otaczał zmierzwiony skrawek zniszczonego futra. Łucja nigdy nie widziała i nigdy nie miała widzieć tej jejmości inaczej jak w kapeluszu

i w wyliniąłym futerku. Nosiła je w domu i poza domem; zdawało się niemal, że śpi w tym stroju, bowiem taki właśnie kapelusz - a nie żaden szal nasunięty na głowę - i boa koło szyi, były na White Street kamieniem probierczym rangi społecznej. Takiego futrzanego kołnierza, który był zresztą ostatnim krzykiem mody, nie zdejmowała kobieta nawet do palenia w piecu.

- Znowu po czynsz? - spytała pani Collins. - No tak, ledwie człowiek zapłaci, a już jest zaraz drugi termin.

- W każdy wtorek - rzekła Łucja patrząc na panią Collins i jej syna - rozleniwionego młodego chłopca, który leżąc na łóżku w alkowie, spoza pleców matki rzucił Łucji przywilne spojrzenie.

- Ach, to naprawdę najczęstszy dzień w tygodniu - rzekła pani Collins. Idąc za spojrzeniem Łucji, odwróciła głowę i powiedziała: - Ben pracuje w nocy, dlatego leży w tej chwili. I proszę pomyśleć, przynosi do domu zaledwie piętnaście szylingów tygodniowo, a je za dwóch.

Odwróciła się gniewnie, by przynieść książeczkę czynszową i pieniądze, które mimo jej protestu leżały już przygotowane na stole. Łucja wzięła je i potwierdziła odbiór.

- Nie zapomni pani o tej robocie, którą mi pani przyrzekła? - spytała pani Collins odbierając książeczkę i spojrzawszy na pokwitowanie. - Tanio myję schody, zresztą wezmę każdą robotę.

- Będę pamiętać - odrzekła Łucja. - Myślę, że będzie mi pani potrzebna, gdy syn mój wróci do domu.

Wyszła i niebawem pukała ołówkiem do następnych drzwi.

Stale tak pukała w tym cuchnącym, ponurym korytarzu, podpisywała brudne książeczki, odbierała zatłuszczone pieniądze, zachęcała, nalegała, słuchała usprawiedliwień i skarg, torba jej stawała się cięższa, a w głowie czuła coraz większą pustkę - wciąż jeszcze nie przywykła do tej pracy. Każda wizyta trwała przeciętnie trzy minuty; przeszło półtorej godziny zajęło jej obchodzenie mieszkań, do których wchodziło się pierwszą bramą; minęło południe, zanim wydostała się znów na wąską ulicę. Ale robota jej nie była skończona. Dopiero ją zaczęła, więc bez wahania weszła do drugiej bramy, natychmiast zapukała do

najbliższych drzwi, zaczekała, wypowiedziała swoją formułkę: "Henderson i Shaw" i tak dalej, i tak dalej bez końca. Taka robota dla niej, rozmyślała z pewną goryczą, która miała kiedyś własną wille, służącą, ogród, a w nim jabłonie, stokrotki i petunie. Westchnęła, poprawiła ciężką torbę wypełnioną bilonem i znów bębniła do dalszych drzwi. (Henderson i Shaw) - było to jakby magiczne hasło umożliwiające jej wstęp do ciemnej i posępnej cytadeli. Niewiarygodny brud, wstrętne wyziewy, nagromadzenie wszystkich możliwych ludzkich nieszczęść - niezmiernie rzadko jakaś pogodna twarz - to wszystko stawało się dla niej chwilami istną zmorą.

Minęła trzecia, zanim obeszła te czynszowe koszary. Powinna była oczywiście zrobić sobie jednogodzinną przerwę obiadową, ale wolała uporać się z robotą bez jej przerywania. Panna Tinto również przyznała, że jest to rozsądniejsze i swoim autorytetem usankcjonowała ten system. Teraz jednak, gdy wyszła z White Street i pozostawiła za sobą jej obrzydliwe wyziewy, poczuła dziwny głód. Na rogu wsiadła do powoli jadącego tramwaju, który z zapalonymi światłami wyłonił się z mgły. Z torbą na kolanach siedziała na gładkiej drewnianej ławie, zastanawiając się nad możliwościami swojej kuchni. Miała zdrowy apetyt i pracowała ciężko przez pięć godzin. Rozmaite potrawy przesuwały się ponętnie w jej myśli, aż zdecydowała się ostatecznie. W Kelvinbank wysiadła z tramwaju, weszła do małej jatki, w której już kupowała poprzednio i kazała sobie podać barani kotlet. Rzeźnik nazywał się Tutt, był tłusty i dobroduszny, widocznie uważał ją za stałą klientkę. Może też czuł na sobie jej spojrzenie, gdy podnosił nóż i odcinał kawałek mięsa. Tak czy owak, kotlet był świeży i dobrze odważony, a zachowanie rzeźnika miłe i uprzejme.

Tuż obok był sklep z jarzynami, gdzie kupiła za dwa pensy kartofli - właśnie skończył się zapas; u piekarza wzięła bochenek chleba.

Było jej niewygodnie nieść paczki i torbę, a ponadto bochenek chleba był niezręcznie zawinięty w gazetę, która zaczęła trzepotać, gdy Łucja wyszła na ulicę. Lecz najważniejsze, że miała kupione prowianty na obiad, a widok kobiety tak obciążonej nie zwracał niczyjej uwagi ani tu, ani na Flowers Street.

O ile lepsze jest jej mieszkanie w porównaniu z tymi, które niedawno oglądała. O tej porze dnia dawało jej poczucie spokojnej i cichej samotności. Błądziła po nim oczyma. Ostatecznie nie najgorsze na okres przejściowy.

Przede wszystkim skierowała się do łazienki, gdzie przystanęła na chwilę, by gruntownie wytrześć wszystkie swe rzeczy. Te pachły były okropnie, ale na White Street niepodobna było ustrzec się przed nimi; nawet teraz trzy wyskoczyły żywo z wanny w powietrze. Mimo to dzięki ostrożności zdołała uchronić się od powolniejszego i wstrętniejszego robactwa.

Wyszła z łazienki, odkręciła kurek i nad zlewem umyła sobie twarz i ręce. Następnie powiesiła na miejsce kapelusz i płaszcz, zapaliła gaz i zabrała się do gotowania. Przykre były dla niej te wszystkie przygotowania, ale nie miała wyboru. Przynajmniej na razie musi odmówić sobie przyjemności czekającego na nią po powrocie smacznego, gotowego posiłku. Tymczasem jednak woń smażącego się mięsa jeszcze bardziej zaostrzyła jej apetyt, a gdy wreszcie kotlet był gotowy - zarumieniony, jak lubiła - usiadła przy stole i zaczęła jeść z całą rozkoszą człowieka wyголоzonego. Jakże to smakuje. Jak to dobrze, że zdecydowała się wstąpić do Tutta.

Ciepłe jedzenie poprawiło jej samopoczucie. Zdumiewające, jak ten prosty posiłek pokrzepił ją i wzmocnił. Nastrój zmienił się niepostrzeżenie. Mając za sobą główną część pracy dziennej, doznała miłego uczucia czegoś dokonanego. Instynktownie myśli jej zwróciły się do syna, a to zawsze oznaczało, że jest w pogodnym nastroju.

Po jedzeniu siedziała jeszcze przez chwilę, pogrążona w myślach. Jakby to było przyjemnie, gdyby nie musiała wychodzić znów w tę mgłę. Spojrzawszy jednak na zegar, wstała niechętnie. Tym razem pozostawiła naczynia nie umyte: wróci przecież o szóstej.

Wyszła przyciskając do siebie nieodłączną torbę, której nienawidziła. Jednak nie mogła uwolnić się od niej.

O pół do piątej weszła do biura.

- Co za mgła - rzekła panna Tinto. - Przez cały dzień musieliśmy palić światło.

- Jeszcze w mieszkaniu nie jest tak źle - łagodnie powiedziała Łucja - ale na dworze coś wstrętnego. Cieszę się, że mam to już za sobą.

Panna Tinto przytaknęła niemal z zadowoleniem, a wyciągając rękę po torbę, oświadczyła:

- To dobrze, że się pani oswaja z tą robotą. Ciężko jest na początku.

Łucja milczała przez chwilę: przed oczyma jej przesunęła się nagle wizja owych koszar czynszowych, gdzie plenił się brud i nędza. W przystępie goryczy spytała impulsywnie:

- Do kogo należy ten dom - ten, który dziś obeszlłam?

- Ten dom? - powtórzyła panna Tinto nieco zdziwiona. - Należy do niejakiego pana Tully. Do tego, co ma ten sklep przy Alston Street. Mieszka zresztą w Ralston, niedaleko ode mnie. Tak, nazywa się Tully. - Zamilkła na chwilę. - Ale dlaczego pani pyta?

- Ot, przyszło mi na myśl - odrzekła Łucja. Przypomniała sobie ów sklep - sklep jubilerski - olbrzymie zakratowane szyby wystawowe, a za nimi stosy srebra i złota, a na rogu, nad wąskim bocznym wejściem wisiały trzy mosiężne kule * - fatalny znak! - Jeśli kiedykolwiek spotkam tego pana Tully - oświadczyła powoli i gorzko - to powiem mu, co o nim myślę.

W Anglii godło lombardu

Było czerwcowe popołudnie. Szła powoli do końca peronu, czekając z pozornym spokojem, pod którym kryło się najwyższe napięcie. Ciepły zachód słońca, płonąc poprzez dymy miasta, bursztynowym światłem spływał na Dworzec Główny, wyzłacał znane przedmioty, przeobrażając je w cud fatamorgany, promiennej, dalekiej. Przed oczyma Łucji widniał pełen tajemniczej wspaniałości skrawek nieba, objęty łukiem sklepionego dachu. Ta dziwna nierealność światła miała w sobie jakiś czar, Łucja była oślepią i zachwycona falującą jasnością.

Czekała na Piotra. Panna Tinto, szorstkością maskując poryw wspaniałomyślności, wprost rozkazała jej wyjść z biura o pół do piątej, dzięki czemu mogła prędko pobiec do domu, przebrać się i w porę oczekiwać na dworcu pociągu, który wyjechał z Laughtown o trzeciej. Przyszła za wcześnie, biegła bez tchu, by przeczytać na tablicy, że pospieszny przyjedzie z pięciominutowym opóźnieniem. W tej chwili jednak, gdy odwróciła się, by w dalszym ciągu przechadzać się po peronie krokiem miarowym, choć niecierpliwym, rozległ się przenikliwy gwizd lokomotywy i przy akompaniamencie męczącego łoskotu, który przycichł po ostatnim zamierającym syku maszyny, w tę miękkość nasyconą promieniami słońca wsunął się długi, ciemny wąż pociągu. Łucja przystanąła i wyprostowała się, a oczy jej przymglone wzruszeniem szukały niecierpliwie znajomej sylwetki. Wreszcie zobaczyła go, wyskoczył z wagonu i w tłumie ludzi zmierzał ku niej. Nie był to już ten chłopczyk, który trzymając się jej ręki dreptał po tym samym peronie, lecz - jakimś cudem dokonany przez czas i los - przystojny, pewny siebie, rosły młodzieniec, nie potrzebujący jej matczynej opieki. Nie poruszyła się z miejsca, lecz stała i przyglądała mu się z drżącym uśmiechem na ustach, aż ją sam zobaczył. A wtedy uśmiech ten rozjaśnił jej bladą twarz i zmienił ją w oka mgnieniu.

- Halo, mamó - wykrzyknął Piotr - przykro mi, że mieliśmy opóźnienie - wdzięczny gest, z jakim zdjął kapelusz przed nią, swoją matką, wprawił ją w zachwyt. Całując syna poczuła nagle dziwną słabość.

- Więc wróciłeś, Piotrusiu?

- Wróciłem na stałe - przytaknął wesoło. Spojrzała na niego teraz poważnie i w zamyśleniu, podczas gdy on uśmiechnął się do niej z naiwną szczerością dawnego dzieciństwa.

- A co z moimi rzeczami? - spytał wreszcie.

- Tak, twoje rzeczy - powtórzyła i powoli ruszyła przed siebie. Odruchowo ujął jej ramię gdy szli razem ku platformie z pakunkami. Znów uczuła przenikający ją dreszcz fizycznego błogostanu, niby słodkie wyczerpanie: radość, że będzie go już mieć na zawsze, jak jej sam powiedział. Nie do wiary.

- Jest tu - wykrzyknął.

Znany kufer - już nie błyszczący, gdyż skóra popękała, a inicjały pożółkły, choć były jeszcze całkiem czytelne - leżał przed nimi na peronie. Jakże się wydawał mały. Kiedyś, stojąc obok niego, Piotr wydawał się taki drobny. Skinąwszy na tragarza spytał:

- Czy ma to odnieść do naszej dorożki?

Zawahała się, musiała się przezwyciężyć, lecz rzekła:

- Myślę... tak, myślę, że tragarz sam odwiezie rzeczy.

Podniósł brwi. - Przecież możemy je zabrać od razu.

- Pojedziemy tramwajem - odrzekła rozważnie. - Tak będzie dla nas wygodniej. - Z uspokajającym skinieniem podeszła do tragarza i dokładnie umówiła się z nim co do odwiezienia kufra; następnie zdecydowanym ruchem zamknęła pugilares, odwróciła się i powiedziała wesoło: - Załatwione.

Gdy zmierzali ku wyjściu z peronu, podjęła tym samym tonem:

- Przykro mi, że nie mogłam przyjechać na końcowe egzaminy. Ale myślę, że nie gniewałeś się o to?

- Ach, nie, nie!

- Cieszę się, że poszło ci tak dobrze.

- Powinniśmy się już byli przyzwyczaić do tego - odrzekł z pewnym roztargnieniem.

W milczeniu zmierzali ku Young Street i zatrzymali się na przystanku tramwajowym, nadal bez słowa wsiedli do czerwonego wozu i zajęli miejsca na wąskiej drewnianej ławce na dachu. Dopiero po skasowaniu przez konduktora obu biletów, za które zapłaciła pensa, zauważył powoli:

- Niewiele pisałaś w swych listach o... o tej zmianie, mamó. Opowiadałaś mi o pannie Hocking i o swoim nowym zajęciu, ale co ma znaczyć to wszystko?

- Och, niewiele, istotnie - oświadczyła z miną beztroską: wiedziała, że musi go powiadomić, ale za wszelką cenę pragnęła oszczędzić mu przykrych szczegółów. - Niedużo mamy na życie, ale damy sobie radę - tak, damy sobie radę doskonale.

- Czy nie wpłynie to na moje... na moje...

- Och nie! Bez względu na okoliczności nasze plany nie ulegną zmianie - w głosie jej brzmiała stanowczość. - Nie wyda ci się może... tak przyjemnie - wygodne określenie - jak w Ardfillan, ale na pewien czas musimy pogodzić się z tym stanem rzeczy. Będziemy razem i wkrótce wygrzebiemy się z tego.

- Rozumiem - rzekł. Rozpogodzonymi oczami rozglądał się z wysokości tramwaju zdążającego z łoskotem w kierunku zachodnim.

Gdy zbliżali się do rogu Kelvinbank Street, Łucja wstała.

- Jesteśmy więc na miejscu - zawołała wesoło i wskazując z dachu chwiejącego się wozu, jak gdyby zwracała uwagę na coś bezsprzecznie godnego widzenia, dodała: - W każdym razie będziesz miał stąd blisko.

Oboje patrzyli teraz na gmach wskazany przez Łucję - na podłużny szary budynek z wieżą, wznoszącą się na szczycie wzgórza powyżej parku Kelvingrove. Posępna ponurość kamienia rozjaśniła na chwilę smuga promieni słonecznych, a kontury wieży stały się piękniejsze, delikatniejsze, niby nitki babiego lata. W tej chwili był to widok rzeczywiście piękny, a dla Łucji stał się czymś więcej: cudowną podniętą, nadzieją, natchnieniem, które rozświetliło jej oczy i twarz.

- Czy cię to nie wzrusza? - wykrzyknęła radośnie.

- Tak, to gmach uniwersytetu - przytaknął powoli, ale wyraz jego twarzy zmienił się: był bardziej zadumany i roztargniony; Piotr jakby obliczał coś w myśli, przez co spojrzenie jego stało się badawcze, chłodne, niemal zaborcze. - Gdy skończę studia, szybko utworzę sobie drogę.

Znów obdarzyła go przelotnym uśmiechem, po czym odwróciła się i zaczęła schodzić ku wyjściu. Wysiedli.

A teraz z dziwnie ściśniętym sercem prowadziła go w kierunku Flowers Street. Jeszcze nigdy - myślała z raptownym bólem - ulica nie wydawała się jej tak natłoczona i nędzna, i nagle nie wiadomo dlaczego poczuła się odpowiedzialna za jej wszystkie braki. Chciałaby pokazać ją Piotrusiowi w porze najspokojniejszej, najkorzystniejszej - ale teraz ciepły wieczór wywabił mieszkańców na powietrze niby króliki z nor. Dzieci bawiły się i skakały na chodniku, a niektóre małeństwa raczkowały z takim zapałem, że odsłaniały swe ciała i żałośnie powalana bieliznę; śmiały się, krzyczały, biły, wrzeszcząc hałaśliwie i wesoło. Kobiety stały w otwartych bramach domów z założonymi rękami i plotkowały, przerywając tylko na chwilę, by z ciekawością przyjrzeć się przechodniom lub rzucić ostrzeżenie swemu baraszkującemu potomstwu. Przy otwartych oknach mężczyźni bez marynarek palili fajki i czytali gazety, co chwila podnosząc z zadowoleniem szklanek piwa, albo też ze spokojną przyjemnością plując na ulicę tak nadającą się do tego. Sala taneczna na rogu ulicy również była pełna ruchu i wrzawy. Przez drzwi szeroko otwarte z powodu gorąca dolatywało tupanie nóg i brzdąkanie fortepianu, zlewając się z klaskaniem wodzireja i rozlegającym się od czasu do czasu wesołym, lecz raczej ordynarnym okrzykiem: "Zmiana pań i dalej lu!" A w dodatku w pobliżu sali tańca umieściła się banda zblazowanych młodzieńców - przygarbieni, w czapkach nasuniętych na oczy, trzymali nonszalancko papierosy w kącikach ust, podkreślając tym swe wielkie doświadczenie życiowe. Zlustrowali dokładnie przechodzącą Łucję z jej synem, po czym wybuchnęli szyderczym śmiechem.

- To straszne, mamó - rzekł Piotr zdławionym nagle głosem. - Nie miałem pojęcia. Tak, nie miałem pojęcia, że tutaj tak jest.

- No, nie zawsze tu tak... tak gwarno jak dziś - odrzekła cicho.

- Gwarno. Nie chodzi o gwar. To całe otoczenie jest... jest okropne. Okropne!

Nie odpowiedziała, patrząc prosto przed siebie, aż doszli do bramy z numerem 53m. Wchodzili na piętro w milczeniu, następnie Łucja wyjęła klucz i otworzyła drzwi.

- A więc jesteśmy - zawołała z udaną wesołością której jednak zadał kłam nagły błysk lęku w jej spojrzeniu. - Nie ma na co patrzeć, ale w każdym razie jest to nasze mieszkanie, a to najważniejsze. - Urwała, zamknęła drzwi i weszła za nim. - To twój pokój - objaśniała - to - wskazała kuchnię - jest pokój, w którym ja śpię.

Minęła chwila, zanim rozejrzał się dokładniej, po czym spojrzał na nią w nagłym przerażeniu.

- Więc tu mamy mieszkać? - spytał z niedowierzaniem.

Skinęła potakująco głową. Oswoiła się jakoś z tym otoczeniem i nie przypuszczała, by zmianę tę odczuł tak boleśnie. A zrobiła przecież, co było w jej mocy, by wszystko upiększyć dla niego: zawiesiła w oknach nowe firanki, wyfroterowała linoleum do połysku. Koniec ubiegłego tygodnia spędziła nawet na bieleniu sufitów.

- Ale jakieś urządzenie! Tak pusto - wykrztusił z trudem. - W moim pokoju łóżko i szafa, a w drugim prawie nic. Słysząc echo jak w pustym mieszkaniu.

Twarz jej przybrała wyraz niepokoju i zaczerwieniła się.

- Przecież kiedyś się stąd wyprowadzimy - oświadczyła - zresztą kupię też więcej mebli.

- To straszne, mam, straszne. I pomyśleć, że musimy tu mieszkać - w tej ohydnej dziurze, po prostu norze.

- Nie mogłam sobie pozwolić na nic lepszego - powiedziała z naciskiem. - Na razie musimy się z tym pogodzić. Zawsze przecież możemy się spodziewać polepszenia warunków. Przypadł nam taki los w udziale, że musimy się pogodzić z tym, co jest, zanim będzie można przenieść się gdzie indziej.

Usiadł i spojrzał na nią.

- Tak - rzekł w końcu - skoro musi być tak... to będziemy się chyba musieli pogodzić.

- To lubię - wykrzyknęła rozpogodzona. - Wiedziałam, że będziesz rozsądny, a po herbacie zaraz poczujesz się lepiej.

Spojrzał w kierunku nakrytego stołu i uśmiechnął się z powątpiewaniem.

- Widok tej gawiedzi mógł człowiekowi odebrać apetyt.

Nie odebrał mu jednak. Kiedy po chwili siedzieli przy stole, Piotr jadł z wielką ochotą, od czasu do czasu jednak niepewnym spojrzeniem obrzucając Łucję i otoczenie.

- Muszę ci przyznać, mamó, że umiesz jednak gotować - pochwalił ją w końcu.

- Poczekaj tylko, a zobaczysz, jak ci będę dogadzać, gdy zaczniesz się uczyć - rzekła ciepło. Myśl o tych wszystkich pożywnych i smacznych posiłkach, jakie mu będzie przyrządzać, rozbudziła w niej silny instynkt opiekuńczy. - Będziesz rad, że wróciłeś do domu.

Rozparł się na krześle.

- Tak, to wszystko bardzo pięknie - rzekł powoli - ale musimy sprawę omówić dokładnie. Wydajesz się pełna otuchy, ale... czy wiesz, w jaki sposób podołasz temu?

- Już ja dam sobie radę - oświadczyła natychmiast, właśnie z tą otuchą, którą jej zarzucił, i urwała. Zmienionym tonem spytała nagle: - Chyba... chyba nie myślisz, że ty nie...

Ruchem ręki powstrzymał jej dalsze słowa.

- Co do tego nie mam najmniejszej wątpliwości. Dam sobie radę. Obliczyłem wszystko do ostatniego pensa. Zamilkł, po czym treściwie i z metodyczną pewnością, która ją zachwycała, ciągnął dalej: - Dostałem od brata Williama prospekt uniwersytecki. Opłaty wynoszą przeciętnie trzydzieści funtów powiedzmy, jakieś pięć funtów. Istnieje natomiast fundusz Carnegiego i oczywiście stypendia - jest ich dwadzieścia do rozdania - a każde z nich mogę dostać śpiewająco. Zatem dwadzieścia pięć funtów rocznie przez całe pięć lat. - Gestykulował z ożywieniem: - Moje dochody roczne wyniosą sześćdziesiąt funtów, rozchody - najwyżej czterdzieści. Czyli pozostaje mi dwadzieścia funtów na przyzwoite ubranie i drobne wydatki.

- Piotrusiu, to przecież wspaniale - szepnęła. - Po prostu wspaniale.

Była zachwycona jego dokładną znajomością sprawy i jego stanowiskiem, zachwycona wzajemnym, szczerym zaufaniem łączącym ich w dążeniu do tego samego celu.

- Tak, wszystko w porządku - zaśmiał się krótko. - Ale teraz należy rozważyć drugą stronę sprawy.

- Powiedziałam przecież, że dam sobie radę - powtórzyła.

- Na nic się nie przyda samo powiedzenie - odparł niespokojnie. - To nie ma sensu. Przypomina mi kreta, bez przerwy ryjącego w ciemności.

- Ale ostatecznie kret wydobywa się na światło - odrzekła powoli. Jego dokładność działała teraz ostudzająco na jej zapal.

- Tak, ale w jaki sposób? O to chodzi. Musimy, jak wiesz, wyżyć jakoś przez te pięć lat, a to twoja sprawa. - Urwał i znaczącym spojrzeniem objął braki w urządzeniu pokoju i skąpy posiłek. - A teraz powiedz mi szczerze, ile zarabiasz.

Wahała się, a w oczach jej wciąż jeszcze widniał niepokój.

- Powiedz mi - nalegał. - Ile ci pozostaje po zapłaceniu komornego za ten wspaniały pałac?

Podniosła oczy i spojrzała na niego.

- Osiemnaście szylingów tygodniowo - odpowiedziała śmiało.

Twarz jego wydłużyła się momentalnie: osłupiały wlepił w nią oczy.

- Osiemnaście szylingów - westchnął. - Niecałe pięć funtów rocznie na utrzymanie nas obojga i na twoją garderobę - zaśmiał się krótko, szyderczo - i... na twoją łóżę w operze... To czyste szaleństwo, mamó.

- Powiadam ci, że dam sobie radę - oświadczyła stanowczo.

- To czyste szaleństwo - powtórzył, powoli kiwając głową. - Zupełnie niemożliwe - już ja wiem, co mówię. Umiem rachować. Niepodobna głową przebić muru. Jak zwykle nie przemyślałaś tego dostatecznie. Przypomnij sobie na przykład tę sprzedaż mebli. Gdybym wtedy miał szesnaście lat i nie był takim smarkaczem, nigdy nie byłbym dopuścił do tego. A potem znów ta przygoda z panną Hocking - mogłaś przecież przewidzieć... - urwał znacząco, następnie dodał: - Ale niepodobna osiągnąć czegoś samym tylko uporem.

Oburzenie ścisnęło jej krtań. Czuła gorzką niesprawiedliwość jego uwag, tej niemal sędziowskiej postawy - i to wobec niej, która tak ciężko pracowała, by utrzymać go w szkole i obmyśliła sobie wszystko do najdrobniejszego szczegółu. Tak skutecznie walczyła o zachowanie swej niezależności. Każdy, kto ośmieliłby się mówić do niej w ten sposób, spotkałby się z ostrą, gniewną odprawą. Ale jego kochała ponad wszystko, rzekła więc tylko:

- Musisz mi pozwolić robić to, co uważam za stosowne.

- Co mi z tego, że zaplanuję dokładnie swoją przyszłość, gdy ty popsujesz to swoim uporem? - oświadczył zirytowany. - I co mi z tego, że mam krewnych, którym się nieźle powodzi, jeśli nie chcesz prosić ich o pomoc?

- Dam sobie radę i bez ich pomocy - w głosie jej brzmiała stanowczość.

Spojrzał na nią z nagłym rozżaleniem, wzburzony jej uporem.

- Czyż nie pojmujesz, że wszystko zależy teraz ode mnie? Że ja jestem tym, który ma nas oboje wydobyć z tej okropnej dziury? - spytał żałośnie. - Naprawdę, nawet święty straciłby cierpliwość. - I stracił ją istotnie, gdyż nagle zaczął łkać, w śmiesznym przystępie rozpacz.

- Piotrusiu kochany, przestańże - zawołała wzruszona jego niespodziewanymi łzami. Mimo jego wysokiego wzrostu, mimo całej powagi, wciąż był jej małym chłopczykiem, dzieckiem, które ze swymi troskami przybiegało do niej szukając pociechy. Myśl ta wzruszyła ją tak bardzo, że nieoczekiwanie dla siebie samej postanowiła mu ustąpić.

- Zobaczymy - uspokajała go ujmując jego rękę i zatrzymując w swojej. - Może odwiedzę któregoś dnia Ryszarda lub Edwarda i zobaczę, co mi powiedzą.

- Musisz to zrobić - rzekł, ostatni raz pociągając nosem. - Mówię ci, to jest jedyne wyjście.

- Tak, tak - mówiła. - Pozostaw to mnie, mój chłopcze. - Jego żalosa, zgnębiona twarz tak dziwnie przypominała jej Franka. Lucja zapragnęła, by Piotr na zawsze pozostał jej tak bliski, potrzebujący pomocy, a ona mogła troszczyć się o niego. Pocieszając go czuła, jak tuli się do niej, i nagle ogarnęła ją ogromna fala miłości.

- Śmieszne, że mogłem zachować się w ten sposób - wykrzyknął w końcu zwracając do niej twarz trochę zawstydzoną i próbując zażartować dodał: - To się już nigdy nie powtórzy.

Uścisnęła jego rękę i wstała.

- Jesteś zmęczony, mój synu - rzekła spokojnie. - Pościelę ci teraz łóżko.

Weszli razem do na pół pustego pokoju - karykatury sypialni. Piotr stanął przy oknie i w zamyśleniu patrzył w zapadający na dworze zmrok.

- Spójrz, mamó - rzekł po chwili - stąd widać uniwersytet całkiem dokładnie.

Podeszła do syna, objęła go ramieniem i spojrzała we wskazanym kierunku. Tam na wzgórzu, niewyraźny teraz i zatarty, lecz oświetlony jeszcze ostatnimi bladymi promieniami ustępującego dnia, wznosił się szary budynek, ognisko ich ambicji i nadziei. Posepny teraz, a dla nich imponujący, nawet wspaniały, zdawał się królować nad tą marną i biedną dzielnicą. Kilka światła błyszczowało jasnymi punktami w domach profesorów w pobliżu cienistych drzew; po chwili, gdy jeszcze wpatrywali się w gmach, zegar ciężkimi, głośnymi uderzeniami wybił godzinę. Skromny, nieznan uniwersytet położony na wzgórzu posepnego prowincjonalnego miasta i dwoje zwykłych ludzi patrzących na niego z nędznego pokoiku. Ot, na pozór banalna, nic nie znacząca scena, w której jednak był jakiś głębszy sens. Dziwnie wzruszająca chwila. Nagle w sercu Lucji zrodziło się bolesne pragnienie doskonałości; oczy jej patrząc w dal odnalazły na firmamencie nieba bladą gwiazdę wirującą w niedosiężnych przestrzeniach i coraz jaśniejszą na tle ciemniejszego nieba.

Łucja rozważała tę sprawę tak długo, aż rozbolała ją głowa i aż uznała słuszność zarzutu, że jest głupia. Obmyślała ją pod każdym względem podczas codziennej wędrówki po swej dzielnicy; zamierzała poradzić się panny Tinto, lecz poniechała tego z tej przyczyny, że panna Tinto mieszkała w Ralston i znała jej brata Ryszarda, przynajmniej ze słyszenia. Ostatecznie Łucja doszła do wniosku, że jeśli zdecyduje się na tak drastyczny krok, to będzie musiała zwrócić się do Ryszarda. Edward nie miał odpowiednich środków do zrealizowania swej nieokreślonej dobrej woli i właściwie przedstawiał dla niej teraz nadzieję dziwnie niepewną i ułudną.

Niemniej, rozpatrywana z każdego punktu widzenia, była to dla niej niezwykle ciężka próba. Prosić dla siebie wydawało się jej rzeczą nie do pomyślenia, ale prosić dla Piotra - tak, to poniżenie potrafi może znieść.

I oto w pewne sobotnie popołudnie czerwcowe, szła ociągając się z dworca Ralston ku domowi Ryszarda. Wkrótce znalazła się przed zieloną żelazną furtką, otworzyła ją i weszła do ogrodu. Idąc starannie gracowaną ścieżką zauważyła, że od jej ostatniej bytności ogród się zmienił: dawny trawnik zamieniono na plac tenisowy, wzdłuż ścieżki zasadzono rząd młodych lip, które miały ją w przyszłości ocieniać, nawet mała oranżeria została pomalowana na biało. Widząc te oznaki dobrobytu Ryszarda nabrała otuchy. Po chwili doszła do willi i energicznie zadzwoniła.

Służąca wprowadziła ją do salonu. Łucja usiadła przy otwartym oknie i czekała. Czekala przez pięć minut, powoli wodząc spojrzeniem po meblach obciągniętych aksamitem, po hebanowym fortepianie, wysokim wazonie z aspiereą i fotografiach stojących na kominku. Zdjęcie, przedstawiające ją z Piotrusiem, zbyt wyraźnie było ustawione w samym środku, od razu budząc w Łucji podejrzenie, że Ewa zrobiła to umyślnie na wypadek jej odwiedzin. Nie lubiła Ewy - do tego się otwarcie przyznawała - i uważała ją za zdolną do tej fałszywej uprzejmości. Zaczęła już przypuszczać, że zapomniano o jej przybyciu, gdy do pokoju przepaszającym kroczeniem swych małych nóżek weszła Ewa, od progu wyciągając rękę do Łucji.

- Wybacz, Łucjo, że pozwoliłam ci czekać - zaszczebotała. - Wypoczywałam po lunchu - jak wiesz, zawsze zarządzam sobie tę małą sjęstę. Doskonale mi to robi, a niestety... - nie dokończyła. Miała wygodny zwyczaj nie kończenia zdań, jeśli brakło jej odpowiednich słów lub nie umiała skierować rozmowy w sposób czarujący na inny temat - rozmowa z nią odbywała się zawsze skokami. - A dzieci poszły grać w golfa - mówiła dalej. - Będzie im przykro, że nie zobaczą się z tobą.

- Mnie również przykro - rzekła Łucja. - Tak długo ich nie widziałam. - Czy nie wysłano ich też umyślnie - pomyślała - by nie musiały spotkać się z ubogą krewną?

- Nie widziałyśmy się od wieków. To nieładnie z twojej strony, że nie pokazywałaś się tak długo - tonem wyrzutu powiedziała Ewa. - Zaraz zadzwonię, by podano herbatę. Zadzwoniła wystudiowanym ruchem. Służąca przyniosła herbatę na tacy: srebrny serwis, filiżanki Wedgwood i okazałą paterę do ciast; niczego nie brakowało wyposażeniu Ewy. Z dziwnie bolesnym uczuciem Łucja ujrzała w myśli swoje tandetne filiżanki i gliniany czajnik, i zacisnęła usta.

- Piotruś znów z tobą? - spytała Ewa podsuwając jej paterę z ciastkami.

- Tak, wrócił.

- To taki miły chłopiec. Widzisz, mamy jego fotografię. - Wytwornie zgiętym małym palcem wskazała uprzejmie w stronę kominka. - Ja także zrobiłam sobie wczoraj zdjęcie u Annana.

- Tak?

- Bo widzisz, Ryszard sobie życzył - wyjaśniła kokieteryjnie.

- Tak? - zdawkowo powiedziała Łucja. Paplanina Ewy zmuszała ją do dziwnej powściągliwości, sprawiała, że jej odpowiedzi brzmiały niby szorstkie, lakoniczne echo. Ewa była natomiast bardzo rozmowna i uprzejma. Kręcąc się bez przerwy, paplała żywo nie przekraczając niebezpiecznych granic.

Po paru minutach drzwi otworzyły się i wszedł Ryszard. Może siłą kontrastu widok jego wywołał w Łucji uczucie naglej serdeczności; wiedziała, że nigdy nie był do niej zbyt przywiązany, mieli krańcowo odmienne natury, a w ostatnich latach jeszcze bardziej oddalili

się od siebie; był jednak jej bratem, a pokrewieństwo, dla niej przynajmniej, wciąż jeszcze mieściło w sobie pojęcie nieokreślonej solidarności.

- Znów się spóźniłeś na herbatę - zaszczębiotała Ewa i z pieszczotliwym usprawiedliwieniem zwróciła się do Łucji: - Pracował w swoim gabinecie... te procesy, ach, Boże, jak strasznie ciężko związać dziś koniec z końcem.

- Dobrze wyglądasz - rzekł Ryszard biorąc do ręki filiżankę herbaty i powoli mieszając łyżeczką.

- Wygląda cudownie - wesoło zawtórowała Ewa.

- Ja czuję się dość marnie w ostatnich czasach - powiedział Ryszard z wolna łykając herbatę. - Lekarz twierdzi, że to artretyzm, ale ja wątpię. - Gdy pił, wciągał policzki. - Tak, mocno wątpię.

- Przepracowanie, mój drogi - rzekła Ewa. Całym swym zachowaniem okazywała bezwstydnie wzruszającą troskliwość idealnej żony, a zwracając się ponownie do Łucji zauważyła zniżając głos: - Czy wiesz, że stara się o wolne miejsce... w służbie rządowej, a nikt nie zasługuje na nie bardziej od niego.

- To pięknie - stwierdziła Łucja. Zauważyła, że Ryszard stał się jeszcze sztywniejszy, jeszcze bardziej zarozumiały niż kiedykolwiek przedtem; rozparł się w krześle z takim poczuciem ważności, jak gdyby już nosił togę publicznego oskarżyciela.

- Nie musisz wierzyć we wszystko, co o mnie mówi Ewa - rzekł z niezwykłą pobłażliwością.

- Przecież zasługujesz na to, najdroższy!

- Dobrze już, dobrze. Zobaczymy. Może nawet nie przyjmę. Może podziękuję za ten zaszczyt. Jak na dzisiejsze czasy zbyt mało intratny.

Nastąpiła chwila milczenia, po czym Ewa przybierając minę niezmiernie łagodną rzekła ze słodkim uśmiechem:

- Pozostawiam was samych. Macie sobie zapewne wiele do powiedzenia. - Wyszła z pokoju niemal z pośpiechem, jakby z góry wystudiowanym.

- I cóż, Łucjo, dawnośmy się nie widzieli - rzekł Ryszard od razu po wyjściu żony. - Jakże ci się powodzi?

Łucja doznała uczucia ulgi. Bała się, że będzie zmuszona sama poruszyć ten temat, rzekła więc z wdzięcznością:

- Właśnie z tego powodu przyszedłam do ciebie.

Potakująco ściągnął swe ciemne brwi.

- Było mi przykro, gdy się dowiedziałem, że straciłaś posadę u Lennox. Z drugiej strony dobrze zrobiłaś, przyjmując to... to drugie zajęcie. Dzielnie, bardzo dzielnie się spisałaś! - Zamilkł, po czym zauważył rzeczowo: - Ale czemu nie wyszłaś za mąż powtórnie? Bardzo by ci to ułatwiło całą sytuację.

- Nie wiem - powiedziała zmieszana.

- No, no! Jesteś jeszcze całkiem przystojną kobietą.

- Widocznie nie nadarzyła mi się okazja.

- Przecież to prawo natury - odparł zwilżając swe czerwone usta. - Ewa i ja jesteśmy bardzo szczęśliwi. tak, moja droga, bardzo.

- I ja jestem szczęśliwa z Piotrem - mówiła - tylko... muszę się postarać, by go jakoś urządzić w życiu.

- To zrozumiałe - potwierdził po chwilowej pauzie.

Jego niezwykła zgodność dodała Łucji odwagi. Odetchnęła głęboko i rzekła, co prawda nie bez drżenia:

- Ryszardzie, nie widzieliśmy się przez długi czas. Może z mojej winy. Ale teraz, gdy Piotr skończył szkołę, potrzeba mi twojej rady i pomocy. Czy zechcesz jej udzielić mnie i mojemu chłopcu?

- Oczywiście - odparł natychmiast.

- I pomożesz mi w sprawie kariery Piotra?

- Tak, zrobię, co będę mógł - dodał z naciskiem.

Odetchnęła. - Dziękuję ci, Ryszardzie - rzekła z nie ukrywanym wzruszeniem. - Jesteś dobry. Nie wiesz, ile kosztowało mnie przyjsie tutaj. Nie ma we mnie materiału na petentkę, ale musi mi ktoś pomóc, by mógł skończyć uniwersytet.

- Uniwersytet?! - Wytracony ze zwykłej równowagi gwałtownie zerwał się z krzesła. - Wielkie nieba, kobieto, co ty gadasz?

- To, co myślę. Pragnę, by został lekarzem.

- Chcesz go wepchnąć na uniwersytet... i w dodatku na medycynę... - stracił swój imponujący spokój; spojrział na nią z przerażeniem. - Chyba oszalałaś!

- Ryszardzie, on jest zdolny - mówiła rozpaczliwie. - Może dostać stypendium. A ja zawsze marzyłam o tym, by pracował w wolnym zawodzie, by poszedł na medycynę.

- Chyba nie mówisz tego na serio - odrzekł powoli, a jego ciężkie brwi wciąż jeszcze były ściągnięte.

- Jak najbardziej serio! - upierała się. - Muszę mu dać tę szansę.

Słowa jej pozostawiły mu dość czasu do odzyskania równowagi - zmarszczone czoło wygładziło się, był znów sobą.

- Moja droga Łucjo - rzekł z surową wyniosłością - ty rzeczywiście sama nie rozumiesz, co mówisz. Ale, na szczęście, ja rozumiem. Nie potrafiłabyś nigdy w świecie utrzymać chłopca na tak kosztownym wydziale, nawet przy mojej pomocy, jakiej mógłbym ci użyć. Nie jestem bogaty. Muszę się troszczyć o własną rodzinę. - Zmrużył oczy i pochylił się do przodu, a ona patrzyła nań z wyrazem napięcia. - Jak ci wiadomo, Karol odbywa praktykę u Kidstona. To kosztuje sporo, sama dobrze wiesz. Trzeba też doliczyć jego rozmaite wydatki. Ponadto muszę pomyśleć o wykształceniu Wery. Ma wielki talent. Chodzi jeszcze do szkoły, ale matka pragnie, by wyjechała do Paryża, jeśli będzie mnie na to stać. Widzisz więc,

Łucjo, że mi się nie przelewa. Nie daj się zmylić pozorom, nasze mieszkanie czy tryb życia to jeszcze nie wszystko. Czy chcemy, czy nie, musimy żyć na pewnym poziomie... Wymaga tego moje stanowisko. - Wykonał ręką ruch protestu. - Nie jestem dumny. Nieraz czuję, że wolałbym żyć skromniej.

- Powiedziałaś, że chcesz mi pomóc - wybuchnęła, skoro tylko skończył mówić.

- Tak, tak! - zapewnił. - Ale we właściwy sposób. mam pewne wpływy. Mógłbym umieścić twego syna w jakimś biurze jako urzędnika.

- Jako urzędnika? - powtórzyła szorstko.

- A czemu nie, jeśli wolno spytać? - odparł lodowato. - Umożliwiłaś mu dobre wykształcenie średnie. Czas najwyższy, by ten młody człowiek zrobił coś dla ciebie. Poza tym, jeśli ma istotnie zdolności, to wkrótce będzie mógł wydostać się z biura. Niech sam się wybije.

- Możesz dla mnie zachować to biuro - zawołała gorzko. - Nie potrzeba mi takiej pomocy. Mój syn zasługuje na coś lepszego!

Przyglądał jej się przez chwilę, po czym rzekł z naciskiem:

- Widzę, żeś się nie zmieniła.

- Nie zmieniłam się na tyle, bym miała mojego jedyne go syna pakować do kantoru - mówiła gwałtownie - gdy twoje dzieci korzystają z wszystkiego, co najlepsze.

- Niech rodzina Moore'ów zrobi coś dla niego - odpowiedział sucho. - Ten restaurator ma mnóstwo pieniędzy.

- Nie potrzebuję jego pomocy - zawołała stanowczo ani jego pieniędzy. Co więcej, pozwól, że powiem ci otwarcie: nie potrzebuję również twojej pomocy.

- Nie?

- Nie! - Rzuciła mu to słowo niby pocisk. Patrzył na nią chłodno, przesuając w palcach łańcuszek swego zegarka, następnie bez wyraźnej aluzji zauważył:

- Od samego początku ostrzegałem cię przed wiązaniem się z tą rodziną. Ostrzegałem, że pożałujesz tego kroku.

Oczy jej rozbłysły, nozdrza drżały.

- Czy obchodziły mnie wtedy twoje ostrzeżenia? - spytała gwałtownie. - Tak samo nie obchodzi mnie one teraz. Ale nie żałuję niczego.

- W każdym razie nie możesz powiedzieć, że nie udzieliłem ci znów swojej rady - odrzekł spokojnie. - Ten pomysł z Uniwersytetem jest szaleństwem. Nie powiodło ci się, więc musisz się liczyć ze środkami.

- Jeszcze zobaczymy - zaczęła wciągać rękawiczki.

- Bądźże rozsądna - nalegał tonem bardziej pojednawczym. - Czemu musisz zawsze płynąć przeciw prądowi? Dostaniesz się na głębokie wody i utoniesz. Chcę ci dopomóc w sposób rozumny. Wystaram się o jakieś przyzwoite zajęcie dla chłopca. Jego pensja będzie ci wielką pomocą. Przestań wreszcie dążyć do tego, co nieosiągalne. Bądź zadowolona z tego, co masz.

Zapięła rękawiczki na ostatni guzik i wstała nagle. Na jej bladej twarzy malował się wyraz nieugiętości.

- Zobaczysz, czego potrafię dokonać! - rzekła drżącym głosem.

Wstał również i powiedział z zakłopotaniem:

- Łucjo, nie bądź śmieszna. - Jej wzburzenie wydawało mu się istotnie czymś śmiesznym: napięcie uczuciowe nieproporcjonalne w stosunku do sytuacji. - Posłuchaj rozsądnej rady. Przestań myśleć o rzeczach niemożliwych.

- Żegnaj, Ryszardzie - ręka, którą wyciągnęła na pożegnanie, drżała ze wzburzenia.

Patrzył na nią przez chwilę, następnie pogardliwie wzruszył ramionami.

- Trudno, skoro koniecznie chcesz być melodramatyczna, to cała ta sprawa przedstawia się beznadziejnie.

W tej chwili drzwi otworzyły się nagle i weszła Ewa, z czarującym uśmiechem sfruwając w tę atmosferę napięcia.

- Łucjo, chyba nie zamierzasz już odejść? - zaszcebiotała. - Byłaś tak krótko.

- Boję się, że zbyt długo - sztywno odparła Łucja, lecz jej ironia zabrzmiała patetycznie.

- Jaka szkoda, że nie możesz zostać na obiedzie. Chciałam ci też zerwać parę kwiatów z ogrodu - łagodnie protestowała Ewa idąc ku drzwiom.

Kwiaty - myślała Łucja; prosiła o chleb, a oni ofiarowali jej kwiaty! Któregoś dnia już ona odplaci Ewie! Opanowała się na tyle, by ich pożegnać, ale gdy szła czyściutką ścieżką ogrodową czuła, że twarz jej płonie z oburzenia, a gorycz doznanego upokorzenia dławi wprost w gardle. Tak, poniżyła się, i po co? Ryszard, który mógł syna zapisać na prawo, a córkę wysłać do Paryża, ofiarowywał Piotrowi posadę urzędnika, a miłość jej do syna uważał za śmieszny pozę. W tej chwili opowiada zapewne o tym zajściu, wraz z Ewą ją, Łucję, krytykuje. Usta jej drżały, zaciskając się coraz mocniej. Szła przed siebie, nic nie widząc. Wszystkiemu winna była Ewa, to wstrętne, przymilne stworzenie, której podstępemu, złemu wpływowi ulegał Ryszard. W wyobraźni słyszała szyderczy śmiech bratowej i ogarnęła ją fala dojmującego wstydu.

Podczas jazdy powrotnej powzięła decyzję. Weszła energicznie do domu przy Flowers Street. Syn czekał na nią. Nie gra w golfa - myślała - lecz siedzi w kuchni i czyta poważne książki. Starając się mówić tak spokojnie, jak na to pozwalało jej wzburzenie, już w progu spytała:

- Czy potrafisz zdobyć jedno z tych stypendiów, o których mówiłeś?

Spojrzał na nią, a na jego twarzy odbiło się zaniepokojenie, wywołane dziwnym wyrazem jej twarzy.

- Sądzę, że tak, ale czy wuj Ryszard nie...

- Przestań - rzuciła gwałtownie, po czym opanowała się z trudem. Spojrzała na niego czule. - Chcę, byś zapisał się jutro - mówiła już spokojnie, ale zmienionym głosem. - Ty zdobędziesz stypendium, a resztą zajmę się sama.

Melodramatyczna, tak, ale pokaże, co potrafi. Ryszardowi z jego dwojgiem przeciętnych dzieci, a przede wszystkim Ewie. Jeśli Ewie znów kiedyś przyjdzie ochota śmiać się z niej, to ona odpowie spokojnym, wzgardliwym uśmiechem. Oczywiście wyobraźni ujrzała tę scenę i z gniewu aż zacisnęła zęby.

Bezgłośnie wsunęła klucz i ostrożnie obróciła go w zamku, weszła możliwie najciszej. W małym przedpokoju, słabo oświetlonym płomykiem gazu nad drzwiami, złożyła swą skózaną torbę: nie tę sławną torbę do inkasowania komornego, lecz niedawno kupioną torbę na sprawunki. Następnie zdjęła płaszcz, kapelusz, powiesiła je na miejscu, odwróciła się i weszła do pokoju.

Piotr uczył się wsparty łokciami na stole, z głową w obydwu dłoniach, bezwiednie targając włosy; siedział pochylony nad stosem rozrzuconych książek i skryptów, które go tak pochłaniały, że nie oderwał nawet wzroku, by spojrzeć na matkę. Ona też nie odezwała się ani słowem, lecz zabrała się cicho do przyrządzania herbaty: zapaliła gaz, nastawiła czajnik z wodą, od czasu do czasu rzucając spojrzenie na pochyloną postać syna. Już od trzech tygodni trwała ta intensywna nauka, a widok Piotra, zatopionego w pracy, wzruszał ją do głębi. Ukończywszy przygotowania, przystanęła i spytała łagodnie:

- Piotrusiu, czy możesz teraz zwolnić stół?

- Halo, mam - odrzekł podnosząc oczy, jak gdyby teraz dopiero zauważył jej obecność. Wygodniej oparł się na krzesło: - Znow mi przeszkadzasz.

- Mogę poczekać jeszcze pięć minut.

- Och, już dobrze - odparł uprzejmie. - Mam za sobą ciężkie popołudnie.

Wygląda blado - myślała przekładając ostrożnie jego książki na wyszorowaną skrzynkę, którą nazywali teraz - bardziej wykwintnie - bufetem. Piotr siedział przez chwilę oparty, z półusmiechem przyglądając się jej krzątaniu, następnie wstał i z rękami w kieszeniach zaczął chodzić po mieszkaniu. Kładąc obrus i szybko nakrywając stół, słyszała, że w sąsiednim pokoju mruczał na głos jakieś terminy znacznie przekraczające stan jej wiedzy.

- Gotowe! - zawołała wesoło, gdy kroki jego ucichły. - Herbata na stole. - W tym mieszkaniu nie potrzeba gongu - pomyślała.

- Co za wspaniała ulica! - zawołał z przekąsem, wchodząc do pokoju; przewyciężywszy pierwsze wrażenie, w ostatnich czasach żartował sobie z dzielnicy. - Przyglądałem się właśnie kilku smarkaczom, jak grali w piłkę nożną, kopiąc wzdłuż rynsztoka puszkę od sardynek. - Usiadł i wziął sobie kromkę chleba z masłem. - Co do mnie, to chciałbym wyprowadzić się stąd jak najprędzej.

- No tak - zgodziła się podając mu dobrze wysmażoną porcję ryby - zrobimy to oboje któregoś pięknego dnia.

- Zostaw to mnie - zapewnił pełen otuchy. Zamyślony mieszał herbatę, po czym sięgnął po nóż i widelec. - Znow ryby - zauważył bez niechęci.

- Myślałam, że będzie ci smakować - wtrąciła szybko. - Jest bardzo świeża. Chodziłam po nią aż na targ, choć to dużo dalej, no, ale tam można kupić wszystko taniej. To takie lekkostrawne, zwłaszcza gdy się siedzi nad książkami. Mówią, że to dobrze działa na mózg.

- Co mi tam, działa czy nie działa - rzekł pobłaźliwie, a w głosie jego usłyszała jakby lekkie szyderstwo Franka - ale jest smaczna - ciągnął dalej, zaczynając jeść. - Ładnie pachnie. - Kończąc już, podniósł oczy i spytał nagle: - A gdzie twoja porcja? Wcale nie jadłaś?

- Nie przepadam za rybą - rzekła ze śmiechem. - Zresztą niedawno piłam kawę z ciastkiem - idąc do biura wstąpiłam do herbaciarni panny Chisholm. Odebrało mi to zupełnie apetyt na herbatę.

Spojrzał na nią z powątpiewaniem, wkładając do ust ostatni kęs. Podejrzewał, że jej wesołość jest trochę sztuczna.

- No tak - rzekł - jeśli tak postępujesz, by zepsuć sobie żołądek... - ten zarzut, tak często robiony mu w dzieciństwie, teraz niby odrzucona piłka trafił w Łucję. Patrzyła na niego z uśmiechem, gdy wziął do ręki "Evening News" i otworzył różowe stronicie działu sportowego. Początkowo czytał w milczeniu, następnie sięgnął po swoją filiżankę, wypił łyk herbaty i odezwał się fachowo: - Wiesz, "Zachód" powinien dobrze zagrać w tym sezonie. Mają całkiem przyzwoitą drużynę.

- Tak? - spytała udając żywe zainteresowanie.

- Wspaniała! - odrzekł. - Zapamiętaj, co powiedziałem, a przekonasz się.

Nie potrafiłaby odróżnić piłkarza od atlety: jej zainteresowanie było spowodowane ożywieniem syna, który aż się zarumienił z przejęcia, czuła dreszcz rozkoszy, gdy mówił do niej z takim zaufaniem, rozmawiając z nią o tym, co go interesowało. Teraz czytał, a ona powoli piła herbatę patrząc na niego z uśmiechem, od czasu do czasu przytakując. Nagle wykrzyknął:

- Mamo, posłuchaj tylko tego.

Jakże była szczęśliwa w tej chwili!

Wreszcie wypuścił z rąk gazetę, ziewnął i przeciągnął się.

- Jeśli tak dalej pójdzie, to nie będę pierwszy na liście. Co prawda, kułem przez cały dzień.

Trzymała się zasady niezmuszania go nigdy do nauki, lecz teraz pozwoliła sobie zauważyć z humorem:

- Sądząc po twoim wyglądzie, zrobiłeś duże postępy. Robisz wrażenie zadowolonego z siebie.

- Poczekaj tylko, a zobaczysz, jaki będę zadowolony po ogłoszeniu wyników - odparł poważnie. - Będę na pierwszym miejscu listy - albo nigdzie.

- Tak zawsze dobrze się uczyłeś - rzekła wspominając dawne czasy - od pierwszej klasy.

- A teraz chciałabyś, bym się zaniedbał?

- Jeśli tylko dostaniesz jedno z tych stypendiów, to nie zrobi chyba różnicy, czy będziesz figurował na pierwszym miejscu, czy na ostatnim.

Przyglądał się jej w zamyśleniu, gdy wstała i zaczęła sprzątać ze stołu.

- Pomogę ci wycierać - powiedział, gdy zabrała się do mycia naczyń.

Protestującym ruchem wyciągnęła mokrą, parującą rękę.

- Daj spokój, chłopcze, nie wstawaj.

Ale on wstał i zaczął wycierać ociekające wodą naczynia, które ustawiała na taniej lakierowanej tacy. Doznawała dziwnego wzruszenia mając go tak blisko, gdy o pół głowy wyższy od niej, stał tuż obok, pomagając jej w przykrej robocie. Pomyślała, że być może któregoś dnia siedząc naprzeciw niego przy wytwornie nakrytym stole ich jadalni, może w dniu, kiedy wróci do domu po dokonaniu jakiejś nadzwyczajnej operacji, powie mu wesoło: "Pamiętasz te czasy, kiedy razem zmywaliśmy naczynia przy Flowers Street?" - będzie to naprawdę zabawne wspomnienie! Na razie jednak pomoc jego sprawiała jej radość, była dowodem ich zażyłości.

- Dziękuję - powiedziała, gdy skończył, i wyżeła ścierkę. - A teraz przejdź się trochę, zanim zabierzesz się do wieczornej pracy.

- Sądysz, że powinienem się przejść? - spytał z wahaniem. Znów miała wrażenie, że słyszy głos Franka - nie całkiem zdecydowanego, zależnego od jej zdania.

- Naturalnie - odrzekła stanowczo. - To ci dobrze zrobi.

Wziął czapkę i wyszedł, z tym przelotnym, nieśmiałym uśmiechem, którym ją czasem obdarzał, a który tak bardzo cieszył ją jako dowód jego przywiązania.

Podczas nieobecności syna ustawiła naczynia, posprzątała pokój, troskliwie umieściła książki znów na stole, po czym przebrała się szybko w popielatą domową sukienkę. Przez cały czas nasłuchiwała jego spiesznych kroków na schodach i przenikliwego umówionego gwizdnięcia, którym zapowiadał swe przyjście.

Usłyszawszy ten ostry sygnał, pobiegła do drzwi, by uchylić je i prędko usiadła na krześle, spokojnie robiąc pończochę, tak, że gdy wszedł, mógł przypuszczać, że drzwi jakimś tajemniczym sposobem same się otworzyły, gdyż ona, oczywiście, nie była ani tak czuła, ani głupia, by mu je otwierać.

Był w parku, przyglądał się partii tenisa, przez chwilę siedział na trawniku, a w końcu wpadł do "Grove Cafe" (właściciel: Antonio Demario), by po drodze zjeść porcję lodów.

- Tylko dla ochłodzenia tej ryby, mamó. - Jakkolwiek zmarszczyła lekko czoło z powodu tej kawiarni, nie padły słowa nagany, które już miała na języku.

Znów zabrał się do książek. Siedząc przy drugim końcu stołu i robiąc pończochę, udawała, że czyta rozłożoną powieść, ale w myśli z najwyższym zdumieniem zadawała sobie pytanie, jakim cudem zdobyła się wówczas na oddanie tego chłopca do internatu; zrobiła to jedynie dla jego dobra, powodowana smutną koniecznością. Teraz jednak wiedziała, że wskutek jakiejś przemiany, która dokonała się w nim czy w niej, nigdy nie potrafiłaby rozstać się z nim ponownie. Pozornie spokojna i zajęta swą robótką, w napięciu obserwowała zatopionego w nauce syna, całym wysiłkiem woli starając się mu dopomóc w trudniejszych monetach.

Zegar odmierzał spokojnie bieg sekund, zupa - kolacja Piotra - cicho perkotała na ogniu. Z mieszkania na dole dochodziły stłumione dźwięki: kroki, pojedyncze słowa. Na dworze wokół domu słychać było ciche wieczorne odgłosy miasta, które niby tony przytłumionych i dalekich organów uderzały łagodnie o szyby pokoju, w którym skryło się matczyne poświęcenie i słodycz miłości, jakiej Łucja nie zaznała od miesięcy.

W miarę jak upływały dni i zbliżał się dzień egzaminów, a piasek przesypywał się coraz szybciej w klepsydrze czasu, zdawało się jej, że syn pracuje zbyt ciężko. Tyle czekało na niego stypendiów, że te wysiłki, by zdobyć pierwsze miejsce, uważała za zbyteczne, a nawet szkodliwe dla zdrowia Piotra. Jeżeli znajdzie się na liście pierwszych dwudziestu kandydatów, stypendium ma zapewnione, ale jego zadowoli dopiero zrealizowanie swych zamierzeń - zdobycie pierwszego miejsca w otwartym konkursie. Z całego serca pragnęła, by mu się to udało i z niezwykłą żarliwością modliła się w jego intencji. Wędrując po slumsach przyzwyczała się odwiedzać tamtejszy kościół - był bardzo skromny, ale odpowiadał jej celowi - by w krótkim momencie skupienia błagać Boga o powodzenie syna. Ofiarowane przez nią świece często płonęły przed gipsowym posągiem świętego Antoniego i równie często skromne miedziaki wpadały z brzękiem do czarnej cynowej puszki, która stała między obutymi w sandały stopami świętego. To grosz wdowi - myślała nieraz z bolesnym uśmiechem - a święty Antoni, patron młodzieży, nie odmówi chyba modlitwom w intencji syna.

W miarę zbliżania się tej chwili ogarniało ją coraz większe zaniepokojenie. W dzień egzaminu na pożegnanie pocałowała Piotra w policzek - najrzadszy u niej przejaw miłości -

gdy z całym spokojem wyruszył na wielką przygodę, i ze łzami w oczach wbiegła szybko do frontowego pokoju, by ujrzeć go jeszcze idącego ulicą. Wezbrała w niej duma i czułość, gdy się odwrócił i skinął do niej ręką przyjaźnie, a nawet z otuchą. Ta otucha przejęła ją dreszczem radości. Zazwyczaj odwaga jej, poparta doświadczeniem życiowym, była niezłomna, ale dziś Łucja czuła się słaba i rozbita oczekiwaniem.

Spełniała swoje obowiązki mówiła rozumnie, gdy ją pytano, dawała właściwe odpowiedzi, ale robiła to jakby w transie i później nie była w stanie niczego sobie przypomnieć. Nie wróciła do domu w południe - Piotr miał zjeść obiad na uniwersytecie - lecz weszła sama do herbaciarni panny Chisholm, gdzie siedziała zamyślona jedząc pasztecik - doskonały soczysty pasztecik za dwa pensy - wcale nie czując jego smaku, gdyż myślami była teraz w sali egzaminacyjnej i widziała szybko biegnące po papierze pióro swego syna.

Gdy ten nie kończący się dzień dobiegł wreszcie kresu, wyszła z biura punktualnie o piątej i wsiadła do tramwaju, by pojechać do domu.

Wbiegając na schody oddychała szybko. Jakkolwiek wiedziała, że jeszcze za wcześnie na powrót Piotra, przeczuwała już wiadomość, jaką jej przyniesie. Nie była usposobiona do żadnych rozmów, lecz gdy wchodziła do mieszkania, otworzyły się sąsiednie drzwi i młoda kobieta, trzymając w ręce kilka pakunków, odezwała się do niej z uśmiechem:

- Przyniesiono to podczas pani nieobecności - rzekła podając Łucji paczki. Jasnowłosa, z lekkim złotawym puszkim na górnej wardze, twarz miała okrągłą, uśmiechniętą, rumianą, a figurę skłoną do tycia; wyglądała niewinnie, a zarazem ponętnie. - Odebrałam te rzeczy, by chłopcu zaoszczędzić powtórnej drogi - dodała prawie nieśmiało.

- Bardzo to uprzejmie z pani strony - dziękowała Łucja biorąc pakunki i zamierzając odejść.

- Nazywam się Finch - rzekła tamta wciąż jeszcze stojąc w progu - tak, Bessie Finch.

- Bardzo mi przyjemnie - odparła Łucja sztywno. Niedawno zauważyła z niechęcią, że zamieszkali tu nowi lokatorzy; poza tym musiała przyjąć sąsiedzką przysługę nie życząc sobie jej powtórzenia; mimo to wyraz szczeroci w twarzy sąsiadki powstrzymał ją od zamknięcia drzwi.

- Słyszałam, że pani wprowadziła się tu niedawno - znów podjęła Bessie. - Tak samo jak my. - Mówiła gwara, z którą Łucja miała się później zapoznać, i wprost świerzył ją język od chęci paplania.

- Tak przyznała Łucja wbrew woli - mieszkamy tu od niedawna.

- Ogromnie się cieszę, że poznałam panią - wylewnie zapewniła Bessie. - Wie pani przecież, że ludzie na tym piętrze nie są zbyt uprzejmi. Mnie się przynajmniej tak wydaje. A ja jestem bardzo towarzyska. Tam, w Whiteinch, gdzie moja matka prowadzi owocarnię, było zawsze mnóstwo ludzi, i dlatego widzi pani, rodzina nasza jest dobrze znana, właśnie przez ten sklep. Tak dawno tam istnieje, że znają nas w całej dzielnicy! Ale tu jest całkiem inaczej. A Finch - mój mąż - rzekła czerwieniąc się - tak, pobraliśmy się niedawno, Finch jest przez cały dzień w pracy, a wieczorem wraca nieraz taki zmęczony, że nie można zawracać mu głowy rozmową. Toteż nudzę się nieraz...

- Ja również przebywam cały dzień poza domem - powiedziała Łucja niezachęcająco.

- To pani syn, którego tu widuję, prawda? - wytrwale paplała Bessie. - Bardzo miły chłopak. Kiedyś uklonił mi się na schodach - och, prawdziwy z niego dżentelmen, proszę mi wierzyć. Finch i ja zastanawiamy się nieraz, do jakiego zawodu go pani przeznaczają.

Na te słowa, uderzające w najłabszy punkt jej pancerza dumy, Łucja która już miała zamknąć drzwi, zatrzymała się.

- Mój syn będzie chodzić na uniwersytet - zauważyła chłodno. - Zapisał się na medycynę.

Bessie Finch była wyraźnie zmieszana, brwi jej podniosły się nad poczciwymi brązowymi oczami; milczała przez chwilę, następnie zaśmiała się zakłopotana.

- Finch pracuje w firmie "Lush i Spółka", wie pani, w tej firmie spirytusowej, ma tam świetną posadę i dobrze mu płacą. Uśmiech Łucji był wymuszony, nie interesował jej wszechobecny Finch, którego czasem widywała - mały, tłusty mężczyzna pozostawiający za sobą na schodach dziwną woń alkoholu. Nie miała też zamiaru poddać się teraz owemu instynktowi towarzyskiemu, któremu kiedyś ulegała tak łatwo - będąc jeszcze młodą i osamotnioną żoną.

- Dziękuję za odebranie moich paczek - powiedziała na zakończenie, zamykając za sobą drzwi.

- Było to dla mnie prawdziwą przyjemnością - rzekła Bessie znów się uśmiechając. - Tak bardzo się ucieszyłam. - Za tym uśmiechem kryła się chęć dalszej rozmowy. Ale Łucja nie dała jej sposobności do niej i skinąwszy głową, cicho zamknęła drzwi.

Weszła do tylnego pokoju i położyła tam pakunki. Momentalnie zapomniała o przypadkowym spotkaniu, nie posiadającym dla niej żadnego znaczenia.

Czekała, a w miarę upływu czasu wzrastał jej niepokój. Nie dopuszczała myśli o porażce Piotra. Usłyszawszy jego pukanie - nie gwizdnął przedtem, co od razu wzięła za zły omen - przeraziła się nagłym biciem serca. Jak sparaliżowana, podeszła do drzwi, by go wpuścić.

Twarz miał bladą i zmęczoną, na lewym policzku widniała plama z atramentu. Wszedł bez słowa. Rzucił się na łóżko w alkowie - w pokoju oczywiście nie było kanapy - i wlepił oczy w sufit.

- Dobrze! - rzekł w końcu.

To jedno słowo i sposób, w jaki je wypowiedział, przejęły ją dreszczem zachwytu. Choć udawała spokój, serce jej biło jak młotem. W milczeniu zaczęła odgrzewać mu na kuchni zawczasu przygotowaną pieczeń.

- Coś mi się zdaje, że nie bardzo cię to interesuje - rzekł nagle po chwili, wciąż jeszcze z udaną obojętnością, przyglądając się temu samemu gzymsowi. - Czemu nie pytasz, jak mi poszło?

Zatrzymała się nieruchomo, trzymając przez ścierkę gorący talerz.

- Więc poszło ci dobrze? - cicho spytała podnosząc brwi. Była to obojętność w najwyższym stopniu sztuczna: zadając to pytanie czuła, że kolana uginają się pod nią.

- Poszło mi jak po maśle - powiedział szybko. - Oczywiście jeszcze za wcześnie mówić o tym. Ale tematy wydały mi się łatwe, śmiesznie łatwe. Matematykę rozwiązałem raz dwa, angielski napisałem śpiewająco. - Entuzjazmował się coraz bardziej własnymi słowami.

- Dałem sobie radę nadspodziewanie dobrze, a gdy wyszedłem i rozmawiałem z kilkoma chłopcami, powiedzieli mi, że im się nie udało.

Trwała tak bez ruchu, lecz nagle oczy jej rozbłysły. Uczuła przelotne współczucie dla zasmuconych matek tych chłopców, którym się nie powiodło. Poczła wielką ulgę, a zarazem dumę, aż ją zaczęło dławić w gardle. Przez chwilę nie mogła przemówić, stała cicho patrząc na niego. Tym razem przez pryzmat miłości macierzyńskiej dojrzała w szczupłej postaci syna pewien patos. Widziała kościste przeguby rąk, wysuwające się ze zbyt krótkich rękawów, wytarte łokcie marynarki, bladą twarz i - ostatni dowód trudów, wywołujący najgłębsze wzruszenie - atrament na palcach i policzku.

Teraz jednak, gdy już osiągnął efekt, popłynął niepowstrzymany potok słów o przebiegu dnia. Piotr z niezwykłą dokładnością mówił, czego i w jaki sposób dokonał. Wsłuchiwała się w szybko wyrzucane słowa, ciesząc się w głębi serca, że swego czasu oddała go do Laughtown i że postąpiła słusznie ponosząc tę ofiarę. Zapragnęła go wynagrodzić za długie lata wyteżonej nauki, uwieńczonej tak wspaniałym rezultatem. Wywiązywał się znakomicie - myślała. Brat Alojzy mawiał: "Dobry koń nie potrzebuje ostróg". Jak mógł: ostroga dla takiego chłopca jak Piotr! Podając mu jedzenie i nalegając, by najadł się do syta, ustawicznie rozmyślała o tej nagrodzie. Chciała, by miał jakąś rozrywkę, rekompensatę należną mu za zwycięstwo, które uważała za pewne.

W najbliższych dniach, gdy minęło napięcie wywołane wielkim wydarzeniem, Piotra ogarnęła apatia. Wyniki egzaminów zostaną podane nie wcześniej niż za miesiąc; tymczasem nie miał nic do roboty. Humor jego uległ zmianie, chłopiec wałęsał się po domu, robiąc cierpkie uwagi o upale i zakurzonych ulicach. Uskarżał się na brak przyjaciół, a nawet roweru, którym mógłby wyjechać za miasto. Było oczywiście nie do pomyślenia, by zaprzyjaźnił się z młodzieżą tej dzielnicy, a chwilowo, jak się wyraziła, nie stać jej było na kupienie mu roweru. Któregoś dnia wieczorem wracając do domu zobaczyła, że wychodzi z kawiarni Demaria, gdzie poszedł na lody, by ugasić pragnienie. Zaczęła się martwić - zbyt często widziała go z bezsilnie opuszczonymi ramionami. Bała się, że zdrowie syna może ucierpieć z powodu braku zmiany powietrza.

I oto nagle, całkiem niespodziewanie, nadszedł list. Była zupełnie zaskoczona tym wydarzeniem, stale bowiem dowodziła, że nigdy nie spotka jej nic dobrego, jeśli nie zdobędzie tego własnym wysiłkiem. List był od Edwarda i - jakkolwiek o tym nie wiedziała - świadczył o lekkich wyrzutach jego kapłańskiego sumienia. Pisał w nim, że miał zamiar zaprosić Piotra na kilka dni, i bardzo żałuje, że nie może tego zrobić. Lekarz zalecił mu bowiem wyjazd na Maderę ze względu na wątrobę, a jako konkretny wyraz swego żalu załącza podarek w postaci pięcioletowego banknotu. Było to podobne do Edwarda, który nie cierpiał, by go proszono o pieniądze i wołał dawać samorzutnie i na swój sposób. Od razu pięć funtów! Była oszołomiona: szelest banknotu w jej palcach wprowadził ją niemal w ekstazę; jakże dawno nie widziała tak wielkiej sumy - ona, która miała teraz do czynienia z zatłuszczonymi miedziakami i wytartym bilonem. Kusiło ją, by schować natychmiast banknot i po dłuższym namyśle kupić jakiś konieczny sprzęt. Piotruś powinien mieć przynajmniej dywan w swoim pokoju, w jej łóżku kupionym na tandecie złamała się uszkodzona sprężyna. Ale gwałtownie odsunęła od siebie te myśli. Ogarnęła ją nagła lekkomyślność, chęć popełnienia szaleństwa. Choć wiedziała, że poddawanie się tej fantazji jest słabością, to jednak pobudki, jakimi kierowała się, były zupełnie wyjątkowe. Okres nauki Piotra, jego obecne zmęczenie, szalone upały, które wyczerpywały ich oboje, podniecające przeświadczenie, że słusznie należy im się wypoczynek, fakt, że jako urzędniczka "Hendersona i Shawa" - mimo że od niedawna dopiero piastowała tę godność - otrzyma w

lipcu dziesięciodniowy urlop, wszystkie te czynniki zachwiały nią. Drepcąc znużona po rozpalonych i brudnych chodnikach swojej dzielnicy, w wyobraźni widziała wizję błękitnego falującego morza, widziała Piotra i siebie na plaży. Używając jej własnych słów - coś ją opętało. Nie mogą sobie pozwolić na Maderę, niemniej mogą sobie urządzić wakacje. Zasłużyli na nie, tak Piotr, jak i ona, i pojedą oboje, chociażby mieli wydać całe pięć funtów do ostatniego pensa!

Gdy o projekcie tym zawiadomiła syna, oczy jego rozbłysły, a ramiona wyprostowały się; od razu przestał narzekać na pogodę, uznając ją za idealną do pobytu nad morzem. Przez ostatnie dni tygodnia używali w rozmowie określeń marynarzy, objechali dworce, by przestudiować rozmaite barwne plakaty, a w końcu po długich, ale radosnych poszukiwaniach w najrozmaitszych rozkładach kolejowych, dotyczących kosztów takiej wycieczki, zdecydowali się, idąc za radą panny Tinto, wyjechać do Doune. Panna Tinto знаła pewną osobę wynajmującą pokoje - niejaką pannę Tweedy - za której charakter i czystość ręczyła stanowczym ruchem i jeszcze energiczniejszym niż zwykle zaciśnięciem ust.

Szybko napisano list do panny Tweedy, na który odpowiedziała natychmiast, oświadczając, że nie ma nic przeciw przyjęciu pani Moore i jej syna za skromną opłatą trzydziestu pięciu szylingów tygodniowo - nie wliczając w to kąpieli, czyszczenia obuwia, herbaty wieczorem i używania kuchni. Postanowili jechać.

Nieznośny upał miasta, żar rozpalonych bruków parzący nawet przez podeszwy i potęgający ohydne wyziewy brudnej dzielnicy, w której spędzali całe dnie, stały się niczym w radosnym uniesieniu oczekiwania. Na parę dni przed ustalonym terminem Łucja zabrała się do przygotowań. W przeddzień wyjazdu zapakowała rzeczy do walizki Piotra, a na jego drwiące powiedzenie - użył słowa "miodowy miesiąc" - znalazła niezwykle ciętą, wesołą odpowiedź. Z przezornością dowódcy armii umówiła się z mężem pani Collins - znów nie miał roboty w dokach i ucieszył się możliwością zarobienia sześciu pensów - że odniesie ich walizkę do pociągu. Sami pojedą tramwajem - początek rokujący dobre nadzieje, gdyż oznaczał zaoszczędzenie całych dwóch szylingów.

Ranek tego niezwykłego dnia był pogodny. Pani Finch, zjawiwszy się niespodziewanie na schodach, przyrzekła zaczerwieniona, że będzie uważać na ich mieszkanie. To uprzejmie z jej strony - pomyślała Łucja, usposobiona życzliwie do całego świata. Wyszli z domu. Na rogu, z nieznanym prawie wzruszeniem wsiedli do dobrze

znanego tramwaju. Nie mogła uwierzyć, że to ten sam wehikuł, który trzęsąc straszliwie wiozł ją codziennie na White Street. Nie, dziś jego posępne ściany lśniły wesołym purpurowym blaskiem, a nawet guziki konduktorów świeciły radośnie.

Na dworcu czekał na nich Collins z walizką i Łucja - mająca obawy co do jego trzeźwości - uspokoiła się. Wkrótce siedzieli już w wagonie i pociąg ruszył. Dzień był ciepły i słoneczny, rowy wzdłuż toru kolejowego roztaczały złotozółty przepych rozkwitłych mleczków, białe kłęby pary odcinały się na tle błękitnego, promiennego nieba. Oparłszy się wygodnie i przyłożywszy policzek do szorstkiej, ciepłej poduszki, Łucja, szybko oddalając się od miasta, doznała uczucia ulgi, niewiarygodnej lekkości i szczęśliwego wyzwolenia; miała wrażenie, że zapomniała, a teraz z nową rozkoszą poznaje słodką zielen pól. Wprost nie do wiary, że zwykła kępka kwitnących przy drodze mleczków mogła wywołać u niej taki zachwyty. A jednak tak było. Po zaduchu i brudzie miasta ta jazda była nagłym ukojeniem, nowym poznaniem piękności życia, przebudzeniem niemal bolesnej tęsknoty za jego radością. Gdy przybyli do Doune, Łucja była raczej milcząca.

Dom panny Tweedy, który odszukali z trudem, leżał daleko od oszałamiających pokus placów sportowych i hoteli, na spokojnym krańcu miasta, a sama panna Tweedy, również spokojna, drobna kobiecina o wielkich smętnych oczach i małej głowie osadzonej na długiej szyi, przywitała ich beznadziejnie smutnym głosem.

- Trafili państwo, jak widzę.

- Tak - grzecznie zgodziła się Łucja.

- Wszyscy mnie tu znają - rzekła panna Tweedy z melancholijną dumą. - Szanują mnie w mieście. Mam nadzieję, że państwo chyba nie będziecie grymaśni w jedzeniu - obrzuciła ich badawczym spojrzeniem przygasłych oczu. - Bo ja prowadzę tylko prostą kuchnię. Możliwie najprostszą. Ale wszystko jest pierwszorzędne.

- Tak, oczywiście - wtrąciła Łucja.

- A te ceny artykułów żywnościowych - podjęła tamta wznosząc oczy ku górze. - Coś bezwstydne. Wszystko trzeba dziś przepłacać. Masło podrożało o dwa pensy, cukier o pensa, mąka o pół pensa. Nie pojmuję, jak przyzwoici ludzie mogą teraz wyżyć. - Pod jej przeszywającym spojrzeniem Łucja zaczęła czuć się nieswojo.

- Jeśli pani żąda jakiejś drobnej podwyżki, to jestem gotowa dopłacić.

Panna Tweedy wykonała swą wątłą ręką ruch protestu.

- Ani pensa, pani Moore, choćby mnie pani prosiła o to na klęczkach - powiedziała dramatycznie. - Moje warunki są umiarkowane i takie pozostaną. Znam właścicielki - mogłabym wymienić kilka nawet z tej ulicy - które by skwapliwie przyjęły pani propozycję. Ale ja? Nie, pani Moore! Niech one paradują sobie w kapeluszach ze strusimi piórami, jeśli im to sprawia przyjemność, ale ja zachowam swoje dobre imię, choćbym miała skonać. - Umilkła, by zaczerpnąć powietrza, po czym ciągnęła dalej: - Jeśli jednak przed odjazdem uzna pani, że było tu państwu dobrze, to nie będę mieć nic przeciwko ofiarowaniu mi pół szylinga na trędowatych. Od lat pomagam ratować trędowatych, to biedne nieszczęsne istoty. - Mała gospodyni znów odetchnęła głęboko, następnie spojrzała omdlewająco na Piotra i spytała powoli: - Syn pani? - Słuchając odpowiedzi Łucji odsunęła z bladego policzka pasemko rzadkich włosów i troskliwie umieściła je za lewym uchem. - Nie powiem, że to niewygodne mieć w rodzinie lekarza. Nie mam nic przeciwko lekarzom. Robią, co mogą, to pewne. Czasem mogą, a czasem nie mogą. - Zniżyła głos i drżącym szeptem dodała: - Jednak nic nie mogli zrobić dla żony mojego siostrzeńca.

- To przykre - rzekła Łucja. - Czy jest chora?

- Była, pani Moore, była - odparła panna Tweedy uroczyście, z emfazą. - Pochowaliśmy ją zeszłej zimy, a ja własnymi rękoma ułożyłam ją na katafalku. Była... - dolna jej warga zadrżała, patetycznie podniosła oczy - była to najpiękniejsza zmarła, jaką kiedykolwiek ubierałam w śmiertelne szaty. Wyglądała jak anioł. Włożyłam jej do ręki białą lilię. Wszyscy mówili, że nie można było zrobić tego lepiej. Mam wycucie w tych sprawach. Chciało mi się płakać, gdy spuszczano ją do grobu - taka prześliczna! - Gdy panna Tweedy opowiadała, jej zwiędła twarz niemal rozjaśniła się ożywieniem. - Któregoś dnia pokażę pani medalionik, jaki dostałam na pamiątkę od siostrzeńca. Był mi bardzo wdzięczny, to bardzo przyzwoity człowiek, choć na Zwiastowanie ma zamiar wziąć ślub z inną.

Nastąpiła pauza, po czym panna Tweedy westchnąwszy wróciła do spraw praktyczniejszych. Powiadomiła Łucję i Piotra o porze posiłków i gdzie znajdują się najbliższe przybytki służby Bożej zapowiedziała zmianę pogody, ostrzegła przed

niebezpieczeństwem zbyt długich kąpeli i późnego udawania się na spoczynek, w końcu ze smutną powagą wyszła z pokoju.

Po jej odejściu zapanowało wymowne milczenie.

- Bądź co bądź bardzo tu czysto - rzekła Łucja rozglądając się wesoło.

- Bądź co bądź? - zapytał Piotr.

- No, tak - mam wrażenie, że ona się trochę poniża.

- Biała lilia - zacytowała z naciskiem.

Spojrzeli na siebie i następnie roześmieli się, a śmiech ten stopniowo przeszedł w wybuch szalonej wesołości. Nie mogli się pohamować, śmiejąc się i śmiejąc bez opamiętania.

- Biała... - wykrztusił Piotr oparty bezsilnie o gzyms kominka. Łucja wycierała sobie łzy z oczu.

- Przestań - westchnęła wreszcie - gotowa usłyszeć. Ale usta jej jeszcze drgały, gdy wyjmowała imbryk.

Panna Tweedy zyskiwała jednak przy bliższej znajomości: w jej melancholii nie było przygnębienia, a w sztuce pieczenia i gotowania była wprost niezrównana. Określenie "ciasteczka panny Tweedy" stało się ważkie jak "biała lilia"; a poza tym, według jej własnych słów: "ciągnęło ją do Łucji" i "zabijała się dla nich". Ulżyła też swej zwiotczalej piersi, opowiadając im niezwykłą historię rodzinną pełną żalonych szczegółów, godną uwagi nie tyle ze względu na przygody członków rodziny, ile na niesamowite znaczenie uporczywych i bolesnych chorób, które ich dręczyły, a w końcu wyprawiły na tamten świat.

Pogoda również nie zastosowała się do pierwszej ponurej zapowiedzi - przeciwnie - przyniosła szereg przyjemnych dni, które mijały w sennym rozleniwieniu. Łucja niewiele miała do roboty, próżnowanie było jej główną przyjemnością. Przede wszystkim lubiła wygrzewać się na ciepłych skałach i patrzeć na morze - nie na błękitny ocean, jak to sobie wyobrażała przedtem, lecz na szary, lśniący bezmiar morza falującego z nieskończoną wytrwałością, gdy długie języki fal lizały żwir u jej stóp. Obraz wiecznie zmiennej wody przypominał jej życie; przynosił ukojenie, którego nie uświadamiała sobie wyraźnie, lecz

któremu poddawała się bezwiednie. Z nadbrzeżnych skał wystawała trampolina i tu w zielonej, głębokiej zatoce Piotr kąpał się co rano. Gdy wskakiwał do wody, widok jego ciała przecinającego powietrze sprawiał jej dziwną, romantyczną przyjemność, wywoływał uśmiech. Miodowy miesiąc z synem - co za absurd! A jednak?

Po kąpieli ubierał się szybko i przybiegał do niej z mokrymi jeszcze włosami, w ręczniku zarzuconym z fantazją na ramię, a po krótkiej rozmowie na temat jego wyników w pływaniu, szli razem na spacer do portu, by Piotr się rozgrzał. Zawsze byli ze sobą. Czasem zdawał się pragnąć bardziej urozmaiconych rozrywek i zazdrosnym okiem spoglądał na przechodzącego golfistę niosącego na ramieniu worek z kijami do gry; czasem w momentach złego nastroju okazywał chwilowe rozdrażnienie z powodu szczupłości ich kapitałów, choć dawała mu na drobne wydatki tyle, ile mogła; zazwyczaj jednak był dla niej czarujący.

Zaczął przybierać ton życzliwej pobłażliwości, a ilekroć podczas ich spacerów jakiś mężczyzna spozjrzał na nią z uznaniem, robił uwagę:

- Jesteś jeszcze przystojną kobietą, mamó, wiesz? - I z uznaniem kiwał głową. Czasem w żartach pomawiał ją o gorące uczucie dla kierownika "Variete" i podrwiwał z niej twierdząc, że ginie z tajonej, nie odwzajemnionej miłości.

Wieczorem, po herbacie, przechadzali się pod rękę wzdłuż zielonej nadbrzeżnej alei i ostatecznie wchodzili do owego "Variete". Za wejście i wygodne krzesła musieli zapłacić cztery pensy, ale zbytek ten ich zdaniem oznaczał oszczędność. Stojąc bowiem na dworze, narażali się na przeróżne pokusy ze strony czerwonej aksamitnej torebki, na które w obecnym usposobieniu Lucja była zupełnie nieodporna. Przedstawienie było zresztą świetne - trupa Vala Pinkertona cieszyła się uznaniem, nie ustępując żadnej innej na tym wybrzeżu, a sam Val - we dnie postać nieznana - wieczorem był bohaterem wyróżniającym się spośród zespołu szeroką czerwoną wstęgą przecinającą biel gorsu z niemal kontynentalną wytwornością. Tak, Val Pinkerton miał arystokratyczny, pełen wyniosłości wygląd oraz piękny, przejmujący baryton. Gdy z jedną ręką romantycznie wyciągniętą, a drugą przyciskając wymownie do serca okrytego wstęgą, śpiewał:

O moja Daisy, oddaj mi swą rękę,

nie skazuj dłużej na szaleńczą mękę.

Wprawdzie na ślub nasz - powiem ci szczerze -

żadna kareta nas nie zabierze,

ale gdy miłość zawoła,

można pojechać do kościoła

na dwusiodłkowym rowerze...

Łucja i Piotr uważali to za szczyt artyzmu.

- My też sprawimy sobie kiedyś karete, mam - zauważył z przekorną pewnością
Piotr. - Możesz być o to spokojna.

Znów ta żarliwa pewność co do przyszłości, przejmująca ją wzruszeniem. A przy tym snując takie plany myślał zawsze o nich obojgu. Czasem prosili o włączenie do programu "Daisy", a gdy podziwiany Val oświadczył osobiście, że obdaruje słuchaczy znaną pieśnią, mieli wrażenie, że śpiewa wyłącznie dla nich. W drodze powrotnej, idąc tuż obok siebie w ciepłym mroku, nucili ulubioną melodię, a do refrenu przyłączał się głęboki bas - szum morza - to wznoszący się, to opadający na niewidocznym brzegu. Na twarzach czuli wilgotny wiew słonego powietrza; dalekie światła w porcie przeszywały czarną toń wody żółtymi smugami; trawnik, wilgotny od rosy, ugiął się pod ich stopami. Przed "Hotelem Morskim" - którego wielkie oświetlone okna ukazywały jego wyzywający przepych - Łucja często zatrzymywała syna i osłonięci mrokiem przystawali, by przyjrzeć się ożywionemu ruchowi wewnątrz lokalu. Długie rzędy stołów z bukietami róż, śpiesznie przemyskający kelnerzy, wydekoltowane kobiety w balowych sukniach - cały ten barwny, żywy obraz beztroskiego i wykwintnego życia ukazywał się ich oczom. Patrząc na tę scenę z przejściem ukrytych obserwatorów oboje odczuwali tajemne pragnienie: on żarliwie, ona biernie; ale dla obojga obraz ten był przeżyciem, które wprost dławiło w gardle i które przez krótką chwilę przybierało kształt rzeczywistości. W atmosferze tego beztroskiego dostatku Łucja widziała się u kresu długiej walki, jaka ją jeszcze czekała - on zapatrzony, z rozchyłonymi ustami, wyobrażał sobie swą przyszłość na tle takiego właśnie zbytku i bogactwa.

Zwykle po odejściu, zajęci swymi myślami, niewiele już ze sobą mówili; mimo to Łucja czuła zacieśniającą się między nimi więź, zespalającą ich w dążeniu do wspólnego celu.

W ciągu tego szczęśliwego okresu, kiedy byli tak bardzo do siebie zbliżeni, przestała niemal uważać go za swego syna. Całe dni spędzała w jego towarzystwie, chciwie łowiła każde słowo, czekała na uśmiech, uprzedzała w miarę możliwości każde życzenie. Prosiła gospodynię, by przyrządzała potrawy, które lubił lub o które prosił. Zaspokajanie jego zachcianek stało się jej radością, ale najczęściej robiła to pod osłoną szorstkości. Nigdy nie dopuściła do tego, by postępowanie jej zostało osłabione przez czułość. Nie rozpieszczała go. Myśl taką uważała oczywiście za niedorzeczną. Jej poświęcenie nie było pobłażliwością, lecz oznaką przywiązania, które wymagało w zamian podobnego uczucia.

Taki był ich stosunek podczas owego pobytu w Doune, a kiedy ostatecznie urlop ich - jak wszystkie urlopy - dobiegł końca, stosunek ten wydawał się silny i trwały. Łucja wróciła na Flowers Street z poczuciem pewności, uzbrojona do walki o przyszłość.

W Doune mówili niewiele o wyniku egzaminów, unikając tego tematu, w milczeniu uznając go za pewnik. Starła się nieustannie podtrzymywać nadzieje Piotra: czyż mało dokonał poprzednio? Mimo to, w miarę jak zbliżał się dzień, w którym miano ogłosić wyniki, ogarnęło ją gorączkowe podniecenie. A kiedy istotnie nadszedł ów wyczekiwany dzień, tylko sztywność rąk podczas ubierania zdradzała jej stan.

Była to sobota. Piotr oświadczył, że pójdzie na uniwersytet o jedenastej, gdyż o tej godzinie wywieszą zapewne na tablicy listę stypendystów; gdy matka wróci w porze obiadowej, będzie mógł zakomunikować jej wiadomość - dobrą czy złą.

- Och, musi być dobra - rzekła śpiesznie, stojąc już ubrana do wyjścia, lecz bezwiednie się ociągając.

- Ja też tak sędzę - zgodził się. Panowanie nad sobą uczyniło ich powściągliwymi.

- Pójdę już jednak, nie chcę się spóźnić - rzekła z wysiłkiem i wyszła śpiesznie.

Idąc ulicą, nasyconą jeszcze świeżością poranku, czuła w sobie niepokój, napięcie każdego nerwu. Choć już od miesiąca czekała ze stoickim spokojem, teraz jednak była zupełnie rozstrojona, a te kilka godzin do obiadu wydawało się jej nieskończonością. Na rogu ulicy stary człowiek, właściciel małego sklepu z gazetami, wykladał właśnie na wystawie najnowsze wydania gazet. Łucji przyszła nagle pewna myśl do głowy. Przystanąła niespodziewanie, weszła do sklepu i kupiła "Glasgow Herald".

Idąc na przystanek, trzymała w ręce złożoną gazetę. Właściwie żałowała tego odruchu, gdyż uświadomiła sobie, że wyniki nie mogą jeszcze być umieszczone w wydaniu porannym.

Mimo to ręce jej drżały, gdy siedząc na ławce w tramwaju, przewracała zadrukowane stronicie. Oczy jej przebiegały szybko nieważne dla niej wiadomości - trzęsienie ziemi w Japonii, nagła powódź na Borneo, morderstwo w Leeds - i szukały trwożnie informacji najważniejszej. Jednak nie zauważyła żadnej wzmianki z uniwersytetu. Gdyby w gazecie było nazwisko Piotra, natychmiast wyszukałaby je w gmatwaninie martwych słów i niepotrzebnych liter. Rozczarowana opuściła gazetę na kolana i w tejże chwili zauważyła nagle nagłówek: "Wiadomości z uniwersytetu", a także listę nazwisk. W mgnieniu oka przeczytała tę krótką listę - dwadzieścia pięć pustych pozbawionych znaczenia nazwisk.

To chyba nie ta lista. Z przerażeniem Łucja raz jeszcze spojrzała na tytuł. Umysł jej, szukając jakiegoś wyjścia, od razu chwycił się wybiegu. Tak, to ta lista, ale popełniono błąd. Błąd drukarski! Nazwisko jej syna zostało opuszczone w spisie. Z trudem przełknęła ślinę i znów przeczytała notatkę. Dwudziestu pięciu szczęśliwych kandydatów spośród prawie dwustu. Podano wszystkie szczegóły dotyczące nowych stypendystów: szkoły, jakie ukończyli, miejsca w domach akademickich, nawet głupie pretensjonalne drugie imiona. Brwi jej ściągnęły się w gorzkim rozczarowaniu.

Dopiero teraz pojęła prawdę: stanęła w obliczu nie jego klęski, lecz swojej własnej. Była jak sparaliżowana, westchnienie wyrwało się z jej piersi niby pożegnanie ostatniej nadziei. Nie zareagowała, gdy gazeta osunęła się na ziemię. Siedziała, zapatrzona przed siebie, przepełniona rozpazą. Gwałtowność rozczarowania sprawiła jej wprost fizyczny ból. Wstała jak automat i wysiadła na swoim przystanku. Zapragnęła nagle z dala od gwaru i ruchu ulicznego upaść na ziemię i płakać, płakać niepoohamowanie.

W biurze nie powiedziała ani słowa, ale pracując mechanicznie nie mogła jednak pojąć przyczyny tego wszystkiego; w głębi duszy wciąż jeszcze żywiła cień nadziei. Przecież postępy Piotra w szkole były dobre, przygotowywał się usilnie do egzaminów, a po wszystkim był bardzo zadowolony z siebie; ona ze swej strony modliła się w jego intencji, tak, modliła się żarliwie. Myśląc o tym poczuła nagle przerażenie.

Oszołomiona i rozbita, zaraz po pierwszej poszła spieszenie do domu. W sobotę miała wolne popołudnie, wróciła więc wcześniej niż zwykle. Jeden szybki rzut oka na twarz syna

wystarczył, by potwierdzić jej najgorsze obawy i zniweczyć ostatnią słabą nadzieję. Piotr leżał wyciągnięty na fotelu, z głową wsuniętą w ramiona i z rękami w kieszeniach spodni, w tej samej pozie artystycznego zgnębienia, jaką przybierał niekiedy w Ardfillan, gdy coś spsocił lub był chory. Wiedziała od dawna, że taka pełna zwątpienia poza wskazuje depresję na barometrze jego uczuć. Teraz widziała, że barometr ten zatrzymał się na ostatnim stopniu przygnębienia.

- Nie przejmuj się, synu - zawołała od razu na widok jego rozpacz, momentalnie zapominając o własnej. - Zrobiłeś wszystko, co mogłeś.

- To oszustwo - rzekł zgnębiony odwracając swą bladą twarz. - Wszystko razem to wielkie oszustwo.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała niecierpliwie, gdyż jego słowa potwierdziły jej własne nieokreślone podejrzenia.

- Nie czytają ani połowy prac - powiedział posepnie. - Podrzucają je do sufitu, patrzą, która najdłużej utrzyma się w powietrzu, i tej przyznają pierwszą nagrodę. - Urwał, po czym wybuchnął ponownie: - Mówię ci, napisałem wszystkie tematy doskonale - każdy z nich był bez zarzutu.

- Może i inne były dobre - szepnęła niepewnie. - Może... - dziwnym trafem pomyślała o tych chłopcach, którzy twierdzili, że źle im poszło na egzaminie.

- Powiadam ci, że wszędzie rozstrzyga tylko protekcja... liczą się z tym, z jakiej szkoły się przychodzi - w głosie jego była nuta zawziętości. - Obeszli się ze mną jak z najgorszym psem.

- Ale może...

- Tak, tego mi trzeba! - krzyknął - jeszcze ty mi przypisuj winę. Przyłącz się do tamtych przeciwko mnie. I tak niewiele brakowało, a byłbym się zabił.

Usta jej zadrżały, łagodnie, z czułością objęła syna ramieniem. Ale on odsunął się i głosem nabrzmiałym od tłumionych łez powiedział:

- Zostaw mnie w spokoju. Czy nie możesz pozostawić mnie w spokoju? Wiesz równie dobrze jak ja, że zasłużyłem na stypendium. To niesprawiedliwość, mówię ci.

Nic nie odrzekła, a ręka jej opadła bezsilnie; myślała jedynie o nim i o goryczy przeżytego rozczarowania. Gniew Piotra, choć może niesłuszny, był jednak całkiem naturalny. Przez długą chwilę stała bez słowa, wreszcie z ciężkim sercem zaczęła się krzątać po pokoju, udając, że robi porządki.

Nagle, gdy zdobywszy się na odwagę, zamierzała coś powiedzieć, wieczko skrzynki na listy brzęknęło. Usłyszała, że na podłogę w przedpokoju upadł list. Spojrzała niepewnie na ponurą twarz syna i z jego apatii wywnioskowała, że list ten przynosi potwierdzenie nieszczęsnej wiadomości: urzędowe potwierdzenie niepowodzenia Piotra.

- Idź - mruknął posepnie, nie podnosząc głowy. - Idź i przynieś go. Ale mi nie pokazuj. Mam już dość tego wszystkiego.

Miał to samo przecucie co ona, mimo to wyszła powoli do przedpokoju i podniosła list. Wróciwszy objęła syna współczującym spojrzeniem i z uczuciem rezygnacji rozerwała kopertę.

Przez chwilę stała bez ruchu, następnie rękę przycisnęła do serca, a z ust wydobył się krótki, nieartykułowany okrzyk. Posepna twarz ożywiła się; oczy, wciąż jeszcze niedowierzające, wpatrzone w list, rozszerzyły się i zapłonęły jasnym blaskiem.

- Piotrusiu - zawołała. - Och, Piotrusiu!

- Co się stało? - Na dźwięk jej głosu wyprostował się raptownie i wyrwał list z ręki.

- Zobacz sam! - rzekła słabym głosem. Nie mogła więcej powiedzieć, poczuła łzy w oczach; z krótkim, histerycznym szlochem osunęła się na krzesło. Jego twarz była obrazem odzwierciedlającym sprzeczne uczucia zdumienia, oszołomienia, a wreszcie najwyższej ekstatycznej radości.

- Fundacja Reckie?! - powiedział z przejęciem. - Nigdy o niej nie słyszałem.

- Ale ja słyszałam. Panna Tinto powiedziała mi o tym. I wpisałam twoje nazwisko - ot tak, na wszelki wypadek. No pomyśl, czy to nie cudowne?

Znów spojrzała na list. Krótkie zawiadomienie, że Fundacja Reckie przyznała mu stypendium roczne wynoszące dwadzieścia pięć funtów, na okres pięcioletni - ufundowane przez niedawno zmarłą panią Kezia Reckie dla synów wdów w specjalnie trudnych warunkach. Z brutalną niemal zwięzłością zawiadamiano ponadto, że jakkolwiek na liście był dziewięćdziesiąty siódmy, został uznany za pierwszego kandydata, odpowiadającego warunkom fundacji. Ma zatem jak najprędzej skomunikować się z piszącym, przedstawicielem biura prawnego "Fullerton i Spółka".

- Nic o tym wszystkim nie wiedziałem. Kazałaś mnie wpisać na listę?

- Dowiedziałam się o tym w biurze - potwierdziła z zapalem. - Nie sądziłam nawet, że będzie to potrzebne, ale pewnego popołudnia przechodziłam obok firmy "Fullerton" i sama nie wiem dlaczego... weszłam i podałam im szczegóły o sobie... i ile... ile zarabiam.

- Ano, w każdym razie coś dostałam - odrzekł powoli.

- I ostatecznie jednak damy sobie radę - rzekła triumfująco. Twarz jej okryła się rumieńcem, Łucja zaczęła mówić szybko, z ożywieniem: - Nie wiedziałam już, co pocniemy. Byłam całkowicie bezradna. Myślałam, że to koniec wszystkich nadziei. Och, czy to nie cudownie?!

Jej wesołość podziałała na niego zaraźliwie. Mimo to zachmurzył się na chwilę.

- Co za bezczelność umieścić mnie na dziewięćdziesiątym siódmym miejscu! - Drwiącym, obelżywym słowem obdarzył na zakończenie komisję egzaminacyjną.

- A jednak to cudowne - upierała się. - Otrzymaliśmy to, co było naszym celem, a pamiętaj też, że przeskoczyłeś stu innych kandydatów.

Ten punkt widzenia, którego jeszcze nie wziął pod uwagę, sprawił mu radość.

- Masz rację! - wykrzyknął. Piotr był w coraz lepszym humorze, znów rzucił się na krzesło, spojrzał w sufit i zawołał: - A jednak zwyciężyłem, im na przekór!

Nie mieli już nic więcej do powiedzenia. Wszystko, co było stracone, zostało odzyskane. Po chwili przeżytej trwogi, dzięki cudownemu rozwiązaniu doznali wprost

ekstacyjnego uczucia ulgi. Gorąca wiara w przyszłość przeniknęła duszę Łucji, a oczy zamigotały blaskiem szczęścia.

Życie, które wydawało im się teraz cudowne, upływało obojgu wesoło. Prowadzili poufne rozmowy dotyczące przyszłości Piotra na uniwersytecie. Wypowiadał słowa "Koła Medyków" z miną człowieka, mogącego niedługo rościć sobie prawo do zostania członkiem tego wspaniałego stowarzyszenia. Często chodził na długie spacery, przeważnie wieczorem, a wówczas wymachiwanie laseczką i podniesiona głowa wyrażały przekonanie, że Piotr jest lub rychło będzie wielką osobistością, młodzieńcem stojącym u progu wtajemniczenia.

Wróciwszy z jednej takiej przechadzki nieco później, zdziwił się widząc, że matka siedzi na bujaku z listem w ręku. Istna powódź listów: trzy w ciągu miesiąca - czyli o trzy więcej niż zwykle. Już miał się spytać, lecz ubiegła go Łucja:

- Nigdy byś nie odgadł, od kogo. - Zrobiła pauzę, wdzięcznie krzyżując nogi i wciąż jeszcze kołysząc się lekko. - Od Lennox!

Ale nie zrobiło to na nim wrażenia. Jego wspomnienia dotyczące Lennox'a były dość mętne, a list od niego był wydarzeniem mało ważnym w obecnym radosnym biegu życia.

- Mało mnie to obchodzi - powiedział, a lekko ironicznie skrzywienie ust doskonale pasowało do jego przyszłego zawodu.

- To nieładnie, Piotrze - odrzekła mierząc go szybkim spojrzeniem. Opuściła list, w zadumie uderzając ręką w kolano, po czym z pewnym poczuciem winy znów spojrzała na niego. - Chce nas odwiedzić w sobotę.

- Co ty mówisz! - gwizdnął, następnie z ironią dodał: - Niech przyjdzie, będziemy mieć wesołe towarzystwo w naszym "pałacu".

Powoli rozejrzała się po "pałacu" - jak szyderczo określił ich mieszkanie.

- Jakże mogłabym zaprosić tu kogokolwiek? Zbyt tu brzydko, zwłaszcza po mieszkaniu w Ardfillan, gdzie nas odwiedzał. Na wspomnienie wyszukanej elegancji willi - wspomnienie wyidealizowane przez czas - zmarszczyła czoło, ale zaraz się rozpogodziła.

- Mogę jednak umówić się z nim na herbatę u panny Chisholm - powiedziała stanowczo. - Tak, tak właśnie zrobię.

Wybuchnął głośnym, serdecznym śmiechem.

- Mamo, ty i stary Lennox - wykrztusił - będziecie razem spacerować. Doskonale... doskonale... och, doskonale!

Wyprostował się, zgiął ramię i w sposób straszliwie przesadny starał się przedstawić komiczny obraz ich dwojga, kroczących elegancką ulicą.

Przyglądała mu się na wpół gniewna, na wpół uśmiechnięta.

- Jak możesz tak się wyśmiewać! - zaprotestowała i umilkła. - Mimo to zobaczę się z nim. Niezły z niego człowiek bez względu na to, co o nim dawniej myślałam.

Istotnie, choć może to dziwne i niezrozumiałe, chciała spotkać się znów z Lennoxem, teraz właśnie, gdy przyszłość syna została definitywnie ustalona. Zamiar pójścia z Lennoxem na herbatę był jej własnym pomysłem, lecz wiedziała, że zaraz go zaakceptuje. Po chwilowym zastanowieniu ujęła pióro i napisała odpowiedź.

W ciągu następnych dni nie mogła zupełnie zapomnieć o tej sprawie. Kryła się ona na dnie jej myśli, poruszając jakieś dawno zapomniane instynkty. Ten nastrój oczekiwania wprawiał ją samą w zadumanie, lecz tłumaczyła to sobie dawnymi zobowiązaniami wobec Lennoxa i rzadkością obecnych rozrywek.

W piątek wieczorem przejrzała garderobę - robiła to powoli i z pewnym smutkiem. "Popielata" była teraz strojem odświętnym i dostatecznie jej się znudziła; poza tym, przy bliższym przyjrzeniu, materiał podejrzanie błyszczał na mankietach i łokciach.

- Starzyzna - pomyślała przyglądając się sukni krytycznie z pewnej odległości. Łucja była jednak pomysłowa. Miała koronkowy kołnierz - prawdziwe koronki z Cluny, troskliwie, niby skarb, przechowywany podarek od Franka. Po chwili szukania wydobyła go z głębi szuflady. Wyprany, odprasowany i zręcznie naszyty na wyłogi sukni, przyjemnie zmienił i odświeżył skromny strój, dostosowując go do okazji i pory roku.

W sobotę po południu, już ubrana, stanęła przed lustrem i stwierdziła z uznaniem, że kołnierz jest dobrze przypięty, czując instynktownie, że jest jej w nim do twarzy. Tak, z tym przybraniem wysłużona "popielata" nie była ostatecznie najgorsza.

Piotr wybierał się na mecz piłkarski. Patrzył na te jej przygotowania z ironią, za którą kryła się też spora doza ciekawości. Podchwyciwszy w spojrzeniu syna błysk nie wypowiedzianego pytania, z pewnym uczuciem winy powiedziała: "Do widzenia" i przyrzekła wrócić na czas, by ugotować kolację.

Tramwaj kosztujący pół pensa był zawsze jej ulubionym środkiem lokomocji. Tym razem był to wóz żółty i jadący szybko - zaczęła się nawet obawiać, czy nie przyjedzie zbyt wcześnie na George Square, gdzie wyznaczyła spotkanie. Postanowiła, że w przeciwieństwie do tego historycznego pierwszego dnia na Saddleriggs on ma przyjść za wcześnie, a ona się spóźni.

Dzień był przyjemny: jasne słońce, niebo błękitne i spokojne, ulice niedawno polewane wodą. Sama była też w dobrym humorze. Na ustach jej błąkał się ów miły, lekko zadumany uśmiech - oznaka odprężenia - uśmiech, w którym ujawniała się jej wrodzona łagodność.

Nie przyszła za wcześnie. Lennox był już na miejscu, a jego zniecierpliwiona mina świadczyła, że - jak się spodziewała - czeka już dość długo.

Ujrzał ją z dala i szybko zdejmując z głowy kapelusz, przybrał nieco sztuczny uśmiech wywołany poczuciem winy, który, zanim Łucja zdążyła podejść, stał się bardzo wymuszony.

- Czy pan za wcześnie, czy ja za późno? - spytała żywo, patrząc mu prosto w oczy.

- Zdaje się, że ja przyszedłem za wcześnie, tak, tak, na pewno przyszedłem za wcześnie - rzekł niezręcznie, a zegar miejski, wydzwaniający właśnie kwadrans, od razu zadał kłam jego słowom.

Zaśmiała się, gdyż sprawiało jej przyjemność, że ich dawny stosunek przybrał taką formę.

- I co? - spytała w końcu. - Jakże się pan czuje w roli człowieka rozporządzającego czasem?

Spokojnie gładził brodę.

- Wie pani, niezbyt dobrze - odrzekł. - I wcale nie tak wspaniale. - Zapadło krótkie milczenie, przez chwilę stali zakłopotani, po czym on wyprostował się i zaproponował: - Chyba wypije pani ze mną szklankę herbaty? Pisała pani...

- Bardzo chętnie - zgodziła się. - Konam z pragnienia, marzę o filiżance herbaty.

- To doskonale.

Jej pewność siebie zdawała się przejmować go wewnętrznym zadowoleniem. Wziął ją pod ramię jak dawniej i ruszyli razem do najbliższej filii lokalu panny Chisholm przy Alston Street. Trochę ją zdziwił ten wyraźny dowód nawrotu jego zainteresowań, ale nie dawała tego poznać po sobie, a gdy weszli do kawiarni, spojrzała na niego wesoło i spytała:

- Gdzie usiądziemy?

Jakkolwiek sala była prawie pełna, nie zawahał się. W tym czasie kawiarnia panny Chisholm, w rozkwicie swego powodzenia, ściągała kulturalną i wytworną publiczność, a "herbata u panny Chisholm" należała do stałych obowiązków owych dni. Ale Lennox nie miał skrupułów, dostrzegł wolny stolik pod oknem i wskazał go energicznym ruchem brody.

Skierowali się tam i usiedli, ale w tejże chwili szybko podbiegła Kelnerka.

- Ten stolik jest zajęty - oświadczyła.

Lennox podniósł oczy.

- Nie wygląda na to - rzekł całkiem spokojnie. - Nie widzę zresztą innego.

- Mówię panu, że jest zajęty - z naciskiem odrzekła kelnerka, wyraźnie zmęczona i rozdrażniona upałem.

W tej chwili ręka Lennoxa sięgnęła wymownie do kieszeni i jeszcze wymowniej wysunęła się ku kelnerce.

- No, dobrze, proszę pana - rzekła innym tonem. - Myślę, że to da się zrobić. - Skinęła głową, uśmiechnęła się i odeszła.

Lennox spojrział na Łucję z naiwną satysfakcją.

- Oto sens pieniędzy - rzekł, bacznie śledząc jej twarz. - Jak pani widzi, zaczynam zmieniać swe poglądy. Dawniej sądziłem, że pieniądze są po to, by je gromadzić - teraz przekonałem się, że używanie ich daje przyjemność.

Łucja nie odpowiedziała, godząc się jednak z tą uwagą. Oczywiście, przyjemnie jest w ten sposób ułatwiać sobie życie - myślała. kelnerka przyniosła herbatę i w milczeniu napełniła filiżanki.

- Czy pani się gniewa - spytał w końcu - że napisałam do pani?

- Skądże - odrzekła szczerze. A po chwili dodała: - Zapomniałam o urazie, kiedy znalazłam pracę. Ale zachowałam się może trochę nierozsądnie, kiedy mnie pan wyrzucił na bruk.

Rozmyślnie użyła tego określenia z pewnego rodzaju wyzywającym szyderstwem. Ale on cofnął się, jakby dotknięty.

- Nie - rzekł poważnie - nie mówmy o "wyrzucaniu" pani. Cała sprawa wygląda zupełnie inaczej. Wie pani, to wycofanie się z interesu było dla mnie straszliwym ciosem. Nigdy nie uwierzyłbym, ale przeżyłem tę decyzję, jak człowiek żonaty przeżywałby stratę żony. Tak, początkowo czułem się całkiem wytracony z równowagi. - Zamilkł, w roztargnieniu sięgnął do ucha po ołówek, którego nie było, po czym podjął nagle: - Ale stopniowo uspokoiłem się. Zacząłem rozumieć, że oprócz zawierania umów handlowych istnieją w życiu również inne rzeczy.

Wśród gwaru i rozmów na sali przyglądała mu się milcząc, w roztargnieniu bawiąc się łyżeczką. Wyczuwała, że pod tą maską zadowolenia z siebie kryje się dziwny tragizm: samotny, niepociągający, mały człowiek, który zbudował sobie życie na jednym jedynym celu - i to jakim! - tak bardzo różnym od tego, który jej przyświeca, a teraz odkrył, że ten cel wymknął mu się z rąk. Popelnił omyłkę - och tak, fatalną omyłkę! Jej cel nigdy nie obróci się w nicość.

- Dlatego właśnie pragnąłem pani coś powiedzieć - ciągnął dalej z dziwną nutą w głosie. - Coś ważnego.

- Tak? - spytała obojętnie.

Czekała. Twarz jego, mimo całej zawodowej przebiegłości, miała wyraz prawie bezbronny.

- Chyba niezbyt dobrze czuje się pani na tej obecnej posadzie? - spytał wreszcie, przyglądając się jej z napięciem.

- Całkiem dobrze - rzekła spokojnie.

- Ale nie może pani pracować tak w dalszym ciągu. To tylko chwilowe wyjście z sytuacji, zupełnie nieodpowiednie dla pani, zupełnie.

- Człowiek może zmusić się do każdej pracy, jeśli tylko tego chce. Zresztą, robię to dla syna.

- Niech pani rzuci tę posadę - rzekł powoli, z naciskiem.

- Rzucę, gdy Piotr skończy studia, a stanie się to wkrótce. - Uśmiechnęła się pełna otuchy. - Chyba, że mi pan proponuje coś lepszego?

- Niech pani rzuci - powtórzył wolniej, z jeszcze większym naciskiem.

Przestała się bawić łyżeczką, podniosła głowę i spojrzała na niego uważnie. Była zaskoczona, nie tyle jego słowami, ile malującym się na jego twarzy wyrazem napięcia, a zarazem naiwnej tajemniczości. Odetchnęła głośno.

- Nie jestem młody - rzekł. - Ale nie jestem też stary. Tak, jestem zdrow jak ryba. I mam pieniądze. Poza tym jestem samotny - straszliwie samotny, odkąd sprzedałem firmę... - urwał widząc, że czyta jego myśli.

Odetchnęła głęboko. Nie do wiary, a jednak prawda. Lennox, który przez długie lata był na dalszym planie jej życia... tak, właśnie Lennox! - tu, w tej natłoczonej sali - miejscu najmniej odpowiednim do romantycznych oświadczeń - proponuje jej małżeństwo. Nagle

pragnęła ją nierozumna chęć śmiechu, którą stłumiła jedynie ze względu na wyraz twarzy Lennox, pełen godności i dziwnie patetyczny.

- Zdaje mi się, że zawsze panią lubiłem - mówił wolno, jak gdyby wypowiedzenie tych słów sprawiało mu trudność. Uczucie tłumione przez lata brzmiało niemal absurdalnie w jego głosie, a jednak coś tragicznego kryło się w tym zdaniu.

- To niemożliwe - oświadczyła powoli. - Pan wie, że... - wysunęła pretekst najoczywistszy, jakim była różnica ich religii.

- Jestem tolerancyjny - odparł wspaniałomyślnie. - Dla mnie nie stanowi to obecnie żadnej przeszkody.

Spojrzała na niego poważnie, myśląc o tych dniach, kiedy siadywał przy jej stole w Ardfillan. Była dziwnie przejęta tymi oświadczeniami. Ale daleką przebyła drogę od czasu, kiedy uśmiechała się do niego w ogrodzie własnej willi. Potrząsnęła głową powoli.

- To niemożliwe. Mam przecież syna, jak panu wiadomo - rzekła spuszczać oczy. - Nie, niemożliwe.

Zerwał się, a uśmiech jego znikł.

- Co? - spytał z niedowierzaniem. - Pani odmawia... odmawia...

- Nie mogłabym - powiedziała.

- Chyba pani nie mówi na serio? - wyszeptał, a jego pewność siebie znikła nagle. - Jestem człowiekiem dobrze sytuowanym - pani nie wie, ile posiadam. Mógłbym pani kupować mnóstwo rzeczy.

Zawahała się sekundę. Wiedziała, że jest człowiekiem bogatym i przyzwoitym, że zapewniłby jej życie wygodne i dostatnie. Gdyby z tym wystąpił owego dnia w biurze, kiedy była pogrążona w najgłębszej rozpacz, z pewnością by go przyjęła. Ale teraz przyszedł za późno. Teraz - tak, teraz sytuacja jej przedstawia się zupełnie inaczej: syn wszedł na drogę powodzenia, a ona, związana z nim nierozłącznie, idzie naprzód, pod wiatr, nie prosząc, lecz żądając, nie poddając się bezsilnie zawieruchom życia, lecz walcząc z nimi - walcząc, by w końcu odnieść triumf.

- Proszę się jednak zastanowić - rzekł nagle, niemal błagalnie.

- Na nic by się to nie zdało - powtórzyła ze współczuciem, a mówiąc to, czuła, że istniejące między nimi napięcie maleje raptownie.

Znów słyszała gwar głosów i śmiechy, brzęk szkła i łyżeczek. Tak bardzo był oszołomiony, że więcej nie nalegał. Usiłując jednak pokryć swą porażkę dobrze jej znanym, urywanym śmiechem, powiedział:

- Wydaje mi się, że popełnia pani wielki błąd. Ale nie zrobiłem przecież nic złego zwracając się do pani.

- Nie - odrzekła poważnie, wkładając rękawiczki. - Jest mi tylko bardzo przykro.

- Jeśli wolno mi jeszcze powiedzieć ostatnie słowo - oświadczył trochę ostrzej, a jego blada twarz wciąż była zaczerwieniona - to dodam, że na miejscu pani nie poświęcałbym się tak bardzo dla chłopca.

Uśmiechnęła się do niego przyjaźnie, przyjmując jego uwagę jako wyraz zrozumiałej urazy, którą postanowiła zignorować. Ona wie, co robi, a Piotr jest Piotrem! Te jedyne i niezaprzeczalne fakty były dla niej ważniejsze niż doświadczenie całego świata.

- I jeśli nie utrzyma pani kontaktu ze swymi znajomymi lub nie rozszerzy kręgu swoich zainteresowań - mówił dalej, krzywiąc usta - to skoncentruje się pani zanadto na jednym punkcie. Doświadczyłem tego na własnej skórze.

- Ale pan i ja pozostaniemy zawsze przyjaciółmi - zapewniła z ufnością.

Spojrzał na nią dziwnie, bez słowa, po czym odsunął swe krzesło i wstał niezgrabnie. Wyszli z kawiarni w milczeniu.

Gdy doszli już do George Square, przerwał milczenie:

- Muszę iść teraz na stację, by zdążyć na pociąg - rzekł w końcu. - Nie mam tu już nic do roboty...

Myśl, że odjeżdża, przejęła ją nagłą skruchą. Teraz, wiedziona przekorą, nie chciała, by odjechał. Ale jak i pod jakim pozorem mogłaby go zatrzymać?

- Chyba zobaczę pana wkrótce - spytała przystając przed dworcem Queen Street i patrząc mu w oczy.

- O tak, tak - powiedział, ale ona wcale nie rozumiała jego dziwnie przenikliwego spojrzenia towarzyszącego tym słowom.

Instynktownie wyciągnęła do niego rękę. Jego żyłasta dłoń była ciepła i miękka.

- Więc żegnam.

- Do widzenia.

Stała, odprowadzając oczyma jego oddalającą się postać tak samo jak przed laty, kiedy z bramy swego ogrodu patrzyła za nim, aż znikł na drodze. I znów uczuła ową nieopisaną dziką tęsknotę. Momentalnie opanowała głupi odruch, by pobiec za nim, ale odwróciła się i odeszła powoli.

Z pewnym smutkiem rozmyślała: Zobaczę go wkrótce, na pewno. To niezły człowiek. Zbyt dobry przyjaciel, bym miała go utracić. Tak, pragnęła zobaczyć go znowu, a to przypomniało jej nagle jego ostatnią uwagę. I tak samo nagle zrozumiała jej znaczenie i ukryty w niej wyrzut. Zmarszczyła czoło, ale myśl ta prześladowała ją w dalszym ciągu: prześladowała i gnębiła w ciągu całej drogi powrotnej - myśl, że utraciła jego przyjaźń. A spojrzenie, jakim ją obrzucił! Czy myślał istotnie, że nie przyjąwszy jego propozycji, przestanie myśleć o nim, przestanie uważać go za przyjaciela? Tak samo postąpili inni. Czy to jej wina, że Joe zupełnie zniknął z jej życia, że Ryszard obszedł się z nią tak haniebnie, że Edward tylko sporadycznie okazuje zainteresowanie dla jej spraw? Głęboko wciągnęła powietrze. Nie, po tysiackroć nie! I nagle pomyślała o pannie Hocking, z którą spędziła przecież pięć lat życia. Upłynęło sześć miesięcy od zabrania tej nieszczęsnej do zakładu dla obłąkanych, a ona ani razu jej nie odwiedziła i nie zapytała o nią. Tak, w tym wypadku poczuwała się istotnie do winy. Smutna i zamyślona weszła do mieszkania. nie była egoistką - odsunęła tę myśl - mimo to zmarszczka między jej brwiami pogłębiła się jeszcze i trwała w dalszym ciągu.

Gdy Piotr wrócił, kolacja była gotowa, ale Łucja, wciąż jeszcze roztargniona, nie była skłonna tolerować nieco hałaśliwych przejawów jego dobrego humoru.

- Czy stary Lennox umizgał się do ciebie? - spytał swobodnie, tym złośliwym przypuszczeniem trafiając w samo sedno sprawy.

- Cicho bądź! - ofuknęła go. - I nie mów do mnie w ten sposób o przyzwoitym człowieku!

Podniósł brwi, lecz milczał; umiał wyczuć, kiedy mówiła poważnie.

Całą noc spędziła niespokojnie, źle spała. Nie wiedziała, co ją gnębi. A niepokój ten trwał w dalszym ciągu. Postanowiła - traktując to jako rozgrzeszenie własnego sumienia - odwiedzić pannę Hocking w Blandford. Nie było to wielkie poświęcenie, a jednak czuła niejasno, że w jakiś sposób musi się uwolnić od dręczących wyrzutów sumienia.

Wobec tego w najbliższą sobotę - upewniwszy się, że jest to dzień wizyt - udała się do zakładu.

Dzień był znowu pogodny - jeszcze jeden uroczy dzień tego niezwykle pięknego, długiego lata. Zmierzając do zakładu główną aleją ładnie położonej miejscowości, doznawała uczucia zdumienia. Nie było tu nic niezwykłego - otoczenie robiło wrażenie parku jakiejś dobrze utrzymanej posiadłości ziemskiej. Trzy place tenisowe po prawej stronie, a po lewej sad pełen dojrzewających owoców. Minęła dwóch ogrodników, którzy powoli, systematycznie wymiatali z alejek wcześniej opadłe liście. W pewnej odległości zauważyła gromadkę ludzi przechadzających się spokojnie, na pozór całkiem normalnie. Nieco dalej, w miejscu gdzie droga rozwidlała się nagle, natrafiła znów na ogrodnika, który miarowymi ruchami miotły zamiatął aleję. Nie wiedząc, którą ścieżkę wybrać, przystanąła.

- Czy może mi pan powiedzieć, któredy mam pójść do zachodniego pawilonu? - spytała uprzejmie.

Podniósł głowę i spojrzał na nią. Zamiast odpowiedzi przymknął oczy i pokazał jej język, z okropnym dzieciennym grymasem wstępu; po czym całkiem spokojnie otworzył oczy, schował język, schylił głowę i ponownie zaczął miarowo, obojętnie zamiatać liście. Poczerwieniała i odwróciła się szybko. A jednak pomyliła się, pod pozornym spokojem tego cichego miejsca kryły się dziwne rzeczy.

Bez trudu trafiła do zachodniego pawilonu: tu również panował spokój - było chłodno i uroczo jak w jakiejś wiejskiej siedzibie. Nie robiono jej też trudności, gdy spytała, czy może zobaczyć się z panną Hocking. Poszła za pielęgniarką - tęą starszą kobietą w sztywnym czepku nasadzonym na głowę i z kluczem na łańcuszku u paska. Szła za nią przez korytarze i rozmaite drzwi, które kolejno trzeba było otwierać - kluczem, który był talizmanem, właściwym godłem zakładu. Przekrećwiwszy go hałaśliwie w ostatnich drzwiach, pielęgniarka przystanęła i oznajmiła krótko:

- Tutaj.

Łucja weszła. Był to dziwny pokój. Zaledwie przestąpiła jego próg, przebiegł ją osobliwy dreszcz trwogi. Tak, było tu niesamowicie. Ściany i podłoga obite miękkim materiałem były szare, posępną szarością kitu, i jak kit miękkie. Światło dnia przedostawało się przez mały, wysoko umieszczony otwór, a kraty załamywały ukośne promienie słońca. Nie było tutaj również żadnych sprzętów. Nie, nic, oprócz przycupniętej w kącie postaci kobiety. Siedząc tak skulona, nie zwróciła uwagi na otwarcie drzwi, lecz pozostała milcząca, zadumana, pogrążona w nieustającym zajęciu. Darła papier, palce jej były ciągle w ruchu. Na kolanach jej leżała gazeta, którą rozdzierała w strzępki tak bardzo dobrze, że każdy z nich był mniejszy od główki szpilki. Wokół niej leżał rezultat jej pracy - zwiewny pył białego papieru, tu i ówdzie spiętrzony jak zwał śniegu, a palce kobiety raz po raz wsuwały się w ten puch ruchem powolnym, prawie pieszczotliwym. Nagle chora podniosła oczy. Była to panna Hocking! Skurcz przebiegł po twarzy Łucji, podeszła bliżej.

- Pinkie! Czy pani mnie poznaje?

Ale Pinkie nie odpowiedziała, najlżejszy błysk poznania nie pojawił się w jej bezmyślnych, szeroko rozwartych niebieskich oczach, które nie były już teraz rozmarzone, lecz puste, beznadziejne i pozbawione blasku.

- Pinkie! Przecież pani mnie poznaje? - powtórzyła z rozpaczą przerażona Łucja.

- Nie ma sensu mówić do niej - rzeczowym tonem rzekła pielęgniarka. - Gdy jest w takim stanie, to przez całe tygodnie nie można z niej słowa wydobyć.

- Ale przecież... - szepnęła Łucja.

- I proszę nie zbliżać się do niej zanadto - powiedziała pielęgniarka niemal wesoło. - Gotowa rzucić się na panią.

Łucja stała cicho, patrząc na tę kobietę, która tak niedawno była jej przyjaciółką, a teraz przykucnęła w kącie tego straszego pokoju niby jakieś dziwne, przerażone zwierzę. Siłą kontrastu nasunęła się jej nagle wizja owego pierwszego lunchu u Allena i zobaczyła Pinkie, dobrą, dziecinnie ożywioną Pinkie. A teraz to... to stworzenie! I w dodatku te palce, szarpiące w nieskończoność, szarpiące z obłądną, skupioną nienawiścią zadrukowane arkusze... Syzyfowa praca!

Z bezwiednym dreszczem Łucja odwróciła się. Nie mogła znieść dłużej tego widoku.

- Dajemy jej te gazety, by ją uspokoić - rzekła pielęgniarka, otwierając kolejno szereg drzwi, którymi wychodziły. - To jedyny sposób...

- Tak, tak - szybko potwierdziła Łucja. Znała przecież obłądny powód tego bezmyślnego postępowania.

- Znam już ich wszystkie sztuczki - zauważyła tamta z upodobaniem. - Jestem tu od trzydziestu lat.

Łucja spojrzała na nią z boku - tłusta, pospolita twarz, wargi wydęte z pewną pychą, kołyszący się chód, nie pozbawiony dystynkcji - i klucz, godło jej królestwa. Trzydzieści lat w zakładzie dla obłąkanych - trzydzieści lat otwierania drzwi! Co za życie!

Pożegnała pielęgniarkę, uśmiechając się do niej życzliwie - należało to widać również do jej obowiązków - i szybko wyszła na dwór, kierując się ku bramie.

Była głęboko wstrząśnięta odwiedzinami u panny Hocking. Mimo woli zacisnęła pięści. Wydało się jej nagle czymś potwornym, karykaturą sprawiedliwości Boskiej, że podobna krzywda jest w ogóle możliwa. Przecież wszystkie istoty ludzkie w obrębie tych murów są pozbawione rozumu, wtrącone w stan poniżej poziomu zwierzęcia! I z jakiego powodu? Prześladowała ją ta skulona postać w celi, która szarpiąc papier, odbywała swą drogę przez nicość. Przez wiele lat może jeszcze tam żyć, bezrozumna, niepotrzebna, uwięziona we własnym obłądzie.

Przez bramę zdobną w misterne arabeski wyszła na drogę, stopniowo oddalając się od zakładu, wzburzona i zgnębiona.

Przez szereg dni Łucja miała uczucie zawodu i przygnębienia, z którego jednak z wolna zaczęła się otrząsać. Zbliżał się termin rozpoczęcia roku akademickiego i myśl o studiach syna całkowicie ją pochłaniała. Miała przed sobą swój wspaniały cel. Nie rozdieranie papieru! Jej cel był ważny i, jak wiedziała, daleki od królestwa oblędu.

Zarabiała dwadzieścia pięć szylingów tygodniowo. Z kwoty tej siedem szylingów za komorne strącał jej "Henderson i Shaw" jeszcze przed wypłaceniem pensji. Gaz do gotowania i oświetlenia, węgiel po osiem pensów worek, posługaczka szorująca schody sześć pensów za każdym razem - jakkolwiek czasami, kiedy tydzień był "kiepski" nie pani Collins, a sama Łucja spełniała tę robotę - to wszystko razem pochłaniało przeciętnie trzy dalsze szylingi tygodniowo. W rezultacie miała piętnaście szylingów na zaspokojenie najkonieczniejszych potrzeb dwóch osób, a nawet na dostarczenie im skromnych przyjemności życiowych.

Piętnaście szylingów tygodniowo - to niedużo. Nie ukrywała przed sobą faktu, że była to walka - tak, była to istotnie zacięta walka, która jednak nie będzie trwać wiecznie. Zawsze to pewna pociecha. Łucja nie była męczennicą i cieszyła się, że czas znoszenia tych braków jest ograniczony, że z każdym dniem staje się krótszy.

Choć syn porównywał ją z kretem, była doskonałą gospodynią. Znała sklepy, gdzie można było najlepiej kupić - potrafiła iść dwie mile, by nabyć coś korzystnie. I umiała postępować z kupcami: uprzejmie, ale stanowczo; jak sama mówiła, nie dawała się nabierać. Czyż podobna, by dała się oszukiwać, gdy kariera jej syna zależy dosłownie od każdego pensa, który niechętnie wypuszczała z palców. Znała "fortele", dzięki którym kupowała najlepsze mięso, jeśli chodzi o gatunek i wagę. U pana Tutta, tęgiego rzeźnika z ospowatym karkiem i wydatnym nosem, potrafiła zdobyć sobie taki szacunek, że niedużą porcję mięsa, przeważnie ćwierć funta, odkrawał jej grubo - wyczyn niemożliwy, sprzeciwiający się wszelkim klasycznym zasadom rzeźnictwa. A jednak było tak. Jakkolwiek serce pana Tutta niewątpliwie krwawiło przy tej czynności, to jednak pod jej trwożnym, lecz zniewalającym spojrzeniem stale psuł symetrię najładniejszych kawałków polędwicy. Ponadto, zgodziwszy się ostatecznie na naiwne objawy grzeczności Bessie Finch, otrzymywała w zamian tanie owoce ze składu jej matki: na przykład takie, które w sobotę były dobre, lecz nie mogłyby wytrzymać do poniedziałku. Oznaczało to trzy mile drogi do Whiteinch, licząc tam i z powrotem, ale w wieczornym chłodzie Łucja przebywała ją chętnie: Piotr tak bardzo lubił owoce. Istotnie, by dogodzić jego zachciankom, opróżniała swoją kasę do ostatecznych granic. Zdarzało się na przykład w niektóre dni sobotnie - błogosławione dni wypłaty - że jej

wrodzona śmiałość i sugestywny dźwięk srebra w kieszeni skusiły ją do nierozwagi. Wskutek czego bywało, że pod koniec następnego tygodnia w tej samej czarnej sakiewce nie było już ani jednej monety. Wtedy wymyślała rozmaite drobne oszczędności. Przez cały tydzień na przykład, gardząc tramwajami, szła pieszo do biura, a pod koniec tygodnia za drobne oszczędności kupowała dla niego jakiś niedrogi smakołyk: ciastko od "Coopera" albo pudełko czekoladek z imbirem, które tak lubił. Nie znaczy to, by karmiła go tylko łakociami. Miała prawdziwy talent do prowadzenia skromnej kuchni. Nic nie wiedząc o kaloriach, wyczuwała jednak instynktownie, które potrawy mają największą wartość odżywczą. Od samego początku postanowiła, że Piotr jako student i rozwijający się młodzieniec o wątłym zdrowiu musi przede wszystkim dobrze jeść. Zdawała sobie sprawę z wartości odżywczej dobrze upieczonego kawałka mięsa. Ale na nieszczęście знаła też jego smak. Piętnaście szylingów tygodniowo umożliwiało kupowanie polędwicy dla jednej osoby, ale niestety nie dla dwóch. W chwilach przyrządzania dla niego obiadu omal nie ulegała słabości. Gdy ze swego rejonu biegła do domu, by przyrządzić posiłek dla Piotra, i pochylała się nad gazową kuchenką, jej zdrowy apetyt przypuszczał szturm, grożąc porażką. Czowała w sobie budzące się dzikie, pierwotne instynkty, rozkoszna woń piekącej się polędwicy kusiła nozdrza, przejmując nagłym pożądaniem, a do ust nabiegała obfita ślina. Sam kolor pieczonego mięsa i wypływający z niego sok powodował skurcz warg, przypominający drzenie warg zgłodniałego psa. Ale z tej próby wychodziła zwycięsko. Nie ulegnie. Śledząc ukradkiem szybkie ruchy jego widelca i noża, z rozkoszą stwierdzała doskonały apetyt Piotra; uspokajało to w znacznej mierze jej obawy o zdrowie syna. Tak, w ten sposób ona również poznawała pośrednio przyjemność jedzenia polędwicy.

Kwestia wyżywienia nie była jednak jedyną jej trudnością; nieoczekiwane problemy wyłaniały się ustawicznie w najśmieszniejszych i najbardziej irytujących momentach. Ot, na przykład problem obuwia. Z sukniami była sprawa prosta, gdyż wiedziała, że na razie muszą jej wystarczyć te, które posiada. Bieliznę i pończochy mogła w razie potrzeby cerować i łatać. Nikt nie żądał od niej teraz wytwornej bielizny. Ale z obuwiem było inaczej. Zajęcie jej wymagało intensywnego chodzenia - a ona chodziła jeszcze więcej, niż było trzeba, żeby zaoszczędzić pieniądze za przejazd tramwajem; maszerowała więc kamiennymi chodnikami, które bez litości zdierały podeszwy. Wskutek tego jej znoszone obuwie wyglądało wręcz oplakanie i chociaż zawsze była dumna ze swych zgrabnych pantofelków - a stopy miała małe - w końcu kiedy dzień po dniu wracała do domu z mokrymi i zziębniętymi nogami, doszła do przekonania, że jest to duma fałszywa. Od tego czasu zaczęła chodzić w bucikach z

najgrubszymi podeszwami: były ciężkie i brzydkie. Kupowała je u podrzędnego szewca, niedaleko White Street, a używając stale blaszek doprowadziła do tego, że podeszwy były całe, podczas gdy wierzchnia skóra zupełnie popękała.

Piotr, przeciwnie, był wybredny i wymagający, jeśli chodziło o buty i garnitury. Zresztą chodząc na wykłady, musiał być dobrze ubrany, choćby tylko dlatego, żeby nie różnić się od kolegów. Potrafił tego dokonać dzięki drobnej, lecz wystarczającej sumie, która pozostawała mu ze stypendium po opłaceniu czesnego na uniwersytecie. Poza tym posiadał również zdumiewającą niemal zdolność gospodarowania. Zawsze wiedział, do ostatniego grosza, jak przedstawia się jego kasa. Powtarzała się teraz historia "dzbanka" z czasów dzieciństwa; w notatniku zapisywał swe wydatki, prędko nauczył się mądrej oszczędności i kupował używane książki; był ścisły, dokładny, nigdy rozrzutny. I od razu, na samym początku grzeczenie, ale stanowczo odrzucił nieśmiałe próby Łucji pomagania mu w rachunkach. Chodzi - zaakcentował - o jego własne pieniądze i sam wie doskonale, co z nimi robić.

A oto jak się przedstawiała sprawa z jego garderobą. Po wielokrotnych i dokładnych informacjach - panna Tinto była ostatecznym źródłem tej wiadomości - Łucja odkryła krawca, niejakiego Warda, który przyrzekł zarówno materiał, jak cenę przystosować do szczupłej figury Piotrusia i jego jeszcze szczuplejszej kasy. Pierwsza wizyta u Warda była pamiętna. Przypomniała jej kupno pierwszego szkolnego ekwipunku, wtedy także Łucja zaprowadziła syna do zakładu krawieckiego. Sztywno, niby automat stał teraz przed wysokim narożnym lustrem, ukazując swe zniszczone szelki i z lekkim rumieńcem zawstydenia poddając się zdejmowaniu miary składanym metrem. Ale Ward nie był gburem ani ograniczonym krawczykiem, nie patrzącym dalej niż własny centymetr i poduszka ze szpilkami. Zakład otworzył niedawno, był eleganckim młodym człowiekiem, małego wzrostu, ale o wielkim poczuciu taktu i zrozumienia. W uszytym przez siebie ubraniu mógł służyć jako model skończonej elegancji. Łucję nazywał "madame" i pytał - co prawda bezskutecznie - czy będzie miał zaszczyt wykonania dla niej kostiumu; a rozważnie spoglądając w przyszłość, odnosił się do Piotra z życzliwą uprzejmością.

Ubranie miało być zrobione z popielatego samodziału w jodełkę, który po długim namyśle Łucja wybrała ze względu na jego grubość i wytrzymałość, a nie dla jakichś efektów kolorystycznych. Piotr miał ochotę na lżejszy i bardziej modny materiał w kratkę, ale Ward zgadzając się z synem, poparł jednak w zupełności zdanie matki: - Nie jest wskazane dla

dżentelmena - oświadczył - by wyróżniał się ubraniem; kolor popielaty jest wprawdzie spokojny, ale będzie się dobrze nosił i wygląda nienagannie distingue. Najważniejszy jest zresztą krój - tak, krój stanowi o wszystkim, a on, Ward (znacząco spojrzął na Piotra) ręczy, że posiada tajemnicę tej nieuchwytniej, ale tak istotnej sztuki.

Ubranie było w istocie triumfem - surdut o małych, spiczastych wyłogach z wywatowanymi ramionami leżał doskonale, a spodnie, dwie równoległe precyzyjne linie, były nieskazitelne - całość stanowiła szczyt elegancji i kunsztu krawieckiego. Ponadto w czasie przymierzania i wykańczania Piotr zaprzyjaźnił się z krawcem: każda miara miała "ciąg dalszy", jak to określił Ward, zapraszając swojego klienta na kawę, przy której omawiali przyszłość przedstawiającą się jednemu i drugiemu równie jasno, choć w różnych dziedzinach pracy. Dla Piotra było rozkoszą siedzieć przy oknie, gdy tramwaje przejeżdżały w dół i w górę ulicy, a podniecający ruch miasta przepływał jak barwny strumień przed jego oczyma. Widział wyraźnie otwierające się przed nim wspaniałe perspektywy.

Podczas tych posiedzeń przy kawie Piotr zawczasu poznawał smak życia: swej kariery uniwersyteckiej był pewny, a przede wszystkim, niby stale powtarzający się motyw, przenikała go świadomość, że ostatecznie czeka go powodzenie. Było to uczucie upajające.

Troskliwie obchodził się z tym pierwszym garniturem zrobionym na miarę; wróciwszy z wykładów, zawsze wkładał starsze ubranie, surdut rozwieszał skrupulatnie na poręczy krzesła, a w nocy spał na spodniach starannie złożonych pod materacem. Dzięki nieuniknionej sprawiedliwości czasu i wydarzeń spotkał się z nagrodą. Po otrzymaniu najbliższej raty stypendium i uregulowaniu niezbyt wysokich w tym semestrze opłat, okazało się, że resztę sumy można zużytkować na skompletowanie garderoby. Drugie ubranie - to w kratkę - i ładny płaszcz wiosenny przybyły na Flowers Street 53 w kartonowych pudełkach i w srebrnej bibule. Piotr był teraz elegancko ubranym młodzieńcem, przedmiotem podziwu matki, Bessie Finch, pani Collins i - oczywiście dowód jego znaczenia - obiektem szyderczych gwizdów uliczników włączających się koło weneckiej kawiarni Demaria. Oszołomiona pani Collins przestała nawet pewnego razu czyścić schody, by przyjrzeć się uważnie tak niezwykle zjawisku, znikającemu na zakręcie, po czym powiedziała do Łucji:

- Wygląda jak książę - i szarpnęła futrzane boa, które ją dusiło. - Strach pomyśleć, że zacznie kiedyś palić i chodzić z dziewczętami jak inni.

Łucja przyjęła słuszny komplement, łaskawym milczeniem ignorując śmieszne przypuszczenie. Nie żywiła żadnych obaw, знаła swego syna: jego wytrwałość, czystość serca i przywiązanie do niej. Inni synowie zachwieją się może po drodze i upadną, ale Piotr należy do niej i ten niezbity fakt wystarcza za wszystko.

Nie został jeszcze prezesem Koła Medyków, ale zarówno jego postępy, jak sprawowanie były dobre, a ona śledziła je z namiętym zainteresowaniem, były dla niej źródłem trwałej i potęgującej się radości, głęboką i tajemną krynicą szczęścia.

W długie wieczory najbardziej się cieszyła, gdy darząc ją zaufaniem mówił o pracy na uniwersytecie. Jak urzeczona wsłuchiwała się w jego opowiadanie o przygodach zoologicznych z martwym rekinem i ocieżała amebą, interesowała się jego wnikliwymi doświadczeniami chemicznymi z azotanem srebra i chlorydami, słuchała oszołomiona o cudach botaniki, o nieznanym jej prawie ciężenia, błyszczącymi oczami wpatrywała się w niego, gdy pobłażliwie tłumaczył jej prawa optyki, o których nie miała pojęcia. W wyobraźni śledziła drogę syna przez owe wspaniałe sale. Widziała go przy mikroskopie, pochylonego nad preparatami i barwnikami, ze skalpelem skierowanym na martwą dżdżownicę (czy istotnie nazywał ją kiedyś pogardliwie robakiem i posługiwał się jako przynętą?); czuła gorąco błękitnie płonących palników Bunsena, przenikliwa woń benzyny, zmieszana z balsamem kanadyjskim, drażniła jej nozdrza; słyszała głos profesora, gwar studentów, echo kroków, rozbrzmiewające w korytarzach. Żyła jego życiem, nie tylko wieczorami, kiedy mówił o wielkich wydarzeniach dnia, ale także podczas własnych zajęć, w chwilach kiedy z uczuciem ulgi wychodziła z jakiejś izby nędzarzy, lub kiedy zachwyciło ją piękno promienia słonecznego, który nieoczekiwanie wdarł się na jakieś zarosłe brudem podwórko, myślała z napięciem o synu uczącym się w klasycznym gmachu na wzgórzu. Sam dźwięk zegara uniwersyteckiego, płynący nad miastem, docierający słabo do jej uszu, zbliżał ją do Piotra, łącząc ich we wspólnym celu.

Wieczorem, na prośbę syna, przesłuchiwała go, zwłaszcza przed egzaminami, walcząc z trudną wymową łaciny lub nieznanymi formułami chemicznymi. Jego pobłażliwe rozbawienie, kiedy usiłowała słuchać głębokich mądrości, jak wyliczanie na przykład, kości czaszki, wywołało również uśmiech i u niej, a wymawiając nazwy bezkręgowców, swą błędną wymową stwarzała nową terminologię, pobudzając ich oboje do spazmatycznych wybuchów wesołości. Ale niedługo przeszedł do studiów, przy których poprzednie były po prostu dziecinadą. Tu oczywiście nie mogła za nim nadażyć, a pomoc, którą mu ofiarowała, nie

miała najmniejszej wartości. Potrząsał głową tajemniczo, a nawet ostrzegawczo, dając jej do zrozumienia, że odtań zaczyna się już tabu, niemniej w chwilach rozmowności przyprawiał ją o zimne dreszcze, opowiadając jakieś niesamowite zdarzenie z sali anatomicznej, albo też przerażał ją anegdotą dotyczącą grymasów małpy pozbawionej mózgu. Często, na skutek przebywania w prosektorium, nie mógł jeść, a specjalną niechęć okazywał artykułom pana Tutta, zwłaszcza gdy mu je podano trochę nie dopieczone. Ale okres ten minął szybko; wkrótce bez przejścia, z męskim uśmiechem mógł opowiadać o zwłokach, które preparował swym błyszczącym skalpelem. Tolerując tę studencką nieczułość, nie mogła się jednak pogodzić z jego podejściem do tych biedaków, którzy w tak marny sposób kończyli na stole sekcyjnym. Ten żalony koniec uważała za największą tragedię życia. Raz miała nawet we śnie koszmarną wizję kostnicy z jej wszystkimi okropnościami. Umrzeć tak w zapomnieniu i nędzy, by potem znaleźć się na marach w prosektorium - to straszne, dreszcz nią wstrząsnął na samą myśl.

Po zastanowieniu doszła jednak do wniosku, że Piotr nie byłby w stanie studiować, nie uzbroiwszy się przedtem w pozorną obojętność. Poza tym poszczególne egzaminy zdawał z dobrym wynikiem i to usprawiedliwiała środki wiodące do tego wielkiego i chwalebego celu.

Tak, robił postępy. Serce jej wypełniała radość, gdy o tym myślała. Niepowodzenie w okresie ubiegania się o stypendium wzbudziło w niej chwilowe obawy, ale epizod ten został zapomniany, pogrzebany w otchłani nieważnych zdarzeń. Piotr pracował wspaniale i zdawał egzaminy sumiennie, bez zdobywania olśniewających odznaczeń lub efektownych nagród, lecz ze spokojną solidnością, niezawodną oznaką wytrwałego i zrównoważonego umysłu, co w jej oczach znaczyło więcej niż wszystkie wątpliwe fajerwerki geniuszu.

Zdawało się jej, że nie dawniej jak wczoraj patrząc przez okno widziała go idącego - krokiem nieco sztywnym ze względu na nowe ubranie - na pierwszy wykład uniwersytecki, a oto naszpikowany wiadomościami z dziedziny anatomii i fizjologii złożył już drugi egzamin.

- Mam za sobą "pons asinorum" - oświadczył z westchnieniem zadowolenia. - Teraz pójdzie już łatwiej.

Znała na tyle język łaciński, by zrozumieć tą uwagę.

- Ten most nie był nigdy budowany dla ciebie - odrzekła spokojnie.

- Zapewne - potwierdził w zamyśleniu, a po chwili zaśmiał się i powiedział: - Wiesz mamó, jest u nas dwóch czy trzech starszych gości, którzy wciąż jeszcze próbują go przejść. Tkwią na uniwersytecie od szeregu lat. Śmieszne, nie? Jeden jest nawet żonaty i ma dwoje dzieci.

Potrząsnęła głową i rzekła niemal apodyktycznie:

- Nie każdy przychodzi na świat z rozumem...

Zobaczywszy wreszcie jego nazwisko czarno na białym w spisie studentów, którzy złożyli egzamin, z drżącym zachwytem dostrzegła w tym potwierdzenie swej słusznej decyzji, usprawiedliwienie własnego postępowania. Teraz się przekonają - myślała triumfująco, zaliczając do kategorii niedowiarków tych wszystkich, którzy wątpili w mądrość jej decyzji. Była dumna, a tę jej usprawiedliwioną dumę podzielał widocznie Edward. Jego wielebność wyczytał wyniki egzaminów w "Heraldzie" i uradowany tym nowym blaskiem spływającym na nazwisko Moore, a może też czując, że będzie to także miało wpływ na jego własne, coraz większe znaczenie w kościele i na jego popularność w diecezji, z przyjemnością odczytał tę notatkę, i popijając ranną czekoladę zwrócił się do gospodyni:

- Czy też biskup to przeczyta? Jak myślisz?

A panna O'Regan rzekła z przekonaniem:

- Powinien chyba wiedzieć, że to bratanek waszej wielebności - potwierdzając przypuszczenie, będące już niemal pewnikiem.

Edward napisał tedy do Piotra-studenta, wyrażając mu swe uznanie i dołączając zaproszenie spędzenia z nim wakacji, tym razem nie na Maderze, lecz w St. Andrews, gdzie, wciąż jeszcze na zlecenie lekarzy, czcigodny kapłan zamierzał grą w golfa pobudzić funkcjonowanie swej wątroby.

Ten dowód uznania ucieszył Łucję. Pomijając korzyść materialną - zdrowie Piotra i kwestia jego wypoczynku stale ją niepokoiły - niemalą satysfakcję sprawiło jej to pośrednio wyrażone uznanie Edwarda. nie żałowała wcale, że nie zaprosił jej także, byłoby to pod każdym względem nieodpowiednie: nie miała potrzebnej garderoby, obaj "mężczyźni" chcieli być razem, a jej towarzystwo byłoby dla nich przeszkodą. Chociaż w ostatnich czasach

widywała Edwarda bardzo rzadko, to jednak pogodziła się już z faktem, że drogi ich życia oddaliły się bardzo. Mimo to czuła radosną satysfakcję, kiedy odprowadzała Piotra wyjeżdżającego do swego stryja w St. Andrews. Pobyt w dobrym hotelu poprawi jego manieri, rozproszy jego chłopięcą nieśmiałość. Wiedziała też, że w nienagannym towarzystwie Edwarda będzie całkowicie bezpieczny i właśnie ten wzgląd, choć go sobie nie uświadamiała, złagodził w dużym stopniu fakt rozstania z synem. Ona sama nie miała wakacji od czasu owej wyprawy do panny tweedy, zapewniała jednak, że to nic nie znaczy dla kobiety silnej dosłownie jak koń. Myślami będąc z Piotrem miała wrażenie, że sama również korzysta z wypoczynku.

Wielobarwna pocztówka z fotografią hotelu-palacu - okno sypialni Piotra oznaczone było gwiazdką - przysłała na Flowers Street w gorący dzień sierpniowy w porze obiadowej. Łucja uśmiechnęła się na widok ozdobnego herbu, który niby wielki pajak rozsiadł się na środku imponującej fasady. Hotel wyglądał wspaniale. Nie żywiła uprzedzeń do hoteli, czuła, że gdyby miała odpowiednie ubranie i pieniądze, to w takie skwarne popołudnie hall hotelu nad morzem - na pocztówce były tam palmy i wygodne fotele - skusiłby ją swym chłodem. W białej sukni z surowego jedwabiu - myślała - w kapeluszu z szerokim rondem, no i oczywiście z kolorową parasolką odpoczywałaby w chłodzie.

Cóż to byłaby za ulga odwieść ten marny kostium, który, choć tak dobrze się nosił, nie nadawał się w żaden sposób do "Grand Hotelu". Tak, najbardziej lubi niebieski kolor. Przymknąwszy oczy, widziała siebie siedzącą pod palmą i Piotrusia zamawiającego porcję lodów; były to jej ulubione poziomkowe lody ze słodkimi waflami, a kelner, który je podawał, był uprzedzająco grzeczny. Zawsze czuła pewien lęk przed kelnerami, nawet w dawnych dniach narzeczeństwa, kiedy Frank, wyrwany ze swej apatii, chodził z nią do cukierni - teraz jednak, będąc w towarzystwie Piotra, odnosiła się do tego kelnera raczej pogardliwie. Nie mogła widzieć jego twarzy, natomiast widziała łysinę pochylonej głowy. Była pewna, że uważa ją za czarującą kobietę i prawdziwą damę, dała mu sześć pensów... Po czym otworzyła oczy i... spojrzenie jej padło na resztki cielejących nóżek, prześladowające ją przez ostatnie trzy dni. W czasie nieobecności Piotra nie chciało się jej gotować, wołała wypoczywać możliwie najwięcej - często musiała wprost gonić, by ze swego rejonu wpaść do domu i podczas krótkiej południowej przerwy ugotować sobie posiłek - ale teraz patrzyła na to mało apetyczne jedzenie bez uczucia goryczy. Wzrokiem wybiegła w niezbyt odległą przyszłość, w wyobraźni zamiast niesmacznych nóżek widziała kapłona w galarecie, może

nawet ze szparagami. Była jeszcze wrażliwa na urok życia i z satysfakcją myślała, że okres oszczędzania i biedy wkrótce się skończy.

W radosnym usposobieniu umieściła na kominku pocztówkę - namacalny dowód radości. Zmyła naczynia i posprzątała pokój. Był to ten sam pokój, z tymi samymi gratami zamiast umeblowania. Ale czyż mogło być inaczej? Jak mogła przyzwoicie urządzić mieszkanie, jeśli często jeden jedyny szyling ratował ją od ostatecznej nędzy? Miała jednak tego szylinga. A wszystko inne mogło poczekać. Wciąż jeszcze w radosnym nastroju schwyciła torbę i wybiegła z domu do swych zajęć. Znow ruszyła do slumsów, znow energicznie pukała do nie kończących się drzwi, znow obwieszczała energicznie "Henderson i Shaw", wdrapywała się na ciemne i strome schody, odbierała brudne pieniądze, wciąż z tą samą śmieszna torbą, patrząc ciągle na nieopisaną nędzę - na przejmujące wstrętem robactwo i brud.

Piotr wrócił znad morza opalony i pełen zapachu do pracy. "Wspaniale" - powtarzał chcąc wyrazić swe najwyższe zadowolenie z wakacji. Jego poglądy co do stryja Edwarda - podobnie jak wygląd - uległy radykalnej zmianie; stryja Edwarda określał teraz jako "wcale sympatycznego staruszka".

Gdy już skończył opis wszystkich wspaniałości tych wakacji, zaskoczyła go nieoczekiwanym pytaniem, czy w hotelu obsługiwał go łysy kelner. Spojrzał na nią zdumiony, po czym roześmiał się.

- Kelnerki, mam, same kelnerki! Nie było ani jednego kelnera.

- Dobrze, więc będzie kiedyś - odrzekła rozmarzona. - I będą też poziomkowe lody.

Zaczął się głośno śmiać.

- Łucjo, jesteś naprawdę zabawna - wykrztusił, w ostatnich czasach miał zwyczaj nazywać ją po imieniu. Chociaż czuła, że jest to wyrazem miłości, nie lubiła tego sposobu mówienia.

- Mam - poprawiła ostro.

- Ale mimo to - upierał się, a z oczu płynęły mu łzy śmiechu - to, co powiedziałaś o tym kelnerze... - wymownie stuknął się w czoło.

Zamilkła, trochę rozgniewana tą niezwykłą poufałością. Ale była to poufałość wpływająca z wielkiego przywiązania; Lucja była tego pewna, więc uraza szybko stopniała pod wpływem jego śmiechu.

Tej jesieni zaczął chodzić do szpitala. Zaczął się też golić - nie od czasu do czasu, lecz regularnie, z największą powagą. Stryj Edward, wtajemniczony w arkana kosmetyki (po myciu używał nawet kremu do twarzy) obdarzył go jedną ze swych brzytw o znakomitym ostrzu, które nie pochodziło wprawdzie z Toledo, jednak zupełnie dobrze usuwało silny zarost prałata podczas jego pamiętnego pobytu w Hiszpanii.

Fakt, że syn się już goli, przejął Lucję dziwnym uczuciem. Co rano, zanim wstał, grzała dla niego trochę wody w imbryku. Jej przywiązanie jeszcze bardziej wzrosło. Chwilami patrzyła na niego w szczęśliwej zadumie: znów ma w domu mężczyznę.

A w powietrzu unosiło się już tchnienie jesieni. O wakacjach nie mogła marzyć, ale ta zmiana pory roku, ten mroźny wiew, który tak bardzo lubiła, liście opadające w parku, rzeźwość przenikająca powietrze - wszystko to działało równie odświeżająco jak wyjazd, dodawało otuchy w walce o wymarzony cel.

- Wiesz, mam - rzekł, a ilekroć mówił tym tonem, ona na podstawie długiego doświadczenia wiedziała, że chodzi o jakąś nową prośbę - jutro będzie bal.

- Och! - zdziwiła się bez zainteresowania, a po chwili dodała: - Czy mam ci uprzątnąć stół?

- Jak chcesz.

- Jeszcze nie ma szóstej - zauważyła wstając z krzesła - ale mimo to zapalę gaz. - Przedwcześnie zapadający późnojesienny wieczór wypełnił pokój cieniami zmierzchu.

- Ta zabawa taneczna... - podjął znowu.

Gaz buchnął głośno, zazwyczaj zapalała bardzo ostrożnie, więc prawdopodobnie z powodu tego nagłego hałasu drgnęła lekko.

- Jaka znowu zabawa taneczna? - spytała ostro.

- Wiesz, poszedłbym chętnie.

Spojrzała na niego zdumiona, przez krótką chwilę myślała, że mówi o jednej z tych zabaw urządzanych w salach Garnera - hałaśliwych, ohydnych zabawach reklamowanych jako: "Bale dla doborowej publiczności - pożądane rękawiczki - balowe buciki obowiązujące". Jakież inny bal byłby dla nich dostępny? Zanim jednak zdążyła się odezwać, Piotr wyjaśnił:

- Bal ten urządza Koło Medyków - Klub Beta. Mówią, że będzie wspaniały bufet. - To ostatnie, oszałamiające słowo zdawało się przenosić go w dziedziny niedostępnych marzeń.

Bufet? Dobre sobie! A właśnie spożyli skąpą kolację - on jajecznicę, a ona cienki plasterk sera. Od rana źle się czuła, miała wyjątkowo ciężki dzień, w dodatku był to piątek, kiedy stan jej kasy zawsze wyprowadzał ją z równowagi - a gardło, nigdy nie całkiem zdrowe od czasu ostrego zapalenia, przebytego jeszcze w Ardfillan, bolało ją w sposób podejrzany;

obwinęła je teraz pończochą i rozgrzawszy sobie wreszcie nogi w filcowych pantoflach, zamierzała właśnie wypocząć. A on jej mówi o balu!

- Musisz zaczekać, aż będzie nam się lepiej powodziło, a wtedy pomówimy o balach - rzekła bardziej szorstko, niż zamierzała. - Skąd, na Boga, weźmiesz frak, pieniądze na zaproszenie? Będzie to chyba i tak dość kosztowne, a co dopiero bufet? - Zdenerwowana powtórzyła użyte przez niego słowo.

- Pani Łucjo, proszę się nie irytować - mówił pojednawczo. - Zaproszenie dostałem od członka komitetu - gratis, możesz mi wierzyć. Mają za mało mężczyzn, dlatego!

Obserwowała go bacznie, gdy z wielką uwagą oglądał swe paznokcie.

- A frak? - spytała w końcu, nieco łagodniej.

- Możliwe, że i to dałoby się załatwić. O tak, możliwe - całkiem możliwe.

- Chyba nie będziesz wypożyczał fraka - zawołała z przerażeniem, pod wpływem upokarzającego wspomnienia rozmaitych "wypożyczalni" mieszczących się na osławionych peryferiach jej rejonu. - Nie pozwoliłabym ci na coś takiego.

- Nigdy w świecie! - rzekł oburzony. - Szanujący się człowiek nie robi takich rzeczy. - Ponownie przybrał ton, pełen świadomej godności. - Nie włożyłbym takiego wypożyczonego łachmana za żadne skarby. Nie! Znam inny sposób.

- Więc jaki? - spytała kwaśno, drażnił ją tym przewlekaniem sprawy, w dodatku tak idiotycznej i niemądrej.

- Otóż byłem kiedyś u Warda - odrzekł szybko. - Wiesz, że jesteśmy bardzo zaprzyjaźnieni. I rozmowa zesłała jakoś na wieczorowe ubranie.

Wieczorowe ubranie - pomyślała. - Czemu nie frak?

- Powiedziałem mu, że jeszcze przez parę lat nie będę sobie mógł pozwolić na takie ubranie. zaproponował mi kredyt, ale odmówiłem. - Zrobił wymowną pauzę, a oczy jego, w tej chwili naiwne, zdawały się czekać na pochwałę, gdy jednak Łucja milczała, podjął znowu: - Wiesz przecież, że Ward jest najlepszym w świecie chłopcem. Otóż ma u siebie frak

jakiegoś klienta, który wyjechał do Chin i zostawił mu to ubranie do przerobienia. Przymierzyłem je, leży na mnie jak ulał. - Obojętnie stuknął palcem w zęby. - Ma znakomity krój.

Frak jakiego klienta w Chinach! To już co najmniej fantastyczne.

- Ward nie może ci przecież wypożyczyć cudzego ubrania - mówiła powoli.

- Och, zrobi to jednak - odpowiedział natychmiast. - Przyrzekł mi. Mogę mieć to ubranie jutro rano. Nikt nie będzie wiedział.

- Ale... czy umiesz tańczyć? - upierała się z bezwiedną niechęcią.

- Och, dam sobie radę - rzekł z nonszalanckim uśmiechem. Wprawiał ją w zdumienie. Wiedziała, że wszystko już obmyślił, właściwie wszystko było już postanowione, była zaskoczona tą pomysłowością. Nie chciała, by poszedł na bal, była nawet w najwyższym stopniu przeciwna temu, ale Piotr czekał - czekał na jej zgodę.

- Skoro masz frak i zaproszenie, to możesz iść - powiedziała wreszcie niechętnie, a głos jej zdawał się dochodzić z wielkiej odległości.

- To ładnie z twojej strony, Łucjo - odrzekł z przekorną satysfakcją. - Zrobione więc. Teraz uporządkujemy stół i zabierzemy się do roboty.

Sprzątnęła ze stołu, ale w ciągu wieczora patrzyła na syna z dziwnym wahaniem. Nagłe podjęcie tego tematu przypomniało jej pułapkę, bez ostrzeżenia zatrzaśniętą przed nosem. Była też wyraźnie przestraszona, choć przyznawała, że to śmieszne, Uznawała słuszność zasady "po pracy zabawa", była przekonana o niezachwianej prawości swego syna, jej rozdrażnienie, mówiła sobie, wynika z tego nieznośnego przeziębienia. Mimo to myśl o balu - rozrywce tak odmiennej od wypoczynku wakacyjnego w towarzystwie stryja Edwarda - sprawiała jej jakąś nieokreśloną przykrość. Myśl ta prześladowała ją przez cały wieczór i wracała też kilkakrotnie w ciągu następnego dnia.

Nazajutrz wieczorem zapalenie gardła jeszcze się zaostrzyło, lecz nie powiedziała o tym Piotrowi. Spiesznie wypił herbatę i zdawał się nie zwracać uwagi na to, co je; następnie rzuciwszy jej żartobliwe spojrzenie, wziął tekturowe pudło, które przyniósł po południu i wyszedł z nim do frontowego pokoju. Bez słowa postawiła mu w łazience gorącą wodę.

Wsluchiwała się w każdy jego ruch, miała wrażenie, że goli się bardzo długo - rano robił to tak szybko. Myślała też o wszystkich dodatkach koniecznych do wieczorowego stroju - skąd je wziął? Wydało się jej nagle czymś wysoce nieodpowiednim, by w tym nędznym, ubogim mieszkaniu ktoś się tak stroił. Czyż nie miał wcale wyczucia, co jest stosowne, a co nie? Ogarnął ją poprzedni nastrój i to w stopniu znacznie spotęgowanym.

Mimo to, gdy usłyszała wreszcie jego kroki, odwróciła się od zlewu z wyrazem oczekiwania. Wszedł spokojnie, stąpając pewnie w wypożyczonych lakierkach.

- No i jak? - spytał spokojnie. - Jak wyglądam?

Oniemiała - mogła tylko stać bez ruchu, ręce jej ociekały jeszcze wodą od zmywania, rozwartymi ustami chwytiała powietrze jak ryba. To nie jej syn - ten wytworny młodzieniec o wygolonej różowej twarzy, w niepokalanej bieli koszuli z wysokim kołnierzykiem, smukły i wytworny w pięknym czarnym fraku. Zakasował wszystkich! Val Pinkerton mimo wspaniałej szarfy był przy nim śmiesznym błaznem. Była wzruszona, tak głęboko wzruszona, że oczy jej zaszczyły łzami.

- Och, Piotrusiu! - szeptała - naprawdę... naprawdę... naprawdę wyglądasz wspaniale.

Widok syna, który na tle nędznej kuchni wyglądał w pożyczonym fraku jak młody Apollo, wzruszył ją tak bardzo, że czuła niemal fizyczny ból. W tej chwili ogarnęło ją uczucie, jakiego w stosunku do niego nigdy jeszcze nie zaznała: nagły przypływ czułości i podziwu. Frank nie miał nigdy fraka. Frank! Nie, nawet Frank nigdy tak nie wyglądał. Nigdy nie przeżyła takiego uniesienia miłości do Franka, jakie czuła w tej chwili do syna.

- Nie mogę się opanować - szepnęła znowu. Był to jeden z tych rzadkich momentów, kiedy bezwiednie zdradzała się ze swą miłością do niego. - Wprost cię nie poznaję. Jesteś... jesteś...

- Wiesz przecież, że strój zdobi człowieka. - Pod wpływem jej spojrzenia czuł się jakoś nieswojo. - Musisz jednak przyznać, że mój frak jest elegancki. Chyba nie będziesz na mnie czekać - dodał poprawiając krawat przed niewielkim lusterkiem na ścianie.

- Oczywiście, że będę - zapewniła szybko. - Czy może być inaczej?

Dla wprawy wysunął trochę mankiety, po czym rzekł:

- Czas wyjść. - Nagle podniósł oczy i zauważył wyraz bolesnego napięcia jej twarzy. - No cóż, Łucjo, zdaje mi się, że miałabyś ochotę pójść ze mną - żartował. - I w moim towarzystwie z pewnością nie podpierałabyś ścian.

Nie odpowiedziała, lecz drgnęła i twarz jej spochmurniała. Zapadło chwilowe milczenie.

- Nie wracaj zbyt późno - dodała sztywno.

- Nie ma obawy! Jutro robota, jak zwykle! Mamo, oczyść mnie trochę, dobrze?

Oczyściła go, a gdy w końcu wspaniałość jego stroju została okryta płaszczem, a biel koszuli żółtym jedwabnym szalikiem, który znalazła w szufladzie, skinął jej głową na pożegnanie i wesoło zbiegł ze schodów.

Wróciła, by zmyć resztę naczyń; w roztargnieniu nie wiedziała prawie, co robi; po wyjściu tak cudownie odmienionego syna mieszkanie wydało się jej nagle ciche i puste. Dziś przypadła na nią kolej szorowania schodów, ale mimo że odczuwała to stale jako słabość ze swej strony - była tak wyczerpana przeziębieniem, że kazała przyjść posługaczce. Całe szczęście, pomyślała, a usta jej zadrgały ironicznie, Ładnie by wyglądało, gdyby szorując schody, musiała posunąć wiadro z wodą, by syn jej mógł dumnie przejść obok.

Mimo zachwyty, w jaki wprawił ją przed chwilą jego widok, nastrój Łucji zaczął się psuć w sposób nieoczekiwany i bezwiedny. Pragnąc się rozerwać, oczekiwała niecierpliwie przybycia pani Collins, która często była skłonna do filozofowania, zazwyczaj mówiła wtedy: "Nic sobie z tego wszystkiego nie robię".

Ale dziś wieczór Marta Collins przyszła, jak sama określiła, "w psim humorze". Nie mówiąc wiele, wzięła potrzebne rzeczy i zabrała się do roboty na schodach, plaskaniem ścierki akompaniując sobie do żalonych strofek ulubionej piosenki; śpiewała lekkim falsetem, słowa zlewały się z sobą:

O gdybym mogła być dziewczyną

ale już nigdy nią nie będę!

Prędzej pomarańcza odmieni swą postać

w jabłko opadłe na grzędę.

Gdybyż me dziecię już było na świecie,

małe, kwilące dziecię,

i gdybym ja już nie żyła,

a trawa zielona

mogilę moją pokryła.

Przez cienkie drzwi smutne słowa piosenki docierały do Łucji drażniącą natarczywością. Tak, dziś wieczór nie była usposobiona do słuchania tej ballady. Gdy jednak pani Collins skończyła robotę, Łucja, wręczając jej jak zwykle sześć pensów, spytała:

- Marto, co się z panią dzisiaj dzieje? Czy mąż znów nie ma zajęcia?

Marta Collins poprawiła na głowie kapelusz - oznakę godności - i bez drgnienia powieki odrzekła od razu:

- Chodzi o mojego najmłodszego syna, proszę pani. Prawdziwy diabeł, gdy mu się przewróci we łbie. A teraz muszę go ożenić, inaczej grozi mu nieszczęście.

- Przydarzyło mu się coś złego? - spytała Łucja.

- Och, wiem, że nie ma w tym nic niezwykłego, nic takiego, żeby sobie głowę zawracać. Myślę, że taka widocznie wola Boża, ale gdy chodzi o najmłodsze dziecko, to jednak ciężko się z tym pogodzić. - Oczy jej rozbłysły gniewem. - Jedna łajdaczka go opętała i podała za ojca swego bękarta.

- Rozumiem - powoli rzekła Łucja. Ten młody chłopiec... przypomniała sobie jego naiwny uśmiech, podobny do uśmiechu Piotra! Na mocy dziwnej analogii doznała teraz nieokreślonego uczucia lęku.

- I regularnie co tydzień dostaje od niego piętnaście szylingów - biadała pani Collins. - Nie przyniesie jej to szczęścia, tej ładacznicy.

Łucja stała w drzwiach, gdy obrażona matka powoli schodziła ze schodów, wzywając pomsty nieba na czarownicę, która uwiodła jej beniaminka.

Wydarzenie to wywarło na Łucji niezwykle przygnębiające wrażenie. Zaczęła się bez celu krzątać po mieszkaniu, uprzątnęła złożone ubranie syna, oczyściła w łazience jego przyrządy do golenia, potem wróciła do pokoju i usiadła. W ciągu pół godziny trzy razy patrzyła na zegarek; po chwili wstała niespokojnie i postawiła na gazie zupe, by ją odgrzać: może Piotruś zje trochę, gdy wróci, a filiżanka ciepłego płynu dobrze też jej zrobi na gardło.

Znowu usiadła. Nie miała dość energii, by zabrać się do roboty na drutach, zegar wskazywał, że minęła już godzina, o której Piotr zwykle szedł spać. Było jej dziwnie, że nie widzi go uczącego się naprzeciw niej. Zadawała sobie pytanie, czy się dobrze bawi. Zapatrzona przed siebie siedziała z beczynnymi opuszczonymi rękami, a na jej twarzy widniał wyraz niemal chłodnej surowości.

Zdumiała się nagle, usłyszawszy lekkie pukanie do drzwi. Przez chwilę myślała, że to syn, i natychmiast zerwała się z krzesła. Ale to nie był on. O dziwo, w progu stała sąsiadka, pani Finch, z wielce zakłopotaną miną.

- Wiedziałam, że pani się nie położy, bo się świeci - zaczęła Bessie, a na twarzy jej widniał słaby cień zwykłego uśmiechu. - Więc pomyślałam, czy nie mogłabym wejść i posiedzieć z panią chwileczkę.

- Posiedzieć ze mną? - powtórzyła Łucja. Z powodów zrozumiałych nie pozwalała nikomu wchodzić do swego mieszkania, a o tej godzinie prośba ta wydała się jej co najmniej niezwykłą.

- Tak - wybąkała Bessie. - Opadł mnie jakiś dziwny lęk. Finch... znów dziś nie wraca tak długo. Czasem nie przychodzi do domu przed północą. - Jej pełna twarz w mętnym oświetleniu klatki schodowej wyglądała bardzo blado.

- Więc proszę wejść - rzekła Łucja po chwili wahania. Miała teraz zobowiązania wobec Bessie i jej matki, a poczucie sprawiedliwości nie pozwalało jej odpowiedzieć odmownie. Ale mówiła tonem raczej chłodnym. Weszły do kuchni, a Bessie mimo swego onieśmielenia rzuciła szybkie, ciekawe spojrzenie na umeblowanie pokoju, po czym usiadły obydwie.

- Bardzo pani dobra - szepnęła Bessie zdławionym głosem - że pozwoliła mi pani wejść.

- Ależ, co pani mówi!

- Nie wiem, co mnie opętało! Wie pani - siedzę tak cały dzień samiuteńka... całymi godzinami... - zamilkła, prawie gniewnie, lecz Lucja, choć zauważyła jej wzburzenie, nie okazywała ciekawości. Nastąpiło krępujące milczenie.

- Piotr poszedł na bal - rzekła w końcu, starając się złagodzić napięcie.

- Na bal! - powtórzyła pani Finch, a oczy jej rozbliły się. - Ja też lubiłam tańczyć... i wesołą muzykę.

- Tak? - uprzejmie spytała Lucja.

- O tak, naturalnie - oczy Bessie napełniły się nagle łzami, a górna warga ze złotym puszkciem zaczęła wyraźnie drżeć. - Właśnie na balu... poznałam Fincha. Miałam na sobie białą suknię i żółtą wstążkę we włosach i śliczną żółtą szarfę. Powiedział, że jestem... - Jej łagodna, okrągła twarz ściągnęła się w śmieszne zmarszczki, i Bessie całkiem otwarcie wybuchnęła płaczem. Położyła głowę na stole płacząc niepowstrzymanie. Wśród łkań wyrzucała z siebie urywane zdania: - Tak mi przykro... tak mi przykro - lamentowała - że wpadłam tu i becuję. Ale nie mogę już wytrzymać. Mówię pani, że już nie mogę wytrzymać. To z powodu Janka - mojego Janeczka. Ja go tak kocham... - urwała krztusząc się łzami, a przed oczyma Lucji przesunęła się szybko przerażająca wizja "Janeczka", łagodnego łysego grubasa w średnim wieku. Janeczek nie był podobny do Romea, niemniej był mężem, ideałem Bessie, źródłem jej szczęścia.

- Co się stało? - spytała.

- Pijaństwo... pijaństwo - szlochała Bessie. - Przez całe miesiące nikomu o tym nie mówiłam, lecz teraz tak już mnie to męczy, że nie mogę dłużej. Wciąż się upija i upija, mówię pani. Nie wiedziałam o tym wychodząc za niego - myślałam, że wypije czasem kieliszek i tyle. Och! to mnie zabija, zabija mnie, tak, bo przecież byłam wychowana przyzwoicie. Nie ma wieczoru, by nie wrócił do domu pijany. A matka moja... tak mnie ostrzegała... ale ja go kocham, tak, kocham go. To jest najgorsze.

Przez głowę Łucji przemknęło straszne podejrzenie.

- Czy... czy panią bije?

- Nie, tego nie robi - jęczała tamta. - Choć chciałabym... tak, chciałabym czasami, żeby mnie wysmagał rzemieniem. Tak, żeby mnie wysmagał całkiem naga - zawodziła znów histerycznie. - Powiadam pani, że pragnę go - a on nie pragnie niczego prócz wódki. Pada na łóżko i chrapie jak wieprz - tyle mam z niego teraz - chrapanie! - Zaśmiała się dziko. - Nazajutrz rano je szynkę i jaja i przysięga, że tego już nie zrobi. A wieczór znów przychodzi tak samo urżnięty jak co dzień. Urżnięty do nieprzytomności! - I znów zaczęła kołysać się histerycznie w obie strony i bić głową w twardey stół, jak gdyby każde uderzenie sprawiało jej nie ból, lecz rozkosz. Łucja nie wiedziała, co począć. Nie umiała wyrazić swych uczuć, okazywanie sympatii nie przychodziło jej łatwo, była jednak wstrząśnięta. Siedziała sztywno, patrząc współczująco na pochyloną postać, czekając w milczeniu, aż wybuch ten minie. W końcu Bessie podniosła głowę i niby zapłakane dziecko wierzchem ręki otarła oczy.

- Zachowałam się jak idiotka - rzekła pociągając nosem. - Jak skończona idiotka. Prawda?

- Nie, nie - powiedziała Łucja uspokajająco. - Współczuję pani, bardzo współczuję.

- W każdym razie ulżyło mi trochę - odparła tamta i jestem pani naprawdę bardzo wdzięczna. - Zamilkła, po czym z łagodną przekorą dodała: - Teraz pani wie o mnie wszystko. Ale nic sobie z tego nie robię. Jestem normalną kobietą i nie mogę wytrzymać. - Przy ostatnich słowach przechyliła głowę nasłuchując, po chwili rzekła cicho: - Zdaje mi się, że słyszę jego kroki. Wyjdę chyba i zobaczę...

Obydwie podeszły do drzwi i w milczeniu patrzyły na wchodzącego powoli Jana Fincha. Szedł krokiem ostrożnym, wahającym, trzymając się mocno poręczy: był spokojny - nazbyt spokojny - ale ciężko oddychał, wchodził bardzo godnie, poprzedzany ostrym zapachem korzeni, a oczy jego przyjaźnie spoglądały na świat.

- Ach, pani Moore i moja Bessie. To ładnie! - rzekł powoli, dotarłszy do szczytu klatki schodowej i bez zdumienia patrząc na obydwie kobiety. Jego poranna mrukliwość zniknęła, był teraz wylewny, mówił wolno, nieco bełkotliwie, jak zwykle pijany. Przymrużył jedno oko i dodał konfidencko: - Piękna nocka!

- Janku, chodź do mieszkania - powiedziała stanowczo Bessie.

- Mu... mu... muszę po... pomówić z p... panią Moore.

- Och, Janku, wejdźże do mieszkania.

- Bessie, m... muszę, m... muszę pom.... mówić.

Ujęła go za ramię i próbowała wciągnąć do mieszkania, ale zaparł się mocno na krótkich, tłustych nogach i zawołał nagle:

- Pani Moore, ja znam szwagra pani, Joego. To był mój dobry klient w Levenford. Porządny chłop, Wielki Joe...

Ale Łucja, rzuciwszy ostatnie współczujące spojrzenie na udęconą twarz Bessie, zamknęła drzwi. Przez chwilę stała nieruchomo, nasłuchując, niebawem usłyszała, że weszli, a pijacki bełkot ucichł.

Wróciła do kuchni. Co za wieczór! Była przerażona jego niezwykłością. Odejście od ustalonego trybu życia, zdumiewający widok syna, który w okamgnieniu przeobraził się w eleganta, jego pójście na bal, a następnie - jak gdyby tego wszystkiego było mało - nagle, niespodziewane wtargnięcie tych dwóch tragedii - pospolitych, niegodnych, nawet wstrętnych, z których jednak wyłoniły się dwie obawy, coraz realniej krystalizujące się w jej umyśle. A obawy te znów zaczęły ją dręczyć. Co zrobiłaby, gdyby Piotra spotkał ten sam los, co nieszczęsnego syna pani Collins? Lub, jeszcze gorzej, tego łajdaka, Fincha? Przecież napomknął coś o bufecie. W wyobraźni ujrzała jakiś rzęsiście oświetlony bar i wyfraczony rozpustny tłum wieńczący Piotra winoroślą. Była szalona pozwalając mu pójść. Twarz jej stała się surowa. Jak mogła być tak słaba. Przeczucie nieszczęścia przyprawiło ją o drżenie.

Czekała jednak. Nagle z mroku tej dziwnej, męczącej nocy doleciał ją odgłos kroków na schodach - lekkich, pewnych i szybkich. Nie odwróciła się, ale oczy jej zabłyśły. To syn! Po chwili zaróżowiony, wesół i niefrasobliwy, Piotr wszedł do mieszkania.

- Co, jeszcze się nie położyłaś, staruszko? - spytał wesół. - Powinnaś już dawno spać.

Spać? Omal się nie roześmiała! Ulga, jakiej doznała na jego widok, przejęła ją nagle najwyższą radością. Wrócił - normalny, bez cienia zarozumiałości, nienagannie ubrany,

oddech jego nie był skażony wonią alkoholu, a policzki nie tknięte niecnymi pieszczotami ladacznic. Nigdy już nie będzie go podejrzewać. Nigdy!

- Dobrze się bawiłeś? - spytała łagodnie.

- Och, nieźle - odrzekł robiąc minę, jakby się zastanawiał. - Kobiety były nieszczególne - dodał z lekceważeniem, wzruszając ramionami.

Serce Łucji zadrżało ze szczęścia.

- Jestem pewna, że tańczyłeś z jakąś ładną osobką - nalegała dręcząc się pragnieniem zdobycia pewności.

- Z ani jedną! - Zaśmiał się krótko. - Jedna taka powiedziała mi, że depczę jej po nogach. - Jakkolwiek tego nie przeczuwała, wieczór ten nie był dla niego świetnym triumfem: powiedziano mu nawet, że samo kręcenie się po sali nie jest jeszcze tańcem. Ziewnął potężnie.

To ziewnięcie, tak naturalne, tak odruchowe, tak nieskończenie uspokajające, najzupełniej przywróciło jej zaufanie do niego. Podała mu filiżankę gorącej zupy i przyglądała się, jak pił. Wreszcie o pół do drugiej położyła się szczęśliwa, śmiejąc się z własnej głupoty. Zasnęła natychmiast.

- Co za pomysł ściągnąć nas tutaj w taki sposób - rzekł Piotruś, gdy wyszli z biura "Fullerton i Spółka". - Można by pomyśleć, że dają nam jałmużnę.

Poszedł tam, by podjąć kwartalną ratę stypendium, a Łucja musiała mu towarzyszyć, zgodnie z warunkami ustalonymi przez filantropijną, ale podejrzliwą fundatorkę.

- Nigdy nie wiadomo - powiedziała łagodnie, a biorąc pod uwagę oburzający, niemniej jednak możliwy wypadek, że jakiś student mógłby swe stypendium przepić w najbliższej knajpie, dodała: - Mogłyby się zdarzyć nadużycia. Nie każdemu można ufać - nie powiedziała: "tak jak tobie" - ale to miała na myśli. Przez cały czas korzystał ze swych pieniędzy w sposób nienaganny; nie roztrwonił ani jednego pensa wydając wszystko na rzeczy konieczne.

- Musiała to być jakaś zgorzkniała stara idiotka - mruknął przez zęby, a ton, jakim to powiedział, raz na zawsze usuwał panią Kezia Reckie i jej fundację poza nawias przyzwoitości.

- Co powiedziałaś? - spytała Łucja. Chwilami zdawało się jej, że ma nieco przytępiony słuch.

- Błogosławiłem panią Kezia - oświadczyła dwuznacznie - wdowę po kupcu kolonialnym.

W jasnym słońcu wiosennego popołudnia szli do przystanku tramwajowego. Poprosiła o wcześniejsze zwolnienie z pracy i doznawała niezwykle miłego uczucia mogąc o tej godzinie być w towarzystwie syna. Rzadko mieli sposobność wychodzenia razem, w sobotnie popołudnia on oczywiście szukał odprężenia na meczu, a w niedzielę Łucja przyzwyczała się słuchać wczesnej mszy (Piotr chodził na jedenastą), by móc przed południem ugotować mu obiad.

Od dwóch nedorzecznych podejrzeń w noc balową - dotąd na ich wspomnienie dręczyły ją wyrzuty sumienia - przylgnęła do niego może jeszcze goręcej. Teraz mogła sobie

pozwolić na pobłażliwy uśmiech, mimo to przez pewien czas po tym wydarzeniu była zdenerwowana i lekko zaniepokojona. Zobaczywszy kiedyś frak bezsilnie wiszący w szafie, spytała rozdrażniona:

- Kiedy to usuniesz z domu? Przecież nie należy do ciebie!

Uśmiechnął się do niej pobłaźliwie:

- Nie ma powodu do pośpiechu, mamó. Nie ukąsi cię. Wystarczy oddać, kiedy Ward poprosi.

Jego łagodność podziałała na nią jak wyrzut. W tej chwili, skręcając w ulicę bardziej ożywioną, nie pamiętała o swojej śmiesznej podejrzliwości. Cieszyła się słońcem, towarzystwem Piotra i uwolnieniem od slumsów, gdzie z powodu epidemii szkarlatyny praca jej była teraz szczególnie uciążliwa. Przechodząc najelegantszą ulicą miasta od czasu do czasu spoglądała z przyjemnością na wystawy. Dziwne, że idąc sama unikała tej ulicy, wspaniałych drogich sklepów i strojnych kobiet; starała się przebiegać tędy jak najszybciej; wspomnienie bruków, po których zwykle chodziła i świadomość, że jest tak biednie ubrana, wywoływały w niej poczucie niższości i niezadowolenia. Teraz jednak u boku eleganckiego Piotra doznawała przyjemności, szła więc powoli, z zadowoleniem podchwytyjąc czasami skierowane na nich spojrzenia przechodniów.

Zauważyła, że modne są żaboty, a kolor bladuróżowy - w którym było jej zawsze do twarzy - jest teraz najwięcej noszony. Chociaż w ciągu ostatnich czterech lat nie kupiła sobie ani jednej sukni, odkryła niemal z przyjemnością, że jej zainteresowanie modą wcale nie osłabło, musiała przyznać nawet, że ciągle jeszcze interesuje się nią bardzo - zawsze lubiła dobrze się ubrać - a gdy Piotr ukończy studia, myślała, będzie mogła powetować sobie te wszystkie lata. Widok sklepów poprawił jeszcze jej nastrój.

- Śliczny dzień - powiedziała odrywając oczy od wystawy i uśmiechając się do syna. - Czujesz, jak pachnie wiosną?

- W każdym razie wiele tu zapachów - odrzekł z pewnym przymusem. Przez cały czas tej wyprawy był milczący, a teraz z wyniosłą miną patrzył na tłumy i matkę.

- Najbardziej lubiłam zawsze lawendę - ciągnęła. - Pewnego pięknego dnia będziesz mi musiał kupić olbrzymi flakon.

Zaledwie powiedziała te słowa, twarz jej ściągnęła się nagle. Łucja zbladła raptownie i udała, że wpatruje się w bardzo odległy punkt. Dostrzegła elegancko ubraną kobietę wychodzącą z magazynu Raya - najwytworniejszej pracowni krawieckiej tej ulicy. Była to jej bratowa, Ewa, żona Ryszarda.

Nie po raz pierwszy widziała Ewę, niezmordowanie czyniącą zakupy w tej dzielnicy i w ogóle w całym mieście. Tak, nieraz widywała Ewę, natomiast Ewa nigdy jakoś jej nie widziała. Możliwe, że poczucie niższości, jakie miała Łucja z powodu swego ubrania i pracy, możliwe, że wspomnienie ostatniego spotkania w Ralston sprzyjało temu obustronnemu ignorowaniu się; mimo to z goryczą pomyślała, że Ewa powodowana nie ukrywanym snobizmem unikała poznawania jej.

Mysząc o tym, bezwiednie przyspieszyła kroku, gdy nagle usłyszała cienki i mocno afektowany głos bratowej. Zamyślona drgnęła i na dźwięk tego głosu wróciła do rzeczywistości.

- Ach, to ty Łucjo - powiedziała Ewa jak zwykle nieco sepleniąc. - Co się stało, że cię tu spotykam!

- Tak - odrzekła Łucja ze świadomą ironią - to dziwne. - Krew znów napłynęła jej do twarzy, z gniewem poczuła, że się czerwieni. Łucja nie bała się Ewy i nie bała się też pokazać, że jej nie cierpi. Ale Ewa uśmiechała się: była chłodna, uprzejma i pewna siebie. Z zaciśniętymi ustami Łucja patrzyła na jej elegancki, szyty u najlepszego krawca popielaty kostium, na różowy kapelusz, koronkowy żabot - więc jednak są noszone - na długą parasolkę, kokietyjnie przewieszoną przez rękę, nie brakowało najmniejszego drobiazgu kosztownej toalety.

- Często bywam w mieście, ale mam tak krótki wzrok, że rzadko kiedy poznaję kogoś na ulicy - ciągnęła Ewa, a w tym niezręcznym usprawiedliwieniu Łucja znalazła potwierdzenie swego podejrzenia.

- Pracuję w zupełnie innej dzielnicy - powiedziała znacząco i ze zwięzłością wykluczającą nieporozumienie.

Ewa wydała współczujący okrzyk - przyszło jej to bardzo łatwo - po czym z pełnym uznaniem uśmiechem spojrzała na ujmującą postać Piotrusia.

- Chyba to nie twój syn? - zawołała. - Przecież to już dorosły mężczyzna!

- Och, jeszcze nie całkiem - rzekła Łucja chcąc skończyć rozmowę, ale w duchu pomyślała: Więc dlatego się zatrzymałaś, że chciałaś dowiedzieć się czegoś o moim synu. I zaraz dodała: - Śpieszymy się do tramwaju.

Ewa nie miała jednak zamiaru odejść, zwróciła się natomiast do Piotra:

- Ledwie cię poznałam, a jesteś przecież moim bratankiem. Czy to nie zabawne? Czemu się nie pokazałeś przez cały ten czas?

- Nie wiem, ciociu - wyniosłość Piotra zniknęła, jakby zdmuchnięta jej wyszukaną uprzejmością; uśmiechnął się, nawet zbyt czule. - Istotnie, bywamy bardzo mało. - Z łagodną rezygnacją zrobił minę pustelnika żyjącego w odosobnieniu.

- To ta twoja niedobra matka trzyma cię tak przy swoim fartuszk - łajła ciotka Ewa zwracając się do Łucji i grożąc jej paluszkami w obcisłej rękawiczce. - Tak, chcemy was jednak zobaczyć w naszym "Le Nid".

- Piotr jest bardzo zajęty nauką - ostro powiedziała Łucja - a ja też mam pracę.

- Och, mammo... - rzekł oburzony.

Ewa zaśmiała się krótko, w ten sposób biorąc udział w rozmowie; swym ostro jak u ptaka zakończonym nosem, podniesionym teraz do góry, wesoło bodła powietrze.

- Nie mamy wiele czasu na bywanie - rzuciła Łucja. Wiedziała, że zachowuje się niegrzecznie, lecz było coś wrogiego w nieskazitelnej i elegancko ubranej Ewie, co zmusiło ją do powiedzenia: - My musimy ciężko pracować.

- Och, mammo - znów wtrącił Piotruś. Zdawał się być szczerze zawstydzony jej brakiem uprzejmości i spojrzął na ciotkę, jakby prosząc o wybaczenie.

- Chciałabym tylko, abyś nas odwiedził w którąś sobotę - mówiła Ewa promieniejąc. - Przecież to absurdalne, że prawie się nie znamy.

Absurdalne! Tak - z zaciekłością myślała Łucja - tylko że nie ja ponoszę winę za ten absurd.

- Chętnie bym przyjechał - rzekł Piotr. - W Ralston jest bardzo pięknie.

- Od czasu do czasu grywamy w tenisa - powiedziała Ewa. - Całkiem nieoficjalnie.

Nieoficjalnie! Czy ktokolwiek słyszał o oficjalnej grze w tenisa - z goryczą myślała Łucja.

- Tenis! - powtórzył Piotr. - Cudownie!

- Umiesz grać, prawda? - wdzięczyła się Ewa.

- No, tak - zawahał się - przypuszczam, że potrafię. Nieraz pragnąłem grać. - Niewątpliwie snując młodzieńcze marzenia, często widział siebie w nieskazitelnym ubraniu tenisowym, z rakieta w ręku.

- Otóż nalegam, byś przyjechał - wysepleniła Ewa. - I oczywiście przywieź też matkę. Napiszę do ciebie dla pewności.

- Piotr nie ma rakiety - rzekła Łucja zdławionym głosem. - Nie będzie mógł przyjechać. - Wiedziała, że stawia się w fałszywym świetle. Kochała Piotra, mimo to świadomie odsuwała go od życia; z całego serca pragnęła, by mógł grać w tenisa, ile tylko zechce, a jednak coś jej zaciskało krtań i zmuszało, by sprzeciwiła się przyjęciu tego zaproszenia. Nie lubiła Ewy, czuła zazdrośnie, że ta kobieta nie ma najmniejszego prawa mieszać się do spraw Piotra - ani Ryszard, ani jego żona nie postąpili uczciwie z nią i z jej synem. Drażnił ją lekceważący sposób bycia eleganckiej Ewy, obecność bratowej zatruwała wiosenne powietrze, zaciemniała blask dnia.

- Nie! - powtórzyła. - Nie będzie mógł pojechać!

- Ach - z uśmiechem rzekła Ewa po chwili - muszę już uciekać - ale jej mina mówiła wyraźnie do Piotra: "Jestem nazbyt światową damą, by nalegać, ale zobaczmy, czy ten miły młody człowiek nie przyjedzie jednak do "Le Nid"". Pożegnała się z pewną wyniosłością i drobnym kroczkiem odeszła.

Łucja i Piotr w milczeniu wsiedli do tramwaju. Łucja usta miała zaciśnięte, głowę sztywnie podniesioną. Piotr był wzburzony: znów przybrał swą dumną minę, pełną napuszonej godności. Mimo to po długiej pauzie odezwał się pierwszy:

- Czy wolno wiedzieć, czemu byłaś wobec niej taka niegrzeczna? - spytał starając się mówić spokojnie.

- Och, Piotrze, nie wiem - westchnęła podnosząc nań oczy w poczuciu winy. - Prawdopodobnie postąpiłam głupio. Nie cierpię jej po prostu. Nie uważam jej za szczerą. - Określenie to najlepiej wyrażało jej prawdziwą opinię o charakterze Ewy.

- Mnie się wydaje czarująca - powiedział szybko. - To ładnie z jej strony, że mnie zaprosiła.

- Jakże mógłbyś tam pójść? - rzekła surowo. - Doskonale wiesz, że masz przed sobą ostatni egzamin. Nie masz ani czasu, ani odpowiedniego ubrania. A może sprowadzisz sobie flanelowe ubranie z Chin? - Skrzywiła usta ironicznie, lecz w tej samej chwili pożałowała, że zrobiła tę aluzję do fraka.

- Ciocia Ewa robi wrażenie miłej i dobrej kobiety - odparł wyniośle.

- Dobrej! - powtórzyła nie bez goryczy. Czy on zna Ewę? Skąd wie, czy pod jej gładką, wypielegnowaną kremem skórą płynie mleko czy ocet.

Zauważył to milczenie i wpatrując się w nią uważnie spytał wyniośle:

- Chyba nie jesteś zazdrosna o to, że przypadkowo jest lepiej ubrana od ciebie i lepiej się jej powodzi?

Jego obelga była tak bliska celu, oddzielona od prawdy powłoką tak cieniutką, że twarz i szyję Łucji oblał rumieniec gniewu.

- Nie mów do mnie w ten sposób - ofuknęła go.

- Nie? - spytał szyderczo.

- I nie zapominaj, że jestem twoją matką - wybuchnęła gwałtownie. - Ryszard i jego rodzina nic nigdy dla nas nie zrobili.

- Och, tak... - pod wpływem jej tonu spieszył się, ale mimo to dodał przekornie: - Można by sądzić, że ludzie są zobowiązani gonić za nami i karmić nas smakołykami. Nie można w dzisiejszych czasach być tak nierozumnym. Każdy ma swoje własne sprawy i troski. A jeśli się chce mieć przyjaciół, to trzeba im wyjść naprzeciw, a nie ukrywać się w bocznej uliczce. - Gdy wypowiadał te uwagi, ona zaciskając usta, by powstrzymać cisnące się słowa oburzenia, nieruchomo patrzyła przed siebie. Widziała bezcelowość dalszej sprzeczki. Wiedziała, że przy tak bliskim współżyciu sprzeczki ich były nieuniknione, mimo to pozostawiały po sobie niemal namacalne uczucie zamętu i zniechęcenia, tak że czyniła wszystko, by ich uniknąć. Niemniej, gdy wysiadali z tramwaju, Piotruś wciąż jeszcze był zirytowany, niewiele mówił po drodze, a także po powrocie do domu atmosfera była dalej naprężona. Łucja zabrała się do przyrządzania herbaty, a on okładał sobie twarz gorącymi chustkami. Ku wielkiemu zmartwieniu, w ostatnich czasach wystąpiły mu na twarzy wągry i oto siedział przed lustrem jakby na pokucie i usuwał je mimo bólu ze swej parującej skóry.

Rozważana spokojnie, cała ta sprawa wydała się mniej groźna, i Łucja musiała przyznać, że rozumie jego stanowisko. Był młody, stał na progu życia; aż do chwili, kiedy będą mogli stworzyć sobie odpowiednie warunki, jego naturalna skłonność do życia towarzyskiego - a tak samo jej własna - będzie nie zaspokojona. Filozoficzny spokój, z jakim nakazywała sobie czekać, był nieosiągalny przy jego impulsywnej naturze; w końcu Łucja zaczęła nawet współczuć młodzieńczej niecierpliwości syna.

Z tych myśli zrodziło się w niej przekonanie, że zakres jego rozrywek jest zbyt ograniczony; od dawna bardzo pragnęła zorganizować jakąś przyjemną imprezę, odpowiednią dla nich obojga. Przez kilka dni na próżno rozważała tę sprawę, czując, że jeśli ma go zatrzymać przy sobie, to musi okazać mu więcej zrozumienia. I oto nagle przyszedł jej z pomocą przypadek. Panna Tinto ofiarowała jej dwa bilety do "Empire".

Niepojęte, że majestatyczna i pełna purytanizmu panna Tinto mogła żywić skłonność do odwiedzania tego rodzaju przybytku rozrywki. Tak jednak było, panna Tinto miała naturę dziewiczą, ale nieskrępowaną, tak samo jak jej starsza i jeszcze bardziej majestatyczna siostra. Obie panie często urządzały sobie eskapadę do "Empire", na długo przedtem z pedantyczną ścisłością i przezornością zamawiając miejsca na godne uwagi programy. Teraz jednak starsza panna Tinto zachorowała, a obie siostry były do siebie przywiązane - pochodziły z "bardzo zgodnie ze sobą żyjącej rodziny", jak często słyszała Łucja, ze smutkiem myśląc o swoim własnym, jakże odmiennym losie. Nie ma mowy, by panna Tinto

postąpiła egoistycznie i sama udała się do złożonych podwoi "Empire", gdy siostra jej nabawiwszy się lumbago leżała na łożu boleści. Bilety zostały łaskawie wręczone Łucji, która przyjęła je z wdzięcznością i nie bez odpowiednich wyrazów współczucia.

I rzeczywiście cieszyła się bardzo. Bilety kosztowały po trzy szylingi każdy - suma, na którą nie mogłaby sobie pozwolić, a miejsca były bardzo dobre, takie, jakich pragnęła. Tego wieczora szła do domu krokiem żywym i radosnym, a wracającego Piotra przywitała podnieconym okrzykiem:

- Wyobraź sobie! Dostałam dwa bilety do "Empire" na jutro.

Podniósł brwi i po wymownej pauzie oświadczył:

- To chyba jakaś lipa! - Następnie zauważywszy, że nie rozumie tego określenia, dodał z miną znawcy: - Bezpłatne miejsca - bilety gratisowe - marny program.

- O nie, Piotrusiu - zaprotestowała. - Panna Tinto nie zrobiłaby czegoś podobnego!

- Więc co dają?

- Och - właściwie... to nie wiem. - Pod jego spojrzeniem zapął jej nieco przygaśł.

- Pozwól mi zobaczyć... - Gładząc podbródek, udawał że się zastanawia, jak człowiek lepiej zorientowany w tych sprawach. - Pozwól mi zobaczyć... tak... zdaje mi się, że główną atrakcją jest Mary Lloyd.

- Mary Lloyd! - krzyknęła wyprostowując się. - Och, ona przecież jest wspaniała! Chciałabym ją zobaczyć. Ulubienica Londynu! Wiedziałam, że panna Tinto nigdy by... - Pod jego drwiącym spojrzeniem urwała z uśmiechem. A przecież fakt kupienia biletów na ten opatrnościowy występ Mary Lloyd potwierdzał dobry gust panny Tinto, a pośrednio i jej własny.

- Zdaje mi się, że nie jest już pierwszej młodości - zauważył. - Mimo to może być zajmujące.

- Oczywiście - potwierdziła ciepło. - Doskonale się zabawimy.

I rzeczywiście, nazajutrz wieczór miała przeczucie, że będzie się bawić doskonale. Uśmiechała się do siebie myśląc o Mary Lloyd. Tak, przeczytała, zawczasu program przed gmachem "Empire" i była pewna, że dzięki Mary Lloyd choć raz będzie mogła uśmieć się do woli, czego tak bardzo pragnęła. Jaką to jej piosenkę nucili wszyscy? "Jestem zabytkiem z czasów Cromwella"... Tak, właśnie to, czy nie zabawne! Sama zaczęła nucić.

Piotra nie było w domu: zajęty do późna w klinice, umówił się z matką, że spotkają się przy Charing Croos. Upewniwszy się więc po raz ostatni, że ma przy sobie bezpiecznie schowane bilety - co za pech, gdyby je tak zapomniała zabrać! - zamknęła mieszkanie i wyszła.

Na dworze było chłodno i rześko - nawet w centrum tego nudnego, szarego miasta czuć było przedwiośnie. Koń ciągnący wóz miał jaskrawą wstążeczkę kokietyjnie wplecioną do grzywy, kilka wróbli trzepocących się w piasku udawało, że biorą kąpiel wieczorną. Przypomniały się jej żywo owe dni tak miłe i pozornie bliskie, kiedy pod ramię z Piotrem przechadzała się wzdłuż plaży w Doune, kuszona przez Val Pinkertona i otaczającą go konstelację "gwiazd".

Na Charing Croos przyszła zbyt wcześnie. Chodziła tam i z powrotem u wylotu Paltock, rozkoszując się atmosferą wieczoru i oczekiwaniem rozrywki. Czekali tu rozmaici ludzie - był to ulubiony punkt spotkań; całość tworzyła ruchliwy, pełen życia obraz. Nagle Łucja drgnęła pod niespodziewanym dotknięciem; ktoś władczo, ale delikatnie wziął ją za łokieć.

- Proszę dalej - usłyszała głos tuż przy uchu. Odwróciła się gwałtownie. Był to Piotr, który z uśmiechem zdjął kapelusz i znów go włożył, trochę na bakier, co pasowało do tego wieczoru beztraskiej zabawy.

- Bardzo mnie przestraszyłeś - rzekła powoli, lecz oczy jej zabłyśły na jego widok.

- To przyspiesza funkcjonowanie wątroby - odparł naśladując komicznie wuja Edwarda, a ująwszy jej ramię, poprowadził ją ulicą ginącą w mroku.

Ukryła uśmiech wywołany nie tyle jego zabawną uwagą, ile nagłym uświadomieniem sobie szczęścia.

- Czy pani dobrodziejka zabrała bilety? - spytał żartobliwie, gdy doszli do złożonych podwojów "Empire". - Czy też zostawiliśmy je w naszym pałacu, na skrzyni z węglem?

Nie skończył jeszcze mówić, gdy wyjęła bilety i ze skinieniem, mającym świadczyć o jej samodzielności, wręczyła je synowi.

Minęli wspaniałego portiera i weszli na salę w chwili, gdy orkiestra wynurzywszy się ze swych podziemnych kryjówek rozpoczęła przedstawienie triumfalnymi dźwiękami "Wielkiego marsza" Blake'a. Policzki Łucji zarumieniły się lekko pod wpływem tak wspaniałego wstępu, ale zachowanie Piotra było imponujące: z wyniosłą miną wręczył pensa za program, z łatwością znalazł miejsca i zanim usiadł obok matki, obojętnym spojrzeniem objął publiczność.

- Co za nadzwyczajny rytm! - odezwała się po skończonej uwerturze. - I mamy doskonałe miejsca. - Rozglądając się czuła, że nie przynosi mu wstydu. Zdjęła kapelusz i żakiet i z przyjemnością uświadomiła sobie, że jej świeżo odprasowana bluzka i starannie ondulowane włosy prezentują się całkiem dobrze. Wiedziała, była pewna, że będzie się dobrze bawić. Przecież upłynęło już pięć lat od jej ostatniej bytności w teatrze!

- "Athleto i Angelo - czytała program - ciężarowcy." - Mówiła jeszcze, gdy kurtyna uniosła się odsłaniając piękny leśny krajobraz, na którego tle, przystrojeni w gałęzie oplatające ich niby ramiona polipów, stali Athleto i Angelo chyląc się w ukłonach. Krępej budowy, o mocnych nogach, stali w obojętnej pozycji, z długimi, wypomadowanymi wąsami, ubrani w białe trykoty spięte świecącymi metalowymi sprzączkami.

- Dzieci zgubione w lesie - szepnął jej do ucha Piotruś. Zaśmiała się rozbawiona, jakby w jego przypadkowym żarcie dostrzegła niezwykle dowcip.

- Ten mały przypomina mi Andrewsa - szepnęła - przez te wąsy. - Patrzyli w milczeniu, jak Athleto i Angelo, którym z nadmiernego wysiłku oczy występowały z orbit, podnosili coraz to cięższe i większe hantle.

- Wcale niezłe - zapewniła krytycznie, gdy kurtyna opadła przy skąpych okalskach, spotęgowanych przygrywką orkiestry.

- Przecież to dopiero pierwszy numer - odrzekł pobłażliwie. - Nie można się spodziewać czegoś lepszego.

Nie skończył mówić, gdy kurtyna podniosła się znowu, a Łucja spiesznie skierowała swój program ku światłu kinkietów.

- "Elmer Harrison - poinformowała Piotra - kolorowy śpiewak" - i szybko spojrzała na scenę.

Elmer był istotnie kolorowy: czarny. Ale jakakolwiek była jego skóra, skalę głosu miał niezwykle bogatą. Gdy uśmiechał się czarująco, między jego pełnymi czerwonymi wargami, rozciągającymi się od ucha do ucha, bieleły się olśniewające zęby. Odśpiewał arię torreadora z "Carmen" i "W chwili odpływu".

Mistrzowsko wykonał zwłaszcza drugą pieśń, schodząc do coraz niższych tonów, ostatnie brzmiały tak miękko i głęboko, że galeria głośno domagała się powtórzenia. Elmer odpowiedział pieśnią: "Ojczyzno, miła ojczyzno", tym razem w wyższej tonacji. Choć śpiewał wolno, słodko i bardzo smutnie, to jednak czuło się ukryty żar w jego słowach, niezmierną miłość do utraconej ojczyzny.

Zgodzili się, że Elmer był dobry - "znośny", jak określił Piotruś - ale to, co miało nastąpić, było więcej niż znośne. Był to "świetny program", jak można się było spodziewać po przewidującej pannie Tinto. Łucja odczuła wielką przyjemność, przenikającą całą jej istotę niby wino.

Po Harrisonie nastąpił występ akrobatów Cascarellas, a po ich oszałamiających popisach na zawrotnej wysokości, Otto i Olga weszli miarowym krokiem, by podekscytowane nerwy publiczności uspokoić piosenkami: "Teraz muszę go zwać ojcem" i "Czy znajdziesz drugą taką dziewczynę?" Odśpiewali je czarująco - stanowili bardzo zgrany duet. Następnie wystąpił Primavesi - "zręczny i wcale zdolny żongler", jak go określono w "Evening News", potem Ebenezer Edwards, nienagannie wyglądający w różowym trykocie "strzelec-brzuchomówca" i Ella Tortemada, bezkostny cud, wyginający się z niemal odrażającą, wężową gibkością.

Jasne jest jednak, że z zapartym tchem oczekiwano przede wszystkim Mary, która - jakby dla spotęgowania wrażenia - ukazała się późno, po długiej przerwie. Była wspaniała!

Żaden superlatyw nie był w stanie określić Mary: Mary w trykotach i w doskonałej formie. Na początek z właściwą sobie wyzywającą kokieterią zaśpiewała: "Ja się boję wieczorem iść do domu". Oczywiście każdy słuchający mężczyzna pragnął uwolnić Mary od tego lęku. Następnie śpiewała o pewnej francuskiej damie, cierpiącej na tajemniczą dolegliwość zwaną "embonpoint" (otyłość - franc.). "Um - bon - pom" - śpiewała Mary ten powtarzający się refren, mrugając przy tym szelmowsko okiem i kołysząc się w biodrach. Dla większego efektu dodawała od siebie "oui, oui, um - bon - pom, bon - pom, oui, oui".

Można było pęknąć ze śmiechu. Mary szalała na scenie, to przechadzając się dumnie, to robiąc zabawne miny. Wprawnymi rękami wykonywała znaczące ruchy mające podkreślić otyłość jej łydek, piersi i bioder. Raz po raz ogłuszający hałas bębnów, salwy śmiechu i powtarzający się wciąż refren: "Um - bon - pom", i jego echo "oui, oui" przy akompaniamencie cymbałów.

Widownia szalała. Tam na dworze, w mieście dzwoniły opieszale tramwaje, policjanci stali posepni na rogach ulic, mężowie bili swoje żony, dzieci - tak, nawet rodziły się dzieci, ale tu - w obrębie tych murów, Mary była centrum całego świata, obiektem uwielbienia wszystkich mężczyzn na widowni i nawet w Łucji wzbudziła szczerą sympatię.

Łzy płynęły jej po policzkach, w uniesieniu ścisnęła rękę Piotra.

- Och, Piotrusiu - szepnęła - ona... jest niezrównana.

Nie mogąc wydobyć słowa, gestami dawała mu do zrozumienia, że kona ze śmiechu.

- Ja... ja... - dyszała. - Ja... - nie mogła jednak wykrztusić słowa.

"Um - bon - pom" - śpiewała Mary po raz ostatni i setny. A cała widownia wyła refren "oui, oui".

Ale nie był to jeszcze punkt szczytowy, gdyż obezwładniony swe audytorium, Mary - używając przenośni - zaczęła po prostu miażdżyć je swym talentem. Rzuciwszy się na słuchaczy niby człowiek opanowany szałem, zaśpiewała na zakończenie: "Jestem zabytkiem z czasów Cromwella". Zabytek! ona, Mary, urocza Mary - zabytkiem. I z czasów Cromwella, Olivera Cromwella - och, coś takiego! Tego już było za wiele dla zwykłych śmiertelników z

krwi i kości. Silni mężczyźni płakali z rozbawienia. Piotr dostał czkawki, a Łucja - Łucja na pół leżąc w fotelu wylewała łzy niepohamowanej wesołości.

Zmożona śmiechem patrzyła na odchodzącą Mary poprzez cudowną mgłę ekstazy. Oboje byli wyczerpani, tak że prawie nie widzieli ostatniego numeru programu: "Siostra chłopca okrętowego". Ledwie mogli wstać, by wysłuchać hymnu: "Boże, zbaw króla". Och, rzadka, wspaniała przyjemność! Jak ona to lubiła! Życie obok Piotra jest jednak urocze.

Z parnej sali wyszli na chłodną ulicę, gdzie utworzyła się długa kolejka czekających na następne przedstawienie.

- Strach pomyśleć, że muszą to wszystko grać jeszcze raz - rzekła spokojnie, przypominając sobie ze współczuciem Athleta i Angela. - Ach, ale było cudownie!

- Płacą im za to. Pieniądze! Tak, one są motorem wszystkiego.

Przystanął, by od wrzeszczącego chłopca kupić gazetę, po czym na rogu ulicy rozkazującym gestem zatrzymał nadjeżdżający żółty tramwaj, który stanął ze zgrzytliwym protestem.

- Na górę? - spytał przez ramię, gdy weszli.

Przytaknęła ruchem głowy. W powrotnej drodze czytał pilnie gazetę. Siedziała obok niego i od czasu do czasu przyglądała mu się spod kapelusza, myśląc, jaki jest dla niej dobry. Świadczy o tym choćby ostatnie pytanie, które miejsce woli zająć. Jak doskonale się bawiła! Była szczęśliwa, tak szczęśliwa jak kiedyś z Frankiem. Czuła niewypowiedzianą radość; z oczyma na wpół przymkniętymi, czując jego ramię przy sobie, pragnęła, by tramwaj kołysał się tak coraz dalej i dalej. Ciągle - ciągle - ciągle!

Nagle Piotr zawołał:

- O, wiadomość dla ciebie!

Otworzyła oczy i spojrzała na niego.

- Posłuchaj, wuj Edward został kanonikiem. - Podnieconym głosem odczytał krótką notatkę o mianowaniu jego wielbności Edwarda Moore'a kanonikiem ze względu na wiek i długoletnią pracę w diecezji. - Ale ucieszy się stary, prawda? - spytał.

- Z pewnością - przytaknęła, wiadomość ta nie wzruszyła jej specjalnie, lecz w obecnym nastroju wydała się jej dość przyjemna.

- Muszę napisać i pogratulować mu - rzekł po chwili w zamyśleniu.

- Całkiem słusznie - potwierdziła.

Spojrzał na nią z zaciekawieniem, a po chwili, gdy wolnym krokiem szli do domu przez Flowers Street, zauważył nagle:

- Mamo, czemu nie jesteś zawsze taka jak teraz?

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała szybko.

- Och, wiesz, co chcę powiedzieć. - Mówił całkiem poważnie. - Teraz jesteś taka miła, naturalna, a nie rozdrażniona i sztywna.

Nie odpowiedziała.

Gdy weszli do mieszkania, na podłodze w hallu leżał list.

- Pewnie od wuja Edwarda - zawołał. - Teraz to już wiadomość spóźniona. - Okazało się jednak, że list ze złożonym monogramem na kopercie nie pochodził od nowo mianowanego kanonika. Był to list od Ewy, która zapraszała go, by w najbliższą sobotę przyjechał na partię tenisa, a w post scriptum dodała: "Zabierz ze sobą matkę, jeśli zechce przyjechać". Spojrzał na nią, jakby chciał powiedzieć: "Teraz wiesz, co miałem na myśli. Co powiesz na to?"

Ale Łucja, mimo nagłego uczucia przykrości, nic nie powiedziała. Ona wie, że nie chce, by pojechał - myślała - nie zrobi tego. Postanowiła jednak, że nie powie tego na głos. Dlatego przyglądała mu się w milczeniu, gdy rzuciwszy list Ewy do ognia, usiadł, by napisać serdeczne gratulacje wujowi Edwardowi.

Pojechał jednak bez niej na tę partię tenisa i nie doszło do żadnej sceny. Wszystko odbyło się całkiem po prostu. Przez cały tydzień temat ten stanowił dla nich tabu. Łucja myślała żarliwie: Wiem, że nie pojedzie. On natomiast postanowił pojechać. W sobotę przed południem ubrał się niezwykle starannie w najlżejszy swój garnitur: fakt, że nie ma ubrania flanelowego, sprawiał mu wielką przykrość, ale w tej sytuacji nie mógł szukać pomocy w Chinach; jeśli chodzi o raketę, to jej brak postanowił upozorować rzekomym naderwaniem ścięgna w przegubie ręki. Do Łucji zaś napisał karteczkę, zawiadamiając o wyjeździe. Był to okrutny rewanż losu, gdyż właśnie ona wprowadziła ten system karteczek. Ilekroć wykłady Piotra wypadały w czasie obiadu, tak że zmuszona była odejść przed jego powrotem, zostawiała mu wiadomość w rodzaju: "Obiad w piecyku - wróć wcześniej. Pozdrowienia". A teraz jakże boleśnie miało się to zemścić na niej.

Chcąc zamaskować swój postępek niezręczną żartobliwością, napisał: "Spędzę popołudnie u Ewuni - wuj Tom".

Następnie, gdy był już ubrany, stał chwilę przed lustrem szafy przeglądając się; stopniowo na twarzy jego pojawił się uśmiech zadowolenia. Skłonił się swemu odbiciu, wykonał kilka ruchów ściskania rąk, podniósł ramię i - mimo rzekomego naderwania ścięgna - udawał, że odbija raketą piłkę, następnie zaśmiał się ze swego pomysłu, poprawił krawat, po raz ostatni spojrzął w lustro i wyszedł.

Był uroczy dzień letni - jeden z tych dni, kiedy powietrze drży w blasku słońca. Wyprostowany, pewny siebie, Piotr szedł ulicą. Mijając Alicję Maitland, która właśnie wracała z lekcji muzyki, przybrał minę wyniosłą i nieznacznym uchyleciem kapelusza odpowiedział na jej trwożne spojrzenie, któremu towarzyszył nieśmiały rumieniec. Nic szczególnego w tej Alicji - dobrze o tym wiedział - ale zbyt był rozsądny, by popełnić choćby najmniejszą niezręczność. Jednak było przyjemnie czytać w jej oczach oddanie. Kto wie, może lekki uśmiech, jakim odpowiedział na to spojrzenie, uszczęśliwi ją na resztę dnia?

Na dworcu nastrój jego nie zmienił się. W nagłym, niewytłumaczalnym porywie rozrzutności Piotr zażądał biletu pierwszej klasy do Ralston. Był to niepotrzebny, kosztowny

wybryk kogoś, kto przecież zmuszony był liczyć się z każdym pensem, gdy jednak usiadł wygodnie w samotnym przedziale na miękkim siedzeniu i oparł nogi w zgrabnych butach na eleganckich poduszkach, powiedział sobie, że to przeżycie warte jest dodatkowych siedmiu pensów.

Jazda minęła szybko: nie było jeszcze trzeciej, kiedy pociąg wjechał na stację w Ralston. Wiedział oczywiście, że punktualność może stać się fatalnym wykroczeniem przeciw dobremu formom, ale mimo iż siedział zupełnie wolno, wciąż jeszcze było za wcześnie, gdy dotarł do "Le Nid". Przy bramie ogrodu przystanął niezdecydowany. Przed nim rozpościerał się trawnik, otoczony siatką, a nakreślone linie świadczyły, że jest to właśnie kort, zamknięty po bokach szeregiem krzeseł. Ale plac był pusty, podobnie jak i krzesła. Nagle opuściła go dotychczasowa pewność siebie. Nie umiał grać w tenisa, nie powinien był przyjść tutaj, poczuł lęk przed ośmieszeniem się. Zmieszany zawrócił szybko i spiesznie pobiegł drogą, schyliwszy głowę, by nie dostrzeżono go z okien domu. Stopniowo zwolnił kroku i przez kwadrans wałęsał się bez celu.

Jednak mimo znudzenia podziwiał piękne wille tej najpiękniejszej podmiejskiej dzielnicy. Jedna podobała mu się szczególnie... "Wieże" - widniała jej nazwa nad szeroką białą bramą, a dom - jakby starając się uzasadnić tę nazwę - posiadał całą masę barokowych wieżyczek, które można było widzieć poprzez krzewy rododendronów rosnących wzdłuż krętej alei. Co za wspaniała siedziba - myślał Piotr, a nazwa jej utkwiała mu jakoś w pamięci.

W końcu odzyskał pewność siebie i po raz ostatni rzuciwszy okiem na zegarek, zawrócił ku domowi ciotki Ewy.

Teraz przyszedł za późno i krzesła były już zajęte przez licznych gości siedzących do niego plecami, wszyscy śmiali się i rozmawiali z ożywieniem. Przed bramą willi stało duże czerwone auto, wysokie siedzenia obite były czerwonym safianem, a na eleganckiej miedzianej chłodnicy umieszczona była figurka lwa. Argyll - zauważył od razu z przejęciem, tak, niewątpliwie przed bramą ciotki Ewy stał Agryll. Otworzył furtkę i zawahał się ponownie zakłopotany, gdyż nie wiedział, czy ma podejść do grupy w ogrodzie, czy skierować się ku domowi.

To drugie wydało mu się pewniejsze, wszedł więc na trzy schody, lekko pociągając za dzwonek i z nerwową powagą wymienił swoje nazwisko służącej, która otworzyła drzwi.

Wprowadziła go do salonu, gdzie wszystko było już przygotowane do podwieczorku: mnóstwo kanapek i ciastek, haftowanych serwetek i błyszczące srebra. Siedział bardzo sztywno na brzeżku krzesła i czekał, przyglądając się przygotowaniom do herbatki i łowiąc odgłosy rozmów, niby świergot wróbli dolatujących przez uchylone okna, W rzeczywistości była to jego pierwsza oficjalna wizyta, był więc zdenerwowany. Jego nadzieje, że wyrobi się na zabawach uniwersyteckich, zupełnie się nie ziściły. Na pamiętnym balu na przykład przez większą część wieczoru musiał z wdziękiem podpierać ściany sali. Nagle zerwał się z drżeniem, gdy do salonu weszła drobnym kroczkiem ciotka Ewa, a za nią nieco wolniej Karol. Oboje przywitali go z uśmiechem.

- Ale gdzie masz ubranie i rakietę? - z dziewczęcą żywością spytała ciotka Ewa po krótkiej rozmowie. Miała na sobie białą pikową suknię, a w czarne włosy wpleciona była na sposób cygański pomarańczowa wstążka. - Chyba nie masz zamiaru zrobić zawodu i nie grać?

Poczerwieniał i wyjąkał:

- Kiedy... naderwałem sobie ścięgno.

Ciotka rzuciła okiem na przegub ręki, następnie przechyliła głowę na bok i kokieteryjnie pogroziła mu palcem.

- Musisz grać - oświadczyła filuternie. - Liczymy na ciebie. Skocz z Karolkiem do jego pokoju. Pożycz ci, co potrzeba.

- Kiedy przecież... to ścięgno... proszę zobaczyć... mam rękę całkiem sztywną - protestował czerwieniąc się jeszcze mocniej. Ale ciotka stanowczym szeptem kazała im udać się na piętro i nie chciała słyszeć o ścięgnię. Zanim potrafił wymyślić jakiś wykręt bardziej przekonywujący, był już w sypialni Karola, pokoju pełnym miłego nieładu, zarzuconym książkami i barwnymi rycinami, i patrzył, jak kuzyn jego z przepełnionej szuflady szafy wydobywa flanelowe spodnie.

- Te powinny być dobre - rzekł Karol prostując się. Był mniej więcej tego wzrostu i wieku co Piotr, smagły, poważny, nieco napuszony jak ojciec, ale uprzejmy: w tej chwili obserwował kuzyna i widocznie zadowolony, uśmiechał się szeroko i ujmująco. - Proszę

papierosa, możesz wypalić przebijając się - rzekł podsuwając papierośnicę. - Gdzieś mam rakieta, którą możesz wziąć, zaraz poszukam.

- Jesteś bardzo uprzejmy - wybąkał Piotr odpinając szelki. - Byłem tak zalatany, że nie przyszło mi na myśl zabrać swoich rzeczy.

Karol oparł się na kominku i niedbale wypuścił długą smugę dymu.

- Mamy wstrętny kort tenisowy - zauważył mimochodem. - Piłki wpadają ciągle w krzaki. Poza tym głupia gra. Uprawiam ją tylko po to, żeby nie tyć.

- Ja nie grałem już od dość dawna - odrzekł Piotr tym samym tonem, trzymając papieros w kącie ust, co dodawało mu pewności siebie. - Moim zdaniem jest to raczej gra dla dziewcząt. - I ściągnął koszulę przez głowę, bez zażenowania, z koleżeńską poufałością odsłaniając nagie ciało.

- Są tu dziś dwie miłe dziewczyny - Kitty i Róża.

- Tak?

- Mnie zajmuje panna Darting, to jest Kitty.

- Och! - bąknął Piotr. Chciał powiedzieć coś stosownego, coś mądrzejszego, ale w tej chwili nic mu jakoś nie przychodziło na myśl. Więc ze zblazowaną miną wypuścił przez nos trochę dymu i w milczeniu kończył sznurować pożyczone pantofle. Gdy się ubrał, zeszli z piętra i poszli w kierunku placu tenisowego. Znowu czuł się skrepowany i nieswój, gdy zbliżyli się do grupy siedzących. Eleganckie towarzystwo - pomyślał przywołując na usta nerwowy uśmiech. W pożyczonym ubraniu czuł się jak kłown, rakieta Karolka wydała mu się niby banjo, mimo to przebrnął szczęśliwie przez ceremoniał powitań, uścisków dłoni, okrzyków "bardzo mi miło" i niemal bezustannego śmiechu. Przyjaciele ciotki Ewy byli to bardzo mili ludzie i całkiem młodzi - lubiła młode otoczenie. Była tu pani Iwona Mac Pride - serdeczna przyjaciółka Ewy - blondynka, zgrabna, żywo gestykulująca, młoda fascynująca wdowa po jegomościu, który zrobił majątek na wyrobie gorsetów. I Kitty Darting, wesola, żywa drobna brunetka, szelmowsko spoglądająca na Karola, której papa, dzięki temu, że przeniósł się do branży mrożonego mięsa, pomnożył i uszlachetnił parę tysięcy funtów zarobionych w zawodzie rzeźnickim. Była też Wera, anemiczna, w okularach, pochylona, pięknie ubrana, ale

niezbyt zajmująca, a obok niej młody grubas imieniem Jim, czerwony, opasły, a mimo to sympatyczny, i jego siostra, Róża.

Piotr siedział teraz na krześle obok Róży i wpatrywał się w pękniętą strunę swego banjo (czy to może jego rakietę?), ale mimo aż nazbyt widocznego roztargnienia obserwował swoją sąsiadkę. Wokół znów potoczyły się rozmowy, przerwane na chwilę jego przybyciem, zręczna towarzyska paplanina: u kogo odbędzie się najbliższa partia vista, czy idzie naprzód budowa tego nowego kinematografu przy Maidenhall Street, czy dobrze wybrano miejsce i czy to nie skandal, że pani Moody (właśnie ona) ma otwierać bazar Towarzystwa Dobroczyńności w najbliższy czwartek. Wreszcie spojrział wprost na swoją sąsiadkę. Była wysoka, ciemnooka i jakby zadumana, o delikatnej mlecznobiałej cerze, pokrytej lekko piegami, o miedzianych włosach, co podkreślała jeszcze zielona wstążka, którą były związane. Jej pozorna wyniosłość onieśmiałała go trochę, mimo to wybąkał:

- Czy pani dużo grywa - to znaczy w tenisa?

Uśmiechnęła się, co natychmiast nadało jej nieprzystępnym rysom ujmującą łagodność.

- Tak. A pan? - spytała pogodnie. A on uważał ją za wyniosłą!

Pewniejszy siebie odpowiedział nic nie mówiącym podniesieniem brwi.

- Ja najchętniej grywam w krykieta - stwierdził po chwili. Czyż kiedyś nie wygrał przewagą siedemnastu punktów w partii z bratem Janem Jakubem? I uwierzywszy w końcu w swój wykręt mruknął: - A w dodatku nadwreżyłem sobie ścięgno.

Pierwsza wiadomość zrobiła na niej duże wrażenie, druga wzbudziła współczucie.

- Pan zapewne mieszka w mieście - zauważyła trwożnie, jej powaga była tylko maską łagodności; jak na tak "boską" istotę była, zauważył to od razu, w najwyższym stopniu uległa i nieśmiała. - Nigdy tu pana jeszcze nie spotkałam.

- Tak - potwierdził z wahaniem, rzuciwszy spojrzenie na ciotkę Ewę, która stojąc na końcu szeregu krzeseł, poza zasięgiem głosu Piotra, przerwała paplaninę i skinąwszy głową najwidoczniej chciała dodać mu odwagi.

- Poprzednio mieszkaliśmy na wsi - wyjaśnił. - Ale na czas moich studiów na uniwerku wynajęliśmy mieszkanie w mieście.

- Pan na uniwersytecie? - Spojrzała mu w oczy z ciepłym zainteresowaniem.

Przytaknął skinieniem głowy i powiedział lakonicznie:

- Na medycynie.

- Och, jak wspaniale! - Klasnęła w dłonie. - Tatuś chciał, by Jim poszedł na medycynę. Taki szlachetny zawód. Ale on postanowił pozostać w firmie. To cudownie być lekarzem.

Podczas pauzy, która nastąpiła, wyraz jego twarzy był dziwnie drwiący.

- Pani tu mieszka? - spytał w końcu.

- Tak. Niezbyt daleko stąd. Dom nasz nazywa się "Wieże", straszna nazwa, ale tatuś tak chciał.

"Wieże"! Nastawił uszu i znów spojrzał na Różę z zainteresowaniem, w którym, o dziwo, było coś z szacunku. Wydała mu się czarującą istotą, z tym swoim łagodnym wyrazem oczu, białą szyją, miękkimi spokojnymi rękoma, w efektownej sukni z ciężkiego najwytworniejszego jedwabiu, ściągniętej paskiem z jasnozielonej skóry.

- Jak pani tu przysła? - spytał nagle, na pół żartobliwie. - Nie spotkałem pani po drodze.

Spojrzała na niego uśmiechając się zdumiona.

- Przyjechaliśmy autem. Jim szaleje na punkcie auta.

"Wieże" i ten wspaniały wielki Argyll! Doprawdy, to bardziej podniecające, niż kiedykolwiek mógł przypuszczać. Oto towarzystwo, którego pragnął, do którego się nadawał.

- Nowa partia! - wesoło zawołała ciotka Ewa. - Różyczka i Piotr przeciw Iwonie i Jimowi.

Wstał posłusznie, prawie bez obawy.

- Musi mi pani pomóc - mruknął znacząco do Róży, gdy szli w kierunku kortu. - Od dawna nie miałem rakiety w ręku.

W odpowiedzi uśmiechnęła się do niego niemal poufale.

Na szczęście gra nie była szybka, lecz spokojna, łatwa, przypominająca partię ping-ponga, którą raz czy dwa razy rozegrał w Guild Hall w Port Doran. Jim grał gwałtownie, trafiał najczęściej w siatkę, wdówka była również niezręczna, zbyt ściągnięta gorsetem dyskretnej firmy, chichotała wprawdzie bez przerwy, lecz poruszała się ociężale, gdyż jej wydatne piersi falowały niebezpiecznie, ilekroć próbowała podbiec do piłki. A Róża grała spokojnie, udzielając Piotrowi wskazówek. Dzięki niej nie popełnił żadnego głupstwa, a wysoko trzymając raketę i możliwie długo utrzymując piłkę w powietrzu, wywiązywał się - jak mu się zdawało - całkiem niezłe ze swego zadania. Wygrali partię, Róża i on, i wśród rzęsytych oklasków opuścili plac.

- Dobry set! - wysepleniała ciotka Ewa. - Teraz nasza kolej, Karolku, ty grasz z Kitty, a ja z Werą. - I żywo potrząsając głową poprowadziła ich na pusty kort.

- Doskonale się pan spisał - szepnęła Różyczka pijąc lemoniadę, którą przyniósł jej rycersko z małego bufetu - i w dodatku z zerwanym ścięgnem.

Pociągnął duży łyk ze swojej szklanki, spoglądając w stronę grających. To nazywa się życie. Tak, to jest życie! Wyciągnął nogi w białych spodniach - w tym flanelowym ubraniu wyglądał niezwykle korzystnie - przyglądał starannie wyszczotkowane włosy, po czym spojrzał na Różę.

- To dlatego, że miałem tak dobrą partnerkę - powiedział odważnie.

Uśmiechnęła się i w milczeniu obserwowała grających.

Grano bez przerwy, pełna zapału ciotka Ewa wykazywała bezgraniczną energię w tworzeniu coraz to nowych ugrupowań pośród swych gości.

- Iwonka, teraz ty zagrasz z Piotrem, a ty, Kitty...

I tak mijało popołudnie. Obserwując ciotkę, Piotr musiał przyznać w duchu, że jest czarująca, widział w niej uosobienie dobroci i łagodności. W miłej atmosferze stworzonej

przez nią czuł się coraz pewniej, zaczynał doskonale się bawić. Jeszcze raz zagrał z Różą, odnosili się do siebie jak starzy przyjaciele. Znowu wygrali. Następnie, z ciotką Ewą na czele, ruszyli wesoło na herbatę. Była to wspaniała chwila, był pod jej wrażeniem dzięki przyjemnemu nastrojowi i nieskrępowaniu; właściwie był to jego pierwszy "podwieczorek w salonie", od czasu kiedy wuj Edward zabrał go ze sobą jako małego chłopczyka do wyniosłych komnat panny Mac Tara. Gdyby nie wspomnienie świeżych triumfów na korcie tenisowym, co wpływało dodatnio na jego samopoczucie, byłby zapewne zbity z tropu szybkim podawaniem filiżanek i sztuców, manewrowaniem talerzami, w czym musiał również wziąć udział. Ale w tej chwili doskonale potrafił sprostać zadaniu. Siedząc na wygodnym krześle obok Róży, z ujmującym, nieco wyniosłym wyrazem twarzy, widział w niej czarującą towarzyszkę - spokojną i prawie nieśmiałą.

- Proszę bardzo, może ciastko?

- Dziękuję, jestem wierna keksom.

- To może jeszcze herbaty?

- Proszę o filiżankę.

Była bardzo bezpośrednia i działała na niego uspokajająco, gdyż poświęcała mu całą uwagę. Nie tak jak panna Darting, strzelająca oczyma poprzez cały stół, albo milcząca Wera, z obojętnością odnosząca się do wszystkiego z wyjątkiem bumsów. Był zadowolony z siebie, z Róży - tak, ze wszystkich. Gdy przyszła kolej na papierosy. Karol podał mu swoją papierośnicę.

- Weź, stary, moje.

"Stary", doskonale! Było to zachwycającym przyznaniem mu równości, ostatecznym przypieczętowaniem jego sukcesu towarzyskiego. Poczuł obejmującą go falę serdeczności. Ci wszyscy ludzie są uprzejmi, dobrzy, zachwycający. To idiotyzm ze strony matki, że nie chce mieć z nimi nic wspólnego! Niby od niechcienia powiedział do Róży:

- Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy. Tak rzadko spotyka się dziś ludzi naprawdę sympatycznych.

Uśmiechnęła się swobodnie i spojrzała na swą miękką, kształtną dłoń.

- To prawda - potwierdziła zamyślona.

Nastąpiła pauza. Na widok jej spuszczonej ręki, rzucającej długie cienie na policzki, uczuł nagle pragnienie powiedzenia czegoś pochlebnego, jakiegoś wyraźnego komplementu. Chwilę milczał, starając się wymyślić jakąś uwagę niezbyt zuchwałą, i w końcu spojrzenie jego padło na broszkę spinającą jej suknię wyciętą przy szyi zgodnie z obowiązującą modą.

- Jak pani ładnie w tej broszce - mruknął zakłopotany.

Bezwiednie dotknęła jej rękę.

- Nie bardzo zależy mi na takich rzeczach - odpowiedziała - ale to istotnie dobry kamień.

Odetchnął szybko, zmieszany. Wyobrażał sobie, że to jakieś świecidełko, kryształ bez wartości, a tymczasem był to prawdziwy kamień - duży, iskrzący się brylant. Pod wpływem tej wiadomości oczy jego również zaiskrzyły się.

- Musi pani wybrać się któregoś dnia do miasta i pójść ze mną na herbatę - usłyszał siebie wypowiadającego te słowa z niesłychaną zuchwałością.

Spojrzenia ich spotkały się.

- Bardzo chętnie - odparła z uśmiechem.

W tej chwili jednak ciotka Ewa wstała i oświadczyła, że jeśli skończyli, to trzeba wyjść na słońce.

- Chyba się dobrze bawisz - szepnęła Piotrowi przechodząc. Zaśmiał się, rycersko otwierając przed nią drzwi.

Znów tenis, znów śmiechy, znów rozmowy. Między dwiema partiami pomagał Róży szukać w krzakach zgubionej piłki. Głowy ich, pochylone pod krzewem wawrzynu, zbliżyły się do siebie tak bardzo, że mógł na jej górnej wardze dostrzec kropelki potu. Zachwycający widok!

Okolo szóstej przyszedł wuj Ryszard - jak zwykle trzymając wyniośle głowę, ale z żartobliwym wyrazem twarzy, łagodzącym jego surowość - aby zobaczyć, jak się bawi młodzież.

Zdawał się być ucieszony obecnością Piotra i po chwili usiadł obok niego, trochę na uboczu.

- Przykro mi, że twoja matka nie mogła przyjechać - rzekł ostrożnie, zakładając nogę na nogę. - Jakże się miewa?

- Dziękuję, doskonale.

Ryszard skinął głową.

- To mnie cieszy. Bardzo cieszy. - Zamilkł wpatrując się w czubek swojego trzewika. - Czasem mam wrażenie, że twoja matka nie jest sprawiedliwa w stosunku do nas. Nie możemy ponosić za nią odpowiedzialności, to jasne. Niemniej życzymy wam jak najlepiej.

- Oczywiście - spiesznie powiedział Piotr - to zrozumiałe. - Nastąpiła pauza.

- Życie źle się obeszło z Łucją - ciągnął Ryszard. - Rozumiem to i nie żywię do niej żadnej niechęci. Pragnę, byś o tym pamiętał, mój chłopcze. I będziesz tu zawsze mile widzianym gościem. Ciotka Ewa... - Spojrzał z czułością na stojącą z dala żonę. - Tak, ciotka Ewa bardzo lubi młodzież. Przyjeżdżaj tu, kiedy tylko zechcesz.

Piotr był wdzięczny, głęboko wdzięczny.

- I bardzo się cieszę twoim powodzeniem na uniwersytecie - ciągnął dalej wuj Ryszard. - Swego czasu, przyznaję, miałem pewne wątpliwości. Ale teraz, gdy patrzę na ciebie, nie jestem już zdziwiony. Wytrwaj, mój chłopcze, a wyjdiesz zwycięsko.

- Dziękuję wujowi - wyszeptał Piotr. Nie zastanawiał się nawet, za co właściwie dziękuje, niemniej czuł potrzebę wyrażenia wdzięczności.

- Pozdrów matkę - Ryszard spojrział na złoty zegarek i wracając do zwykłego szorstkiego tonu, dodał: - Muszę już iść.

Dlaczego, pomyślał Piotr po odejściu wuja, wspomnienie matki dotknęło go nagle w sposób tak niemiły, przejęło dziwnym poczuciem nędzy. Jak gdyby miał na sobie jakieś pęta, jakieś więzy, których znaczenia nie umiał sobie wytłumaczyć. Zapragnął zerwać te pęta, odrzucić więzy. Za chwilę zapomniał jednak o tym wszystkim i znów zaczął się bawić.

Wreszcie słońce zniknęło z kortu tenisowego. Powiał lekki wietrzyk i anemiczna Wera zdrząła z zimna. Był to sygnał do ogólnego powrotu do domu, a Piotr nie chcąc zepsuć tego wspaniałego dnia przez nadużycie gościnności, od razu wbiegł na piętro, by się przebrać. Najpierw wziął zimny tusz w dużej porcelanowej wannie - jakże niepodobnej do popękanego i powyginanego cebra w domu - następnie ubrał się z nadzwyczajną starannością, wyszczotkował włosy brylantyną kuzyna, aż błyszczały, i zszedł na parter.

Róża i Jim zamierzali właśnie odejść - nie wiadomo dlaczego, miał wrażenie, że zwlekała z pożegnaniem do jego przyjscia. Teraz zwróciła się do niego i spytała cicho:

- Może odwieziemy pana na stację?

- Jedźmy wszyscy! - wesoło, ze zwykłą nierozwagą zawołała Kitty.

Pożegnał wujostwo i przesadnie dziękując powiedział, że nie potrafi wyrazić im swojej wdzięczności, następnie poszedł za resztą towarzystwa do wielkiego czerwonego auta. Wierzyć się nie chce, że on, który przed paru godzinami stał nieśmiało przed tą samą bramą, teraz odjeżdża autem - jako członek tej wesołej kompanii.

Był mocno przyciśnięty do Róży, gdyż nie mogli się pomieścić na tylnym siedzeniu, i za każdym ruchem wozu czuł ślizganie się jedwabiu na jej gładkiej skórze. Czy się czerwieniła? Tego nie wiedział, ale wiedział, że jest szczęśliwy, wniebowzięty.

Wyskoczyli z wozu i zeszli na peron, na którym czekał już pociąg. Jakże teraz błogosławił ten bilet pierwszej klasy. Z obojętną miną lorda wszedł do przedziału i wychylił się z okna ku grupce stojącej obok. Wciąż jeszcze żarty i śmiechy. Jim, który nagle przeobraził się w dowcipnisia, wyciągnął garść drobnych i przypuścił szturm do automatu ze słodyczami. Wszyscy jedli czekoladę, po czym lokomotywa gwizdnęła, wagony drgnęły i pociąg ruszył.

Piotr rycerskim gestem odsłonił głowę i trzymał w ręce kapelusz, wpatrując się w malejącą grupkę. Czy mu się zdawało, czy Róża istotnie odwzajemniła uścisk jego dłoni? Teraz, gdy na zakręcie zniknął jej z oczu, kiwnęła mu ręką po raz ostatni.

Zachwycony zamknął okno i rzucił się na poduszki. Chciało mu się krzyczeć, śpiewać. Było wspaniale, było rozkosznie, cudownie! Bawił się znakomicie! Był przystojnym chłopcem! A jak doskonale dał sobie radę - jaki niezwykły odniósł sukces! Cóż to za czarujący ludzie! Zwłaszcza Róża, na tle owych "Wież" i ogromnego Argylla, z brylantem błyszczącym tak beztrosko nad jej krągłą piersią. Roześmiał się nagle. Otwierało się przed nim cudowne życie. Przymknął oczy i oparł się wygodnie, a lekki uśmiech wciąż jeszcze igrał na jego ustach.

A ona? - ona wróciła późno po skończonej pracy, a kiedy za piętnaście druga weszła do mieszkania, nie było go po prostu w domu. Ze zmartwiałą twarzą sięgnęła po idiotyczną karteczkę: "Spędzę popołudnie u Ewuni - wuj Tom". Ani słoweczka o prędkim powrocie, ani jednej myśli o niej, żadnej serdeczności. Poczzerwieniała gwałtownie i zerwawszy z głowy kapelusz rzuciła go gniewnie na stół kuchenny. Czowała, że coś ją dławi. Więc jednak poszedł, jej na przekór. Usiadła pozwalając myślom wybiec poza ten ciasny pokój. Ale po chwili wyprostowała się gwałtownie. Dlaczego rozmyśla w ten sposób, tak zazdrośnie, tak namiętnie, wprowadzając się w nastrój rozgoryczenia. Co ją opętało? Przed paru laty byłaby zachwycona możliwością podobnej rozrywki - we wspomnieniu jej przesunęła się wizja wycieczki z Piotrem do Port Doran; od tego czasu jednak zmieniła się w jakiś dziwny złośliwy sposób. Nie miała oczywiście odpowiedniej sukni, nie cierpiała Ewy, żywiła uzasadniony żal do Ryszarda, była zresztą zmęczona całotygodniową ciężką pracą, ale poza tym istniał jeszcze inny powód, który sprawił, że odrzuciła to zaproszenie. Czy te wszystkie lata pracy i walki, i trudu, życie w tym nędznym mieszkaniu zniszczyły w niej pragnienie rozrywek towarzyskich? Nie, nie to było właściwym powodem. Ewa będzie naturalnie wiedzieć, że syn był wobec niej nieposłuszny. Nawet teraz wspomnienie ich niedawnego spotkania sprawiało jej dotkliwy ból. Tak, zwycięstwo odniosła Ewa. Ona przewidziała całą sprawę. Dla tego sepleniącego, fałszywego stworzenia będzie wspaniałym triumfem to, że tak zręcznie potrafiła przeprowadzić tę z góry obmyśloną intrygę. Poczwała ogromny żal do Ewy. Pragnęła, by pozostawiono ją w spokoju z synem. O to tylko jej chodziło. Niech trzymają się z dala od Piotra. On należy do niej. Pragnie zachować go całkiem dla siebie, a gdy go nie ma, czuje się tak strasznie nieszczęśliwa. Tak, przyznaje, że tak jest.

Automatycznie wstała z krzesła i nastawiła czajnik, by sobie zrobić filiżankę herbaty - niezawodny środek pocieszający. Opanowała się z wysiłkiem: nie istnieje przecież żadne sprzysiężenie w celu odebrania jej syna, a Piotr jest do niej bardzo przywiązany. Uspokoila się wspomnieniem owego rozkosznego wieczoru w "Empire".

Wypiła herbatę, wzięła jakąś książkę i próbowała czytać. Na parterze Alicja Maitland zaczęła wygrywać na fortepianie nie kończące się gamy, które Łucję stale irytowały. Ale teraz

nie słyszała ani rwących się dźwięków, ani nie widziała liter w książce, którą trzymała przed oczyma.

Czekała, umacniając się w powziętym postanowieniu - nie będzie go drażnić swym gniewem. Mimo to z dziwnym rozczarowaniem zauważyła, że wrócił z Ralston w nastroju radosnego podniecenia. Niemniej, wymuszonym wprawdzie, lecz łagodnym tonem spytała:

- Dobrze się bawiłeś?

Przyjęcie to sprawiło mu widoczną ulgę, więc skwapliwie zaczął opowiadać swe przeżycia w "Le Nid".

- Wszyscy przesyłają ci pozdrowienia - zakończył znacząco, prawie bez tchu swą entuzjastyczną przemowę.

- Bardzo się cieszę! - wiele wysiłku kosztowało ją zachowanie spokoju tak, jak to sobie postanowiła. Ich pozdrowienia, dobre sobie! Ciekawe, czy ich pozdrowienia utrzymałyby go na uniwersytecie?

- Nie mogę dopatrzeć się w nich niczego złego - podjął nierozważnie.

- Tak?

- W dzisiejszych czasach trzeba iść z prądem, nie przeciw prądowi.

- Jak teraz wygląda Wera? - spytała niespodzianie.

- Och, prawie z nią nie rozmawiałem. - Urwał i obdarzył ją czarującym uśmiechem. - Ale było tam mnóstwo miłych, wesołych osób. Jedno towarzystwo przyjechało w aucie tej nowej marki: Agryll. Wspaniały wóz. Musiał kosztować masę pieniędzy, nie spoczne, dopóki nie zdobędę takiego auta - no i tyle pieniędzy, by je utrzymać. - Zaśmiał się. - Dziś można mieć wszystko za pieniądze. - Po chwili uśmiech zamarł na jego ustach, z obrzydzeniem rozejrzał się po pokoju. - Okropnie jest wrócić z przyzwoicie urządzonego domu do tej dziury. Gdybyś widziała ich łazienkę! Jakżebyśmy mogli zaprosić tu kogokolwiek?

- No, tak - odrzekła prawie znużona - ale to już nie potrwa długo.

- Dzięki Bogu!

Nie mogła znieść jego tonu, niewiele brakowało, a wybuchnęłyby gwałtownie. Lecz opanowała się i ani jedno słowo nie wymknęło się z jej ust. Przyglądała mu się w milczeniu, gdy wyszedł z pokoju, by się przebrać. Następnie wrócił, rzucił książki na stół i zabrał się do pracy.

W każdym razie już to minęło - myślała po upływie paru chwil, zadowolona ze swego spokoju. - Trudno, był u Ewy. A teraz nie będzie już o tym pamiętał.

Widocznie nie pamiętał, gdyż nigdy więcej nie poruszał tego tematu. Dziwne jednak, że w głębi duszy czuła jakiś niepokój, może to tylko jej wyobraźnia - ta fatalna właściwość, o którą ją posądzał - a może rzeczywiście był w jakiś sposób inny niż dawniej? Miała wątpliwości, ale nie była pewna, czy słusznie. Czyżby owa niefortunna wizyta posiała w nim jakieś tajemnicze ziarno niepokojów? Głupia, śmieszna myśl, a jednak nie potrafiła się jej pozbyć. Często wieczorem podnosiła oczy od roboty na drutach i widziała, że ponad swymi książkami z dziwnym roztargnieniem wpatrywał się w próżnię. Zauważyła, że stał się jeszcze bardziej wymagający, jeśli chodzi o ubranie, z większą goryczą uskarżał się na brak pieniędzy, a z apteki szpitalnej przyniósł sobie wodę destylowaną do mycia twarzy. Raz, wróciwszy niespodzianie, zastała go piszącego coś przy stole z ogromnym zapalem. Ale te wszystkie nieuchwytnie dowody nie prowadziły do żadnego wniosku. Czuła, że ośmiesza się bez żadnej przyczyny. A poza tym czy nie postanowiła stanowczo, że nigdy już nie pozwoli, by podejrzenie zmaćło słodycz jej miłości? Nie sprowadzi na siebie powtórnego nieszczęścia przez jakiś nierozważny krok. Jej straszliwa pomyłka z Frankiem była wystarczająca. Nie, nie, absolutnie nie podejrzewa Piotra.

Ale pewnego popołudnia pod koniec maja, gdy weszła do biura po skończonej dziennej pracy, usłyszała głośny wybuch śmiechu, który skłonił ją do zatrzymania się w pobliżu drzwi. Nikt nie zauważył jej wejścia, tak bardzo byli rozbawieni, a źródłem tej wesołości był Adam Dandie stojący na środku pokoju. Przystanąwszy u progu, Łucja uśmiechnęła się mimo woli. Dandie z wrodzonym talentem aktorskim do odtwarzania scen humorystycznych, w których do ostatecznych granic błazeństwa wyzyskiwał swoją pokraczność fizyczną, teraz właśnie odtwarzał taką scenę, pobudzając pannę Tinto i siebie samego do gwałtownego śmiechu. Z wdzięcznie na bok przechyloną głową i łagodnie zgiętą ręką, zabawnie drobiąc krótkimi, kabłąkowatymi nogami, kroczył wokół pokoju obok niewidzialnej istoty - najwidoczniej rodzaju żeńskiego.

- Jak tu stoję, tak go właśnie widziałem! - wykrzyknął z komicznym gestem. Było to niesłychanie śmieszne, sam Dandie też trząsł się od śmiechu. - Szli ulicą Maidenhall! - "Pozwól, najdroższa - mówił do niej - czy mogę ci podać ramię?"

Panna Tinto miała właśnie zamiar ulżyć sobie ponownym wybuchem śmiechu, gdy nagle podniosła oczy i ujrzała Łucję. W okamgnieniu twarz jej spoważniała, zaczerwieniona odwróciła się szybko i z całą uwagą zaczęła studiować wielką księgę buchalteryjną.

- Co się stało? - spytała Łucja zamykając drzwi i podchodząc bliżej. Od razu ogarnęło ją niemiłe przecucie co do tej pantomimy, takiej samej jak ta, którą - dawno temu - Piotr w ironiczny sposób wykonał na jej cześć.

Panna Tinto wydała nieartykułowany dźwięk, ale niezrównany Dandie, który w swojej bezczelności wcale nie wyglądał na zaskoczonego, odważnie stawiał czoło sytuacji.

- Proszę mi powiedzieć - nalegała Łucja.

- Nic takiego - odrzekł Dandie.

Łucja wpatrywała się w niego, a w umyśle jej coraz bardziej utwierdzało się przykre podejrzenie.

- Czy to przedstawienie dotyczyło mnie? - spytała surowo.

- Nic podobnego! - powtórzył. - Mały żart!

- Tak, to mnie dotyczyło - upierała się ostro. - Proszę, niech pan powie!

Zrobił kwaśną minę.

- Mówię pani, że nie. Przypadkowo spotkałem dziś po południu pani syna idącego pod ramię z jakąś dziewczyną. To wszystko! - Energicznie siadł przy biurku, z obrażoną miną rzucił na stół księgę i zaczął głośno dodawać cyfry.

Czuła, że zaczerwieniła się gwałtownie, na ustach jej drżały słowa, by zaprzeczyć temu. Zawahała się jednak. Przypuśćmy... przypuśćmy, że ma rację? Piotr przyszedł kiedyś po nią do biura, więc znał go. Dandie miał dobre oczy, ba - wstrętne, szpiegujące oczy.

- Nie przejmowałabym się tym wcale - odezwała się nagle panna Tinto wpatrzona w kolumny cyfr. - Każdy młody człowiek popełnia od czasu do czasu jakieś głupstwo.

Łucja nie odpowiedziała. Jej syn i głupstwo! Zagryzła wargi, czując na sobie ukradkowe spojrzenie panny Tinto. Podeszła do swego stołu, rzuciła torbę i gwałtownie otworzyła księgę. O piątej wyszła z biura, nie pożegnawszy się z nikim. Do domu niemal pędziła, jakby ją coś gnało. Piotr już na nią czekał.

- Prędziutko, Łucjo - zawołał serdecznie - konam z głodu.

Głęboko zaczerpnęła powietrza i spojrzała mu prosto w twarz.

- Gdzie byłeś dziś po południu? - rzuciła ostro.

- Dlaczego... co się stało? - Twarz jego zmieniła się pod wpływem jej tonu.

- Gdzie byłeś? - powtórzyła gwałtowniej.

- W aptecce, w klinice - jak zawsze.

- A gdzie poszedłeś później? - Słowa te powiedziała z wściekłością.

Spojrzał na nią przeciągle.

- Och, mamó, dajże spokój. Czego właściwie chcesz?

- Odpowiedz mi!

- Jak ci się zdaje, do kogo mówisz w ten sposób? - krzyknął w nagłym uniesieniu. - Można by pomyśleć, że chodzę do szkoły powszechnej, tak się ze mną obchodzisz.

- Odpowiedz mi! - nalegała podniesionym głosem.

- Och, na miłość Boską, przestańże wreszcie!

- Odpowiedz mi! - krzyknęła po raz trzeci.

- Nie bądź szalona! - zawołał, ale teraz wydawał się trochę przestraszony. Patrzyli na siebie w milczącym napięciu. Usta Łucji były blade. Czują, że serce trzępoce się w niej jak ptak w sieci.

- Widziano cię dziś po południu na Maidenhall Street, idącego z jakąś dziewczyną pod rękę. - Ostatnie słowa wyrzuciła dysząc, brzmiały śmiesznie, całkiem zdławione - kulminacyjny punkt jej oskarżenia.

Twarz jego wydłużyła się nagle.

- A jeśli nawet? - powiedział przekornie. - To nie twoja rzecz.

Nie zaprzeczył! Doznała uczucia wprost dojmującego cierpienia.

- Nie moja rzecz? - spytała z wściekłością. - Na Boga, co ty wygadujesz? Masz przed sobą egzaminy, a tracisz czas na podobne idiotyzmy. I w dodatku nie mając w kieszeni ani pensa.

- A czyjaż to wina?

- To przechodzi ludzkie pojęcie - wybuchnęła. - Pokazywać się tak w biały dzień! Przecież... przecież możesz stracić stypendium, gdy się to rozniesie. To poniżające! Haniebne!

- Co też ty wygadujesz? - krzyknął porywczo. - Przestań się tak miotać. Co ja złego zrobiłem?

- Złego?

- Tak, złego?

Usta jej drżały, gdy spojrzała mu prosto w oczy.

- Czyś ty oszalał? - zawołała gwałtownie. - Zapominasz o naszej sytuacji, o tym, że jesteśmy uwięzieni w tej nędznej dziurze! A ten paraduje sobie w najlepsze z jakąś pustogłową kreaturą po Maidenhall Street - lęk sprawił, że użyła zbyt mocnych słów dla określenia jego postępków - gdy ja haruję jak niewolnica, by go przepchać przez medycynę. Nie masz nic lepszego do roboty, jak tylko robić z siebie pośmiewisko?

- Mnie, przepchać? - oburzył się, podchwytyjąc jej słowa. - Sądziłem, że mam stypendium.

- A czy nie odejmuję sobie każdego kęsa od ust dla ciebie? - ledwie dyszała.

- Nie bądź taka ordynarna - rzekł z wyniosłą pogardą.

- Co? - Jego ton, coraz bardziej przejmujący ją lękiem, pozbawił ją panowania nad sobą. Wyciągnęła rękę i wymierzyła mu potężny policzek. Odgłos silnego uderzenia rozległ się w pokoju, jak eksplozja.

Piotr zachwiał się pod tym niespodziewanym ciosem i uczepliwszy się oburącz obrusa, ściągnął na podłogę przygotowaną do herbaty zastawę, która rozbiła się z głośnym brzękiem. Twarz jego śmieszna i zgnębiona była całkiem blada, a na policzku występował powoli czerwony odcisk palców Łucji.

- Więc to tak? - wybełkotał. - Dobrze, teraz wiem, co sądzić. - Niezręcznie wyprostował się i starając się iść z godnością, przeszedł do swego pokoju, gwałtownie zatrzaskując drzwi.

Popatrzyła za nim ze łzami w oczach, oddychając z trudem, jak po męczącej gonitwie. Nagle usłyszała szmer w przedpokoju. Wróciwszy do domu wzburzona, widocznie zostawiła drzwi otwarte i oto pani Finch rozglądając się bacznie, szybko weszła do mieszkania.

- Miałam wrażenie... miałam wrażenie, że słyszę jakiś hałas - powiedziała Bessie, która od chwili zwierzenia Łucji własnej niedoli, jakby chciała wytropić podobne nieszczęście u sąsiadów. - Czy pani upadła? - spytała ciekawie.

- Tak, potknęłam się - rzekła Łucja patrząc na tamtą jak w transie, a następnie uzupełniła swoje wyjaśnienie, czyniąc je jeszcze mniej wiarygodnym: - Potknęłam się o stół.

- Czy pani chora? - wyjąkała Bessie. - Może pani coś przyniosę.

- Już mi dobrze. - Z trudem wypowiedziała słowa, sztywno opierając się o stół. Pani Finch schyliła się i zebrała z podłogi nakrycie do herbaty - jedna filiżanka i talerzyk były stłuczone. następnie podniosła zaczerwienioną twarz i zaproponowała nieśmiało: - Może pani przynieść kieliszek wódki?

- Nie! - Ruchem ręki Łucja odmówiła przyjęcia pomocy. - Proszę mnie tylko pozostawić w spokoju. Chcę być sama.

- Ale... - nalegała Bessie, lecz coś w postawie tamtej obezwładniło ją nagle. Z wyrazem osłupienia w swej okrągłej czerwonej twarzy wyszła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi niemal z poczuciem winy.

Po wyjściu Bessie Łucja usiadła. Czuła się śmiesznie słaba, a ręce, które położyła na kolanach, drżały lekko. Siedziała tak przez kilka minut, potem wstała i napiła się zimnej wody. Z wolna twarz jej przybierała zwykły kolor. Zaczęła przyrządzać herbatę, ponownie nakryła stół, potłuczone naczynie wrzuciła do paki na węgiel i wreszcie, z bolesnym niemal wysiłkiem, całkowicie się opanowała. Wtedy podeszła do drzwi Piotra i zapukała energicznie.

- Piotrusiu - zawołała cichym, opanowanym głosem - herbata!

Nie czekając odpowiedzi, wróciła do kuchni, a po chwili denerwującego wyczekiwania ukazał się Piotr. Wszedł powoli, z rękami w kieszeniach, usta miał boleśnie zaciśnięte, a mimo jego wieku i wzrostu, na twarzy malował się wyraz dziecinnej rozpacz i zgnębienia. Usiadł przy stole i w milczeniu zabrał się do jedzenia. Jej ręka, podająca mu filiżankę, była zupełnie spokojna.

- Grzanki - rzekła wyraźnie, podsuwając mu półmisek.

Długie milczenie.

- Dziękuję, mam - powiedział, z trudem żując gorącą grzankę, jak gdyby była z drewna.

Ogarnęło ją głębokie i silne wzruszenie połączone z ogromną ulgą - gorąca fala uczucia ukryta pod pozornym spokojem. Oczy jej spoczęły współczująco na pochylonej głowie syna. Straciła panowanie nad sobą. Nie miała zamiaru upokorzyć go w ten sposób. To zwycięstwo było dla niej bardzo bolesne. Ale zrobiła to dla jego dobra, jedynie dla jego dobra, a może też dla swojego. Tak - dla ich wspólnego, ostatecznego dobra.

Łucja czuła, że przywróciła między nimi wzajemne dobre stosunki. Pragnąc usprawiedliwić swoje zachowanie, była jeszcze bardziej troskliwa niż zwykle, chcąc dowieść swego przywiązania. Piotr przygotowywał się teraz do ostatecznego egzaminu, a ona również na swój sposób skupiała energię do ostatecznego wysiłku. Nie było jej łatwo. Tego lata, kiedy syn pochłonięty był nauką, ich warunki materialne stale się pogarszały. Ceny artykułów żywnościowych podniosły się ostatnio, a dochody jej pozostały bez zmian. Podwyżka cen nie była znaczna, zaledwie - jak to określiła panna Tweedy - pół pensa tu, pół pensa tam, ale dla Łucji te marne pół pensa było nienawistnym miernikiem jej walki o byt, które musiała zdobywać i oszczędzać z bolesną czujnością. W ciągu tylu lat sytuacja jej powinna się była poprawić. Z tą nadzieją wstępowała kiedyś do firmy "Henderson i Shaw", ale dawno już zorientowała się, jakie istnieją przeszkody. Nie była zdolna - tak, nieraz już mówiono o niej "niemądra" - zdawała też sobie sprawę, że nigdy, a tym mniej teraz, nie potrafi zmienić swego poniżającego zajęcia na lepsze. Na razie praca ta musi posłużyć jako środek do celu, a potem rzuci ją. Nie posiadając wprawdzie wybitniejszych zdolności, była jednak wytrwała, obdarzona wypróbowaną, nieustępliwą wytrzymałością, a cecha ta - w miarę narastających przeciwności - potęgowała się jeszcze.

Gdy wieczorem szła przez Flowers Street - w parny letni wieczór, kiedy powietrze wisiało nieruchomo między zmęczonymi domami - można było sądzić, że to idzie duch, który wrywa się z więzów swego udręczonego ciała. Szła powoli, suknia jej, zniszczona do ostateczności, przyklejała się do niej z gorąca, kapelusz, pognieciony i zielonkawy od starości, nasunięty był na czoło, jedno ramię pochylone wskutek dźwigania ciężkiej torby z zakupami. Usta miała blade, oczy duże i zapatrzone w dal, twarz bez śladu rumieńca, tak wychudła, że kości policzkowe występowały wyraźnie, prawie ostro.

Szła tak powoli, nie zwracając uwagi na otoczenie, a wokół niej unosiła się dziwna atmosfera osamotnienia, spokojnie przechodziła obok bawiących się dzieci, nie troszcząc się o przyglądające się jej kobiety, które przerywały plotkowanie, by ją dokładnie zlustrować oczami. Wymyśliły dla niej nawet specjalne przezwisko, ale ona nie wiedziała o tym. Było jej zupełnie obojętne, co i kto sądził o jej postępowaniu.

Jakkolwiek nie zdawała sobie z tego sprawy, robiła wrażenie prześladowanej - prześladowanej przez siebie samą, zmierzającej do jakiegoś dręczącego celu miłości i poświęcenia. Ale jakkolwiek oddana temu celowi bez reszty, ciągle była wrażliwa na ciosy, jakie ją spotykały. Cierpiała i mimo pozornej nieugiętości zdawała sobie sprawę, że szybko zbliża się do granicy wytrzymałości. Często wśród nocy budziła się w swym dusznym pokoju, zlaną zimnym potem pod wpływem strasznej wizji: Piotr nie zdał egzaminu, zachorował; albo też z niewysłowioną trwogą - wpijając się rękami w pustą przestrzeń - czuła, że zgubiła swoją sakiewkę. Szczyt tragikomizmu. A jednak ścigał ją ciągle ten strach - strach przed klęską wskutek jakiegoś nieszczęścia finansowego. To nic, że budżet jej obracał się w obrębie pensów - jej pogrążony we śnie umysł liczył z wysiłkiem miedziaki, poszukiwał lepszego sposobu zużytkowania marnej pensji. Nieraz budziła się tak wyczerpana, jak gdyby jej ciało było zbite bezlitosnym gradem monet.

Kwintesencję jej życia stanowił fakt, że odmawiała sobie wszystkiego w imię swej ostatecznej, najwyższej nagrody. Żadna ofiara nie była zbyt wielka dla osiągnięcia szczytu jej marzeń. Stroje, rozrywki - zapomniała o tym, starając się nawet zapomnieć o jedzeniu. Jej menu było teraz ustalone i niezmiennie jak jej wola. Było ono skąpe - nie ulubione kurczęta i szparagi - wystarczające jednak, podobnie jak u mieszkańców White Street, by podtrzymać życie. Na razie niczego więcej nie pragnęła. Nie bardzo też cierpiała z powodu dolegliwości fizycznych, poza przemijającymi omdleniami, dającymi się wytłumaczyć zbyt mączną dietą. Takie jedzenie wpłynęło jednak szkodliwie - choć Łucja o tym nie wiedziała - na stan jej zębów. Dawniej miała zęby silne, równe i białe jak świeże mleko - tak właśnie określał je Frank. Gdy mieszkała na Flowers Street, początkowo w dalszym ciągu starannie pielęgnowała zęby, czyszcząc je rano i wieczór proszkiem, ale szczoteczki do zębów - zwłaszcza te tańsze - tak szybko się zużywały, że z biegiem czasu przestała je kupować, posługując się kawałkiem złożonego płótna. Później, wciąż ze względów oszczędnościowych - Piotr kupował sobie sam pastę do zębów - przestała też używać proszku, zastępując go solą - tą gruboziarnistą solą, o której wiedziała, że doskonale czyści różne przedmioty.

Wynikiem tych ograniczeń było szybkie psucie się zębów. W ostatnich czasach cierpiała na straszliwe ataki bólu. Po obu stronach dolnej szczęki, z dwóch dziurawych trzonowych zębów zostały tylko puste ścianki. Nie wiedziała, co zrobić z chorymi zębami. Postanowiła stanowczo nie niepokoić tą sprawą Piotra. Pochłonięty był nauką do ostatnich egzaminów, miał więc własne troski.

Jednak ustawiczny ból doprowadzał ją do szału, tym bardziej że chciała śledzić ostatni etap studiów syna, że całą duszą pragnęła brać udział w tym ostatnim wysiłku. Próbowwała robić wszystko, co możliwe. W ciągu dnia uwijała się w pracy, spiesząc się do domu, by dbać o wygodę Piotra, jego posiłki zjawiały się na stole jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. W obawie, że mogłaby mu przeszkadzać, całymi godzinami siedziała bez ruchu na ulubionym bujaku, wychodziła z robótką do drugiego pokoju, by dźwięk drutów nie rozpraszał jego uwagi, z niezwykłą odwagą zbiegła na parter i skłoniła panią Maitland do ograniczenia chwilowo ćwiczeń córki na fortepianie. O wszystkim myślała, niczego nie przeoczyła, mimo wszelkich trudności wzbijała się na wyżyny, które niewątpliwie były wzniosłe.

Ale ten ból zębów, ta śmieszna przeszkoda w obliczu wzniosłości - co z tym począć? Właśnie teraz, kiedy potrzebowała najwięcej energii, by zdobyć się na ostatni wysiłek w czasie egzaminów Piotrusia - właśnie teraz ten paralizujący ból zębów!

W przeddzień egzaminu, robiąc swój cotygodniowy obchód White Street, gdzie właśnie zbierała tygodniowe czynsze, zatrzymała się na chwilę rozmowy u pani Collins. Nagle w czasie mówienia dostała szalonego bólu zębów. Instynktownie chwyciła się za policzek, a twarz jej zeszywniała.

- Ból zębów? - współczująco zapytała Marta. Opiekowała się teraz serdecznie potomkiem swego uwiedzonego syna - chwilowo powierzonym jej opiece przez tę "łajdaczkę", która, przebywając u rodziców na Rotten Row, postacią swą manifestowała znowu płodność.

- Tak, zęby - powoli rzekła Łucja, gdy pierwszy ból nieco minął.

- Czemu się pani nie zbierze na odwagę i nie da go wyrwać? - spytała pani Collins, uspokajająco klepiąc nagi tyłeczek niemowlęcia i bawiąc dziecko porcelanowym pieskiem. - Mój Benny dał sobie wyrwać ząb zeszłego roku w klinice dentystycznej i nic nawet nie czuł. Najprzód wydał trochę pieniędzy na whisky, by zabić ból, a potem poszedł i pozbył się go za darmo.

- Naprawdę? - powoli spytała Łucja, uderzona jakąś myślą. Klinika dentystyczna, mogliby jej to zrobić bezpłatnie!

Bo w gruncie rzeczy bała się nie bólu, lecz wydatku związanego z wrywaniem zębów. Mimo to duma jej wzdragła się jednak przed upokarzającą myślą, że mogłaby się zwrócić do bezpłatnego zakładu, ona, Łucja Moore! Nie do pomyślenia.

Ból zębów jednak nie ustawał. Idąc tego samego dnia o piątej po południu przez Young Street, przystanąła przed zakładem jakiegoś amerykańskiego dentysty - zakładem zupełnie tanim, który często mijała przechodząc tędy. Zawahała się, następnie weszła szybko. Chciała się tylko poinformować, ale dentysta - tytuł ten nadano mu jedynie przez uprzejmość, gdyż nie posiadał potrzebnych kwalifikacji - był bardzo przedsiębiorczy. Wysoki, barczysty mężczyzna w niebieskim płóciennym ubraniu, stale ukazujący w uśmiechu złote zęby, usadowił Łucję na czerwonym pluszowym fotelu, zanim zdołała zaprotestować:

- Czy nie byłoby najlepiej usunąć te pieńki i wstawić nowe zęby? - zaproponował wesoło, bawiąc się obcęgami.

- Nie, nie. Chcę tylko pozbyć się bólu - odparła.

- Więc na początek wyrwiemy cztery - rzekł biorąc strzykawkę. - Po znieczuleniu kokainą wcale nie będzie pani czuła bólu. Jakby się wyłuskiwało groch.

Dotknęła jego rękawa.

- Ile to będzie kosztować? - spytała wykonując ruch protestu. - Muszę wiedzieć.

- Pięć szylingów wszystko razem.

Twarz jej przybrała wyraz zmieszania.

- Nie mogę... - zaczęła.

- Więc powiedzmy cztery szylingi.

Potrząsnęła głową i poruszyła się, jak gdyby miała zamiar wstać z fotela.

- Niechże będzie trzy i pół - zawołał przytrzymując ją. - Ale to już ostatnia cena - zaledwie pokrywa koszty znieczulenia.

Trzy i pół szylinga! Była to dla niej nadal cena zawrotna. Zastanowiła się chwilę, następnie spojrzała na niego i rzekła powoli:

- A ile kosztowałyby... bez niczego?

Popatrzył na nią zdumiony, teraz dopiero pojąwszy, że chodzi o wypadek skrajnego ubóstwa.

- Ach tak! - powiedział wolno. - Wyrwę je za dwa szylingi.

Znów się zastanawiała.

- Niech będzie.

Położyła głowę na oparciu fotela, mocno objęła poręczę, zamknęła oczy i otworzyła usta.

Były to wyrafinowane tortury, ogniste języki zdawały się szarpać jej szczękę i spalać wszystko aż do mózgu. Nie wyobrażała sobie, że może w ogóle istnieć tak potworny ból - zgrzyt obcęgów, wyciągających ostatni ząb, wstrząsnął nią do szpiku kości. Ale nie wydała najsłabszego jęku.

Wreszcie było po wszystkim. Usiadła, wypłukała usta wodą, którą jej podał, po czym śmiertelnie blada wstała, otworzyła portmonetkę i wręczyła mu dwa szylingi. Była to drobna cena za ocalenie jej dumy.

Wracając do domu czuła się słaba i wyczerpana nerwowo.

- O Boże - zawołał Piotr spojrzawszy na nią, gdy weszła - co ci się stało, mamó?

- Nic - odparła. - To z powodu upału. Ale ty - jakże ci poszło? - I zabrała się jak zwykle do przyrządzania mu herbaty.

Nazajutrz rozpoczęły się egzaminy - ostatnie egzaminy syna.

Jama ustna goiła się powoli. Mimo to Łucja, uwolniona od uporczywego bólu, czuła się jakby odrodzona. W ciągu najbliższych dni nie okazywała śladu zdenerwowania. Była spokojna i swą milczącą ufnością dodawała jemu otuchy. Przez cały tydzień widywała go

tylko rano, gdy wychodził z domu i wieczorem, gdy wracał; nawet w tych krótkich chwilach potrafiła natchnąć go męstwem, ani razu nie tracąc opanowania. Wreszcie egzaminy się skończyły. A wtedy dokonała się w niej gwałtowna reakcja. Poczuli się dziwnie znużona, jak po jakiejś ciężkiej pracy. Łatwo ulegała wzburzeniu.

W miarę jak zbliżał się dzień ogłoszenia wyników egzaminów, to długo ukrywane podniecenie zerwało tamy i omal jej nie zdradziło. Powodzenie oznaczało dla niej wszystko. Z pewnego rodzaju fatalizmem czuła, że gdyby Piotr nie zdał, nigdy już nie zdołałaby zdobyć się na ponowny wysiłek. Wiedziała, że w tym wypadku doszła do ostatecznych granic wytrzymałości.

Następny tydzień mijał powoli, ale myśl ta nie opuszczała Łucji. Tkwiła w jej świadomości nawet wtedy, gdy rano tego przełomowego dnia poszła do biura.

- Stała się pani kłębkim nerwów, moja droga - rzekła panna Tinto zwracając się do Łucji z godnością przełożonej, a w tonie jej czuło się lekki wyrzut. - Jak gdyby to pani przejmowanie się mogło coś pomóc.

- Czy rzeczywiście tak się pani przejmuje? - wmieszał się Adam Dandie z dalszego kąta pokoju i udając, że trzęsie się gwałtownie, dygotał swymi kabłąkowatymi nogami niby w konwulsjach.

- Niezupełnie tak - rzekła Łucja z wymuszonym uśmiechem.

- Ach! - zawołał Dandie przestając dygotać i wracając do zwykłej złośliwości. - I co przyjdzie pani z tego zdenerwowania? Zda z największą pewnością. Puszczają teraz wszystkich. Przecież to bardzo łatwe.

- Łatwe! To jest ogromnie trudne - rzuciła ostro i zamilkła. - Nie znaczy to jednak, by Piotr nie dał sobie rady.

- Więc po co się pani martwi? - przebiegle spytał Dandie. Miał zdumiewającą zdolność przekręcania słów rozmówcy, by wykazać, że tylko on ma rację.

- Toteż ja się wcale nie martwię - rzekła Łucja, energicznie potrząsając głową.

- To dobrze - powiedział Dandie ze złośliwym chichotem.

Panna Tinto westchnęła dyskretnie. - Dowie się pani we właściwym czasie - zauważyła z niezwykle mądrą miną - a ziemia nie przestanie krążyć, gdyby...

Nagle zadzwonił telefon. Panna Tinto urwała, podniosła słuchawkę. Następnie z dziwnym wyrazem twarzy zwróciła się do Łucji:

- Do pani - rzekła. - Telefon do pani.

Oboje spojrzeli na Łucję podchodzącą do biurka.

Głos Piotra dobiegł ją za pośrednictwem drutu tak wyraźnie, jak gdyby syn stał tuż obok niej.

- To ty mammo?

- Tak.

- A więc... - urwał. - Sądziłem, że trzeba zadzwonić, byś się dowiedziała.

- Co się stało? - krzyknęła gwałtownie. - Chyba nie... chyba nie...

- Och, nie. Nic złego.

- Więc co! - Nagle zrobiło jej się słabo. Nigdy jeszcze nie telefonował do niej, a wahanie w jego głosie sprawiło, że zaczęła się domyślać jakiegoś nieszczęścia.

- Och, przyszło mi na myśl, że chciałabyś się może dowiedzieć...

- O czym? - podjęła szybko.

W słuchawce zabrzmiał jego przekorny śmiech.

- Pani Łucjo, proszę zachować spokój.

Nic nie powiedziała, drząc dziwnie. Nerwy jej były napięte do ostatnich granic.

- W każdym razie - żartobliwie zabrzmiał znów jego głos - może zainteresuje cię fakt, że mówi do ciebie doktor Moore.

Przez sekundę nie rozumiała znaczenia tych słów, następnie wybuchnęła:

- Piotrze, czy to prawda?

- Tak, oczywiście - zapewnił swobodnie. - Właśnie przejrzałem listy. Całkiem pewne.

Nie była w stanie wydobyć słowa, oczy jej przesłoniły się nagle łzami, zalała ją fala nieopisanej radości.

- Chyba przez cały czas wiedziałaś, że dam sobie radę?

- Tak, tak - wyszeptwała zdławionym ze wzruszenia głosem.

Zapanowało milczenie, zdawał się czekać, że mu pogratuluje, ale ona wciąż jeszcze zbyt była przejęta, by wymówić choć jedno słowo. I znów odezwał się jego głos:

- Nie przyjdę dziś na obiad, zostanę tu z paru kolegami - musimy to oblać.

- Oczywiście - zgodziła się szybko.

- No to do widzenia, mamó.

- Piotrusiu... - nareszcie znalazła słowa mające wyrazić jej szczęście. Ale on skończył już rozmowę. Wpatrywała się przez chwilę w telefon, po czym powoli powiesiła słuchawkę. Ogarnęła ją najwyższa, wspaniała radość, twarz jej jaśniała dziwnym blaskiem. Trudziła się, ale trud jej już się skończył. Walczyła, ale walka dobiegła kresu. Zwyciężyła, tak, odniosła zwycięstwo! Postawiła na swoim. Wspólnym wysiłkiem wygrali tę straszliwą nierówną walkę. Nic nie mając, bez niczyjej pomocy dała synowi szlachetny zawód. Mógłby zostać marnym urzędniczyną, subiektem sklepowym, rzemieślnikiem, zwykłym robotnikiem w dokach okrętowych. Ale nie - ona postanowiła inaczej, sama jednak wytrwała przy tym postanowieniu i z jaką energią je zrealizowała! Nagle serce jej zadrżało z radości. Miała ochotę krzyknąć w ekstazie szczęścia. Rozejrzała się zachwycona po biurze. Zwycięstwo! Zwycięstwo! Odniosła zwycięstwo!

- Zdał! - krzyknęła ze zrozumiałym wzruszeniem. - Mój syn zdał egzamin!

Przez chwilę patrzyli na nią w milczeniu.

- Czy nie mówiłem pani? - zawołał Dandie. - Czy nie mówiłem, że to łatwe?

- To pięknie! - rzekła panna Tinto ze spokojnym, potakującym skinieniem głowy. - Pięknie! Czy zdał egzamin z odznaczeniem?

- Nie wiem, nie zależy mi na tym - powiedziała podniecona Łucja. Ten brak entuzjazmu zdumiewał ją. To wspaniałe wydarzenie nie przejęło ich ani podziwem, ani zachwytem. Uprzejmym tonem wybakali chłodne gratulacje. Cieszyli się, ale nie byli przejęci.

- Ma teraz pani powód do dumy - zauważył Dandie nie bez odcienia ironii.

- W każdym razie nie będzie się już pani musiała tak męczyć - krótko i węzłowato rzekła panna Tinto. - A to już coś.

- Ale pani Łucja będzie teraz zadzierać nosa - rozważał głośno Dandie patrząc w sufit.
- Wkrótce nas porzuci i wyjedzie do swojej posiadłości.

- Pewnie, że tak zrobię - wesoło odparła Łucja. - Dość już mam tej roboty. - I uśmiechnęła się do nich.

Wyszła z biura w tym samym nastroju promiennego szczęścia. Nagle miała wrażenie, że życie miasta zostało przeobrażone: barwy tramwajów były jakby skrawkami tęczy, ludzie biegnący do swych zajęć wydawali się weseli i radośni, wystawy sklepowe zachwycaly bogactwem, słońce świeciło niezwykłym blaskiem, a nawet powietrze było nadzwyczajne, pieniać się jak musujące wino.

Przez cały czas spełniała swoją robotę, która, o dziwo! nie wydawała się jej uciążliwa, myśl o triumfie - gdyż zwycięstwo syna było i jej zwycięstwem - nie opuszczała jej. Chwilami Łucja miała ochotę krzyczeć ze szczęścia. Jej twarz, wolna wreszcie od zwykłej udręki, była ożywiona jak twarz młodej dziewczyny; usta, już nie opuszczone beznadziejnie w dół, układały się do uśmiechu jak za czasów młodości. Nogi odzyskały dawną prężność, a plecy wyprostowały się. Dziesięć słów wypowiedzianych przez telefon i dziesięć lat cudem osunęło się z jej ramion. Nie patrzyła na tę sprawę tak, jak należało na nią patrzeć: oto kobieta bez znaczenia, spełniająca niską i niemal podłą pracę, spędzająca całe dni wśród ohydy i smrodu slumsów, kobieta, która skąpiła i odmawiała sobie wszystkiego. głodowała i męczyła się, by jej przeciętny syn ukończył prowincjonalną szkołę średnią, by w końcu w towarzystwie stu innych żółtodziobów mógł złożyć fatalnym akcentem przysięgę Hipokratesa i wejść w świat. Nic dziwnego przeto, że Dandie tylko z trudem powstrzymywał ziewanie, a ton panny Tinto brzmiał zaledwie ciepło. Ale Łucja odczuwała to inaczej. Tak, stokroć inaczej! Dla niej była to walka homerycka, wspaniała nagroda, a zwycięstwo okupione taką męką, wprowadzało ją w niewypowiedziany zachwyt.

Gdy tego wieczoru wróciła na Flowers Street i minawszy odrapaną zniszczoną klatkę schodową weszła do mieszkania, Piotr był już w domu. Przystanąła, a oczy jej zaszkliły się łzami; nagle wypuściła z rąk wszystko, co niosła.

- Piotrusiu! - krzyknęła wyciągając ramiona. - Piotrusiu!

Nadszedł wielki dzień triumfu.

Ubierała się na uroczystość promocji Piotra. Policzki miała lekko zarumienione, ruchy trochę niepewne z podniecenia. Piotr, wygalantowany jak do ślubu, wyszedł już z domu, gdyż musiał jeszcze wypożyczyć sobie tokę, a Łucja, rzuciwszy okiem na zegar, zaczęła szybko wkładać swoją nową suknię. Wciągając ją przez głowę nagle zawahała się. Suknię tę zrobiła sobie sama z jakiegoś cudacznego kawałka brązowego woalu, kupionego okazyjnie w składzie resztek, w pobliżu jatki Tutta. Skroiła ją według wzoru z pisma dla kobiet i jak mogła, bez pomocy maszyny, szybko pozszywała wieczorami w ciągu ubiegłego tygodnia. Toteż dość krytycznie odnosiła się do tego dzieła, a w tej chwili przeglądając się w lustrze po raz nie wiadomo który, patrzyła powątpiewająco na swoje dzieło. Nie była wytarta ani poplamiona jak jej "szara", no i była... suknią. Ale ściśle biorąc, do tego ograniczały się jej zalety. Nie była to suknia, jakiej Łucja pragnęła - coś miękkiego i lekkiego, co maskowałoby kanciastą figurę, ale - jak niechętnie przyznawała - było to najlepsze, na co mogła się zdobyć.

Co jednak znaczy suknia? Chodzi o promocję i o radosny moment zobaczenia syna - jej syna - ukazującego się publicznie w doktorskim birecie.

Przez całe lata czekała na ten widok, a w końcu chwila ta nadeszła. Był to zarówno triumf Łucji, jak Piotra, a przyglądając się tej ceremonii będzie w najtajniejszej głębi serca uczestniczyć w jego zwycięstwie.

Raz jeszcze przejrzała się w lustrze i odwróciła się spiesźnie, by włożyć buciki.

Zdjęła ze z półki nad piecem kuchennym i spojrzała na nie, a mina jej wydłużyła się nagle, twarz przybrała wyraz głębokiej troski.

Już dawniej te stare, zniszczone buciki były powodem jej niepokoju; ilekroć przemokły, suszyła je przez noc na tej półce, by rano mogły być zdatne do użytku. Ale to ostatnie spieszne suszenie okazało się fatalne w skutkach. Co za pech! Podeszwa prawego pękła zupełnie. Było to nie tylko pęknięcie, ale nawet dziura - wytarta w przemoczonej podeszwie kanciasta dziura, w której zmieściłby się jej mały palec. Dokoła tej dziury przetarta

skóra - jeśli to w ogóle była skóra - łuszczyła się i zwijała. Na ten widok oczy Łucji rozszerzyły się z rozpaczy.

Chciała kupić nową parę, ale nie mogła w żaden sposób pozwolić sobie na ten wydatek. Wyrwanie zębów, kapelusz, kawałek materiału na suknię - te wszystkie niedawne wydatki zrujnowały ją. Teraz zarówno ze względu na czas - za kwadrans miała się odbyć uroczystość wyznaczona na godzinę jedenastą - jak również dlatego, że pensję wypłacano jej dopiero wieczorem - nie mogła kupić sobie nowej pary. Nagle strzebiła jej do głowy dzika myśl pożyczania sobie butów od Bessie Finch, ale jakkolwiek Bessie zrobiłaby to najchętniej, to jednak jej olbrzymie lakierki wyglądałyby na małych nogach Łucji jak łodzie. Nie miała więc wyboru, musiała sobie poradzić w jakiś inny sposób.

Powoli podeszła do skrzyni - przechowalni wszelkich rupieci - i wyjęła z niej kawałek sztywnego brązowego papieru. Złożyła go podwójnie i wsunęła do uszkodzonego bucika jako dodatkową podeszwę. Zasmarowała nawet od dołu odrobiną czarnej pasty, by ukryć łąę. Następnie włożyła bucik. Był ciasny, znacznie ciańiejszy od drugiego, ale przynajmniej wyglądał jakoś porządnie. Zresztą czy jej zależy na obuwiu? Nie więcej niż na sukni. Przede wszystkim chodzi o dzień, o ten dzień pełen radości i dumy!

Gdy wyszła, drzwi od mieszkania państwa Finch były otwarte, a pani Finch krzątała się w przedpokoju.

- Pomyślałam, że może to pani sprawi przyjemność - rzekła sentymentalnie Bessie. - Przyniosłam ją od matki, specjalnie dla pani, wiedząc, dokąd pani idzie. - I z miną niemal teatralną podała Łucji pąsową różę, przybraną gałązką asparagusa. - Jest też szpilka - dodała nalegająco i zanim Łucja zdołała zaprotestować, przypięła jej różę do marszczonego stanika źle uszytej sukni.

- Ślicznie - powiedziała na zakończenie, przeginając głowę z wyrazem podziwu. - Teraz pani dopiero wygląda jak należy.

- Dziękuję pani - rzekła Łucja z zakłopotaniem. Miała wątpliwości co do tej ozdoby, jednak uległa życzeniu Bessie. Był czas, że odnosiła się podejrzliwie do jej dobroci. Myślała: Czy pod tym jej łagodnym spojrzeniem, jakim patrzyła na Piotra, nie kryje się bezwiedne poządanie? Ale teraz, oczywiście, ta troska przestała ją dręczyć. Wkrótce przecież wyprowadzą się stąd! Dzięki zdumiewającemu szczęściu Piotr znalazł zajęcie w szpitalu

Royal Eastern - na razie na okres sześciomiesięczny. Ona będzie tymczasem obmyślać plany na przyszłość. A potem się wyprowadzą.

Zamieniwszy jeszcze parę słów z Bessie, zeszła pod wydeptanych schodach i z dumnie podniesioną głową, z różą u piersi i w dziurawym bucie, ruszyła w stronę uniwersytetu.

Dziwne, że nigdy dotąd nie była w tym budynku. Przez pięć lat górował nad jej życiem, a ona ani razu nie zbliżyła się do niego. Dziś gmach ten - podobnie jak i ona - przybrał wygląd uroczysty; powozy i auta zajeżdżały przed bramy, tłum zebrał się na tarasach, na wysokim białym drzewcu powiewała leniwie chorągiew.

W obawie, że się spóźni, przyspieszyła kroku, zdążając drogą wysypaną żwirem. Był to pośpiech nierozważny. Szorstka nawierzchnia drogi bezlitośnie szarpała jej papierową podeszwę, drobne kamyczki, niby złośliwe zęby, rozrywały w strzępy słabą namiastkę zelówki. Łucja nie uszła jeszcze stu kroków, gdy poczuła, że stopę jej chroni już tylko pończocha, a zanim zrobiła dalsze sto, przedarła się i pończocha. Gołą stopą dotknęła zimnego żwiru. Było to straszne. nie zatrzymała się jednak. W podnieceniu, z twarzą okrytą rumieńcem, pięła się na szczyt wzgórza. Gdy wchodziła w ciszę korytarzy, zabrzmiało jednaście miarowych uderzeń zegara.

Idąc po krętych schodach za ostatnimi maruderami, weszła do auli jeszcze bardziej czerwona. Na szczęście znalazła wolne miejsce pod ścianą na górnej galerii. Odetchnęła głęboko, czując się tu bezpieczna i ukryta przed spojrzeniami tłumu.

Rozglądała się, lecz nie mogła zobaczyć Piotra. W sali zebrało się liczne eleganckie towarzystwo. Bezwiednie schowała rozdarty but pod krzesło i siedziała dumnie wyprostowana.

Nagle zabrzmiały organy - wysokie, triumfalne tony zagłuszyły szmery rozmów, a wraz z nimi na salę spłynął jakiś dziwny wzniosły nastrój. Dźwięki te podniosły Łucję na duchu. Stały się symbolem jej zwycięstwa, natchnieniem, które duszy jej przydało nagle skrzydeł.

Muzyka zamilkła, a ona drgnąwszy powróciła myślami do sali. Jak przez sen patrzyła na wejście profesorów, którzy po dwóch kroczyli wzdłuż kolumnady za pedłem niosącym

berło - poważni, o uczonym wyglądzie, w togach i dziwacznych biretach. Ich kaptury tworzyły żywe plamy barw - szkarłatnych, niebieskich i żółtych - kiedy zajęli miejsca na ciemnych ławkach. Rektor o krótkiej szyi, przenikliwym spojrzeniu i spiczastej brodzie, wszedł na katedrę. Odmówiono łacińską modlitwę, po niej odśpiewano chorał.

A potem zaczęła się ceremonia promocji.

Łucja pochyliła się ku przodowi i patrzyła na absolwentów w togach, którzy kolejno podchodzili do katedry, przyklękali z pokorą, a rektor dotykał każdego z nich berłem i wręczał mu dyplom na pergaminie. Widok przejmujący do głębi.

Nagle znieruchomiała, zastygła w oczekiwaniu. Wywołano nazwisko Piotra! Ciemne rumieńce wystąpiły na jej twarzy, gdy zobaczyła syna, wychodzącego spod galerii i zbliżającego się do katedry. Szedł wyprostowany, a toga miękko spływała z jego ramion. Widziała, że był blady, ale spokojny, zupełnie opanowany, zgodnie z rytuałem ukląkł, pochylił się, wstał - wszystko zrobił doskonale! Serce drżało jej w piersi - nie było to już przyspieszone tętno, lecz trzepotanie skrzydeł ptaka. Gdy wstał, przywitano go oklaskami, oklaskami tak głośnymi, dochodzącymi gdzieś z głębi sali, że Łucja była niemal przerażona. Ona sama nawet nie podniosła rąk, spoczywających na kolanach. Była zbyt dumna, zbyt dobrze zdawała sobie sprawę z doniosłości chwili i za bardzo była nią przejęta. Później mu powie, co czuła w chwili promocji. Wzruszenie jej było zbyt głębokie, zbyt tajemne, by je mogła objawić publicznie.

Tak, stało się! Jego los został ostatecznie przypieczętowany. Dla niej uroczystość zakończyła się chaosem dźwięków. Ponownie zabrzmiały organy - tym razem był to hymn dziękczynny - po czym wstała wraz z innymi i torowała sobie drogę ku wyjściu.

Szło to powoli. Wszędzie pełno było ludzi, roześmianych, wesołych, nie spieszyli się, stali w grupkach tamując jej przejście.

Tu i ówdzie ktoś na nią spojrział z zaciekawieniem - tak się jej zdawało - badawczo obrzucił ją od stóp do głów, szybko odwracając oczy. Nie chciała przeciskać się koło tych ludzi, a jednak pragnęła wydostać się z sali. Przyrzekła Piotrowi, że będzie na niego czekać w kolumnadzie. Nareszcie dotarła do umówionego miejsca, lecz nie znalazła upragnionej ciszy. Zgromadziło się tu sporo zaproszonych gości żywo rozmawiając. Zdała sobie sprawę, że nie było to miejsce dla niej, w karykaturalnej sukni wyglądającej jak worek zupełnie nie

pasowała do tego otoczenia. Ale co ją to obchodzi? Niedługo to wszystko będzie należeć do przeszłości: będzie się ubierać w atłasy, a nie w takie łachy! A teraz czeka na syna. Wyjdą stąd razem.

Stała oparłszy się plecami o jakąś kolumnę, z obojętną miną patrząc na ożywioną scenerię. Nagle tłum się rozstał i ujrzała Piotra. Oczy jej rozjaśniły się uśmiechem. Nagle drgnęła i zeszywniała. Zacisnęła pięści, brwi jej ściągnęły się gniewnie, wzrok stał się martwy, nieruchomy. Oto stał jej syn, z gołą głową, w todze swobodnie spływającej mu z ramion, rozmawiał, śmiał się, był punktem centralnym grupy go otaczającej. Gdy zdumiona przyjrzała się tej grupie, usta jej ściągnęły się jakby pod wpływem wstrętu. Przesunęła ręką po oczach, powoli, nieprzytomnie. Nie, to nieprawda, nawet we śnie podobna myśl nie powstałaby jej w głowie. Tak jednak było. Znaleźli się tu wszyscy - wszyscy jej krewni, wszyscy ci, którzy sprzysięgli się na jej zgubę - Ryszard z Wera, z Karolem, no i oczywiście z Ewą, był także Edward i wreszcie Joe w towarzystwie swej siostry Polly. Pierwszy zobaczył ją Joe i swą ogromną łapą wykonał niezręczny gest powitalny. Wszystkie spojrzenia skierowały się ku niej. Przez długą chwilę stała bez ruchu, następnie powoli, jak we śnie, podeszła do nich.

- Pozwól Łucjo, że pogratuluję i tobie - od razu rzekł Ryszard z serdecznością, która wydała się jej wstrętnym fałszem - pięknego osiągnięcia twego syna.

Ujęła jego rękę sztywno, machinalnie, wciąż jeszcze oszołomiona wstrząsem, jakiego doznała na ich widok.

- I bardzo odpowiednia chwila do rodzinnego zebrania - powiedział uprzejmie Edward. Wskazał na Joego i Polly. - Gdy Piotr mi napisał, postanowiłem, że się tu spotkamy. Wszyscy jesteśmy dumnie z niego.

- Oczywiście, przyjechaliśmy aż nazbyt chętnie - wyrwał się Joe w przystępie wylewnej serdeczności. - A ja funduję kolację dla całego towarzystwa w Grosvenor.

- Jakby to wyglądało, gdybyśmy nie przyjechali oklaskiwać cię - uprzejmie zauważyła ciotka Ewa klepiąc Piotra po ramieniu. - Byłoby to bardzo brzydko z naszej strony. - Uśmiechnęła się do Łucji spod eleganckiego kapelusza o opadającym rondzie i skinąwszy urękawiczoną dłonią na gromadkę młodzieży stojącej za nią - dla Łucji była to jedynie

barwna plama - dodała słodko: - Zabraliśmy paru przyjaciół Piotra z kortu tenisowego, by pomogli nam klaskać.

Bąknęła niewyraźnie kilka słów, przedstawiając ich Łucji, która wciąż jeszcze patrzyła w osłupieniu na młodych, nie słysząc wymienianych nazwisk. Nie chciała ich słyszeć. Stopniowo wzbierał w niej gwałtowny gniew, uczucie wrogości napędzające fale krwi do jej bladych policzków. Jakim prawem ludzie ci przyszli tutaj, by pod pozorem fałszywej przyjaźni zbliżyć się do jej syna? Co łączy ich z nim - a także z nią? Co ich upoważnia i ośmiela do tego, by w tej przełomowej chwili uczestniczyć w jej zwycięstwie odniesionym z takim trudem? Ona walczyła, ona dźwigała sztandar bojowy, a oto przychodzą tamci, by bezprawnie dzielić jej triumf. Ignorowali ją, lekceważyli, zostawili zdaną na własne siły. Wspomnienie tej walki - goryczy, lęku i ostatecznej nędzy - szybko odżyło w duszy Łucji. Zacisnęła zęby, za wszelką cenę chciała powstrzymać strugę gorzkich łez. Zebranie rodzinne, a to doskonałe. O Boże! Chyba tego nie zniesie!

- Zdaje mi się, że mocno spóźnione jest to wasze zebranie - usłyszała swój własny głos. Brzmiał lodowato, gdy mówiła te słowa do Edwarda.

- Nigdy nie jest za późno na poprawę - rzekła Ewa ze śmiechem. Ta niezbyt mądra uwaga rozładowała napięcie, wywołując ogólną wesołość.

- Mamo, dajże spokój - trwożnie szepnął jej do ucha Piotr - nie bądź taka dziwna, zwłaszcza dziś. Przecież wszyscy mają wobec nas najlepsze chęci.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- A co z kolacją? - szybko wtrącił Joe wpadając w ton Ewy. - Ginę z głodu. Będziemy mieć wspaniałą ucztę w Grosvenor. McKillop jest moim dobrym przyjacielem, da nam osobny pokój. A do picia fundniemy sobie szampana, całe morze szampana. - Zwrócił się niezręcznie do Łucji:

- Jesteśmy znów w przyjaźni, prawda? Biedny jest człowiek, który nie potrafi nigdy się cieszyć.

Wśród ogólnego śmiechu zaczęto iść w kierunku podwórka - Łucja została pociągnięta wraz z całą grupką. Oczy jej patrzyły twardo, w piersiach czuła dziwny ból.

- Byliśmy zachwyceni usłyszawszy o nowej godności waszej wielbności - rzekła Ewa, kokietyrjnym, pełnym uznania spojrzeniem obrzucając książeczką purpurę kanonika. - Gdy w diecezji potrzeba nam będzie kiedyś nowego arcybiskupa... - urwała znacząco.

Białą, wypięlgnowaną ręką wykonał gest protestu.

- Naturalnie, idziemy do Grosvenor.

- Piotrze, kto to był ten młodzieniec, który nadeptał sobie na toge?

- Jeśli szampan, to tylko Veuve Cliquot, oczywiście dobry rocznik.

- Co za szczęście, że pan dostał to zajęcie w Eastern!

Wszyscy mówili równocześnie, Łucja nie miała możliwości odezwać się.

- Wciśniemy się do auta - rzekł jakiś głos za jej plecami. - Będziemy się gnieść jak śledzie w beczce, ale Piotr może przecież siedzieć na twoich kolanach, Rózo.

Łucja drgnęła, chętnie by się odwróciła, ale nie mogła. Szła obok Polly - tak, obok Polly, która - tłusciejsza niż kiedykolwiek - sapała w za ciasnej kosztownej i krzykliwej toalecie. A Polly spojrzawszy na nią współczująco, spytała:

- Co ci się stało w nogę? Kulejesz, jak gdybyś miała żyłaki.

Nie odpowiedziała na tę bezceremonialną uwagę, pragnęła przedostać się do Piotra, zabrać go stąd, pozostać z nim sama - we dwoje. Ale popychana przez intruzów, wyszła przed sklepioną bramę na drogę, gdzie pośród szeregu powozów i aut stał duży czerwony samochód, którego wypolerowana chłodnica błyszczała w słońcu.

- Proszę wsiadać! - krzyknął ten sam głos. - Ładujemy się do tej starej dryndy. - Powiedział to jakiś młody człowiek, który teraz z zachęcającym uśmiechem otworzył szeroko drzwiczki samochodu, a sam usiadł za kierownicą. - Rózo, wsiadaj! Odporna jesteś na prasowanie, będziesz pierwszą sardynką.

- Pani Moore, czy zechce pani wsiąść? - spytał ktoś tuż obok Łucji. Odwróciła się szybko. Wysoka dziewczyna o zaokrąglonych kształtach, o takich samych włosach i oczach jak ów młodzieniec, uśmiechała się do niej uprzejmie, trochę nerwowo. Ale Łucja nie

odwzajemniła jej uśmiechu. Była urażona, wściekła, wszystko to razem wydało się jej haniebnym sprzysiężeniem w celu poniżenia jej.

- Nie mogę jechać - odparła krótko, w tej samej chwili żalując swego uporu.

Podniósł się ogólny protest.

- Mamo, musisz pojechać z nami - nalegał Piotr. Położył w samochodzie togię i troskliwie pochylił się nad matką. Ale w swym gniewie uważała jego troskliwość za udawanie.

- Wiesz, że nie mogę pojechać - odrzekła rzucając mu zimne spojrzenie, raniące jej własne serce.

- Łucjo, jedź z nami - namawiał Edward.

- Nie, nie mogę - powiedziała z udręką.

- A dlaczego nie? - wykrzyknął Joe, wetknąwszy wielki palec w wycięcie kamizelki. Jakże nienawidziła tej postawy! - Od tylu lat nie byliśmy przecież razem!

Wszystkie spojrzenia skierowały się na nią.

- Muszę iść do pracy - skłamała patrząc na nich wyniośle.

Nastąpiło krępujące milczenie, Ewa zachichotała krótko - był to nerwowy odruch - i wsiadła do auta. Twarz Piotra poczerwieniała gwałtownie, a Róża spojrzała na niego nic nie rozumiejąc.

- Niech więc wsiada, kto może - uciął nagle Ryszard lodowatym tonem. - Nie możemy tu przecież stać cały dzień, a Łucja wie chyba sama, czego chce. - I wsunąwszy głowę pod daszek, szepnął Ewie kilka słów.

Po tym powiedzeniu Ryszarda, wszyscy wsiadli do ogromnego samochodu - wszyscy prócz Łucji. Motor zahuczał pod czerwoną maską, z rury wydechowej buchnął dym; Łucja czuła wzrok syna, który wpatrywał się w nią zakłopotany, niemal magnetyzującym spojrzeniem. Zanim wóz ruszył z miejsca, podeszła i zmusiwszy się do konwencjonalnej grzeczności, pożegnała ich i szybko się oddaliła.

Słyszała warkot odjeżdżającego samochodu, lecz nie odwróciła głowy, nie zawróciła też z drogi, gdy z ciszy, jaka zapanowała, mogła wywnioskować, że odjechali. Nakładając co najmniej milę, szła złą okrężną drogą wiodącą do Flowers Street przez cały labirynt slumsów. Mogła tego uniknąć zawracając po prostu na właściwą drogę. Ale nie, nie chciała tego zrobić. Z podniesioną głową szła dalej - własną drogą!

Gdy doszła wreszcie do mieszkania, była tak strasznie zmęczona, że nie zdjąwszy nawet kapelusza i rękawiczek, rzuciła się na swoje łóżko w kuchni. Leżała bez ruchu, wpatrzona w popękany, żółkły sufit.

Skłamała oczywiście, zasłaniając się robotą. Dzięki wspaniałomyślności panny Tinto miała przed sobą cały dzień, była wolna aż do piątej, kiedy z konieczności uda się do biura po swoją pensję. Czemu więc jest tutaj, odrętwiała, nieszczęśliwa, dążąca do jakiegoś niewiadomego celu, gdy mogła przecież być z Piotrem na przyjęciu i pić szampana?

Poruszyła się niespokojnie dręczona zazdrością. Jakże to wszystko niesprawiedliwie, jakie krzywdzące! Piotr należy do niej - złączony węzłem silniejszym niż przypadkowy fakt urodzenia. Od owego dnia, kiedy jako ośmioletni chłopczyk rzucił się w jej ramiona po powrocie z Port Doran, przywiązała go do siebie łańcuchem ukutym jej własnymi rękami.

Przymknęła oczy, poczuła delikatną woń róży na piersi, woń subtelną jak ból, jak męka nienasyconej tęsknoty.

O pierwszej Łucja wstała, zaparzyła sobie mocnej herbaty i wypła chciwie ciemny, gorzki napój. Zrobiło się jej lepiej, uspokoiła się trochę. Powoli zdjęła dziurawy but, pończochę i zauważyła, że skaleczona noga krwawi. Nic poważnego - drobnostka, nawet nie czuła bólu; obmyła jednak ranę, zacerowała pończochę, naprawiła but (według poprzedniej recepty) i włożyła na nogę. Doszła do przekonania, że niepotrzebnie się zdenerwowała. To nagłe zebranie niepożądanych krewnych było przecież tylko wydarzeniem przypadkowym, które rychło minie i nigdy się już nie powtórzy.

Uspokajała się coraz bardziej. Zaczęła się krzątać po mieszkaniu, porządkować, włożyła różę do filizanki z wodą, wreszcie o czwartej po południu wyszła, wsiadła do tramwaju i pojechała do biura. Tam była milcząca i spokojna. Czuła na sobie badawcze spojrzenie panny Tinto, więc powiedziała, że wszystko odbyło się cudownie. Otrzymawszy jednak pensję, skorzystała z pierwszej sposobności, by wyjść z biura. Jako powód podała

konieczność natychmiastowych zakupów, a w tym wypadku oświadczenie to zgodne było z prawdą. Istotnie obeszła swoje ulubione sklepy i zakupiła zdumiewająco dużo. I nie targowała się jak zwykle, lecz kupowała prawie lekkomyślnie. Nastrój jej, coraz pogodniejszy, przybrał pewien odcień bez troski. Teraz była nawet zdumiona, że przed południem straciła do tego stopnia panowanie nad sobą - wstrząs, niespodziane zaskoczenie spowodowały jej nagły gniew. Ach, ta moja porywczosć! - pomyślała z niechęcią. Po chwili odzyskawszy całkowicie równowagę uśmiechnęła się, po raz pierwszy w ciągu tego dnia. Tak, swobodne wydawanie pieniędzy sprawiało jednak przyjemność! Kupiła nawet bukietik lewkonii u starej kobiety na rogu James Square. Kwiaty! Dzika rozrzutność, wywołana tym nowym nastrojem, a może też wspomnieniem róży do Bessie Finch. Co za niemądry pomysł.

Obładowana paczkami wyskoczyła z tramwaju przy Kelvinbank i szybko biegła ulicą - zupełnie inaczej niż zwykle. Piotr nie wrócił jeszcze - co ją dziwnie ucieszyło. Z największym pośpiechem zdjęła kapelusz, włożyła filcowe pantofle i zabrała się do przygotowania obiadu.

Tak, nie żadnej marnej herbatki, lecz prawdziwego obiadu. Na śniadaniu był zapewne w "Grosvenor". Dobrze, niech teraz porówna tamtą drogą kuchnię z jej sztuką gotowania. Ten obiad będzie równocześnie uroczystością, usprawiedliwieniem i pojednaniem.

Pozwoliła sobie na rzadki zbytek, kupując kurczaka, a gdy ten wspaniały ptak ze smakowitym nadzieniem skwierczał w piecyku - był mały, więc piekł się szybko - zaczęła robić dalsze przygotowania do uczyty. Jej menu było wyszukane: zupa pomidorowa ze śmietaną, pieczone kurczę z kartoflami - Piotr nieraz zapewniał, że nikt nie potrafi ugotować kartofli tak dobrze jak ona - świeży szwajcarski torcik, kupiony w cukierni Colville'a, a na zakończenie kawa, mocna, ciemna, aromatyczna. To się nazywa jedzenie! Czy panna O'Regan mogłaby wymyślić coś lepszego?

Z podwiniętymi rękawami i skupioną twarzą krzątała się żywo jak młoda dziewczyna.

Gdy obiad się gotował, nakryła do stołu, wybierając najmniej obtłuczone talerze, a łąkę na środku obrusa zasłoniła niebieskim wazonikiem z lewkoniami. Po dokonaniu tego była wreszcie gotowa na przyjęcie syna. Usiadła przyjemnie zmęczona, niecierpliwie patrząc na zegar, na którym brakowało już tylko jednej minuty do siódmej. Piotr zaraz nadejdzie, był punktualny, a rano na jej pytanie kiedy wróci - już wtedy nosiła się z myślą tej uczyty -

naznaczył swój powrót na godzinę siódmą. Zamieniona w słuch siedziała czekając na jego kroki na schodach.

Nic jednak nie było słyhać: ani kroków, ani gwizdania, jakim ją zwykle witał. O pół do ósmej wstała, przeszła do frontowego pokoju i wyjrzała przez okno na ulicę, ale nie było go widać.

Wróciła do kuchni i spojrzała na zegar. Za piętnaście ósma! Była zaniepokojona, ale spojrzenie na stół szybko ją uspokoiło. Wszystko było bez zarzutu, gotowy obiad czekał w piecyku. Poprawiła gałązkę lewkoni i usiadła.

Nie mogła jednak wytrzymać. Wstała, zaczęła chodzić po pokoju, przystanęła, znów podeszła do okna, w trwożnym wyczekiwaniu spojrzała na opustoszałą ulicę i powoli wróciła na dawne miejsce.

Znów usiadła, ponownie utkwiała wzrok w zegar, czekając z potęgującym się lękiem.

Stopniowo radosny nastrój wyczekiwania przygasł, zmarszczka przecięła jej czoło, z twarzy uleciała radość. Co mu się przydarzyło? Było już po ósmej. Ogarnęło ją przykre uczucie niepokoju. Starła się opanować, ale na próżno. Znów się zerwała i zaczęła biegać po pokoju. Co chwila spoglądała na zegar, to wyglądała przez okno lub podchodziła do drzwi, otwierając je nawet, jak gdyby chciała szybciej usłyszeć odgłos jego kroków na schodach, czekając, czekając, czekając, wyężając słuch, by pochwycić znajomy gwizd.

Była godzina dziewiąta, a on nie wrócił. Zmusiła się do siedzenia. Pół do dziesiątej, a jego wciąż jeszcze nie ma. Obiad się zmarnował - kurczę wyschło, kartofle twarde były jak rzemień, kawa zmieniła się w kałużę mętnych fusów na dnie dzbanka.

Wraz z gęstniejącym mrokiem radość dnia zgasła ostatecznie. Łucja wstała, zebrała ze stołu, wyrzuciła kawę, zupę przelała do glinianego garnka, kurczę wstawiła do kredensu - usuwając ślady przygotowanej uczyty. Usta jej wykrzywił grymas niewysłowionego smutku, ale oczy, jakkolwiek rozszerzone i wilgotne, nie uroniły ani jednej łzy.

Kiedy z uderzeniem dziesiątej wrócił nareszcie, siedziała robiąc pończochę, czoło jej było jasne, twarz nieodgadniona.

- Nie mogłem się wyrwać z tego towarzystwa - zawołał od progu. Był zadyszany, lecz uśmiechał się, miał świetny humor. - Myślałaś może, że już wcale nie wrócę? Martwiłaś się?

Nie przerywając swej roboty utkwiała w nim mocne spojrzenie.

- Nie, wiedziałam, że wrócisz - powiedziała spokojnie, a następnie dodała powoli, akcentując mocno każde słowo: - A czemuż miałabym się martwić? Przecież mamy przed sobą całą przyszłość!

Pięć miesięcy później, kiedy jego praktyka w szpitalu dobiegała końca, Łucja powzięła ostateczną decyzję co do ich przyszłości. Na jego nieśmiałe wzmianki, że ktoś mógłby mu sfinansować praktykę lekarską, odpowiedziała pobłażliwym uśmiechem. Miał dopiero dwadzieścia dwa lata, i skąd, na litość Boską, miałby dostać pieniądze? Nie, istniała tylko jedna dostępna droga, nawet przyjemna, jakkolwiek łącząca się z perspektywą ciężkiej pracy. Praca była jednak nieunikniona, jeśli młody człowiek miał się wybić, a że miała być ciężka, to chyba oboje, zarówno ona, jak i on, byli do tego przyzwyczajeni.

Musi przyjąć jakąś prywatną asystenturę w Anglii - gdzieś na prowincji - a ona będzie mu tam prowadzić gospodarstwo. Anglia pociągała ją z dwóch powodów: płacono tam wyższe pensje niż w Szkocji, a przede wszystkim pragnęła zerwać wszelką łączność z obecnym otoczeniem. Zbyt długo harowała w Glasgow, by lubić tę miejscowość, poza tym była w pewnych dzielnicach postacią tak znaną, że zawsze istniała możliwość, iż piętno jej poniżającego zajęcia odbije się na synu i utrudni mu początki praktyki. Wyjadą więc do Anglii. W myśli widziała już niewielki, wdzięczny domek w jakimś miłym prowincjonalnym mieście - naturalnie, na początek nie będą mieli nic wspaniałego, ale domek będzie czysty i przyzwoity, tak, z kwadratową mosiężną tabliczką na drzwiach. A jak będzie czyścić ten mosiądz! To naprawdę świetny pomysł. Przeglądając "Lancet" w bibliotece miejskiej, czytała regularnie ogłoszenia - w zeszłym tygodniu zauważyła ogłoszenie, na którego widok oczy jej zabłyśły nagłą radością. Towarzystwo Lekarskie w North Stafford poszukiwało dwóch młodych asystentów - pierwszeństwo mieli właśnie absolwenci uniwersytetu w Glasgow - a za całodzienną pracę ofiarowywano wolne mieszkanie, opał, oświetlenie oraz pensję wynoszącą trzysta pięćdziesiąt funtów rocznie. Zapewniony dochód i to wszystko bez najmniejszego wkładu kapitału. Była zachwycona: dwa miejsca wolne! Piotr mógłby na pewno dostać jedno z nich.

Przejęta tym projektem, uważając, że ma pełne prawo decydować o losie syna, zatelefonowała do niego do szpitala, On również przeczytał to ogłoszenie, ale dziwne: wahał się jakoś. Kontraktowa praktyka nie nęciła go, praca ciężka, a w dodatku piętnująca

człowieka na całe życie i obniżająca kwalifikacje. Właściwie zdecydowanie wypowiedział się przeciw ubieganiu się o tę posadę.

Ona jednak zapatrywała się na to zupełnie inaczej, wczoraj telefonowała do niego. a dziś, w sobotę po południu, postanowiła omówić tę kwestię szczegółowo, skoro tylko przyjdzie. Zwykle odwiedzał ją tego dnia i o tej porze, ale w ostatnich czasach z powodu swych obowiązkowych zajęć w szpitalu - nazywał je "harówką" - wizyty jego były trochę nieregularne. W ostatnich czasach Łucja czuła w sobie narastanie jakiegoś nieokreślonego, przykrego uczucia, nie umiając jednak dociec przyczyny. Nie wiedziała właściwie, jaki jest stosunek Piotra do niej, syn stał się dziwnie zamknięty w sobie. Usilnie starała się odkryć przyczynę tej zmiany, lecz nie umiała.

W ciągu tych pięciu miesięcy odczuwała jego brak nieskończenie więcej, niż przyznawała przed sobą. Czuła się bardzo osamotniona widując go tak rzadko. Trochę pocieszał ją fakt, że Royal Eastern jest w pobliżu. Nieraz, siedząc wieczorem w ciemnym pokoju frontowym, długo patrzyła w zapalające się na przeciwległym wzgórzu za uniwersytetem światła szpitala.

W tej chwili odpoczywając wygodnie na krześle, podpierając policzek ręką, wciąż jeszcze doznawała dziwnego uczucia niezadowolenia. Mimo jednak zmarszczki niepokoju, która stale rysowała się na jej czole, twarz miała pełniejszą, jak gdyby ostatnio odżywiła się regularniej. Była ubrana w ładną wełnianą suknię - brązowa uszyta przez nią dawno już powędrowała do wdzięcznej pani Collins - ale mimo to nie wyglądała na zadowoloną. Oczy jej miały wyraz przygnębienia. Może potrzebowała wypoczynku? Na pewno tak, urządziła się nawet w ten sposób, że z początkiem przyszłego miesiąca mogła wziąć sobie należny dwutygodniowy urlop. Potem wymówi pracę, ale za życzliwą namową panny Tinto zgodziła się na mądry plan uzyskania urlopu od firmy "Henderson i Shaw" przed porzuceniem posady. Bez tej namowy nie byłaby sobie zadała tego trudu, całkowicie pochłonięta myślą o wspólnej przyszłości z synem.

Nagle, kiedy tak siedziała, pociągnięto za dzwonek. Wstała powoli, wiedząc, że to nie Piotr, który wciąż jeszcze gwizdem oznajmiał swoje przyjście, i przeszedłszy do przedpokoju, zamknęła stojące otworem drzwi frontowego pokoju. W ostatnich czasach stała się jeszcze bardziej wrażliwa na pustkę swego mieszkania i uważała, że należy ją ukrywać przed obcymi. Następnie otworzyła drzwi wejściowe.

Na progu stał starszy człowiek z czerwoną twarzą, rysy jego jakby zastygły w pytającym uśmiechu, który odsłaniał złoty ząb na przodzie i ściągał błyszczącą skórę na bulwiastym nosie w delikatną sieć zmarszczek. Człowiek ów był niskiego wzrostu, miał na sobie płaszcz z czarnego gładkiego sukna z aksamitnymi wyłogami i niskim kołnierzem, spoza którego wylewały się fałdy czerwonego karku. W szerokim krawacie tkwiła błyszcząca szpilka z granatem. Palce, ozdobione trzema pierścieniami, głęboko wcinającymi się w ciało, trzymały pionowo ciężką laskę z Malakki ze srebrną gałką. Na głowie miał naciśniętą na uszy astrachańską futrzaną czapkę, kształtem zbliżoną do turbanu - dziwaczną czapkę, która nadawała temu człowiekowi oryginalny wygląd.

- Pani Moore? - spytał, wciąż jeszcze uśmiechnięty, starając się rozpoznać Łucję byстрыm spojrzeniem otoczonych zmarszczkami oczu.

- Tak! - odparła dość szorstko, niemile zaskoczona jego dziwnym wyglądem.

Skinął głową z uznaniem dla swej mądrości i po krótkiej pauzie powiedział:

- Chciałbym z panią pomówić.

Popatrzyła na niego zdumiona i spytała:

- Czego pan chce? Nie znam pana.

Zachichotał nagle z pewnego rodzaju wewnętrzną wesołością, jak gdyby myśl, że się nie znają, mocno go bawiła, następnie oświadczył:

- Wkrótce się poznamy, z pewnością, z całą pewnością!

- Czego pan chce? - rzuciła ponownie.

Chytrze przymrużył oczy.

- Chciałbym z panią pomówić w sprawie syna. - Powstrzymała ruch, którym zamierzała zatrzaskać mu drzwi przed nosem. - No tak! - zawołał, znów marszcząc błyszczący nos; był to jego uśmiech. - Niechże pani nie będzie taka sztywna, Wejść i pomówimy.

Zawahała się, po czym wbrew własnej woli cofnęła się nieco. Słowo "syn" podziało ją jak zaklęcie.

- O co chodzi? - spytała gwałtownie, gdy weszli, patrząc mu prosto w twarz, a serce waliło jak młotem. Jej spokojne rozmyślenia zostały przerwane w brutalny sposób. Czy to jakiś lichwiarz, jakieś indywiduum, w którego ręce wpadł Piotr?

Usiadł, szeroko rozstawił kolana i obie ręce położył na gałce laski.

- Z trudem panią odszukałem - zauważył uprzejmie, pochylając się naprzód. - Ten pani syn strasznie jest skryty, przynajmniej co do pewnych rzeczy. Kiedy indziej mówi, co mu ślina przyniesie na język. Ale wspaniały chłopak. - Uśmiechnął się do niej wesoło. - Dobrze się prezentuje, nie ma co!

Była w najwyższym stopniu zaniepokojona.

- Czego pan chce? - nalegała ostrym, nieprzyjemnym głosem.

- Ależ łaskawa pani - uspokajał ją. - Niechże pani nie będzie taka lodowata, zaprzyjaźnimy się niedługo. - Zachichotał z wymownym wyrazem twarzy, gałką laski lekko stuknął w swój złoty ząb i nagle wykrzyknął: - Nazywam się Tully. - Obserwował, jakie wrażenie wywołają te słowa, następnie dodał: - Zna pani to nazwisko - Tully, jubiler przy Alston Street. To właśnie ja.

Patrzyła na niego osłupiała. Spojrzenie jej ślizgało się po nim, jeszcze raz obejrzała dokładnie szpilkę w krawacie, pierścienie, laskę, spoczęło nawet na śmiesznym kapeluszu, leżącym obok niego na stole. Więc to jest Tully, ta wystrojona, groteskowa postać, obwieszona klejnotami z nie wykupionych zastawów. Jednak mimo zdumienia, w jakie wprawiała ją obecność tego człowieka w jej mieszkaniu, pogardliwie wydeła usta:

- Tak, wiem, kim pan jest, nie jest pan jubilerem. Jest pan lichwiarzem i właścicielem domów w slumsach.

Wybuchnął gromkim śmiechem i laską stuknął w podłogę. - Doskonale, doskonale! - krzyknął, wcale nie speszony. - To lubię. Lubię szczerość... również jak mój codzienny kieliszek Jamesona [whiski] - umilkł i kanarkową chusteczką otarł sobie czoło. - Tak, mówiono, że pani jest dzika, i na Boga, widzę, że to prawda.

- Kto to panu powiedział? - rzuciła gwałtownie.

Uprzejmie mrugnął okiem.

- Przyjaciele pani w Ralston, tak, droga pani. Ale wolę milczeć. Bo widzi pani, mieszkam w Ralston. Mam tam ładny dom i kilka akrów pięknego ogrodu - musi pani przyjechać i obejrzeć - a to wszystko dzięki lichwie i domom czynszowym. Ha! ha! ha! - Znów trząśnięty się ze śmiechu, rozweselony swoim żartem.

Opanowała się z wysiłkiem. Usiadła naprzeciw niego przy stole.

- Czy zechce mi pan powiedzieć, czego pan sobie życzy? - spytała ostro. - Przypuszczam, że mój syn wpadł w pańskie wstrętne lichwiarskie ręce. Ile jest panu dłużny?

Na te słowa, a jeszcze bardziej pod wpływem jej tonu, mina jego zmieniła się momentalnie, obrzucił Łucję szybkim spojrzeniem i powiedział:

- Nie, moja pani. Jak Boga kocham, nie jestem lichwiarzem - urwał. - Syn pani lata za moją córką Różą, to wszystko. - Rozparł się w krzesło z obrażoną miną, jak gdyby czekał na słowa usprawiedliwienia ze strony Łucji. Ale ona wcale nie miała się zamiaru usprawiedliwiać; jak nieprzytomna, z zaciśniętymi ustami wpatrywała się w niego. Pierwszy przerwał milczenie:

- Tak, zawrócił sobie głowę moją córką. A jest prześliczna, przysięgam. Wykapany obraz zmarłej matki, która jest teraz z aniołami. Ta córeczka to moja ulubienica. - Spojrzał na bladą, napiętą twarz Łucji i ciągnął dalej pobłaźliwie: - Proszę zrozumieć, nie mam nic przeciwko synowi pani. Nie ma wprawdzie ani grosza, ale to nie szkodzi. Ja mam za to mnóstwo pieniędzy. Całe mnóstwo. Moja Różyczka dostanie ładny posag. A on ma swój zawód. Tak, dzielnie się spisał i ma piękny zawód. Lubię go osobiście, mimo całej jego przesadnej gładkości. - Drgnęła, ale on tego nie zauważył i mówił dalej: - Dobrze to o nim świadczy, że tego dokonał, i ma głowę nie do pozłoty, wie, że dwa a dwa to cztery. To przemawia na jego korzyść.

Wciąż jeszcze siedziała ogłuszona, przerażona, ale poprzez mgłę sprzecznych myśli przedarło się do jej świadomości niejasne wspomnienie i od razu przypomniała sobie wszystko. Róża! Gra w tenisa! Przyjaciele Ewy w Ralston! I ta rosła ruda dziewczyna, która

w dniu promocji stała obok auta i patrzyła na nią trochę niespokojnie: "Pani Moore, czy zechce pani wsiąść?" A potem roześmiany głos jej brata: "Piotr może siedzieć na twoich kolanach, Rózo".

Wstrząsnął nią dreszcz przerażenia. Róża Tully - córka tego wstrętnego lichwiarza, właściciela domów w slumsach, dla którego harowała od lat, wydzierając nieszczęsnym biedakom ostatnie grosze, by on miał czym zapłacić za swoją willę i ogrody, by mógł napychać sobie kabzę i stroić tę swoją wstrętną córkę! Zadrżała i zacisnęła zęby.

- Czy jeszcze coś więcej przemawia za moim synem? - spytała tonem goryczy.

- Tak, tak - przytaknął wspinałomyślnie. - Wyznaje właściwą religię. To także przemawia za nim. Nie chciałbym dla mojej Różyczki mieszanego małżeństwa. Jeśli ma pójść do ołtarza, to niech to będzie ołtarz prawdziwy.

Jego gruboskórne zadowolenie z siebie doprowadzało ją do wściekłości, wzrastał w niej gniew, wywołany tym bezceremonialnym oświadczeniem.

- A teraz, gdy pan już zaspokoił moją ciekawość - powiedziała twardo, dobitnie - kolej na mnie.

- Niby co?

- Czy mój syn wie, że pan tu jest?

- Nie, nie wie, z całą pewnością. To pomysł Tully'ego - to znaczy mój własny.

To, że mógł jeszcze żartować, zerwało ostatnią nić jej cierpliwości.

- Więc wszystko już ułożone? - spytała szyderczo.

- Wielki Boże! Wcale nie ułożone. Należy jeszcze omówić mnóstwo rzeczy.

- Doprawdy! - zawołała z sarkazmem.

Spojrzał na nią.

- Wiem, co pani czuje. Ale nie poniesie pani straty. Już ja się o to postaram. -
Rozejrzał się znacząco po skąpym urządzeniu pokoju. - Przyślę pani trochę mebli, parę
dywanów, no i rozmaite rzeczy. Niechże się pani uspokoi. Przyślę pani także...

- Niech pan natychmiast przestanie! - krzyknęła gwałtownie. - Czy pan sądzi, że
potrzeba mi pańskiej podłej jałmużny, mnie lub mojemu synowi?

Otworzył usta. - Jałmużny? Och, jeszcze mnie pani nie zna - wykrztusił - i nie zna
pani mojej Różyczki!

- I nigdy jej znać nie będę - rzekła z goryczą.

- Co... co? - Ugodzony w najdrażliwszy punkt, poczerwieniał gwałtownie, jego
rumiana twarz stała się buraczkowa. - Jak Boga kocham, moja pani - odparł w uniesieniu - kto
dostanie moją Różyczkę, będzie mógł mówić o szczęściu.

Spojrzała na niego zupełnie nieprzytomna.

- Mój syn nie będzie tym szczęśliwcem - powiedziała niskim, zdławionym głosem. Po
czym wstała i wlepiała w niego oczy.

- Wielki Boże, pani jest naprawdę szalona - stracił całą pewność siebie. - To szansa,
jaka nie zdarzy mu się w życiu po raz drugi. A w dodatku, gotów byłem zrobić dla niego
więcej. - Błagalnie wyciągnął rękę. - Niechże pani pozwoli omówić ten cały interes. Kocham
córkę i pragnę jej szczęścia. To skłoniło mnie do przyjścia tutaj. Czy pani zechce wyjść mi
naprzeciw do połowy drogi?

- Nie! - krzyknęła gwałtownie.

- Dlaczego nie? - spytał.

- Odmawiam, to panu chyba wystarczy. - Czy ma się wdawać w spór z tym
przeklętym lichwiarzem?

Spojrzał na nią osłupiały i wreszcie wstał z krzesła.

- Pani nie jest przy zdrowych zmysłach. Tak, tak, nie jest pani przy zdrowych
zmysłach. Ale mnie przecież uprzedzali - tak, uprzedzali mnie.

Znowu oszczerstwa za jej plecami!

- Jeżeli tak - warknęła - to proszę nie zadawać się ze mną.

Znów na nią spojrział wydymając czerwone policzki.

- Na Boga, jest pani dziwną osobą - dodał na zakończenie. - I przyrzekam, że nie będę się z panią zadawał. - Powiedziawszy to, powoli nasadził swój śmieszny kapelusz, potrząsnął głową i wyszedł.

Natychmiast nastąpiło odprężenie, usiadła kompletnie wyczerpana. W oczach jej zjawiał się znów poprzedni wyraz żalosnego przerażenia, wywołanego wstrząsem. Tak, wstrząs był okropny, zbieg wypadków tak okrutnie niesprawiedliwy! Z wszystkich możliwych, właśnie córka Tully'ego! To Ewa zapoczątkowała tę znajomość - zacisnęła usta myśląc o tym - Ewa, ze swym tenisem, towarzyskimi ambicjami i udawaniem przyjaźni. Oto jeszcze jeden cios.

A Piotr - czemu jej tego nie powiedział! Usta jej zadrgały. Szarpnął ją przesywający ból zazdrości. Ale szybko znalazła odpowiedź: jest młody, lubiany, zaślepiiony, wrażliwy. Nie, nie mógł mieć poważnych zamiarów - znowu zazdrośnie odtrąciła tę myśl. Ale ona musi działać bezzwłocznie - musi rozmówić się z nim jeszcze w ciągu dzisiejszego popołudnia. Musi to zrobić! Nie potrafi siedzieć w milczeniu, gdy syn jej został zwabiony w podstępne sidła, mogące zniszczyć całą jego przyszłość. Z napięciem spojrzała na zegar. Kwadrans po trzeciej. Minęła już zwykła pora odwiedzin Piotra, pewnie jest dziś znów zbyt zajęty i nie może przyjść. Jeśli jednak on nie przyjdzie do niej, to ona była zdecydowana pójść do niego. Przeszła do frontowego pokoju i wytyżając wzrok spojrzała w kierunku szpitala.

Świadomym wysiłkiem woli zmusiła się do czekania jeszcze pół godziny. Zapatrzona w przestrzeń i ze ściągniętymi brwiami stała nieruchomo przy oknie. Następnie z wysuniętym charakterystycznie podbródkiem zaczęła się żywo krzątać. Włożyła kapelusz, rękawiczki i nie zwlekając wyszła z domu.

Na dworze wiał silny wiatr, ale umysł jej był bardziej wzburzony. Mimo to biegnąc szybko ulicą postanowiła przede wszystkim zachować spokój. Wiedziała, że jest to jedyny sposób mogący doprowadzić do celu. Musi zachować spokój w tym niespodziewanym kryzysie! Tym razem nie dopuści do dzikiego, rozpaczliwego wybuchu, zachowa spokój.

Przechodząc przez zakurzony park i kierując się do szpitala, z napięciem wpatrywała się w wielkie, szare kontury gmachu. Wejście bez pozwolenia i znajomości terenu w obręb tych nieznanych i tajemniczych murów było już samo w sobie niezwykłą przygodą. Zrobi to jednak. Nie może zwlekać. Energicznie przeszła przez obszerny wybrukowany dziedziniec pomiędzy wysuniętymi naprzód tarasami sal szpitalnych, gdzie chorzy w szkarłatnych kitlach wygrzewali się w blaskach słońca.

Przy głównym wejściu podeszła do budki portiera.

- Czy jest doktor Moore? - rzuciła krótko.

Portier, niemłody już człowiek, odłożył gazetę i spojrzał na Łucję sponad okularów z całym pesymizmem bogatego doświadczenia.

- Doktor Moore prawdopodobnie wyszedł - rzekł potrząsając łysą głową.

- Nie sędzę - odparła krótko i wyjaśniła, kim jest.

- No, tak - powiedział wreszcie - skoro to coś ważnego, a pani chce spróbować, to proszę na pierwsze piętro, na prawo. - Ruchem ręki wskazał bez przekonania schody, którymi miała wejść na piętro.

Według tej wskazówki weszła po kamiennych schodach na korytarz wyłożony białymi kaflami. Przenikliwa woń chloroformu i karbolu drażniła jej nozdrza. Przez szklane obrotowe drzwi ujrzała przelotnie długi szereg łóżek.

U wylotu korytarza wskazanego jej przez portiera przystanęła, widząc przed sobą troje drzwi: dobiegł ją nagle wybuch śmiechu, środkowe drzwi otwarły się i przed Łucją stanęła niespodziewanie pielęgniarka. Była to roślą, średnich lat kobieta, w powiewnym welonie, jej mankiety i szeroki nakrochmalony pas lśniły śnieżną bielą. Uśmiech,, widniejący jeszcze na twarzy, zgasł na widok Łucji.

- Proszę? - spytała krótko.

- Chcę się zobaczyć z doktorem Moore - odrzekła Łucja równie szorstko.

- W sprawie pacjenta?

- Nie!

- Chodzi o przyjęcie?

- Nie!

Spojrzały na siebie. Siostra zamilkła zrozumiałwszy, że ma przed sobą kogoś równie energicznego, jak ona sama.

- Obawiam się, że pani nie będzie mogła go zobaczyć - powiedziała zniecierpliwiona tonem wyższości. Doktor nie ma dziś dyżuru, ale jest chwilowo zajęty.

- Mnie przyjmie - to mój syn.

- Syn pani?

Twarz pielęgniarki przybrała nagle wyraz zdumienia, następnie powściągliwej uprzejmości.

- W takim razie - rzekła w końcu - proszę wejść. Jestem siostra Cooper, zarządzająca na tym piętrze. - Umilkła. - Doktor urządził właśnie małe przyjęcie, a właściwie ja je

urządziłam dla niego. - Rysy jej wygładziły się, a urzędowa mina zniknęła całkowicie. - Żeby wszystko było jak się należy, rozumie pani.

Łucja nie rzekła ani słowa. Nie miała pojęcia, co ta wykrochmalona kobieta chciała przez to powiedzieć, a nie była też usposobiona do zastanawiania się nad znaczeniem jej słów. Gdy weszła jednak za nią do służbowego pokoju Piotra, od razu zrozumiała tę aluzję. Jej twarz, która złagodniała na myśl o spotkaniu z synem, zbladła raptownie i przybrała wyraz gorzkiego rozczarowania. Stolik nakryty białym obrusem był przygotowany do herbaty. Siedział przy nim Piotr z filiżanką w ręku, tak, siedział na sofie, a obok niego na tej samej sofie siedziała Róża Tully.

Sytuacja naturalna i zwykła: sympatyczny młodzieniec, zadowolony z siebie i ze świata, podejmuje herbatą młodą dziewczynę - wyglądającą na równie zadowoloną - pod macierzyńskim okiem zarządzającej siostry oddziałowej.

Ale dla Łucji nie był to widok zwykły. Dla niej było to coś strasznego, wstrząsającego. Nowy cios, tym cięższy, że zupełnie nieoczekiwany. Zażyłość tych dwojga na sofie była dla niej czymś druzgocącym. Szumiało jej w uszach, w boku poczuła nagle dojmujący ból. Wciąż jeszcze przerażona, nie mogła oderwać wzroku od pulchnej rudowłosej dziewczyny, siedzącej tak blisko jej syna. Widziała teraz, że jest piękna - znów uczuła tę samą dręczącą zazdrość! - o jasnej cerze, upstrzonej drobniutkimi piegami, ciemnych oczach, pięknych białych rękach i miękkich, raczej pełnych ustach. Jak ten odrażający Tully mógł wyhodować taką wdzięczną latorość! Jak mogło to białoróżowe stworzenie wyrosnąć pod trzema mosiężnymi kulami. Wargi Łucji zbladły i skrzywiły się, a jej ręce, spracowane w służbie u syna, zacisnęły się mocno.

- Panie doktorze, pańska matka przyszła w odwiedzinach - rzekła siostra z nieco hałaśliwą serdecznością, pod osłoną której kryła się niepohamowana ciekawość. Filiżanka w ręku Piotra zachwiała się. Podniósł oczy, a twarz jego zmieniła się momentalnie, przybrała wyraz przerażonego zakłopotania.

- Ach, tak - zawołał niemądrze. Nastąpiła pełna napięcia cisza, długa pauza, w ciągu której zmieszana panna Tully zaczerwieniła się mocno.

- Pani Moore, proszę usiąść - serdeczniejszym tonem zapraszała siostra. - Przyrzekłam doktorowi zająć się herbatą. Napije się pani również filiżankę.

Łucja usiadła sztywno, plecy miała wyprostowane, jakby połknęła kij; nie odrywała oczu od postaci dziewczyny siedzącej na sofie. Niestety, atmosfera zadowolenia, jaka tu panowała przed chwilą, przysła jak bańka mydlana.

- Jeden kawałek? - Szczypce do cukru podniesione były lekko, pytająco. Pięknie. Łucja nie powiedziała nic.

- I trochę śmietanki.

Węsząc chłodny, napięty nastrój, jak rumak zbliżającą się bitwę, siostra z jeszcze większą przyjemnością oczekiwała nowego, nieoczekiwanego zwrotu przyjęcia. - Myślę, że będzie pani smakować - rzekła, z wyszukaną grzecznością podając Łucji filiżankę. Znów nastąpiła pauza: Róża nadal była czerwona jak kwiat, którego imię nosiła, siostra Cooper "w doskonałym humorze" obserwowała scenę z wielką uwagą, a Piotr starał się za wszelką cenę odzyskać równowagę.

- To... to nieoczekiwany zaszczyt, mamó - wybąkał w końcu. Była to słaba i nieudana próba rozładowania napięcia.

- Tak. Aż mnie zatkało ze zdziwienia - wtrąciła siostra. - Nigdy bym nie przypuszczała, że pani jest matką doktora, Nigdy! - Zamilkła, pozwalając na dowolne tłumaczenie tych niejasnych słów, następnie uśmiechnąwszy się do wszystkich, ponownie spojrzała na Łucję. - Ale nie mogła pani wybrać przyjemniejszej chwili prawda?

- Oczywiście - z trudem rzekła Łucja czując, że ręka, w której trzyma filiżankę, drży: nie ze wzruszenia, lecz z gniewu. Spokojnie jednak, spokojnie - mówiła sobie. Kiedyś, w podobnej krytycznej sytuacji, jakież straszne skutki miała dla niej ta jej porywczosć.

Siostra Cooper roześmiała się z zadowoleniem: nie była złośliwa - ale co za sytuacja! Jaką pyszną historię będzie mogła opowiedzieć wieczorem na wspólnej sali!

- Pani mieszka na wsi, nieprawdaż? - podjęła znowu. - W Ardfillan, jak mówił syn pani, o ile sobie przypominam.

- Mieszkam w najbliższym sąsiedztwie - krótko odparła Łucja.

- Coś takiego! - siostra była zdumiona. - A ja myślałam, że na wsi.

- W najbliższym sąsiedztwie, powtarzam. - Słowa te zostały wypowiedziane z niebezpieczną zwięzłością.

- Mamo, pozwól jeszcze kawałek ciasta - wybąkał Piotr, ciągle bardzo zakłopotany.

- Przecież nie tknęła jeszcze pierwszego - żywo odpowiedziała siostra.

Zapadło milczenie. Trwało ono aż do chwili, kiedy Róża zdobywszy się wreszcie na odwagę, zwróciła się do Łucji.

- Piękna mamy dziś pogodę - rzekła zdawkowo, ale z wielkim nakładem dobrej woli. Była znów blada, a na jej wzruszająco delikatnej twarzy jedynie usta odcinały się wyraźną plamą czerwieni. Piotr spojrział szybko na matkę, również siostra Cooper z ciekawością czekała odpowiedzi na tę łagodną próbę nawiązania przyjaznych stosunków. Ale Łucja z nieprzejednaną miną, wpatrzona w dywan, wcale nie zamierzała odpowiedzieć. Wiedziała, co myśleć o tej słodkiej istocie siedzącej na sofie. Nurtująca, gwałtowna gorycz zalała ją falą nagłej nienawiści. Zazdrość - dziwna, nienaturalna zazdrość - paliła jej pierś jak płomień.

- Nie można powiedzieć, na dworze jest bardzo ładnie - powiedziała siostra z krótkim westchnieniem. Uśmiechnęła się uprzejmie i spytała Różę: - Czy można nalać pani jeszcze jedną filiżankę herbaty?

- Dziękuję, już nie mogę. - Istotnie, patrząc na nią można było uwierzyć, że udławiłaby się, gdyby połknęła jeszcze jeden łyk.

- Więc może pan doktor? - spytała trochę żartobliwie.

- Nie... nie - wsunął palce za kołnierz, jakby go chciał rozluźnić. - Nic więcej, dziękuję. - Wyglądał posepnie i nieswojo, a niemożność opanowania sytuacji wywoływała męczące uczucie upokorzenia, które wyrażało się w coraz większej urazie do matki. Czemu nie może pozostawić go w spokoju? Czemu siedzi tu z lodowatą twarzą, nie mówiąc słowa, czemu wciąż wywołuje przykrości? Spojrział ponuro na siostrę Cooper, spokojnie nalewającą sobie drugą filiżankę herbaty.

- Boję się, że jestem zbyt wielką amatorką herbaty - wyjaśniła, jakby chodziło o coś ważnego. Tylko dzięki niej rozmowa była utrzymywana na poziomie sztucznej uprzejmości, a ona wiedząc o tym, jeszcze bardziej podkreślała własną godność. - Tak, uważam, że mi to

służy. Bo proszę państwa, mam stanowisko odpowiedzialne. Dwie sale, a w każdej piętnaście łóżek. Nadzór nad stałą pielęgniarką i trzema dochodzącymi, i oczywiście - uśmiechnęła się filuternie - muszę też uważać na młodych lekarzy, których tu przysyłają na praktykę. - Łucja przyglądała się jej w milczeniu, z upartą obojętnością. - Tak, naprawdę. Zdziwiłaby się pani, gdyby pani zobaczyła to, co ja widziałam w ciągu tych lat, na jakie oni wpadają pomysły. W nocy wchodzą i wychodzą przez okna, malują się wzajemnie metylowym błękitem, wypijają spirytus z szafki aptecznej. Nie, doktor Moore nie robi czegoś podobnego - och, nie! Jest najbardziej stateczny ze wszystkich, jacy tu byli w ostatnich miesiącach. To rozumiałe, bo poważne uczucie bardzo umacnia charakter młodego człowieka. Nie sądzi pani? - Rzuciła na Łucję przebiegłe, pytające spojrzenie.

Ale Łucja nie słyszała tego pytania. Patrząc w zamyśleniu na sofę, drgnęła raptownie, usłyszawszy jakiś szelest. Róża, nie mogąc widocznie znieść dłużej tej sytuacji - czy może nieruchomego wzroku Łucji - wstała.

- Chyba pójdę - szepnęła Piotrowi.

On również powiedział coś niewyraźnie, wstał i podszedł do drzwi. Róża odwróciła się.

- Dziękuję za przyjęcie - rzekła do siostry Cooper. Następnie zwracając się do Łucji, bez żalu, raczej zakłopotana, powiedziała nieśmiało: - Do widzenia, pani Moore.

- Żegnam - odparła Łucja z szorstką, lodowatą stanowczością. Tym pierwszym i ostatnim słowem usuwała Różę Tully poza nawias swego życia. Wypowiadając je i widząc, jak Róża opuszcza miejsce swojej porażki, doznała porywającego uczucia tryumfu. Tak, była spokojna, nie uniosła się, zachowała chłodną, rozważną stanowczość. Róża, mimo całej swojej urody, była niby pył, zmieciony z drogi, po której szła Łucja. Jakże łatwo ją usunęła! Ale nic w tym dziwnego, uzbrojona jest przecież w stanowczość, doświadczenie, odwagę - tak, i słuszność jest po jej stronie. Teraz zwróciła się do siostry Cooper.

- Chciałabym pomówić z synem - oświadczyła bez ogródek. - Czy pani ma coś przeciw temu?

Siostra spojrzała na nią ze ściągniętymi brwiami, zdawała się ubolewać nad brakiem form towarzyskich u Łucji.

- I bez tego byłabym poszła. - powiedziała nadąsana. - Mam swoje zajęcie, jak pani wiadomo.

Wstała, drzwi zamknęły się za nią z gniewnym trzaśnięciem.

Łucja spojrzała na Piotra. Wreszcie byli sami. Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu, a twarz jej łagodniała stopniowo, wyrażając wreszcie niewysłowioną tkliwość macierzyńską.

- Chciałam się ich pozbyć - powiedziała powoli. Rozdrażniony, niecierpliwie potrząsnął głową i odparł gniewnie:

- Narobiłaś ładnego bałaganu. Coś niesłychanego, jak można było tak się zachować. Do wieczora będzie o tym wiedzieć cały szpital. Możesz być pewna, że ta idiotka Cooper roztrąbi wszystkim tę historię.

- Musiałam jednak przyjść. Czy tego nie możesz zrozumieć?

- Nie, nie rozumiem.

Ton jego zaniepokoił ją, dowiedzie mu jednak słuszności swego stanowiska.

- Czekałam na ciebie całą godzinę - wyjaśniła ze sztucznym spokojem. - Nie wiedziałam, czy w ogóle przyjdiesz do domu. A musiałam z tobą pomówić.

Zaśmiał się krótko, gniewnie.

- Słuchając cię, można by sądzić, że jestem dzieckiem, które wodziś na pasku. Czy wciąż jeszcze nie potrafisz poruszać się samodzielnie? Czy musisz gonić za mną, przeszkadzać mi ciągle, ośmieszać mnie przed... przed wszystkimi?

Patrzyła na niego, a zdradziecki rumieniec coraz gwałtowniej oblewał jej twarz.

- Robię to dlatego, ponieważ nie chcę, żebyś popełnił głupstwo - odparła stanowczo.

- Cóż takiego zrobiłem? - wybuchnął. - Powiedz. Czy piję, czy gram w karty, czy jestem złodziejem? Co powiedziała o mnie siostra Cooper? Że jestem najspokojniejszym lokatorem, jakiego tu miała od szeregu miesięcy. A mimo to mówisz do mnie, jak gdybym...

- Myślę o twojej przyszłości - przerwała mu podniesionym głosem.

- Jeśli tak jest, to czyż nie pragniesz mego szczęścia? - odparował natychmiast, a po chwilowej triumfalnej pauzie, wyjaśnił: - Chyba to całkiem naturalne, że interesuję się panną Tully. Nie przeczę temu i nie wstydzę się, to wspaniała dziewczyna.

Twarz Łucji zmieniła się natychmiast, jakby zszarzała. Jego słowa zraniły ją boleśnie, objęła mocno poręcz krzesła i pochyliła się naprzód.

- Nie mów w taki sposób - rzekła szorstko. - Czy mam siedzieć spokojnie i patrzeć, jak zadajesz się z takim zerem?

Spojrzał na nią z urazą.

- Zerem - powtórzył. - Pozwól sobie powiedzieć, że panna Tully jest bardzo bogata.

- Czy nie potrafisz myśleć o niczym innym poza pieniędzmi, w dodatku tak brudnymi pieniędzmi?

- Tylko proszę bez osobistych przycinków. Byłaś już dostatecznie szorstka w obecności Róży. Czy nie potrafisz być uprzejma?

- Co! - zawołała podniecona. Kto to żądał od niej kiedyś uprzejmości dla innej kobiety? Nie miała czasu, by sobie przypomnieć. - Więc jak ją nazywasz? Róża?

- A czemu nie? - odparł kopnąwszy podnóżek leżący na podłodze. - Imię dla niej bardzo stosowne.

Znów ta męka zazdrości. Łucja zadrżała nagle i mimo panowania nad sobą, wybuchnęła:

- Cóż ona zrobiła dla ciebie, by na to zasłużyć?

Spojrzał na nią, po niedawnym upokorzeniu poczuł nagle chęć kłócenia się z matką.

- Nic nie zrobiła! - krzyknął. - Nie potrzebuję, by zrobiła cokolwiek. Kocham ją, a ona kocha mnie, to wszystko.

- Kocha! - powiedziała gwałtownie. - Co ona wie o miłości - to miękkie stworzenie z białoróżową twarzą? Czy potrafiłaby zedrzeć sobie ręce do krwi, pracując na ciebie? Czy chciałaby walczyć, harować i głodzić się dla ciebie?

- Nie potrzebuję, by to robiła - rzekł czerwieniąc się. - Istnieją w życiu jeszcze inne rzeczy.

- Jak dawno ją znasz? - ciągnęła dalej tym samym gniewnie podniesionym głosem. - Kilka miesięcy, a ponieważ ma twarz lalki, ponieważ wydaje się ładna, zapominasz o mnie. - Oddychała chrapliwie, jak gdyby się dusiła. - Haniebne, że zachowujesz się w podobny sposób. Czy nie masz w sobie uczucia wdzięczności, zmysłu przyzwoitości?

- Czego właściwie spodziewasz się po mnie? - spytał rozgniewany. - Chcesz, bym się nigdy nie ożenił, nigdy nie wybił w życiu? Sądzisz, że zawsze będziesz mnie wodzić na pasku?

- Masz niespełna dwadzieścia trzy lata - krzyknęła oburzona - i w ten sposób mówisz do mnie? Jak śmiesz? Jak możesz mówić tak łatwo o małżeństwie na widok pierwszej lepszej, głupiej, uśmiechniętej lalki?

- Przestań mówić w ten sposób - odrzekł posepnie. - Nie zniosę tego.

- A właśnie że będę mówić - dyszała chwytając się za gardło. - I skończę z tym raz na zawsze. Ty jesteś wszystkim, co mam. Patrzeć nie mogę, jak się zachowujesz... w twoim wieku... doprowadza mnie to do szału! - Opanowała się z bolesnym wysiłkiem, a czoło jej pokryło się zimnym potem. Spytała stanowczo, z naciskiem: - Jakie masz właściwie zamiary wobec tej Róży Tully? - Wypowiedziała to nazwisko z zaciekleścią.

Słowa matki wyraźnie go przeraziły, czuł, że traci równowagę, spojrzał na nią z niepokojem i mruknął:

- Czego właściwie chcesz i czemu się irytujesz bez żadnego powodu? Przecież to idiotyzm.

- Mnie nie wystrychniesz na dudka - upierała się gwałtownie. - Nie w tym wypadku!

- Nie, nie - powiedział niespokojnie. - Jakże bym mógł? Nie bądź niemądra, proszę. Przecież między nami wszystko jest w porządku.

- Więc odpowiedz na moje pytanie - nalegała. - Jakie są twoje zamiary wobec tej lalki, narzuconej ci przez Ewę?

- Mamo, przestań - przerwał zmieszany. - Nie wywołuj awantury.

Jego wyniosła mina zniknęła: znów spojrzał na Łucję mrużąc coś niewyraźnie.

Ale ona nie pozwoliła mu zamydlić sobie oczu. Była zdecydowana zakończyć tę sprawę raz na zawsze, zniszczyć ją, wykazać mu jego zaślepienie, zanim doprowadzi ich dwoje do katastrofy.

- Pytam cię po raz ostatni - wykrzyknęła gniewnie - czy wyrzekniesz się jej?

Był przyparty do muru, całkowicie przyparty do muru. Matka była taka nierozumna, taka daleka od kompromisu, że nie miałyby sensu mówić jej o miłości Róży, o wspaniałomyślnym zainteresowaniu, okazywanym mu przez Tully'ego, posuniętym tak daleko, że zaofiarował się nawet sfinansować mu praktykę lekarską - w ogóle o wszystkich świetnych widokach na przyszłość. W jaki sposób można by jej to wytłumaczyć? Z góry wiedział, jak by się zachowała, gdyby jej odsłonił swe plany. Była tak dziwaczna, że gotowa robić trudności, urządzić scenę, wywołać skandal.

Nagle podniósł oczy - przez chwilę markotnie wpatrywał się w dywan - i spojrzał na nią z owym dawnym, naiwnym wyrazem z czasów swego chłopięctwa.

- Mamo, w tym, co mówisz, jest pewna racja - powiedział wolno. - Może jestem za młody, by myśleć o tych sprawach. Możliwe, że za rok lub dwa... - zamilkł, wciąż jeszcze uśmiechając się do niej nieśmiało.

Nastąpiła pauza. Przez długą chwilę przyglądała mu się z tajonym napięciem.

- Czy przestaniesz zwracać sobie głowę tą całą idiotyczną historią? - spytała powoli.
- Czy wyrzekniesz się jej i nie pozwolisz nikomu stanąć pomiędzy nami?

Udawał, że się waha, po czym powiedział cicho:

- Już dobrze, mamó. Stanie się, jak żądasz.

Znów zapadło milczenie, w ciągu którego ona ponownie usiłowała zbadać głębię jego ciemnych brązowych oczu. Następnie westchnęła z ulgą, a zaciśnięte usta odprężyły się. Przecież to Piotr, jej syn, z jej własnej krwi i kości. On nie potrafi kłamać. Zwyciężyła.

- Piotrze, dałeś mi słowo - mówiła spokojnie. - A ostatecznie jest to tylko twoim obowiązkiem i moim prawem.

- Tak, mamó.

Położyła mu rękę na ramieniu.

- Zanim stąd wyjdę, musisz przyrzec mi jeszcze jedno - powiedziała wolno. - Jest to jedyna słuszna droga, jaka się przed tobą otwiera.

Uśmiechnął się niepewnie, z ociąganiem, a Łucja wciąż jeszcze przenikliwie patrząc na niego, głęboko westchnęła.

- Chcę, byś złożył podanie w sprawie tej posady w North Stafford. Raz wreszcie musimy stąd wyjechać, a im wcześniej to zrobimy, tym lepiej.

Znów nastąpiła pauza, pełna napięcia, niemal zapierająca dech. A potem Piotr spuścił oczy.

- Dobrze, mamó, zrobię to! - rzekł w końcu, stukając palcem w poręcz krzesła. - Chyba możesz mi ufać.

- Dałeś słowo co do tych dwóch spraw - zauważyła cicho.

Oczy jego biegały niespokojnie, unikając jej badawczego wzroku.

- Tak jest - powiedział szybko. - Dałem słowo.

Zdawało się jej, że znów jest chłopczykiem, któremu - z powodu jakiegoś wykroczenia - kazała przybiec do siebie. I równie szybko jak wtedy wybaczyła mu w tej chwili wszystko. Wyraz martwoty znikł z jej twarzy, wzruszenie przedarło się przez lodowatą maskę, duża łza potoczyła się powoli po bladym policzku.

- Wiedziałam, Piotrusiu, że postąpisz wobec mnie, jak należy - rzekła wzruszona, zdjęta nagłymi wyrzutami, że zwątpiła o jego lojalności. - Wiedziałam o tym, mój synku.

Zanim odeszła, napisał podanie o posadę w Stafford. Miała przeczucie co do tego podania - dziwną pewność pomyślnego wyniku. Wracając na Flowers Street własnoręcznie nadała je listem poleconym.

Pojechała na urlop z uczuciem wywalzonego z trudem zwycięstwa. Właściwie nie miała ochoty wyjechać: była zbyt pochłonięta obmyślaniami przyszłości, urządzaniem już teraz ich nowego życia. Załatwiła jednak wszystko zarówno w biurze, jak z panną Tweedy, poza tym żyła jeszcze ciągle pod wrażeniem odniesionego sukcesu, wobec czego z niemal fatalistycznym spokojem poddała się losowi, który ponownie zawiódł ją do Doune.

Jakkolwiek ze Stafford nie było dotąd żadnej wiadomości, mimo to miała dobre przecucia - może zbyt optymistyczne - lecz w obecnym jej nastroju łatwe do zrozumienia. Zresztą gdyby nawet nie dostał tej posady, to istnieją przecież inne - tak, z całą pewnością, po wyjściu ze szpitala z końcem kwietnia otrzyma jakąś asystenturę. W pogodnym więc usposobieniu wyjechała z dworca St. Enoch. Przyszedł Piotr, by się z nią pożegnać. On to właściwie zachęcił ją do tego wyjazdu, a teraz, gdy pociąg pędził po tych samych torach, którymi jechali przed pięć laty, znów widziała przed sobą wyraz twarzy syna: zakłopotany, niemal przeprasający. Dobry z niego chłopiec, umie logicznie rozumować, a ona wykazała mu przecież głupotę jego postępowania. Co za pomysł mając dwadzieścia trzy lata myśleć o ożenku! Tak, wrócił do niej. Nie wątpi w to. Wcale nie wątpi, Kiedyś nie ufała Frankowi. Ach, gdybyż wtedy uwierzyła jego słowom. Choćby ze względu na tę gorzką naukę nie będzie nigdy powątpiewać o słowie i wierności syna.

Doune, jak zauważyła po przyjeździe, bardzo się zmieniło - w pobliżu dworca zbudowano szereg nowych willi. Tylko panna Tweedy była taka sama. Widok tej wątlej, lekko pochylonej postaci, którą zobaczyła po tylu latach, wywołał w Łucji dziwny odruch sympatii. A panna Tweedy na swój sposób ucieszyła się również z przybycia Łucji.

- Wie pani - rzekła stawiając półmisek ze swymi słynnymi ciasteczkami i kościstą białą rękę opierając na równie kościstym biodrze - nie mogę powstrzymać się od powiedzenia, że cieszę się bardzo z przyjazdu pani. Nieczęsto się zdarza, bym do jakiegoś gościa odnosiła się z taką sympatią jak do pani. A panią polubiłam naprawdę. I nigdy nie zapomniałam o pani. Nieraz myślałam sobie, tak, zadawałam sobie pytanie, czy panią nie spotkało co złego. - Siedząc w wygodnym fotelu, z rękoma splecionymi na kolanach, Łucja spójrzała na pannę Tweedy i uśmiechnęła się.

- Nie wyglądam chyba na człowieka, którego spotkało wiele złego.

Panna Tweedy powoli potrząsnęła głową i cicho położyła łyżeczkę na talerzyku.

- Zmieniła się pani - rzekła współczująco. - Ach, tak, mocno się pani zmieniła. Musiała pani walczyć, pomyślałam sobie tak od razu, jak tylko otworzyłam dzisiaj drzwi, i w dodatku ciężko walczyć, tak mi się zdaje - tu panna Tweedy opuściła kąciki ust i potrząsnęła głową, jak gdyby, przynajmniej pod tym względem, pomyłka była wykluczona.

- W każdym razie wszystko już minęło - odparła Łucja.

- Tak, postarzała się pani - mówiła panna Tweedy swym zmęczonym głosem - i twarz ma pani chudsza, znacznie chudsza.

- Pani również nie jest zbyt tęga - łagodnie odpowiedziała Łucja.

- Ja?! - wykrzyknęła panna Tweedy pociągnawszy nosem. - Ze mnie pozostał już tylko cień człowieka. Jem mniej niż wróbel. Nie mogę. Od przyjscia na świat byłam taka wątła. Ten syn pani - ciągnęła dalej - też nie wyglądał na bardzo silnego, o ile sobie przypominam. Był trochę wybredny w jedzeniu, prawda?

- Teraz czuje się doskonale. Proszę spojrzeć. Właśnie postawiłam w pokoju jego fotografię.

- Przyjrzałam się jej - rzekła panna Tweedy ze spokojną miną wszechwiedzącej. - Trochę paniczykowaty, to widać od razu. Dużo pani zrobiła dla tego młodego człowieka. Mam nadzieję, że nie odpłaci pani niewdzięcznością. - Zamilkła i skierowała się ku drzwiom. - Teraz przyniosę herbatę. Dobrze pani zrobi po podróży. Męcząca rzecz, taka jazda koleją, bardzo męcząca!

Wyszła cichutko, a po chwili wróciła z czajnikiem, postawiła go na stole, wymownie skinęła głową i powiedziała:

- Najlepsza herbata! - po czym znowu wysunęła się z pokoju.

Tego wieczora Łucja położyła się wcześniej i dobrze spała. Rano zbudziła się pokrzepiona i zaraz po śniadaniu wyszła z domu. W nocy była wielka ulewa, ale teraz rzeźwy

wiatr wiał od morza i popędzał Łucję idącą główną ulicą miasteczka. Zatrzymała się przed urzędem pocztowym i wysłała kartkę do Piotra - nie żadną malowaną odkrytkę, lecz spokojny widok wybrzeża - na której napisała parę dyskretnych słów. "Czy nadeszła jaka wiadomość z S." - dodała. Pocztówka ta mogła znaleźć się na tacy z jego śniadaniem nie wywołując żadnych przykrości. Uspokojona, zmuszając się do myślenia o czymś innym niż zwykle, wysłała drugą pocztówkę - tym razem nieco humorystyczną - do panny Tinto, i na tym zakończyła swoją skromną korespondencję.

Potem ruszyła ulicą, wesoło zmagając się z wiatrem, co, wbrew twierdzeniu panny Tweedy, dawało jej poczucie siły, a nawet młodości. Przed jakąś owocarnią żywa czerwień kosza z czereśniami przykuła jej wzrok. Łucja przystanęła - zawsze ogromnie lubiła czereśnie, a od długiego czasu nie miała w ustach żadnego owocu. Ulegając impulsowi, weszła do sklepu i kupiła torebkę dojrzałych owoców.

Na wybrzeżu było wietrzno i zimno. W miejscu, gdzie zwykle siadywała, naprzeciw skał, zbudowano, już po jej poprzedniej bytności, drewniany pawilon, do którego teraz weszła. Była sama, osłonięta przed wiatrem, a jednak na świeżym powietrzu, mając przed sobą wzburzone, niespokojne morze, które chwilami wyrzucało na znaczną wysokość góry wodne, rozpryskujące się w migotliwą pianę niemal u jej stóp. Jadła w zamyśleniu czereśnie, rozkoszując się tą ucztą, wysypała pestki do pustej torebki i zmięła ją w kulkę. Znowu spojrzała na morze. Co będzie robić? Jest przecież na urlopie, powinna więc korzystać z rozrywek i przyjemności, powinna w jakiś sposób powetować sobie niemiłe skutki brzydkiej pogody, nie знаła jednak takiego sposobu. Sfera dostępnych jej rozrywek była ograniczona. Na razie myślała o spacerach, ale doszła do przekonania, że dość się już nachodziła podczas swojej pracy. Poza tym nie miała zbytnej ochoty przebywać sama na tym silnym wietrze. Mogłaby kupić sobie jakieś czasopismo lub gazetę. Nie była jednak usposobiona do czytania ani ciekawa nowin ze świata. Co ją obchodzi, czy wartość papierów państwowych podniosła się, czy spadła, i czy w Peru mianowano nowego prezydenta? Przyznawała, że ta obojętność jest czymś nienormalnym, ale nie potrafiła jej przezwyciężyć. Tak już jest. To lata walki ukształtowały ją w taki sposób.

Nastrój jej uległ zmianie. Uświadomiła sobie nagle, że jest samotną kobietą w średnim wieku, siedzącą w smaganej wiatrem budce na opuszczonym wybrzeżu - kobietą posiadającą niewielu przyjaciół i nie cieszącą się sympatią, kobietą o bladej twarzy, ze skłonnościami do tycia, o rękach, które stały się szorstkie od roboty domowej spełnianej przez tyle lat. Siłą

kontrastu myśli jej zwróciły się do owych wakacji spędzonych tu z Piotrem przed pięciu laty, a patrząc na opustoszałą plażę z przyjemnością zaczęła snuć owe szczęśliwe wspomnienia. Oczyma duszy widziała go znów, w blasku słońca skaczącego z trampoliny. Uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie, jak gorąco pragnął jej pochwały, kiedy, wynurzywszy się z wody, oczekiwał, co powie o jego skoku. Twarz jej rozjaśniła się na myśl o owych dalekich, miłych dniach, które przeżywała ponownie, bez reszty pogrążając się w marzeniach.

W końcu wróciła do rzeczywistości. Poczula, że zmarzła. Westchnęła, wstała przeciągając się. Szybko wróciła do domu. Wieczorem idąc śladem złudnych wspomnień przeszłości, udała się do "Vari~et~e". Tu, z komicznym przerażeniem stwierdziła, że wytworny Val Pinkerton nie królował już na wąskiej drewnianej scenie. Tak, odszedł stąd, a jego elegancką wyfraczoną trupę zastąpiła młodsza i zuchwalsza, ubrana w ordynarne kostiumy pierrotów i natarczywie potrząsająca drewnianymi puszkami na datki.

Przyglądała się im przez chwilę bez wyrazu. Dziewczyna w krótkiej spódniczce, w błazeńskiej czapce wyzywająco wciśniętej na bakier, z filuternie podniesionym wskazującym palcem, potrząsała lokami i śpiewała z zacięciem: "Molly O'Morgan! Molly O'Morgan i jej słaby organ - irlandzko-włoska dziewczyna". Wulgarny idiotyzm. Symbol bezmyślności i pustki nowych czasów! Wspomnienie Vała Pinkertona, smukłego tenora z czerwoną szarfą, z ręką na sercu, który upajał się tkliwością własnych piosenek, odżyło w Łucji jako kontrast. Widziała siebie i Piotra siedzących pod gołym niebem, zachwyconych i porwanych jego śpiewem. Co to było? "O moja Daisy, daj mi swą rękę..."

Odwróciła się raptownie. Ośmiesza się, robi z siebie sentymentalną, płaczliwą idiotkę. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Dzieci skakały po trawie, gdy rodzice ich stali, przysłuchując się poważnie lub przechadzając parami. Ona, choć była w tłumie, nie należała do niego. Z nadejściem wieczoru wiatr ustał, a w miarę jak się oddalała, muzyka cichła, stając się ledwo dosłyszalnym szmerem, aż w końcu rozplynęła się całkowicie w bezustannym szumie fal. Łucja wróciła, gdy zapadał zmrok. Minęła "Grand Hotel", prawie nie rzuciwszy nań okiem. Nigdy jeszcze nie przekroczyła podwoi tego wspaniałego gmachu, i teraz wcale tego nie pragnęła, marzyła jedynie o schludnym domku z mosiężną tabliczką - wszystko jedno gdzie, aby tylko z synem.

Gdy wróciła, panna Tweedy stała w korytarzu: posiadała właściwą gospodyniom tajemniczą zdolność błyskawicznego pojawiania się w najmniej oczekiwanych momentach, a teraz spojrzawszy na Łucję, rzekła:

- Błado pani dziś wygląda.

- Jestem pewnie zmęczona.

- To powietrze tak działa - powiedziała z przekonaniem panna Tweedy. - Męczy pierwszego dnia.

- Tak, prawdopodobnie to wpływ powietrza.

- I oziębilo się w dodatku.

- Tak, istotnie.

Spojrzały na siebie poprzez korytarz, po twarzy panny Tweedy przemknął błysk sympatii.

- W każdym razie ma pani w łóżku termofor - rzekła tonem wyroczni. - Czeka na panią, jeśli okaże się potrzebny.

Wobec tego Łucja zaraz się położyła.

Najbliższe dni minęły cicho i spokojnie. Dzięki długiemu wypoczynkowi odzyskała dobre samopoczucie, wrócił dawny nastrój. Czytała i spacerowała trochę, ale najchętniej przesiadywała w pawilonie obok skał. Pogoda była w dalszym ciągu zmienna, ale rześkie słone powietrze zrobiło swoje. Łucja poczuła się zdrowo i silnie.

Od Piotra nie dostała ani słowa, ale nie było to dla niej niespodzianką, nawet w najlepszych czasach niechętnie pisywał listy. Mimo to po upływie tygodnia zaczęła liczyć dni dzielące ją od powrotu do domu. Dobre samopoczucie Łucji spotęgowało się jeszcze, a myśli jej krążyły nieustannie wokół przyszłości; z uczuciem szczęścia myślała, że oto nadchodzi chwila prawdziwej nagrody za wszystkie jej trudy.

W przeddzień wyjazdu wyszła z mieszkania zaraz po śniadaniu i będąc w świetnym nastroju, radośnie poddała się nieustannie dmącemu wiatrowi.

Z rozbudzonym na nowo zapałem czuła, że dobrze jest na świecie, czuła radość życia, otwierającego się przed nią ponownie po dramatycznych wysiłkach ostatnich pięciu lat. Rozkoszowała się przechadzką po uroczym miasteczku, świeżością wyszorowanych schodków przed drzwiami domów, blaskiem umytych okien i ruchliwością rannych godzin. Z przyjemnością wysłała swoją codzienną pocztówkę, podając godzinę przyjazdu następnego dnia, na wypadek, gdyby Piotr miał czas wyjść na dworzec.

Nie siedziała dziś wcale na swym ulubionym miejscu naprzeciw skał, lecz popędzana lekkim wiatrem, szybko szła wzdłuż plaży. Czuła potrzebę ruchu. Powód jej dobrego nastroju, jej upojenia był jasny, całkiem jasny. Nie zapierała się go - wracała do swego syna.

Poszła tak daleko, że bała spóźnić się na lunch, więc przyspieszywszy kroku, z policzkami wysmaganymi przez wiatr, żwawo wbiegła na schody domku panny Tweedy. W hallu dopiero odetchnęła, powiesiła płaszcz, umieściła parasol na stojaku. Odwróciwszy się ujrzała pannę Tweedy wychodzącą właśnie z pokoju. Gospodyni uśmiechnęła się ponad swą tacą.

- Lepiej pani wygląda - rzekła obrzuciwszy ją krytycznym spojrzeniem. - Znacznie lepiej. - A po krótkiej pauzie dodała: - Na kominku leży list do pani; długi list, czuć to przy dotknięciu.

Oczy Łucji rozbłysły - jeden tylko człowiek mógł pisać do niej - i odwzajemniła uśmiech panny Tweedy. List od Piotra: pomyślna wiadomość dotycząca jego posady, co za radość.

- Wspaniale! - zawołała używając słowa, którego by użył Piotr. - Właśnie czekałam na ten list. - I szybko weszła do pokoju.

Jak oznajmiła panna Tweedy, list leżał na kominku i rzeczywiście był od Piotra. Nieraz mówiła, że wszędzie poznałaby jego staranne pismo, a wążac teraz kopertę na dłoni, przypomniawszy sobie jego listy pisywane do niej ze szkoły. Te kochane, naiwne strony, pisane fioletowym atramentem, pełne przywiązania i miłości.

A oto ma znowu list, świadczący o jego synowskim oddaniu.

Cieszyła się, lecz była również lekko zaniepokojona jego dwutygodniowym milczeniem. Oczy jej błyszczały, gdy otworzyła kopertę i wyjęła zapisany arkusik. Na twarzy malował się wyraz zaciekawienia połączony z niezmierną czułością. Uśmiechnęła się. Zaczęła czytać.

Nagle cała radość zniknęła z jej twarzy, usta wykrzywił dziwny grymas, krew odpłynęła z policzków, które stały się nie białe, lecz wprost chorobliwie szare. Łucja spostrzegła najpierw jeden wyraz tego listu, potem cały szereg słów, wreszcie po długiej chwili pojęła ich znaczenie. Zrozumienie jak błyskawica przeszło jej mózg - jeden straszny, kończący wszystko moment zrozumienia!

Lecz żaden jęk nie wydobył się z jej piersi - stała bez ruchu, tylko ręka, trzymająca kurczowo papier, zaczęła drżeć.

W liście Łucja wyczytała imię Róży, powtarzające się raz po raz wśród słabych przeprasających słów, tańczących przed jej nieprzytomnymi oczami. Imię Róży.

Wyjechał z Różą. Rozpoczął w Londynie praktykę lekarską, o którą wystarał mu się ojciec Róży. Porzucił ją - swoją matkę.

Poczuła nieopisany ból i mroczna rozpacz ogarnęła ją na kształt śmierci. Stała bezsilna, zmartwiała, ale w głowie jej wirowały niespokojne, gorączkowe myśli. Została porzucona - wygodnie usunięta z jego życia. Świadomie spiskowali za jej plecami, pozbyli się jej, upokorzyli. Ale nie upokorzenie było czymś najgorszym. Wyjechał - jej syn - ożenił się. Po latach trudu, straszliwych wyrzeczeń, walki, sknerstwa, po tym wszystkim, co zniosła i wycierpiała dla niego - on ją opuścił. Wykorzystał ją, oszukał i porzucił. Przewyciężyła nieopisane przeszkody i trudności, by pchnąć go w objęcia innej kobiety. To męka - męka nie do zniesienia.

Ogłuszona cierpieniem, bezsilnie osunęła się na fotel.

List wypadł jej z ręki.

Część trzecia

Dziewięć miesięcy później Łucja siedziała w kuchni swojego mieszkania przy Flowers Street. Pokój był niewiele zmieniony, ponury i nie umeblowany jak dawniej, tylko firanki były bardziej szare, okna bardziej brudne, a wilgotna plama na suficie pokryła się jeszcze większą i ciemniejszą warstwą pleśni. Czy kiedykolwiek mogła przypuszczać, że będzie mieszkać w takim pokoju? Nigdy! Ale co ją teraz obchodziły takie drobnostki jak kurz i nieporządek? W ostatnich czasach nie troszczyła się o mieszkanie, tak głęboko była pochłonięta sprawami o wiele, wiele ważniejszymi. Ten okropny dzień w Doune: miała wtedy wrażenie, że życie jej - zniszczone, zdruzgotane, unicestwione - skończyło się. Jaka niemądra była wtedy, jak straszliwie niemądra i zaślepiona! Teraz mogła się tylko uśmiechać na myśl o tamtych cierpieniach. Kobieta, z głową pochyloną ku ziemi, zbierająca błyszczące kamyczki na wybrzeżu nieskończonej uludy, obłądnie szukająca szczęścia pośród wyrzuconych przez zimne morze goryczy szczątków rozbitego okrętu - oto czym była wtedy. Nie znalazła jednak błyszczących kamyczków, lecz popiół, którym w przypiływie rozpaczki posypała sobie głowę. Jeszcze teraz w ustach czuła jego smak - mdły, wstrętny posmak klęski.

Możliwe jednak, że doznane cierpienia były częścią Boskiego planu - środkiem, mającym w końcu doprowadzić do wielkiego przełomu w jej życiu: łagodny uśmiech igrał na skupionej twarzy Łucji, gdy rozważała swoje obecne szczęście. Nie zasłużyła na nie, a jednak zdobyła je cudem - należało do niej - tak, w niewiarygodny sposób należało do niej.

Przez chwilę siedziała przy stole zamyślona, zjadła właśnie obiad, gdyż nie będąc teraz zmuszona gonić do domu o pierwszej, wróciła do dawnej pory posiłków, o czwartej. Następnie w roztargnieniu nie pamiętając widocznie o strasznym liście, który był dla niej w Doune takim ciosem, sięgnęła po list leżący obok jej talerza i zupełnie spokojnie przebiegła go oczyma. A przecież dostała go także od syna, z datą poprzedniego dnia i pieczętką: Maida Vale, Londyn.

"Najdroższa mamó! - brzmiał układny tekst - bardzo się ucieszyłem Twoim listem i wiadomością, że u Ciebie wszystko w porządku. My oboje czujemy się doskonale i jesteśmy szczęśliwi. Praktyka rozwija się pomyślnie. Ucieszysz się, gdy Ci doniosę, że mam nową pacjentkę, i to osobę utytułowaną - wyobraź sobie! Może o niej słyszałaś: nazywa się Lady

Macarthy. Płaci nam za wizytę pół gwinei - czy uwierzysz? Widzisz więc, że syn Twój wybija się jednak. Któregoś pięknego dnia ujrzysz go na Harley Street.[ulica wybitnych lekarzy w Londynie] Tak, postanowiłem to osiągnąć w niezbyt dalekiej przyszłości. Wierz mi, że jeśli nie zdobędę sławy, to nie z braku aspiracji z mojej strony. Na razie musimy być cierpliwi. Stale pragnę mieć Cię w pobliżu nas, ale chwilowo jest to niemożliwe. Gnębi mnie oczywiście myśl, że ty musisz jeszcze pracować, ale każdy zarobiony pens idzie teraz na rozszerzenie praktyki, a przynasz, że utrwalenie pozycji jest dla nas sprawą bardzo ważną. Ojciec Różyczki, jak zawsze niezwykle dobry, odwiedził nas zeszłego tygodnia, gdyż nie może biedak żyć bez nas. Jest istotnie wyjątkowo dobry, ale nie możemy przecież żądać, by wszystko wziął na siebie. Mimo to niedaleki jest dzień, kiedy Ty również tu zamieszkas i będziemy razem. Wyczekuję tego z niecierpliwością, a wtedy będę mógł zrobić dla Ciebie naprawdę coś pięknego i zapewnić Ci niezależność na całe życie. Wiem, że sprawiłoby Ci to przyjemność.

Różyczka pozdrawia Cię najserdeczniej, a ja także.

Twój oddany syn

Piotr"

Przeczytała go bez wzruszenia. Był to typowy styl jego obecnych listów do niej, które otrzymywała przeciętnie raz na tydzień i na które mogła odpowiadać równie spokojnie i regularnie. Tak, list pełen miłości, oddania i płomiennych przyrzeczeń. Te jego przyrzeczenia! Zapewne w nie wierzył - ale ona? Może była niesprawiedliwa? Nie wiedziała, czuła jednak niejasno, że po dziesięciu latach mógłby dawać jej te same gorące przyrzeczenia. I dziwne, że myśl ta nie budziła w niej goryczy. Zagadkowa była ta jej nowa pobłażliwość - Łucja nigdy przecież nie grzeszyła pobłażliwością.

Znów wróciła myślami do niedalekiej przeszłości. Czy dziewięć miesięcy temu mogłaby tak spokojnie i bez wrażenia odczytać te starannie napisane słowa? Jakkolwiek te straszne przeżycia uważała teraz za nic nie znaczące urojenia zabłąkanego umysłu, niemniej pozostawiły po sobie szarpiące wspomnienie, szczególnie powrót z Doune. Tego nie potrafi zapomnieć nigdy - przenigdy! Nie zapomni też przerażenia, goryczy, rozpacz, jaka ją wówczas ogarnęła. Wróciwszy do swego mieszkania, tak pustego, tak całkowicie opustoszałego - jeszcze teraz dreszcz ją przebiegał na samą myśl - była jak oszalała. U

Maitlandów, sąsiadów z parteru, była zabawa - hałaśliwa gra na fortepianie, chóralne śpiewy i dzikie tańce. Znała te wesołe zabawy od dawna, ale w tamtej chwili, miotając się niespokojnie po pokoju, czuła, że te wrzaski dochodzące z dołu i martwa pustka mieszkania doprowadzą ją do obłędu. Nie była w stanie tego znieść - samotna, opuszczona, tak beztrosko porzucona po latach największych wyrzeczeń, zamknięta wśród nagich ścian, gdzie każdy krok przypominał jej przebytą walkę, wzgardzoną ofiarę. Zrozpaczona wybiegła z domu, usiłując niepokój swej duszy zagłuszyć w chaosie ulicznym. Sobotni wieczór na Young Street - czy to sen, czy jawa? Jaskrawe światła, chodniki kipiące wrzawą i ruchem, orgia dźwięków i kolorów, kobiety w szalach, trzymające się pod rękę, hałaśliwe i roześmiane, ciżba tłoczących się ludzi, niby brzęczący rój goniący za przyjemnością: prostytutki na rogach ulic, wyczekujące, zaczepiające mężczyzn, gromady bladych krzywonogich dzieci, które żebrały i bawiły się, dudniące tramwaje, szeroko otwarte szynki, śmiechy, wrzaski, śpiewy, kłótnie pijanych, wszystko to przesuwano się przed jej oczyma niby męczący koszmar, wirująca zmora. Ona była jedynie nieruchomym obserwatorem.

Nieruchomym czy poruszającym się - to obojętne. Nie należała do tego beztroskiego tłumu; była zgubiona - zgubiona kobieta z utraconą wiarą. Gorzko żałowała minionego życia, żałowała nawet swej cnoty. Dlaczego nie wyrwała z życia bodaj odrobiny szczęścia? Ona także miała ciało, może bardziej powabne niż te sprzedajne ladacznice prezentujące swe wątpliwe wdzięki, ona także była zdolna do uczucia. Ale zdławiła w sobie kobiecość, unicestwiła ją. Po cóż zamknęła się w ciasnych granicach przyzwoitości, odmawiając sobie wszystkiego, skoro na nic się to nie przydało? Zrobiła to z własnej woli. Życiem swym urągała sobie samej. Gwałtownie zapragnęła uciec od siebie, rzucić się w szalony wir rozrywek lub pogрузić w wiecznym zapomnieniu. Jaką otrzymała nagrodę za długie lata poświęcenia? Czy jej napełniły się pięknymi łzami na wspomnienie tego wszystkiego, co zrobiła. A oto została porzucona jak wzgardzona kochanka, niepotrzebna, wtrącona w otchłań rozpacz. Nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, jak mogłaby mieszkać w domu swego syna, zależeć od niego, poprzestając na okruchach jego przywiązania! Nie! Gwiazda, z którą związała swe losy - zgasła, ideał, którym żyła - obrócił się w nicość. Poświęciła wszystko głupocie i zaślepieniu.

Biegła jak oszalała po hałaśliwych ulicach i dopiero późnym wieczorem wróciła do mieszkania, do ciszy, która ją przerażała. Mimo tego spokoju nie mogła spać, przez całą noc

rzucała się na łóżku. Nazajutrz - była to niedziela - leżała wyczerpana, zapatrzona w próżnię, nie myśląc o kościele, wsłuchana w mijanie powolnych sekund.

W poniedziałek powlokła się do biura. Musiała pójść, z tego żyła, nie chciała być zależna od nikogo. Weszła odrętwiała, obojętna, a jednak czując lęk przed nieuniknioną sceną - ukradkowe spojrzenia, współczucie, którego nie chciała, i kryjące się poza tym współczuciem słowa: "A nie mówiłem", "Ostrzegaliśmy, ale na próżno". Było to dla niej gorsze niż śmierć - dla niej, która tak dumna była ze swego syna, i tak lubiła mówić, co zrobi, gdy Piotr ukończy studia.

Szybko załatwiła zwykłe sprawy w biurze i nie dopuszczając do rozmów, ruszyła w kierunku slumsów. Do warsztatu wstętej i poniżającej pracy, nie mając już teraz celu, który był jej podniętą. Dalej i dalej, ta bezsensowna harówka, dożywotnia pańszczyzna. Zaczęło się od nowa.

A w dodatku te widokówki, którymi bombardowała ją młoda para, spędzająca miodowy miesiąc w podróży po Bretanii. Jak oni kochają tę Bretanię z jej "oryginalnością" - było to określenie Róży - i "cudowną kuchnią" - jak pisał Piotr. Wspominali już o powrotnej podróży. Widokówki te, próby nawiązania pokojowych stosunków, dowody przywiązania, przychodziły codziennie - pstre kolory, kobiety w wielkich czepcach i sabotach, żaglowce w promieniach zachodzącego słońca. "Mamo, prawda, jaki piękny widok?" Ładne obrazki, dla niej jednak okrutne przypomnienia jej porażki: ci dwoje używają życia za granicą, a ona tu, porzucona jak śmieć, jak strzęp papieru czy łupiny pomarańczy zaśmiecające Flowers Street. Opanowało ją rozpaczliwe przygnębienie, a zmarszczka na czole rysowała się coraz głębiej.

Właściwie Łucja powinna była pogodzić się z faktami w sposób ogólnie przyjęty: dać delikatny dowód przebaczenia, napisać wzruszający list do szczęśliwej pary, ze skromną aluzją na temat niewielkiej zapomogi tygodniowej, dodać szczyptę tęsknych wspomnień, przeplatanych sentymentalną wizją upragnionej przyszłości, kiedy jako siwowłosa staruszka będzie siedzieć w fotelu, bawiąc się z wnukiem. Ale Łucja nie była do tego zdolna. Na samą myśl o czymś podobnym przenikał ją dreszcz wstętu. Czuła, że została oszukana, ograbiona z należnych praw, żaden środek uśmierzający, żadne wyczekiwanie na marne i upokarzające wsparcie nie mogło zrównoważyć bolesnej krzywdy i goryczy klęski. Życie wydawało się bezwartościowe, puste - pozbawione sensu.

Dnie wlokły się jeden za drugim, a w miarę jak mijał tydzień, Łucja coraz bardziej zamykała się w sobie. Nadeszła niedziela, a potem jeszcze jedna, przypominając obowiązki związane z tym dniem. Obojętna, znużona, ulegając jedynie przyzwyczajeniu, Łucja poszła do kościoła, ale nie do Świętego Patryka, jak zwykle. Tu ją znali, a unikając instynktownie gradu pytań, których w obecnym nastroju panicznie się obawiała, udała się do odległej parafii Maryi Panny - do małego kościółka na cichym placu, dziwnie niepozornego wśród gmatwaniny ożywionych ulic. Przypomniała sobie niejasno, że kiedyś słyszała o tym kościele: o kościele czy o proboszczu - nie pamiętała dokładnie i było jej to obojętne. Poszła tam tylko dlatego, by uniknąć spotkań ze znajomymi. Ale powody, które ją do tego skłoniły, były mało ważne, pójście tam było niczym w porównaniu z powrotem. Poszła tam, a to jedynie posiadało znaczenie. Zgięta pod brzemieniem, którego nie była w stanie udźwignąć, dręczona bólem wewnętrznym, gnana ową nieokreśloną tęsknotą - siłą, która już w niej gasła - weszła do kościoła.

I tu dokonał się cud, bo niewątpliwie był to cud. Ona przynajmniej nie miała pod tym względem żadnych wątpliwości. Nawet w tej chwili, siedząc przy swym nieporządnie nakrytym stole, rozpromieniła się pod wpływem tego wspomnienia. Tak, ręka, która prowadziła ją przez życie, zawiodła ją do tego celu. Łucja wiedziała o tym, była bezwzględnie przekonana.

Siedziała tak przez chwilę, a słaby uśmiech rozjaśnił jej bladą twarz, następnie wstała, położyła list syna obok innych na zakurzonym stosie na kominku, sięgnęła po swoje rzeczy i spokojnie wyszła z domu.

Przyszła do biura o pół do piątej, usiadła przy stole i zaczęła obliczać zawartość torby. Następnie skontrolowała zapisy. W końcu zwróciła się do panny Tinto.

- Czy pan Rattray jest u siebie? - spytała spokojnie.

Panna Tinto przerwała pisanie i w zamyśleniu spojrzała na swą księgę. Zadane pytanie było dziwne - drogi Łucji i pana Rattraya zazwyczaj się nie krzyżowały.

- Tak, jest na górze - odpowiedziała w końcu, nie odwracając głowy. - Słyszałam, że wchodził na piętro, zanim pani przyszła.

- Dziękuję - rzekła Łucja. Wstała i wyszła z pokoju.

Teraz panna Tinto odwróciła głowę, wpatrując się w zamknięte drzwi oczyma, które ze zdumienia stały się wprost okrągłe. Po pięciu minutach Łucja wróciła powoli, a panna Tinto Odezwała się natychmiast.

- Był u siebie? - zagadnęła dyskretnie, w słowach tych kryło się bezpośrednie pytanie, domagające się bliższego wyjaśnienia.

- Tak - Łucja zrobiła pauzę, następnie tym samym obojętnym tonem dodała: - Właśnie złożyłam wypowiedzenie.

Słyszając te słowa panna Tinto westchnęła głęboko, odwróciła się do Łucji całą postacią i spojrzała na nią majestatycznie.

- Wyjeżdża pani do Londynu? - powiedziała. - To pięknie! Jedzie pani nareszcie do syna.

Łucja patrzyła na nią przez chwilę.

- Nie, nie jadę tam - rzekła. - Ale wyjeżdżam stąd na miesiąc. - Podeszła do swego stołu, ułożyła książki w jeden stos i znów skierowała się ku drzwiom. - Chyba pójdę teraz - dodała. - Już skończyłam wszystko.

- Ale co pani zamierza? - spytała panna Tinto. Jedyne nieopanowana ciekawość mogła podsunąć jej to niewłaściwe pytanie.

- Mam inne plany - odparła Łucja niejasno. Skinęła głową, życzyła dobrej nocy i wyszła z biura.

Inne plany! Panna Tinto zdumiała się ponownie. Była ciągle pod wrażeniem tych słów, gdy Dandie - spóźniwszy się z powodu przerwy w ruchu tramwajowym - wszedł do biura. Miał nienadzwyczajny humor i wieszając ze złością kapelusz, zawołał zirytowany:

- Najgorsze tramwaje w Europie! Ilekroć człowiek się śpieszy, zawsze musi się coś zepsuć. A potem ten straszliwy ścisk, gdy się chce wsiąść do następnego wozu. Kobiety są gorsze od mężczyzn - twierdzą, że muszą robić zakupy. Przeklęte kumoszki. A w dodatku nie mogłem spać. W sąsiedztwie bębniiono przez całą noc na fortepianie. Bum, bum, bum. Nagle

cisza i znów od nowa. Kupię petardę i wsunę pod ich okno. Chciałbym wiedzieć, od czego jest rząd?

Panna Tinto nie zwracała jednak uwagi na jego tyradę, nurtująca ją wiadomość nie mogła być przemilczana.

- Ona odchodzi - zauważyła z wymownym ruchem głowy w kierunku pustego stołu. - Wymówiła dziś po południu.

Dandie szybko podniósł głowę i odwrócił się.

- Co pani mówi! - Oplótł swe kabłąkowate nogi wokół krzesła, tak że wyglądały niby żywe znaki zapytania. Po czym - ciągle jeszcze rozdrażniony - dodał: - Czy wyjeżdża do swojego genialnego synka?

- Nie! - W tej monosylabie krył się bezmiar niedomówień.

- Więc co, co zamierza?

- Bóg raczy wiedzieć - powoli odrzekła panna Tinto. Nieczęsto wzywała imienia Boskiego, ale teraz zachowanie jej było usprawiedliwione niezwykle okolicznościami. Tym samym tonem dodała: - I Bóg też raczy wiedzieć, co się jej może przydarzyć. Ta biedaczka jest swoim najgorszym wrogiem. Serdecznie mi jej żal.

- Żal? Ona sama wcale siebie nie żałuje. W ostatnich dniach chodzi, jakby się unosiła w obłokach.

- W obłokach?

- No tak - jakby nie stąpała po ziemi.

- Czasem ma tak dziwny wyraz twarzy; co może być powodem tego wszystkiego?

Zapanowało milczenie. Dandie podrapał się w głowę obsadką i sylabizując z wolna każde słowo, odrzekł beznamiętnie, z niezawodną pewnością:

- Czy pani wie, że zachorowała teraz na dewocję?

Panna Tinto przytaknęła lekkim ruchem głowy.

- No tak... - rzekła ostrożnie.

- Tak, zachorowała na dewocję - upierał się Dandie. - Znam te rzeczy. Na zebraniu religijnym pod gołym niebem spotkałem raz jedną kobietę. Poszedłem tam, by się trochę zabawić, ot, dla żartu! No! Gdyby pani widziała, jak ją to wzięło. I znałem też kiedyś pewnego mężczyznę - nazywał się Gilmour, tak, Gilmour. Swego czasu był okropnym pijakiem, ale potem się nawrócił na jakimś zebraniu Armii Zbawienia, od tego czasu chodził i rozbijał każdą flaszkę whisky, jaką tylko zobaczył. Wchodził do szynków i laską walił w butelki. Na ostatku zamknęli go z tego powodu - i dalibóg, był już najwyższy czas... - zamilkł.

- Ale najgorzej z kobietami. A mówię pani, że ją to właśnie wzięło. Z odległości mili można dostrzec symptomy. Ach, co tam, katoliczka czy nie katoliczka, każdą może to wziąć. Tak mi się przynajmniej wydaje.

- To przez to straszne rozczarowanie, które ją spotkało - mruknęła panna Tinto.

- O to właśnie chodzi, rozumie pani? - ciągnął nieubłagany Dandie. - Dojrzała do tego. Było to wprost nieuniknione.

- Nieuniknione?

- Wystarczy kobiecie jej pokroju zadać ciężki cios, a od razu wpadnie w obłęd. Tak jest na całym świecie. Och, niedawno prowadziłem z nią gorącą dyskusję na ten temat. Ale omal mi nie wydrapała oczu.

- Co ona ma zamiar zrobić, na Boga?

- Już ona dobrze wie, niech się pani nie boi - powiedział Dandie z przekonaniem. Chichocząc odwrócił się do swego stołu. - Jeśli tylko nie zacznie rozbijać butelek z whisky, to wszystko w porządku! - Ale panna Tinto nie odpowiedziała mu uśmiechem. Przeciwnie, zmarszczyła czoło i powoli pokiwała głową, jakby niezdolna była pojąć całej tej sprawy, jakby przewidywała coś złego.

Łucja zmierzała szybko ku przystankowi tramwajowemu jak człowiek mający przed sobą ustalony cel - ona, która kilka miesięcy temu, wlokąc się znużona i pełna zwątpienia, myślała, że nie ma już po co żyć na tym świecie. Był to wprost cud. Za cud musiała uważać ten bezmiar błogosławieństwa, jakie na nią spłynęło, tę ogromną zmianę, która - jak wiedziała - przeobraziła jej życie.

Niech panna Tinto w zdumieniu marszczy czoło, niech Dandie chichocze szyderczo, ile chce, nic ją to nie obchodzi. Jeśli przenikający ją słodki żar wewnętrzny pobudza ich tylko do szyderstwa, to wcale się tym nie przejmuje. Jest szczęśliwa, szczęśliwsza niż kiedykolwiek w życiu, a gdzieżby oni zdołali zrozumieć to błogie szczęście - tę wielką radość, gdy ona sama wciąż jeszcze nie przestała się nią zdumiewać? Niemniej radość ta należała do niej, gorejący ogień, wobec którego wszystko inne zbladło jako coś nieważnego, palący się płomień, którego stale poszukiwała, a który zawsze okazywał się złudą - teraz posiadała go nareszcie. To był powód jej wewnętrznego spokoju i pogodnej twarzy świadczącej o świadomym dążeniu do celu.

Na Kelvinband wysiadła z tramwaju i dobrze znaną drogą ruszyła ku Flowers Street. Gdy szła zatechłymi ulicami, które kiedyś przejmowały ją takim wstrętem, nie czuła żadnej niechęci. Wróciwszy do domu, zrobiła sobie herbaty i zjadła coś. Po czym wstała, obmyła twarz i ręce, przyglądała włosy i znów wyszła.

Na zakręcie klatki schodowej przelotnie rzuciła okiem na sąsiednie drzwi, na których brak tabliczki z nazwiskiem Finch wskazywał, że się wyprowadzili. Tak, krótka idylla dobiegła nieuniknionego końca: Bessie z zapłakanymi oczami wróciła do matki, a Jan znalazł jakieś łaskawe schronienie dla siebie i swojej flaszki. Czy mógł istnieć wyraźniejszy dowód znikomości wszystkiego co ziemskie?

Gdy schodziła ze schodów, z piersi jej wyrwało się stłumione westchnienie. Żałowała Bessie. Kiedyś i ona była taka - zbłąkana, usiłująca zdobyć bodaj okrucz szczęścia z marzeń, które okazały się złudą.

Szła uliczkami w coraz bardziej gęstniejącym mroku - rozmyślnie unikała dobrze oświetlonych ulic. Nagle ogarnęło ją przelotne wspomnienie owych dni, kiedy pragnęła pochwycić zwodnicze radości świata, kiedy pociągały ją światła, tłumy ludzi i wystawy sklepowe, kiedy ulegała nawet próżnej chęci strojenia się. Czy istniała kiedyś suknia z cybeliny, którą przymierzała przed lustrem i pytała Netty o zdanie? Czy istniały czasy, kiedy siadała przy stole, by objadać się ciastkami z kremem? Ciastka z kremem, wspomnienia te wydawały się jej czymś nierealnym, dalekim, bardziej dalekim. Tak. Pod wrażeniem tego cudownego szczęścia, które zstąpiło na nią, przyjemności te wydawały się jej tak dalekie, budząc w niej jedynie nieokreśloną skruchę, że mogła im się kiedyś oddawać z takim przejęciem.

Była już teraz w pobliżu Garnet Street. Szła pewnie - dzięki znajomości drogi - krętą i źle oświetloną ulicą, która zaprowadziła ją na plac, tuż naprzeciw kościoła Maryi Panny. Nagłe wydostanie się z tej ciasnej, krętej uliczki na wolną przestrzeń Łucja odczuwała zawsze jako symbol: podobne było do owej cudownej ulgi, jakiej zaznała po pierwszej bytności w tym kościele. I wchodząc wąską gotycką bramą, znów musiała myśleć o tym wzniosłym przeżyciu duchowym. Jakżeby mogła zapomnieć o nim. Potężna fala, niby strumień zwolniony z okowów lodu, porwała ją i uniosła, błyskawica łaski, czysty wewnętrzny płomień, oślepiające światło, i stało się: cały bieg jej życia został odwrócony, a sama nagłość wyzwolenia była objawieniem. Niemal cud! I pomyśleć, że całe życie goniła za uludami, gdy tę oto wielką, jedyną rzeczywistość przeoczyła.

Stało się to przed dziewięcioma miesiącami, owej niedzieli - och, błogosławiony, błogosławiony dzień! - w tym samym ciemnym, ponurym kościele. Na kolanach, na pół ukryta za filarem, próbowała odmówić modlitwę - mechanicznie, bezmyślnie, zbyt zdruzgotana nieszczęściem, by zdobyć się bodaj na zewnętrzną powagę, jaką zachowywała zazwyczaj przy spełnianiu obowiązków religijnych. Możliwe, że nigdy nie była pobożna, a kierowała się tylko przyjętym zwyczajem i tym, że uważała to za swój obowiązek. Tego dnia jednak czuła się tak złamana, że nie mogła zdobyć się na skupienie w modlitwie, a cała jej istota była niby struna napięta tak silnie, że lada chwila groziła pęknięciem.

Nagle Łucja podniosła głowę. A wtedy struna ta pękła; czując jakieś przedziwne wewnętrzne drżenie spojrzała prosto w Jego twarz! Twarz ta pochylona była na ramię, a spod spuszczonej powiek oczy patrzyły ku modlącej się ze spokojnym, lecz bolesnym poznaniem. Nagle przeszył ją okrutny ból męki, osunęła się w cień filaru. Nie mogła jednak

odwrócić spojrzenia, nieodwołalnie pozostającego pod wpływem tamtych spokojnych, smutnych oczu, które zdawały się martwić z jej powodu i z jej powodu zdawały się być zasepione łagodnym wyrzutem. A potem poczuła, że drży, gdyż twarz ta wyrażała to wszystko, co ona w tej chwili przeżyła. Cierpienie malowało się w każdym rysie. Okaleczone i krwawiące czoło, zapadnięte, bezkrwiste policzki, na pół otwarte usta ukazujące zaschnięty z pragnienia język. Straszna walka samotnej, męczeńskiej śmierci wyryła swe piętno na wykrzywionym od bólu obliczu. Ale twarz ta nie była martwa. Była żywa, widok jej krzepił Łucję dziwnym uczuciem łączącym miłosierdzie z bólem, siłę ze słabością, surowość z dobrocią. Nagle zdawało się jej, że słabnie, rozpaczliwie usiłowała opanować się, odwrócić wzrok. Przecież to tylko krucyfiks, przybity do filaru nad jej głową - twarz Jezusa, wiszącego na krzyżu, nic, czego by nie знаła poprzednio, nic, czego by nie widziała setki razy. Krzyż był wprawdzie duży, niemal jak ten prawdziwy z Golgoty, jednak to nic innego jak drzewo, gips i farba. Ale mimo to Łucja patrzyła jak urzeczona, nie mogąc oderwać oczu. Och, ileż to razy widziała tę twarz cierpiącego Chrystusa, ale nigdy, nigdy nie widziała takiej.

Ta była tak blisko niej, prawdziwa, pełna życia, oddech wydobywał się z umęczonych ust, pot występował na udręczone czoło, oczy zdawały się patrzeć na nią wyczekująco, rozumiały jej niedolę, ofiarowywały łaskę, spokój i miłość. Przez całe jej życie Jezus czekał na nią, cierpliwie, pełen udręki, a ona zrozumiała to dopiero teraz. Czekał na tę chwilę. Widziała wszystko jak przez mgłę, opromieniającą postać Chrystusa przedziwnym blaskiem. Jezu! Jezu! Jego twarz jaśniała nad nią. Jej Zbawiciel, którego zaniedbała i opuściła, ofiarowywał jej swoją miłość! Jakkolwiek wyczerpana, złamana, opuszczona, należy jednak do Niego. On ją rozumiał, przywoływał do siebie, oczy Jego płonęły współczuciem dla niej, bok Jego krwawił za nią. Jego biedne ciało chłostane było za nią, Jego ramiona wyciągnięte na drzewie krzyża są szeroko rozwarte na jej przyjęcie. On również cierpiał, Jego cierpiące, wszechwidzące oko widziało całą jej mękę. On był tym, który wieścił błahość wszystkich rzeczy świata oprócz miłości Boga. Czy nie ustanowił takiego biegu jej losów, by ostatecznie przyszła do Niego?

Nagle do uszu jej dobiegł donośny głos: "Zaprawdę szukajcie królestwa Bożego". Zbladła, była pokonana, zalewała ją fala najczulszej tkliwości. Och, widok tej zmienionej twarzy! - była teraz zbyt promienna, by mogła w nią spojrzeć. Serce Łucji waliło, jakby miało pęknąć, przepełnione dziwną żarliwością, wypływającą właśnie ze smutku. Żarliwość ta wciąż rosła, aż biedne ciało Łucji nie mogło dłużej znieść tego wewnętrznego ognia, czuła, że

coś w niej topnieje, a dusza jakby na skrzydłach wzbiła się w górę ku postaci Chrystusa - jej Zbawiciela. Ulatywała coraz wyżej i wyżej w Jego otwarte ramiona. Och, nieoczekiwana, niewiarygodna radości. W ekstazie Łucja czuła ramiona Zbawiciela, obejmujące ją łagodnie. Głowa opadła jej na piersi, a strumień łez wytrysnął nagle z oślepionych oczu. Spoczywała na Jego piersi, łkając z radości. Jezus, Syn żywego Boga - chwała Ojcu - promiennosc wiecznej światłości - pożądanie wzgórz wiekiustych - On należał do niej, a ona do Niego. Czemu nie zwróciła się do Niego wcześniej? Błąkała się po pustyniach marności, mordowała się w bezużytecznym trudzie. Ale teraz przyszła do Niego, teraz dusza jej doznała słodczy zjednoczenia się ze Stwórcą. Oto cel, dla którego została stworzona. Poza tym zjednoczeniem życie było niczym - śmierć niczym! Wokół niej głosy aniołów łączyły się w niebiańskiej harmonii szczęścia.

- Jezu! Jezu! - szeptała w ekstazie. - W końcu przyszedłem do Ciebie. Jesteś mój, a ja jestem Twoja na wieki.

Przez długą chwilę pozostała na kolanach, w błogim zachwyceniu. Nie brała udziału w mszy świętej, nie słyszała kazania. Nie zwracała uwagi na nikogo i nikt nie zwracał uwagi na nią. Nie zauważyła, że wszyscy mieszkańcy tej ubogiej parafii wyszli z kościoła, że została sama.

Wreszcie poruszyła się powoli. Twarz jej, podobnie jak Oblicze promieniejące w wizji, była przemieniona. Nigdy by nie uwierzyła, wchodząc tu tak nieszczęśliwa, że wyjdzie całkowicie pocieszona, że znajdzie ukojenie. Spiesznie, żarliwie pochyliła się i ucałowała stopy Chrystusa na krzyżu.

Czuła się tak podniesiona na duchu, że ogarnął ją paniczny lęk, iż szczęście to zaraz minie. Skarb wydawał się zbyt cenny, by mogła go posiadać. Ale trwoga ta okazała się bezpodstawna. Jeżeli oddawała się jakiejś sprawie, to czyniła to zawsze z płomiennym zapalem. Stan błogości okazał się trwały, stale ją wypełniał, potęgował się z każdym dniem, stał się nicią przewodnią jej życia. A tyle miała do odpokutowania: całą swoją dawniejszą oziębłość i zaniedbanie.

Było czymś niezrozumiałym, jak wspaniale i szybko rozkwitała jej żarliwość, a jednocześnie wzmocniło się też to cudowne, wewnętrzne poczucie szczęścia. Codziennie chodziła do kościoła Maryi Panny, uczyniła go słodkim schronieniem, do którego niezmiennie

wracała. mały, skromny kościół nie odznaczał się niczym szczególnym, lecz tu, dzięki wzniosłej dobroci swego Stwórcy, dostąpiła aktu łaski. Tu więc przychodziła się modlić, ofiarowywać Bogu swoją pracę, życie, siebie samą, słuchać mszy świętej, codziennie przystępować do komunii. Te niby skarb strzeżone chwile, kiedy Jezus dawał jej Swoje Ciało, łącząc się z nią, przepajały jej duszę niewiarygodną, ekstatyczną radością. Nigdy przedtem nie uświadomiła sobie pełnego znaczenia sakramentu. Dawniej, kiedy około Wielkiejnocy spełniała tradycyjne obowiązki religijne, przyjmowanie Hostii i spożywanie opłatka, rozplywającego się na języku, było momentem uroczystym, ale nie wstrząsającym. Uważała ten akt za część składową swej wiary, tak ją nauczono - jakże inaczej! Teraz zjednoczenie z Chrystusem było prawdziwe i rzeczywiste, podsycalo jej zapał, potęgowało namiętą tęsknotę, będąc rozkosznym powtórzeniem owej chwili, kiedy w swej wizji czuła, że obejmują ją kochające ramiona Jezusa.

Co jednak może zrobić, by okazać Mu również swoją miłość i wdzięczność? Żarliwość Łucji domagała się od niej czegoś więcej, pchała ją łagodnie ku większym, coraz większym ofiarom. Pragnęła ściślejszego i trwalszego zjednoczenia. Wszystko dla Jezusa - oto jedyny cel życia, który porwał ją jak niepowstrzymany, wartki prąd.

I nagle pewnego wieczoru, kiedy pogrążona w pobożnych rozmyślaniach siedziała w swym cichym pokoju, spłynęło na nią objawienie. Być może, że w taki sam sposób dokonało się Zwiastowanie Panny Maryi. Było to takie proste, takie nieuniknione, może nawet zuchwałe, dla nie mogących pojąć jedynie śmieszne - ale dla niej było to natchnienie, pełne niezrównanej słodyczy. Poświęcić się Bogu całkowicie! Impuls bezgranicznego oddania pchał ją ku temu. Bo i co miała w swym życiu, co mogłoby ją powstrzymać od wyrzeczenia się świata? Nie, nie istniało nic takiego. Mogło się zdawać, że całe jej życie - stopniowy zanik wszelkich nadziei - było przygotowaniem do tego wzniosłego celu. Padła zaraz na kolana podziękować Chrystusowi za cud objawienia. Z wolna w umyśle jej utrwalało się postanowienie. Zwróciła się o radę do swego spowiednika i otrzymała ją. Po czym całkiem spokojnie powzięła decyzję.

Przed dziewięcioma miesiącami wchodziła do tego kościoła nieszczęśliwa i rozczarowana. Wszystko ją zawiodło. Ale to należało już do przeszłości: teraz posiada coś, co nie zawiedzie jej nigdy. To był właśnie powód nagłego postanowienia, które skłoniło ją do wymówienia dalszej pracy w firmie "Henderson i Shaw", a po części było też powodem jej bytności w kościele tego wieczoru.

Po skończonym nabożeństwie pozostała na klęczkach, patrząc na księdza, który zszedł powoli ze stopni ołtarza i udał się do zakrystii. On także okazał jej pomoc, chciała więc pomówić z nim teraz.

Kościół Maryi Panny przy Garnet Square pozostawał wtedy pod opieką ojca Jana Talbota. Był to kapłan surowy, gorliwy, o niepokalanej szczerości charakteru, któremu nawet jego nieprzyjaciele nie mogli zarzucić braku żarliwości. Ta płomienna wiara skłoniła go do porzucenia majątku - pochodził ze znanej rodziny ziemiańskiej - i oddania się bez reszty w służbę Kościoła. Mimo upływu lat wiara ta nie opuściła go. Pełen entuzjazmu, sam pełniący służbę w zubożałej parafii, pościł uporczywie, nie jadał mięsa, pił tylko wodę, stale nosił włosiennicę, o północy biczował się przed ołtarzem i potajemnie zadawał sobie różne udręki cielesne. Uważano go za głupca, za świętego, za bigota, ale nigdy - sam jego wygląd to wykluczał - nigdy za blagiera.

Wysoki, chudy i wyprostowany, samą swą wynędzniałą postacią robił duże wrażenie. Nikt nie mógł się oprzeć jego niezwykłej sile przekonywania. Ciemnowłosy, miał szczupłą, bladą twarz. kształtny orli nos, wyraziste nozdrza, wargi cienkie jak kreski, i duże, surowe, trochę zapadnięte oczy. Twarz ta, zarówno jak jego zachowanie, nigdy nie łagodniała, stale była poważna, skupiona, pogrążona w zadumie, właściwie niemal groźna. W tej chwili zdjął ornat w zakrystii - ponurej izbie, przepojonej aromatyczną wonią kadzidła i roztopionego wosku. Panowała tu zupełna cisza, zakłócona jedynie krzątaniną dwóch ministrantów, zdejmujących w kącie komeżki. Zakonnik złożył albę i stułę. Nagle dało się słyszeć pukanie do wewnętrznych drzwi, wiodących do kościoła.

- Wyjdźcie - rzekł surowo Talbot do chłopców, nie odwracając głowy. Natychmiast spełnili rozkaz, wychodząc tylnymi drzwiami na podwórze. Wygładził jeszcze złożoną stułę, włożył na głowę biret, następnie podszedł ku wewnętrznym drzwiom i sam je otworzył.

- Czekam na panią - powiedział cicho. I wpuściwszy Łucję do zakrystii, przerwał przyglądając się jej poważnie. - Więc pani zdecydowała się?

- Tak, ojcze.

- Rozważyła pani wszystko, co powiedziałem?

- Rozważyłam.

- Że wyrzeka się pani wszystkiego...

Potwierdziła z naciskiem, po czym przez chwilę stali naprzeciw siebie w milczeniu. Twarz miał ponurą i wciąż surową, ale tak samo jak zawsze jego powaga była dla niej źródłem dziwnej pociechy.

- Jest to jedyne, czego pragnę - wyszeptała po chwili. - Jestem zdecydowana. Wszystko inne jest dla mnie bez wartości. Nie mogłam poniechać tej myśli, a ojciec mi doradza. Jestem w rękach waszej wielbności.

- Jest pani w ręku Boga - poprawił ją surowo. Zapanowała cisza, nie prosił Łucji, by usiadła, nieubłaganie czyniąc z tej rozmowy pokutę dla obojga. - Znam panią niemal od dziewięciu miesięcy - rzekł w końcu - i znam trochę pani przejścia. Nie jest pani młoda. Ma pani do zaofiarowania Bogu tylko schyłek życia. Ale jeśli pani jest zdecydowana znieść utrapienia, poddać się całkowicie...

- Chcę tego, och, chcę! - przerwała.

- To gotów jestem przyjść pani z pomocą. Wierzę, że ma pani powołanie. Przyszło późno, ale jednak przyszło. - Umilkł, myślami już całkowicie oderwany od chwili obecnej, a Łucja wpatrywała się w niego płonącymi oczyma. - Zastanawiałem się nad tą sprawą - podjął znowu. - Zakon Służebnic Bożych, dobrze mi znany, będzie dla pani najodpowiedniejszy. Skierowałem tam już dwie kandydatki i spisały się doskonale.

- Zdaje mi się, że ojciec wspominał o karmelitankach - wtrąciła szybko.

- Tamta reguła jest zbyt surowa. Pani nie jest dość młoda, by znieść ich dyscyplinę - odparł spokojnie. - Poza tym, proszę wziąć pod uwagę swoją pozycję i wiek. Co pani ma do zaofiarowania, by je skłonić do przyjęcia pani? Nie, w danych warunkach nie zgodziłyby się przyjąć pani.

Poczerwieniała, ale wciąż jeszcze patrzyła mu w oczy.

- Zakon, o którym mówię, nie ma zbyt surowej dyscypliny, jakkolwiek nakłada także pewne obowiązki. Jediną przykrą stroną jest to, że główna siedziba tego zakonu jest za granicą - w Sentiens, w pobliżu Brukseli. Musiałaby pani spędzić tam co najmniej trzy lata,

może resztę życia. Prawdopodobnie jednak po złożeniu ślubów odesłano by panią do któregoś klasztoru w kraju.

- To nie robi mi żadnej różnicy - powiedziała żarliwie. - Pragnę odejść, odejść od wszystkiego.

- Nie o to chodzi, czego pani pragnie. Po wstąpieniu do klasztoru musi pani zapomnieć o swych pragnieniach. - Znów przerwał. - Napisałem już do przeorowskiej, poza tym istnieją jeszcze formalności, które pani musi załatwić sama.

- Tak, załatwię wszystko.

- Potrzebne są świadectwa chrztu, bierzmowania, następnie zaświadczenie lekarskie i akt zgonu męża pani. Poza tym musi pani jeszcze mieć dwa polecenia, ja oczywiście dam jedno, a drugie - rzucił jej szybkie spojrzenie - proponuję, by drugie dał kanonik Moore.

- Zaraz do niego napiszę - zapewniła, a po chwili dodała: - Kiedy mogę się spodziewać...

- Matka przełożona napisze do pani. Jeśli pani zostanie przyjęta, prawdopodobnie nastąpi to w ciągu miesiąca, to zależy od niej.

Miesiąc! Tego się właśnie spodziewała. Na myśl o tym doznała dziwnego uczucia radości, upajającej niby mocny trunk.

- Ojciec był dla mnie bardzo dobry - wyszeptała. Pragnęła za to podziękować.

- To nic. - W tonie jego brzmiała niemal nagana, jakby politowanie dla wszystkich uczuć ludzkich. Po czym zamilkł, a to wymowne milczenie zakończyło ich krótką rozmowę.

- Odejdź, córko, w pokoju - rzekł, gdy skierowała się ku drzwiom.

Była szczęśliwa. Dobrowolnie powzięła decyzję. Kilka minut rozmowy - zwięzłej i krótkiej - zawiedzie ją do upragnionej przystani. Wróciła do kościoła. Nawa, rozbrzmiewająca niedawnymi głosami, tonęła już w pośpym mroku, rozpraszany jedynie migotliwym, czerwonym blaskiem wiecznej lampki. Łucja ukłękła na chwilę, przejęta głębokim uczuciem wdzięczności. Oby ją tylko przyjęto! Modliła się, by spodobała się Bogu jako służebnica, by

cała jej oziębłość, cała dawniejsza obojętność poszły w niepamięć. Będzie jednak przyjęta. Czują już, że życie jej zostało ukształtowane do tego jedyne go celu.

Pogrzała się w ciszy, spokoju i samotności. Pociągnięta wizją wewnętrzną, płomiennym spojrzeniem wpatrywała się w mrok, królujący poza migotliwym światłem. Ciało jej w namiętnym oddaniu pochyliło się błagalnie ku niewidocznemu ołtarzowi.

Wszystko, wszystko dla Jezusa! - nie była zdolna do żadnej połowiczności. Tak, musi oddać wszystko. Jakże ślepi są ci, którzy odrzucają rozkoszne miłowanie Boga. Wszak miłość ta jest wszystkim. Jest światłem, ku któremu ta skomplikowana mieszanina instynktów - jej dusza, niby ćma fruująca w ciemności, leci w ślepej i nieprzepartej tęsknocie.

Dziwna, przedziwna myśl, że ona, Łucja Moore, zamierza teraz wstąpić do klasztoru. Tylko ona jedna potrafiła zrozumieć prawdziwe znaczenie tego kroku. Wszystko, wszystko dla Jezusa! O to właśnie chodzi. Jemu oddaje się z całym namiętnym zapalem oblubienicy!

Idąc za wskazówką swego duchowego doradcy, napisała do Edwarda, a w najbliższą sobotę miała odpowiedź, która ją zdumiała. Odpowiedź ta nie wyraziła się listem, lecz wizytą - osobistą wizytą kanonika.

- Musiałem przyjść, Łucjo - oświadczył zaraz na wstępie po szybkim przywitaniu, trochę jeszcze zdyszany. - Jestem zajęty. Ogromnie zajęty. O czwartej mam zebranie diecezjalne, musiałem jednak przyjść. - Jego zachowanie zmieniło się nieznacznie w ciągu ostatnich lat - nieśmiałość kryła się pod maską opanowania, łagodność łączyła się z dostojeństwem. - Co ma znaczyć to wszystko, co wypisałaś w swym liście? - ciągnął dalej, ściągnął brwi z wyrazem delikatnej nagany i wyciągając z kieszeni dowód na piśmie, dodał: - Chyba nie traktujesz tego poważnie?

- Najzupełniej poważnie - zapewniła, patrząc spokojnie na Edwarda siedzącego w bujającym fotelu, jedynym sprzęcie, na którym można było bezpiecznie usiąść w jej pokoju. Była zdziwiona jego odwiedzinami, ale nie przerażona. Dnie, kiedy ubóstwo jej mieszkania wywoływało na jej twarzy rumieniec wstydu, należały do przeszłości. Tak, teraz chętnie znosiła to ubóstwo - ubóstwo, o którym mówił Chrystus.

- Ależ, droga Łucjo, nie możesz przecie traktować tego poważnie - protestował kanonik wachlując się listem; zbyt szybko wchodził na piętro, a w ostatnich czasach znów cierpiał na wątrobę. - A przynajmniej zupełnie nie zdajesz sobie sprawy z tego, wybaczone, niedorzecznego zamiaru. Czy wiesz, co to znaczy, jakie napotkasz trudności?

- Nie większe od tych, do których jestem przyzwyczajona. Zaznajomiono mnie z dyscypliną zakonu. Poza tym trud ten składam w ofierze Bogu. - Była spokojna, jakby odbiegała myślami daleko.

- Bardzo to chwalebne, istotnie. - Spojrzał na nią pobłaźliwie. - Ale szczerze mówiąc, Łucjo, w twoim wieku nie możesz nawet myśleć o tym.

Wiek! Czy przez to znaczące napomknienie miał na myśli, że jest za stara na taki nierozważny czyn? A miała przecież dopiero czterdzieści dwa lata. Zmarszczywszy czoło, zamierzała coś odpowiedzieć, ale on podjął szybko:

- Otóż pragnę powiedzieć ci parę słów. W ostatnich czasach miałaś, moja droga, bardzo ciężkie przejścia. Ale sposób, w jaki się z tym uporałaś, przynosi ci zaszczyt. Małżeństwo Piotra, niemal ucieczka - tak, było niespodzianką nawet dla mnie. I w dodatku taki młodzik! Ale ostatecznie - jest to tylko prawo natury. Jak mówi święty Paweł: "Lepiej jest bowiem żyć w małżeństwie niż płonąć w ogniu". Ostatecznie i tak któregoś dnia byłabyś go utraciła. Wcześniej czy później - co za różnica? Zresztą nie jest to znów tak bardzo wcześnie. W Hiszpanii na przykład - oczy jego zabłyśły pod wpływem wspomnień - w Hiszpanii małżeństwa zawierane są bardzo młodo. Ludzie tam szybko dojrzewają, zwłaszcza kobiety. Tak widywałem czternastoletnie dziewczęta, wstępujące w związki małżeńskie. A przecież zrobił świetną partię. Róża to wspaniała dziewczyna, i do tego katoliczka - tak, śliczna dziewczyna - śliczna... - z rozkoszą przeciągał ten przymiotnik - przy tym bogata! Jaka to perspektywa dla chłopca rozpoczynającego praktykę w Londynie! Pisze mi, że wybija się świetnie, lecz nawet w kołach arystokracji, naprawdę dzielny chłopiec. Za jakie parę miesięcy będzie mógł zapewnić ci utrzymanie. Dużo dla niego zrobiłaś - tak, to wiadomo - ale on ci za to odpłaci, jeśli tylko będziesz mieć cierpliwość. - Rozparł się wygodnie i wyciągnął miękką, białą rękę. - "Pax vobiscum"! - A mina jego mówiła wyraźnie: jakież powód do skarg?

- Sądzę, że to, co minęło, nie odgrywa w tej sprawie żadnej roli - powiedziała Łucja ze zdumiewającą łagodnością. - Mnie obchodzi tylko przyszłość.

- Tak, moja droga, oczywiście. Ale możliwe, że zrozumiała uraza, żal, skłoniły cię do powzięcia tej decyzji. Mam na myśli małżeństwo Piotra, zawarte - że tak powiem - za twoimi plecami. Ale świadczę się Bogiem, że ja nie maczałem w tym palców.

Powoli potrząsając głową, wyliczyła mu swe niezbite argumenty.

- Nie znasz mnie, Edwardzie, wciąż mnie jeszcze nie znasz! To postanowienie jest dla mnie teraz wszystkim. Znalazłam szczęście, znalazłam niewysłowione szczęście w Panu.

Paradoksalny fakt - niemniej ksiądz cofnął się na jej słowa niby spłoszony koń, po czym spojrzał na nią z powątpiewaniem, a mina jego wydłużyła się.

- Tak, tak - powiedział uspokajająco. Zamilkł na chwilę. - Otóż - podjął dalej - założmy, że chcesz to zrobić. Czy zastanowiłaś się nad tą ofiarą? - Wydał usta. - Nie tak to łatwo wyrzec się świata, jak ci się wydaje.

Zaciskając usta pomyślała o tym "świecie": o slumsach, nędznym mieszkaniu, o beznadziejnej harówce.

- Mogę się go wyrzec - odrzekła ostrzej, niż zamierzała. - I wyrzeknę się.

- I to życie klasztorne - upierał się. - Do tego życia trzeba się wdrażać stopniowo, gdy się jest młodym. W twoim wieku - tak, zaznasz dużo upokorzeń.

- Alboż nie zaznałam ich dość? - mówiła bez goryczy. - Alboż się nie przekonałam, że w życiu tym nic nie ma wartości poza miłością Boga?

- Możesz służyć Bogu poza klasztorem, pośród ludzi - zaczerwienił się lekko. - My, księża, robimy to właśnie.

- Ale dla mnie istnieje: wszystko lub nic - odparła natychmiast tonem stanowczym. - Czuję w sobie powołanie.

Mruknął coś i trzepnął w powietrzu zaciśniętymi palcami, myśląc o czasach, kiedy elegancko ubrana, wesoła i zadowolona przyjechała do niego z małym Piotrusiem. W jaki sposób potrafi ją uchronić od tego... tak, od tego głupstwa?

- Co cię opętało? - rzekł w końcu, przyglądając się jej badawczo, po chwili górna warga drgnęła mu zabawnie, a przypomniawszy sobie, że zawsze lubiła jego anegdotki, dodał: - Nie miałaś chyba wizji, jak ta stara pani, która odwiedziła mnie niedawno. Panna Mac Tara, pamiętasz ją chyba. - Przerwał i delikatnie zwilżył sobie usta językiem. - Jest zamożna, jedna z moich najlepszych parafianek, a przy tym niesłychanie pobożna. "Kanoniku - powiedziała któregoś dnia ogromnie wzburzona - miałam niebiańskie widzenie. Widziałam Boga Ojca i Syna. Wczoraj wieczorem po kolacji widziałam Ich tak wyraźnie, jak teraz waszą przewielebność." Och, odrzekłem, a musisz wiedzieć, że dobrze ją znam i wiem, że lubi wieczorem pociągnąć trochę z butelki. "To było po kolacji? A ile porteru pani wypila?" - "Tylko dwa kieliszki, wasza wielebność. Nigdy nie piję więcej. Proszę mi powiedzieć, czy to

był cud?" - "Dwa kieliszki? - odrzekłem. - Wracaj do domu, droga duszo. Wypij dziś wieczorem trzy kieliszki, a niewątpliwie zobaczysz Trójkę Świętą."

Zaśmiał się zadowolony z własnego znakomicie opowiedzianego dowcipu, ale na twarzy Łucji nie ukazał się ani cień uśmiechu, a po chwili jego wesołość również znikła. Nastąpiła krótka pauza, w ciągu której patrzył na szwagierkę spod oka, zmieszany, że jego dobre intencje zawiodły.

- Łucjo, bądźże rozsądna - zaczął w końcu pojednawczo. - Nigdy nie mieszałem się do twoich spraw, ale jestem przecież księdzem, znam to wszystko doskonale i jak najbardziej ci odradzam.

Przyglądała mu się, gdy tak siedział, dobrze odżywiony, z tłustymi rękami i twarzą, zadowolony z życia i przejęty własną ważnością, po czym w myślach ujrzała postać ojca Talbota: chudą, wygłodzoną, trawioną wewnętrznym żarem. Zmarszczyła czoło. Czy ci dwaj ludzie wyznawali tę samą wiarę? W każdym razie wiedziała, za czyim przykładem pragnie iść.

- Ojciec Talbot powiedział mi, że mam powołanie - odrzekła chłodno. - Radził mi, bym poszła za jego głosem.

Twarz jego poczerwieniała gwałtownie.

- Talbot! - zawołał. - To fanatyk, zapaleniec, biskup ma go na oku. Nie powinnaś do jego słów przywiązywać większej wagi. Mamy obowiązki wobec życia i wobec siebie samych. - Urwał, a odzyskawszy szybko swoją kapłańską łagodność, ciągnął dalej z rozważnym naciskiem: - Nie! Nie podnosi to naszej wartości, jeśli chodzimy w nędznych ubraniach, z ogolonymi głowami. Musimy iść z prądem czasu. Nie dalej jak wczoraj rozbudziłem w kimś zainteresowanie dla spraw religijnych, grając z nim w golfa.. - I na marginesie dodał z pewną satysfakcją, że kończy partię golfa osiemnastoma uderzeniami.

Spojrzała śmiało, prosto w oczy Edwarda.

- Ty, właśnie ty, miałbyś mi odradzać poświęcenie się służbie Bożej?

Rumieniec, który nie ustąpił jeszcze z jego twarzy, powiększył się szybko; kanonik niespokojnie poruszył się na swym fotelu; doprawdy, jej szorstki sposób mówienia nie świadczył o zbytnej wytworności.

- Pragnę cię tylko powstrzymać od popełnienia głupstwa. Jesteś dość przekorna, nie chcę powiedzieć - uparta, ale sama chcesz sobie nałożyć wędzidło. Każdy rozsądny człowiek powie ci to samo. Nawet panna O'Regan twierdzi... - nie dokończył, wymownie wzruszywszy ramionami.

Więc omawiał jej sprawę z panną O'Regan - z tą bladą strażniczką jego flanelowych wygod. Znów odezwało się w niej dobrze znane poczucie gorzkiej krzywdy.

- Jestem, jaka jestem - oświadczyła szybko - bo taką mnie Pan Bóg stworzył. Ale nigdy nie krytykowałabym cię za twymi plecami. Co więcej, wnosząc z twoich słów można by sądzić, że chcę wstąpić w służbę diabła, a nie do klasztoru.

Cofnął się dotknięty i podniósł rękę w geście niemal apostołskim.

- Łucjo, Łucjo! - zaprotestował. - Ten twój język!

Opanowała się składając dłonie na kolanach.

- Wybacz, Edwardzie - powiedziała spokojnie, pochylem głowy okazując skruchę. - Zrobię to jednak. Cokolwiek byś powiedział, nic nie zmieni mojego postanowienia. Poświęcę się Chrystusowi!

Po tych słowach, które zdawały się płynąć z głębi jej duszy, nastąpiło długie milczenie.

- Pięknie - odparł z gestem bolesnej rezygnacji, nie wiadomo szczerzej czy udanej - uczynisz, jak zechcesz. Ale nie będziesz mogła powiedzieć, że cię nie ostrzegąłem. - Rozejrzał się po pokoju z miną człowieka, który spełnił swój obowiązek. Zapanowało milczenie, po czym Łucja podniosła oczy.

- Czy mogę ci podać filiżankę herbaty? - spytała łagodnie. - Nie sprawi mi to żadnego kłopotu.

- Nie, nie, dziękuję - odmówił wstając. - Po zebraniu idę na obiad do arcybiskupa. Przed tym nie chcę nic jeść ani pić.

Po spełnieniu obowiązku, zdawał się spieszyć do wyjścia. W przedpokoju uroczyście podał jej miękka dłoń.

- Żegnaj, Łucjo, i niech cię Bóg strzeże. Być może, że jednak przypadnie ci w udziale łaska powodzenia. Bo wszyscy jesteśmy w rękach Boga, wszyscy.

Stanąwszy na progu, zdawał się zaciemniać całe przejście, ale mimo znacznej tuszy krok miał miękki i lekki, gdy spokojnie schodził ze schodów.

Szybko zamknęła za nim drzwi i wróciła do pokoju. Edward ostrzegający ją przed całkowitym oddaniem się Bogu! Czy mogłaby sobie wyobrazić bardziej komiczną sytuację? Nie była jednak usposobiona do śmiechu. Przeciwnie - zacisnęła usta, oczy jej przybrały wyraz łagodny i świeciły dawnym blaskiem; nic nie zdoła rozłączyć jej z radością i chwałą całkowitego wyrzeczenia się. To zrozumiałe, że on tego nie potrafi pojąć. Mimo jego rad poświęci się jednak Chrystusowi. Zapatrzyła się w dal i ujrzała postać krwawiącego Chrystusa, przeszycy pięcioma ranami, wyciągającego ku niej ramiona.

Była niezbitnie pewna, z całym wewnętrznym przekonaniem wiedziała, że się tam dostanie, niemniej otrzymawszy ostateczną wiadomość o przyjęciu jej do klasztoru, doznała nagłego uczucia szczęścia. Matka przełożona wytwornym, spiczastym charakterem pisma i zdumiewająco doskonałą angielszczyzną doniosła, że była "bardzo przejęta" treścią listu Łucji i poleceniem dobrego ojca Talbota. Dlatego mimo wieku madame, przyjmie ją z przyjemnością jako postulantkę na podanych warunkach. "Niech będzie pochwalony." Oczyma żarliwej wiary Łucja widziała otwarte przed nią podwoje, wiodące do spokoju i szczęścia płynącego z modlitwy.

Uradowana zaczęła od razu przygotowywać się do rozstania z otoczeniem, które przez tyle lat było jej tak obmierzłe. Doznawała dziwnego uczucia wyzwolenia, ulgi, czuła w sobie niezwykle przyпіływ energii, której źródłem był wewnętrzny ogień. Myśl opuszczenia kraju nie sprawiała jej żadnej przykrości. Przyjęła ją radośnie. "Porzuć wszystko, co masz i pójdz za mną" rozkazał Zbawiciel. A czegoż miała się wyrzec?

Zajęła się przewiezieniem swych sprzętów, zakupionych za czterdzieści pięć szylingów przez tandeciarza z jej dzielnicy - kto inny nie byłby ich nawet tknął. Czterdzieści pięć szylingów - suma mogąca przynajmniej częściowo pokryć wydatki. O resztę musi zwrócić się do syna - chodzi o kwotę tak skromną, że nie będzie mógł odmówić. Niemniej nie napisała do niego ani słowa - to było w jej stylu. Wyjaśni mu wszystko w Londynie. Miała swój własny sposób załatwiania spraw. Tak, postanowiła wyjechać nie robiąc z tego powodu żadnego hałasu. Bo i z kim miałyby się liczyć? Z Ryszardem i Ewą, Joem, Polly, czy nawet z Edwardem? Wydarzenie to nie zamąci ich spokojnej egzystencji. Jej życie tak się zmieniło wskutek okoliczności spowodowanych przez nią samą, że już teraz czuła się izolowana, dziwnie oderwana od świata. Kilka razy rozmawiała z ojcem Talbotem, były to rozmowy rzeczowe, których powściągliwość zdawała się podniecać ogień jej zapału. Pożegnanie z panną Tinto wstrząsnęło nią wprawdzie, ale z innymi znajomymi rozstała się obojętnie, pogodnie, nie zdradzając swoich planów. Musi porzucić pracę, jedzie na południe, dla wypoczynku, bierze urlop, podawała byle jaki powód. Nie chciała dramatycznych pożegnań. Wystarczy, że wyjeżdża. I jak chętnie wyjeżdża.

Tak więc rano w dniu pierwszego marca siedziała w pociągu jadącym do Londynu spokojna, blada, skromnie ubrana kobieta w średnim wieku, z lekko zmarszczonym czołem. W siatce nad nią leżała zniszczona walizka, która należała kiedyś do jej syna - czy mogła wówczas przewidzieć, do czego jej będzie służyć? - zawierająca trochę osobistych rzeczy. W ręku bilet do Brukseli, w portmonetce niespełna trzy funty, a w sercu gorąco strzeżony, bezcenny skarb miłości Boga.

Może to niecierpliwość sprawiła, że podróż zdawała się Łucji nieskończenie dłużyć. Mało podróżowała w swym życiu - chociaż Frank swego czasu robił plany wspólnej podróży na kontynent, to w rzeczywistości nie była nigdy poza granicami Szkocji. Nie zabrała ze sobą żadnego śniadania, nie chciała gazet, nie pragnęła rozmów. Siedziała w kącie przedziału, milcząca, pogrążona w tajemnych rozmyślaniach, w stanie najgłębszej egzaltacji.

W Crewe na stojąco przy bufecie wypiła filiżankę herbaty i zjadła bułkę.

Na dworcu w Euston, gdzie dojechała w końcu o szóstej, wyszła na zatłoczony peron i od razu przywołała tragarza, który sprowadził dorożkę. Wśród zgiełku i tumultu wielkiej stacji pozostała całkiem spokojna mając w głowie jasno ułożony plan. Nie pojedzie do syna. Nie. Nie żywiła ani urazy, ani gniewu, nie czuła już zazdrości z powodu Róży, ale nie chciała się im narzucać. Udała się przeto do małego hotelu przy Gower Street, gorąco poleconego jej przez pannę Tinto, która w czasie swego pobytu z siostrą uznała go za "przyzwoity i niedrogi". Mimo że nie zapowiedziała swego przyjazdu, nie spotkała się tu z żadnymi trudnościami. Spokojna i zrównoważona, wcale nie przerażona wrzawą uliczną i dziwnym faktem, że oto wchodzi do obcego hotelu, z łatwością otrzymała pokój, jak gdyby załatwianie takich spraw było dla niej rzeczą zupełnie normalną. Następnie zeszła od razu na parter, by zatelefonować do syna. Szybko znalazła w książce jego nazwisko i bezzwłocznie nakręciła numer. Słuchawkę podjął Piotr i odezwał się tonem żywym, uprzejmym, zawodowym, w którym brzmiało oczekiwanie; gdy jednak wymieniła swe nazwisko i adres, głos ten zmienił się w sposób prawie komiczny. Po dłuższej chwili zdumionego milczenia odpowiedział trochę ochryple:

- Co... co tu robisz, na Boga?

- Przyjdź do mnie, a powiem ci. - Nastąpiła wymowna pauza, widziała prawie jego oszołomioną, zdumioną twarz.

- Ależ, mam, to ty przyjdź raczej do nas. - Ponowna pauza. - Czemu nie zawiadomiłaś, że przyjedziesz? Tak, musisz do nas przyjść.

Uśmiechnęła się lekko.

- Wkrótce cię zatem oczekuję - skończyła rozmowę, odwiesiła słuchawkę i wyszła z budki.

W pół godziny później przyszedł, starając się ukryć zaniepokojenie pod pozorami przesadnej czułości. I oto znaleźli się tutaj - on niedbale wyciągnięty na łóżku, ona siedząca na wyplatanej krześle, jedynym, jakie było w pokoju - oboje pod wpływem wspomnień tego wszystkiego, co dokonało się od ich ostatniego spotkania.

- Mam, nie możesz traktować tego poważnie - powtórzył po raz trzeci, wciąż jeszcze zmieszany i zaskoczony. - Jest to dla mnie najcięższy wstrząs od... - urwał i zaczął skubać cienką, czerwoną kołdrę. - Nie rozumiem, dlaczego mnie nie zawiadomiłaś.

- A czy ty mnie zawiadomiłeś? - spytała ze słabym, bolesnym uśmiechem.

Zaczerwienił się mocno, ze spuszczoną głową, skubiąc palcami kołdrę.

- Róża pragnie, byś przyjechała do nas - oświadczył zakłopotany. - Naprawdę, to były jej ostatnie słowa przed moim odejściem. - Zamilkł czując się nagle dotknięty. - Narobiłaś, mam, zamieszania tym niespodziewanym przyjazdem. A ten pomysł z klasztorem - w twoim wieku? Nigdy w życiu nie słyszałem czegoś podobnego. Na Boga, co ludzie pomyślą o tym?

Spojrzała na niego spokojnie, nawet współczująco. Całkiem naturalne, że obchodzą go takie błahostki życia. Mimo swego opanowania była głęboko wzruszona tym spotkaniem. Całe ich wspólne życie stanęło jej jak żywe przed oczyma. Zmienił się bardzo niewiele: jego zachowanie, uśmiech pozostały te same, przepojone tym samym nieśmiałym, bezwiednym urokiem. Wciąż go jeszcze kochała, tylko że teraz uczucie jej i tkliwość były zupełnie inne. Widziała rzeczy we właściwym świetle - drobne sprawy dnia codziennego zostały usunięte - jako nieważne - wobec głównego i wiecznego celu, celu zbawienia. Patrzyła z uśmiechem na syna. Czy naprawdę samobiczowała się kiedyś w rozpaczliwym wysiłku osiągnięcia doczesnej nagrody - jego sukcesu? Zdumiewająca głupota. Nic dziwnego, że została ukarana.

W tej właśnie chwili zrozumiała sprawiedliwość kary, jaką poniosła, i z kornym poddaniem przyjęła ją jako narzędzie uzyskania łaski.

- Nie chcę nawet myśleć o tym, byś się tam miała pogrzebać za życia - zaprotestował znowu. - Nie byłoby to dla mnie wielkim zaszczytem.

- Wiem, co czujesz, mój synu - rzekła powoli, a gdy mówiła te słowa, jej drobna postać przybrała wygląd majestatyczny. - Mimo to pojedę.

- Pozostań u nas i zastanów się jeszcze. Mówię ci, że Róża pragnie, byś przyszła do nas.

- Na co by się to przydało? - odparła z dziwną, bezwzględną wrogością. - Róża nie będzie mnie już widzieć. Wyjeżdżam zaraz, jutro lub pojutrze.

Podniósł na nią na pół błagalne, na pół zgnębione oczy.

- Chyba nie gniewasz się na mnie o to... o to małżeństwo? Było to przecież naturalne.

- Nie gniewam się na ciebie. Nie rozumiesz nawet, jak bardzo jestem szczęśliwa.

- Pragnąłem tyle zrobić dla ciebie - mówił ze smutkiem. - Pamiętasz, co ci pisałem, to tylko kwestia czasu. Wszystko bym zrobił dla ciebie.

- Potrzeba mi pewnych rzeczy - powiedziała spokojnie, całkowicie opanowana. - Będą kosztować bardzo mało.

Jego instynkt posiadania jak gdyby zniknął pod wpływem wiadomości o wyjeździe Łucji. Z załzawionymi oczyma Piotr zapewnił ją ponownie o gotowości przyjęcia jej z pomocą. W porywie uczucia zapomniał o swym wrodzonym skąpstwie, pytał o szczegóły, wyjął portfel, wzruszony wręczył jej kilka banknotów.

- Kup sobie wszystko, czego ci potrzeba - powiedział czule. - To drobiazg w porównaniu z tym, co chciałbym zrobić dla ciebie. - W chwilach przełomowych cechowała go uczuciowość, podobnie jak całą rodzinę Moore. Ofiarował jej pieniądze z wzniosłą hojnością, czerpiąc stąd uspokajające poczucie należycie spełnionego obowiązku. Przed dziewięcioma miesiącami byłaby pogardliwie odrzuciła jego dar, teraz bez wahania i komentarzy przyjęła

pieniądze. Nie były one przecież dla niej, lecz dla Boga. Piotr, bardziej wzruszony tym spokojem niż jakimkolwiek przejawem uczucia, pod wpływem nagłej czułości zasypywał ją dalszymi zapewnieniami, przyrzeczeniami, gorącymi słowami żalu. Ale ona była opanowana. Miała dziwne uczucie, że cała wieczność dzieli ją od niego. Gdy wstał, by odejść, powiedział zgnębiony:

- Przyjdę do ciebie jutro. - Znów się uśmiechnęła i pocałowała go.

Po odejściu Piotra siedziała przez chwilę zamyślona, następnie wstała, odłożyła otrzymane od niego pieniądze i zeszła na parter, do ładnie urządzonej jadalni o jasnobrązowych tapetach. Zabrała się do smacznego, choć skromnego posiłku, który jej podano. Jadła z przyjemnością, lecz siedząc w zacisznym kącie nie zwracała uwagi na innych gości. Oczy utkwiała w szarawym obrusie, jakby ćwicząc się już w pokorze i rozmyślaniach. Po skończonym posiłku zaraz wstała od stołu.

Nie było jeszcze ósmej, gdy czując wewnętrzny nakaz, włożyła płaszcz i kapelusz, poinformowała się u portiera i wyszła z hotelu. Ulice pulsowały ruchem niby potężne arterie, przez które przepływa ustawiczny prąd życia. Kabriolety i taksówki mknęły bez przerwy. Ludzie szli na obiad i do teatrów. Szybko przejechał obok niej prywatny wóz. Ujrzała blask białego gorsu koszuli, lśnienie obnażonego ramienia. Nieraz w przeszłości wyczekiwała z niecierpliwą radością swej pierwszej podróży do Londynu - najpierw omawiała ją z Frankiem, a później, w długi czas później z Piotrem: mieli pójść na obiad do "Trocadero" - postanowili być wytworni i zamówić nawet wino, następnie iść na jakąś dobrą sztukę, poważną lub wesołą, później zjeść kolację w Soho - żeby poznać prawdziwą atmosferę cyganerii; takie były kiedyś jej plany.

Ale teraz wszystko minęło - było jak popiół, niepożądany, nie budzący żalu. Gdyby jej dziś zaproponowano ten program, tak bardzo dawniej upragniony, odmówiłaby z pogardą. Było to niczym - niczym w porównaniu z tym, co posiadała teraz. Idąc przed siebie czuła tęsknotę - słodką tęsknotę, którą tylko ona potrafiła zrozumieć.

W ciągu całego dnia nie zaznała pociechy obcowania z Bogiem utajonym i oto w sercu swym poczuła pragnienie, które domagało się zaspokojenia... Kilka razy musiała pytać o drogę, ale po krótkim szukaniu znalazła wskazany kościół i weszła. Tu uklękła i przeżegnała się z westchnieniem szczęścia.

Późno już było, gdy wróciła do hotelu, a zmęczona podróżą zasnęła twardo spokojnym snem bez marzeń. Nazajutrz wstała wcześniej. Musiała kupić trochę ubrania, więc po śniadaniu, wziawszy spis matki przełożonej i pieniądze otrzymane od Piotra, wyszła z hotelu.

Trudne zadanie: w czterech sklepach próbowała bez powodzenia. Podnoszono brwi, gdy żądała sukien z najtańszego materiału, skromnie uszytych. Ale z podniesienia brwi nic sobie nie robiła, a po długim szukaniu, które było jednak prawdziwą przyjemnością w jej obecnym żarliwym nastroju, zaszła w końcu do cichego sklepu przy Edgware Road, gdzie otrzymała skromną czarną suknię, sięgającą od szyi do kostek, grubą bieliznę z gwarancją trwałości, wełniane pończochy, bawełniane prześcieradła i dwa szorstkie koce. Ogólna suma była niewysoka - ceny były równie skromne, jak wszystko, co kupiła - a można było polegać na Łucji, że starała się załatwić jak najlepiej, jeśli nie ze względu na siebie, to przez wzgląd na Chrystusa. Przed południem odesłano zakupione rzeczy do hotelu, a ona umieściła je troskliwie w walizce.

Wieczorem znów odwiedził ją syn i przez godzinę siedzieli w małej sypialni. Dziwna była ta rozmowa, nacechowana z jego strony niezrozumiałym przymusem. Znów uczuła dla niego przypływ miłości: miłość ta nie minie nigdy, teraz przejawiała się jednak raczej w formie wspomnienia niż aktualnego przeżycia - uczucie doznawane jeszcze, lecz jakby z oddali, przytłumione podniosłym nastrojem. Mimo to była zgnębiona jego rozpaczą. Gdy zastanowił się nad sytuacją, boleśnie odczuwał nieodwołalność rozstania. Jego egoizm nie przeszkadzał mu być wrażliwym. Piotr nie był dość brutalny, by zapobiec zbliżającemu się nieuchronnie wyjazdowi matki. Gdyby to się stało w pewnej odległości - gdyby wyjechała prosto z Glasgow - wszystko byłoby inaczej. Miał szczęśliwą zdolność - tak częstą u egoistów - usuwania ze swej świadomości spraw, z którymi nie miał bezpośredniego kontaktu. Na przykład fakt zawarcia małżeństwa poza jej plecami świadczył o tym najlepiej. Wtedy odtrącał po prostu każdą myśl o niej, o jej rozpaczach. Tu natomiast - ponieważ zetknął się z kłopotliwą sytuacją bezpośrednio dzięki obecności matki w tej małej sypialni - to właśnie budziło w nim dotkliwy, chociaż może przelotny ból.

Raz po raz zapytywał, czy dał jej dość pieniędzy, szczerze pragnął ofiarować więcej. To przynajmniej było wyraźnym dowodem jego życzliwości. Ale ona niemal się uśmiechała: na co jej teraz pieniądze? Syn weźmie na siebie jej drobne zobowiązanie wobec klasztoru; oświadczyła, że będzie to wystarczająca rekompensata za wszystko, co dla niego zrobiła.

Dziwne, ale poświęcenia i trudy, które dawniej uważała za tak rozpaczliwe, teraz we wspomnieniu wydawały się dalekie, a nawet błahe. Kiedy je znosiła, wydawały się nie do zapomnienia, dręczące jak bóle porodowe, ale podobnie jak te bóle, dzisiaj stały się dziwnie nieważne.

Gdy pytał, dlaczego opuszcza go, był jednak bardzo wzruszony i łzy nabiegły mu do oczu. Raz po raz wracał do tego: układał plany co do jej przyszłości, zamierzał zrobić to i tamto; a przede wszystkim prosił, by pamiętała, że jest dla niej zawsze miejsce w jego domu, nawet Róża mówiła...

Tak, mimo że go pocieszała, był całkiem wytrącony z równowagi. Na próżno wskazywała na wyraźne dowody swego szczęścia - rozpacz Piotra potęgowała się z każdą chwilą. Minione lata uleciały z ich pamięci, a Łucji zdawało się, że oboje cofnęli się do dni jego dzieciństwa w Ardfillan. Żegnając się z nią, łkał niemal - ten chłopięcy wyraz okazywania rozpaczki wywołał jej łagodny, współczujący uśmiech. Gdy syn odszedł w końcu, usiadła, rozmyślając bez goryczy, spokojnie, o owych dawnych czasach. W głębi duszy pragnęła, by tak właśnie wyglądało ich pożegnanie. I tak się też stało.

Przyrzekł odwieźć ją nazajutrz rano na dworzec Victoria. Ale przecucie jej nie zawiodło: rano otrzymała wiadomość telefoniczną, że został zatrzymany przez pacjenta i że przyjedzie dopiero na dworzec. Nie przyszedł jednak: nie jego wina, nie mógł przecież opuścić chorego. Była z tego nawet zadowolona. Przez cały czas pragnęła, by wyjazd jej odbył się cicho i bez zwracania uwagi. Bez fałszywych gestów i melodramatycznego pożegnania, bez cienia cikliwości, tak rażącej na progu klasztornej życia. Sama myśl o tym napelniała ją pogardą. Jej uczucie było miłością Boga, oddaniem się Bogu: było motorem, nieuchronną siłą, która pchała ją do tego kroku. A oto padła ostatnia bariera, została usunięta ostatnia ziemski przeszkoda, gwizd nabierającej pędu lokomotywy był niejako fanfarą głoszącą chwałę Bożą.

Ze swego miejsca w przedziale patrzyła przez okno, a radosny krajobraz Kentu - piękniejszy niż jakikolwiek pejzaż - przesuwał się przed jej zachwyconym, promiennym wzrokiem. Usta jej szeptały bezgłośnie: "Niech będzie pochwalony". Nawet koła jak gdyby powtarzały raz po raz: "Niech będzie pochwalony. Niech będzie pochwalony. Niech będzie pochwalony". Słowa te łączyły się z cudowną harmonią jej duszy i w bezgłośnie ekstatyce wzbijały się ku jasnej, błękitnej kopule niebios.

Tak, Bóg był dla niej naprawdę dobry, nawet w tych drobnych sprawach, które lekceważyła. Wbrew swej woli lękała się przeprawy przez Kanał, ale dojechawszy do Dover i jego wapiennych skał, ujrzała morze tak gładkie i spokojne jak niezmacona najmniejszym podmuchem powierzchnia stawu. Wszystko układało się pomyślnie. Bóg siedzący na tronie w świątyni niebios uśmiechał się do Łucji z pobłażliwą dobrocią.

Miarowe stukanie motoru spokojnie płynącego statku zastąpiło łoskot kół lokomotywy, ale dla niej był to ten sam rytm. Zmierzała naprzód - coraz dalej i dalej, do ostatecznego celu swego życia.

W takim była nastroju w czasie podróży - szczęście porywające, płomienne, tkliwe - serce jej biło jak trzepoczące skrzydła. W Calais szybko minęła komorę celną - jej waliza miała być sprawdzona dopiero w Brukseli - i wsiadła do pośpiesznego pociągu, zupełnie nie przejmując się faktem, że jest w obcym kraju, ani trudnością porozumiewania się w nieznanym języku. Wszystko zostało ułatwione dzięki łasce Bożej. Pociąg ruszył z miejsca, koła podjęły znów swój triumfalny śpiew. Ogarnęło ją nagle podniecenie, wywołane nie odmiennością krajobrazu - płaskie szare pola przecięte białą taśmą dróg i rzędami topoli przemykały przed nią jak sen - lecz perspektywą bliskiego końca podróży. Niemal upojeniem była ta jej gorąca, zachłanna żarliwość. I pomyśleć, że przed dziewięciu miesiącami uważała swe życie za skończone, omal się nie roześmiała w głos. Nic w ciągu całego jej życia, które przemknęło przed nią jak ten uciekający krajobraz, nie było podobne do obecnego szczęścia. Bo i jakże by mogło? Jak przywiązanie do męża i syna mogłoby się równać z jej obecnym umiłowaniem Jezusa? To przecież dla miłości Chrystusa była teraz w tym pociągu, pędząc do Niego coraz szybciej i szybciej.

W Tournai przedziurkowano znowu jej wymięty bilet, z którego pozostał już tylko strzępek. Później zjadła kanapki wzięte z hotelu. Siedząca naprzeciw niej Angielka rozpoczęła nieciekawą rozmowę. Łucja uśmiechając się odpowiadała na uwagi towarzyszki podróży, ale jej zachowanie, choć uprzejme, było jakby oderwane od ziemi. Czyż mogło być inaczej? Minęli Lille, Baisieux i Blandain. Czy czuła się zmęczona? Trochę ją wprawdzie bolały plecy, oczy też piekły i swędziały, ale była tak podniecona, że nie uświadamiała sobie tego. Przez cały czas zdawała sobie sprawę ze zbliżającego się celu, aż wreszcie, kiedy ukośne promienie słońca przedarły posępne mgły i swym blaskiem oblały morze dachów i wież, pociąg zwolnił bieg wjeżdżając na stację. Była w Brukseli. Natychmiast wyszła na peron, gdzie przystanąła chwilę, swą nieruchomą postacią rozdzielając wezbraną falę ludzi. Nagle oczy jej zabłyśły,

zauważyła dwie zakonnice, stojące w pobliżu bariery, a one widocznie zauważyły ją także. Postąpiła naprzód, one również - intuicyjny błysk wzajemnego poznania przemknął z szybkością strzały. Podeszły bliżej i spotkały się. Och, szczęśliwe poznanie, jakby ustalone od chwili jej przyjścia na świat.

- Pani z Anglii? - spytała niższa zakonnica z uśmiechem. Mówiła doskonale po angielsku - nowy dowód dobrotliwej opieki, którą Opatrzność roztoczyła nad nią od początku tego szczęśliwego spotkania.

- Bardzo wcześnie - rzekła druga zakonnica, również po angielsku, lecz błędnie i z trudnością; chcąc być lepiej zrozumiana spojrzała na zegar, wskazując, że pociąg przybył punktualnie.

- Jak to uprzejmie, że siostry wyszły na moje spotkanie - wybąkała Łucja. Jeśli żywiła jakieś nieokreślone obawy w związku ze swym samotnym przybyciem do tego obcego miasta, to w tym podziękowaniu chciała wyrazić swą skruchę.

- To nic - odrzekła pierwsza zakonnica - tak nam polecono. - Zamilkła, następnie wskazała towarzyszkę i przedstawiła ją: - Matka Maria Emanuela, przełożona nowicjatu, a ja - ja jestem siostra Józefina, przełożona postulantek.

Łucja odpowiedziała ciepłym uśmiechem.

- Siostra mówi tak dobrze po angielsku.

- Nic w tym niezwykłego - znów wyjaśniła siostra Józefina - mamy w Anglii kilka klasztorów, a matka przełożona mówi również bardzo dobrze po angielsku.

- Nie zatrzymujmy się jednak - spokojnie przerwała matka Maria Emanuela.

- Nie, nie, nie będziemy się zatrzymywać - żywo przytaknęła siostra Józefina. - Tam widzę rzeczy - i energicznie ruszyła przodem ku komorze celnej. Zanim wniesiono jej walizkę, Łucja miała trochę czasu, by przyjrzeć się zakonnicom.

Obydwie miały na sobie długie ciemne płaszcze, zasłaniające habit zakonny, na głowie białe czepki i opaski na czole wysuwające się spod czarnego welonu. Ale na tym kończyło się podobieństwo.

Siostra Józefina, średniego wzrostu, o brudnoszarej cerze i rozszerzonych porach, miała krótki nos, małe szczere oczy, ruchliwe, wymowne brwi, pogodne i dziecinne usposobienie. Wydała się Łucji dziwnie znajoma, ale chwilowo nie mogła sobie przypomnieć, gdzie i kiedy spotkała kogoś podobnego.

Matka Maria Emanuela, przełożona nowicjatu, była blada, wysoka, poważna, o niebieskich oczach, cienkich, bardzo suchych wargach, ostro ściętych zębach, widocznych wyraźnie, kiedy się uśmiechała, co zdarzało się zresztą rzadko, a zachowanie jej było tak sztywne i bezosobowe, że wyglądało niemal na przesadę. Siostra Józefina okazywała jej wyraźny szacunek i posłuszeństwo, nie tyle ze względu na różnicę w hierarchii zakonnej, ile raczej przez uległość - bezwiedną daninę, jaką słabsza natura składa silniejszej.

Właśnie w tej chwili siostra Józefina, gestykulując mówiła coś bardzo szybko do urzędnika celnego, który słuchał uważnie, raz po raz kłaniał się z wielkim szacunkiem, a w końcu z tym samym wyrazem respektu zdjął sztywno z głowy swoją spiczastą czapkę. Następnie niebieską kredą nakreślił na nie otwieranej walizie jakieś skomplikowane zakrętaszy i krzyknął nagle:

- "Porteur".

Natychmiast zjawił się tragarz w niebieskiej bluzie i wziął walizę na plecy.

- To bardzo uprzejmie z jego strony - powiedziała z zadowoleniem siostra Józefina do Łucji. Potem zaczęła mówić do swej towarzyszki po francusku szybko, ale z wielkim uszanowaniem, a gdy wszystkie trzy szły przez peron ku wyjściu, zwróciła się do Łucji z wyjaśnieniem:

- To ojciec naszej siostry Klary. Jest wysokim, bardzo wysokim urzędnikiem celnym. - Mina jej wyrażała podziw dla jego imponującego stanowiska. - Nasze siostry, przybywające do Sentiens, nie płacą należności celnych. To naprawdę wielki przywilej.

Wyszły z dworca na otwarty plac i od razu wsiadły do czekającego powozu. Tragarz odszedł, obdarzony małą srebrną monetą i sztywnym skinieniem głowy matki Marii Emanuela, zatrzaśnięto drzwiczki i powóz potoczył się po kamiennym bruku. Nie chcąc okazać, że męczy ją ten chybotliwy ruch, Łucja siedziała ze spuszczoneymi powiekami, czując, że siedzące naprzeciw dwie zakonnice przyglądają się jej z ciekawością.

- Jest pani zmęczona? - spytała nagle siostra Józefina. Była rozmowna.

- Nie, nie - odrzekła Łucja, szybko podnosząc oczy. Nie chciała tak prędko czy tak łatwo przyznać się do przejawów słabości. - Podróż była bardzo spokojna. - Zauważyła, że bezwiednie naśladowuje sposób mówienia tamtej.

- Ja też źle znoszę kołysanie fal - uprzejmie rzekła siostra Józefina.

- Ale to już minęło - zauważyła sucho matka Maria Emanuela. Nastąpiło chwilowe milczenie, po czym zakonnice zaczęły zniżonym głosem rozmawiać ze sobą po francusku.

Łucja poczuła ciepły odruch życzliwości dla tych dwu kobiet czując, że wkrótce będzie z nimi związana. Nie chciała jednak przerywać rozmowy, więc wyjrzała przez okienko zamkniętego powozu. Zobaczyła ożywioną ulicę, pełną kabrioletów i małych tramwajów, które zdawały się wzajem potrącać, pędząc wesoło z dużą szybkością. Wzdłuż chodników biegły szeregi kawiarni, czytała ich nazwy: "Cafe du Pays". "Cafe Belgique", "Cafe du Postillon" - dziesiątki kawiarni, tłumy kobiet i mężczyzn siedzących spokojnie, z zadowoleniem, na ulicy przy okrągłych stolikach. Przed nimi stały napoje, ale zdawało się, że nic nie piją, rozkoszując się po prostu świeżym powietrzem.

W końcu powóz skręcił z głównej ulicy i zaczął wjeżdżać na wzgórze, mijając niewyraźne zarysy pomników, studnię, znów rozległy plac, ogromny gmach - może pałac? - następnie wjechał w spokojniejszą dzielnicę, gdzie duże ciemne domy z żaluzjami i okiennicami stały w milczeniu, ożywione tu i ówdzie sklepem. Co za dziwne słowa: "Epicerie", "Boulangier", "Robes", "Charcutier" - takie napisy widniały nad drzwiami. Tak, naprawdę jest w obcym kraju.

Potem przez wąski kanał dostały się na przedmieście, gdzie pełno było małych pojedynczych domków, jakby wyciętych z tektury, z wesołą ornamentacją fasad, następnie mijając oparkanie place wyjechały na przestrzeń bardzo otwartą. Tu znalazły się niespodzianie na skraju lasu, który majacząc niewyraźnie, ginął w zapadającym mroku, ciemny i przerażający jak dziewicza puszcza.

- "Foret du Sentiens" - rzekła siostra Józefina. - Już blisko - wyciągnawszy rękę spod płaszcza wskazała na szczyt łagodnego wzgórza po lewej stronie. Oczy Łucji patrzyły z napięciem przez wąskie okienko. Na tle nieprzejrzystego mroku coraz ciemniejszego nieba

ujrzała niewyraźne kontury budynku z rozpostartymi skrzydłami, wznoszącego się na pagórku niby wielki nietoperz. Nie była już "en route"; była na miejscu - u celu swej podróży. Gdy koła powozu zazgrzytały na drodze wysypanej żwirem, Łucja uczuła przebiegające ją drżenie - dreszcz nadziei i radości. Nareszcie, nareszcie jest na miejscu.

Klasztor w Sentiens, główna siedziba zakonu, z pewnej odległości wyglądający jak nietoperz z rozpostartymi skrzydłami, miał w rzeczywistości kształt krzyża, co doskonale odpowiadało jego charakterowi. Wierzchołek krzyża wychodził na pobliską ulicę de Camboix. Zamknięty żelazną kratą oplecioną klematisem, mieścił w sobie hall, rozmównicę, na piętrze zaś kilka sypialni przeznaczonych dla przygodnych gości. Wszystkie te pomieszczenia były jasne, wesole, a fasada obrośnięta zielenią wychodziła na zaciszną ulicę. Ze środka budowli wybiegały dwa długie ramiona, lewe obejmowało refektarz, pracownię i cele zakonnic, które już złożyły śluby. Tuż obok wznosił się wąski budynek postulatu i - widocznie dobudowane później - podłużne, niskie poddasze dla pomieszczenia sióstr służebnych. Prawe ramię, rozmiarami odpowiadające dokładnie lewemu, mieściło cele, refektarz i pracownię nowicjuszek. Poniżej przecięcia tych skrzydeł - tworząc dolną część trzonu krzyża - stał kościół, smukłą wieżą górując nad najwyższymi konarami bliskiego buka.

Dzieląc, a właściwie łącząc te cztery główne części budynku, biegł obszerny wybrukowany dziedziniec, ze stojącą w samym środku figurą świętego Józefa, który z niewzruszonym spokojem wpatrywał się w przeciwległe okna kuchni klasztornej. A wokół klasztoru i kościoła ciągnął się ogród - duży, uroczy ogród, poprzecinany alejami i drózkami, obsadzony drzewami. Przeważnie były to drzewa owocowe, śliwy, wiśnie i brzoskwinie, ale też i lipy, modrzewie, ligustry, krzewy wawrzynu i mnóstwo pnących róż, które tworzyły arkady i altany, kontrastując z olśniewającą bielą kamiennych ścieżek.

Długi, wysoki mur otaczał cały teren i jakby to jeszcze nie wystarczyło, przyroda w swej rozrzutności zbudowała wspaniałe ogrodzenie - las Sentiens, który podchodząc niemal do muru, stanowił ponure groźne tło. Cała ta posiadłość klasztorna robiła wrażenie cytadeli, fortecy, z jednym tylko i to dość skomplikowanym wejściem. By dostać się do tej cytadeli, trzeba było pociągnąć za sznur dzwonka, długo czekać, potem poddać się dokładnym oględzinom przez zakratowane okienko, wejść przez furtkę, którą otwierała powolna siostra odźwierna, minąć hall, wreszcie za pomocą specjalnego klucza, otwierającego przeciwległe drzwi, przejść przez cały szereg rozmównic. Wtedy dopiero przybysz mógł stanąć na progu klasztoru.

A oto w jednej z tych frontowych rozmównic siedziała Łucja. Była sama - siostra Józefina poszła z matką Marią Emanuelą zawiadomić przełożoną o jej przybyciu - a kiedy tak czekała, oczy jej wędrowały powoli po małej izdebce - stół nakryty ceratą, kilka twardych krzeseł ustawionych z pedantyczną symetrią, w kącie żółty kafłowy piec z żelazną rurą i samotny obraz: Jezus idący po falach - oto całe urządzenie. Ale nagość tej izby była niczym w porównaniu z jej przerażającą, narzucającą się czystością: drewniana podłoga lśniła jak zwierciadło, stary piec błyszczał posępnym blaskiem, a połysk rury przypominał nowy cylinder. Stół, krzesła, nawet klamka drzwi były wypolerowane ze zdumiewającą pieczołowitością. Swego czasu Łucja pyszniła się niepokalaną czystością swego mieszkania, ale nigdy - nie, nigdy nie było ono tak nieskazitelne jak ta izba.

Rozmyślała jeszcze o tym, gdy drzwi się otworzyły i majestatycznie weszła starsza kobieta, a za nią Józefina i Maria Emanuela. Przybyła, wysoka, silnie zbudowana zakonnica, wydawała się jeszcze cięższa w obszernym habicie. Twarz miała białą i pełną, głowę pochyloną ku przodowi, jej brązowe krótkowzroczne oczy, przez grube stalowo oprawne okulary zmniejszone do wielkości paciorków różańca, patrzyły badawczo i przenikliwie, a dolne zęby wystające i bardzo żółte nadawały jej wygląd szydery, jak gdyby stale krytykowała cały świat. Mimo to robiła wrażenie imponujące, w tej chwili podeszła do Łucji i wyciągnęła do niej obydwie ręce.

- Witaj - rzekła z dobrotliwą powagą.

Łucja wstała, instynktownie wiedząc, że stoi przed matką przełożoną, i ogniskując na sobie baczne spojrzenia trzech par oczu, podała swe ręce. Nastąpiła chwila milczenia.

- Nie jest pani młoda - podjęła matka przełożona, stojąc teraz tak blisko Łucji, że ta za każdym słowem czuła wydzielającą się z jej ust nieprzyjemną woń - ale drogi Pana, po których wiedzie duszę ludzką, są cudowne. Najemnik, przychodzący do winnicy o jedenastej. Pani rozumie? To błogosławieństwo Boże, że pani tu przyszła. - Zamilkła, a następnie zmieniając temat rozmowy spytała: - Czy pani zmęczona?

- Nie, matko - Łucja czuła podświadomie, że tak właśnie powinna odpowiedzieć.

- Może pani chciałaby coś zjeść?

- Nie, matko.

Przełożona cofnęła się zadowolona, opuściwszy głowę na piersi.

- Przybyła pani w odpowiedniej chwili. Późniejszym wieczorem nie mogłybyśmy pani przyjąć. Musiałaby pani spać tutaj. Ale teraz wszystko jest gotowe. Przyjmiemy panią jeszcze przed wieczornymi modlitwami. Niewiele ma pani czasu na skupienie się, ale wszystko złożyło się pomyślnie.

Odwracając się, spojrzała na obydwie siostry, które natychmiast spuściły oczy z szacunkiem.

- Siostra Józefina będzie teraz przełożoną pani - oświadczyła uprzejmie - może przez kilka tygodni, później, w okresie nowicjatu, będzie pani musiała słuchać matki Marii Emanueli.

Powoli skinęła głową i skierowała się ku drzwiom ze stanowczością osoby przywykłej do rozkazywania. Wychodząc z pokoju, rzekła na zakończenie, nie odwracając głowy:

- Siostra Józefina mówiła mi, że walizki pani przepuszczono bez opłaty celnej, cieszę się z tego. To dobry omen dla pani.

Drzwi zamknęły się za nią. Przez chwilę żadna z nich nie mówiła - jak gdyby nastrój podniecenia musiał wpieryć się w powietrze po odejściu tej dostojnej osobistości. Następnie siostra Józefina rzekła łagodnie, jak gdyby zwracała się do dziecka:

- Proszę iść, musimy panią przygotować. - Ujęła ramię Łucji, otworzyła drzwi i wprowadziła ją do innej, mniejszej rozmównicy. Maria Emanuela towarzyszyła im w milczeniu; ścisły przepis reguły zabraniał zakonniczy pozostać sam na sam z osobą, która nie złożyła ślubów, stale musiały jej towarzyszyć dwie siostry. I znów stały, czekając chwilę, aż weszła stara siostra służebna, niosąc kilka czarnych, starannie złożonych welonów.

Gdy Łucja siedziała wyprostowana, coraz bardziej zaczerwieniona, wywiązała się dość żywa dyskusja nad wyborem welonu. Był z taniego, sztywnego materiału w rodzaju tych, jakie wkładają włoskie wieśniaczki idąc do kościoła, ale należyte upięcie go na głowie wymagało zręczności. Powiedziały jej, że stale musi ten welon nosić w kościele i dały jej niewielkie tekturowe pudełko, w którym miała go przechowywać, starannie złożony.

Nagle dobiegły ich głośnie dźwięki dzwonu, wobec czego szybko dokonano wyboru. Siostra służebna wzięła pozostałe welony i natychmiast zniknęła.

- Proszę wstać - powiedziała siostra Józefina. Łucja podniosła się. Nagle uczuła lęk.

- Co mam robić? - spytała nerwowo.

- To nic wielkiego - pobłaźliwie odrzekła siostra. - Dla postulantek to takie proste - zupełnie co innego niż obłóczyny. Będzie pani klęczeć na klęczniku, a my będziemy bardzo pięknie śpiewać "Magnificat". Tak, to zupełnie łatwe.

Podniosła zachęcająco palec, po czym znów ujęła ramię Łucji i ciągle w towarzystwie Marii Emanueli - tym razem ona posłużyła się kluczem - wyszły z pokoju. Przeszły przez następny lśniący czystością korytarz i przystanąły przed podwójnymi drzwiami.

- Oto kościół - rzekła siostra Józefina z naciskiem, przykładając wyprostowany palec do wciąż jeszcze lekko uśmiechniętych ust. Opuściła rękę i weszły do tylnej części kościoła. Łucja powoli podniosła oczy, które wskutek zmęczenia i dziwnego wzruszenia miała dotychczas spuszczone. Z wolna oczy te nabrały blasku rozjaśniając się wzruszeniem. Przebyta podróż, nieznane otoczenie, surowe rozmowy - momentalnie zapomniała o wszystkim. Kościół był niezwykle piękny, nawa główna strzelista i długa, ściany wyłożone gładkim drewnem, sklepiony sufit pomalowany i iskrzący się jak daleki firmament nieba - był w tej chwili prawie niewidoczny. Oświetlony jedynie świecami zapalonymi przed ołtarzem i dwiema po obu stronach klęcznika, kościół zdawał się być wypełniony kontemplacyjnym, tajemniczym spokojem.

W głębi majaczył niewielki ołtarz z białego marmuru. Umieszczony w półkolu utworzonym przez pięć witraży, w tej chwili mrocznym i pozbawionym życia, pod wielkim krucyfiksem, zdawał się unosić ponad wiodącymi doń marmurowymi schodkami. Świece migotały, rzucając łagodny blask na brązowe drzwi tabernakulum i na blade bukiety kwiatów uległe zwieszających swe kielichy po obu stronach ołtarza. Na ścianach rysowały się niewyraźne zarysy stacji Męki Pańskiej i z trudem można było dostrzec postacie zakonnic, klęczących w milczeniu, którego nie czuje się nigdzie indziej tak intensywnie jak w kościele klasztornym, w ciszy, która w tej chwili przepełniła serce Łucji rozkosznym uczuciem spokoju i radości.

Na dany znak zbliżyła się, uklękła na klęczniku, starając się skupić i odmówić modlitwę. Ale nie mogła. Całą jej duszę wypełniała porywająca myśl, że wreszcie jest tutaj, wśród grona pobożnych kobiet - ona, która całe swe życie przeżyła w świecie i to tak niegodnie. Teraz resztę swego bezwartościowego istnienia ofiaruje Stwórcy. Jakież spokój panuje tu, w tym cudownym domu Bożym, pełnym miłosierdzia, łaski i pokoju. Poczła piekące łzy pod powiekami.

Gdy tak klęczała, ozwał się nagle cichy ton organów, rosnący powoli we wspaniałą rapsodię dźwięków coraz głośniejszą i głośniejszą. Chór głosów zaczął śpiewać: "Veni Creator Spiritus". Wsłuchiwała się oszołomiona, z zaciśniętym ze wzruszenia gardłem. Po chwili zakonnice zaczęły śpiewać "Magnificat":

Magnificat anima mea Dominum:

Et exultavit spiritus meus in Deo salutari meo.

Śpiewano dla niej - na przywitanie, mimo jej całej niegodności. Poczła dławienie w gardle - dusza jej sławiła Pana, myśl upajała się Bogiem - Zbawicielem, szarpiące wzruszenie rozpierało jej pierś, było nie do zniesienia, łzy spływały cicho po policzkach. Czemu była tak ślepa? Jedno tylko istnieje w życiu: miłość Boga. Żarliwie biła się w piersi: "Boże, bądź miłociw mnie grzesznej. Słodki Jezusie, spraw, bym kochała Cię coraz więcej".

Teraz śpiewano "Te Deum".

Te Deum Laudamus: te Dominum confitemur

A serce jej odpowiadało hymnem dziękczynnym. Bóg ją przyjął. Ulatując duchem w przyszłość, widziała jasno swą drogę. Na skrzydłach upojenia unosiła się coraz wyżej i wyżej. Jak łatwo będzie jej tu zapomnieć o świecie i jego marnościach, oddać się Jezusowi, poddać Mu się całkowicie. Tu jest Jezus, którego będzie wiecznie kochać.

Skończył się śpiew i zapadło milczenie - milczenie kontemplacji. Po chwili uczyła, że dotknięto jej ramienia. Wstała posłusznie, ze spuszczoną głową wyszła z kościoła.

Teraz, dzięki przyjęciu i owej prostej ceremonii, należała do klasztoru. Pierwszy krok został zrobiony. Stała nieruchomo, gdy ta sama siostra służebna zdjęła jej welon i włożyła na głowę czarny czepek, który miała odtąd nosić.

- Dziś wieczór nie będziesz czekać na modlitwy - rozkazująco rzekła siostra Józefina - jesteś na pewno zmęczona.

Prowadziła ją ku lakierowanym drzwiom, nad którymi widniał napis "Postulat" i otworzyła je szeroko na świeżo wyszorowane drewniane schody. W milczeniu wchodziły po tych schodach, po czym skręciły w wąski korytarz, przecięty szeregiem drzwi. Wokół panowała cisza i unosiła się owa dziwna woń klasztorna: zatechła, ciepła woń, jedyna w swoim rodzaju, nie dająca się określić. Na gołych deskach kroki ich brzmiały cicho. Następnie siostra Józefina otworzyła przedostatnie drzwi. W izbie było ciemno, lecz po omacku znalazłszy zapalki, zapaliła świecę, ukazując maleńką, nagą izdebkę; znajdował się w niej tylko materac, szafka, na której stał dzbanek z wodą i wielki krucyfiks na ścianie.

- To cela - powiedziała. - Jako postulante wolno ci mieć jedną na tydzień świecę. Ale gdy zostaniesz nowicjuszką, będzie to zabronione. O dziewiątej trzeba być w łóżku i zgasić świecę. Taka jest reguła. A reguły należy słuchać.

Ostatnie zdanie wyszło z jej ust niby uroczysty, często powtarzany werset, łagodnie spojrzała na Łucję.

- Jak już powiedziałam, jesteś dziś zmęczona. Ale jutro rozpocznie się nauka. - Cień uśmiechu przemknął po płaskiej twarzy siostry Józefiny. Skierowała się ku drzwiom. - Niech będzie pochwalony - powiedziała. Było to jej pożegnanie na dobranoc. A Łucja odrzekła, jak ją nauczono:

- Na wieki wieków.

Drzwi zamknęły się cicho. Została sama. Sama w swojej celi. Życzenie jej spełniło się tak szybko, że prawie nie miała czasu zdać sobie sprawy ze swej sytuacji. Skronie tętniły boleśnie ze zmęczenia i gwałtownych wzruszeń, jakie przeżyła. Tak, czuła się wyczerpana do ostateczności, z przyzwyczajenia, na jedną krótką, śmieszoną sekundę strzeliła jej do głowy myśl o pokrzepiającej filizance herbaty, która by przywróciła utracone siły. Ale myśl ta trwała tylko chwileczkę. Też pomysł!

Uśmiechnęła się słabo, podeszła do okienka i otworzyła je. Fala nocnego powietrza, słodki powiew, przesycony aromatem ziemi i lasu, świeżością rosy, ochłodził jej rozpaloną twarz. Przez chwilę stała tak zapatrzona w całkowitą ciemność, a stojąca za nią świeca

migotała, rzucając na ścianę dziwne, groteskowe cienie. Wtedy z owej ciemności, z owego niewidocznego lasu przypląnął nagle czysty, cudowny dźwięk, śpiew tak piękny, niespodziewany, wzniosły i namiętny, że zdawał się pochodzić z nieziemskiego źródła. Wsluchiwała się oczarowana, gdy akordy podnosiły się i opadały w radosnym upojeniu, umiłowaniu swobody i natury.

Piękne, och, jakież piękne były te podniecające trele słowicze, które dotarły do niej niby ostatnie potwierdzenie jej szczęścia.

Z sercem przepelnionym błogością odeszła od okna, rozebrała się szybko i położyła. Tak, tu znalazła schronienie i pełnię spokoju. Zanim zdmuchnęła świecę, ostatnim przedmiotem, na którym spoczął jej wzrok, był krucyfiks na przeciwległej ścianie.

O wpół do piątej rano odezwał się głośno dzwon klasztorny, Łucja zbudziła się z lękiem. Było jeszcze ciemno, mrok nocy ciążył nad wszystkim, jej głowa była także ciężka, pełna chaotycznych sennych mar i huczących tonów dzwonu. Gdzie ona się znajduje? Myśli gmatwały się. Nie mogła zrozumieć. Następnie jak przez mgłę doszło ją pukanie do drzwi i dobitnie wypowiedziane słowa: "Niech będzie pochwalony. Niech będzie pochwalony". - Odpowiedziała natychmiast: - "Na wieki wieków" - po czym usłyszała w korytarzu kroki, następnie drugie pukanie i pozdrowienie: "Niech będzie pochwalony" i znów odpowiedź: "Na wieki wieków".

O czym ona tu rozmyśla? Wstać natychmiast, bez chwili zastanowienia - oto pierwszy dziś akt samozaparcia. Tyle już wiedziała, a mimo to, na samym początku swego postulatu okazała się nieposłuszna wobec pierwszego nakazu reguły. Szybko zerwała się z siennika i zapaliła świecę. Umycie się, włożenie nowej sukni i czepka było dziełem kilku minut. W celi nie było lustra - może i lepiej, gdyż wyglądała dziwnie groteskowo w tej długiej czarnej sukni i czepku. Następnie musiała jeszcze zasłać łóżko, wylać brudną wodę, umyć i wytrzeć miednicę, doprowadzić celę do porządku. Wykonała to skrzętnie.

Kwadrans po piątej znów ozwał się dzwon - wiedziała, że tym razem wzywa na "Angelus", a zaraz potem usłyszała otwieranie drzwi i kroki na korytarzu. Wyszła ze swej celi instynktownie idąc za ostatnią ciemną postacią, znikającą w tej chwili na zakręcie, zeszła ze schodów, i znalazła się w mrocznym kościele, gdzie zgromadziły się już zakonnice. W mętным półmroku nawy ciche klęczące postacie robiły wrażenie szeregu cieni, ale Łucja odnalazła swoje miejsce na przedniej ławce, wśród innych postulantek. Podeszła tam i zaraz uklękła.

Instynktownie trzymała się prosto, z twarzą ukrytą w dłoniach. Po rannych modlitwach - nastąpiła medytacja. Nikt się nie poruszał, panowała absolutna cisza, jak w grobie. Następnie w posępny półmrok wtargnęły z wolna pierwsze nieśmiałe smugi brzasku - cienkie barwne promienie, padające poprzez kolorowe witraże. Cisza została przerwana głosami wstającego dnia: świergot licznych ptaków gnieźdzących się na drzwiach wokół kościoła.

Wpatrując się w te osobliwe barwy świtu doznała nagle jakby zawrotu, w dziwnie radosnym nastroju poczuła, że na umysł jej spływa oświecenie, a dusza ulatuje we wzniosłym oczekiwaniu. Zaczęła się gorąco modlić o łaskę upodobnienia się do tych otaczających ją, świątobliwych istot.

O wpół do siódmej na głos dzwonu zaczęła się msza, odprawiana przez małego, przygarbionego księdza. Był to staruszek o trzęsących się rękach, powolnym chodzie i ciekim piskliwym głosie, załamującym się w wyższych oktavach, msza trwała więc z konieczności dość długo, a po niej nastąpiły modlitwy dziękczynne. Wreszcie o godzinie ósmej wszystkie zakonnice wstały w milczeniu i wyszły z kościoła na śniadanie. Wraz z towarzyszkami Łucja wróciła do postulatu, i za siostrą Józefiną poszła do refektarza. Był to wąski pokój z długim drewnianym stołem otoczonym ławami - pokój nagi i ponury, na stole czekało już jednak śniadanie - siedem pedantycznie ustawionych kubków, napełnionych ciemnym płynem, a przy każdym położona z taką samą dokładnością kromka chleba. Nastąpiła wymowna pauza, następnie, po odmówieniu modlitwy, siostra Józefina zajęła pierwsze miejsce, a po obydwu jej stronach usiadły postulantki.

Łucja siadła na wolnym miejscu i wraz z innymi zabrała się w milczeniu do śniadania. Była osłabiona długim postem, do którego nie przywykła, mimo to nie czuła apetytu. Ciemny płyn w kubku nie był kawą, lecz jakąś namiastką, nie osłodzoną ani kawałeczkiem cukru. Podłużny kawałek chleba, zupełnie innego niż w Anglii, był suchy, szorstki, szarozółty, wprawdzie treściwy, ale bez smaku. Znała jednak wymagane od niej ofiary i pragnęła żarliwie złożyć je. Z zapalem zjadła więc posiłek, zachowując się tak samo jak jej towarzyszki: ze spuszczonej oczyma trwała w niewzruszonym milczeniu.

Kwadrans po ósmej śniadanie było skończone i wszystkie wstały niezwłocznie.

- Zaczekaj - szepnęła Łucji Józefina, gdy tamte pojedynczo wychodziły z pokoju, a po wyjściu dodała głośniejszym głosem: - Czas nauczyć się obowiązków.

Łucja spojrzała łagodnie.

- Posprzątałam mój pokój - odrzekła cicho.

Siostra Józefina zmarszczyła czoło.

- Nie, nie w ten sposób - rzekła rozdrażnionym głosem. - Nie "mój", nigdy "mój". To nie twoja cela. Otrzymałaś ją tylko z dobroci zakonu i łaski Boga. Nic nie należy do ciebie. Wszystko jest "nasze". Zawsze należy mówić "nasza cela".

Łucja zaczerwieniła się.

- Nie wiedziałam tego, proszę siostry - wyjaśniła cicho.

- Proszę nie odpowiadać! - zawołała ostro Józefina. - Chyba że musisz o coś zapytać - poza tym obowiązuje reguła milczenia. A reguły należy słuchać - urwała przybierając wyniosłą minę. - Ponadto musisz do swojej przełożonej zwracać się z pełnym szacunkiem. Przełożona jest w obliczu Boga twoją władzą. Musi być dla ciebie jak Bóg. Zapamiętaj na zawsze, że trzeba wyuczyć się pokory. To pierwsza rzecz.

Łucja zagryzła usta i spuściła oczy. Nie poczuwała się do żadnej winy - jej uwaga była przecież taka prosta, tak zupełnie niewinna!

Ale siostra Józefina mówiła w dalszym ciągu, tonem wolnym wprawdzie od gniewu, ale z dziecinnym niemal uporem.

- Nie wystarczy umieć się modlić, a życie klasztorne to nie tylko klęczenie całymi godzinami przed tabernakulum - pouczała. - Należy wyuczyć się pokory. Przypomnij sobie, co powiedział nasz Zbawiciel: "Musicie być jako dziecięczki!" Tak, proszę sobie przypomnieć.

Łucja słuchała bez słowa protestu, opanowując nagłą chęć zawołania: - Nie miałam złego zamiaru! - Trwała jednak w uległym milczeniu, a kiedy siostra Józefina, po raz ostatni spojrzawszy badawczo, wyciągnęła klucz i wyszła z sali, poszła za nią ze spuszczoną głową. Doszły do końca korytarza, a minawszy dwoje drzwi, które siostra Józefina otworzyła,, zatrzymały się przed kilku szafami.

- Łucjo, proszę teraz uważać - pobłażliwie rzekła nauczycielka. - Jesteś służebnicą Pana i musisz chętnie spełniać najniższe posługi. Przede wszystkim musisz więc zacząć od wyszorowania i wyczyszczenia "petit pays".

Szorować i czyścić? Mimo całej swej gorliwości, Łucja drgnęła. Chyba źle zrozumiała? Nie przyszła tu po to, by stać się służącą: mają przecież siostry służebne,

wieśniaczki, chętnie spełniające tego rodzaju funkcje. Jeśli nie może się modlić, to może przecież szyć, haftować, naprawiać szaty liturgiczne, ale co takiego!...

- Weź szczotkę, pudełko, piasek - poleciała przełożona, spokojnie otwierając drzwi szafy - i spiesz się. Spóźniłyśmy się już.

Oczy Łucji spochmurniały. Szczotkę, pudełko, piasek! Tak, schyliła się, podniosła je i niosąc, szła za siostrą Józefiną ku tajemniczemu "petit pays". Co to jest owo "petit pays" - myślała zakłopotana.

Nagle zaczerwieniła się znowu - mocno i boleśnie - gdy siostra zatrzymała się w pewnym ustronnym miejscu i wyraźnie wskazała je jako teren zajęć Łucji. "Petit pays". Było to przenośne określenie klozetów postulatu!

- Widzisz, będziesz czyścić a czyścić - powiedziała beztrąsko przełożona. - Zwilż piasek, tak, i posyp, tak, następnie szoruj powoli i dokładnie szczotką. Nie możesz pozostawić ani jednego pyłku, ani jednego ziarenka piasku, ani jednego. Nie wolno niczego zapomnieć. Wszystko trzeba sprzątnąć po sobie.

Łucja patrzyła ogłupiała na miejsce przyszłych zajęć, po chwili, z twarzą wciąż jeszcze zalaną rumieńcem, poprosiła spojrzeniem, by wolno jej było przemówić.

- A więc? - rzekła przełożona.

- Czy muszę to robić? - spytała cicho.

- Tak rozkazano - spokojnie odparła tamta. - Taka jest wola Boża. - Uśmiechnęła się tym samym swoim naiwnym i dziwnie pustym śmiechem, odwróciła się z rękami ukrytymi w rękawach i odeszła korytarzem.

Wola Boża! - Łucja stała całkiem cicho, następnie osunęła się powoli na kolana i zaczęła czyścić klozety: zwilżyła piasek, o tak, posypała nim posadzkę, szorowała powoli i dokładnie szczotką. Czy w swoim życiu nie dość jeszcze spełniła robót ciężkich i niegodnych? I to ona, gdy jej dusza płonie miłością do Boga - nie, to okropne poniżenie.

Przez chwilę pracowała z twarzą dziwnie zmartwiałą, następnie z ust jej wyrwało się długie westchnienie. Nie ma racji! Tak, oczywiście, nie ma racji! Musi robić, jak rozkazano,

poddać się bezwzględnie regule. Na razie nie widzi jeszcze w tym celu, ale później to zrozumie. Była zmęczona, oszołomiona tym wszystkim. Ma jednak odwagę - odwagę i stanowczość. - Pochwalony Jezus Chrystus! Pochwalone Jego Przenajświętsze Serce! - i cicho zaczęła odmawiać litanie.

W milczeniu spełniała swoją robotę i mimo silnego bólu w plecach wytrwała aż do południa. Znów ozwał się dzwon, regulujący teraz jej życie. Gdy ukazała się Józefina, sztywno podniosła się z klęczek.

- Skończyłaś? - pogodnie spytała siostra, było to z jej strony wielkie ustępstwo, że w ogóle coś powiedziała.

- Tak - z najgłębszą uległością odrzekła Łucja.

Józefina rozejrzała się, a przy tym badawczym spojrzeniu małe zielone oczy straciły swą pogodę i spochmurniały.

- Niedobrze zrobione - rzekła krótko - nie jestem zadowolona.

Łucja otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale zaraz zacisnęła je mocno.

- Spójrz tu - ciągnęła dalej siostra, schylając się nisko i wskazując kilka przylepionych ziarenek piasku, które ukryły się w szczelinie drewnianej ściany. - Niedokładnie zrobione - i to po wszystkim, co powiedziałam! - Paznokciem wyskrobała ziarna piasku i podniosła je wysoko, niby coś obrzydliwego. Odrzuciwszy je wreszcie, oświadczyła z naciskiem: - Dobry Bóg nie będzie cię za to kochał. Jeśli nawet nie ma tu mnie, bym uważała, to Jego oko zawsze spoczywa na tobie. Kiedyś to sama zrozumiesz. - I odwróciła się.

Ziarenko piasku, bezwiednie pozostawione w szczelinie. I za to ma być łajana! Czy ona śni?

Ogłuszona, szła za siostrą Józefiną do refektarza i przystanęła, czekając przed wyznaczonym jej miejscem. Były to już inne postulantki - wróciły od zleconych im robót, ale żadna nie przemówiła, ani nie spojrzała na nią, więc ona także spuściła oczy.

Po odmówieniu modlitwy usiadły, siostra służebna przyniosła długi emaliowany półmisek, na którym leżało siedem marynowanych śledzi.

Siostra Józefina wzięła sobie największy - akt poświęcenia, wobec tego, że były tak niesmaczne - następnie każda postulantka dostała po jednym na ordynarnym fajansowym talerzu, wraz z kawałkiem chleba, tej samej wielkości i gatunku co przy śniadaniu. Łucja spojrzała na śledzia, leżącego bezsilnie we własnym słonym sosie, miękkiego i błyszczącego fosforycznie, tak surowego i tłustego, że od razu poczuła obrzydzenie. Była głodna, ale widok ten przyprawił ją o mdłości. Nie był to wikt, do którego była przyzwyczajona ani też taki, jakiego się spodziewała, mimo że była przygotowana na pożywienie proste i skromne. Ukradkiem zauważyła, że inne zabrały się już do jedzenia, więc powoli, z wewnętrznym dreszczem, wzięła do rąk widelec i nóż. Śledź był obrzydliwy - nie mogła wprost znieść jego smaku. Już sam widok rozmiękłego mięsa, z którego po przekrojeniu ikry wytrysła nagle biała ciecz, pobudził ją do wymiotów. Mimo to zmusiła się do przełykania. Skoro inne mogą to jeść, ona też potrafi.

Spojrzawszy nagle, Józefina pochwyciła jej spojrzenie i pozwalając sobie na przerwanie milczenia, rzekła zachęcająco:

- Bardzo smaczne. Gdy siostra Adrianna cierpi na woreczek żółciowy, zawsze prosi o słonego śledzia.

Nie szmer, lecz raczej dreszcz uznania przebiegł postulantki, które mimo wewnętrznego skupienia zwracały uwagę na najlżejszy gest swej przełożonej. I oto każda współubiegała się ze swą sąsiadką - tak przynajmniej wydawało się Łucji - o zdobycie pochwały Józefiny, aż w końcu na każdym talerzu pozostał tylko kręgosłup ryby, tak obgryziony, że błyszczał. Wtedy półmisek ponownie okrążył powoli stół i złożono na nim ości, a każda z siedzących przy stole kobiet wycierała podwójnie w ten sposób wykorzystanym chlebem swój talerz, aż był zupełnie czysty.

Po chwilowej przerwie przesunięto tak oczyszczone talerze na pierwsze miejsca u stołu i każda dostała wystarczającą porcję puddingu z chleba, przyniesionego w milczeniu przez tę samą siostrę służebną. Jednak mimo czyszczenia talerze zachowały woń śledzia - i dla Łucji jedzenie puddingu stało się jeszcze większą udręką.

Po spożyciu puddingu - nie wolno było prosić o drugą porcję - w taki sam sposób oczyszczono talerze i zjedzono ostatnie kawałeczki chleba. Siostra Józefina rozejrzała się wokół i wstała. Znowu odmówiono modlitwę i obiad był skończony.

Pod przewodem opiekunki poszły gęsiego do kościoła, gdzie przeczytano na głos rozdział z "Naśladowania Chrystusa", potem znów gęsiego przeszły z kościoła do ogrodu - nie do rozległego parku, lecz na mały, odgradzony plac, przeznaczony wyłącznie dla postulantek. Przez chwilę panowała głęboka cisza, następnie Józefina podniosła palec i od razu rozdarła się zasłona milczenia: sześć głosów mówiło równocześnie, wprost przekrzykując się.

- "Deo gratias" - rozbrzmiewał okrzyk ulgi niby głośnie "hurra" - nastąpiła chwila wytchnienia!

Łucja drgnęła na ten nagły hałas, ale Józefina uśmiechnęła się do niej uspokajająco.

- Tak - rzekła po chwili - teraz wolno. Proszę się zaznajomić. - Zwróciła się do pięciu postulantek, które stojąc w grupce, przerwały swą paplaninę, by naiwnie przyjrzeć się Łucji.

- Małgorzata, Emilia, Teresa - rzekła siostra, wyraźnie wymieniając imiona trzech najbliższych stojących i wskazując je. Młode kobiety, średniego wzrostu i w oczach Łucji dziwnie do siebie podobne - wszystkie miały ciemne włosy, jeszcze ciemniejsze oczy i miłe blade twarze, w tej chwili ożywione uśmiechem powitania. - To kuzynki z dobrej rodziny brukselskiej - zauważyła Józefina wydymając usta. - A te dwie - wskazała na nie - to Gabriela i Wilhelmina.

Gabriela - wysoka i silnie zbudowana - skłoniła głowę i wybąkała słowa powitania, Wilhelmina natomiast - niska, krępa, z twarzą chłopki - stała niezgrabnie, z otwartymi ustami, tępo patrząc przed siebie.

- Wilhelmina jest głucha, ale ma piękny posąg - wesoło mówiła Józefina. - Flamandka ze Steinach. Niedawno przyszło tu z folwarku ojca - dużo, dużo krów i śmietany. - Skinęła głową ku masywnej postaci: - Mnóstwo śmietany, tak, to ważne.

- "Reclame"! - filuternie rzekła Teresa podchwyciwszy gest przełożonej. - "Une bonne affiche pour la ferme". - Na te słowa wszystkie wybuchnęły nagłym, niepowstrzymanym śmiechem.

Flamandka mrugnęła osadzonymi głęboko oczami, wysunęła krótki podbródek i zachichotała.

- Ja słyszę - krzyknęła swym niskim głosem. - Ale uważajcie! Jeszcze mnie nie zarżnięto.

Powiedzenie to wywołało nowy wybuch wesołości, do którego przyłączyła się nawet Józefina. Następnie uśmiechnięta i rozgadana grupka otoczyła Łucję - oszalałając ją szybko i niezrozumiałą paplaniną. Niebawem została jednak uwolniona, gdyż siostra Józefina zabrała głos, a jej szybkie gesty wskazywały, że opisuje żywo jakąś przygodę. I prawdopodobnie była to niezwykła przygoda. Od czasu do czasu spojrzenia kierowały się na Łucję, postulantki kiwały głowami, odzywały się krótkie szepty uznania. Słowo "douane" powtarzało się raz po raz, nagle błysnęła jej myśl, że Józefina opowiada o swoim triumfie w komorze celnej. Fakt, że owa biedna, pognieciona waliza przeszła przez komorę celną bez opłaty, wprawiał cały klasztor w podniecenie, budząc najwyższą radość.

- To istotnie "gentil" - rzekła Emilia - naprawdę "gentil" ze strony ojca Klary.

Po tym opowiadaniu nastąpiła niedługa przerwa, gdyż całkiem niespodziewanie Wilhelmina zaśmiała się swym głębokim śmiechem i potrząsnęła głową jak rozbrykana krowa.

- Muszę biegać - rzekła rozbawiona. - Och, jak ja muszę biegać!

Z nowym wybuchem śmiechu okręciła się w kółko i zaczęła biec ścieżką ku altanie, wyrzucając pięty do góry i wymachując rękami.

- Łapcie ją! - krzyknęła wesoło Józefina. - Łapcie ją i zaprowadźcie na targ!

Znów wybuch śmiechu, głośne zarty i Teresa, Emilia, Małgorzata, a za nimi nieco wolniej Gabriela, niemal z dziecięcym naiwnym rozbawieniem, rzuciły się w pogoń za tęą Flamandką. Wciąż jeszcze uśmiechnięta, przełożona postulantek przyglądała się ich żywym skokom, następnie zwróciła się do Łucji.

- Wesołość dobra jest dla serca - oświadczyła pogodnie. - Musimy stać się jako małe dzieci, tak, musimy się stać. - Urwała, zauważywszy zdumioną twarz Łucji. - Nie wolno tu być zbyt poważną i milczącą - skarciła ją i wskazując zmarszczkę na czole Łucji, dodała: - To musi zniknąć. Dobra zakonnica jest zawsze pogodna. Podczas rekreacji trzeba się śmiać! Pamiętaj - tu jesteśmy dziećmi Jezusa.

- Trudno śmiać się na rozkaz - powiedziała Łucja z powątpiewaniem, zmrúżywszy oczy w dziwnym oszołomieniu. Przyjechała tu, by modlić się, a nie śmiać. - Zwłaszcza - dodała z wielką nieśmiałością - zwłaszcza śmiać się z niczego.

- Nie, nie! - zawołała Józefina. - Nie możesz się tak poddawać. Musisz się przezwyciężyć. - Nagle zacisnęła złożone dłonie i wzniosła do góry oczy, karykaturując przesadną pobożność. - W taki sposób nie będziesz nigdy dobrą zakonnica.

Łucja zaczerwieniła się i nastąpiło milczenie, przerywane od czasu do czasu wybuchami śmiechu, które dochodziły spoza altany.

Siostra przyglądała się jej uważnie, po czym rzekła dobrotliwie:

- Upodobnisz się do nich po pewnym czasie. - Przyjdzie to łatwiej, gdy nauczysz się rozmawiać z nimi. Patrz - dam ci teraz coś cennego. - Uśmiechnęła się i z namaszczeniem wyciągnęła rękę z kieszeni habitu. - Oto klucz do raj. - Istotnie, był to przywiązany do skórzanego rzemyka klucz, na którym wyciśnięto słowo: Postulat. - Wszystkie postulantki mają taki klucz - poważniejszym tonem wyjaśniła Józefina - ponieważ wszystkie drzwi są zamknięte. Pełniąc teraz swoje obowiązki, będziesz mogła sama otwierać te drzwi. Zawsze trzeba go nosić w lewej kieszeni. Rozumiesz?

- Tak, siostrze - i Łucja wzięła klucz.

Czy jednak zrozumiała? Gdzież to ona widziała podobny klucz? Czowała się zupełnie oszołomiona. Zmuszać się do uśmiechu, zawsze nosić "klucz w lewej kieszeni", służyć Bogu przez wyskrobywanie ziarenek piasku ze szczeliny podłogi w klozecie - czy tego oczekiwała? Oddając się Bogu tak bezwzględnie, czy nie powinna zapomnieć, poniechać błahostek życia, wobec majestatu tego wzniosłego uczucia? Opanowała się szybko, tłumiąc te niesprawiedliwe i niewłaściwe myśli. Będzie się uczyć. A później zrozumie.

Dzwon oznajmił koniec rekreacji, a przy pierwszym dźwięku natychmiast zamilkły wesołe głosy. Ustawwszy się znów w szereg, postulantki wracały poważnie do Postulatu, aby zająć się pobożną lekturą.

Popołudnie minęło w atmosferze harmonijnego spokoju: dzwon brzmiał regularnie co pewien czas, nakazując bezwzględne posłuszeństwo. Siadać i wstawać, iść do kościoła i

wracać, klękać do modlitwy, wstawać z klęczek, oddawać się rozmyślaniom i kończyć rozmyślania - przez długie ciche godziny spełniano te milczące czynności niby rytuał, któremu Łucja gorliwie się podporządkowywała. Od czasu swego nawrócenia lubiła te długie godziny samotności, w ciągu których mogła rozwijać w sobie owo tajemnicze poczucie łączności z Bogiem. Teraz jednak musi życie zakonu uczynić swym własnym życiem. Musi to zrobić dla miłości Boga.

Podczas nabożeństwa złoty blask świec na ołtarzu migotał ku niej, a w tym migotaniu, odbitym w złotej monstrancji, mieściło się źródło jej szczęścia i pociechy - wizja zbyt promienna, by można ją znieść. Tu, przed ołtarzem, czuła spływające na nią ukojenie. Tu obcowała z Chrystusem, dla niej ukrzyżowanym. Korzyła się ze spuszczoną głową. Kimże ona jest, że bodaj przez chwilę ośmieliła się krytykować regułę zakonu? Wyszła z kościoła pełna spokoju i ciszy.

Przełknęła wieczerzę - papkę z nieosłodzonej kaszki - jak gdyby radośnie spełniała pokutę. Żadna ofiara nie jest zbyt wielka.

- Muszę ci zwrócić uwagę - szepnęła jej siostra Józefina, gdy po wieczornej modlitwie schodziły ze schodów - że po nabożeństwie twój welon nie był porządnie złożony w pudełku.

Jutro go jednak złoży - żadna ofiara nie jest zbyt wielka.

O pół do dziewiątej była w swojej celi - sama. Wyrwało się jej długie westchnienie, westchnienie głębokiej ulgi. Po szczęśliwie skończonym dniu, po zniesieniu dziwnych wymagań i utrapień, czuła teraz błogie odprężenie. Wszystko to było dla niej takie nowe i trudne, a dzień sam nieskończenie długi. Tak, poznała już teraz trudności, ale je przezwycięży. Nigdy w życiu nie poniosła klęski. I teraz do tego nie dopuści. Wytrwa. Przez chwilę wpatrywała się przez otwarte okno w głęboki mrok. Padał drobny deszcz, jego delikatne krople dotknęły jej policzków i Łucja uczuła się pokrzepiona, tak świeżo i swobodnie wydawało się na dworze. Następnie rozebrała się znużona i upadła na posłanie. W jej bladej twarzy płonęły oczy, ogromne i ciemne. Zdmuchnęła świecę i zasnęła.

Tego wieczoru nie śpiewał słowik, lecz w regularnych odstępach dochodziło do niej przez cienką ścianę sąsiedniej celi powolne, miarowe chrapanie Wilhelminy.

"A kiedy święty Benedykt - spokojnie czytała Emilia - modlił się w swej celi, ukazał mu się szatan w strasznej postaci i powiedział mu szyderczo, że idzie teraz odwiedzić jego dzieci, zajęte pracą. Święty przeraził się tą wiadomością i natychmiast wysłał anioła z ostrzeżeniem do braci, by mieli się na baczności. Zanim jednak anioł przybył na miejsce, stało się, że mur, który wznosili, runął nagle, powalony mocą szatana i zabił młodego nowicjusza. Mnisi byli bardzo strapieni, nie tylko z powodu zniszczenia ich pracy, lecz także z powodu utraty swego brata. Jeden z nich pobiegł szybko z wiadomością tą do Benedykta, który spokojnie rozkazał, by chłopca przynieśli do jego celi. Ale młodzieniec był tak zdruzgotany i zmiażdżony, że nie można go było przenieść inaczej, jak tylko włożywszy jego członki do worka. Tak przynieśli go do świętego, który ułożył te członki na macie, na której zwykł modlić się na klęczkach. Następnie kazał wszystkim odejść i zamknął drzwi, a wtedy zaczął błagać Boga, by nie pozwolił swemu wrogowi zatriumfować. Nagle rozdarł powietrze straszny huk piorunu, członki zrosły się, a martwy młodzieniec zerwał się zdrowy i..."

Równym głosem Emilia czytała dalej we wspólnym pokoju nowicjatu, w którym pod okiem Marii Emanuela dwadzieścia kilka nowicjuszek zebrało się na pobożne czytanie. Pośród tych nowicjuszek, na ostatniej z ław bez oparcia, otaczających pulpit, siedziała Łucja. Tak, okres jej postulatu minął, suknię swą zamieniła na habit i biały welon, przebywała teraz w obrębie nowicjatu - wszystko to zostało osiągnięte i dokonane dzięki niedawnym obłóczynom. Wielka zmiana! - zmiana, którą podczas owej ceremonii powitała żarliwie.

W postulacie wydawała się samej sobie "ni tym, ni owym", myśl ta stale ją dręczyła przez minionych kilka miesięcy. To nie jest życie zakonne - powtarzała w duchu, zmuszając się do spełniania zajęć, pozostających, jak sądziła, w jaskrawym przeciwieństwie do jej pobożności. Wszystko to było tylko kształtowaniem, przygotowywaniem do życia, któremu pragnęła oddać się bez reszty, wszystko to uznawała w całej pełni. Nie ulega jednak wątpliwości, że był to okres trudności, pełen powtarzających się raz po raz upomnień, gdyż była bardzo nieudolna. Dzień, kiedy zapomniała oczyścić zakamarki śmietnika specjalnym patykiem, służącym do tego celu, straszna chwila, kiedy weszła do kościoła bez welonu, wypadek w ogrodzie, kiedy przez nieuwagę weszła na ścieżkę, zarezerwowaną wyłącznie dla

sióstr i została stamtąd wypędzona gniewnym rozkazem: "Odejdź! Odejdź! Nie wolno tu wchodzić!" - to tylko kilka uchybień, wynikłych z jej niedoświadczenia.

Ale teraz okres postulatu należał do przeszłości - teraz miała habit, welon, dyscyplinę, księgę świętej reguły - teraz weszła już na ostatnią drogę prowadzącą do stanu zakonnego.

"Anioły - brzmiał spokojny głos Emilii - towarzyszyły Benedyktowie w jego drodze i anioły wyszły mu też naprzeciw: anioły opiekuńcze biednych, opętanych mieszkańców. Z bezgraniczną radością błagali świętego męża, by wypędził duchy ciemności..." Mimo niedostatecznej znajomości języka francuskiego rozumiała wyraźnie wymawiane słowa, uwaga jej jednak zaczęła się bezwiednie rozpraszać - nie, żeby miała podawać w wątpliwość cuda dobrotliwego świętego Benedykta! Wierzyła w nie! Był to cud, taki sam jak cud z chlebem i rybami, jak chodzenie po falach, jak wskrzeszenie córki Jaira. A jednak, wbrew woli myślała teraz o "culpe". Podobnie jak w postulacie istniały i tutaj przepisy, do których musi się z wolna nagiąć i zrozumieć je. "Culpe"! Zawsze po tym czytaniu następowało "culpe", a dzisiaj, ponieważ to piątek, będzie nie samo tylko zwykłe "culpe", lecz "chapitre de culpes" - publiczne wyznanie na kolanach wszystkich wykroczeń z ostatniego tygodnia.

"Culpe"! Było niewątpliwie potrzebne: część reguły, którą uznawała teraz jako słowo Boże, mimo to dziwne, że o tej zbliżającej się chwili nie potrafiła myśleć bez wewnętrznego niepokoju. Rano w kościele ta sama myśl wprawiła ją w roztargnienie; Łucja nie mogła skupić się podczas modlitwy z powodu tego, co przecież ustanowione zostało dla jej dobra. To nierozsądnie: publiczna spowiedź nie kryła w sobie zresztą żadnej przykrości, która by usprawiedliwiała tę dziwną niechęć. Było łatwe, proste, śmiesznie proste: zwykłe wyznanie drobnych uchybień wobec reguły. A jednak właśnie prostota tego publicznego trybunału mieściła w sobie coś, co ją wprawiało w takie pomieszanie. Nie był to lęk przed strasznym sądem Bożym, lecz uczucie dziecka upokorzonego przed nauczycielem, coś zdającego się obalać całe dostojeństwo wiary. Nagle wstrząsnęła się: czemu myśli znów w ten sposób? Zmarszczyła czoło. Nie wolno jej tak łatwo ulegać podobnemu roztargnieniu.

"Oblicze Benedykta promieniało niebiańskim blaskiem, a wieśniacy widząc to, zebrali się wokół niego i z trwożną czcią słuchali jego..."

W tej chwili ozwał się dzwon i przy pierwszym jego uderzeniu Emilia przerwała w środku zdania jakby rażona gromem. Wspaniały przykład bezwzględного posłuszeństwa dla

reguły. Maria Emanuela, zawsze bacznie obserwująca wszystko, z lekkim skinieniem uznania wstała ze swego krzesła. Uległa Emilia cieszyła się już jej względami.

Wraz z przełożoną nowicjuszek powstały bezzwłocznie i w milczeniu ukłękły przed figurą Najświętszego Serca, stojącą na postumencie obok pulpitu. Odmawiano na głos:

"Veni Creator Spiritus,

mentes tuorum visita,

imple superna gratia

que tu creasit pectora."

Po "Amen" nastąpiła krótka przerwa dla skupienia się, po czym Maria Emanuela wstała, a za nią ustawił się szereg nowicjuszek - ściśle według starszeństwa. Przeszły do sąsiedniej izby. Tu było już wszystko przygotowane - na środku pokoju ustawiono obszerne, majestatyczne krzesło, a wokół niego szerokim półkolem mniejsze krzesła, grupujące się niby satelici wokół planety.

Maria Emanuela podeszła do swego tronu i usiadła na nim dostojnie, gdy nowicjuszek stojąc przy wyznaczonych im miejscach czekały na znak, aż wolno im będzie usiąść. Minęła chwila, w ciągu której mistrzyni uważnie im się przyjrzała, po czym skinieniem wyraziła przyzwolenie. Szelest i znowu cisza, znów cała uwaga skupiła się na postaci przełożonej: Łucja ponownie uczyła dziwny niepokój, napełniający ją takim żalem. Patrząc na Marię Emanuela - w tej chwili przerzucając obojętnie kartki notatnika ze spisem wszystkich przewinień, zauważonych w ciągu ubiegłego tygodnia - poczuła nagłą chęć odwrócenia oczu.

Kochała Marię Emanuela - musiała ją kochać i szanować - było to oczywiste w tym domu Bożym. A jednak, pomimo że od niedawna należała do nowicjatu, czuła przykry, nieokreślony niepokój, dręczące przecucie, nie, to jednak niemożliwe. Tu, w ramionach Chrystusa wszystkie są siostrami, wszystkie są zjednoczone miłością pod wspólnym dachem, a ona całym sercem pragnie darzyć tą miłością i wzajem ją otrzymywać.

Dlaczego więc ma intuicyjną świadomość, że Maria Emanuela i ona nie lubią się? W postulacie Józefina uśmiechała się udzielając jej nagany, ale ta opanowana wyniosła zakonnica nigdy się nie uśmiecha. Nie, jej blade wszystko-wiedzące oczy były zimne,

zachowanie obce, pozbawione wszelkich ludzkich uczuć, usposobienie lodowate, nieczułe. Nawet sposób, w jaki zabierała się do tego nieważnego przesłuchania, tchnął wielką surowością. Ale Łucja знаła swoją powinność i nie będzie opieszła w wykonaniu jej. Jeśli wąż niechęci ma być zabity, to ona go sama zabije, rozszarpane ciało rozdepcze w proch.

W tej chwili charakterystycznym ruchem swych pięknych rąk - Łucja znała już doskonale ten ruch - Maria Emanuela poprawiła kornet i utkwiała spojrzenie w pierwszej z brzegu nowicjuszcze. Był to początek "culpe". Izbę nappełniła jeszcze głębsza cisza wyczekiwania: żarliwość tych, które to lubiły, trwożna niechęć tych, którym było niemiłe, napięte oczekiwanie błędnego interludium, przerywającego monotonię klasztornej życia.

- Zaczynać - krótko rzekła Maria Emanuela.

Natychmiast pierwsza nowicjuszka rzuciła się na kolana, a podłoga aż jęknęła pod jej ciężarem. Pogodnie i spokojnie wytrajkotała swe wyznanie, którego widocznie wyuczyła się na pamięć:

- W świętym posłuszeństwie czynię "culpe" wszystkich win, których dopuściłam się przeciw regule, a zwłaszcza - głęboko zaczerpnęła powietrza - przez uchybienie duchowi ubóstwa, gdyż złamałam igłę przy szyciu.

Przełożona przymknęła oczy i zdawała się zastanawiać.

- Odmówisz trzy "Ojcze nasz" - oświadczyła obojętnie. - A w przyszłości masz lepiej uważać na igłę. Te igły kosztują zakon bardzo drogo.

Pierwsza nowicjuszka pochyliła głowę i rozpoczęła pokutę, gdy następna. młoda Włoszka - miała na imię Assunta - padła na kolana przed mistrzynią i zaczęła szybko, nerwowo:

- W świętym posłuszeństwie czynię "culpe" wszystkich win, których dopuściłam się przeciw regule - recytowała - zwłaszcza przez brak skromności klasztornej, gdyż zbyt szybko szłam przez korytarze.

Nastąpiła pauza - przykra pauza. Maria Emanuela otworzyła powoli swe blade, lecz przenikliwe oczy.

- Nie masz nic więcej do powiedzenia?

- Nie, matko - odpowiedziała Assunta, czerwieniąc się boleśnie. - Nie mogę sobie przypomnieć.

- Zechciej sobie przypomnieć - brzmiała zimna odpowiedź.

- Nie... nie mogę sobie przypomnieć, "Ma bonne mere" - wyjąkała, rumieniec jej znikł szybko, a twarz stała się nagle blada, śmiesznie blada i strwożona. Maria Emanuela spokojnie podniosła wzrok ku sufitowi, przedłużając milczenie, które stało się dziwnie przygniatające.

- Przeglądając wczoraj twoją szafkę - wycodziła lodowato - zobaczyłam dwie chusteczki złożone pod ręcznikiem. Wiesz dobrze, że to sprzeciwia się przepisom. Uczono cię, że większe rzeczy kładzie się na spód. Chusteczki muszą leżeć na ręczniku, nie ręcznik na chusteczkach. - Urwała, a po chwili dodała kąśliwie: - Masz za to odmówić trzy "Zdrowaś Maryjo" - "les bras en croix" - w refektarzu, w porze obiadowej.

Wbrew woli Łucja poczuła, że się w niej coś burzy - tak błahe było przewinienie, tak żaloszna skrucha winowajczynie. Już poprzednio zwróciła uwagę na siostrę Assuntę - drobną, niepokazną kobietę, pobożną i delikatną, która w swej wrażliwości zdawała się cofać przerażona przy najłżejszym słowie nagany. To niesprawiedliwość, podła, małostkowa tyrania karać tak słabą istotę. Znow zalała ją gorąca fala wzburzenia, którego się tak lękała. Robić tyle hałasu dla dwóch chusteczek, z powodu położenia ręcznika - czy to nie groteskowe? Czy uważałyby to kiedykolwiek za możliwe? Zaciśnęła usta i nerwowo splotła palce. Czują w duszy gorące oburzenie, nawrót palącego wstydu. Tak, już podczas poprzednich "culpe" odczuwała ten podły, upokarzający wstyd. Czemu, czemu musi tak być... Drgnęła przerażona, lecz opanowała się. Nie wolno jej myśleć w ten sposób, musi ukorzyć się, to grzech, ciężki grzech przeciwstawiać swój sąd władzy ustanowionej nad nią przez wolę Boga. Spuściła oczy. "Culpe" odbywało się powoli, zbliżając się jednak do niej coraz bardziej.

Jedna zaniedbała swe obowiązki. Trzy "Zdrowaś Maryjo".

Inna rozmawiała z wyświęconą zakonnicej. Tylko dwie "Zdrowaś Maryjo" - niewątpliwie była ulubienicą.

Następna złamała regułę milczenia. Trzy "Ojcze nasz" i ustęp z Pisma Świętego.

Dalsza wyznała znowu, że pozostawiła na talerzu trochę jedzenia. Tak, trzy "Chwała Ojcu" na kolanach za zostawienie na talerzu kawałka skóry śledzia.

Jeszcze inna zachowywała się zbyt powściągliwie podczas rekreacji. Była to główna wina Łucji: wciąż jeszcze nie potrafiła brać udziału w beztroskiej paplaninie i pustym śmiechu, świadczącym o czystości serca.

Och, nie wolno jej przecież tak myśleć, to gorzkie i niesprawiedliwe, to sprzeciwia się regule! Spuściła oczy, gdy następna nowicjuszka padła na kolana. Była nią Małgorzata, która rozlała wodę na podłogę korytarza. Tym razem karcenie trwało długo. W ubiegłym roku wydano dwadzieścia franków na pokostowanie tej podłogi. A woda niszczy pokost, tak, bardzo go niszczy.

Spowiedź szła swoim trybem. Każda miała coś do wyznania - strasznym grzechem przeciw pokorze byłoby uważać się za całkiem niewinną, też zuchwalstwo! Poza tym reguła nakazywała, że jedna powinna wyjawic winy drugiej, więc rozsądniej było wyznać je osobiście. Mimo to wszystkie winy, wyznane, pomnożone i powiększone, ważyłyby na szali tyle co piórko. Wszystko to było takie bezsensowne, niepojęte, dziecinna zabawa w fanty o nic. Co! znowu te myśli? Czoło jej zmarszczyło się ze strachu, zagryzła usta i szybko odmówiła cichą modlitwę o pomoc. Nic dziwnego, że obawiała się publicznej spowiedzi, skoro doprowadzała ją do tak widomego zdenerwowania. Ona musi - musi przezwyciężyć tę grzeszną przekorę, poddać się cierpliwie woli Bożej.

Niebawem przyjdzie kolej na nią. Jej sąsiadka Wilhelmina poruszyła się niespokojnie. Na jej tłustej, bezmyślnej twarzy malowała się trwoga. Z otwartymi ustami Flamandka wpatrywała się jak urzeczona w Marię Emanuellę, niby wielka krowa czująca niebezpieczeństwo. Padłszy na kolana, z trudem wymówiła słowa:

- W świętym posłuszeństwie czynię "culpe" z wszystkich win, popełnionych przeciw regule, zwłaszcza... zwłaszcza... - zająknęła się i urwała, następnie westchnawszy z głębi pełnej piersi, przełknęła ślinę i szepnęła: - Nic nie mogłam na to poradzić, ale dziś rano rozbiłam nocnik.

Zapanowało ciężkie milczenie.

- Czemu mnie nie zawiadomiłaś? - spytała Maria Emanuela. Otworzywszy szeroko usta Wilhelmina zmieszana i przestraszona mrugała głupio oczami, głowa jej opadła na bok.

- Wiadomo ci, że wszystkie rozbite przedmioty należy przynieść i położyć na bocznym stole w refektarzu - ostrzejszym głosem upierała się przełożona.

Wilhelmina nie mogła jednak wytrzymać dłużej, zaczęła płakać histerycznie, ślinić się i wśród strasznych szlochów wciągać powietrze z głośnym sapaniem.

Maria Emanuela przyglądała się jej przez chwilę z twarzą obojętną, następnie powiedziała zimno:

- Wstań. Weź krzesło i usiądź w kącie, odwrócona do mnie tyłem, bym nie musiała patrzeć na ciebie.

Wilhelmina dźwignęła się ciężko, przesunęła swe krzesło w najdalszy kąt pokoju, gdzie zgodnie z rozkazem usiadła jak ukarane dziecko. Przez długą chwilę jej głośny lament rozdzierał powietrze, ale Maria Emanuela siedząc z niewzruszoną twarzą odczekała, aż zapanuje milczenie.

Wreszcie przyszła kolej na Łucję. Jakby oderwana od chwili obecnej czuła się niemal jak widz podczas tej groteskowej sceny rozpaczy, nie mogąc dopatrzeć się niczego budującego w wyznaniu, że ta "krynica świętości" rozbiła nocnik. Uklęła. Co ona może wyznać w obecności tego zebrania? Przypomniała sobie w końcu - tak, ona również zachowywała się powściągliwie podczas rekreacji - i w żywym potoku słów przyznała się do tej winy oczekując kary. Nie nałożono jej jednak kary.

- Nie masz nic więcej do powiedzenia?

Drgnęła jakby pod wpływem nagłego bólu i podniosła oczy, by spotkać się ze spojrzeniem Marii Emanuela patrzącej na nią z miną sędziego. Chyba to nie do niej... tak, jednak do niej zwracano się w ten sposób? Nie odpowiedziała.

- Ty masz w tym tygodniu nadzór nad miednicami?

Brwi Łucji ściągnęły się i odpowiedziała powoli:

- Tak, matko. - Był to jej obowiązek i wywiązała się z niego najskrupulatniej, miednice były niepokalanie czyste.

Przełożona nie ustępowała jednak:

- Znalazłam dziś w miednicy dwa kawałeczki mydła, odłamane od dłuższego kawałka. To sprzeciwia się regule. W swojej książeczce z przepisami przeczytasz sobie, że w takim razie należy odłożyć duży kawałek mydła, a odłamki zawinąć w gazę i używać, aż zostaną wymydlone. Tego nie zrobiłaś.

Łucja spojrzała na nią. Czyżby w tych bladych oczach krył się stały antagonizm? Niemożliwe. Gwałtownie odpędziła tę myśl i zmusiła się do powiedzenia:

- Nie, matko.

- Przecież wiesz, że te obowiązki tygodniowe muszą być spełniane dokładnie?

Straszna myśl: kawałeczek mydła w porównaniu z jej wiecznym zbawieniem. Opanowała się jednak.

- Tak, matko.- Pochyliła głowę, by przyjąć karę i ostrą naganę. Odmówiwszy kilka "Ojcze nasz" podniosła się z klęczek. Była ostatnia z rzędu. Publiczna spowiedź skończyła się, odetchnęła głęboko: tak, skończyła się aż do przyszłego tygodnia.

Kwiaty brzoskwiowych drzew w klasztorным ogrodzie opadły i płatkami jak pianą okryły trawę. Rozwinęły się już pączki powojów, glicynie opłotły altany spragnionymi słońca wiciami, buk za kościołem pysznił się błyszczącym listowiem, a jego pochylone liście drżały pod pieszczotą światła i łagodnego wiatru letniego.

Pogodny spokój tej pory był jednak daleki od Łucji - daleki jak marzenie. Nie dochodził też do niej miły powiew z ogrodu, kiedy szyjąc w pracowni nowicjatu siedziała pogrążona w myślach. Ze zmianą pory roku ona również wydawała się zmieniona, nie wiedziała jak bardzo, gdyż zarówno w postulacie, jak i tu nie było lustra, a zresztą reguła nie przyzwalała przyglądać się sobie. Habit krył figurę zupełnie - Łucja jednak bardzo schudła, ramiona rysowały się ostrzej, twarz w białym obramowaniu czepka wydawała się drobna, oczy były podbite sińcami, a cienkie ręce stały się dziwnie nerwowe w ruchach. Łucja wiedziała oczywiście, że zmizerniała, ale fakt ten przyjęła bez żalu. Możliwe, że spowodował to wikt zakonny, choć z pewnością był odpowiedni i zdrowy. Była nieprzyzwyczajona do takiego odżywiania, i tylko wysiłkiem woli przetykała je, nie trawiąc zapewne całkowicie. Nie wiedziała jednak, czy to jest właściwą przyczyną, i nie troszczyła się o to. Tak jak odciski powstawały stopniowo na jej kolanach, tak samo też stopniowo dokonywały się zmiany w całym organizmie, ale dla niej było to sprawą bez znaczenia. Nie chciała myśleć o swym zdrowiu ani uznać skutków osłabienia. Raz czy dwa razy przemknęła jej przez głowę owa mimochodem rzucona uwaga Edwarda, ale natychmiast ją odpędziła. Wytrzymywała zakonny tryb życia wbrew jego napuszonej przepowiedni. Dziwna nerwowość w ostatnich czasach, nagle trzepotanie serca, gdy ktoś się niespodziewanie do niej odezwał, stany zamroczenia, wywołujące uczucie jakiejś eterycznej lekkości - na to wszystko zupełnie nie zwracała uwagi.

Nie. Musi myśleć o czymś ważniejszym. Gdy ją pytano, jak się czuje, odpowiadała, że dobrze, całkiem dobrze, a stanowczość tej odpowiedzi przejmowała ją bezwiedną dumą. Ale nie sama duma skłaniała ją do takiego postępowania: motorem właściwym była jej wola i duch, ożywiony problemami bez porównania ważniejszymi niż zastanawianie się nad błahą kwestią pożywienia i zdrowia - duch pochłonięty rozmyślaniami, które zadreślały ją już od tygodni.

Toczyła się w niej wewnętrzna walka, od której nie mogła się uwolnić. Błagała żarliwie o spokój i walczyła, walczyła stale. Żyła ciągle w dziwnym podnieceniu. Rozwiała się już marzenia o świątobliwych kobietach, wzruszających, podobnych do Madonny, o delikatnych twarzach, czystych rękach i spokojnej, słodkiej mowie. Dlaczego miała takie wyobrażenie o życiu klasztornym? Przecież były to tylko kobiety, czy to nie Joe kiedyś, dawno, dawno temu powiedział: "Jesteśmy tylko ludźmi, prawda?" - Tak, wszystkie były tylko ludźmi. Ale jakież to zgnębione człowieczeństwo, jakie dziwne, oderwane życie, a tak ogromnie dalekie od tego, o którym marzyła. I myśli te przejmowały ją niekiedy nagłym, bolesnym zdumieniem. Po co ona tu jest, w tym dziwnym stroju, wśród obcych, małpując ich język, paplaninę i dziecinną naiwność? Dla miłości Boga. Bóg ją tu przywiódł i tu też pozostanie. To była jej odpowiedź - odpowiedź, którą starała się rozproszyć nieszczęsne wątpliwości.

Mimo to nie zdołała wyzbyć się trwogi. A Maria Emanuela, jej dobra matka, mającyla stale przed nią jako uosobienie tej trwogi.

Ostatnio, pod wpływem dziwnego odprężenia nerwów miała uczucie, jak gdyby między przełożoną a nią wywiązała się dziwna antypatia, prawie nienawiść. Wstrząsnęła się. To niemożliwe w tym domu, gdzie miłość Boga musi jednoczyć wszystkich jego mieszkańców. A jednak - jakże inaczej mogłaby sobie wytłumaczyć to nieustanne prześladowanie? Prześladowanie - tak, to jest właściwe określenie.

Szybko poruszając igłą, odtwarzała niestrudzenie wydarzenia ostatnich tygodni, wracała do owych gorzkich wspomnień, dręcząc się własnymi myślami i chorobliwym przeżywaniem na nowo doznanych upokorzeń - a wszystko to było tak małostkowe, że aż obrażało. Także w tym tygodniu. Zwykła inspekcja szafy - dwie chusteczki złożone nie dość starannie. Wizytacja celi: drobna fałdka na kocu, kropelka wody na podłodze. "ca mange le vernis!" - rzucone tonem bezgranicznego wyrzutu.

Za tego rodzaju winy musi stać jak dziecko, stać pod pręgierzem słów Marii Emanuelii. Na dźwięk tego imienia zaciskały się jej usta, a igła biegła jeszcze szybciej. Owego pierwszego wieczoru na dworcu, kiedy z uśmiechem podeszła do zakonnicy, od razu instynktownie wyczuła chłód przełożonej, ale teraz chłód ten zdawał się łączyć z gorzką antypatią. Jakże gwałtownie ona, Łucja, mogłaby odwzajemnić to uczucie! Nie wolno jej tego okazać, musi je ukrywać, tłumić, zdeptać. A jednak to prześladowanie jej było

niesprawiedliwością. Dlaczego radość i zapał modlitwy mają być przeszywane sztyłem ciągłej nagany? Na tę myśl czoło jej zmarszczyło się.

Czy to urojenie? Nie, niemożliwe. Miała ustawiczne przeczucie nieszczęścia, czuła, że w jakiś sposób jest odosobniona, izolowana. Była przekonana, że Maria Emanuela nienawidzi jej.

Nawet teraz, siedząc ze schyloną głową, zajęta szyciem, miała wrażenie, że te blade oczy chłodno ją obserwują. Bezwiednie spojrzała w głąb pokoju i od razu doznała nie milego uczucia, gdyż przełożona patrzyła na nią spokojnie, zdając się beznamiętnie czytać jej myśli.

Szybko spuściła oczy na robotę, rozdrażniona swymi obawami. Czegoż miała się lękać? Nie lękała się nikogo prócz Boga. Nigdy w życiu nie zabrakło jej odwagi, zawsze chodziła z podniesioną głową. Nieświadomie wyprostowała się.

Dokoła niej dwadzieścia kilka nowicjuszek siedziało na niskich ławkach przy długich stołach i szło w milczeniu, nie domyślając się zamętu jej duszy. Nagle uczuła przypływ strasznej słabości, ręce miała zdrętwiałe i zmęczone, mimo to uporczywie spełniała dalej swą pracę, wykańczając obrębienie serwety na ołtarz. Odłożyła ją w końcu na kolana i przestała szyc. Wciąż jeszcze trwało milczenie, po czym padło pytanie:

- Czy skończone? - Maria Emanuela rzuciła je w ciszę pokoju.

- Skończone, matko - odrzekła Łucja nie patrząc tamtej w oczy. Dlaczego nie spojrzała jej w oczy? Może ostatecznie przez przekorę?

Przełożona wstała, zbliżyła się i dokładnie oglądała robotę.

- Phi! - pogardliwie wydeła wargi i podniosła serwetę do góry. Czy to urojenie, czy istotnie podniosła ją ruchem pogardliwym? Następnie rzekła: - Jakie to brudne! - a w uszach Łucji zaakcentowanie tego przymiotnika brzmiało wprost szatańsko. Brudne! Przebiegł ją dreszcz, demon sprzeciwu szalał w jej piersi. Ją obwiniać o coś takiego! Serweta była brudna, gdy dano ją do obrębienia. Przełożona wie o tym i wie też, że ręce Łucji są bezwzględnie czyste.

- Czy nie rozumiesz? - upierała się Maria Emanuela. - Zabrudziłaś to.

Już miała odpowiedzieć: "Tak, matko", ale nagle coś się w niej załamało, gwałtowne słowa oburzenia cisnęły się jej na usta. Co ją obchodzi, że reguła nakazuje przyjmować pokornie wszelką niesprawiedliwość, znosić uległe karę za winy nigdy nie popełnione! Podniosła oczy wyzywająco.

- Czy matka nie rozumie? - powtórzyła powoli i wyraźnie. - Serweta była brudna, gdy mi ją dano.

Straszliwe przekroczenie reguły! Coś w rodzaju zdumionego westchnienia wyrwało się z piersi nowicjuszek na tę odpowiedź, na tę potworną odpowiedź. Ale Maria Emanuela stała całkiem spokojnie. Prawie niedostrzegalny, nieokreślony uśmiech ukazał się na jej bladych ustach. Ignorując całkowicie uwagę Łucji, spokojnie złożyła serwetę i rzekła chłodno:

- Dość tego. Przed obiadem ucałujesz nogi swoich towarzyszek, a podczas obiadu masz klęczeć - "les bras en croix".

Odwróciła się i usiadła na swoim miejscu. Łucja stała wyprostowana, jej chuda twarz była ściągnięta i blada, zawrót głowy, któremu teraz często ulegała, otoczył ją niby mgłą.

Czemu musi się poddawać tej... tej tyranii? Pytanie to paliło jej umysł. Nie ma w tym sensu ani sprawiedliwości. Bóg nie chce, by świat Jego był taki małostkowy i infantylny. Czy musi chylić głowę w proch i czołgać się po ziemi? Czy musi podporządkować wszystko, co stanowi jej istotę, wydrzeć swoją duszę, ogołocić się ze wszystkiego, by osiągnąć tę doskonałość, o której ustawicznie słyszała? W duszy ludzkiej musi być siła, a nie bezmyślna bierność, jakiej tu od niej wymagają.

Jak błysk ostrza, przecinający chaos myśli, zabrzmiał w tej chwili dzwon, wzywający na obiad - dzwon, władca absolutny jej obecnego życia. Wstała wraz z innymi nowicjuszkami, z twarzą jak maska i przyłączyła się do nich, gdy jak uczennice szły gęsiego za przełożoną, zmierzając do refektarza. Tak, była teraz w środku prądu, powoli, lecz stale przezeń unoszona, stale pod nadzorem.

Odmówiono modlitwę przed posiłkiem, następnie usiadły wszystkie po jednej stronie stołu, plecami do ściany. Ale Łucja nie usiadła. Stała z oczyma utkwionymi w Marię Emanuelle, z twarzą spokojną, całą siłą woli starając się ukryć wewnętrzne wzburzenie.

Nigdy, choćby to miał być ostateczny wysiłek woli, nigdy nie okaże, jak straszną męką była dla niej ta pokuta.

Przełożona dała znak, a Łucja powoli postąpiła naprzód, by spełnić ten nieznośny akt pokory - wobec Marii Emanueli czy wobec Boga?

Niewątpliwie zatraciła poczucie humoru, w przeciwnym razie może by się śmiała. Tak, byłaby się niewątpliwie śmiała, widząc samą siebie na kolanach, całując buty dwudziestu kobiet: klęczącą, chylącą swą twarz do ziemi, powstającą, postępującą o krok naprzód, ponownie klęczącą, by całować te buty. Nieraz jako mała dziewczynka podczas zabawy śpiewała piosenkę: "Klęknij, całuj ziemię, całuj. Klęknij, całuj ziemię, moja piękna pani!"

Tak, być jak małe dziecko, jak powiedziała Józefina: "zabawką Jezusa!" Czemu nie? Ale cóż to za buty! Wielkie i małe, gładkie i popękane, niektóre z prunelowymi wierzchami i niebieskimi gumami po bokach, inne łątane i naprawiane rękami siostry zajmującej się szewstwem, niektóre wydęte przez śmieszny guz, powstały po odmrożeniu, inne cuchnące potem nóg, ale wszystkie, wszystkie przyciśnięte wstydliwie do siebie, wszystkie szczelnie osłonięte czarnym rąbkiem sukni, wszystkie gotowe przyjąć jej pocałunek. Gdyby Frank mógł widzieć ją teraz - on, który kiedyś całował jej wargi - albo Piotr, albo nawet Edward, który w tej chwili obchodzi może pole golfowe albo rozkoszuje się wątróbką cielęcą, mówiąc "Delicje!" - co oni by pomyśleli o niej! Roześmieliby się może - tak komiczny był widok kobiety w średnim wieku, na klęczkach czołgającej się po ziemi, wsuwającej głowę pod stół, uderzającej się w głowę, całującej nogi tych cudzoziemców! Może sam Jezus śmiałyby się również z tortury, której ją poddano. Umarł za nią, więc, jak mówiła Maria Emanuela, ona musi upokorzyć się dla Niego.

Wreszcie się skończyło. Wstała niepewnie, postąpiła na środek pokoju i uklękła, plecami do stołu. Wyciągnęła ramiona - "les bras en croix" - jak jej rozkazano, wyprężona, z głową odrzuconą w tył. W tej postawie ducha i ciała musi się oddać cichej modlitwie. Czy potrafi jednak? Zza pleców dochodziły ją stłumione odgłosy posiłku - podawanie talerzy, cichy brzęk widelców o fajans, spokojne skrzypienie krzesła Marii Emanueli, szelest habitu siostry służebnej. A ona klęczała przez ten cały czas, z wyciągniętymi ramionami, trzęsąc się na myśl o tej groteskowej tyranii, budzącej gorycz i zaturowanej duszę. A one przypuszczają, że się modli!

Czuła się słaba, a ta męcząca pozycja stała się wprost nie do zniesienia. Nie podda się jednak. Pokaże Marii Emanueli, pokaże im wszystkim, jak potrafi znosić cierpienia. Czyż nie cierpiała na świecie? Dlatego przecież tu przyszła. Ale gdzie ów płaszcz pokoju, którym spodziewała się osłonić swoją cierpiącą duszę? Czy były nim owe "bras en croix" i oczy Marii Emanueli czujnie skierowane na jej plecy?

Miała uczucie, jak gdyby ręce jej obciążone były ołowiem. Z wolna szarpiący ból ogarnął ramiona i piersi. Cierpienie stało się nieznośne, musi spuścić ręce. Czuła, że z każdym uderzeniem serca ogarnia ją coraz większe wyczerpanie. Musi opuścić te zmartwiałe, ołowiane ręce. Nie chciała się jednak poddać. Nie uległość, lecz ostateczny wysiłek dumy utrzymywał ją w tej pozycji.

Nareszcie skończył się obiad, usłyszała ciche odsuwanie ławek, przyciszone szmery ogólnego wstawania, modlitwę po posiłku, a później powolny tupot nóg.

- Dość.

Obok niej stała przełożona, zawiadamiając ją obojętnie, że może teraz wstać i zjeść obiad. Przez sekundę Łucja trwała w męczącej pozycji, następnie ramiona jej opadły bezwładnie, wstała w zupełnym milczeniu. Po wyjściu Marii Emanueli podeszła do swego miejsca i usiadła. Doznała rozkosznej ulgi, czuła się jednak chora, palce miała jak drewniane, tak zdrętwiałe, że nieporadnie posługiwała się widelcem i nożem. Siostra służebna, mała garbuska z ogorzalą, czerwoną twarzą, przyniosła jej jedzenie, rzucając jednocześnie przelotne współczujące spojrzenie. Łucję ogarnęło niezmierne pragnienie pomówienia z tą prostą wieśniaczką, w której dostrzegła pewien ślad człowieczeństwa. Jedno miłe słówko sympatii. Ale nie. Nie wolno, o tej godzinie reguła nakazywała milczenie.

Jadła więc bez słowa, opuszczona, mimo wszystko czując odprężenie w tej chwili samotności. Było dziś mięso - niezwykła uczta dla klasztoru, ale niestety nie dla niej - cienki płatek końskiego mięsa, tak lekko przypieczonego na wierzchu, że zachowało jeszcze swój bladokrwisty kolor. Lekko drżącymi palcami, z na pół odwróconymi oczyma krajała je w drobniutkie kęsy i zmuszała się do jedzenia. Znów ten wysiłek, ta ustawiczna walka, wleczenie za sobą coraz to dłuższego łańcucha. Nikt jej nie obserwował, miała więc minę roztargnioną, oczy przymrużone, chudą twarz wykrzywioną wzdurliwym grymasem.

Skończywszy jeść, Łucja wyjrzała przez okno i zobaczyła, że pada deszcz - oplukujący liście, ciepły, ale rześisty deszczyk - dość rześisty, aby wypłoszyć nowicjuszek z ogrodu. Wstała i zmusiła się, by wyjść do wspólnej sali, gdzie w słotne dni spędzano wolne chwile.

Znów ta walka wewnętrzna, gdy otwierała drzwi hałaśliwego pokoju. Nikt nie zwrócił uwagi na jej wejście - było wbrew regule zwracać uwagę choćby tylko przez spóźnione przywitanie, na osobę, która spełniła pokutę, i Łucja wiedziała, co musi robić. Musi rozmawiać, uśmiechać się i śmiać z tamtymi, nie zachowując żadnego wspomnienia o doznanym upokorzeniu, dając wyraźnie do zrozumienia, że do nikogo nie żywi urazy. Gdy usiadła przy oknie, gdzie mała grupka chichotała i paplała - była tu także Teresa, Wilhelmina i Małgorzata - pochwyciła baczne spojrzenie przełożonej. Odwróciła jednak głowę, nie troszczyła się dziś o to spojrzenie.

Na dworze deszcz lał bez przerwy, ale siostry służebne nic sobie z tego nie robiły, w dalszym ciągu pracując w ogrodzie, w podkasanych spódnicach, ubrane na niebiesko, wystawiając plecy na deszcz, szeroko rozkraczywszy nogi w drewnianych sabotach. Nie obchodził ich ani deszcz, ani reguła.

Nagle drgnęła na dźwięk głosu, tuż obok.

- Będzie to rozrywką dla palców. - Był to miły głos nowicjuszek, siedzącej koło niej, która postawiła właśnie na kolanach Łucji tekturowe pudełko napelnione szpagatem. Każda z nich miała jakieś drobne zajęcie na te słotne chwile wytchnienia - odwracanie zapisanych kopert, by można je użyć ponownie, zwijanie i porządkowanie skrawków materiału z pracowni, kręcenie sznurków, z których robiono dyscypliny do ćwiczenia ciała - rozmaite zajęcia zalecone przez regułę. A Łucja, odwzajemniwszy blado uśmiech sąsiadki, zabrała się do rozplątywania maleńkich kawałków szpagatu, wypełniających pudełko. Rozplątywać szpagat, prostować go, zwijać w misterne kłęбки - oto jej obecne zajęcie.

Dokoła niej w dalszym ciągu toczyły się rozmowy, a słowa padały jak piłki.

- Musimy ułożyć wiersz na powinszowanie.

- Oczywiście, na uroczystość złożenia ślubów matki.

- Tereso, ty musisz ułożyć kilka wierszy.

- Oczywiście - dla matki Assunty z chęcią to zrobię.

Pauza. Czy podsuwa jej to rozgoryczona wyobraźnia, czy uwagi te przeznaczone są specjalnie dla uszu Marii Emanuela z jednym pragnieniem - przypodobania się?

- Och, proszę spojrzeć, matko, jaki cudny kolor! - wykrzyknęła jedna z nich z wielkim ożywieniem, kocim ruchem wyjmując ze swego pudełka kawałeczek satyny i podnosząc go do góry.

Maria Emanuela poważnie skinęła głową i spojrzała bez większego zainteresowania. Nagle Małgorzata wskazała na podłogę z taką miną, jak gdyby odkryła coś zabawnego.

- Och, matko, siostra Gabriela znów zgubiła podwiązkę. - Był to pasek wełnianego materiału, w klasztorze używany jako podwiązka.

Rozległ się ogólny śmiech, a Gabriela poczerwieniała i śmiejąc się również, podniosła podwiązkę.

- Widać, że to nie twoja - rzekła Teresa do Wilhelminy, siedzącej obok niej.

Z potężnej piersi Wilhelminy wydobył się głęboki śmiech. Nastąpiła krótka pauza, podczas której Flamandka w dalszym ciągu spełniała swoją robotę, polegającą na wycinaniu z gazetowego papieru równych kwadratów, które dla miłości Boga i ich ostatecznego celu w "petit pays" musiały mieć wymiary bardzo ściśle odmierzone. W jej bezpośrednim sąsiedztwie zajęcie to wywoływało przez cały czas jawną i naiwną wesołość, a w tej chwili Teresa, wracając do tego samego tematu, oświadczyła żartobliwie:

- Nie przerywajcie Wilhelminie. Niech pracuje precyzyjnie.

- Wykazuje niezwykłą zręczność, prawda?

Dało się słyszeć ciche chichotanie.

- Zobaczycie - odparła Wilhelmina z krótkim, głośnym śmiechem: dawno już uspokoiła się po swym zgnębieniu podczas "culpe". - Zobaczycie później. - Ujęła papierowy kwadrat w swą tłustą rękę.

- Proszę cię, nie trzymaj papieru w taki sposób - naiwnie zauważyła Teresa - bo nazbyt wyraźnie wskazujesz na jego przeznaczenie.

Słowa te wywołały głośny wybuch śmiechu, a nawet Maria Emanuela, czujna i wyniosła jak zawsze, lekko skrzywiła swe nieruchome wargi. Śmiech był naturalnym objawem wesołości, prostym, zrozumiałym, dozwolonym: trzeba być jak małe dzieci, śmiać się i weselić. Ale Łucja nie miała chęci do śmiechu. Dla niej było to wstrętne i wulgarne, a nurtująca ją głęboka niechęć wezbrała nagle falą oburzenia. I to ma być miarą ludzkiej duszy, dążącej do swego Zbawiciela?

Odrącona, wstrząśnięta i pełna niepokoju, trwała jednak ciągle przy swojej wierze. Pragnęła iść naprzód, wytrwać, odnieść zwycięstwo. Mocno zacisnęła zęby.

Siedziała tak z bladą twarzą, wyczerpana i sztywna - postać nieskończenie tragiczna. Niepewnymi i lekko drżącymi palcami rozplątywała szpagat, jakby rozwiązując zagadkę własnego życia.

Czy ją obserwują? Nie wiedziała. Stale jednak miała dziwne i nieodparte wrażenie, że śledzą tajemnice jej duszy. Zgnębiona trybem wspólnego zbiorowego życia, namiętnie pragnęła samotności. Nigdy jednak nie była sama, z wyjątkiem tych godzin ciemności w swej celi, kiedy leżąc nieruchomo, wpatrywała się w nieprzenikniony mrok, usiłując rozpoznać na przeciwległej ścianie niewidoczną postać Ukrzyżowanego. Podczas bezsennych nocy Łucja widziała ową postać jedynie w wyobraźni, o ile nie odwiedził jej przelotny promień księżycowy, który, wślizgując się czasem przez wąską kratę, ożywiał gipsowego Chrystusa.

Spała niewiele, a w dodatku był to sen niespokojny i przerywany. Nie miała już teraz wełnianego materaca jak w postulacie, lecz zwykłe posłanie zakonnice - siennik lekko wypchany słomą. Pewnego dnia Maria Emanuela powiedziała chłodno i jak zwykle rozkazująco:

- Upięły właśnie dwa miesiące od twoich obłóczyn. Od dziś będziesz leżeć na słomie, jak nasz Zbawiciel leżał w żłobku.

Było to słuszne i sprawiedliwe. Co było dostatecznie dobre dla Zbawiciela, będzie aż nadto dobre dla niej. To nie żadne poświęcenie. Chociaż duch jej mężnie wziął na siebie tę ofiarę, ciało jej wzdragało się przed tym. Ponadto przeniesiono ją niedawno do innej celi - również zgodnie z regułą: zbyt długi pobyt w tej samej celi powodował u zakonnicy niegodne przywiązanie do własności - a Łucja nie oswoiła się jeszcze z tą zmianą. Poza tym łaknęła snu, który wciąż jeszcze od niej uciekał.

W ciągu tych bezsennych godzin mroku i śmiertelnej ciszy, nie przerywanej nawet tykaniem zegara, kiedy nerwowo wyczekiwała pierwszego brzasku dnia, w jej umęczonym mózgu roily się różne myśli. Z czasem nabrała pewności, że jest szpiegowana. Zdawało się jej, że nie tylko wszechwidzące oko Marii Emanueli stale nad nią czuwa, lecz że ustanowiono też nad nią nadzór dyskretniejszy i bardziej tajny, a sięgający poza obręb nowicjatu. Jakieś szepty pod drzwiami, Józefina, Maria Emanuela i matka przełożona mówiące coś poważnie, nagle badawcze spojrzenie, rzucone na nią przez matkę przełożoną, gdy wychodziły z

kościola. Czy to wszystko jest tylko urojeniem? Chyba tak, a jednak istnieje fakt konkretny, nie dający się wytłumaczyć: tamta dziwna rozmowa!

Zdarzyło się to pewnego dnia podczas rekreacji, kiedy matka przełożona spojrzała na Łucję i rzekła:

- Zgromadzenie zauważyło, że chudniesz. Czy może jesteś chora?

Z miejsca zaprotestowała przeciw takiemu osądzeniu.

- Trzeba koniecznie być zdrową, by móc sprostać wymaganiom obowiązującej reguły. Wyjątki są wykluczone. Zbyt wątłe zdrowie i zbyt wyniosłe serce to przeszkody, by stać się dobrą zakonnice.

Czy jej serce jest wyniosłe? Przecież na kolanach spełniała każdą upokarzającą i nieuzasadnioną pokutę. Milczała.

- Mówią mi, że jesteś naprawdę obdarzona łaską żarliwej modlitwy, więc też Bóg dobrotliwy z pewnością obdarzy cię łaską wytrwania w życiu klasztornym.

Wytrwania w życiu klasztornym! Tymi słowami Łucja przejęła się najbardziej, one właśnie wywołały w niej to przykre uczucie, jawiąc się nagle, zwłaszcza nocą, piekąc jak rozpalone żelazo. Mieściły w sobie dręczącą niepewność, groźną zapowiedź niepowodzenia: ona, która nigdy nie poniosła porażki, nie może jej też ponieść w tym swoim ostatnim, najważniejszym przedsięwzięciu. Jakkolwiek przechodziła dopiero okres nowicjatu, nigdy nie uważała go za okres próby, od pierwszego dnia przybycia uważając klasztor za swoją przystań - za schronienie stałe i ostateczne.

Chociaż życie tu wydawało się jej takie dziwne, takie surowe i niezrozumiałe, mimo to z całą pasją swojej natury, gwałtownie pragnęła w nim wytrwać. Jakże jasno przypominała sobie ową radosną otuchę, z którą wchodziła w progi tego klasztoru! Czyż jest istotą o tak słabej woli, by utracić bez walki swoją siłę i wiarę? Bóg w swojej nieprzebranej miłości przywiódł ją tutaj, była to opoka, na której się wspierała.

Wbrew wewnętrznym wątpliwościom i walkom, wbrew straszemu haraczowi nałożonemu na nią przez te walki, postanowiła bezwzględnie wytrwać do gorzkiego końca. Było to paradoksalne, ale zgodne z jej naturą.

A oto, niby głęboki cień przesłaniający wszystkie inne, ogarnął ją lęk przed porażką. Stale musiała o niej myśleć i może dlatego utrwalało się w niej przekonanie, że jest zewsząd śledzona, dlatego ona sama ustawicznie szpiegowała każdy swój uczynek.

Ten ustawiczny lęk przed wszechobecną nieznaną groźbą drażnił jej nerwy napięte do ostateczności, zdawał się szumieć w uszach i łączyć z dzwoniącą ciszą. Łucja bezwiednie poddawała się obawie, a na jej wychudłej twarzy malował się wyraz wyczerpania i trwożnego wyczekiwania. Sieć drobnych zmarszczek utworzyła się w kątach ciemnych oczu, a nie dające się opanować nerwowe skurcze wykrzywiały często zwiotczałe policzki. Chodząc doznawała dziwnego uczucia, jakby stąpała po gumowych poduszkach - uczucia lekkiego i niemal lotnego ruchu, który bała się, że skończyć się może omdleniem. Mimo to siłą woli posuwała się w nakazanym kierunku, we wszystkich przeciwnościach podtrzymywana płomiennym celem swej miłości.

Robiła to dla Jezusa. Dla Jezusa, swego umiłowanego Zbawiciela, który dla niej biczowany, ukoronowany cierniem i ukrzyżowany, umarł męczeńską śmiercią. Jeśli On tak cierpiał dla niej, dlaczegoż ona miałaby się wzbraniać przed cierpieniem dla Niego? "Wszystko dla Jezusa! Wszystko dla Jego miłości" - oto wieczne dążenie jej duszy. Zamknięta w celi przez długie, ciemne godziny, żyła tą miłością, ogarniającą ją niby ogniste języki. Nieraz na tle posępnego mroku widywała też wyraźnie Najświętsze Serce Jezusowe, otoczone migotliwymi, namiętymi płomieniami - miłujące ją i czekające na jej adorację. W obliczu tej wizji pragnęła zerwać się z łóżka i paść na kolana, by ofiarować się Jezusowi ciałem i duszą. Powstrzymywana jedynie przez regułę zakonu, czekała z żarliwie rozwartymi oczyma na pierwszy dźwięk rannego dzwonu, by wolno jej było wstać i iść do Niego. "Niech będzie pochwalony... Na wieki wieków."

Wtedy zrywała się szybko w ciemności, nerwowo ubierała się i biegła do kościoła, gdzie w obecności Boga padała krzyżem na ziemię w najgłębszej adoracji.

Tam, w mrocznej kaplicy, widziała znów wąskie języki płomieni dokoła tabernakulum, przyćmiewające blask jarzących się świec. Wiedziała, że w ten sposób Duch Święty spłynął na apostołów, w ten sposób płomień buchnął ze stosu niejednego męczennika - wśród takich płomieni, z których każdy był żarliwym symbolem, potęgującym zapal jej duszy i unoszącym ją w ekstazie miłości.

W nocy co prawda, podczas krótkich chwil przerywanego snu, męczył ją często okropny koszmar: wielkie zamieszanie - płomienie buchające na jej rozkaz - klasztor płonący jako ofiara Boga. Wtedy budziła się, zlane lodowatym potem przerażenia. Była to wszakże tylko zmora senna - fantazja bez powodu i związku z jej miłością do Chrystusa.

"Niech będzie pochwalony... Na wieki wieków." Ileż to razy dawała tę zbożną odpowiedź? Zaledwie od kilku krótkich miesięcy - ale dla niej te miesiące były olbrzymimi okresami, a każdy rozległą pustynią czasu. Brzoskwinię, dojrzałą teraz w mrocznym sadzie, wisały duże, słodkie, pachnące w słońcu, wprost pękały od nadmiaru soku. Podczas rekreacji było przyjemnie podziwiać przez chwilę owoce, świadczące o hojności Boga, przyglądać się siostrzom służącym, które szorstkimi, lecz ostrożnymi rękami zrywały je, by następnie zapakowane w płaskich koszach wysłać na targ. Naturalnie, wolno się było im tylko przyglądać. Opowiadano im niezliczone razy (czyniono to od lat, wśród oburzeń i gestów przerażenia słuchających) o owej nowicjuszcze - nie wyświęconej zakonnicy, coś takiego byłoby nie do pomyślenia, i nie w tym zakonie, co za przypuszczenie! - ale o nowicjuszcze z jakiegoś innego zakonu - może karmelitanke, tak, prawdopodobnie była to karmelitanka - która uległa dwugłowemu potworowi nieposłuszeństwa i łakomstwa. Jej to w ogrodzie klasztornym zachciało się brzoskwini, w niewiarygodnym zaślepieniu zapomniała o cnocie powściągliwości. Ukradkiem zerwała owoc i spożyła go chciwie. - Krótki okrzyk przerażenia z ust Teresy. - Ale z Bogiem żartować nie wolno. Nie! W brzoskwini była pestka. A nowicjuszcza w pośpiechu swego tajemnego łakomstwa połknęła ją i zadławiła się na śmierć.

Nowy okrzyk przerażenia i grozy!

- "Ma bonne merre"...

- "Moi, je ne..."

Choć owoce te były piękne, Łucja nie miała na nie żadnej ochoty. Może kiedyś - dawno, dawno temu - myśl o brzoskwini podniecałaby ją przyjemnie, teraz było jej to obojętne. Mimo to lubiła ogród i podczas rekreacji wchodziła tam zawsze z uczuciem dziwnej ulgi. Tu też w ostatnich dniach spotkała ją radość nawiązania dziwnej i nieoczekiwanej znajomości, co z większym jeszcze zapalem kazało jej co dzień wyczekiwać tej jedynej godziny, spędzonej pod drzewami, które uginały się pod słodkim ciężarem.

Przemówiła tu do niej siostra Adrianna - stara siostra Adrianna, która z osiemdziesięciu lat swego spokojnego życia sześćdziesiąt przebywała w klasztorze. Adrianna była wyschniętą, skurczoną staruszką o bezzębnej pomarszczonej twarzy, oczach łzawiących i podkrążonych jak u gołębia, a mimo to dziwnie jasnych i miłych, podobnie jak jej uśmiech. Odmawiając w nieskończoność różaniec zwisający u pasa, dreptała w słoneczne godziny po ogrodzie klasztornym. Jednego dnia potknęła się, a kiedy Łucja podtrzymała ją, staruszka nagle przemówiła. Jedyne dzięki sędziwemu wiekowi - była najstarszą zakonnice w zgromadzeniu - wolno jej było odezwać się do nowicjuszek.

- W dniu święta Dwunastu Męczenników przypada sześćdziesiąta rocznica mego przybycia do klasztoru - rzekła niespodziewanie. - To ciekawe, prawda? - Słyszając te łagodne proste słowa Łucja boleśnie uśmiechnęła się. - A jeśli będziesz grzeczna - ciągnęła dalej Adrianna - to dostaniesz na obiad filiżankę kawy i kruche ciastko.

Łucja wiedziała już o tym ciastku dla każdej: od szeregu dni był to miły temat rozmów nowicjuszek podczas rekreacji.

- Muszę siostrze powinszować - rzekła zakłopotana.

Adrianna uśmiechnęła się bez słowa, pochyliła swą trzęsącą się głowę i dalej podreptała ścieżką. Ale następnego dnia była w ogrodzie i znów rozmawiała z Łucją.

- Zauważyłam cię wczoraj - mówiła. - Toś ty mi winszowała sześćdziesiątej rocznicy, przypadającej na święto Dwunastu Męczenników? Przyjmij więc ten obrazek do swego modlitewnika.

Podala jej małą kartkę o złoconych brzegach. Obrazek przedstawiał Dzieciątka, Jezus, a patrząc na niego oczy Łucji zwilgotniały powoli.

- Jaka siostra dobra - wyjąkała, niezmiernie wzruszona tym drobnym aktem ludzkiej dobroci.

- To Dzieciątka Jezus - rzekła staruszka, trzęsąc wciąż głowę. - Takie słodkie i miłe. Jakiegoż błogosławieństwa dostąpiła Dziewica, będąc matką takiego Dzieciątka! Czy cię to cieszy?

- Tak, bardzo mnie cieszy - cichym głosem odpowiedziała Łucja.

- Trzymać w ramionach to Dziecię - ciągnęła dalej Adrianna. - Naprawdę, zazdroszczę Matce Bożej.

Łucja nie mogła zapanować nad sobą. Wydała krótkie stłumione westchnienie, nagle fala wzruszenia napłynęła jej do serca. Jakby spoza zasłony ujrzała raptownie siebie samą, karmiącą swego synka na wybrzeżu Ardfillan. Ogarnęła ją burza uczuć, nie dających się opisać: ból szalejący w jej duszy i tęsknota - najważniejszy motyw jej życia - zalewający ją w tej chwili falą rozkoszy. Stała bez ruchu, bezwiednie zaciskając rękę z obrazkiem. Następnie, nie rzekłszy słowa, oddaliła się sztywno. Stara zakonnica popatrzyła na nią łagodnymi, zatroskanymi oczami i powoli ruszyła za nią:

- "Je vais la suivre" - mamrotała. - "Je vais la suivre".

Wywiązała się dziwna, osobliwa zażyłość - nie całkiem zgodna z regułą. Niemniej w tym momencie życia Łucji przyjaźń Adrianny - o ile można to było nazwać przyjaźnią - była dla niej niemal ucieczką, nagłą pomocą w obliczu nadciągającego nieszczęścia. Łucja zdawała się wprost czepiać starej kobiety, usiłując znaleźć w jej towarzystwie trochę tego spokoju, za którym tak rozpaczliwie teraz tęskniła.

Sześćdziesiąt lat zakonnica! Tak, zbadanie głębi serca tej starej kobiety byłoby niewątpliwie rozwiązaniem raz na zawsze dręczącej, wiecznej zagadki. Pragnęła, by Adrianna uchyliła tej zasłony.

- Tak, w dniu Dwunastu Męczenników będzie sześćdziesiąt lat, odkąd przywdziałam habit.

- I czuje siostra teraz wielkie szczęście, wielkie zadowolenie? - nalegała Łucja.

- Szczęściem jest to, że mogę swe stare kości wygrzewać na słońcu - spokojnie odparła Adrianna - a poza tym zbliża się moja rocznica w święto Dwunastu Męczenników! Wiesz?

- Tak, ale...

- Ach, wstąpiłam do klasztoru z wielkim zapalem - mówiła stara kobieta oddając się wspomnieniom. - Pamiętam to jeszcze. A jak moja biedna matka płakała podczas moich

oblóczyn, właściwie nie zgadzała się na to. Ale później, ten wielki zapal, nie wiem... - urwała, a mucha laziła bez przeszkody po jej łagodnej, sennej twarzy.

- Widzisz - podjęła znowu - w tym życiu człowiek zmusza się stale do robienia czegoś, stale. Czytałam raz o wielkim świętym - zapomniałam gdzie, tak łatwo teraz zapominam - który w ciągu swojego życia ani razu nie zaznał łaski prawdziwej żarliwości, a przez cały czas modlił się o to. A mimo to w dalszym ciągu zmuszał się wytrwale, by robić dla miłości Boga wszystko, czego nie chciał robić. Mówił: "wierzę" i musiał uwierzyć. To jest wiara i tak musi być. - Znow popadła w zadumę. - Ja nie jestem święta, ale ze mną jest tak samo.

Łucja spojrzała na nią w trwożnym wyczekiwaniu.

- Ale nagroda, siostró - wyjąkała - nagroda po śmierci.

- Nie chcę jeszcze umierać - odparła Adrianna tak energicznie, że mucha zerwała się i uciekła z jej nosa, jakby spłoszona przez tę odrażającą myśl. - Uważam, że życie jest bardzo przyjemne, gdy swoje stare kości wygrzewam w słońcu. To mi teraz wystarcza. I mam przecież takie słodkie wspomnienia.

Twarz siostry rozjaśniła się pod wpływem tych wspomnień, a jej myśli - myśli sędziwej staruszki - z łatwością powróciły do dalekich dni dzieciństwa.

- W moim domu rodzinnym, w Liege, było ślicznie. W rogu ogrodu rosło drzewo figowe, gdzie lubiłam się bawić. Raz zabrano mnie na wielki jarmark, przyjechali tam na dwa tygodnie Cyganie i ich dzieci pokazywały różne sztuczki. Miałam na sobie niebieską sukienkę, a włosy całe w lokach. "Mon petit chou frise" - nazywał mnie pieszczotliwie mój tatuś. - Przez chwilę snuła jeszcze spokojne wspomnienia, aż Łucja zapytała ze wzrastającym niepokojem:

- Ale siostra chyba... chyba pragnie być z naszym Panem?

Po długiej chwili milczenia, stara zakonnica powiedziała łagodnie:

- To bardzo dziwne. Tak, to bardzo dziwne: raz we Włoszech - spędziłam tam długie lata w klasztorze naszej reguły - wydarzyła się pewna historia. Bardzo stary i bardzo świętobliwy arcybiskup z powodu podeszłego wieku został przeniesiony w stan spoczynku.

Nagle zachorował. I co się dzieje? Nie woła: "Jestem stary. Jestem wierzący. Pozwólcie mi umrzeć, bym zaznał wielkiej szczęśliwości przebywania z Bogiem". Nie! Żąda wezwania lekarza i specjalistów. Uznają, że potrzebna jest operacja, on godzi się na nią, by odzyskać zdrowie. I je odzyskuje. I cieszy się - bardzo się cieszy, a w kościołach odmawiają modły dziękczynne. To przecież dziwne, prawda?

Dzwon obwieścił koniec godziny rekreacyjnej i Łucja w głębokim zamięcie ducha poszła do kościoła modlić się o to miejsce w niebie, do którego Adrianna wcale się jeszcze nie kwapiła.

Nie otrzymała od starej zakonnicy rozwiązania, którego poszukiwała teraz tak niezmordowanie, ale w towarzystwie jej znajdowała kojący spokój, Przywiązała się do niej dziwnym, bezgranicznym oddaniem. Możliwość uniknięcia podczas rekreacji przeszywającego spojrzenia przełożonej, nieustannych okrzyków: "Oh, ma bonne mere", prośbę spojrzeć na ten pierwszy kwiat kasztanu, "Jak prędko urósł ten kucyk!" - możliwość uniknięcia tego wszystkiego sprawiała jej niewymowną ulgę.

Gdy nagana Marii Emanuela doprowadzała ją do ostateczności, gdy nieznośne przecucie wisiało nad nią jak całun - w takich chwilach zmuszała się do myślenia o tej sędziwej, spokojnej twarzy. Była to jej jedyna pociecha. Świadomość, że w godzinie rekreacji może rozmawiać z Adrianną, bezwiednie dodawała jej sił do przetrwania, umacniała w cierpliwości. Stara Adrianna stała się niepostrzeżenie balsamem na prześladowania ze strony Marii Emanuela. Łucja czuła, że gdyby nie cudowna ulga płynąca z tego pokrzepienia, musiałyby zatonać w bagnie nienawiści. Antypatia Marii Emanuela zdawała się bowiem potęgować, owa milcząca wzajemna wrogość przybierała na sile. W swych rozmyślaniach Łucja zmuszała się jeszcze do cierpienia i posłuszeństwa. Wytrwa, musi wytrwać.

A potem nadeszła wigilia święta Dwunastu Męczenników. Z okazji wielkiej rocznicy, przypadającej na następny dzień, Łucja rozmawiała z Adrianną trochę dłużej niż zwykle. Stara kobieta obdarzyła ją drugim obrazkiem, a kiedy odezwał się dzwon, na ustach Łucji błąkał się jeszcze słaby uśmiech, gdy szła przez ogród, trzymając w ręce obrazek. Nagle uczuła na sobie wzrok Marii Emanuela. Momentalnie uśmiech zgasł na jej twarzy, szybko wsunęła obrazek do kieszeni. Nie padło ani jedno słowo. Mimo to drgnęła i pochyliła głowę, jakby pod naporem nagłego wichru. To nic - mówiła sobie - nic! A jednak wspomnienie tego spojrzenia prześladowało ją przez całe popołudnie. Nie patrząc, czuła znów zimny, badawczy

wzrok i znów przebiegł ją dreszcz. Cała antypatia do przełożonej wróciła ze wzmożoną siłą i niepodobna było zaprzeczyć jej istnieniu. Więc to prawda! Ze wszystkich sił, mimo wyczerpania i słabości, nienawidziła Marii Emanuela i gardziła nią. A jednak nie może, nie dopuści do tego. Musi ją kochać i poddać się jej. Nadstawić drugi policzek - oto zasada, która kieruje teraz jej życiem. W straszliwym zamęcie umysłu i duszy weszła do kościoła na wieczorne modlitwy. Musi pokonać to uczucie buntu. Musi, musi się poddać.

Z bolesnym napięciem utkwiała oczy w błyszczącym tabernakulum, modląc się z płomienną żarliwością. Och! jakże się modliła! Modliła się o łaskę wytrwania - o znak, o jakiś znak łaski i pokoju.

Wyszła z kościoła podniesiona na duchu, z wilgotnymi oczyma, rozplomieniona jeszcze odblaskiem żarliwej modlitwy. Czowała teraz większą siłę do spędzenia bezsennej nocy.

Opuściła kościół ostatnia z grona nowicjuszek i nie od razu zaczęła wchodzić na piętro, gdyż zamierzała przejść korytarzem do małych bocznych drzwi, których zamykanie co wieczór było jej obowiązkiem. Zwykły obowiązek, jedno z licznych zajęć, spełnianych przez nowicjuszkę. Nie zdążyła jednak wejść na korytarz, gdy u stóp klatki schodowej wyłoniła się z cienia jakaś postać. Była to Maria Emanuela.

- Proszę na chwilę - cicho rzekła przełożona.

Łucja drgnęła. Reguła nakazywała ogólne milczenie po wieczornych modlitwach, a przepis ten łamano rzadko i tylko w bardzo ważnych okolicznościach. Do przejmującej ją obawy dołączyło się zdumienie, gdy w mrocznym korytarzu przystanąła naprzeciw niej. Mrok korytarza zdawał się rozbrzmiewać milczeniem.

- Zapomniałam ci coś powiedzieć - chłodno, dobitnie mówiła Maria Emanuela - o czym musisz dowiedzieć się przed jutrzejszym dniem. - Zamilkła, wyprostowana, posepna i upiorna, prawie nieludzka w tym półmroku. Następnie dodała zimno: - Dotyczy to siostry Adrianny. - Łucja uczuła skurcz serca. Czy to może znak, o który się modliła? Zrobiło się jej zimno, poczuła dziwne odrętwienie. - Zauważyłam - ciągnęła dalej tamta oschłym tonem sędziego - że wiele z nią przebywasz podczas rekreacji. Taka zażyłość jest niewłaściwa. Siostrze Adriannie przysługują przywileje staruszki, ale nie przysługują one tobie. Rozumiesz?

Czy rozumie? Bolesna bladość jej twarzy, odcinająca się od mroku korytarza, bez słów odpowiedziała na to pytanie. Jest tak, jak przypuszczałam - pomyślała Łucja. Intuicyjnie odgadła, że stoi znów na progu upokorzenia, niesprawiedliwości i nagany. Ciągle to samo - czy nigdy nie będzie końca? Nagle policzek jej znów zaczął drgać nerwowo, ale sama stała bez ruchu, nie dając odpowiedzi.

- By stać się dobrą zakonnica - mówiła Maria Emanuela - trzeba wyrzec się wszystkiego.

W głosie tym nie było gniewu, jedynie oschła wyniosłość. Ale Łucja znów nie odpowiedziała.

- Czy rozumiesz? - spytała w końcu przełożona swym powolnym, miarowym głosem. Zamilkła, czekając na odpowiedź.

Łucja poruszyła się. Oto chwila odpowiednia, nie znak, o który się modliła, lecz coś innego, lepszego! I oto - jak gdyby oczekiwała momentu, kiedy znajdzie się sam na sam z tą kobietą, od której doznała tyle upokorzeń - nagle postanowiła wykorzystać tę sposobność. Serce jej, ściśnięte przed chwilą, zdawało się nagle rozszerzać. Cienkie nozdrza drgały, blade wargi zacisnęły się w wąską linię, gdy z wyniosłą pogardą spytała:

- Czy wolno mi mówić?

Przełożona lekko skinęła głową, na pół odwróconą.

- Czy matka wie, że siostra Adrianna zwróciła się do mnie pierwsza?

- To wszystko jedno.

- A jeśli się do mnie zwróci ponownie, co mam zrobić? - Słowa te zabrzmiały donośnie w posepnej ciszy klatki schodowej.

- Jak ci rozkazano. Nie odpowiadać.

Spojrzały na siebie, a w oczach Łucji zamigotał dziki płomień walki. Posiadała duszę, była człowiekiem, a nie pełzającym robakiem, wijącym się w prochu i błagającym pokornie: "Och, przepraszam, matko!" z powodu błahego przewinienia, którego nigdy nie popełniła.

Opanowała ją nagła paląca gorycz. Jest takim samym człowiekiem jak ta blada bezpłodna istota. Tak, nawet ją przewyższa. Mimo swego wyczerpanego i słabego ciała jest silniejsza - lepsza od niej. Na rany Chrystusa, jest silniejsza i lepsza. Zaznała rozkoszy miłości i bólów porodu. Nie jest anemiczną starą panną, która swym długo tłumionym instynktom daje ujście w tej nieuzasadnionej złości. Jest kobietą i nie boi się. Odrzuciła głowę w tył niby podrażniony koń, z nagle zmienioną twarzą groźnie spojrzała na Marię Emanuellę.

- Czy matka przyznaje - zawołała głośno - że od trzech miesięcy mnie prześladowuje?

- Ja, prześladowuję? - Był to okrzyk bezwiedny, towarzyszyło mu szybkie, ukradkowe spojrzenie.

- Tak, bardzo prześladowuje. I wszystko za nic. - Słowa te wyrzuciła w porywie wściekłości. - Matka postawiła sobie za zadanie lżyć mnie i poniżyć do ostatecznych granic.

Powieki Marii Emanuelli zatrzepotały lekko. Zbladła silnie.

- Tak jest - powiedziała powoli. - Ale jedynie dla twego dobra, dla twego zbawienia.

- Dla mojego zbawienia! - wykrzyknęła Lucja. Zrobiła gwałtowny ruch protestu, tak że Maria Emanuela mimo woli cofnęła się ku klatce schodowej.

- To niemożliwe - powiedziała zmieszana, tonem dziwnie bezdźwięcznym. - Zachowujesz się niewłaściwie.

Łucję opanowała szalona radość. Zauważyła zaniepokojenie tamtej, a to przepełniło jej pierś upojeniem.

- Siostra widzi, kim jestem - oświadczyła namiętnie. - Uległam, ale zawsze byłam silniejsza od siostry.

W mroku korytarza twarz Marii Emanuelli stała się sinoblada.

- Mówić w ten sposób jest przeciwne woli Bożej - krzyknęła zdławionym głosem. - Jutro musisz odbyć pokutę.

- Pokutę! - Porwała ją dzika pasja, nagła fala zimnego wstrętu. - Jeszcze nie jutro - rzekła pogardliwie. Utkwiła oczy w przełożonej, która opierała się teraz o mroczną ścianę. Cała pokora Łucji zniknęła, a miejsce jej zajęła jedynie pogarda.

- Jest późno - powiedziała niepewnie przełożona. - Czas wracać.

Przez krótką chwilę obie kobiety patrzyły na siebie w milczeniu, następnie Maria Emanuela powoli spuściła oczy, odwróciła się i zaczęła wchodzić na schody.

Łucja patrzyła za nią z drżącymi wargami, zaciskając pięści. Nie mogę - myślała - nie mogę tego wytrzymać. Następnie, z gestem gwałtownej rozpacz, z przyzwyczajenia skierowała się ku drzwiom. Ale ich nie zamknęła. Przeciwnie, otworzyła je i dysząc ciężko, zapatrzyła się w tajemnicze piękno nocy. Przed sobą widziała ogród skąpany w jasnej poświacie księżyca. Za nią, w zamknięciu, klatki cel, małość i nędza. Serce jej trzepotało tak głośno, że słyszała jego bicie, gdy stała na progu, z gorącą twarzą, podaną na tkliwy zew nocy, z głową wzniesioną ku niebu, wyprężona i drżąca. Nagle drgnęła przerażona. Drzwi zatrasnęły się za nią. Przerażona wybiegła na dwór.

Ogród wchłonął ją niby chłodna, niezmierna głębia morza. Wybiegając z tych nieszczęsnych drzwi, była tak pogrążona w myślach, tak oderwana od rzeczywistości, że miała wrażenie, iż wokół niej zamknęły się olbrzymie ciemne fale. Wybiegła ulegając instynktowi, a teraz pchana jak gdyby niezmierną siłą, pędziła przed siebie skulona, nie troszcząc się o kierunek, pragnąc tylko uciec.

Biegła bezszelestnie po trawniku wilgotnym od rosy, po nieruchomych cieniach drzew. Nie trzymając się ścieżki, nie zostawiając śladów, jej pochylona postać sunęła w upiornym świetle niby bezcielesna mara.

Dokąd tak biegnie?... Biegła dysząc szybko, jakby łkając - biegła bez celu. Zamknięta nieprzebytym murem okalającym ogród, dokąd mogłaby uciec?

Półprzytomna ze wzburzenia czuła coraz większą trwogę - przecież wymknęła się! Otoczona murem, lasem i nocą, schwytna w potrzask pod sklepieniem obojętnego nieba, była niby przerażona ryba, szukająca drogi w bezmiarze nieznanymi oceanów, których zimnych otchłannych głębi nie przenika najśłabszy błysk światła.

Dysząc ciężko zatrzymała się, zdjęta rozpaczą. Dokąd idzie? Co tu robi? Ona, Łucja Moore, sama w tym ogromnym parku, bezsilna i opuszczona, o tej godzinie, w obcym kraju. Skrzyżowała ręce na piersiach i odrzuciła w tył głowę. Księżyc, niby biała hostia w ciemnej monstrancji nieskończoności, patrzył na nią, nie przynosząc żadnej pociechy. Gwiazdy - rozproszony złoty pył - świeciły blado. I nic więcej w tych posepnych niebiosach prócz ciemności, w której została pogrążona i unicestwiona.

Odruchowo podniosła rękę do czoła, usiłując zebrać myśli. Aromat dojrzałych owoców unoszący się w powietrzu oszołamiał niby słodkie wino. Rozejrzała się nagle bacznie i pod jej zdumionym wzrokiem ogród zaczął przybierać kształty skończonej harmonii: drzewa stały cicho jak antyczne posągi, a blade kwiaty znieruchomiały w przedziwne kształty koralu. Ileż piękna i spokoju stworzyła natura w tym zaciszu! Tak - pomyślała marszcząc czoło -

przybyłam tu, by znaleźć spokój. Twarz jej wykrzywił bolesny grymas. Pod wpływem tej myśli nowo odkryte piękno ogrodu straciło dla niej cały urok - przestało istnieć.

Ogarnęła ją fala bolesnych wspomnień, wypełniając jej serce coraz większą goryczą, a brwi ściągnęły się ponownie, jakby odczuła fizyczny ból. Przyszła tu z miłości do Boga - by oddać Mu się całkowicie. Nie tyle Bogu, ile Jezusowi - Jezusowi Zbawicielowi, ukrzyżowanemu przez miłość do niej. Jezus jest Bogiem - Synem i Ojcem, i Duchem świętym w jednej osobie. Tajemnica całkowicie niepojęta, tak niewzruszona i pewna, że się nad nią wcale nie zastanawiała, lecz po omacku dążyła ku miłości Chrystusa. To przywiodło ją tutaj, zmuszając do słodkiej męki ofiary i całkowitego wyrzeczenia. Ale jaki cel tego wszystkiego? Splotła mocno ręce, wpatrzona żarliwie w niewyraźne kontury klasztoru, bezkształtnie i ponuro rysujące się w mroku. Tu, w tej klatce zaludnionej przez blade istoty poruszające się na dźwięk dzwonu jak maszyny - tu usiłowała wyuczyć się pustych form, unicestwić istotę swej duszy, zatracić największą swą miłość. W niewoli drobiazgów, miazdżona w trybach dyscypliny, czołgała się w prochu i całowała buty, gdy cała jej natura rwała się do owej wzniosłej miłości. Bóg stworzył ją jako człowieka obdarzonego duszą będącą częścią Jego duszy. Poniżać tę duszę znaczyło poniżać Boga. Będzie walczyć do końca, będzie cierpieć, umrze, ale nigdy już nie pochyli głowy. Taka była zawsze i taka pozostanie.

Gwałtowna pogarda podsyciła i tak gorzki gniew. Czy to kobiety mieszkają w tych ciasnych celach, czy jakieś bezpłciowe istoty, poruszające się jak cienie - bezpłodne stare panny, nie potrzebujące walczyć o swą czystość? Namiętnie wróciła do wspomnień, do przeszłości. Chociaż teraz wynędzniałe, ciało jej spełniło jednak swe zadanie, łono jej wydało życie, wezbrane piersi czuły wargi niemowlęcia. Czymkolwiek jest, była jednak kobietą, która kochała, pracowała i torowała sobie własną drogę przez życie.

W uczuciach jej dokonał się nagły przewrót, odwróciła głowę i rozejrzała się wyteżając wzrok. Musi coś zrobić. Nie może stać beczynn timer i bez walki poddać się okolicznościom. Nigdy tego nie robiła! A Jezus jest przy niej, świadom jej miłości, patrzy na nią nawet teraz, gdy stojąc tu, wyciąga do niego ramiona. Słaby uśmiech rozświetlił jej zaciętą twarz.

- Jezu - szepnęła nagle, bezwiednie - dopomóż mi! - Szybko spuściła głowę i stała nieruchomo, jakby nasłuchując. Po chwili podniesionym głosem, który rozdarł ciszę niby meteor, przecinający posępny baldachim nocy, zawołała głośno: - Jezu, Jezu! Dopomóż mi

teraz! Przyszłam tu z miłości do Ciebie. - Znowu czekała, nasłuchując, z dziko błyszczącymi oczyma zapatrzonymi w dal. Ale martwe, ciężkie niebo nie dało odpowiedzi.

Poruszyła się niespokojnie, nawrót owej nieokreślonej trwogi przejął lodowatym chłodem jej ciało. Powoli, sztywnym krokiem Lucja zaczęła oddalać się od drzew. Nagle księżyc ukrył się za chmurą i cały ogród zatonął w mroku. Bezwiednie zwolniła, jakby przytłoczona otaczającą ją ze wszystkich stron ciemnością. Wyczerpana rygiorem, który musiała znosić, u kresu sił, szła niepewnie, zgarbiona, ze spuszczonej bezwładnie ramionami. W skroniach waliły młoty. W ogłuszonej głowie kołatało pytanie, czemu Jezus nie przychodzi jej na ratunek. Przed chwilą błagała Go o pomoc. Chociażby tylko o znak! została pograżona w ciemnościach. To było odpowiedzią. Alboż On sam nie zaznał ongiś tego samego w ogrodzie Gethsemani, kiedy głośno wołał o pomoc, podobnie jak ona teraz? Ale męka Jego nie ustała. Nie ustała również jej męka. Jak potężne uderzenie huraganu ogarnia nagle statek, tak ją nagle opanowała straszna trwoga. Czy cierpienie Chrystusa było podobne do jej cierpienia - wszystko na nic?

Dlaczego ona tu jest? Ten mrok ogarnia nie tylko ogród klasztorny, lecz cały wszechświat, przez który przedziera się po omacku. Jej miłość do męża, do syna, do Jezusa - to ta sama miłość, powtarzająca się - powtarzająca się bezsensownie. Jej poryw tkliwości do Najświętszego Dzieciątka był tą samą tkliwością, jaką czuła, kiedy Piotruś spoczywał w jej objęciach. Uśmiech małego Zbawiciela był uśmiechem jej własnego dziecka, jej miłość dla jednego była miłością dla obu. A Frank! Znowu ujrzała jego blade woskowe ręce złożone w chwili śmierci i daleki, tajemniczy wyraz twarzy. Ale nie była to jego twarz. Było to oblicze Chrystusa. A ciało Franka było ciałem Chrystusa, kiedy świątobliwe kobiety zdjęły je z krzyża i złożyły w grobie. Było to to samo martwe, bezkrwiste ciało człowieka.

Cichy okrzyk wyrwał się z jej ust. Okrzyk będący wyrazem wzburzonych i pełnych zwątpienia myśli. Ale przecież w jakiś obłądny sposób mimo chaosu owe trzy miłości łączyły się i tajemniczo zespały w trójkę, która była jednością, powstałą w duszy Lucji. Jej ciało kobiety było krynicą wszelkiej miłości, tryskającej z ziemi, z której wszystko powstało i do której wszystko musi wrócić, by znów zmienić się w proch.

Lucja mocno przycisnęła ręce do oczu i załkała głośno. Drżąc biegła przed siebie coraz szybciej niby zwierzyna ścigana przez niewidzialne ogary. Czy przyszła tu po to, by utracić swą wiarę? To niemożliwe! Broniła się gwałtownie przed tą myślą. Jezus umarł dla jej

zbawienia. Rozpalił w niej płomień miłości: miłości dla swego gorejącego Serca. Widziała płomienie, migocące dokoła tabernakulum, nawet jeżeli były wizją egzaltowanego umysłu, to jednak jest tam Jezus, Dzieciątko Jezus, jak powiedziała stara Adrianna - jakże słodka myśl - ciałem i duszą obecny w sakramencie. Opłatek był Bogiem - nie chlebem, lecz Bogiem. Czyż mogłaby wielbić chleb i niby poganka korzyć się przed rzeczą martwą? Nie, tam jest Jezus, słodki Jezus - którego przyjmuje do swego serca, gdy klęcząc przed ołtarzem, czuje smak hostii na języku. Czy ma się zaprzeć swego uwielbianego Pana, którego kocha tak namiętnie? On jest obecny w hostii mocą cudu - cudu miłości Bożej. Ale co jest cudem? Słowo: szereg związanych z sobą liter alfabetu. Czy istnieją jednak inne alfabety i inne litery, inne religie, inne cuda, inne bogi, a w przestworzach tego ogromnego, niezmiernego wszechświata, także inne światy krążące w przestrzeni, gdzie może jakieś istoty padają na twarz przed symbolami swojej religii, zupełnie nie wiedząc o imieniu Chrystusa?

Co, na Boga, opętało ją? Czy jest obłąkana? Jęcząc padła na kolana, jakby w przystępie szału.

- Jezu! Jezu - krzyczała. - Twoje szlachetne czoło pokłute cierniami, Twoja łagodna twarz ociekająca potem i krwią. Miłuję Cię! Miłuję Cię! Dopomóż mi w mej niewierze. - Namiętnie biła się w piersi. Podniosła głowę - nad nią puste, martwe niebo, żadnego znaku, żadnej odpowiedzi, czy głos jej został dosłyszany, czy też na wieki zatracił się w nieskończoności. Więc jest zgubiona? Zatruta beznadziejnością, opuszczona? Osunęła się bezwładnie na ziemię, ale w oczach rozpalił się dziki płomień.

Jej wiara była niedorzecznością - idiotycznym wymysłem. Nie ma Boga! Chrystus był człowiekiem. Nigdy nie było i nie mogło być żadnych cudów. Opowiadanie o świątobliwym Benedykcie i jego worku to naiwna legenda.

A ten dom w głębi, z kluczem otwierającym wszystkie drzwi, jest po prostu domem wariatów. Ten klucz! Teraz sobie przypomina! Klucz w Blandford. I to puste spojrzenie, ten dziecięcy uśmiech na twarzach - tym samym wyrazem była napiętnowana zidiociała twarz panny Hocking.

I dlatego wszystko jest daremne - darcie papieru - tragiczna, jałowa pogoń za nicością. Znow wstrząsnął nią dreszcz. Jak gdyby z wielkiej oddali zdawało się jej, że słyszy dźwięki dzwonu, dziwne, uporczywe dzwonięcie - nie wieść pokoju, lecz alarmu. Czy to dźwięki

dzwonu, czy tylko szum w uszach? Czy te dźwięki dobywają się z owego domu wariatów, gdzie pod strażą dzwonu i klucza upływało jej życie tak bezużytecznie, rządzone rozkołysaniem jednego i przekręceniem drugiego? Dzwonienie rozbrzmiewało ciągle i ciągle - niosąc się daleko w ciszy nocnej. Po chwili ukazały się w ciemności słabe punkciki świetlne, poruszając się niepewnie niby dalekie błędne ognie. Wpatrywała się w nie jak urzeczona i nagle zerwała się na równe nogi. Światelka kierowały się ze wszystkich stron ku niej, kołysząc się w rytm owych dalekich dzwonów. Była przerażona. Opuściła Boga - zaparła się Go! Czy osaczyły ją teraz szatany, pędząc ku niej, by ją zadrzeć? Z zaciśniętego gardła Łucji wydobył się słaby krzyk.

Chciała zawrócić, uciekać, ale nie mogła. Z niewymowną męką usiłowała poruszyć zdrętwiałymi nogami, ale były martwe, jak wrośnięte w ziemię, czuła, że skamieniała, że jest nieruchoma. Zdobyła się jeszcze na ostatni, konwulsyjny wysiłek, walczyła, zmagając się, odpychała od siebie diabelskie światła; zachwiała się i runęła na ziemię, pogrążona w ciemniejszym niż mrok omdleniu.

Zemdloną znalazły ją te, które szukały jej z latarniami, zemdloną zaniósły znów do klasztoru.

Zbudziwszy się, uczuła promienie rannego słońca, muskające jej twarz i spływające na koldrę - coś takiego niezwykłego i nieprawdopodobnego, że zaraz przymknęła oczy. Ale po chwili otworzyła je ponownie. Rosły mężczyzna w surducie stał tuż przy łóżku. Miał długą, w kwadrat przyciętą brodę, a binokle chwiały się na dużym, poważnym nosie. Ale on sam nie był poważny: z ręką wsuniętą za kamizelkę patrzył na nią i uśmiechał się.

- Dobrze pani spała - rzekł tonem pełnym otuchy. - Tak, niewątpliwie czuje się pani lepiej.

Na zeszywniałej twarzy Łucji nie pojawił się nawet cień uśmiechu, nie odpowiedziała ani słowem, a obrzękłe powieki ponownie opadły na oczy. Choć czuła się senna, nie spała. Niewyraźnie dochodziły ją głosy, rozmowa bardzo uprzejma i ceremonialna, pełne godności pożegnanie lekarza. Tak, przypuszczała, że to lekarz. Poza nim żaden inny mężczyzna nie miał prawa wstępu do klasztoru. Raz jeszcze szybko otworzyła oczy i rozejrzała się. Spojrzenie jej padło od razu na starą siostrę infirmerkę, która skinęła głową i uśmiechnęła się przyjaźnie, stojąc za wysoką mosiężną poręczą łóżka. Łucja nie była jednak w infirmerii ani w swojej celi. Przeczyło temu od razu łóżko, na którym leżała: takie szerokie i miękkie w porównaniu z jej twardym siennikiem, że miała wrażenie, jak gdyby nie leżała na pościeli, lecz unosiła się w powietrzu, osłonięta chmurą. A pokój? Pokój był zbyt przyjemny, zbyt jasny, urządzenie zbyt bogate! Na podłodze leżał brukselski dywan, w oknie wisiały żółte koronkowe firanki, na komodzie stało nawet małe lustro obracające się na zawiasach, a na kominku kwiaty - czerwone kwiaty z bibuły, coś pośredniego między makiem a różą, wciśnięte w złoty wazon. Tak, tego pokoju nie mogła sobie przypomnieć.

A gdzie jej habit? Spojrzała powoli na krzesło obok łóżka. Było próżne, zupełnie próżne. Więc zabrali habit i umieścili ją w tym wspaniałym pokoju, za to straszne nieposłuszeństwo wobec reguły odpowiedziawszy jedynie uśmiechem i dobrocią, wzywając ponadto tego uprzejmego brodatego lekarza. Tak, teraz już wie, gdzie jest. Usunięto ją z klasztoru i umieszczono poza jego obrębem w jednej z sypialń nad rozmównicami.

Znowu zamknęła oczy. Nie mogła jednak myśleć. Nie miała właściwie ochoty myśleć. Ciało miała obolałe, jakby wysmagane grubymi różgami, w głowie czuła zamęt, powieki były ciężkie i senne. Przysunięto jej do ust jakąś filiżankę. Napiała się. Mucha brzęcząc łąziła po szybie.

Lucja zasnęła ponownie.

Było późne popołudnie, gdy się zbudziła, a słońce rzucało teraz miękki jasny kwadrat na deseń dywanu koło drzwi. Była sama - może ją nawet obudziło ciche przymyknięcie drzwi przez starą infirmerkę, która wyszła z pokoju. Leżąc na wznak, przez długą chwilę odpoczywała spokojnie, nie myśląc o niczym. Niewyraźnie przypominała sobie straszne chwile w ogrodzie, ale bez poczucia czasu, bez bólu, jak coś okropnego, lecz zatartego w pamięci, jak burzę, która zniszczyła ją i niemal unicestwiła. Nie, nie chcę myśleć.

Czuła się słaba, bardzo słaba. Dziwne... Z takim wysiłkiem podnosi rękę z kołdry, jeszcze większego wysiłku wymaga dźwignięcie głowy z poduszki.

Nagle zauważyła, że nie jest sama w pokoju i oczy jej rozwarły się szerzej ze zdumienia. Jakaś dziwna stara kobieta patrzyła na nią, kobieta z twarzą tak wychudłą, zniszczoną i pomarszczoną, że wyglądała niemal śmiesznie. Miała zmierzwiłone siwe włosy, krótko ostrzyżone jak u chłopca i duże ciemne oczy, podbite głębokimi cieniami sińców. A ręce tej kobiety były - podobnie jak jej twarz - kościste i nieprawdopodobnie wychudłe. Lucja bezwiednie podniosła rękę i ruch ten wykonała równocześnie tamta kobieta. Cofnęła się z bolesnym przejściem - niemal przerażona. To ona sama, to jej własne odbicie w lusterku, które siostra infirmerka niebacznie postawiła naprzeciw łóżka.

Lucja jak ogłuszona położyła się z powrotem, utkwivszy oczy w suficie. Stała się małą komiczną myszą - ot co! Nie miała jeszcze czterdziestu pięciu lat. Wszak dopiero wczoraj była młodym, beztroskim stworzeniem, i radośnie upojona blaskiem słońca czekała przy furtce na Franka. A teraz? Ani jedna łza nie napłynęła do tych dużych ciemnych oczu, uporczywie wpatrzonych w sufit, sposepniałych tylko, jakby uciekając w dal, a kąciaki bladych ust opadły z wyrazem nieskończenie smutnym. Jak zwykle, a równocześnie jak niezwykle było jej życie. Nic nadzwyczajnego, to dobre określenie - pustka. Praca dla celu, który nigdy się nie ziścił, wyciąganie rąk ku nieskończoności!

Powoli spuściła oczy. W tej chwili drzwi otworzyły się ostrożnie i weszła matka przełożona, stara siostra infirmerka, a na ostatku - nie do wiary - przełożona nowicjuszek. Nie do wiary też, że wszystkie uśmiechały się... weszły rozjaśnione wprost uśmiechem.

- A więc, zbudziłaś się, drogie dziecko - matka przełożona podeszła do łóżka. - Wyglądasz trochę różnie. - Powiedziała niemal żartobliwie. - Czy doktor jest zadowolony?

- Och tak, matko - uniżenie odpowiedziała stara kobieta. - Właśnie mówiłam, że...

Matka przełożona podniosła rękę.

- Lekarz już nie przyjdzie? - Brzmiało to raczej jak oświadczenie niż pytanie.

- Nie, matko. Ma zaufanie do mnie. Powiedział...

Matka przełożona odwróciła się od niej.

- Widzisz - rzekła do Łucji wesoło, ściągając usta - że to nic poważnego. Taka drobna niedyspozycja. Trochę gorączki. Nic - kiwnęła ręką - nic poważnego.

- Już ma twarz spokojniejszą - wtrąciła Maria Emanuela z bladym uśmiechem. - To dobrze.

- Tak, moje lekarstwo jest istotnie znakomite - mówiła infirmerka. - Sam pan doktor powiedział, że to bardzo silny lek. Bardzo go pochwalił, naprawdę, matko.

- Dostaniesz wszystko, czego potrzeba - łagodnie oświadczyła matka przełożona. - Bulion, wino i jajka z mlekiem. No, i nie wolno też zapominać o znakomitym lekarstwie siostry Marty.

Wszystkie trzy uśmiechnęły się z tego żarciku.

- Może by trochę owoców - zaproponowała Maria Emanuela z miną królowej. - Są takie odświeżające, takie chłodne.

Łucja zmrużyła oczy. Co kryje się za tym wszystkim? Czy możliwe, by ta sama kobieta, od której przez całe sześć miesięcy doznawała wszelkich upokorzeń, namawiała ją teraz na owoce?

- Naturalnie - przytaknęła przełożona - trochę owoców byłoby wskazane. - Umilkła, a po chwili wstała. - To się zrobi. A teraz nie będziemy męczyć dłużej pacjentki siostry Marty. - Skierowały się ku drzwiom. Najmniejszej wzmianki o jej pożałowania godnym postępku, najmniejszej wzmianki o karze, żadnego bezpośredniego pytania, nic, prócz pobłażliwej wyrozumiałości.

Odeszły uśmiechnięte, w doskonałej zgodzie i harmonii. W ciągu całej rozmowy Łucja nie otworzyła ust.

Położyła się ponownie, słaba i zdumiona. Co znaczy to rozpieszczanie po dotychczasowej surowości? Co chcą zrobić? I co się z nią stanie?

Siostra Marta wróciła stąpając cicho w swych prunelowych trzewikach, z triumfalną miną niosąc niebieski talerz pełen owoców. Były tam śliwki i morele, brzoskwinie i wspaniałe morwy, niemal purpurowe od dojrzałego soku. Postawiła talerz na krześle przy łóżku i zauważyła:

- W razie czego będę pod ręką.

Powolnym spojrzeniem zmęczonych oczu Łucja patrzyła na jej ruchy, następnie spytała cicho:

- Jak długo tu jestem? - Głos jej brzmiał niepewnie i ochryple. Marta z uznaniem pochyliła głowę nad pełnym niebieskim talerzem.

- Tylko jeden dzień - zawołała wesoło. - Niedługo.

Nastało milczenie, po chwili ciszy Łucja znów się odezwała:

- Co się ze mną stanie?

Ale pielęgniarka udawała, że nie słyszy. W miękkich trzewikach bezszelestnie podeszła do kanapy. Wciąż jeszcze z pochyloną głową, odmierzyła łyżkę lekarstwa z flaszki o długiej szyjce.

- Tak - rzekła znowu. - Czas zażyć lekarstwo.

Był to syrop, ale zaprawiony czymś ciepłym i gorzkim. Potem Łucja wypła filiżankę zupy. I znów nastala cisza, przerywana tylko stukaniem pędu klematisu w szybę, bierna cisza, której się poddala bez reszty. Ciało jej trwało w bezwładzie, wychudłe ręce leżały nieruchomo na kołdrze, oczy znów poszybowały w daleką, niepojętą przestrzeń. I to nieustanne pukanie w szybę. A potem cisza. Z oddali, z wielkiej oddali dochodziły słabe odgłosy śpiewu, na dworze lśniące listki klematisu poruszały się lekko, plama słoneczna na dywanie posuwała się coraz dalej i wyżej, tracąc swój blask, w miarę jak pięła się na szarą ścianę, aż zgasła ostatecznie w mroku. Zanim znikł ostatni promyk, lekarstwo ukołysało Łucję do snu.

Był to sen bez marzeń, miłosierne zapomnienie, któremu poddala się bez oporu. Od tak dawna nie zaznała dostatecznego wypoczynku, leżała więc bez ruchu, wyciągnięta, oddychając cicho. Zbudziła się dopiero, gdy siostra Marta dotknęła jej ramienia. Z niedowierzaniem ujrzała poranne słońce, noc - do niedawna taka długa i męcząca - minęła jak jedno mgnienie.

- Siostra doprawdy zbyt dobra dla mnie - powiedziała wzruszona do pielęgniarki.

- Wkrótce siostra będzie zdrowa - odparła tamta, żywo potakując ruchem głowy. - To mój własny przepis, znakomite lekarstwo.

Przelotny uśmiech zagościł na ustach Łucji. Czula się naprawdę lepiej. Głowa ciążyła jej jeszcze, ale ciało zaczęły przebiegać nowe prądy życiowe, niby cienkie strumyki soków w usychającym drzewie. Jakże jednak jest słaba! Gdy piła czekoladę - gęstą i mocną - drżąca ręka z trudem zdołała utrzymać filiżankę. Ale umysł jej wciąż jeszcze był ogłuszony, przytłoczony zwątpieniem.

Przez całe przedpołudnie leżała nieruchomo, a w południe drzwi otworzyły się, by wpuścić tych samych gości co poprzedniego dnia.

Znów jej powinszowano polepszenia, następnie ruchem dłoni przełożona oddaliła starą infirmerkę.

- Wygląda pani znacznie lepiej - oświadczyła stając tuż przy łóżku. Zamilkła, po czym lekkim, przyjaznym tonem, dodała szybko kiwając głową: - Wkrótce będzie pani zdolna do podróży.

Łucja nie odrywała wzroku od jej twarzy. Spodziewała się tego, było to nieuniknione. Ale mimo bierności i osłabienia, zeszywniała nagle na te słowa. Pozbywają się jej: przyjaźnie i bez zbytecznego hałasu. Więc to było - przynajmniej tak sądziła - powodem ich uprzejmości, tych aż nazbyt miłych uśmiechów.

- Więc mam odejść? - powiedziała powoli.

- Będzie to znacznie lepiej dla zdrowia pani - żywo odparła tamta i zwróciła się do Marii Emanuela. - Naturalnie jest nam ogromnie przykro. - Wzruszyła ramionami usprawiedliwiająco. - Ale z tak słabym zdrowiem cóż pani tu poczniesz?

- Tak jest - rzekła Maria Emanuela. - Cóż pani tu poczniesz?

W ciągu krótkiej chwili milczenia z wolna fala goryczy wezbrała w piersi Łucji. Z kamiennym spokojem rzekła wyraźnie:

- Byłam zdrowa wstępując do klasztoru. Miałam świadectwo lekarskie.

- Więc może wiek? - z niezwykłym taktem podsunęła Maria Emanuela. - To przemawiało przeciw pani.

- Siostra przemówiła przeciw mnie - cichym głosem powiedziała Łucja - i wszystko tutaj. Wstąpiłam tu pragnąc wznieść się ku Bogu, a siostra strącała mnie ustawicznie, pograżała w coś niskiego i podłego. Zostałam obrabowana ze wszystkiego!

- Wciąż jeszcze pani nie rozumie. To nasza reguła wymaga bezwzględnej uległości. Byłam surowa jedynie w celu wdrożenia pani do niej. To pani trzymała się z dala, była zupełnie inna... Matka przełożona wie... - Urwała wyciągając ręce, jakby się usprawiedliwiając.

- To już nie ma teraz znaczenia - spokojnym głosem rzekła matka przełożona, patrząc na Łucję. - Zakon żałuje, że reguła nie odpowiada pani wymaganiom, niemniej sprawa jest już rozstrzygnięta. A teraz musi pani być spokojna i pomyśleć o powrocie.

Łucja zacisnęła blade wargi. Żadnego usprawiedliwienia, żadnych oskarżeń, z góry uznano, że nie ma racji, że sprawa nie nadaje się po prostu do dyskusji. I pragnęli się jej pozbyć - to było jasne. Dobrze, ona też nie pragnęła tu pozostać!

- Proszę się nie obawiać - powiedziała z godnością. - Zaraz napiszę do syna.

- Już napisałam - spokojnie odrzekła matka przełożona. - Syn pani powinien otrzymać ten list dzisiaj.

Więc nawet to już zrobiono - napisano do jej syna w formie, której nie znała i nieprędko pozna. Znow ta sama niesprawiedliwość, tak samo oburzająca, wywołująca w niej zawsze tę samą urazę!

Świadomym wysiłkiem opanowała drżenie policzka.

- List nie wystarczy - rzekła spokojnie. - Trzeba zadepeszować. Proszę zadepeszować, że przyjadę jutro.

- Nie, nie! To niemożliwe - zawołały równocześnie. - To za wcześnie. Może za tydzień.

- Nie chcę tu pozostać dłużej - mówiła ze spokojem, który ją tak wiele kosztował. - Dalszy pobyt tutaj byłby dla mnie męką.

- Ale jest pani jeszcze zbyt wyczerpana!

- Nie pozostanę tu dłużej - powtórzyła stanowczo, rozkazująco, mimo całego osłabienia usiłując rozpaczliwie zachować pozorny spokój i równowagę. Nie mogła postąpić wbrew sobie, wbrew swoim zasadom. We wzrastającym wzburzeniu zawołała: - Jeśli nie wyślecie depeszy, że przyjadę jutro wieczorem, wyjadę na własną odpowiedzialność.

Patrzyły na nią milcząco, zaniepokojone, potem spojrzały porozumiewawczo na siebie.

- Musi się pani najpierw uspokoić - powiedziała wreszcie przeorysza. - Pani wie, że nie możemy zatrzymać jej siłą. Ale to niemożliwe.

- Możliwe - upierała się Łucja mówiąc przez zaciśnięte zęby. - Wyjadę jutro rano.

Nastało długie, kłopotliwe milczenie.

- Skoro pani chce - zgodziła się niechętnie matka przełożona protestując wzruszeniem ramion. - Ale to istotnie nie ma sensu.

Lucja nie odpowiedziała i nie poruszyła się. Przymknęła jednak oczy, jak gdyby pragnęła odsunąć od siebie znieawidzony widok. Po odejściu zakonnic leżała długą chwilę spokojnie, jej chude, żylaste ręce spoczywały nieruchomo na kołdrze, twarz zwrócona ukośnie ku oknu była blada i wykrzywiona. Ale mimo całego zewnętrznego spokoju, czuła płomienny wstyd. Przyszło jej nagle na myśl dawno zapomniane powiedzenie Franka. Tak, mimo zachowania przez nią pozorów godności "wyrzucili" ją jednak. Została wyrzucona! Usta jej drżały. Nie była dla nich odpowiednia. Weszła tu przejęta żarliwą miłością Boga, ożywiona płomiennym pragnieniem: stać się oblubienicą Chrystusa. A oto miłość jej została odrzucona, zapal wzgardzony, dusza ogołocona, odrzucona oblubienica Chrystusa wraca - do czego? Choć odarta ze wszystkiego, ma jednak świadomość dziwnego wzbogacenia swej duszy.

Na dworze blaski słońca kładły się wśród drzew, dokoła kwiatów brzęczały roje pszczoł, a nieskończona, mglista dal zdawała się przyzywać ją. Może jednak istnieje jeszcze dla niej jakaś przyszłość? Leżała bez ruchu, z policzkiem przyciśniętym do poduszki. Nagle zapłakała ogarnięta falą wzruszenia.

Nazajutrz rano, w dniu postanowionego przez nią wyjazdu, było na dworze jasno i pogodnie. Znów pęd klematisu uderzał o szybę, a w oddali mogła widzieć drzewa zginające się na wietrze, który wzbijał w niebo tumany liści unoszących się niby przestraszone jaskółki. Zrobiło się zimniej. W ciągu jednej nocy lato zmieniło się w jesień.

Obudziła się wcześniej i przez długą chwilę była pogrążona w myślach. O ósmej wstała powoli - nawet ostrożnie. Chwiała się i potykała chwilami. Musiała jednak uważać, by przed ciekawym okiem Marty nie zdradzić się ze swym okropnym osłabieniem. Trudno było uwierzyć, jak bardzo była osłabiona: musiała niemal walczyć, by utrzymać głowę na bezwładnej szyi, by opanować drżenie rąk przy ubieraniu.

Włożyła czarną suknię, którą nosiła w okresie postulatu, teraz jednak na jej wychudłej figurze była zbyt szeroka i zwisająca w luźnych fałdach jak ze straszdyła na wróble. Suknia ta nigdy nie przedstawiała się korzystnie, ale teraz pościągana, pospinana szpilkami, dopasowana przez starą infirmerkę, wyglądała komicznie a zarazem tragicznie.

Podnosząc głowę po zasznurowaniu bucików, ujrzała się nagle w lustrze. Co za widok - pomyślała znużona. Ta pozaszywana spódnica, ten komicznie pomarszczony stanik, kapelusz przekrzywiony na ostrzyżonej głowie. - I oto ona - ona, kiedyś elegancka i wybredna: Frank uważał ją nawet za piękną!

- Czy dobrze się pani czuje po wstaniu z łóżka? - spytała z troską stara Marta.

Łucja odwróciła głowę.

- Całkiem dobrze - powiedziała cicho.

- Więc zejdźmy na dół.

Zeszły do rozmównicy, gdzie czekały już na nią Maria Emanuela i Józefina. Te dwie, wysłane kiedyś po nią, otrzymały widocznie zlecenie odwiezienia jej do pociągu.

Matka przełożona była nieobecna, zajęta w tej chwili modlitwą.

Otwartą walizkę Łucji postawiono również w rozmównicy, a obok ułożono skrupulatnie wszystkie rzeczy, które tu przywiozła. Musiała być obecna przy spisaniu całego inwentarza. Niczego - wyraźnie to zostało podkreślone - niczego jej nie zatrzymano. Wszystko, co przywiozła, zostało przyniesione tu i oddane. Nawet pieniądze wyliczono do ostatniego sou: wystarczy aż nadto na podróż. Bilet był już kupiony, dorożka zamówiona, wszystko załatwione. Jak należy! A ona użyła słowa "ograbiono"!

Nareszcie waliza była spakowana, a ponieważ przy tej okazji ułamał się zamek, więc związano ją sznurkiem. Na pewno się nie otworzy, zapewniano ją, mimo to stara skórzana waliza mieszcząca całe jej mienie, stojąc pod ścianą schludnej rozmównicy, wyglądała niemal tak samo jak Łucja: zużyta i obdrapana w czasie rozlicznych podróży.

Czekały wszystkie trzy - gdyż stara infirmerka wymknęła się bez słowa - siedząc naprzeciw siebie przy okrągłym stole okrytym ceratą. Panował niezmacony spokój, ani odrobiny wzburzenia czy niepokoju. Nic nie mogło zakłócić nieubłaganej pracy maszyny, która ją przyjęła, wchłonęła, a teraz wypluwa. Maszyna pracuje nieubłaganie w dalszym ciągu, bez chwili przerwy.

- Przeorysza żałuje, że zajęcia nie pozwalają jej przyjść - po raz drugi oświadczyła Maria Emanuela. - Jest jej naprawdę bardzo przykro, że pani wyjeżdża tak prędko, ale nie może jej zatrzymać gwałtem.

Odezwał się dzwon, ale cicho, jakby z oddali.

- Depesza została wysłana dziś rano - zauważyła znów Maria Emanuela.

Kołysanie się suchych liści na dworze wywoływało urywane, nieregularne szmery.

- W tej paczce - rzekła Józefina, wskazując leżący przed nią porządnie zawiązany pakiecik - jest bardzo dobre śniadanie dla pani. - Uśmiechała się. - Kanapki i pasztet - tak; nawet kielbasa. Wszystko przygotowane specjalnie dla pani. Obdarzono ją sownie tymi doczesnymi dobrodziejstwami, drobnymi względami i uśmiechami, ograbiając zarazem jej duszę ze wszystkiego co piękne.

- Jeśli wolno, to chciałabym się pożegnać z siostrą Adrianną.

Natychmiast obie zakonnice zamieniły z sobą spojrzenia, wyrażające naganę: Maria Emanuela milczała, ale Józefina uśmiechnęła się w końcu blado:

- To niestety niemożliwe - powiedziała. - Wczesnym rankiem w dniu jubileuszu znaleziono siostrę nieprzytomną. Wylew krwi do mózgu, wkrótce umarła. - Uśmiechnęła się pogodnie. - Tak, wielka zapanowała radość w niebie. Witają nową świętą.

Więc w taki sposób stara Adrianna spędziła swoją rocznicę urodzin - bez filiżaneczki kawy i kruchych ciasteczek. Łucję ogarnęła ogromna żalność i nagłe uczucie straty. W tym miejscu, pozbawionym wszelkich pozorów rzeczywistości, jedna tylko Adrianna wydawała się być prawdziwa i ludzka. A jej śmierć przyjmowano tu dziecinnym, naiwnym uśmiechem: uśmiechem wywołanym myślą o owej złotej bramie otwartej dla starej kobiety, która nie chciała rozstawać się ze słonecznym światłem na ziemi. Co za ironia!...

Na ścieżce zazgrzytały koła pojazdu.

- Dorożka czeka - rzekła Maria Emanuela wstając. - Przyślę stangreta po walizkę.

Wyszły za nią na dwór: ten sam zamknięty powóz, ten sam stary stangret w wypełzłym niebieskim płaszczu, zapiętym pod szyję, dotknął ręką sztywnego kapelusza, zniknął w bramie, znów się ukazał, zgięty pod ciężarem walizy, którą umieścił na koźle. W powietrzu czuć było tchnienie jesieni, którą zawsze tak lubiła.

Maria Emanuela przekreśliła mosiężną rączkę drzwiczek powozu i otworzyła je.

- Odprowadzimy panią na stację.

Oczy Łucji śledziły jej ruchy.

- Nie - powiedziała spokojnie - wolę pojechać sama.

Tamta spojrzała na nią surowo. Nastąpiło krótkie nieprzyjemne milczenie.

- Takie mamy polecenie - wtrąciła z zakłopotaniem Józefina, mrużąc oczy od słońca.

- Dla mnie nie istnieją już żadne polecenia - odrzekła Łucja. - Teraz jestem sobą.

Wsiadła do dorożki i zatrzasnęła drzwiczki. Przez małą szybkę widziała ich twarze, skierowane ku niej z wyrazem niedowierzania, a zarazem wrogiego zdumienia. Stangret zaciął konia i twarze te zniknęły jej sprzed oczu.

A więc skończyło się - spokojnie, beznamietnie, jak gdyby wracała po prostu z jakiejś wizyty, a nie po najbardziej rozpaczliwej walce swego życia.

Powóz turkotał monotownie. Łucja początkowo nie zwracała uwagi na otoczenie, mając wzrok utkwiony w trzęsącej się podłodze. Następnie powoli podniosła głowę i obojętnie przyglądała się ruchliwej ulicy. Pełno tu było kobiet i dziewcząt śpieszących na śniadanie z fabryki koronek w Sentiens, śmiały się, rozmawiały, gestykulowały, wesoło stukając sabotami. Jakie były szczęśliwe i beztroskie. Powietrze aż dzwoniło od ich donośnych, wesołych głosów. Kiedyś ona również wyruszyła w życie z taką samą energią, tak samo beztroska,

Dojechała teraz do przedmieścia Brukseli wracając tą samą drogą, którą przybyła. Panował tu większy spokój i ulica była pusta - tylko jakiś chłopiec mył okno w wędliniarni, dozorca w zielonym fartuchu czyścił mosiężne okucia bramy, mały niebieski żandarm stał na rogu - ot, zwykłe obrazy codziennego szarego dnia.

Potem Bruksela. Znow tramwaje, ruch uliczny, sklepy, które właśnie otwierano, kawiarnie już otwarte, kilku piwoszków o tej wczesnej godzinie siedzących przy kuflach. Jak niespokojne były jej oczy! Zwierciadło, w którym odbijało się wszystko. Tak, tylko zwierciadło odbijające powierzchowne, przelotne obrazy, grę światła i cieni ślizgających się jakby po powierzchni stawu. A pod tymi umykającymi obrazami głuchy mrok. Znow znalazła się na placu: rozległym, pełnym dziwacznych posągów, gołębie dumnie przechadzały się po cokołach, konie bezsilnie spuszczać łby stały przed starymi dorożkami.

A potem dworzec - pociąg - przedział pachnący przenikliwie siarką - ławki obite wzorzystym welwetem.

Rozpoczęła drogę powrotną przez ten sam kraj. Kwadraty starannie uprawianych pól, wieśniacy pochyleni przy pracy, gładkie kanały, wąskie szeregi topoli, chwiejących się na wietrze jak olbrzymie pióra. Za pierwszym razem jechała przez ten kraj w ekstazie, z sercem tętniącym w rytm kół pociągu. I dokąd zawiodła ją ta ekstaza? Do obłądnej sceny w ogrodzie

zamkniętym murami, gdzie omal nie postradała zmysłów! Drgnęła i odsunęła od siebie te myśli. A oto wraca! Jakże nędzny jest ten powrót.

Ogarnęło ją nagle uczucie upokarzającej beżużyteczności. Całe jej życie było ślepym pożądaniem marności, ciągłym i ustawicznym dążeniem do czegoś, co nigdy nie zostało uzyskane. A walczyła tak ciężko, ze wszech sił, oburącz usiłując kształtować los dla osiągnięcia wspaniałego celu. Wszystko, co robiła, robiła świadomie i energicznie. Nie była marionetką, nigdy nie kierowała się przypadkiem, wszystko, co robiła, pochodziło z głębi jej istoty, z niej samej! A ostateczny rezultat tej walki to powrót śmiesznej, obdarłej istoty - nieodwracalna klęska, koniec jej drogi.

Czy istotnie koniec?! I czy poniosła klęskę? Bezwiednie podniosła głowę, zasłuchana w stukot kół pociągu, w ten sam rytm, który tak żarliwie towarzyszył jej wtedy. Te same koła, ten sam dźwięk - tak, i ona - ta sama kobieta! Ale teraz dźwięk ten brzmiał inaczej. "Dalej i dalej" - mówił do niej. "Dalej i dalej - dalej i dalej!" - popychając ją naprzód, dalej i dalej.

Wyprostowała się, spuściła okno, wystawiając twarz na chłodny pęd. Tak lepiej. Wiatr, smagając czoło, wygładzał zmarszczki, obudził w znużonym ciele podniecającą siłę. O ileż lepszy jest ten wiatr szarpiący giętkie topole, rzucający srebrny blask na drżące wierzby - o ileż lepszy od nieruchomej ciszy, która otaczała ją tak niedawno. Teraz potrafi coś jeszcze zdziałać!

Nie, nie jest zwyciężona. Coś się w niej obudziło na tę myśl. Przeszłość minęła i trzeba o niej zapomnieć. Ma jednak przyszłość, zawsze miała przed sobą przyszłość. W tej chwili czuje zamęt w głowie, bo to bardzo męczące zagadnienie. Jest naprawdę głupia - tak, głupia i niezdolna do niczego. Nie może myśleć teraz, ale później z pewnością rozwiąże te zawile sprawy.

Nabierała sił. Wiedziała instynktownie, że dokonuje się w niej jakaś przemiana, czuła to podświadomie. I zapomniała o bólu głowy, o wyczerpaniu, o marnym ubraniu i tragicznej sytuacji. Zapomniała o tym wszystkim, przepełniona dziwnym zadowoleniem.

Tournai - Blandain - Baisieux - Lille - kolejno odwracały się karty znanej już podróży. Wreszcie znalazła się w Calais, przeszła natrętną rewizję celną i weszła na pokład parowca czekającego przy molo. I dopiero teraz ujrzała morze, zasłonięte do tej pory przed jej wzrokiem zabudowaniami portu, zapatrzyła się w potężny rytm sinych fal i gonitwę ciemnych

chmur. Widziała, że przeprawa będzie ciężka. Dziwne, ale ta myśl, która dawniej przejęłaby ją największym strachem, wcale jej teraz nie zaniepokoiła. Dziś miała silniejsze nerwy niż w czasie tamtych dni, kiedy pierwszy raz tędy przejeżdżała. Wiedziała, że dostanie morskiej choroby. Było to nieuniknione i pogodziła się z tym.

Gdy statek wypłynął z portu, nie zeszła na dół, lecz oparta o burtę, chroniąc się przed nagłymi wstrząsami, została na pokładzie. Ciężka, bardzo ciężka była to przeprawa. Statek to unosił się wysoko, to zapadał pod naporem olbrzymich mas wodnych, które rozbijały się o jego dziób i kadłub. Jak bardzo ta przeprawa była podobna do jej własnego życia! Ona i statek, chwiejący się za każdym uderzeniem fal, lecz dźwigający się ponownie pod naciskiem jakiejś wewnętrznej siły, pędzącej go ku rozhukanym falom - to jedno! Dalej i dalej! Wiatr gwizdał w olinowaniu niby natrętny rój pocisków, pryskająca piana kłuła blade policzki Łucji. Nagle jedna z większych fal, wdarłszy się przez dziób okrętu, zalała rozchybotany pokład i łagodnie podpłynęła do jej stóp. Ogarnęła ją dziwna słabość: nie atak choroby morskiej, lecz śmiertelne osłabienie wewnętrzne.

Mocno uczepliła się burty, stojąc wyprostowana, a olbrzymie masy wód przetaczały się i szalały wokół statku. Kapelusz przekrzywił się jej na głowie, długa luźna suknia fruwała jak żagiel. Twarz Łucji była sina z zimna, a zęby mocno zaciśnięte.

Stewardessa, przebiegająca pokład w nieprzemakalnym płaszczu, przystanęła nagle, patrząc ze zdumieniem na Łucję.

- Proszę zejść, proszę zejść na dół - powiedziała stanowczo i dodała: "madame".

"Madame" - cóż za śmieszne określenie dla tej dziwnej, obdartej istoty - odwróciła głowę smagana wiatrem.

- Zdaje mi się, że tu mi jest lepiej - odparła niepewnie.

- Ale pani wygląda na chorą. Może trochę koniaku?

Nie czekając na odpowiedź, stewardessa odeszła i po chwili wróciła z kieliszkiem. Wciąż jeszcze trzymając się burty, Łucja wypła alkohol. Podziękowała młodej kobiecie i drżącymi rękami zapłaciła obcą monetą.

Rozgrzała się, alkohol jakby płonął w jej zziębniętym ciele. Tak, było jej bardzo zimno. Ostry wiatr przenikał nędzne ubranie i chłostał wychudłą postać Łucji, która drżała jak w febrze. Zęby szczękały, ściągnięta twarz, z której uciekła reszta krwi, skrzepła w lodowatym grymasie. W boku czuła silne klucie.

Ale na szczęście opanowała słabość. Nie ustąpi, nie! Mocno uczepiona burty, poddawała się przeszywającym podmuchom wiatru, aż chęć wymiotów ostatecznie minęła.

Podobnie jak statek - Łucja wytrwała. Zakonnice powiedziały, że nie zniesie trudów podróży, a jednak zniosła je. Oto jest w Anglii - w domu, po męczącej przeprawie przez Kanał, cichy spokój portu w Dover był istotnie wypoczynkiem. Po tych strasznych zmaganiach z burzą, poczuła odprężenie - jeszcze jeden dowód jej niespożytej odwagi. Jednak ma siłę ducha!

Do pociągu było niedaleko, ale nogi nagle stały się jakieś bezsilne, jakby nie należały do niej. Czuła też dziwny ból w oczach i w boku.

- Nic do oclenia? - Nie, nic, prócz siły ducha!

Gdzie jest peron? Musi iść wraz z tłumem. Nigdy nie dojdzie chyba do tego pociągu. A jednak jakoś doszła. Półprzytomna znalazła się w przedziale dla palących, pełnym roześmianych, hałaśliwych mężczyzn. Trudno: nie będzie się już przesiadać. Nie warto. I tak wkrótce kres długiej podróży.

Jak ciepło jednak, bardzo ciepło. Ręce i czoło płonęły, mimo że nogi były jeszcze lodowato zimne. Czuła, że twarz ma czerwoną. Ukradkiem przycisnęła policzek do chłodnej szyby.

Pociąg mknął niestrudzenie naprzód. Był cichy wieczór, wiatr ustał zupełnie, a zwiewne zasłony mgły wypełzły bezszelestnie z zagłębień ziemi. Widać część tej mgły omotała jej głowę, gdyż czuła silny zawrót. Jednak całodzienna jazda to bardzo męcząca rzecz. Ktoś na nią spojrział i spytał, czy życzy sobie, by otworzyć okno. Skinęła potakująco. Do przedziału wdarł się chłodny podmuch, pachnący słodko jesienią, ostrą wonią zeschniętych liści, dymem drzewnym, ostrym chłodem wczesnego przymrozku. Mniejsza z tym, że nogi ma zimne i czuje lekkie klucie w boku, chłodny wiew orzeźwi ją. Jak ona zawsze lubiła subtelną woń tej pory roku. Coraz dalej i dalej mknie naprzód, zespolona teraz nie z okrętem,

lecz z pociągiem. Głowa jej podskakiwała w rytm pociągu. Musi już chyba być blisko celu, a na dworcu będzie na nią czekał Piotr. Piotruś. Jej rodzony syn - on jej przynajmniej pozostał, coś prawdziwego, realnego, w tym nierealnym tańcu cieni ostatnich miesięcy. Jak przez mgłę pomyślała o depeszy, którą mu wysłała - o swojej depeszy, gdyż ona układała jej treść. Napisała krótko - list powiadomił go o wszystkim. "Przyjeżdżam siódma trzydzieści Victoria, matka." Błady uśmiech zadrżał jej na wargach na myśl o tej depeszy będącej nie tyle kaprysem, ile wyzwaniem, sztandarem rozwiniętym w obliczu losu. On to zrozumie i będzie wiedział, że jest niepokonana. Tak, jej syn wie, że ona nigdy nie dopuści do porażki - jest zdeptana i wyniszczona, marny strzęp samej siebie, ale niepokonana. I wraca do niego. Zalały ją nagle wspomnienia dawnej tkliwości. Ten jego tak dobrze znany, przekorny śmiech.

"Mamo, jesteś jeszcze całkiem przystojną kobietą."

Albo kiedy chodzili pod rękę na wybrzeżu w Doune w taki sam wieczór jak dzisiejszy. Razem siedzieli u tych komediantów, przytuleni do siebie w półmroku, a Val Pinkerton śpiewał dla nich:

"O moja Daisy, daj mi swą rękę,
nie skazuj dłużej na szaleńczą mękę."

Znów uśmiechnęła się słabo. Może była zbyt surowa, nieustępliwa. Z niemądrym uporem tłukła głową o twardy mur nieuniknionego. Ale teraz pogodzi się z Różą, teraz pogodzi się ze wszystkim.

Lokomotywa gwizdnęła jakby w odpowiedzi, a pociąg zgrzytając hamulcami wjechał powoli na dworzec Victoria. Jest w domu - a przynajmniej w pobliżu domu - nareszcie!

Czekała, aż przedział opróżnił się z wszystkich współpasażerów, wtedy wysiadła, a potem stała na peronie, czekając. Oczy jej błyszczały gorączkowym blaskiem; czuła, że serce biło boleśnie. Czy to biło serce, czy bolało coś w boku? "Ból z biegania" mawiał Piotr, kiedy jako mały chłopczyk, zaczerwieniony tulił się do niej po zabawie. A teraz ona miała czerwoną twarz, gdy powoli szła przez peron. Tłum się przeredzał, ale mimo natężenia wzroku, nie mogła dostrzec jego postaci. Może pociąg przybył za wcześnie, a może coś go zatrzymało. Z pewnością przyjdzie, nie ma obawy. Zaczeka na niego tylko kilka minut. Będzie chodzić po peronie tam i na powrót - to łatwiejsze niż stanie. Więc powoli, niepewnym krokiem zaczęła

chodzić tam i na powrót - mała, szara mysz, nie kobieta, w niechlujnym, śmiesznym ubraniu.
Chodziła po peronie tam i z powrotem - czekała.

Chodziła po peronie tam i z powrotem przez całą godzinę. Mogłaby może sama pojechać do mieszkania syna, ale nie pozwoliło jej na to fatalne samopoczucie. Była półprzytomna, pozbawiona sił. Nie mając przy sobie angielskich pieniędzy, nie zdając sobie sprawy, ile czasu upłynęło, niezdolna do wyrwania się z inercji, podtrzymywana jedynie wiarą, że on przyjdzie - czekała, poruszając się automatycznie jak wahadło.

A on nie mógł przyjść. Wyjechał. Gdy tu czekała, list matki przełożonej gonił go po Bretanii, dokąd udał się na urlop z Różyczką - tak zawsze mówili, że tam jeszcze pojedą, by ponownie przeżyć rozkosze pierwszego pobytu. A depesza, depesza sformułowana przez nią samą - tak jasno i stanowczo, że była pewna, iż przywiedzie go na dworzec - otwarta przez jego współnika, zupełnie nie zdającego sobie sprawy z jej treści, przeciążonego w dodatku podwójną pracą, wywołała jedynie przelotną myśl: "Przyjedzie do niego". Zawiadomił więc służącą, która pozostała w pustym mieszkaniu, żeby była przygotowana na czyjś przyjazd. To wszystko.

Sama wytworzyła tę sytuację, cała wina spada na nią. Mogła pozostać w Sentiens, aż będzie silniejsza, aż otrzyma od syna odpowiedź, że wszystko jest dla niej przygotowane. Ale nie byłaby sobą! Przyjechała, jest tu - czeka. "Coraz dalej i dalej" - mówiły koła pociągu, ale dla jej nóg było niemożliwością iść jeszcze dalej. Wlokły się i potykały, nie należały do niej, chwiała się na nich bezsilnie. Ciało miała tak lekkie, że mogłaby się unosić. Tylko ten kłujący ból w boku, który czuła przy każdym oddechu, nie pozwolił jej zapomnieć o rzeczywistości.

Musi coś zrobić, to pewne. Myśl ta przenikała jej otepiałą świadomością. Nie może tu zostać na wieki, chodząc bezcelowo tam i z powrotem po tym nie kończącym się peronie.

Niewyraźnie dostrzegła policjanta, który stał obok słupa i przyglądał się jej uważnie. Stał tam już dość długo: minuty, godziny czy wieki przyglądał się Łucji z coraz bardziej wzrastającą podejrzliwością. Nagle poczuła się gorzej, niewypowiedzianie słabo i źle. Pomyślała szybko o swych zawrotach głowy. Widocznie znów ją wzięło. To minie, ale musi coś zrobić - musi jej ktoś przyjść z pomocą. Podeszła do policjanta, otworzyła usta, by przemówić, zaczęła szeptać jakieś słowa bez związku, za wszelką cenę usiłując wyrazić swą

prośbę. Czy powiedziała? Nie była pewna. Jego czerwona twarz nad błyszczącymi guzikami munduru rozplynęła się we mgle. Co on pomyśli? Czy poczuje w jej oddechu woń alkoholu, którym poczęstowała ją stewardessa. Pomyśli, że ona - Łucja Moore... Nagle rozwiązała od razu tę wątpliwość za niego i za siebie, zemdlna osuwając się na ziemię.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zebrał się tłum. Mądry, współczujący tłum, który wiedział, że zemdlała i że trzeba ją wynieść na świeże powietrze. Dlaczego jednak nie odzyskała przytomności?

Następnie przyjechał ambulans: białe auto, które niby szary upiór wtoczyło się pod posępne sklepienie dworca.

Łucja znalazła się w tym ambulansie, leżąc na wznak niby jakaś dziwna marionetka. Oczy jej były otwarte i lekko zdziwione, poprzez mgłę, która je przysłaniała, widziała pochylające się nad nią dwie postaci: policjanta i kogoś drugiego w białym płaszczu.

Tu-tu-tu! - trąbił klakson. Coś szumiało jej w uszach - poczuła dziwny ciepły ból w boku - jakiś zamęt i hałas w głowie! Przestała się opierać i znużona przymknęła oczy. Z jej suchych ust wydobywał się krótki świszczący oddech.

- Ona dziwnie oddycha, prawda? - powiedział w końcu policjant.

Człowiek w białym fartuchu skinął potakująco.

- Te stare kobiety... nie pojmuję, doprawdy, po co same jadą w drogę.

- Tak, po prostu, żeby sobie napytać biedy.

Chwila milczenia.

- Jedziemy do szpitala Świętego Tomasza.

- Zgoda.

Wjechali na dziedziniec szpitala, a ona wciąż jeszcze była oderwana od rzeczywistości, wciąż jeszcze była marionetką leżącą bezsilnie na noszach.

Wszystko to stało się tak śpiesznie - z szybkością lawiny. Próbowwała podnieść rękę na znak protestu. Ale ręka jej była bezsilna. Lawina unosiła ją ze sobą. Coraz dalej i dalej przez ogromne nie kończące się korytarze, uwożono ją przez labirynt korytarzy. Światła i twarze.

Puk, puk, puk - w tym tak bardzo bolesnym miejscu, jest teraz gorzej, zupełnie źle. Czy to ból zębów? Boli w boku, ale ból jest podobny - tak, przypomina sobie - bardzo podobny do tego strasznego bólu przy wrywaniu zębów: "Na początku wyrwiemy cztery!" - i jej stanowczy głos: "Ile będzie kosztować bez znieczulenia?" Spokojnie oparła się plecami o grzbiet czerwonego fotela. Znowu czuje ból. A potem pochyliła się nad nią duża, uśmiechnięta twarz dentysty. Ale to nie jego twarz, inna młodsza twarz uśmiecha się do niej zachęcająco, następnie ostre ukłucie igły w ramię, na co usiłuje odpowiedzieć uśmiechem, usiłuje przemówić, powiedzieć kim jest - ona, jej syn.

Ból - znowu przeszywający, a każdy z nich to jeden oddech. I w końcu czarne kłęby dymu i szare bałwany morskie, przelewające się nad nią i unoszące ją w błogie zapomnienie.

- Taka dawka - powiedział lekarz dyżurny, stojąc w nogach łóżka - i żadnej reakcji.

- Gdyśmy ją kapali - rzekła siostra - to straszne... skóra i kości.

- Należałoby zawiadomić rodzinę.

- Nie mamy żadnych wskazówek. Żadnych znaków na odzieży. Ani torebki, ani listów, tylko trochę belgijskiej drobnej monety w kieszeni sukni. I co za suknia!

Spojrzał na łóżko.

- Wobec tego zawiadomię policję.

- Tak.

- I ustawić parawany! - Odchodząc lekarz spojrzał na nie znacząco. - Obustronne zapalenie płuc, i to przy takim wycieńczeniu.

Ustawiono więc parawany koło łóżka Nr 7. Były to owe białe firanki, płaszące i fruwające chwilami przed jej zamglonymi oczyma: białe firanki podobne do tych, które wisiały w oknach domu w Ardfillan. Jakieś ręce rozchylają firanki, nachylają się twarze -

twarz Piotra. Jego roześmiana twarz, zaczerwieniona od szybkiego biegu ze szkoły. A ona przechadza się koło przylądka Ardmore. Wycieczka do jeziora, łowienie ryb, wybrzeże. A teraz cofa się jeszcze bardziej w przeszłość: siedzi na owym wybrzeżu i karmi niemowlę. Słońce świeci jasno. Łucja czuje słoną woń morskich. Piotruś leżący na jej kolanach uśmiecha się - wprost się zaśmiewa, a strumyczek mleka spływa mu z kącika ust.

A potem odzyskała mętną świadomość, słyszała ciche szepty obok swego łóżka i czuła, że ktoś podaje jej coś do picia. Jak bardzo jest spragniona. Wargi spalone, język suchy i obrzmiały od gorączkowego pragnienia. Próbowwała otrzeć sobie usta, ale ręce jej rozdęte do olbrzymich rozmiarów zdawały się być ciężkie jak ołów. Na domiar złego oddech taki poplątany, taki trudny - zaplątany w sieć, w nieprzebyty gąszcz lasu, przez który przedziera się dysząc... dysząc, dysząc...

I nagle znów wraca przeszłość. Znów spoza rozchylonych firanek spoglądają twarze: Frank spokojny, z owym drwiącym dziwnym uśmiechem; Anna, ironiczna, szydercza i karcąca; Netta, czerwona i szczerą; łagodny, roześmiany David Bowie; a nawet twarze z okresu jej dzieciństwa, te wszystkie twarze z dawnych lat, dalekie, niewyraźne, otaczające ją teraz kołem i wirujące zawrotnie. Nagle moment bolesnej świadomości. Gdzie ona jest? Taka słaba, dręczona żarem i trwogą! Czy... czy umiera? Nie! To niemożliwe. Jeszcze nie skończyła ze wszystkim. Ma dopiero czterdzieści pięć lat. Nie jest pokonana. Trzyma jeszcze głowę do góry. Koła pociągu pędzą przed siebie z szaloną szybkością coraz dalej i dalej.

I znów nawrót do gorączkowych majaceń. Nie widzi już żadnych twarzy, lecz zamiast nich światło - oślepiające światło, które ją zalewa - zbyt jaskrawe dla jej słabych oczu. Płonie i płonie jak aureola nad głową Chrystusa. Nie, to nie to - aureola Chrystusa nie była nigdy tak jasna. To światło słońca, olśniewające światło słońca na migotliwej powierzchni morza, a nad nią pyłki świetlne, unoszące się do góry, migocące jak motyle. Zawróciła znów, znalazła się na początku, stoi przy oknie, wygląda, czeka, podnosi rękę do oczu, by zasłonić je przed tym światłem.

A ono zalewa jej istotę, z ostateczną, oślepiającą gwałtownością...

Nagle wszystko zgasło i spadł na nią ostateczny, wieczysty mrok...

Wieczorem, w dniu przyjęcia do szpitala umarła. Bez oporu - bez reakcji - było to nieuniknione.

Zanieśli ją do kostnicy. Tu położono ją na grubej kamiennej płycie, która dawniej jawiła się jej we śnie jak straszliwa zmora.

Noc była pogodna, ukojona ciszą późnej jesieni, którą tak lubiła. A do milczącej kostnicy napływały szare welony mgieł z pobliskiej rzeki, tkając przedziwne zasłony wokół kamiennej płyty, na której leżała, wyniszczona, naga, odarta ze wszystkiego.

Znieruchomiła w kamiennej masce śmierci twarz Łucji nie miała żadnego wyrazu. Oczy były zamknięte, usta blade i lekko rozchylone, ręce przejrzyste, skrzyżowane na piersiach w geście ostatecznej niemocy. A gęstniejące mgły, unosząc się znad wody i ziemi, osłoniły ją swym litościwym całunem.